

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4767/109

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1868.

Tom pierwszy.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1868.

4620. 1868. 1

II

X-14208
4620/ 1868 II 1.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 29 grudnia (10 stycznia) 1867/8 r.

Censor, J. Błaszczycyński.



30.000,-

PARMENIDES

FILOZOF Z ELEI, JEGO NAUKA I JEJ ZNACZENIE

z poglądem

NA ROZWÓJ FILOZOFII I PRAWDZIWE ZNACZENIE TEJ NAUKI.

NAPISAL

Lud. Szczerbowicz—Wieczór.

I.

Początek filozofii. Różwój greckiej filozofii przed Parmenidesem.

Skoro tylko człowiek przyszedł do samopoznania i zaczął odróżniać siebie od zewnętrznej przyrody, wtedy już zaczął filozofować po swojemu. Zależność życia ludzkiego od wpływów zewnętrznej przyrody, wpływów szczególniej potężnych w dobie młodości rodu ludzkiego, doskonałość i harmonia wszechświata, piękność przyrody, wszystko to razem z nieprzewyciężoną moralną koniecznością uznania Najwyższej Istoty, zrodziło w człowieku mimowolne przekonanie o boskości przyrody, i zmusiło go do uchylenia czoła przed potęgami przyrody, które młoda ludzkość uznała za bóstwa.

Atoli już ten początkowy, religijny, mytologiczny pogląd nosił w sobie zaród filozofii: sam ten pogląd był możliwym tylko dla tego, iż człowiek czuł w sobie swą własną duszę i w skutek tego poczucia, mógł wystawić sobie świat

ożywionym, uduchownionym, przenosząc poczucie swęj duszy na otaczającą go przyrodę. Tak więc poczucie własnej duszy poprzedzało w człowieku ubóstwienie przyrody, to zaś ostatnie było już wypadkiem zastanowienia się człowieka, było z jego strony nadaniem przedmiotom zewnętrznej przyrody, podobieństwa do samego siebie, a wyższym potęgą w niej działającym, podobieństwo do duszy, którą czuł w sobie jako najwyższą potęgę. Jednak z drugiej strony, człowiek najdokładniej wiedział tylko o własnej duszy, i uznając *tajemne siły* przyrody, jako coś równie wyższego początku, jak dusza, czuł wyższość téj duszy, wyższość swego rozumu, swego myślenia nad przedmioty zewnętrznej przyrody i chociaż nie zrazu, lecz jak zobaczymy bardzo już wcześniej, filozofia uznała za najwyższy punkt oparcia *myślenie, doświadczenie wewnętrzne*, wzniosłszy się ponad *doświadczenia zewnętrzne*.

Tak więc mimowoli nasuwające się pytania o stosunku człowieka do zewnętrznej przyrody było początkiem filozofii. Niepowściągniiony popęd ku wiedzy, ta naturalna własność człowieka, jak powiada Aristoteles (1) wzbudzał w nim usiłowania poznać swe stanowisko w systemie wszechświata, określić swój stosunek do przyrody, do której należy jego ciało, lecz ponad którą wyniósł swą duszę.

Fatalny dualizm ducha i materji rażąco występuje w religiach i filozoficznych systemach (jeśli się godzi tak je nazwać) starożytnego Wschodu; lecz pozostaje prawie niedostrzeżonym w jasnych poglądach helleńskiej religii i w pierwszych próbach filozofii hellenów. Dla tego narodu nie było nic martwego, nic biernego: wszystko było razem i duchem i materją, jedno bez drugiego nie istniało. Grek pojmował jedno i drugie jako harmonijną całość i nie widział złowrogięgo dualizmu. Platon powiada, że u Greków filozofia powstała z popędu ku wiedzy, a nie dla dogodzenia powszednim potrzebom, nie z popędu ku zyskowi, jak u Fenicyan i Egipcyan (2).

(1) Πάντες ἄνθρωποι τοῦ εἶδεναι ὀρεγονται φύσει.

(2) Plat. De repub. IV, 435: ἢ τὸ φιλομαθές ὃ δὴ περὶ τον παρ ἢ οὖν μαλίστ' ἂν αἰτιάσαιτο τόπον, ἢ τὸ φιλοκρημάτωνε περὶ τοὺς τε Φοινίκας εἶναι καὶ τοὺς κατὰ Αἴγυπτον φαίη τισαν οὐχ ἤκιστα.

Z tego, cośmy powiedzieli o pierwszej potrzebie określenia stosunku człowieka do przyrody, wypada: iż pierwsze próby filozofii musiały to być koniecznie fizyczne systemata, jako prace przygotowawcze, poprzedzające rozwój innych części filozofii.

Filozofia przyrody była więc pierwszym stopniem w rozwoju téj nauki, potem zaczęły rozwijać się *dyal-ktyka*, która dała początek *logice* i *metafizyce* i *etyka* filozofia moralna, do której wkrótce przystąpiła *polityka*, jako druga najważniejsza gałąź *filozofii praktycznej*. Logika i metafizyka pozostały częściami filozofii *teoretycznej*.

Przypatrzmy się nieco składowym żywiołom i głównym warunkom rozwoju pierwszych systematów filozoficznych i rzućmy okiem na postępek greckiej filozofii do czasów Parmenidesa.

Mytologia miała znaczny wpływ na pierwiastkowe filozoficzne pojęcia Greków. Nietylko u najdawniejszych jońskich *fizyków* (filozofów przyrody) ale i u późniejszych, jak np. u Empedoklesa i Parmenidesa, spotykamy mytologiczne poglądy i pojęcia *chaosu*, *miłości*, *nienawiści* i *konieczności* (*χάος*, *ἔσως* i *φιλία*; *ἔρις*, *ἀραξή* i t.d.). Atoli to nie znaczy nic innego jak tylko to, że ci filozofowie zgadzali się w pewnych swych poglądach z powszechnymi mytologicznymi pojęciami, które nie były żadnem objawieniem, lecz stanowiły powszechną, ludową filozofią. Teraz już nie podlega wątpliwości, że grecka mytologia, przynajmniej co do głównych poglądów i zasadniczej swéj treści, nie była wcale wymysłem jednéj lub kilku osób, Homera lub Hezyoda; nie była także i próżną igraszką wyobraźni greckiego narodu; lecz zasadzając się na czeć sił przyrody, była ona w pewnym stopniu filozofią przyrody, do jakiej była zdolną epoka dzieciństwa greckiego narodu, a która powstała pod wpływem odrębnych cech charakteru tego narodu i innych zewnętrznych okoliczności. Jeżeli więc filozofowie greccy dzielali pewne mytologiczne pojęcia, to nie dlatego żeby (jak np. scholastyicy w wiekach średnich) trzymali się jakiego objawienia, lub żeby szli ślepo za wiarą narodu; lecz dlatego tylko, że owe czasy nie były zdolne do naukowych badań i poglądów, któreby się różniły od tych pojęć i poglądów, do jakich doszedł naród grecki w swoim dzieciństwie i które złożył w skar-

bnicy swój pięknej mytologii. Mytologia, powiada znakomity badacz tegoczesny, była to forma w którą przyodziewało się wszystko co świat starożytny czcił i podziwiał (3). Była to nietylko religia greckiego narodu, ale zarazem jego poezya, jego filozofia (4).

Język odgrywał także ważną rolę w formowaniu początkowych filozoficznych pojęć. Gdy zaczęły powstawać pierwsze teorie filozoficzne, język grecki był już znacznie wyrobiony i posiadał wiele wyrazów dla pojęć oderwanych, któremi posługiwali się filozofowie. Jak z jednej strony, język—ta żywa historia narodu, zachował ślad rozwoju pojęć i idei; tak z drugiej strony, postęp tego rozwoju zależał nie mało od materyału językowego. Dla przykładu dość jest przytoczyć wyraz *ιδέα*, (który miał rozmaite znaczenia w różnych dyalektach greckich) i znakomite *λόγος* u chrześcijańskich neo-platoników (5).

Szczególne cechy i różnice charakteru greckich plemion miały wpływ na rozwój pojedynczych części filozofii. *Jończycy* żyli w młodzieńczej prostocie na łonie natury, wrażliwi na wpływy zewnętrzne, lecz umiejący zostawać z niemi w harmonii i spoglądać jasno na świat. Zupełna przedmiotowość jest dlatego wybitną cechą utworów jońskiego geniuszu; epos i historia były jego płodami, podobnież i *fizyka* jako pierwiastkowa filozofia przyrody.

(3) Max-Müller *Mythologie comparée* (trad. franc.) p. 100.

(4) Mytologiczno-filozoficzne poglądy wywodzono od półbajecznego wieszczu Orfeusza, pod imieniem którego krążyły już w dawnych czasach kosmologiczne doktryny, z których mogli czerpać Homer i Hezjod. (Brandis: *Geschichte der griechisch-römischen Philosophie*. Band I, 77). W późniejszych czasach z tych poglądów i utworów wyobraźni mistyków powstały poetyczne teorie o Zagreusie, o Fonesie, o jaju wszechświata i t. p.

Przeciwko mytologicznym poglądom w filozofii, pierwszy powstał Ksenofanes (Karsten *Relig. vet. phil. Xenophanis*, prag. V) a bardziej jeszcze stanowczo Platon (*Theact.* p. 180. *Cratyl.* p. 402. *Protagor.* p. 316 i *Aristoteles.* *Metaph. A.* 3. p. 983, 6, 27 ed. Bekker). Pomimo to wiadomo że i sam Platon nie ustrzegł się wpływu poetycznych poglądów mytologii.

(5) *ιδέα* znaczy: *kształt, postać, obraz, sposób, własność, zdanie*, a potem nabrał ten wyraz znaczenia filozoficznego, *istoty rzeczy, idei*, (prawdziwego bytu u Platona) *λόγος* znaczy: *słowo, myśl, myślenie, mowa, objaśnienie, dowód, sprawozdanie*, a u chrześcijańskich neoplatoników *słowo: Przedwieczny Rozum*. Zastanowienie się nad przejściem od znaczenia pospólitego do filozoficznego, nie jest pozbawioném interesu.

Dorowie, przeciwnie odznaczali się szczególnym popędem do tworzenia ściśle skupionej całości, pojedyncze osobistości niknęły w obec ogólnych praw; indywidualne dążności były poddane ogólnym celom; przedewszystkiēm zwracali oni baczość na moralne i polityczne urządzenia. Dlatego to u Dorów powstała moralno-polityczna liryka, nacechowana także religijnością; i podobnie jak mytologiczne pojęcia stały się podstawą pierwszych filozoficznych teoryj, tak moralne i polityczne przepisy doryckich poetów dały początek etyce i polityce *filozofii praktycznej*, moralnej i społecznej.

Nakoniec plemię *attyckie* łączyło w sobie wszystkie główne cechy obu poprzedzających plemion i dlatego przeznaczono było do odegrania najważniejszej roli w historii. Jak wszystkie główne cechy i żywioły hellenizmu połączyły się w tē m plemieniu i wydały jedną harmonijną całość, tak zgodnie z tē m i wszystkie rodzaje poezyi, połączyli Ateńczycy w jednym najwyższym dramacie, tak i wszystkie gałęzie filozofii ożywił jednym duchem i zlał w jedną harmonijną całość pod pieczęcią swego geniuszu ateńczyk Platon, uczeń Sokratesa.

Okazawszy, iż pierwszym stopniem w rozwoju greckiej filozofii musiała być koniecznie nawpół mytologiczna filozofia przyrody, zobaczymy jaki był chód filozofii od tych pierwszych zawiązków aż do pierwszej metafizycznej teoryi idealizmu szkoły Eleatów.

Pierwsze filozoficzne badania wyszły od jońskich filozofów. Arystoteles nazywa ich badaczami przyrody (*φυσικοί*, *φυσιολόγοι*), badaczami materji (*υλικοί*). Szereg tych badaczy rozpoczyna *Tales* z Miletu (około 650 r. przed Chr.). Niewiele wprawdzie wiemy jak o tym, nawpół nawet bajecznym mędrca, tak i o jego następcach; lecz i to, co nam o nich mówią starożytni, wystarcza dla pochwycenia nici organicznego, nieprzerwanego stopniowania w rozwoju greckiej filozofii. Punktem wyjścia teoryi jońskich filozofów było spostrzeżenie ciągłej zmienności, niepochwyczonego potoku zmian w przyrodzie. Czując potrzebę stałego oparcia dla nauki, już ci najdawniejsi filozofowie, zastanawiając się nad tym potokiem zmian, postawili pytania: cóż jest w przyrodzie stałego, niepodlegającego zmianom? co w nieustannie zmieniających się rzeczach jest wspólnego, nieodmiennego?

Rozwiązanie tego pytania jest głównem zadaniem teorii jońskich filozofów (6).

Tales uważał *wilgoć* jako stałe, niezmiennie i wspólne jądro wszech rzeczy; *Anaksimenes* — *powietrze*. Dla *Talesa* wilgoć, dla *Anaksimenesa* powietrze było osnową, prawdziwą substancją wszech rzeczy; jako coś stałego, określonego. Przenikliwy *Anaksimander* wystąpił ze zwątpieniem o tęg określonosci, jako nie dającęj się usprawiedliwić; owszem upadającęj w obec rozumowania. *Anaksimander* powiada: ponieważ jeden i ten sam żywioł istniejący we wszystkich rzeczach, jako prawdziwa ich osnowa, jako ich niezmiennie jądro, przedstawia się nam w rozmaitych kształtach i z rozmaitemi własnościami, przeto należy przypuścić że ten stały żywioł jest czémś nieskończoném, nieokreśloném, nie mającém żadnych własności (*ἀπερον*). Pojęcie o pierwiastkowej materii, o pierwiastkowym jądrze wszech rzeczy, przechodzi tym sposobem, choć jeszcze nie jasno w pojęcie o *pierwiastkowej sile* (7). Prawie równocześnie gdy *Pythagoras* wznosił się wyżej nad poszukiwania zmysłowego jądra wszech rzeczy, uważając *liczby* za istotę wszystkiego i zatrzymywał się na tym nierozwiniętym, że tak powiemy pół idealizmie, gdyż *liczby* według *Platona*, trzymają środek pomiędzy zmysłowém zjawiskiem i istotą rzeczy, równocześnie *Herakleitos* z *Efezu* rozwinął dalej rzucone przez *Anaksimandra* pojęcie o pierwiastkowej sile, o niezmiennęj potędze, stanowiącęj istotę wszech rzeczy. Za taką potęgę uznał *Herakleitos* sam *proces zmian* i tym sposobem, jako stały żywioł, jako jądro wszech rzeczy, przyjął to właśnie, czego spostrzeżenie zmusiło pierwszych jońskich filozofów do poszukiwania stałego pierwiastku rzeczy. Sam ten proces zmian, potok zmienności w naturze, stanowi według *Herakleita*, podstawę wszech rzeczy; jest to wiecznie wybuchający i wiecznie gasnący ogień, w którym łączą się stałe istnienie z ruchem przemian *był z niebytem*. Taką jest w krótkich słowach treść teorii tego najgenialniejszego może z greckich filozofów przed *Sokratesem*;

(6) Aristotel. *Metaph. A.* 3. p. 983. 6. 17: *δεῖ γάρ εἶναι τινα φύσιν μίαν ἢ πλείους μιᾶς ἔξ ἴον γίνεσθαι τὰλλα σῶζουμένης ἐκείνης.*

(7) Brandis. *Geschi. der Gric. R. philos.* I, 345.

tęj treści możemy dobić się tylko z głębokiej krytyki jego ciemnego systemu przez Platona i Arystotelesa.

Według tego teorya Herakleita stanowi epokę w historii starożytnej filozofii Greków i jest to system krytyczny, który wskazał wewnętrzną sprzeczność teorii jońskich badaczy i zmusił filozofią do obrania innego kierunku. Materializm i idealizm po raz pierwszy wyróżniają się dobitnie u filozofów następców Herakleita; filozof ten stoi na granicy jednego i drugiego; oba te kierunki powstały z dalszego rozwoju jego teoryi, jak w nowszych czasach powstały dwa też same sprzeczne między sobą kierunki między stronnikami angielskiego filozofa Lokka. I w samej rzeczy, potrzeba określenia czegoś stałego wśród potoku zmiennej przyrody, dała się czuć teraz dotkliwiej. Filozofowie jońskiej szkoły, widząc teraz sprzeczność wewnętrzną w swych poprzednich teoryach, zaczęli przeczyć możliwości zmian w naturze rzeczy (8) i *Demokryt* oparł swą filozofią przyrody na teoryi *atomów* niezmiennych, nie mających żadnych własności jednostek, stanowiących istotę rzeczy.

Filozofia, szukająca zmysłowego pierwiastku, stanowiącego istotę rzeczy, zatrzymała się na tym stopniu i nie poszła już dalej: do dziś dnia materializm trzyma się teoryi atomizmu, jako jedyniej możliwej dla siebie podstawy. Teorya Demokryta była ostatecznym wypadkiem badań greckich filozofów przyrody. Lecz z drugiej strony, filozofia nie poprzestała na takim wypadku. Herakleitos wyciągnął dwa wnioski, które stały się podstawą późniejszego idealizmu, a mianowicie: 1) że zmysłowe zjawiska wcale nie zasługują na bezwzględną wiarę; to jest ogień gasnący, według Herakleita. 2) Herakleitos, choć jeszcze nie zbyt jasno, odróżnił dwa rodzaje poznania: poznanie zmysłowe, niedokładne i poznanie powszechne, prawdziwe, które on nazywa bezpośrednim wpływem potęgi poznania wszechświata. Jednym słowem, Herakleitos, pomimo pozornego poplątania sprze-

(8) Aristot. Met. A. 3: οὐτε γίνεσθαι οὐδὲν οἴονται οὐδὲ ἀπόλλυσθαι ὡς τῆς τοιαύτης φύσεως αἰεὶ οἰοῦμενης, Arystoteles przypisuje tę zasadę i najstarożytniejszym jońskim filozofom, lecz słusznie robią uwagę nowsi badacze, że mogła ona powstać tylko pod wpływem doktryn Herakleita i Eleatów (Brandia. G. d. R. ph. I. 352).

ności w swęj teoryi, wyróżnia dobitnie doświadczenia zmysłowe, zewnętrzne od doświadczenia wewnętrznego, świat widomy od świata myśli i daje piewszeństwo ostatniemu, przyznając mu więcęj wiarogodności, więcęsze zbliżenie do istoty rzeczy. Dalszy rozwój tego kierunku filozofii, oparte-go na rozróżnieniu zmysłowych danych od istoty rzeczy, widomego bytu od prawdziwego, widzimy w szkole *Eleatów*, w której powstał najdawniejszy idealizm, zrodził *dyalektykę* i *metafizykę* i stał się jedynym naukowym kierunkiem wszystkich systemów filozofii aż do naszych czasów, gdyż materializm oparłszy się na teoryi atomów Demokryta, utracił wkrótce prawo do nazwy filozofii, skoro ta podniosła się na skrzydłach niezależnej myśli do najwyższych zagadnień ducha.

Założycielem *szkoły Eleatów* był *Ksenofanes* z Kolofonu, który przesiedlił się (około 490 r. przed Chr.), do miasta Elei (Velia w Lukary: osada Foccejczyków) i założył tam wkrótce znakomitą swą szkołę. Naukę swoją Ksenofanes zawarł w poemacie (9), którego ułamki zachowały się do naszych czasów; zresztą Arystoteles służy nam za najlepszego przewodnika dla zrozumienia głównych zasad tego filozofa. „Wszystko jest jedno i to jedno jest Bóg”—w tém zdaniu, według świadectwa Platona i Arystotelesa (10), zawiera się istotna treść nauki Ksenofanesa. Drugie godne uwagi zdanie Ksenofanesa brzmi: „(Bóg) wszystek widzi, wszystek słyszy, wszystek myśli” (11). Z tych i innych miejsc widzimy, że Ksenofanes doszedł już do pewnego rozwoju systemu absolutnego bytu drogą rozumowań i dowodzeń (tu już zaród *dyalektyki*) dowiódłszy niemożliwości zmian w prawdziwym bycie; Ksenofanes doszedł następnie do uznania jedynęj istoty, która sama tylko istnieje, w której wszystko się łączy w jedno, w której znika różnica przymiotów i własności.

(9) Proza w owych czasach jeszcze nie istniała; z wyjątkiem jedynie Herakleita, wszyscy prawie filozofowie do czasów Platona zamykali swe doktryny w poematach pisanych jońskiem narzeczem, wierszem heksametrycznym. Wszystkie prawie te poemata noszą zwykle tytuł: *O naturze* (*περι φύσεως*). Ułamki z poematu Xenofanesa zachowali Arystoteles i znakomity sceptyk Sextus Empiricus.

(10) Plat. Sophist. p. 242 Aristot. Metaph. A. 5. 986. 6. 21.

(11) Xenophanes apud Sext. Empir. advers. Mathem. IX, 144: οὐλος ὅρα οὐλος δὲ νοεῖ νυλος δὲ τὰ χροῦει.

Chociaż nie możemy dokładnie ocenić teorii Ksenofanesa, z powodu braku danych, zdaje się jednak że zarzut, uczyniony mu przez niektórych nowszych historyków filozofii (12) jakoby trzymał się on tylko pola religijnego i obwinienie o panteizm nie zdają się być słusznemi. Był to raczej, że tak powiemy, panteizm metafizyczny, skupiający wszystko w jedno, lecz wcale nie zmysłowe przedmioty, tylko *wszystko* zaprawdę istniejące i tę jedyną istotność, która i jest wszystkiem istniejącem, uznający za bóstwo. Mamy niezbite dowody że Ksenofanes gwałtownie powstawał przeciwko narodowej greckiej religii i z pogardą odzywał się o mitologii Homera i Hezyoda (13). Jednakże i sam Ksenofanes nie mógł jeszcze zupełnie otrząsnąć się z poglądów napwół mitologicznych, przekazanych przez jońską szkołę. Mówił on jeszcze o wodzie i o ziemi jako o dwóch pierwiastkowych żywiołach (14); utrzymywał że pierwiastek zmysłowy jako wielość, powinien być poddany bezwzględnej jedności (15); jednem słowem nie był jeszcze w stanie poddać pod ścisłą krytykę świat zmysłowy. Arystoteles zarzuca Ksenofanesowi że nie objaśnił on wcale, jaką to jedność on przyjmuje: jest-li to jedność w myśli, czy téż jasność materialna; „tylko patrząc na świat cały, Ksenofanes nazwał wszystko Bogiem” (słowa Arystotelesa) (16).

Znanym był w starożytności sceptycyzm Ksenofanesa: mówił on że nikt z ludzi nie jest w stanie wiedzieć prawdy (17). Dowodzi to pewnego wahania się z jego strony

(12) Schwegler Geschi. der Philoso. V. 8.

(13) Karsten. Relig. Phil. Xenoph. fra. V i VI. Xenofanes zawzięcie powstaje przeciwko antropomorfizmowi, ludzkim wadom i namiętnościom przypisywanym przez Homera, Hezyoda i innych poetów, bóstwom greckiego Olympu.

(14) Xenophan. apud Sext. Empir. adv. Math. X, 313 sq.

(15) Diogenes Laert. IX, 19.

(16) Aristotel. Met.: οὐδὲν διασαφήνισεν, οὐδὲ τῆς φύσεως τούτων (τοῦ κατὰ τὸν λόγον ἑνὸς καὶ τοῦ κατὰ τὴν οὐσίαν) οὐδετέρας εἶκοι διαγείν, ἀλλ' εἰς τὸν ὅλον οὐρανὸν ἀποβλέψας τὸ ἐν εἶναι φησὶ τὸν θεόν.

(17) Xenophan. apud Sext. Empir. adv. Math. VII—VIII.

καὶ τὸ μὲν οὖν σαφές οὐτις ἀνὴρ γένηται οὐδὲ τις ἔσται ἐνδοξὸς ἀμφὶ δεῖον τε καὶ ἄσσο λέγω περὶ πάντων.

choć mamy wiadomości że ten sceptycyzm stosował Ksenofanes tylko do zjawisk zewnętrznego świata, a nie do głównych podstaw swęj teoryi (18).

Z tych wszystkich urywkowych wiadomości o Ksenofanesie widzimy że nie miał on jeszcze ściśle na niewzruszonych podstawach zbudowanęj teoryi i chociaż tu i owdzie widać zasadnicze myśli idealizmu, lecz nie ma dokładnego systemu. Uczeń Ksenofanesa *Parmenides* zestawil główne zasady swęgo mistrza i swęj szkoły w ściłym logicznym związku: u niego więc będziemy szukali podstaw greckiego idealizmu, którego głównęm zadaniem pozostały zawsze pytania: Co jest prawdziwym bytem? Jaką drogą mamy go szukać?

II.

BIOGRAFIA PARMENIDESA.

Źródła do poznania jego nauki. Poemat Parmenidesa i źródła pomocnicze.

Skąpe posiadamy wiadomości o życiu Parmenidesa: ograniczają się one do niewielu szczegółów, podanych przez Dyogenesa z Laerty i kilku innych starożytnych pisarzy. Opierając się na jednęm miejscu z dialogu Platona „Parmenides” o którym wkrótce powiemy szczegółowiej, należy wnosić że ten filozof urodził się około 520 r. przed Chr. Ojczyznę jego było miasto Elea, siedziba Ksenofanesa. Dyogenes nazywa ojca Parmenidesa Pyretem i powiada że pochodził on ze znakomitej i bogatej rodziny (19). Wiadomość, którą podaje Dyogenes, jakoby Parmenides był uczniem Anaksymandra, nie może być przyjętą, jako przeciwna chronologii, gdyż Anaksymander, według tego co o nim zkądinąd wiemy, zapewne już nie żył gdy Parmenides się urodził. Większa część starożytnych pisarzy nazywa Par-

Porówn. Xenoph. fragm. u Plutarcha Sympos. IX, 746.

Aristotel. Metaph. T. 5. 1010. b. Poet. 25, 1461. 1.

(18) Galenus Hist. 3: *Ξενοφάνην μὲν περὶ πάντων ὑπορηχότα δογματίζοντα δέμονον τὸ εἶναι πάντα ἐν.*

(19) Diorg. Laert. Vitae philosophor. IX, 21.

menidesa uczniem Ksenofanesa, co ze względu na siedzibę obu i na podobieństwo ich nauki, nie może ulegać żadnej wątpliwości. Przeciwnie to co mówi Dyogenes, jakoby Parmenides nie był stronnikiem nauki Ksenofanesa, lecz Pytagoryjczyka Aminiasa, obok którego wymienia też Dyocheta, jako ludzi z którymi Parmenides żył w ścisłych związkach (20), jako zbyt rażące, musi być odrzuconém. Strabon nazywa Parmenidesa i Zenona (jego ucznia) podobnie pytagorejczykami (21), co zresztą można wytłumaczyć tém, że powszechne zdanie przypisywało tym dwóm filozofom prawodawstwo miasta Elei (22), a wiadomo że w południowej Italii jeszcze naówczas członkowie związku pytagorejskiego rządzili w wielu miastach, co mogło dać łatwo powód do uważania za takichże i filozofów elejskich. O prawach ułożonych dla m. Elei przez Parmenidesa, wspomina i Plutarch, dodając że najwyżsi urzędnicy miasta obowiązywali corocznie przysięgą wszystkich obywateli do przestrzegania tych praw (23). Zresztą Parmenides mógł mieć łatwo stosunki z Pytagorejczykami; przy rozbiorze jego nauki dostrzeżemy nawet, chociaż w podrzędnych punktach, pewien wpływ teorii pytagorejskiej.

Szczególniej godna uwagi i już w starożytności wątpliwa okoliczność z życia Parmenidesa, jest to jego spotkanie się w Atenach z Sokratesem, o którym mówi Platon (24). Już starożytni pisarze jak Ateneusz, wątpili o prawdopodobieństwie tego spotkania, wystawiając głównie młodość Sokratesa (urod. 469 przed Chr.) w czasie bytności Parmenidesa z uczniem swym Zenonem w Atenach (według Platona w 80 olimpiadzie, to jest między 460 i 457 r.) (25). Wątpliwość tę podzielają i niektórzy nowsi pisarze (26). Lecz przypuściwszy że w oznaczeniu czasu u Platona zaszła mała pomyłka, (co wcale jest rzeczą zwykłą u starożytnych, którzy liczby oznaczali głoskami, także z winy przepisywaczy,

(20) Id. *ibid.*

(21) Strabo VI, 1: *Παρμενίδης τε καὶ Ζήνων ἐγένοντο ἀνδρες Πυθαγορείοι.*

(22) Diog. Laert. V. pb. IX, 23.

(23) Plutarch *adv. Col.* p. 32.

(24) Plat. *Parmenid.* p. 127. *Theact.* 183. *Sophist.* 217.

(25) Athenaeus *Deipnosoph.* XI, 15, § 505.

(26) Hegel *Vorlesungen über Geschichte der Philos.* I, 252.

nieraz powstaje istotny zamęt), np. że spotkanie to miało miejsce w 82 olimp. (452 -- 449 przed Chr.) nie mamy ważnych powodów podawania w wątpliwość świadectwa Platona (27). Mędrzec elejski mógł zatem w sędziwych latach widzieć młodzieńca Sokratesa i jak opowiada uczeń ku uczczeniu mistrza, przewidzieć jego przyszłą wielkość.

Starożytni mieli wysokie wyobrażenie o mądrości i cnotach Parmenidesa. „Parmenidesowy tryb życia” wystawia się jako wzór, obok „życia pytagorejskiego” w pisemku *Πινάξ*, którego domniemanym autorem miał być Cebes uczeń Sokratesa (28). Dyogenes z Laerty przytacza epigramat pewnego Timona, na cześć Parmenidesa uwielbiającego jego mądrość (29). Platon zawsze z szacunkiem mówi o Parmenidesie: nazywa jego rozmowy „pięknymi (30),” a jego samego „wielkim (31);” w innem znowu miejscu nazywa Parmenidesa słowami Homera: „wzbudzającym ku sobie szacunek ze strachem (32).” Ostatnie to wyrażenie stosuje się bez wątpienia do potęgi nauki Parmenidesa, którego głębokość uznaje sam Platon (33). Arystoteles z lekceważeniem odzywa się o filozofach szkoły elejskiej Ksenofanesie i Melissie, przypisując im „wieśniaczą nieokrzesaność,” Parmenidesa zaś pogląd nazywa jaśniejszym (34).

(27) Parmenides miał w czasie tego spotkania, jak mówi Platon, więcej niż 60 lat, a więc, jeżeli przypuścić że spotkanie to miało miejsce np. około 450 roku, gdy Sokrates miał lat 19, to Parmenides musiał urodzić się między 520 i 510 rokiem przed Chr. i w ten sposób usuwa się sprzeczność w chronologii.

(28) Cebes Tab. c. 2: ...*Πινδαγορειον τινα και Παρμενιδειον εξηλωκως βιον.*

(29) Diog. Laert. IX, 23:

Παρμενιδου τε-βην μεγαλοφρονα την πολυδοξον, ος ο επιφανταστας απαιτης ανεπεικατο ωβεις.

(30) Plat. Sophist. 2. 7: *διεξιοιτι λογους παγκαλους.*

(31) Plat. ibid. 237: *Παρμενιδης ο μεγας.*

(32) Plat. Theaet. 183: *Παρμενιδης δε μοι φαίνεται το του Ομηρου αιδοιος αμα δεινος τε.*

(33) Id. ibid.: *και μου εφανη (powiada Sokrates o Parmenidesie) βυδος τι εχειν Πανταλασι γενναιον.*

(34) Aristotel. Metaph. A. 5. 986: *οι μεν δυο παμπανως οντες μικρον αγροικότεροι Ξενοφανης και Μελισσος, Παρμενιδης δε μαλλον βλεπων εοικε που λεγειν i t. d.*

Parmenides żył w takich jeszcze czasach, gdy jednym organem wyrażenia myśli była forma wiązana, wierszowana (35) i dla tego naukę swą, na wzór swego mistrza Ksenofanesa, wyłożył w poemacie napisanym wierszem bohaterским, heksametrem. Niektórzy opierając się na jednym ustępie z Platona (w którym po należytem zrozumieniu, jest mowa tylko o ustnych rozmowach z uczniami i wykładach Parmenidesa) (36) przypuszczali że Parmenides pisał także dzieła prozą, lecz przeciwko temu mówią także jednozgodne świadectwa starożytnych pisarzy, zapewniających że Parmenides pozostawił tylko jeden utwór, wspomniany poemat (37). Poemat ten nosi tytuł zwykłych filozoficznych poematów „O naturze” (*Περὶ φύσεως*); być może że tytuł ten jest późniejszego pochodzenia: może uczeni aleksandryjscy, zajmujący się uporządkowaniem dzieł starożytnej literatury, nazwali tak utwór Parmenidesa. Według innych, poemat ten nosił tytuł „O jednej istności” (*Περὶ τοῦ ἑνὸς οὐτός*) (38). Dwaj późniejsi uczeni Symplicyusz i znakomity Sextus Empiricus zachowali nam znaczne ustępy z poematu Parmenidesa: pierwszy w swych komentarzach do fizyki Arystotelesa, drugi w dziele: „Przeciwko matematykom.” Dyogenes powiada że Kallimach, znakomity uczone aleksandryjski, pozwalał sobie wątpić o autentyczności tego utworu (39); lecz cytacye Platona i Arystotelesa i świade-

(35) Niepewne podania mówią że prozy użył pierwszy Ferekydes, nauczyciel Pytagoresa. Herakleitos pisał prozą, wprawdzie zawiłą i niezrozumiałą; posiadamy kilka jego ułamków, które są najdawniejszemi próbnami prozy, którą wkrótce uprawiać zaczęli logografowie (pierwsi historycy) jónsoy.

(36) Plat. Sophist. 237: *Παρμενίδης περὶ τῆς ὁδοῦ ἐκαστοτῆ λέγων καὶ μετὰ μέτρων*. Wyraz *περὶ* można rozumieć nie tylko w znaczeniu mowy niewiązanej pismiennej, to jest prozy (*oratio pedestris* u Horacyusza); lecz, co naturalniej, początkowo wyraz *ten* musiał oznaczać ustny wykład i tak go użył Platon, jak przenikliwi uczeni dowiedli. (Ritter Geschichte der Ph. I, 464. Brandis I, 377).

(37) Diog. Laert. I. 16: *οἱ δὲ ἀνὰ ἐν συγγραμμάτωντες: Μελισσοῦς, Παρμενίδης, Αναξαγόρας*. Simplic. in Phys. Aristot. 31. wspomina tylko o jednem *Παρμενίδειον σύγγραμμα*.

(38) Sext. Empir. adv. Mathem. VII m. Simplic I. 1.

(39) Diog. Laert. IX, 21: *Καλλιμάχος δὲ φησὶ μὴ εἶναι αὐτοῦ τὸ ποιήμα*. Porówn. Brandis Gesch. d. G. R. Philos. I, 377.

ctwa tych filozofów, równie jak wielu innych starożytnych pisarzy, a także styl i koloryt utworu nie pozwalają nam podzielać téj wątpliwości.

W ułamkach które do nas doszły, nie widać wcale poetycznego natchnienia; chyba tylko allegoryczny wstęp może mieć nieco poetycznej wartości. Język jest dość ciężki; przeważa dyalekt joński epieczny, lecz niezwykle zwroty i rzadkie, prawie niezrozumiałe wyrazy czynią ten utwór dość ciemnym. Heksametry Parmenidesa wcale nie odznaczają się potocznością i gładkością: Cycero wyraźnie gani ich ustrój, równie jak i heksametry Ksenofanesa, przeciwstawiając im piękne i ożywione wiersze późniejszego filozofa Empedoklesa (40). Ułamki, które do naszych czasów przetrwały, składają się razem z 146 wierszy, z których 1—113 zawierają naukę o *czystym byciu*, podpadającym tylko pod myślenie, a pozostałe mówią o zjawiskach zmysłowych. Na szczęście pierwsza ta część, najważniejsza dla nauki, zachowała się prawie cała, drugą zaś znamy w bardziej jeszcze zepsutym i pokaleczonym stanie, niż pierwsza.

Sympliyusz i *Seatus Empiryk*, którzy zachowali nam poemat Parmenidesa, dają także wiele ważnych objaśnień; szczególniej objaśnienia Empiryka, jako przenikliwego znawcy i krytyka, mają dla nas wielką cenę. *Platon* (w dyalogach *Parmenides* i *Vheactetos*) i *Arystoteles* w *metafizyce* a także w dziele o filozofach elejskich: *De Xenofane etc.* jemu przypisywaném) dają także wiele drogocennych wskazówek i objaśnień. Ci czterej pisarze są główną pomocą w zrozumieniu nauki Parmenidesa. Niektórzy inni pisarze wspominają tu i owdzie o Parmenidesie i podają niektóre wskazówki i objaśnienia; między temi pierwsze miejsce zajmuje *Teofrast* (szczególniej jego dzieła *De sensibus*); dalej należą tu także *Plutarch* (w pomniejszych pismach) *Stobeusz* (*Eklogi*) *Galenus* *Dyogenes* z *Laerty* (*Zywioły filozofów*). Ten ostatni podaje wiadomości o życiu Parmenidesa i jest jedyném źródłem pod tym względem, lecz wiarogodność jego jest bardzo wątpliwą; był to prosty zbieracz, pozbawiony wszelkiego krytycznego poglądu, podający często rażące sprzeczności, tak że co do saméj nauki Parmenidesa nie znajdu-

(40) Cicero Acad. IV, 3 a także Plutarch de recta rat. aud. 45.

jemu u niego prawie nic wiarogodnego. Z łacińskich pisarzy *Cycero* (*De natura deorum, Disputationes Tusculanae*), i *Cenzoryn* (*De Die natali*) tu i owdzie wspominają o Parmenidesie i jego nauce.

Z kościelnych pisarzy *Klemens aleksandryjski* (*Stromata*) zajmuje wcale nie podrzędne miejsce w liczbie pomocniczych źródeł do poznania nauki naszego filozofa.

Z nowszych dzieł na szczególną uwagę zasługują: monografia uczonego *Brandis'a* (*Commentationes Eliaticae*), następnie tegoż *Geschichte der alten philosophie* (dzieło szacowne, obfite w trafne poglądy), następnie *Historja filozofii Tennemannna, Zellera, Rittera, Schweglera, Fuelleborna* (*Beiträge etc.*) i inne. W odczytach *Hegla Vorlesungen ueber Gesch. der philos. 3 Bände*) znajdujemy wiele trafnych, lecz wiele i błędnych poglądów.

Ułamki poematu Parmenidesa posiadamy w wydaniu *Karsten'a* (*Reliquiae veterum gr. philosophorum*) a także (lubo nie całkowite) w szacowném dziele *Rittera, i Prellera: philosophia Graeco Romana e fontibus locis contacta*. Text Parmenidesa razem z tekstem *Empedoklesa* i komentarzami *Symplicyusza* wydał téż *Peyron* w Lipsku 1810 r.

Zwracamy się teraz ku szczegółowemu rozbirowi nauki Parmenidesa, opierając się głównie na jego własnym poemacie.

III.

TEORYA PARMENIDESA.

A. Nauka o czystym bycie. (Rozbiór I części poematu Parmenidesa).

Poemat Parmenidesa rozpoczyna następujący allegoryczny wstęp:

„Konie, niosące mię ile im się podoba, przyniosły mię na pełną sławy drogę bogini, która wszystko czyni jasnym dla wiedzącego człowieka.... Dziewice wskazywały mi drogi, dziewice Heliady (córci słońca) które pośpieszyły ku mnie, opuściwszy siedlisko Nocy. Dążąc do światła, podniosły one rękami zastonę w tém miejscu, gdzie jest brama na roz-

drożu, Dnia i Nocy. Niebiańskie dziewice zbliżyły się do bramy, od której podwójnych kluczków strzeże groźna karami bogini sprawiedliwości. Pieszczotliwemi słowy przemówiły one do bogini i skłoniły ją do odjęcia dębowych ryglów. Wtedy szeroko otwarła się brama i dziewice przemknęły przez nią z końmi i wozem (41).

Już starożytni pisarze usiłowali wytłumaczyć znaczenie téj allegoryi: według nich, szybkie konie oznaczają zmysłowe doświadczenia, a dziewice Heliady oczy (42). „Brama na rozdrożu Dnia i Nocy“ oznacza bez wątplenia ostateczną granicę zmysłowego poznania. Nie łatwo zapewne zrozumieć, jakim sposobem oczy mogą przywieść do granic zmysłowości i jeżeli tłumaczenie starożytnych jest błędne, to trzeba wyznać, nie podobna wiedzieć co Parmenides mógł rozumieć pod Heliadami. Lecz z drugiejj strony, należy zrozumieć że wstęp ten odznacza się mytologiczną barwą, a nie wszystko w mytologii da się wytłumaczyć racjonalnie, nie każda mytologiczna allegorya ma dokładne filozoficzne znaczenie; jest tam tylko pewna myśl, stanowiąca jądro allegoryi lub mytu, a szczegóły i dodatki, utwory fantazyi, nie poddają się tak łatwo rozumowanemu tłumaczeniu, jak mamy tego dowód w bezowocnych po większéej części aż dotąd racjonalnych objaśnieniach mytologii.

Poprzestańmy więc na następującém streszczeniu wstępu poematu Parmenidesa: filozof-poeta wychodzi za granice

(41) Przytaczacé będziemy, dla krótkości, tylko te miejsca oryginału które są szczególniej ważne co do treści i które przedstawiają trudności w objaśnieniu.

Oto początek poematu Parmenidesa (v. l. sq.):

Ἴπποι γαί με φέρουσι ὅσον τέπι θυμός ἰκάνου,
Πέμπον ἐπεί μ' εἰς ὁδόν βῆσαν παλυρήμιον ἀγοῦσαι
Δαίμονος ἥ κατά πάντα σαφῆ φέρει εἶδοτα φῦτα.

.....

..... κούραι δ' ὁδόν ἠγεμῶνευον

Ἠλιάδες κούραι προλιπούσαι δίονατα Νυκτός i t. d.

Zamiast *σαφῆ φέρει* (co jest już nowszą poprawką) sam tekst u Sexta Empir (Adv. Mathem. 111) ma *ἀτηγφῆρει* słowo niezrozumiałe.

(42) Sext. Empir. Adv. Math. § 111—113. porówn. Hegel: Vorlesungen I, 293.

zmysłowego poznania (wznosi się nad zmysłowe wrażenie); zmysłowe przewodniki opuszczają go i staje on na rozdrożu, na tym punkcie, gdzie rozchodzą się w przeciwne strony: droga nadzmysłowego, prawdziwego poznania i droga zmysłowych doświadczeń. Dalej opowiada filozof-poeta:

„Łaskawie przyjęła mię bogini i ujawszy mię za prawą rękę zwróciła ku mnie swe słowa. . O ty, (mówiła ona), którego nieśmiertelne przewodniki i konie doprowadziły tu do mego siedliska, bądź miłym dla mnie gościem. Nie jaki tam zły los zaprowadził cię na tę drogę — bezwątpienia bardzo ona daleka od mieszkań śmiertelników, lecz przywiodły cię prawda (Θεμς) i sprawiedliwość (Δίκη). Trzeba żebyś poznał wszystko: i niezłomny duch przekonywającej prawdy i zdania śmiertelników, w których nie ma prawdziwej pewności. Na tej drodze wstrzymaj się od wszelkiej wątpliwości i wahania się; niech na tej drodze nie opanowuje cię często doświadczony nałóg dowierzania krótko widzącemu oku, szumnemu uchu i językowi; myśleniem tylko masz rozebrać dowody prawdy, które ci odkryje i które będą przedmiotem wielu sporów (43).“

W tych wyrazach Parmenides ze szczególną jasnością i stanowczo wypowiada swe przekonanie o braku wiarogodnej prawdy w zwykłych poglądach ludzi (δόξαν βροτων) opartych na zmysłowych doświadczeniach i wymaga, ażeby w dochodzeniu prawdy nie dowierzać zmysłom, lecz opierać się jedynie na myśleniu (λόγος). Takie stanowcze rozróżnienie dwóch źródeł poznania jest wielkiej wagi w historii filozofii: widzieliśmy że instynktowne przecucie tej różnicy mieli już najdawniejsi filozofowie; następnie pierwszy jaśniej wyraził tę myśl Herakleitos, potem Ksenofanes. Parmenides stawia ją teraz jako podstawę swęj nauki i w dalszym ciągu poematu popiera to założenie dyalektycznymi dowodami, jak wkrótce obaczymy.

(43) Vers. 22, sq. O potrzebie niedowierzania zmysłom i oddawania pierwszeństwa myśli, tak powiada bogini:

(v. 34) „μηδὲ σέθεν πολυπειρον οδόν κατὰ τήνδε βίασσω
νωμῶν ασκοπον ὄμμα καὶ ἠχίησσαν ακουήν
καὶ γλωσσαν κρῖναι δὲ λόγῳ πολυθηρῖν ἐλεγχον
εἰς ἐμεθεν οἰθόντα etc.

Za przytoczonym wyżej wstępem teraz dopiero rozpoczyna się właściwie nauka o czystym bycie, którą Parmenides kładzie w usta bogini.

„Teraz (powiada bogini) zwróć uwagę na to co ci powiem, a dowiesz się która z dwóch możliwych dróg jest drogą wiedzy. Jest tylko byt, a niebyt być nie może—jest to jedna droga (poznania) prawdziwa droga przekonania. Druga droga zależy na tém aby utrzymywać, że byt nie jest, a niebyt być musi; o tej drodze powiem ci że jest ona zupełnie pozbawiona wszelkiej mocy przekonania, gdyż niepodobieństwem jest ani poznać ani wypowiedzieć tego, co nie jest (44).”

W tych wierszach Parmenides zaczyna rozwijać swą teorię czystego bytu i kładzie podstawy swęj metafizyki, wypowiada główne jej założenia, które w dalszym ciągu rozwija i popiera i które zarazem są bronią przeciwko wiedzy opartej na zmysłowych doświadczeniach. „Byt jest, a niebyt nie jest, jest to prosta logiczna podstawa metafizyki; drugą część tej zasady, że niebyt nie istnieje, pewnik wypływający dla nas logicznie z pierwszej, czysto logicznej zasady, Parmenides opiera jeszcze na tém że *nic* czyli niebyt nie daje się ani poznać, ani wypowiedzieć. Rzeczywiście gdy myślimy lub mówimy o niebycie, już myślimy o *czemś*, a więc przez to samo przyjmujemy to jako coś, jako byt. Mówiąc inaczej, myśleć możemy tylko o bycie, a niebyt nie daje się myśleć, a więc jest niemożliwy. Widzimy ztąd że Parmenides wpadł na zasadę rozwiniętą przez nowszych idealistów: co nie daje się myśleć, jest niemożliwem. Nowsi filozofowie, rozwijając tę zasadę, doszli do uznania tożsamości myślenia i bytu. Parmenides nie dochodzi jeszcze do tych krańcowych wniosków, lecz dąży tylko do tego, ażeby ustalić swą główną metafizyczną zasadę: „istnieje

(44) V. 39 sq. O dwóch drogach wiedzy mówi bogini:

(v. 41—42) *η μὲν ὁπῶς ἐστὶ τε καὶ ὡς οὐκ ἐστὶ μὴ εἶναι, πειθοῦς ἐστὶ κέλευδος, ἀληθείη γὰρ ὀπιθεῖ.*

(v. 43—46) *η ὠδὲς οὐκ ἐστὶν τε καὶ ὡς χροεὸν ἐστὶ μὴ εἶναι τὴν δὲ τοι φράσω παναπεῖθεα εἶμην ἀταρπον οὔτε γὰρ ἀνγροίης τὸ γέμῃ εὐν οὔ γὰρ ἀναστῖον, οὔτε φράσαις.*

tylko byt" ażeby pokazać że można myśleć i mówić tylko o bycie, o istnieniu, że przedmiotem filozofii może być tylko to co daje się bez wewnętrznej sprzeczności myśleć jako byt. Tak w następujących wierszach znajdujemy (45): „potrzeba mówić i myśleć że byt jest, gdyż byt jest, a niebytu nie ma.” Na nieszczęście, to miejsce jest, jak się zdaje, silnie uszkodzonem i znaczenie jego wątpliwe. Przytoczone tłumaczenie dokonane jest według poprawki jednego z nowszych uczonych. Według samego tekstu i drugiej poprawki znaczenie nieco odmienne, a mianowicie: „potrzeba aby mówić i myśleć było toż samo co być” co możnaby rozumieć w taki sposób, że w mowie i myśli powinien objawiać się prawdziwy byt (46). Hegel, rozbierając ten ustęp, przypisuje Parmenidesowi różne poglądy: jedno zgadzające się raczej z duchem filozofii samego Hegla, drugie wyprowadzone dopiero przez późniejszych idealistów (47).

W następnych wierszach filozof-poeta mówi o sprzeczności idei niebytu z pojęciem bytu i o błędnem zapatrywaniu się tych, którzy przypuszczają oboje obok siebie, lub uważają niebyt za jedno z bytem.

(45) V. 47. $\chi\omicron\iota\ \sigma\epsilon\ \lambda\acute{\epsilon}\gamma\epsilon\iota\nu\ \tau\epsilon\ \nu\omicron\epsilon\iota\nu\ \tau\ \epsilon\omicron\nu\ \xi\mu\mu\epsilon\nu\alpha\iota,\ \epsilon\sigma\iota\nu\ \gamma\alpha\varsigma\ \mu\eta\delta\epsilon\nu\text{-}\delta\omicron\upsilon\kappa\ \epsilon\iota\nu\alpha\iota.$ (εἶναι,

(46) Przytoczony wiersz 47 jest poprawiony przez Brandisa (Gesch. d. G. R. Ph. I. 379), sam zaś tekst brzmi:

$\chi\omicron\iota\ \tau\omicron\ \lambda\acute{\epsilon}\gamma\epsilon\iota\varsigma\ \tau\omicron\ \nu\omicron\epsilon\iota\nu\ \tau\ \epsilon\omicron\nu\ \xi\mu\mu\epsilon\nu\alpha\iota$ i t. d.

^a z poprawką Heindorfa (ad Plat. Soph. 239):

$\chi\omicron\iota\ \tau\omicron\ \lambda\acute{\epsilon}\gamma\epsilon\iota\varsigma\ \tau\omicron\ \nu\omicron\epsilon\iota\varsigma\ \tau\ \epsilon\omicron\nu\ \xi\mu\mu\epsilon\nu\alpha\iota$ i t. d.

Możnaby bez wielkich trudności objaśnić zadawalniająco każdy z tych wariantów. W dalszym ciągu niniejszej rozprawki, wrócimy jeszcze do kwestyi o tożsamości myślenia i bytu.

(47) Tak np. Hegel (Vortes. I, 294) powiada że z tego miejsca wypływa wniosek, że wszelkie określenie jest przeczeniem, (znakomite, „*omnis determinatio est negatio*” Spinozy), czego doprawdy dopatrzeć niepodobna, trzymając się choćby któregoś z wariantów. Następnie powiada Hegel że według Parmenidesa „niebyt, jakoby formę nie przyjął na siebie, jest zawsze niebytem.” Kto nie widzi rażącej sprzeczności logicznej w wyrażeniu: „forma niebytu?” Czy to, co nie jest, może przyjmować jakiebądź formy? Z pewnością Parmenides nie mógł mieć na myśli takich niedorzeczności.

„Wstrzymaj się od drogi, po której błądzą, o niczém nie wiedząc, dwugłowi śmiertelnicy. Ich błądzący rozum zostaje w położeniu bez ratunku; bezładnymi tłumami pędzą jak głusi i przeleknieni ślepi ci, dla których byt i niebyt są raz jedno, drugi raz nie jedno. Droga ta prowadzi ich wstecz (48).”

W tych słowach Parmenides pokazuje konieczność odróżnienia bytu od niebytu i powstaje, jak sądzą, przeciwko Herakleitowi i jego uczniom, którzy uznawali *niebyt* na równi z *bytem* a nawet łączyli oboje razem, uznając za jedno *byt* i *niebyt* (49). Parmenides nazywa takich ludzi *dwugłowymi*, gdyż łączą oni dwie sprzeczności, które w jedném myśleniu pogodzić się nie mogą, a więc chyba mają oni jakieś potworne urządzenie głowy (50). Dotąd Parmenides okazał tylko konieczność istnienia czegoś mającego stały byt: konieczność istnienia bytu, a niemożliwość istnienia niebytu. W dalszym ciągu poematu znajdujemy bliższe określenie tego bytu.

„Tak więc pozostaje jedna tylko droga, uznać jako istniejące tylko byt. Jest bardzo wiele dowodów na to że ten byt nie może znikąd pochodzić i nie może ginąć, że jest on całością w sobie, jednolitym, nieruchomym, zostającym w równowadze z sobą. Nie można powiedzieć że byt był lub będzie, ponieważ jest teraz wszystko razem jedną całością. Co i jakie w samą rzecz pochodzić mógłbyś obmyśleć dla niego? Jak i z kąd byt może się powiększać? Ja nie pozwolę ci powiedzieć ani nawet pomyśleć że byt pochodzi od niebytu, gdyż nie można powiedzieć ani pomyśleć, żeby byt nie istniał, a i jakazby konieczność mogła zmusić byt do poczęcia się pierwój lub późnij z niczego? Tak więc bezwzględnie musi

(48) Vers. 50—55.

(49) Ritter i Preller. Hist. Philos. Graeco Rom. p. 92 not.: (hi versus) eos spectare videntur, qui mundum generari ponebant, to jest którzy dopuszczali możliwość powstawania (rodzenia się) przemian i znikania (wszystko to oznacza się greckim wyrazem γενεαι: któremu odpowiada łaciński generatio, a niemieckie das Werden; my w ciągu téj rozprawki będziemy używali w tém znaczeniu wyrazów: zmienność, potok zmian i t. p.).

(50) διξαρτοι nazywa ich Parmenides. Hegel rozbiegając ten ustęp, dziwnie sprzeczne rzeczy mówi: raz, o ograniczonosci, drugi raz o nieograniczonosci niebytu, co, samo przez się niedorzeczne, nie może mieć żadnego związku z temi wierszami (Hegel. Vorles. I, 294 i 295).

on być lub nie być. Wyprowadzać z bytu coś oprócz bytu nie pozwala siła przekonania (zdrowy rozsądek). Tak tedy bogini sprawiedliwości nie pozwala prawdziwemu istnieniu poczynać się lub ginąć (51).

W tych niewielu słowach Parmenides daje główne metafizyczne określenia idei bytu, a mianowicie:

A. *Byt czyli coś prawdziwie istniejącego nie może ani poczynać się, ani niknąć.* Ciągły proces rodzenia się, wzrostu zmian i znikania, co wszystko greccy filozofowie nazywali *γένεσις* nieprzerwany ten potok zmian w przyrodzie zewnętrznej, który już Herakleitos nazywał bytem i niebytem, nie wytrzymuje krytyki czystego myślenia, szukającego prawdziwej istności. Rzecz podlegająca ciągłym zmianom, w każdej chwili już nie jest t^ęm, cz^ęm była przedt^ęm, tak że niepodobna pochwycić coś stałego, o cz^ęmby można był^o powiedzieć że to *jest*.

Rodzenie się jako raptowne przejście od niebytu do bytu i zniknięcie, zamiana bytu na niebyt nie mogą także być

(51) Określenia bytu (vers. 59—61):

..... σημαί ἕασσι
 πόλλα μ ἄλ ως ἀγένητον ἐὸν καὶ ἀνώλεθρον ἐστιν,
 οὐλον μοννογενέστεκαὶ ἀτρειεὶς καὶ ἀτάλαντον.

Następny ustęp o niemożliwości *γένεσις* (v. sq.):

οὐδέποι ἦν οὐδ ἔσται ἐπεὶ νῦν ἐστιν ὁμοῦ πᾶν
 ἐν συνεχέει. Τίνα γὰρ γεννᾶν διζησεῖται αὐτοῦ;
 πῆ ποθεν αὐζηδέν; οὐὶ ἐκ μὴ ἐνντος ἕασσι
 φασδαι σ οὐδὲ νοεῖν, οὐ γὰρ φαστὸν οὐδὲ νοητὸν
 ἐστιν ὅπως οὐκ ἐστι, τί δ' ἂν μιν καὶ χρεὸς ὡρσεν
 ὑστερον ἢ προσδ' ἐκ τοῦ μηθεν ὡς ἀρξαιμενον φῦν.

Ustęp ten bardzo jest uszkodzonym i w wielu miejscach uczeni przedsiębrali rozmaite poprawki. My trzymaliśmy się najpoprawniejszego, jak się zdaje, tekstu przytoczonego przez Rittera i Prellera (Hist. Phil. Gr. R. pag. 92 sq). Znaczenie różni się od tego tekst przytoczony przez Braudisa (Gesch. der Gr. R. Philos. I, 380). W ostatnim wierszu powstaje jedna nieprzewyciężona trudność: jest to φῦν zamiast φῦναι, skrócenie wcale nie zwykle i bezprzykładne u pisarzy greckich, choć niby na wzór skróceń εἰμεν zamiast εἰμεναι, πελεμεν zamiast πελεμεναι (najstarszej formy zamiast πελεῖν), gdyż φῦναι w żaden sposób nie może utrzymać się z powodów metrycznych, bo byłaby jedna długa zgłoska po końcowym spondeju hexametru zanadto.

uznane wobec logicznego pojęcia *bytu*, który jest, jako nie-przewyciężone sprzeczności dla myśli. Tak ustala się czy-sto logiczna idea *bytu*, z wykluczeniem wszelkich zmian, tworzenia się lub niknięcia, a t \acute{e} m sam \acute{e} m ca \acute{y} proces zmian, (*γενεσις*) i wszystko co się zmienia, ca \acute{y} \acute{s} wiat zmys \acute{l} owy, odniesionym zostaje do dziedziny niebytu, traci wiarogodno \acute{s} c \acute{y} w obec filozofii, je \acute{s} li ta ma szuka \acute{c} prawdziwego bytu, zgodnego z my \acute{s} leniem. *My \acute{s} lenie* przyjmuje Parmenides za naj-wy \acute{s} sze kryterjum: na tym niby próbierczym kamieniu (52) do \acute{s} wiadcza wiarogodno \acute{s} c \acute{y} poję \acute{c} o rodzeniu się, zmianach, znikaniu poję \acute{c} opartych na zwyk \acute{l} ym pog \acute{l} adzie ludzi (*δόξα βοοτων*), wyp \acute{l} ywaj \acute{a} cym ze zmys \acute{l} owych do \acute{s} wiadcze \acute{n} i od-rzuca je, jako logicznie sprzeczne z pojęciem prawdziwego bytu, stanowiącego przedmiot nauki filozofii. Widzimy \acute{z} e Parmenides wprowadza rozumowanie czyli dyalektyk \acute{e} opar-t \acute{a} na prostych logicznych prawach to \acute{z} samo \acute{s} c \acute{y} i przeciwie \acute{n} -stwa. Filozofia jego stanowczo bierze rozbrat ze zmy \acute{s} - \acute{s} lami i opiera się na wewn \acute{e} trznych prawach ducha, na lo-gicznych prawach my \acute{s} lenia.

Z logiczn \acute{e} j niemo \acute{z} liwo \acute{s} c \acute{y} rodzenia się, przemian i zni-kania tego co istnieje prawdziwie, wyp \acute{l} ywaj \acute{a} i dalsze okre \acute{s} -lenia bytu:

B. Prawdziwa istno \acute{s} c \acute{y} stanowi jednolit \acute{a} ca $\acute{ł}$ o \acute{s} c \acute{y} , to jest wyklucza wszelkie poję \acute{c} ie wielo \acute{s} c \acute{y} . Gdzie wielo \acute{s} c \acute{y} , tam bywa wzajemne oddzia \acute{l} ywanie, tam zmienno \acute{s} c \acute{y} , niemo \acute{z} liwa w prawdziwym bycie.

C. Prawdziwa istno \acute{s} c \acute{y} jest jedna, g \acute{d} yz nie ma nic oprócz bytu, niebyt nie istnieje a nie mo \acute{z} na przypu \acute{s} c \acute{e} ci \acute{e} \acute{z} eby by \acute{l} o wiele istno \acute{s} c \acute{y} , g \acute{d} yz w takim razie wszystko to zlewa się w jedno, w jedno poję \acute{c} ie *bytu* (53). To znaczy \acute{z} e jedna idea prawdziwego bytu obejmuje wszystko co istnieje. Po-ni \acute{z} ej b \acute{e} dziemy mieli sposobno \acute{s} c \acute{y} wskaza \acute{c} brak nale \acute{z} ytego

(52) *βασανίζω* u Greków. Platon często mówi *βασανίζω* zamiast *οκυπέω*, *ζυγίρω*, *ἐλέγξω* i t. d. to jest *próbować na kamieniu próbierczym*, zamiast, *rozwa \acute{z} yć*, *rozebrać*, *do \acute{s} wiadczy \acute{c}* .

(53) Jest to prosta logiczna zasada, \acute{z} e wszelkie poję \acute{c} ia zupełnie jednakow \acute{e} j tre \acute{s} c \acute{y} zlewaj \acute{a} się w jedno. *Jest* tylko to co *jest*, a wi \acute{e} c je \acute{z} eli istniej \acute{a} A, B, C, D i t. d. to w istocie B jest to samo co A, C, to samo co A, D; to samo co A, o ile B *jest*, o ile C *jest* i t. d.

rozwoju metafizyki idealizmu u Parmenidesa w porównaniu np. z Platonem; lecz pojęcie *jedynego* bytu tak jest naturalnym i wpływa najzupełniej z powyższych założeń, że wątpliwe czy Parmenides miał tę myśl, jak to czynią niektórzy (54), byłoby jak nam się zdaje, rzeczą zbyteczną.

D. Prawdziwa istność jest nieruchomą. Pojęcie ruchu materialnego nie zgadza się z pojęciem czystego bytu, gdyż gdzie jest ruch, tam i proces zmian, który jak dowiedziono, nie może zgodzić się z bytem. A więc i pojęcie ruchu należy do dziedziny niebytu, zmysłowych złudzeń. Uczeń Parmenidesa i następcą jego w szkole Eleatów *Zenon* poddał pojęcie ruchu bardziej subtelnej analizie, przechodzącej nawet w sofistykę. Ruch wymaga koniecznie przestrzeni; odrzucając więc pojęcie ruchu, Parmenides tym samym stawia swój *byt* niezależnym od warunków przestrzeni, chociaż nie rozwinął należycie tej krytyki.

E. Byt, jako jedyny, jako jednolita całość, znajduje się w równowadze z sobą (ἀτάλαντον) (55). Jest to naturalny wniosek z poprzednich określeń: jedna, jedyna, niezmienna istność, niezależna od warunków przestrzeni, musi być w równowadze z sobą.

F. Byt jest wieczny, niezależny także od warunków czasu, jest to wieczna terażniejszość, a to dlatego, że odróżnienie terażniejszości od przeszłości i przyszłości dopuszcza pewne różnice, na których opiera się, a których z ideą *jedynego*, bezwzględnego i niezmiennego bytu pogodzić nie można. Parmenides zmiany momentów czasu odnosi w ten sposób także do dziedziny niebytu, złudnych zjawisk. Rzeczywiście, w świecie zmiennych zjawisk, każda chwila przynosi z sobą coś nowego, odmiennego od tego co było przedtem, które to ostatnie dla tego samego i mieści się w *przeszłości*, a sam szereg nowych zmian uważa się jakby stopniowo wyłaniającym się z *przyszłości*. W świecie zmysło-

(54) Brandis Gesch. der Gr. R. Ph. I, 383.

(55) ἀτάλαντον (patrz wyżej wiersz 61) jest to poprawka. U starożytnych czytamy ἀτέλειστον (nieodoskonalone) czego przyjąć nie można, lub ἀτέλειστον (nieskończone) co także jak wkrótce zobaczymy, roztrząsając o ile Parmenides dopuszczał pojęcie nieskończoności, okazuje się niemożliwym.

wym, w skutek samej własności processu przemian, właściwie nie ma terażniejszości, a jest tylko przyszłość, która stopniowo ciągle niepochwycalnie przechodzi w przeszłość; terażniejszości, która odpowiadałaby prawdziwemu stałemu istnieniu, w tym potoku pochwyć niepodobna. Dlatego też prawdziwy byt przeciwnie, jest wieczną terażniejszością, nie ma przeszłości ani przyszłości: jest to *wieczność*. Nie ma tu *kiechys* ani *niegdys*: jest tylko *teraz*; nie ma *jeszcze* ani *już*: jest tylko *zawsze*.

G. *Byt jest także wiecznym sam w sobie, jest źródłem samego siebie, nie mógł się nigdy zacząć.* Wypływa to bezpośrednio z przytoczonej najpierw logicznej sprzeczności idei rodzenia się, zmian i znikania z ideą bytu i opiera się na logicznych prawach, rozebranych wyżej. Parmenides, zbytecznie nawet jak się zdaje, dowodzi że *byt* nie może pochodzić od *niebytu*, gdyż jak można mówić, choćby dla zbięcia, o pochodzeniu od czegoś nieistniejącego? Lecz dowód ten ma znaczenie dowodu niemożliwości *początku* bytu, zjawienia się bytu, gdyż w takim razie poprzedzałby go *niebyt* a z *niebytu* powstałby *byt*. Nedorzecznym jest wszelkie przypuszczenie o *początku*, o *zaczęciu* się bytu, bo cóżby mogło go wywołać? Coby mogło być przyczyną bytu? *Niebyt*, jako zresztą niemożliwy i nieistniejący, nie mógł być ani przyczyną, ani źródłem bytu, ani go mógł poprzedzać: przyczyną bytu jest sam byt, źródłem bytu jest sam byt, nic nie poczęło i nie wywołało tego bezwzględnego, wiecznego *jest* (56).

(56) O źródle bytu w samym sobie mówi Parmenides (v. 71):
 οὐδὲ ποῖ ἐκ τοῦ ἔοντος ἐφήσει πιστοῦς ἰσχυρὸς
 γίγνεσθαι τι παρ' αὐτό.

Tak należy czytać ten ustęp. Lecz Brandis (l. 1.) i Hegel (Vorles. I, 295) czytają tak:

μηδὲ ποῖ ἐκ γέ μιν ἔοντος ἐφήσει πιστοῦς ἰσχυρὸς
 γίγνεσθαι τι παρ' αὐτό

Coby znaczyło: że od *niebytu* niemoże pochodzić nic, oprócz *niebytu*, tak że Parmenides stawilby dylemmat: byt pochodzić może od bytu albo *niebytu* i następnie jakoby zbija jedno i drugie. Lecz ze wszystkiego co powiedziano, jasno że taki dylemmat byłby zupełnie zbytecznym, a mówić o pochodzeniu czegobądź od *niebytu*, choćby samegoż *niebytu*, byłoby niedorzecznością, a to dlatego że *niebyt* nie istnieje.

W następujących wierszach Parmenides powtarza, że *był* jest niezależnym od warunków czasu, a dalej do wypowiedzianych określeń bytu dodaje inne, wyczerpujące to wszystko co z powyżej podanych zasad wypływa. Byt nazywa Parmenides spokojnym, nieruchomym (*ἀταρταυές ἀκίνητον*), niepodległym zmianom, nie mającym początku (*ἀγέννητον, ἀναρχον*), nienikłym, nieustannym, (*ἀνώλεθρον, ἀπασσρον*). Powtarzają się więc tu poprzednie określenia, tylko w innych wyrazach (57). Następnie Parmenides powiada: „*był nie może być nieskończonym (nieokreślonym), gdyż nie ma on braku, inaczej zaś, brakowałoby mu wszystkiego* (58). Miejsce to jest wielce nadwężone i znaczenie jego było przedmiotem wielu objaśnień i sporów. Co do nas, opierając się na tłumaczeniu Arystotelesa (59) możemy prosto rozumieć że Parmenides wymaga od bytu skończoności, zupełności, że tak powiemy zaokrąglenia, zgodnie z tém, co przedtém mówił o jednolitości bytu. Wypada podziwiać głęboką przenikliwość elejskiego filozofa, który pierwszy poznał jak czczém jest i próżném pojęcie *nieskończoności*, nieokreślności; słusznie powiada Parmenides że pojęcie to daje uczuć jakiś brak, nie zadawalnia myślenia, nie daje wyobrażenia o stałym bycie. Idea powinna być określoną,

(57) Vers. 80 sq. Szczególniej dobitnie Parmenides powtarza że *to, co pochodzi* (staje się, ma początek) *lub co ma być, nie jest bytem* (v. 83):

εἴ κε γένουι οὐδ' ἔστι οὐδ' εἰ ποιε μέλλει εἶσεσθαι

(58) Vers. 93—94 (Simplic. l. l. Brandis G. d. Gr. R. Phil. I, 381):

....οὐκ ἀτελευτήτων τούτων δέμεις εἶναι,

ἔστι γὰρ οὐκ ἐπίδενες, μὴ ἔδῃ δ' ἂν παντοῦ ἔδειτο.

gdzie *οὐκ ἀτελευτήτων* trzeba tłumaczyć przez „doskonały,” *określony, skończony*, a *μὴ τῶν* znaczy: *gdyby zaś nie był takim* i t. d. przyczém rozumie się samo przez się że *μὴ ἔδῃ* czyta się *κατὰ συνήθειαν*, jako jedna zgłoska. Inni (Ritter et Preller H. Philosoph. Gr. Rom. p. 94) zamiast *μὴ ἔδῃ* czytają *ἔδῃ* co należy rozumieć: *gdyby zaś był takim*, (to jest *ἀτελευτήτων* nieskończonym, nieokreślonym) toby brakowało mu wszystkiego. Oba warianty dają jednakowe znaczenie: owszem ostatni dobitniej nawet maluje czczość i niezadawalniającą próżnię pojęcia nieskończoności.

(59) Aristotel. De Xenoph. Melis. etc. 4, 978: *εἰ δὲ τί κωλοει πεπερανθαι καὶ εχειν περατα ἐν ὄντι τὸν θεόν.*

zupelną. Arystoteles wyraźnie powiada że Parmenides dotknął jedności według myśli (*τοῦκατα λόγον ἑνός*) i dlatego powiada że byt jest określonym (*πεπερασμένον*) (60). I u Platona później materya jest to coś nieokreślonego (*ἄπειρον*) zaś prawdziwy byt, idea, jest określona, i sama jest określeniem (*περας*).

Hegel, tłumacząc ten ustęp, słusznie zauważył że Parmenides odrzuca czcze pojęcie nieskończoności, i jak się zdaje, nie myli się rozumiejąc pod tą określonością bezwzględna konieczność, leżącą w naturze prawdziwego bytu (61).

Większa część określeń, któreśmy dotąd przytaczali, są przeczące: Parmenides mówił o tém, co nie zgadza się z pojęciem bezwzględnego bytu, oczyszczał to pojęcie od sprzeczności, stawiając je wyżej wszelkich danych zmysłowych, podnosząc tę ideę do stopnia czystej, bezwzględnej istności, obcej zmianom, ruchowi, warunkom przestrzeni i czasu. Teraz znajdujemy takie ważne twierdzące już określenie bytu:

„Myślenie i to, o czém się myśli, jest jedno, ponieważ nie można nigdzie znaleźć myślenia jak tylko w bycie, w którym się ono wyraża, a niema i nie będzie nic oprócz bytu” (62).

To określenie jest bardzo godnym uwagi i okazuje nam najdobitniej, że Parmenides był ojcem wszystkich późniejszych teoryi idealizmu. Jak Parmenides doszedł do téj zasady i w jakim stopniu uznawał tożsamość myślenia i bytu? Niema żadnej wątpliwości że tożsamość ta była dla Parmenidesa bezpośrednim wnioskiem z głównego założenia: że poznanie prawdy jest rzeczą nadzmysłową, że nie może dać go żadne zmysłowe doświadczenie, lecz tylko czyste myślenie.

Ztąd wypada że tylko myślenie odpowiada czystemu, bezwzględnemu bytowi, że prawdziwy byt objawia się w my-

(60) Aristot. Metaph. A. 5.

(61) Hegel. Vorles. I, 296.

(62) Vers. 95—98:

*ταῦτόν δ' ἐστὶ νοεῖν τε καὶ οὐνεκὲν ἐστὶ νοήμα
οὐ γὰρ ἄνευ τοῦ ἔοντος ἐν ᾧ πεφρατισμένον ἐστὶν
εὐρησεῖς τὸ νοεῖν οὐδὲν γὰρ ἔστιν ἢ ἔσται
ἄλλο παρὲξ τοῦ ἔοντος.*

śli i odwrotnie jak mówi Parmenides, myślenie jest jakoś nieodłącznym od bytu, istnieje w bycie. Ponieważ zaś istnieje tylko byt, a oprócz niego nie istnieje nic, przeto myślenie, jako prawdziwe i odpowiadające bytowi, nie może być odróżnianem od bytu, gdyż, dopuściwszy tę różnicę, trzeba by chyba odnieść myślenie do niebytu. Tak więc Parmenides uznaje tożsamość myślenia i bytu o tyle tylko, o ile w myśleniu, w poznaniu, objawia się prawdziwy byt, o ile myślenie skierowanem jest ku poznaniu bytu, który znowu sam nie byłby poznany i dostępnym myśli, gdyby nie tkwił w samym myśleniu. Opierając się głównie na tém miejscu, jak starożytni znawcy filozofii, jak Plotinus (63), widzieli że idealizm Parmenidesa wznosił się ponad zmysłowe złudzenia i szukał prawdziwego bytu w myśleniu i za pomocą myślenia. W dalszych wierszach Parmenides mówi jeszcze o błędnem zapatrywaniu się na rzeczy tych, którzy uznają istnienie zmian, pochodzenia i znikania, to jest niebytu obok bytu (64) i kończy tę pierwszą część swego poematu następującem porównaniem: (65).

„Ponieważ ostateczny kres bytu jest zupełnym (66), przeto byt podobnym jest do dobrze zaokrąglonej kuli, która od środka we wszystkie strony utrzymuje się w równowadze (67), ponieważ istnienia nie może być tu albo tam więcej lub mniej dlatego że nie istnieje niebyt, któryby mógł przeszkodzić bytowi przyjść do równowagi z samym sobą i ponieważ nie byłoby istnością to, czego z jednej strony więcej, a z drugiej mniej. Wszystko to jest jedną, nieuszkodzoną (68) całością, ponieważ byt jednostajnie jest sobie równym i wiernym w swych określeniach.”

(63) Plotin. Ennead. V, 1, 8: *ὅτι πάντα ἔχει (τοῦτον) περιειλημμένα καὶ ὅτι τὸ νοεῖν οὐκ ἔστι ἀλλ' ἐν ἑαυτῷ.*

(64) Pojęcia o powstawaniu i znikaniu Parmenides wyraźnie nazywa fałszywemi (v. 100—101):

.....πεπουθότες εἶναι ἀληθῆ

Τίνεσθαί τε καὶ ὀλλυσθαί εἶναι τε καὶ οὐκί.

(65) Vers. 103—110.

(66) *πεῖρας πνευματον* (v. 103) ostatni wyraz nie dosć jasny.

(67) *εὐκυκλος σφαίρη μευσσοδεν ἰσοπαλῆς πάντη.*

(68) *ἄσ υλον.*

To porównanie, jakkolwiek trochę zawikłane i oddane niejasno, mówi o ześrodkowaniu się bytu samego w sobie, o jego doskonałości w sobie. Plotinus robi uwagę, że w tej kuli Parmenides mieści wszystko, a także myślenie (69). Co do „granic, kresu bytu” (πέρας) rozumie się tu, jak wyżej mówiliśmy, przenośnie skończoność, doskonałość bezwzględ- nego istnienia. Zawiele byłoby wymagać od takiego poró- wnania, gdybyśmy, jak Hegel, chcieli robić trudności z powo- du tego iż na zewnątrz *zaokrąglonej kuli* przypuszcza się coś jeszcze — przestrzeń (70). Parmenides na zewnątrz bytu i oprócz bytu nie uznaje nic innego, a jednak wystawia ten byt zaokrąglonym i równym, jak kula w przestrzeni: zmysło- wy obraz oczywiście nie może nigdy odpowiadać zupełnie pojęciu, sięgającemu najwyższych szczytów czystego, oder- wanego rozumowania.

Na tém się kończy pierwsza część poematu Parmenide- sa, traktująca o czystym, bezwzględnym bycie i usiłująca ustalić pojęcie tego bytu. Zostawiając na później należyte ocenie tej części jego nauki, najważniejszej dla potomno- ści, zwróćmy się teraz, dla nieprzerywania rozbioru pozosta- łych nam resztek jego poematu, do drugiej jego części. Ta druga część doszła do nas nie tyle zupełną, jak pierwsza. Zawiera ona kosmologią i fizykę Parmenidesa i z powodu niejasności i zawikłanych pojęć przedstawia nie mało tru- dności.

(69) Plotin. I. I.

(70) Hegel. Vorlesungen. I, 298.

(Dokończenie nastąpi).

ROMAN ZMORSKI.

KILKA SŁÓW, POŚWIĘCONYCH PAMIĘCI ZMARŁEGO
W D. 18 LUTEGO 1867 R., POĘTY.

PRZEZ

Adama Rzężewskiego.

Roman Zmorski urodził się 1824 roku (1) w Warszawie, gdzie ojciec jego znajdował się w służbie rządowej; dziecinne swe lata przepędzał u blizkich krewnych na Mazowszu i tu to zapewne młodzieńczy, a już na piękno ludowej poezyi wrażliwy umysł jego pochwytał te podania, które jak sam w przedmowie do *Wieży siedmiu wodzów* powiada: „Uczy niły wtedy na mym umyśle tak głębokie wrażenie, że ani czas, ani późniejszych wrażeń różnaitość zatrzeć ich nie zdołały. Ilekroć nocą, w chwili spokojnej samotności wzrok mój natrafił na wyiskrzonym niebie gromadę gwiazd, w których mi kiedyś powieść złote hełmy siedmiorga wodzów okazała, wyobraźnia moja z upodobaniem wracała do tych lat dziecinnych wspomnień, odświeżając barwy, dopełniając zatarte szczegóły”; później oddany został do szkół warszawskich i te w prędkim przeciągu czasu, jako jeden z pil-

(1) Dotąd żyjący ojciec Romana podaje datę jego urodzenia na 1822 r., że zaś jest to staruszek już bardzo niedołączny i że wszystkie nasze Historye literatury polskiej i wszystkie pisma peryodyczne podają rok 1824 i ja go więc przyjąłem, będąc prawie pewnym, że w tym razie pamięć starca już zawodzić musi.

niejszych uczniów przeszedł. W tymże czasie ojciec jego wysłużywszy emeryturę, zaproszony przez jednego z zacnych obywateli z powiatu bialskiego gubernii siedleckiej korzystając z przyjacielskiego przyjęcia osiadł, i tam aż do dziś dnia przebywa. Odwiedzał go tu często młody Roman, a przy tej sposobności słuchał podań ludowych, całą piersią po atmosferze warszawskiej oddychał wonią łąk nadbużańskich, i nierozumiejącym go, a więc śmiejącym się z boku ludziom opowiadał dziwy o spotykanych przez siebie po borach rusalkach, przypołudnicach i przywieczornicach. Tu powstały pierwsze jego utwory: *Nad Bugiem*, *Na zwaliskach zamku w Białym*, *Fantazyja*, *Mazur* i inne. W 1844 roku wyjechał za granicę i przez czas jakiś we Wrocławiu, jakkolwiek sposobem bardzo dorywczym oddawał się studjom uniwersyteckim. Później zwiedził prawie cały Zachód stałego łądu, a począwszy od 1848 roku przebywał na Łużycach, mieszkając przez półtora roku w Budyszynie i okolicach jego, poznał garstkę tego wielkiego niegdyś narodu, która po tylu wiekach pozorniej śmierci dała znać, że żyje i pomimo otoczenia w okół przez nieprzyjazny żywioł, zaprotestowała głośno słowiańskim swym językiem przeciw naciskającej ją germanizacji. Tu miłośnik podań i poezji ludowej znalazł się w swym żywiole, wsłuchiwał się w gminne pieśni, badał obrzędy, obyczaje i zwyczaje i porównywał je z polskimi, a owoc swój pracy złożył w umieszczonym w *Gazecie Warszawskiej* z 1849 roku, (Nr. 272, 274, 286, 287, 293, 296, 298) artykule *Serbkie Łużyce i ich mieszkańcy*. W roku 1850 przeniósł się do Serbii południowej, tu długi czas przebywał i skutkiem tego obdarzył literaturę naszą cudownemi przekładami narodowej epopei Serbów, nadto podróże swe po Serbii wydrukował później w *Tygodniku Ilustrowanym*. W 1859 r. wrócił do Warszawy, odwiedził na Podlasiu ojca swego, a niemogąc nigdy długo na jednem miejscu usiedzieć, w 1863 r. przeniósł się za granicę i wreszcie w Dreźnie dnia 18 lutego 1867 r. w męzkim wieku, bo za ledwie 43-ci rok życia licząc, ducha wyzionął. Dziwnym zbiegiem okoliczności pierwszy nasz romantyczny poeta, pierwszy tłumacz ludowych słowiańskich pieśni Brodziński i tłumacz Lazaricy w sąsiednich obok siebie spoczęli mogiłach. — Ozesć ich pamięci!

Dwojakie jest stanowisko, z jakiego oceniać należy Zmorskiego: jako oryginalnego przeważnie liryka poetę i jako tłumacza pieśni serbskich; jak tu, tak tam wysokie on zajmuje stanowisko, jak tu, tak tam wielkie zasługi jego w literaturze naszej. Działalność literacka Zmorskiego bardzo wczesnie się rozpoczęła, zaledwie zeszedł z ławki szkolnej, nim myśl jego zdolną była zahartować się zapasem odpowiedniej nauki, a już z piersi jego zabrzmiała pieśń potężna, namaszczonea, nacechowana głęboką myślą i uczuciem. W 17 roku życia dziecię prawie jeszcze, śpiewa:

„Z ufnyim, wzniosłym, czystym duchem
Witałem was szranki życia!...
Pienia wieszczów od powicia,
Po nad mojem brzmiały uchem.

I wstąpiłem w świat szeroki
Z duszą ognistą i młodą;
W sercu z wiarą i swobodą,
Pewnymi wstąpiłem kroki.
Śmiały, chciwy wypełnienia
Marzeń mojej wyobraźni;
Chciwy lubej uściskienia
Wieńców chwały, łez przyjaźni....
Gotów cudne ich uroki
Płacić własnych dni pogodą,
Z duszą ognistą i młodą
Wstąpiłem w świat ten szeroki...

Już w tak młodym wieku, spotyka zawód, oziębłość
spotyka rozczarowanie:

I poznałem świat nareszcie!...
O wy! widma wy młodości!...
O przyjaźni! o miłości!
Gdzież jesteście? gdzież jesteście?

Gdzież cię szukać boska chwało!
Z promienistém twojém kołem,
Co nad dawnych wieszczów czołem
Nieśmiertelnym blaskiem lśniało?

Czcym wyrazem święta wiara,
Kłamstwem miłość, blichtrzem enota;
Bóg—to głupców prózna mara!
Dzisiaj Bogiem bałwan złota!...

I wśród takiegoż plemienia,
 O nieszczęsny zapaleńcze!
 Marzenia twoje młodzieńcze
 Przyszły szukać wypełnienia?
 Zrzecz się ich! lub gorzka czara
 Czeka na ciebie żywota!....
 W twojem sercu miłość, wiara —
 Tu czią, Bogiem, bałwan złota.

Nie traci jednak odwagi, nie traci siły i hartu męzkiego:

Bądź! bądź ze mną, iskro święta!
 Olsnij brudne życia tonie!....
 Niech twym ogniem raz objęta
 Piers ma na wieki już płonie!....
 Bądźcie ze mną, czucia wieszczę!
 A choć cieżń skroń mi otoczy,
 Choć mgłą śmierci zajdą oczy,
 Ja was wielbić będę jeszcze;
 Jeszcze wtedy pierś natchnięta
 Górną rozkoszą zapłonie,
 Żem do końca w mojem łonie,
 Przechował cię iskro święta!
 (Powitanie).

Albo z tegoż czasu:

„Jeżeli prawdy pragnienie cię pali,
 I czyzy jej pozór starczyć ci nie może,
 To cóż się wzdrygać? Śmiało rzuc się w ton!
 Jak majątek, kraju złota co szuka po fali,
 Po niezmiernym uczuciu i myśli przestworze
 Za światłem prawdy wiekuistej goń.
 (Zachęcenie).

W 1840 i 1841 roku zaczęła literatura nasza podnosić się z bezczynności i apatyi w jaką przedtém popadła; w tym czasie pod przewodnictwem J. A. Szabrańskiego i K. Wł. Wójcickiego zebrali się wszyscy ówczesni uczeni i wydawać zaczęli Bibliotekę Warszawską, a obok nich niezależnie uformowało się gronko młodych ludzi, zdolnych poetów, nie zasilonych może zbyt wysoką nauką, ale z piersią pełną natchnienia, z gorącym sercem; nielitościwi na wszelkie przesady i zabobony, nie zważający na żadne powagi, a tylko zaufani w potęgę swego ramienia, gotowi krzyknąć na świat słowami wieszczy: „dalej z posad bryło świata”. Na czele ich stanął zdolny, tylko niestety zbyt wczesnie stracony *Severyn Filleborn*, a obok niego: *Boh-*

dan Dziekoński, Włodzimierz Wolski, Norwidowie i Teofil Lenartowicz. Ludzie ci przemawiali głównie do publiczności za pomocą poezji: i 1841 r. pod redakcją Filleborna założyli swoje pismo peryodyczne *Nadwiślanin*, godło którego wzięte z *Dominika Magnuszewskiego*.

„Kto wam ręczył,
 Że dopiero życia jesień,
 Dobrze widzi, dobrze czuje?
 Jakby życie bez uniesień
 Samój prawdy było wzorem.
 Wolę ogień, co mnie pali,
 Niż rachubę co was ziębi,
 Bo z nim wesół idę dalej,
 W y z rachubą lgniecie głębięj.

Dokładnie maluje usposobienie wszystkich współpracowników. Rzecz naturalna, że do gromadki téj natychmiast zaciągnął się Zmorski, a wkrótce duszą całą do niej przylgnął. W pierwszym zaraz zeszyte *Nadwiślanina* umieścił porywającą prozą, skreślone gminne podanie, pod tytułem: *Dziewica Widmo* i wiersz *Do.....* w którym każdego uwagę zwrócić musi taka naprzykład strofa:

Dalej młodzieńcze za orłem w ślady,
 Między wiecznych gwiazd gromady,
 Do góry! wzbij się do góry!
 Tam, w niedojrzaném okiem tłumów niebie,
 Uśmiechnie ci się ideał piękności,
 Tam w niewygasłej promieniach światłości
 Mieszkanie dla ciebie.

W tymże samym czasie wyszły z pod prassy: *Stare gawędy i obrazy* Wójcickiego. Zmorski wziął za złe szanownemu badaczowi przeszłości naszej, zajaskrawe jak mu się wydało, przedstawienie zbytniej wesołości przodków i w *Gazecie Porannej* ostrą i niesłuszną zgromił go krytyką; po zimniejszym jednak zastanowieniu się żałował tego nierozważnego kroku i w dwanaście już lat potem pisze z zagranicy do Wójcickiego: „Wysłałem ztąd rękopism do Warszawy *Domowe wspomnienia i powiastki*. Uczynicie mi wielką przysługę, jeśli pozwolicie położyć na czele dedykacją jaką tam umieściłem. Tem żywiéj proszę Was o to, że kie-

dyś krewkością raczój, niż rozmysłem wiedziony, występowałem przeciwko Wam w sposób, którego wprędce potem żałowałem. Wy nie potrzebujecie tego zadostyc uczynienia, ale mnie ciąży to na sumieniu; chciałbym jak najprędzej wywiązać się z długu mego”.

W skutek łatwo zdarzających się przy tak zapalnym charakterze nieporozumień, już w drugim zeszytce Nadwiślanina Zmorski obwieszcza publiczności, że nie należy do jego redakcyi i za zdania w nim wygłaszane solidarnie nie poręcza, ale pomimo to nie zerwał weale z młodymi poetami, i wkrótce swym ogniem, poetyczną werwą stanął po nad wszystkimi, odą improwizowaną na cześć Liszta:

Cześć ci! władzco mocarzu.
Nad harmonii państwem tajemniczem!
Na burzliwych chmur ołtarzu
Z płonąćm błyskawicą zapału obliczem i t. d....

a jeszcze bardziej *Lesławem* rozplómieniał i zachwycał współczesnych.

Lesław to poemat, w obec którego krytyka staje w zdziwieniu, bo sama nie wie, jak oceniać ten fantastyczny, młodzieńczy, szalony, że tak się można wyrazić utwór poety. Główny bohater poematu Lesław, to charakter wielki, wzniosły, kochający nadewszystko ludzkość; posłuchajmy co mówi o sobie:

Jam wielki mą miłością—i wielkość mą pojąłem
Wielkim jak świat, jak przestrzeń niezmierzona,
Jak ten duch którego ramiona
Wszystko ogromnem ogarnia je kołem.

Któż w tym nie dostrzeże słynnej improwizacyi Mickiewicza.

Wkrótce za sprawą czarownic zaczyna Lesław pożądać miłości kobiety, ta jedyna żądza wypełnia całe serce jego; wśród wezwań kochanki ukazuje mu się mytyczna istota, *Dziewica Chmura* i ta mu ofiaruje swą miłość:

I nieraz w mgły gęstej uwita płaszcz gruby,
Aż pokąd rumiany zabłysł świt na niebie,
Nuciłam dla ciebie—patrzyłam na ciebie,
Ja kocham cię—kocham mój luby!

O pójdz w me ramiona! ja ciebie osłonię
 Płaszczem zapału i boskiej tęsknoty;
 Aż serce ci całe rozplynie się w łonie
 Od żaru, lubości nie ziemskiej pieśczoży!....

Ale:

Ust moich wargi raz dotkną się czyje,
 Niechże ziemskiej na wieki zrzedze się miłości.
 W ust mych całunku piorun się kryje!
 Grom ten na lica jego się rozgości,
 I ziemską kochankę zabije.
 A klątwy i prośby i łzy już najkrwawsze,
 Zdradzonej, przebłagać nie zdoła mnie nic—
 I uścisk, i uśmiech jasnych ducha lic
 Na zawsze dłań przepadł, na zawsze!...

Niebaczny młodzian nie zważa na te wszystkie groźby i za jeden uścisk przyjmuje wszystkie warunki. Tymczasem młoda wieśniaczka *Helena*, także w skutek czarów pragnie kochać, a zoczywszy *Lesława*, jemu całą duszą się oddaje. *Lesław* również oczarowany pięknnością *Heleny*, zdaje mu się jednak, że uczucie w nim powstające to tylko chwilowa namiętność, która ustąpić musi, bo wszakżeż przyrzekł stałość *Dziewicy Chmurze*. Zaczyna się w duszy jego walka, walka jak mu się zdaje ducha z ciałem; tą walką dręczony nie znajduje nigdzie spokoju, błąka się po wybrzeżu *Wisły*, chce bowiem przez nią się przepawić i uciec daleko od *Heleny*, żeby nie upaść, żeby czoła namaszczonego pocałunkiem tajemniczój istoty nie splamić ustami ziemianki. Napróżno zaklina rybaka, aby go przewiózł; ten mu nawet nie chce powierzyć swego czoła, bo wie, żeby w nurtach rzeki śmierć znalazł, tłumy bowiem topielców zawiodły na rzece chorowód i biada tym którzyby się na wody puścić ośmielili. *Lesław* więc wstrzymany przez fale *Wisły*, postanawia wrócić do *Heleny* aby:

... . wypowiedać przed nią
 Swoich wysokich uczuć tajemnicę.
 Niechaj przeklina to serce wyniosłe.
 Na jej miłości poprzestać niezdolne;
 Tylko niech młodej wiary swój ołtarze
 W młodzieneczój piersi bluźniąc nie rozbija...

Wraca, zastaje *Helenę* nucącą smutną jakąś piosnkę i śmiało powiada jej, że ją porzuca—na wieki: *Helena* na to;

Po toż, ach po toż, jak promieniem słońca,
 Namiętnem miłości słowem,
 Śpiące w mem łonie ciche uczuć ziarno,
 Zbudziłeś i w kwiat rozwiłeś
 By je za ohwilę, lodowatém technieniem,
 Okrutnie zabić?... Litości! litości!
 W kwiat ten me całe wybujają życie!....
 O! nie zabijaj go! Nie chciej mnie młodo
 Wtrącać w grob czarny!... Świat ten taki cudny!...
 Pozwól się Bożym uaradować światem,
 Życ—być szczęśliwą!

A kiedy Lesław przedstawia jęj, jakie srogie skutki
 wyniknąć mogą dla nięj z ich miłości, Helena woła:

. O! nie! wiesz, na Boga!
 Dla mnie jedyna tylko straszna trwoga—
 Stracić ciebie—serce twoje!
 Ale z tobą—z tobą razem,
 Ja niczego się nie boję!
 I przeciw światu całemu,
 Przeciwno ojcu własnemu,
 I przeciwko sądom nieba
 Gotowam walczyć, gdy trzeba—
 I umrzeć, jeśli potrzeba!

LESŁAW.

Ha! więc bądź, bądź moją!

i obejmuje ją w swe ramiona, ale w tejsze chwili mściwa
 ręka Dziewicy Chmury ciska piorunem w Helenę.

Rozlegają się echem dzwony ogłaszające pogrzeb He-
 leny, a Lesław siedzi obojętny na stromęj skale i mówi:

Łez kropli w mojem oku, w sercu kropli żalu
 Nie mam, by je poświęcić na twoim pogrzebie.

bo przypomniał sobie, że miłość kobiety to za wazkie
 szranki dla jego serca, bo on znowu staje się Lesławem jakim
 był z początku.

Przychodzi do *Lesława Nieznajomy*, który tu gra rolę
 kusiciela szatana i siłą swęj wymowy zaczyna obalać jego
 ideały, a rzuciwszy tym sposobem ziarno zwątpienia w du-
 szę młodzieńca sam zapada się w ziemię: Lesław widzi
 odarte z piękną swe wszystkie marzenia, ale mimo to, trzy-
 ma się jeszcze swych przekonań; dla ich obalenia potrzeba

jeszcze silniejszych dowodów nad to co mówił nieznajomy. Dowody takie wkrótce się następują, w północnej godzinie przychodzi Lesław na cmentarz i widzi jak wśród grzmotu piorunów walą się na mogiłach krzyże, otwierają się groby i wychodzą z nich trupy, upiory wołają na siebie:

Ho! ho! Północ! słyszycie!
Zrzucajcie chłodne nakrycie.
Wstawajcie umarli!
Będziemy żywych żarli.

„Więc nawet i grób nie zaspokaja krwiożerczości człowieka, nawet po śmierci prowadzi on dalej dzieło zniszczenia! Ha, miałeś słuszność! nieznajomy”. Na domiar nieszczęścia widzi Lesław jak się rozstępuje świeżo usypana mogiła, a z niej zmarła przedwczoraj Helena, w białej sukni, z zielonym wiankiem na skroni, w całej jeszcze krasie życia, wstaje i spieszy spełniać tę samą funkcję, wysysać krew z żywych. To już ostatecznie zabija Lesława, czuje on, że nie potrzebne już mu życie, bo stało się ono tylko bezcelowym ciężarem, błaga więc *Śmierci* aby mu je zabrała, ale ta ustępuje przed wyciśniętym u niego na czole znakiem nieśmiertelności, jakim obdarzyła go *Dziewica Chmura*.

Wtedy Lesław wzywa potęgę piekielne, aby te mu pospieszyły z pomocą:

....Jeżlim z klątwy przeznaczenia
Niezdolny świata wybawić,
Sam dłużej nie będę krwawić
Rąk moich w piersiach stworzenia,
I szerzyć państwa nie będę zniszczenia!
A to wysokie przeświadczenie duszy,
Jęk potępienia mocą swoją zgłuszy,
Czuć nie dopuści piekielnych katuszy....

Meczeń zary nieśmiertelne!
Otehlani piekielne!
Witam was!...

i przy odgłosie piorunów zapada się w czeluści piekielne.

Taki jest w ogólnych rysach cały poemat, napisany w sposób dramatyczny, podzielony w miejsce na akty na trzy nocy. Staralem się przedstawić najbardziej uderzające ustępy, żeby każdy mniej więcej o całości mógł wytworzyć ja-

kikolwiek sąd własny, bo jak mnie się zdaje, utwór ten oprócz rozgorączkowanej młodzieńca fantazyi, oprócz dzikich często myśli, a obok tego prześlicznej formy i czarownego władania językiem, nic więcej nie posiada. Lesław, to uosobienie gwałtownego charakteru własnego młodego poety i dlatego to Zmorski o nim zawsze z największą wyrażał się miłością. Znać tu pochwytnie wzory, znać *Manfreda*, *Fausta*, *Gustawa* i *Wacława*, ale sam pomysł więcej dziki, więcej chorobliwy. Lesław jest czémś wielkiem i niczém zarazem; tworząc go chciał zapewne poeta wykazać, jak najpiękniejsze, największe często myśli człowieka, dalekie są od wprowadzenia ich w wykonanie, jaką zaporę stawia im siła okoliczności i wpływów zewnętrznych, i jak często podniosłe nawet umysły druzgocze i łamie; im zaś dzielniejszy człowiek, im szersze jego myśli, im obszerniejsze serce, tém téż więcej konieczna u poetów jakaś władza szatańska, jakaś potęga destruktywna stawia mu zawód i przeszkod. Uczucie podniesione tu do ekstazy, do szału, do zapomnienia, niszczy wszelką refleksyą rozumową i sprawia, że Lesław jest czémś takim, czego nigdy w naturze spotkać nie można, co nawet w ideale poetycznym razi przesadą, szaleństwem. Na usprawiedliwienie poety powiedzmy, że pisał Lesława młodzieniec dwudziesto jedno letni (1), że w każdym razie dał nam w nim autor dowód wielkiego talentu, po którym daleko więcej spodziewać się mogliśmy aniżeliśmy otrzymali, czyby i Roman tak upadł jak Lesław? Co w Lesławie na wielką zasługuje pochwałę i wiele autorowi zaszczytu przynosi, to wprowadzenie do poematu w takięj obszerności i tak doskonale pojętego pierwiastku poezyi ludowej. Kogóż nie uderzy swojskością obraz, kiedy czarownice zbierając rosę w przetaki prowadzą z sobą rozmowy? kogóż nie zachwyci smutna piosnka żniwiarzy dochodząca do uszu Heleny, komuż wreszcie nie podobają się śpiewy i opowiadania zielonowłosych topielców.

Pięknym, a może najpiękniejszym ze wszystkich utworów Zmorskiego jest: *Wieża siedmiu wodzów*; pięćset wierszy obejmujący ten poemat jest prawdziwą perłą w poezyi na-

(1) Jakkolwiek Lesław drukowany był dopiero 1847 r. w Warszawie, jednak już od 1845 krążył po rękach i znacznej liczbie był znany.

szej osnowanej na podaniach ludu, jest jakby jedną z rapsodi pierwotnej naszej epopei. Podanie, na którym wiersz ten osnuty, jak twierdzi p. Kaszewski (Rozbiór Wieży siedmiu wodzów. Bibl. Warsz. 1858, tom II), znajduje się także i u Skandynawów; Zmorski powiada, że je słyszał pierwszy raz na Mazowszu, a powtórnie w bardzo dobrze znajomym miejscu, we wsi *Cielesnicy* pomiędzy Janowem a Terespołem, gdzie dotąd ojciec poety przebywa (1). Zkądkolwiek jednak ono pochodzi, to pewna że nie zaczerpnął go autor w Sagach, ale z ust ludu naszego usłyszał. Treść poematu jest następująca:

Siedmiu bohaterów, wojowników, po całym wieku nie zmordowanych czynów zamierzyło spocząć, bo:

....twarde głównie mieczy, w ich pięści
 Starte na listek, pękły na części,
 Aż nieskładane nigdy, o głowę
 Zdarłszy się spadły, hełmy stalowe.
 Natenczas męże po pierwszy raz,
 Po bieli włosów poznali czas
 Jako zbiegł wielki od owjej chwili,
 Gdy młodzieńcami hełmy włożyli
 Na krucze skronie—i wzięli bronie,
 I szli raz pierwszy na krwawe błonie.

Pierwej jednak nim snem ostatnim zmorzeni spoczną, postanawiają dokonać ostatniego dzieła, któreby mogło służyć: „Potomnym wiekom na dziw i cześć”.

Drużynie swojej rozkazują wznieść wieżę, szczytem sięgającą do niebieskich stropów. Drużyna bieże się ochoczo do dzieła, rozlega się huk młotów i toporów, łoskot spadających dębów, aż bestye drapieżne w tajnikach borów potruczły, aż spokojna Wisła drgnęła od tego trzasku. Znużeni robotnicy usypiają po całodzienniej pracy, lecz gdy nazajutrz przyszli zobaczyć wczorajszą swą robotę, o dziwy!

Ziemia łakomą gardziel rozwarła
 I ich wczorajszą pracę pożarła;

(1) Tak nie jest: kiedy autor bawił w 1857 r. we Lwowie, sprzedał rękopism Stupnickiemu, praca ta wyszła w Przyjacielu domowym z drzeworytami i osobno odbita. Naciśniony poeta przez krytykę, przyznał poufnie iż przedmiot czerpał z sagi skandynawskiej z przekładu niemieckiego.

Tylko z pod piasku szczyrbaty ząb
Kamienny, znaczy zapadły zrąb.

Jak w każdym wątpliwym razie, tak i teraz spieszy drużyna po radę do swoich wodzów, którzy w białym jak łąbędz na wzgórkach namiocie, w złotych, uwieńczonych dębowymi liśćmi, hełmach, na pękach strzał siedzą przy czarach miodu, z gęslami w ręku. Gdy drużyna opowiedziała, co jej dolegało, jeden z pomiędzy starców powstał i taką udzielił im odpowiedź:

Idźcie do braci—jak się poczęło,
Rzeknijcie, dalej by wiedli dzieło;
Bo nie przystało mężom do twarzy,
Począwszy, przestać, gdy się źle darzy.

Posłuszni zawierzając zawsze swym wodzom, wojownicy prowadzą dalej swą pracę, ale cóż, każdej nocy, dzieło dnia całego niknie w ziemi.

Minęła wiosna, minęło lato,
Jesień, spłowiała odziana szatą,
Idzie, żalobny zawodząc śpiew,
I żółkłe liście otrzęsa z drzew;
A dotąd ziemia równie obzarta
I praca mężów równie uparta,
Walczą ze sobą... któraż zwycięży?
Moc nieśmiertelna, czy wola męży?

Aż wreszcie dnia jednego wodzowie drużynie naznaczają spoczynek i wspaniałą, ostatnią, bo pożegnalną sprawiają ucztę, zasiadają przy płonących łączywach pośród swych towarzyszków wojowników, a wszystkie widma, wszyscy mieszańcy borów i Wisły przypatrują się uroczystości.

Kiedy księżyc wszedł na niebiosa, wtedy starcy napełniają sobie miodem siedm rogów, biorą za siedm srebrnych gęśli i nucą zebrany wspaniałą pieśń pożegnania. Pieśń ta jest najpiękniejszym miejscem z całego poematu, a tém chętniej i śmieliej zdanie to wypowiadam, że zupełnie kompetentny znawca w rzeczach tego rodzaju p. Kaszewski w przytoczonem już miejscu, także to samo utrzymuje; pisane one wierszem miarowym, nierymowanym, dlatego też ogromna powaga, prostota a zarazem starożytność ją cechują. Dla

powzięcia wyobrażenia o niej przytoczę tu z niej mały ustęp:

„O mężowie wy! serc wiernych,
Mężowie niezłomnej woli!
Wiek trudnych czynów spełniony...
Spocząć nadeszła już pora.
Czas nam pożegnać się z sobą,
Czas się ze sobą rozłączyć,
Na długie, wieków dalekich—
Lecz nie na wieczne rozstanie.

.....
A teraz podajcie dłonie
Do ostatniego uścisku!
Ostatni raz złotym miodem
Róg pożegnania nalejcie!
Ostatnim oto uściskiem,
Ostatnią oto się czarą,
Ostatnią w chwili rozstania,
Pieśnią się z wami żegnamy!.....”

Wreszcie ruszają z miejsca wodzowie i przeprowadzani przez całą drużynę idą, kędy z ziemi wystawały zręby budowanej przez tak długi czas wieży. Wstąpili na nie, zabrzękli w gęśli srebrzyste i oto powstaje jakiś podziemny wrzask i łoskot, wieża z ziemi się wydobywa i wznosi się w górę. Zdziwiona stoi drużyna, nie może pojąć co to znaczy, a wieża wciąż rośnie i rośnie, wodzowie już zaledwie widni oku, zaledwie słyszą dźwięki ich gęśli, aż wreszcie wieża oparła się o niebios stopy, hełmy złociste wodzów zmieszały się z gwiazdami i świecące zawisły w błękicie. Długo stała jeszcze zdziwiona drużyna, aż wreszcie ostatnim wykrzykiem pożegnała swych wodzów i pospieszyła do gotowych mogił, gdzie oparłszy głowy na twardych głazach snem wiecznym spoczęła. I oto wleciało stado białych łabędzi, zapewne dusze zmarłych wojowników, spadło na łono Wisły i w jój się nurtach ukryło, i:

Na uroczysku pusto zostało,
Jakby się nigdy tu nie działo.
Tylko nad brzegiem, kamienna, szara,
Z wrostłemi w piaski wilgotne stopy,
Z czołem opartém o niebios stopy,
Olbrzymia wieża stoi jak mara.

Ale czar na nią taki rzucony,
 Że jej nie dojrzy człowiek wcielony;
 Ni jej śmiertelnem dojrzy spojrzeniem,
 Ni ją śmiertelnem skala dotknięciem.

Za lat tysiąc, kiedy zło świat ogarnie, znijdą znowu odmłodzeni wodzowie, zbudzą śpiącą w grobach drużynę i znowu cuda męstwa zniewieściałemu światu pokażą.

Taki jest cały poemat, najpiękniejszy niezawodnie z utworów naszego poety, „idea jego, mówi pan Kaszewski we wspomnianym artykule, jest prześliczną symboliką chwały i nieśmiertelności; nie tą, słusznie przez estetyków potępioną, symboliką, co wyraża się martwymi znakami, lub materialnym kształtem, ale tą, która się wyraża uczuciami i czynem”. Myśl poematu, wzięta wprawdzie z ust ludu, ale artystyczne jej obrobienie i przedstawienie w formie takiej jak jest Wieża siedmiu wodzów, należy do mistrza, a mistrz ten umiał przenieść się w dawne wieki, wieki prostoty i zbratania się z naturą, umiał przejąć się szczątkami pierwotnej poezji, przytoczonymi przez siebie w przedmowie, przyjął wszystkie formy poezji ludowej i jak drugi Bojan zanucił pieśń cudowną. Mniej, cokolwiek kunsztu, mniej właściwej czasowi naszemu ogłady, a za to więcej wyrażeń starych, a możnaby śmiało ten utwór o kilka wieków w tył posunąć i odnieść do tej epoki pierwotnej, kiedy naród śpiewał nie przez usta pojedynczych jednostek, ale całymi piersiami mass. *Antyteza* (na początku pieśni podaje się zwykle jakiś fakt, później fakt ten się zaprzecza, a wreszcie z takiego zaprzeczenia rzecz dopiero właściwa się wyjaśnia) jedna z głównych cech słowiańskich pieśni, przeważnie właściwa duszom serbskim i małoruskim, w poemacie Zmorskiego prześlicznie jest użyta. Dla wykazania na przykładzie tej antytezy, porównajmy parę ustępów. Jedna z małoruskich dumek tak się zaczyna:

Czy to jasny sokół na dolinie po taborze hula,
 Czy to biały łabędź śpiewa?
 Oj ani to sokół po dolinie na taborze hula,
 Ani biały łabędź to śpiewa:
 To pułkownik *Chwilonenko* po obozie chodzi,
 Słowami przemawia

(Ze zbioru pieśni małoruskich Maksymowicza T. I 4ka Moskwa 1834).

Podobnie zaczyna się serbska, *Śmierć żony Assan Agi*, która przełożona w 1789 r. przez *Goethe'go*, takiego hałasu narobiła w Europie i pierwsza dała znać o niewyczerpanych skarbach poezji serbskiej.

Co się bieli u góry zielonej?
Czy to śniegi? czy łabędzi stado?
Żeby śniegi, dawnoby stopniały,
Łabędzieby dawno odleciały.
Ni to śniegi, ni stado łabędzi,
Ale namiot agi Hassan-agi."

(Przekł. Zmorskiego).

W wieży siedmiu wodzów:

Czy to tak szumi puszcza wysoka?
Czy to tak szumi Wisła głęboka,
Środkiem cienistych Mazowska puszcza?
Nie puszcza to tak prze się z wichrami,
Nie Wisła się tak bije z brzegami:
Gwar to wojennych obozu tłuszcza.

Łączność z naturą, właściwa każdej pierwotnej poezji i tu ważną odgrywa rolę. Wisła dzieli losy obozujących nad nią wojowników, drzewo nadrzecznej puszczy, to jakby starzy ich znajomi i wszystkie twory zamieszkujące wody i lasy przyglądają się uczującym. Żałować należy, że poeta tak dzielnie umiejący zużytkować poetyczny materiał ludu naszego, nie udzielił nam więcej mistrzowskich produkcji a że mógł je mieć a nawet miał przygotowane, tego dowodzą oddawanie się głównie zbieraniu podań gminnych i nadto chodząca bardzo długo po Warszawie wzmianka o przygotowanym już poemacie pod tytułem: *Dzieje Warsza i Sawy, bajecznych założycieli Warszawy*. Wieża siedmiu wodzów drukowana po raz pierwszy w Poznaniu 1850 r., drugi raz we Lwowie 1857 r., z rysunkami *Gersona* w Warszawie 1860 r. Rękopism jęj nabył za trzysta złotych polskich od autora p. *Stupński*.

Lestaw i *Wieża* są pomiędzy oryginalnymi utworami Zmorskiego większych rozmiarów, inne poezye są to liryki, wiersze drobne, okolicznościowe, pełne wdzięku, siły poetycznej, mistrzowskiego władania słowem, myśli i uczuć prawdziwie głębokich. W nich głównie odbiła się dusza poety,

cały jego talent, który był przeważnie nastroju lirycznego. Z kilku urywków, stanowiących najpierwszą pracę Romana przytoczonych na początku tego szkicu, najwymowniej zdaje się, potwierdza się to zdanie, przytaczać zaś ich więcej trudno, bo trudny bardzo wybór między niemi: przeczytasz wiersz jeden zachwyci cię i przejmie, aliści następny jeszcze więcej piękności przedstawia. W początku naprzykład wiersza do *F...* doskonale maluje poeta swój własny charakter:

Jak dąb, co w naszych puszczech szumi czołem wzniosłem,
Ja tak duchem niezgięty, jak on dziki wzrosłem.
Wzrosłem żyjąc z przyrodą, tchnąc jej tchnienia czyste,
Śsąc jesiennych poranków piersi chłodne, dżdżyste,
Słuchając pieśni wieszczów, groźnych hymnów burzy,
Piorunu, co jej wyciem przeraźliwie wtórzy.

Boleść nie przybije go nigdy, nie upada pod jej ciężarem; ale z prawdziwie mężką siłą tak się o nią odzywa:

Boleść, straszliwie zrazu serce toczy,
Gorzkiemi łzami z razu oko broczy;
Lecz skoro człowiek raz do niej przywyknie,
Cała jej srogość, ciężar cały niknie.

I z czasem w serce tak się ona wpije,
Że z nią człek lubo, jak z kochanką żyje;
I jak z kochanką, tak chętnie się pieści,
I jak w rozkoszy smakuje w boleści.

Ja sam co jeszcze przed niedawném latem
Takem się silił, by boleść odegnać
Od młodej duszy — dziś, snadniej ze światem
Przyszłoby mi się, niżli z nią pożegnać.

I gdyby dzisiaj samo szczęście wasze
Do ust mi swoją nachylało czasę,
To jabym dłonią odtrącił ją hardą,
Jabym ją zdeptał z uśmiechem i wzgardą....

(Rozkosz i boleść).

Jak pojmował obowiązki i stanowisko wieszcz, maluje wiersz: *Do młodego poety*, albo:

Prawi poeci są jak pelikany —
Sami swe piersi rozdierają własne,
I zowią ludzi z ich czerwonej rany
By krwi gorącej pili strugi jasne.

A ludzkość?... śmiechem urągania płaci
 Święte ofiary swęj natchnionej braci,
 I samotników w twardą śmierci chwilę,
 Bez łzy współczucia oddaje mogile...

(Jodła).

Odnaczał się także Zmorski wysokim talentem improwizatorskim, przy lada zdarzonej sposobności, w lada gronku przyjaciół, pierś jego nabierała natchnieniem i bez żadnej trudności łąły się z nięj wieszczce słowa. Jako dowód zaś mistrzowskiego władania językiem, zupełnego zapanowania nad formą posłużyć może: *Cicha noc* (wiersz napisany pod nutę piosnki łużyckięj).

Boże słońko do gospody
 Zaszło, do snu złożyć skron.
 Mgły wilgotne wstają z wody,
 Z łąk wieczorna wieje woń.
 W wieńcu gwiazd,
 W płaszczu chmur,
 Cicha noc, schodzi z gór.
 Zadumany, cichy, senny,
 Otulony w srebrnej mgle,
 Księżyc uściśk swój promienny
 Rozmarzonej ziemi śle.
 W błogich snów
 Rajski kwiat
 Cicha noc
 Sieje świat i t. d.

albo:

Bładalica
 Czarownica
 Biegunowych pustych inórz,
 Zawitała
 Zima biała
 W bujnej ziemi złotych zboż.
 Kraj z wieczora
 Jeszcze wczora
 Tęsknego pełen uroku,
 Oniemiały
 Trupio białý
 Z porannego wstaje mroku i t. d.
 (O mroźnym ranku).

Oprócz oryginalnych urywkowych wierszy, tłumaczył jeszcze Zmorski, z niemieckiego *Augusta Tiedge* z poematu

Uranja, z *Ochlen schlägera*, wyjątek tragedyi *Olaf samozwanięc*, z *Schillera*, *Żale dziewczyny*, z *Goethego*, *Pierwsza noc czarownic*, *Północny król*, *Piosnka koptyjska*, *Czarodziejstwo Odina*, wyjątek ze staréj Eddy, *Izajasza Tegnara*, dwa ustępy z Sagi o Frithiofie; z Czeskiego *Dwa sonety Kollara*; ze słowackiego, *Żal poety z Hurbana*; z łuzycznego legenda *Chrystus i Piotr*. O przekładach serbskich niżej. Przekłady te, równie jak i oryginalne wiersze liryczne porzucane są po wszystkich prawie pismach peryodycznych, znajdują się one: w *Dzienniku Literackim*, w *Nadwiślaninie*, *Bibliotece Warszawskiej*, *Przyjacielu Ludu*, *Przeglądzie Warszawskim*, w *Świcie*, w *Tygodniku Literackim*, w *Jaskółce*, w czasopiśmie *Znicz*, *Stadło* i *Haliczanin*. Większą część ich zebrał autor i wydrukował na rok przed swą śmiercią u *Brokhausa* w Lipsku i jakkolwiek powiada: „są to wszystkie, o ile mi pamięć wskazać mogła, utwory bądź oddzielnie, bądź w różnych pismach czasowych i zbiorowych poprzednio już drukiem ogłoszone; niestety! pokazuje się jednak, że nie obliczał poeta sumiennie iskier, jakie w pierwszych chwilach swéj młodości, tak obficie na wszystkie rozsypywał strony, bo wielu poezyi w tym zbioru niedostaje. W témże samém miejscu powiada Roman dalej: „wydanie nie drukowanych jeszcze poezyi do dalszego nieco zostawiam czasu”. Spodziewać się należy, że szanowna małżonka i dwaj synowie poety nie dadzą zagań tym szacownym pozostałościom i niebawem drukiem je ogłoszą.

Oprócz tych utworów, które zaliczają autora do świetnych gwiazd naszéj ostatniéj plejady poetycznéj, ma Roman Zmorski w literaturze jeszcze większą, bo bardziej systematyczną, o pracy jego świadczącą zasługę, a ta polega na przekładzie pieśni serbskich.

Naród słowiański, rozspany po całym Wschodzie Europy, pomiędzy wszystkimi ludami odznaczał się zawsze wysokim nastrojem poetycznym. Od najdawniejszych czasów pieśń była i jest dotąd w ustach Słowianina: pieśnią on chwali Boga, wita nowonarodzone dziecko, przy dźwięku pieśni kojarzy młode pary, nią żegna i odprowadza na wieczny spoczynek zwłoki swych ojców; pieśń towarzyszy każdej jego pracy i czy w złéj czy w dobréj doli z nią się nigdy nie rozstaje!

„Domy i gumna, góry i doliny (mówi Szafarzyk w „Geschichte der Slavischen Literatur”), lasy i łąki, ogrody i winnice, rozlegają się dźwiękami pieśni. Nieraz po całym dniu pracy, w skwarze i znoju, w pragnieniu i głodzie, pieśń orzeźwia, wracających po cichym zmierzchu wieczornym robotników budząc milczenie wdzięcznymi tony swoimi.” I znowu dalej: „Bez zaprzeczenia twierdzić się godzi, że u żadnego narodu nie znaleźć pierwotnej poezyi w takiej pełni, czystości, serdeczności i gorącości uczucia.“ Po między zaś wszystkimi plemionami Słowian, Serbowie we względzie poezyi narodowej, gminnej, w ustach ludu się przechowującej trzymają palmę pierwszeństwa. *Serbia to poeta całego plemienia*, jak się wyraził Mickiewicz w swych prelekeyach. „Potężny niegdyś naród serbski; mówi W. A. Maciejowski w Historji literatury polskiej, uległszy tureckiemu jarzynu, zasklepił się we własnej narodowości, jak ślimak w skorupie i odtąd dla niej żył jedynie, jęj oddychał powietrzem. W rozkosznej nad Dunajem przemieszkując krainie, natchnął się nader wczesnie wysokim poezyi duchem, w jęj tworach złożył narodowych pamiątek wspomnienia; w niej zamknął swoje dzieje, zgoła uczynił poezją składem swęj narodowości..... Lutnia stanęła mu za księgę, za pióro, za pomnik sztuki, zgoła tém dlań stała się, czém są dla nas biblioteki, drukarskie prassy, pracownie sztukmistrzów. Na niej wyśpiewał całą swoją przeszłość, pogańskie zarówno jak chrześcijańskie objawszy czasy, w pieśniach zamknął religią, życie poetyczne, domowe, duchowość, moralność, zgoła wszystko, czém: naród jakowy, bogobojnie, prawnie, skromnie, pracowicie i t. p. żyje, czém swoją utrzymuje narodowość...” Rozszerzać się zbyt długo nad ulubionym przedmiotem, nad ważnością i pięknnością serbskich pieśni, ni tu czas, ani miejsce, przekonany nadto jestem, że trudno dziś znaleźć, choćby bardzo powierzchownie wykształconego człowieka, któryby o narodowej poezyi Serbów nie słyszał. Lecz przed przekładami *Zmorskiego* słyszał tylko, nic więcej! gadano bowiem o niej u nas bardzo wiele, ale gadano tylko niestety!, znała je zaś zaledwie mała liczba *filologów* (1)

(1) Pieśni serbskie tłumaczyli obficie r. 1841—1843 *Wiktorowicz Leon*, r. 1830—1838 *Aug. Bielowski* i inni poeci, gdy filolodzy nasi o ję-

k którzy zakopani w stosach foliałów, śledząc rozmaite objawy mowy ludzkiej, doszli wreszcie i do bratniego, a tak mało u nas znanego języka Serbów. Pierwszy dopiero *Zmorski* odkrył tajemniczą zasłonę i pokazał owe zakłete skarby, które o wiele jeszcze przeszły wszystkie nadzieje i oczekiwania.

Czyż więc człowiek, który to sprawił, nie zasłużył sobie na wieczną wdzięczność potomnych? Krytyka uznawała jego zasługi, ale zdawało jej się, że treść tak piękna, wymaga innej formy, zachciało się jej koniecznie rymu; tam gdzie piękno wrzało całą potęgą swęj siły i wylewało się w naturalnych swych kształtach, tam koniecznie chciano je ująć w ciasne wymagania jakich prawideł, zapominano, że piękna prawdziwie treść szuka i formy odpowiedniej, że z poezją serbską tego być nie może, bo to własność mass; jeżeli i był jaki twórca pojedynczy, to nie odbił na niej swego indywidualnego piętna, a sędzią tam był cały naród, śpiewaka nie czekały umiejętne krytyki i recenzje, ale jedyną karą było wieczyste zapomnienie, nagrodą, podawanie pieśni od ust do ust przez całe pokolenia. Żądano od *Zmorskiego*, żeby przekłady swe ujmował w rymy: dziwne, ironią, lub zupełną nieznanomością rzeczy, nacechowane żądanie!... Czyż już do tyła rozpieszczone jest nasze ucho, że nie uczujemy piękna w poezyi, jeżeli nie usłyszymy brzęku końcówek? Toć my chcieliśmy prawdziwej poezyi serbskiej, z jej zaletami i niedostatkami, a wszak w jej oryginale nigdzie rymu nie masz; wszak język serbski, to język słowiański, bratni, przy tłumaczeniu nie trzeba się zbyt biedzić nad wyszukiwaniem wyrazów, też same prawie słowa, pod też samą idą miarę, pocóż więc dopuszczać się zmian, tam gdzie trzeba wierności? po co łamać się z trudnościami, aby wydać nie przekład, lecz naśladowanie?

Powie tu kto może, że zdanie takie jest przesadzone, że mieliśmy już i przed *Zmorskim* przekłady pieśni serbskich.

zykach pobratymczych ani pomnieli. *Medyński* pisał r. 1835 o Serbach, ale równie nie ze stanowiska filologii. Owszem mamy rozprawy r. 1835—1837 w *Pamiętniku Naukowym*, o poezyi gminnej ludów słowiańskich, mamy o niej gdzieindziej.

Rzeczywiście przekładali je *Kazimierz Brodziński*, *Lucyan Siemiński* i *Bohdan Zaleski*. Ależ przekładami tego nazwać nie można, owszem, wszyscy ci trzej wzmiankowani z góry uprzedzali, że nie są to przekłady, ale naśladowania. Serbska bowiem ludowa poezya, ma to do siebie, że gdy się jęj dotkniesz, a jeżeli masz chęci trochę, w sobie zdatności do układania rymów, to owładnie ci duszę i serce i póty będziesz w tobie się kołatać, póty nie da pokoju, aż przejęty jęj treścią, wytworzysz coś, co pomimo zbytniej odległości od swego źródła jeszcze piękném będzie. Cóż więc dziwnego, że tacy mistrze słowa, tacy powszechnie cenieni przez nas poeci, jak Brodziński, Siemiński i Zaleski utworzyli z poezyi serbskiej pieścidełko, które serce i umysły zachwyca. W utworach ich jednak została treść poezyi serbskiej, został jęj przedmiot, ale nie masz owego wspólnego pierwiastku całej ludowej poezyi, jaki się w nięj objawia począwszy od Iliady a skończywszy na drobnych dumkach i krakowiakach; nie masz tego czegoś, co stanowi cechę, tak nazywanęj przez Niemców poezyi naturalnęj (Natur poesie). Zmorski jeden udzielił językowi swemu poezyę serbską w całej jęj czystości, w całej prostocie i prawdzie. Ale był to trud wielki dla niego, był on bowiem poetą i to poetą jakęśmy poznali, bardzo utalentowanym i jemu więc rymy i odpowiedniejsza czasowi forma ciągle stawała na zawadzie; skarżył się tęż przed znajomemi, że nie wytrwa, że z drugięj połowy przekładanego przez siebie królewicza Marka, zrobi waryacyę, zrobi jakiś poemat bohaterski: wytrwał jednak do końca w powiętym zamiarze, była to jedyna systematyczna jego praca i z nięj to mamy w swym języku przekład, z którym chyba tylko niemiecki *pani Talvi* porównanym być może. Dla poparcia lepszego tego twierdzenia porównajmy jeszcze przekłady Zmorskiego i najwięcej znane Zaleskiego, z oryginałem. Umieszczenie dosłownego prawie przekładu Zmorskiego obok oryginału wykaże zarazem czytającym łatwość zrozumienia języka serbskiego:

Woryginale: (wuk Stefanowicz Karadżycz T. I. N. 717)

Sova i Orao.

Sova siedi na bukovu panju
 Visz nje or'o na jelovoj grani.

Sowa orla tijo besjedila:
 „Idi, orle, ne namiguj na me;
 Sad su ljudi czudnowate czudi (1),
 Pak cze ze czi ljubi sova orla.”
 Al besjedi siva tica orle:
 „Id' odatle, sovo buczoglava!
 Nije 'vaki czelebija za te.

U Zmorskiego: (Narod. pieśni Serbskie T. II str. 264).

Sowa i Orzeł.

Sowa siedzi na pieńku bukowym,
 Nad nią orzeł na jodle wysokiej.
 Sowa k' orłu cicho się odzywa:
 „Odleć, orle, nie pogładaj na mnie!
 Są bo ludzie plotkarze okrutni,
 Rzecz gotowi: sowa kocha orła.”
 Odpowie jej orzeł siwe ptaszę:
 „Idź, odczep się, sowo kociogłowa!
 Nie dla ciebie tacy zalotnicy.”

U Zaleskiego (poezye wyd. Wolffa w Petersburgu T. IV str. 146).

Sowa i Orzeł.

Orzeł na jodły siedział wierzchołku,
 Sowa u dołu na suchym kołku;
 Sowa do orła mówiła dumnie:
 „Idź-że ty orle, nie mrugaj ku mnie,
 Ludzie złośliwi jeszcze kto powie,
 Że ty tu głowę zawracasz sowie!”
 Zdziwiony orzeł z góry rzekł gniewnie:
 „Odczep się proszę sowo czubata!
 Dopóki stanie słońca i świata
 Nikt, a nikt tego nie powie pewnie.”

albo: w oryginale (W. S. K. T. I. N. 524).

Piewała by, al ne mogu sama,
 Drugog mi je zaboljela glava,
 Pak cze czuti, te cze zažaliti,
 I peczi cze, da ne ajem zanga,
 A ja ajem i duszicu dajem;
 Kudgod dž odlim, na sercu go nosim,
 Kao maty czedo premaleno.

(1) W wyrazie *czudi*, cz brzmi pośrednio między *t'* i *cz* skłaniając się więcej ku *cz*... Brzmienie to dla odróżnienia od *cz* właściwego pisane będzie dalej *currive*.

U Zmorskiego (tamże str. 253):

Śpiewałabym, lecz nie mogę sama;
 Drogiego mi głowa rozboleła;
 Jakby slyszal, przykroby mu było,
 Pomyślałby, że nie dbam o niego.
 A ja duszę, za niegobym dała;
 Tak go kocham, tak na sercu noszę,
 Jako matka niemowlątko swoje.

U Zaleskiego (tamże str. 111):

Śpiewałabym sobie,
 Śpiewałabym rada!
 Kochanek w chorobie
 Na złość—nie wypada.

Pomyśli:—oj płocha,
 Nie załuję zgoła,
 Kłamała, że kocha,
 A śpiewa wesoła.

A ja go tak kocham,
 Że z wiatrem się walę,
 I duszę wyszlocham,
 A śpiewam na zale.

Dni inszych rozkosze—
 Dziś pieśnią—pamiętką;
 Pod sercem je noszę,
 Jak matka.... dzieciątko.

Że pierwsze tłumaczenie jest rzeczywistym przekładem, a drugie naśladowaniem, pozna to każdy. Winienem nadto dodać, że każda z tych pieśni, to nie wprost poskładane bez żadnej sztuki wyrazy, ale wszystkie powiązane, trudniejsze może, niż sam rym mechanika, każda bowiem ułożona jest podług pewnej stałej miary. Jak pierwsza, tak i druga przytoczona tu piosnka składa się z 5ciu *trochejów* (dwie zgłoski pierwsza długa, druga krótka — 1 2), a średniówka (caesura) pada w każdym wierszu po drugim trocheju:

Pjeva —	la by	al ne —	mogu —	sama
Śpiewa —	łabym	lecz nie —	mogę —	sama

U Zaleskiego w pierwszej piosnce liczba zgłosek jest wprawdzie ta sama, ale chcąc miarę dla jego wiersza ułożyć

złożyćby ją tylko można z dwóch *daktyłów* (jedna długa, dwie krótkie — ∪), i dwóch trochejów na przemian po sobie idących:

Orzeł na — jodły — siedział wierz — chołku i t. d.

A piosnka druga, jak to każdy dokładnie widzieć może, nic podobnego do oryginału w technice wierszowej nie przedstawia. Toż samo da się powiedzieć o przekładach Siemieńskiego, a Brodziński, tylko nam myśli oryginału zostawił, a dobór wyrazów i forma wiersza są u niego zupełnie rzeczami dowolnymi. Tak więc z całą słusznością powiedzieć można, że przekład Zmorskiego jest najlepszy i jedyny w naszej literaturze; zarzucićby mu chyba tylko można zbyt częste używanie archaizmów i zwrotów niewłaściwych językowi naszemu.

Z pod pióra zaś Zmorskiego wyszły następujące przekłady:

Narodowe pieśni Serbskie, wybrane i przełożone pod imieniem Romana Zamarskiego. Warszawa 1852 w dwu tomach i 2ch wyd. 1855 także w 2ch tomach.

Królewicz Marko, narodowe pieśni Serbskie. Warsz. 1859. Jest to zebrany przez tłumacza cały cykl pieśni, odnoszących się do tego bohatera, a rozproszonych po zbiorze Wuka Stefanowicza Karadicza.

Podobnież w zaokrągloną całość ugrupował Zmorski pieśni odnoszące się do króla Lazara i do bitwy Kosowskiej, i wydał je pod napisem:

Lazarica, ustęp z narodowych pieśni serbskich, przeł. Roman Zmorski. Warsz. 1860 r.

W Marku i Lazaricy podane są same rapsody bohater-skie, w narodowych zaś pieśniach: legendy i baśnie, pieśni wojackie i drobne piosnki miłosne, które w zbiorze Wuka zwą się żeńskimi.

Koncząc wreszcie tę wzmiankę, dla dokładności tego szkicu wymienimy pisma jego prozą:

Podania i baśni ludu w Mazowszu, z dodaniem kilku Śląskich i Wielkopolskich, zebrał i wydał R. Zamarski. Warsz. 1852.

„*Krótki rys nowego piśmiennictwa serbskiego podług Risticza*,” w Bib. Warsz. z 1853.

W Tygodniku literackim pod imieniem *Romana Mazura* napisał: „Wspomnienie Zenona Sierpińskiego” i obszerny zbiór poezyi Alexandra Grozy.

W Dzienniku literackim pod cyfrą S. „Rozbiór powieści Pauliny Wilkońskiej”.

To są, zdaje się, wszystkie prace literackie Zmorskiego, wspomnieliśmy już o „*dziejach Warsa i Savy*” które na widok publiczny się nie ukazały, a nadto K. Wł. Wojcicki w swęj *Historyi literatury polskiej*, powiada że Roman przygotował do druku obraz liryczny z Piastowskich czasów: *Święto Majowe* i powieść rycerską wierszem: *Potrzeba Grunwaldzka*; J. Kraszewski zaś w liście pisanym do mnie z powodu Zmorskiego mówi, że pozostał po nim mistrzowski przekład *Merimy*, ostatnia praca zmarłego.

Spróbujmy teraz zestawić wszystkie przywiedzione do tąd fakta i rzućmy jeszcze raz pożegnany wrokiem na tę nikiącą ostatnią postać naszęj wielkiej poetycznej doby. Zmorski był człowiekiem, jak to już tylokrotnie powiedzianem było, nadzwyczaj zdolnym; sądząc z jego młodzieńczych porywów, współcześni, słusznie mu wielką rokowali sławę i widzieli go w rzędzie największych naszych geniuszów; ale czyto w skutek tego że w młodości nie odebrał od razu gruntownego ukształcenia; czy téż może zbytńia twórczość, objawiająca się zaraz w pierwszych latach życia: odciągnęła go od twardej i usilnej pracy; ale nie stworzył nam nic takiego, coby w zupełności godnem było jego talentu. Zbytńi zapał młodzieńczy, o którym powiadamy, że wyszumi z czasem, w nim nie wyszumiał nigdy i słusznie téż powiada J. I. Kraszewski, ten wielki znawca serca ludzkiego, w liście wyżej wspomnianym: „był w nim poeta, był zacny i szlachetny młodzian, ale z młodziana nigdy nie wyrosł na męża”. Te słów kilka doskonale charakteryzują zmarłego. Namiętny, gwałtowny, ekscentryczny, wierzący może aż zanadto w swój talent, ale nie poczuwający potrzeby poparcia go pracą i nauką, daje on przykład zmarnowania wrodzonych darów i zmusza do wyrzeczenia nad świeżą jeszcze mogiłą ostrych słów prawdy.

Przekłady z serbskiego oto główna jego zasługa z talentu jego, z silnej i rzeczywistej podstawy, z poezji ludowej. Wieża siedmiu wodzów pozostała nam niby jedno lśniące szkielecko z widzianej w dali fata morgany. Przykro to, ale niestety, prawda! Nikną coraz bardziej nasi sławni wieszczowie, to też nic dziwnego, że oglądamy się za nimi długo, że chcielibyśmy mieć po nich wiele, co by nam w dzisiejszych czasach posuchy poetycznej, mogło ich przypominać i łakome piersi nasze zasilać.

—•••••

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wychowanie świeckie kobiet. — Stowarzyszenie niższego nauczania dziewcząt. — Kontrowers władzy świeckiej z duchowną. — „Ojcowie i dzieci” przez p. Le-gouve. — „Kazania Bossueta. — Bossuet kaznodzieja” przez p. Gaudar — „Mystycy hiszpańscy” przez p. Rousselot. — „Roman d'une honnête femme” komedya Barriera. — „Les Faux Boushommes” tegoż. — „Historya literatury francuzkiej przed Karlomanem” przez Ampèra. — Kurs Ludwika Wołowskiego. — Wiadomości literackie.

Najżywotniejszą obecnie kwestyą w Paryżu jest nauczanie niższe dziewcząt, które minister oświecenia Duruy zaprowadził od pierwszego grudnia w całej Francyi. Wychowanie kobiet z rąk duchownych przechodzi w ręce świeckie. Zaprawdę, jest nad czem zastanowić się głęboko. Fakt dokonany. Duch czasu mu przyklasnął; przeszłość protestuje, a ludzie sprawiedliwi ważą obustronne argumenta za i przeciw ministrowi.

Trzebali ograniczyć wychowanie dziewcząt do programu nauki elementarnej, czy też lepiej dodać do tych początków obszerniejszą znajomość historii piśmiennictwa, a nawet nauk przyrodzonych?

Tak postawioną tę kwestyą, oddawna tu rozstrzygnęły rodziny zamożniejsze. Prywatne kursa historii literatury i historii naturalnej, codziennie na wielu miejscach wykładane w Paryżu, dopełniają niedostatki nauki elementarnej. Obecność kobiet na kursach we francuzkiem kolegium, jak niemniej na lekcjach paryzkiego konserwatorium sztuk i rzemiosł, świadczy wyraźnie o chęci rozwijania gustu i umysłu, przynoszącej zaszczyt tegoczesnej społeczno-

ści. Potrzeba nauki wyższej dla kobiet, jest więc nie urojoną potrzebą. Ale powyższe wykłady zaspakajające pragnienie wiedzy, są usiłowaniem odosobnioném, którego działanie nie rozciąga się po za grono osób lepiej obdarzonych umysłowo i finansowo.

Minister oświecenia Duruy, idący ciągle z duchem czasu, postanowił dać wychowaniu dziewcząt rozwój odpowiadający wychowaniu, jakie tu odbierają chłopcy. Ci wyszedłszy ze szkół, mają przed sobą otwarte lica i szkoły wyższe, nie licząc szkół specjalnych, a później wydziałów wyższego nauczania. Duruy chcąc dać dziewczętom choć jeden kurs nauk wyższych, ufundował dla nich nauczanie niższe. Obiegnikiem z 30 października zażądał od administracyi miejskiej, wyznaczenia na ten cel lokalu, sam w imieniu Państwa ofiarował narzędzia i książki naukowe, oraz wezwał profesorów licealnych i wydziałowych, do wzięcia czynnego udziału w tém nauczaniu.

Jednocześnie, chcąc dopomóc urzeczywistnieniu pomysłu ministra, zawiązało się w Paryżu *Stowarzyszenie nauczania niższego dziewcząt*, złożone z profesorów uniwersyteckich i prywat-docentów.

Kurs rozpoczął się w Sorbonie 1 grudnia. Rozłożony jest na lat trzy: obejmie literaturę, historią, geografią, ekonomią domową, żywioły prawa cywilnego, nauk przyrodzonych i początki matematyki. Języki żyjące nie wchodzi w program, ale będzie dodatni kurs rysunku. Kursa trwać będą od 1 grudnia do 31 maja, odbywać się mają trzy razy na tydzień, po dwie godziny, od pierwszej do trzeciej. Z tych lekcyi uczennice muszą zdawać sprawę na piśmie. Streszczenia kursu professorskiego posłużą im w końcu roku do examinów, po których, odznaczającym się uczennicom, Stowarzyszenie rozda nagrody. Po trzechletnim kursie, dyplom *fin d'études*, odpowiadający dyplomowi nauczania specjalnego, będzie mógł być dany uczennicy przez Stowarzyszenie, po examinie dokonanym przez osobną komissyą. Wpis kwartalny 75 franków. Każda uczennica ma prawo przyjść z matką lub z guwernantką.

Mimo dość wysokiej opłaty, dziewczęta cisną się do Sorbony.

Jaki będzie rezultat tej próby? Zależy to całkiem od wykładu. Nie trzeba, żeby professorowie założyli sobie kształcić kobiety do urzędów publicznych, na doktorów lub adwokatów. Przed prawami ludzkimi idą prawa natury, która wskazała zadanie ojca i zadanie matki w życiu społeczném. Kobiety literatki są tylko wyjątkami, czasem świętymi, zwykle bardzo nędznymi. Kobiecie, jak i mężczyźnie przedewszystkiem potrzeba rozwoju cnoty, ukrzepienia nią charakteru. Świętość domowego ogniska za tę cenę.

Ale z drugiej znów strony, wśród ruchu umysłowego ogarniającego całą dzisiejszą społeczność, nie trzeba żeby istniał zbyt wielki przedział pomiędzy wychowaniem daném ojcu rodziny, a tém które otrzymuje matka. Ta mianowicie ma w domu trudne a szlachetne zadanie, do którego wyższa uprawa umysłu jest niezbędną. Zbawiennym więc będzie wykład, który nie zapuszczając się zbyt daleko w rozumowe przestrzenie, rozprzestrzeni wiedzę elementarną.

Dotąd wykład w Sorbonie wydaje się tak pojęty. Dobrodziejstwa takiego kursu biją w oczy; a jednak, duchowieństwo francuzkie powstało gwałtownie przeciwko nauczaniu świeckiemu dziewczyn. Organem kościoła jak zazwyczaj, jest biskup orleański. Zaraz po ogłoszeniu ministeryalnego okólnika, wystąpił on z filipiką przeciwko niemu, napisaną w formie listu do kollegi; powstaje na niemoralność jaką nauczanie świeckie zaszczepli w dziewczęta „które dotąd wychowywane na *kolanach Kościoła*, przeszły w *objęcia uniwersytetu*”.

Ubolewać potrzeba, że tak wysoki dostojnik duchowieństwa, prawdę swoją popiera szyderstwem. Drwiny, dwuznaczniki grube, dobre w komedyi Arystofanesa; nie wydają się stosowne w ustach prałata zwracającego, jak mówi, uwagę powszechności, na grożące jej niebezpieczeństwo.

Zrazu, powodu gniewu biskupa dopatrzeć trudno. Pan Duruy mógł się pomylić w szczegółach swojej instrukcyi, ale nic w nich nie usprawiedliwia tak wielkiej zawziętości. Minister twierdzi, że wychowanie niższe kobiet nie istnieje we Francyi; przypuściwszy, że się myli w tym względzie, toż nie jest zbrodnia. Porucza professorom licealnym zapelnienie tej luki: może zbyt wiele wymaga od ludzi bardzo już

zatrudnionych, ale to tylko złe rozporządzenie administracyjne. Że oddaje sale i książki temu nauczaniu; to także nie zdrada stanu, nie powód do oburzenia. Widocznie wszystkie wymienione urazy nie są prawdziwemi; inna kryje się na dnie: pau Durny chce rozciągnąć nauczanie świeckie do kobiet:—oto jego zbrodnia. Młodzież męzka już na łup tej nauki wydana, cóż będzie skoro kobiety poczną żyć tem samém życiem umysłowém i moralném, co ich mężowie i bracia? Margrabia Dupenloup nie łudzi się co do natury nauki cechującej młode uczennice; pyta ministra, czy pewny jest doktryn trzech tysięcy profesorów licealnych? Jakżeby oni mogli być prawowierni, kiedy sam minister jest nim tak mało. Biskup boleje nad pojęciami ministra, upokarza go wszechstronnie, gada mu rzeczy moczone w witryolu.

Ale cała ta szarża prawdopodobnie zostanie bezskuteczną: co najwięcej, jeżeli początkowo zatamuje popęd ogólny ku Sorbonie, Prałat mądry i wielmożny, tą razą bitwy nie wygra, gdyż ją wydał duchowi czasu, a duch czasu się nie cofa. Nauczanie przechodzi w ręce świeckie i nie wróci już w duchowne, które w swoim czasie, *wyłącznie* dawały światło. Żony muszą się dostroić do wyobrażeń mężów, od tego zawisło szczęście domowe. Nie ma życia rodzinnego godnego tej nazwy, skoro pomiędzy jego członkami zachodzi wielka różnica sposobu myślenia i czucia. W łonie Francyi obecnie toczy się walka: władza świecka i duchowna wydzierają sobie kobiety. Chodzi o to, przy kim one zostaną? Kto je będzie miał po sobie, przy tym zostaną cugle przyszłości, jeżeli nie świata, to Francyi.

Chociaż lekcye rozpoczęto w Sorbonie, walka jeszcze nie rozstrzygnięta trwa zażarcie. Śmiało powiedzieć można, że wszystkie siły umysłowe przedstawicielei obu obozów, skupione teraz w ten jeden punkt stanowczej wygranej.

Trafając w zajęcia ogólne, p. Legouvé wydał książkę o wychowaniu pod tytułem: *Les Pères et les enfants au XIX siècle*.

Są dwa rodzaje piszących o wychowaniu: moralisci i specjaliści. Najstawniejsi, jak Montaigne, na temat wychowania moralizowali; z powodu wychowania prawili o ró-

źnicach charakteru, gatunku dusz, rodzajach umysłu i tém podobnych rzeczach psychologiczno-transcendentalnych. Inni, mniej sławni, więcej się ograniczyli: podłożyli zasady i wywiedli ich następstwa. *Emil* należy do téj szkoły mniej powabnej, ale użyteczniejszój. Pan Legouvé także praktycznie uważa kwestyą wychowania. Podjęte przez niego przedmioty są kwestyami zasadniczymi, które ile może stara się rozwiązywać. Książka jednak nie jest wcale pedancka, przeciwnie, jest świetna i dość nowa w gruncie. Pojawienie jęj zdziwiło wielu.

Legouvé zajmował zaszczytne stanowisko w piśmienictwie francuzkiém, próbował talentu w rozmaitych rodzajach, wyjąwszy pedagogicznego. Niespodzianie i w tym przedmiocie okazał się niepospolitym.

W téj książeczce o wychowaniu, najwięcej zajmowała go powaga rodzicielska. Zdaniem p. Legouvé, powaga ojca przeszła też same przeobrażenia co powaga monarsza. Dawniej, powiada, istnienie ojca i dzieci było rozdzielone. Tylko w chwilach obiadu lub spoczynku, przyprowadzano dziecko ojcu,; skoro otrzymało od niego nieco pieśczot zmieszanych z mądrymi napomnieniami, guwernantka wyprowadzała dzieci, i zasłona pomiędzy niemi a rodzicem zapadała. Ztąd wynikało, że ojciec pozostawał dla dzieci zawsze w stanie sędziego, albo ukrytego oczom Boga. Nie widziały jego słabości, nie cierpiały z powodu wad jego; złudzenie pobożne utrzymywało dzieci w téj zbawiennój trwodze, bez którój nie ma głębobiego szacunku.

Dziś zmieniły się rzeczy. Równość sprowadziła podział majątków a następnie ich pomniejszenie. Warunki życia domowego są inne. Mniejsze domy zmuszają mieszkańców do częstszego zetknięcia. Nie ma już osobnych dziecinnych pokoi, ani guwernantek pilnujących je dniem i nocą. Mniej jest służących, co jeszcze częstszą powoduje styczność dzieci z rodzicami. „Z tego wynika, że dzieci widzą wady rodziców, że poufałość zajęła miejsce uszanowania, a skoro przyjdzie rozkazywać, stoimy w obec dzieci odarci z uroku; ciągle styczność go zużyła; nie mamy powagi, pomniejszyło ją codzienne obcowanie; nie mamy mocy przekonywania, bo żeby dać się przekonać, trzeba wierzyć w przekonywanego, a dzieci nasze już w nas nie wierzą”.

Nie wierzą! W tém całe złe. Pan Legouvé sądzi, że to złe nie jest bez lekarstwa. Stwierdziwszy powyższy stan rzeczy, powiada, że ojciec może odzyskać straconą powagę opierając ją na innéj zasadzie, *zasadzie przywiązania*. Żywa i inteligentna czułość, powinna zastąpić nieobecność sztucznego uroku. Niech ojciec kocha mocniej i lepiej, niech wychowa najpierw w piersiach swoich miłość ojcowską, a wszystko będzie dobrze.

W tém autor ma zupełną słusność. Absolutyzm ojca zastąpiony przez miłość, zwróci jemu powagę. Władzy nie odzyska, ale ta nie będzie potrzebna. Dotąd mieszano zawsze dwie rzeczy całkiem różne: *powagę* i *władzę*. *Władza* działa siłą fizyczną, *powaga* siłą moralną; panuje ona nad duszą, działa wpływem. Ojciec mający *powagę*, będzie miał zawsze dosyć *władzy* nie wzywając na pomoc kodeksu; ojciec zaś który ma tylko *władzę*, jej nawet nie posiada, ponieważ prawo do niej dają zalety stanowiące podstawę *powagi*.

Jeżeli tak jest, na nic się nie przyda ubolewać nad faktem: należy jedynie wyciągnąć zeń korzyści. Rzecz się ma jak z demokracją zalewającą dziś świat: jest-li ona złém czy dobrém? Przedewszystkiem jest faktem, którego zapominać niebezpiecznie, przeklinać daremnie, a który stał się punktem wyjścia wszelkiej teorii i czynu politycznego.

Teraz ojcowie powinni rządzić miłością, inaczej nie będą słuchani. Miłości i poświęceniu rodzicielskiemu, odpowiada przywiązanie dzieci. Subordynacja, posłuszeństwo i uszanowanie są obowiązkami, ale obowiązkami nałożonemi stosunkiem w którym po jednéj stronie stoi siła, doświadczenie, wiedza; po drugiej potrzeba, słabość i nieświadomość. Święty charakter stosunku o którym mowa, pochodzi ztąd, że nie jest sztuczny ani umówiony, ale przyrodzony, czego dowodzi to, że się ciągle modyfikuje, przemienia wraz z wiekami. Powaga nie jest rzeczą teorii: jest ona całkiem osobista; nie nakazuje się: nie nada komu jój brak, jest ona jedną z wysokich zdolności człowieczego ducha. Ponieważ wychowanie jest przedewszystkiem rzeczą powagi, to jest wpływu osobistego, wychowanie będzie zawsze téjże natury co wywierana powaga; będzie tem, czem nauczyciele, a mianowicie czem ojcowie, ci naturalni nauczyciele dzieci.

Krótko mówiąc, reforma wychowania nie zależy od naszych dyskusji o zasadach powagi i przywiązania, ale od zdrowia i życia moralnego obywateli. Dopóki człowiek będzie słaby, namiętny, drażliwy, ograniczony, wiedziony zachceniami, dopóki będzie igraszką swoich przywar — wychowa dzieci na swój obraz i podobieństwo: niegodny szacunku nie wzbudzi go, niewolnik popędów chwilowych, będzie się uciekał naprzemiany do surowości brutalnej, albo do czułości zniewieściałej, i nie otrzyma ani podległości, ani prawdziwego przywiązania, bo dziecko słucha tego tylko, którego kocha, a kocha tego jedynie, kogo szanuje, to jest tego w którym czuje silny charakter. Wychowanie może zapewne być udoskonalone przez wyrozumowane metody, ale ostatecznie, w każdym kraju co sam się rządzi, tyle warte ile warci sami obywatele: jest ono wyrazem ducha szczepu i rozwoju oświaty.

Pan Gaudar wydał tom wyborowych kazań Bossueta, oraz studjum krytyczne kaznodziei, razem dwa tomy; pierwszy pod tytułem: *Bossuet orateur, études critiques sur les Sermons de la jeunesse de Bossuet*; drugi *Choix de sermons de la jeunesse de Bossuet, édition critique*.

Jestto praca poważna i sumienna. Krytyka tegoczesna już znakomicie przysłużyła się piśmiennictwu francuzkiemu, zwracając mu oczyszczone z błędów *Mysli* Pascala. Teraz podobnie odprowadza do autentycznego tekstu kazania Bossueta, które bardzo wiele ucierpiały na dowolności pierwotnych wydawców.

Bossuet improwizował na ambonie, zaglądając czasami do notatek, które z sobą przynosił. Nie pisał on całkowitych kazań i nie uczył ich się napamięć, ale się do mówienia przygotowywał starannie, notował okresy z Pisma świętego i Ojców kościoła, około których miała krążyć jego wymowa. Jedynie w bardzo młodym wieku pisał kazania, ale na to żeby myśl swoją lepiej ovladnąć i lepiej wyrazić. Ztąd mnóstwo rękopismów niedokończonych, pomazanych, niezrozumiałych, nagromadzonych bez żadnego ładu, gdyż Bossuet nigdy nie miał zamiaru drukowania swoich kazań.

Dopiero w sześćdziesiąt ośm lat po jego śmierci zaczęto gromadzić i drukować kazania wielkiego kaznodziei (1772).

Benedyktyn Dom Deforis, wiele lat poświęcił tój pracy. Wydobył on rękopisma od siostrzeńca Bossueta, tegoż nazwiska biskupa de Troyes. Pięć tomów wydane przez Deforis'a obejmowały przeszło dwieście kazań. Później nie znaleziono ich więcej, ale poprawiono dominikańską redakcją.

Dom Deforis był skrupulatny po swojemu: zebrał i wydrukował wszystko co było ręką Bossueta napisane; ale sumienie które nie dozwalało mu nie odjąć, było mniej surowe co do dodatków. Sposób pisania Bossueta wybornie się do nich nadawał: myśl zaledwie wskazana dawała się nakręcać, rozciągać dowolnie; parę słów zapisanych na marginesie można było rozwałkować na długie okresy; więc też Benedyktyn rozszerzał i po swojemu zapełniał szczyby. Z jednego wyrazu porosły całe okresy, którychby zapewne sławny kaznodzieja nie podpisał; z dosztukowań nietrafnych wynikł brak ciągłości, dowolne wiązania i przemiany stylu, które zmieniły do głębi kazania podane tój operacyi.

Czy z tój, czy z innój przyczyny, publiczność przyjęła chłodno owo wydanie dominikańskie. Nie zachęciła do czytania tych kazań, ani zapalna pochwała księdza Maury, ani ocena gruntowna którą d'Alembert podał w swojej *pochwale Bossueta*. Nic nie pomogło, więcej ganiono niż chwalono te kazania; nawet Châteaubriand za młodu był więcej zgorzony *dziwactwem*, niż zachwycony natchnieniem sławnego kaznodziei. Te właśnie dziwactwa poczytane mu później za zasługę, ściągnęły uwagę późniejszych krytyków na Bossueta. W skutek p. Cousin rozbioru *myśli* Pascala, wolni myśliciele wzięli się do studyowania Bossueta, to jest do porównywania jego rękopisów z wydaniem dominikańskim.

Pierwszy wziął się do tego w 1851 r. młody ksiądz Vaillant. Przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu zrobić nowego wydania Bossueta. Pan Lachat podjął przedsięwzięcie i w edycyi nowo wydanej, starał się wskazać i poprawić błędy Don Deforisa. Poznosił dodatki, rozłączył co było pomieszane, praca jednak nie wydała się dość starannie wykonaną i nie mogła być ostateczną. Pan Gaudar pokazał co było jeszcze do zrobienia. W tomie pod tytułem: *Etudes critiques*, wyjaśnił z przenikliwością, niezwykłą kwestyą dat i tekstu; nadto napisał historią młodości Bossueta ze stanowiska jego postępów w sztuce krasomówczej. Po dokończe-

niu tój wstępnej pracy, Gaudar wydał: *Choix de sermons de la jeunesse de Bossuet*, z notami i wszelkiem ułatwieniem badania tekstu. Praca ta p. Gaudar nie może się równać z p. Havet badaniem *Myśli* PASCALA; ale Gaudar zadanie swoje z niemniejszym dokonał staraniem.

Porządek chronologiczny układu kazań dozwala śledzić postępu, jaki rok każdy przynosił myślom i stylowi Bossueta. Bossuet młodością swoją należał jeszcze do okresu tworzenia francuzkiego piśmiennictwa klassycznego. Miał lat trzydzieści, kiedy Corneille wydał swoje arcydzieła; Rochefoucauld jeszcze nie ogłosił wtedy swoich *Zasad* (Maximes); Boileau nie był napisał jeszcze *satyr*, a Molier nie przedstawił *Pre-cjozów*. Bossuet zresztą, cały zajęty studyowaniem biblii i Ojców kościoła, mało czytał książek francuzkich, sam to wyznaje. Nie można się więc dziwić, że język kazań które pisał za młodu, nie jest wyrobiony. Później pozbył się chropowatości i wymusu, ale we wszystkich kazaniach pozostały allegorye, które może są nieodłączne od kaznodziejskiej wymowy.

W tymże roku 1649, kiedy Bossuet wygłaszał z ambony panegiryk św. Gorgon'a, skreślił rozpamiętywanie dla swojego własnego pożytku. Skłaniał sam siebie do wyrzeczenia się dóbr tego świata, za pomocą obrazu krótkości tego żywota, po za którym jakoś niewiele widział. Oto ten kawałek, uważany za arcydzieło Bossueta:

„Mała to rzecz, człowiek... i wszystko co czyni mała waży. Przyjdzie czas, kiedy człowiek który nam się wydawał wielki, nie będzie, albo będzie jako dziecko mające się urodzić. Chociażby po najdłuższem życiu, przypuścmy tysiącletniem, trzeba nam na tém skończyć. Tylko trwanie mojego życia czyni mnie różnym od tego, co nigdy nie było. Różnica to bardzo mała, kiedy w końcu będę znów zmieszany z tém, czego niema; stanie się to w dniu w którym nie znać będzie że byłem; a wszystko mi jedno jak długo byłem, kiedy mnie już nie będzie. Przychodzę do życia z prawem wyjścia z niego; przybywam zrobić moją osobę, zaprezentować się, jak drudzy; potem trzeba zniknąć. Widzę idących przed sobą, inni zobaczą mnie przechodzącego; a ci znowu następcom swoim toż samo przedstawią widowisko... i nakoniec wszyscy zmieszany się w *nicestwie*.

„Życie moje trwać będzie lat ośmdziesiąt, dajmy na to, lat sto. Przez ileż czasów nie byłem! przez ileż nie będę, a jak małe miejsce zajmuję w tój otchłani lat. Jestem niczem. Ten mały przeciąg niezdolny mnie wyróżnić od *nicestwa do którego iść muszę*. Przyszedłem jedynie dla pomnożenia liczby; jeszcze nie wiadano co zemną zrobić. Komedya nie byłaby mniej dobrze grana, gdybym był po za teatrem pozostał.

„Karyera moja trwać ma lat ośmdziesiąt. A ileż z tych lat ja policzę w ciągu mojego żywota? Sen podobny do śmierci. Dzieciństwo jest istnieniem bydlęcia. Ileż lat radbym wymazać z mojej młodości.. a jak będę starszy, ile jeszcze? Obaczmy do czego to wszystko schodzi: cóż mam liczyć, kiedy to wszystko już w rachunek nie wchodzi. Te tylko czasy warto liczyć w których miałem jakie zadowolenie, w których jakiego zaszczytu nabyłem. Jakże ten czas jest rzadko w życiu mojem rozsiany! Wygląda to jak ćwieki w odległości znacznej powbijane na długim murze; zdaje ci się że zajmują dużo miejsca... powyrywaj je, a nie będzie czem ręki napełnić.”

Wiele myśli, a nawet wiele wyrazów z powyższej medytacyi, weszły w sławne kazanie Bossueta o *śmierci*. To kazanie znowu, dostarczyło mówcy planu do sławnej mowy pogrzebowej: „*Oraison funèbre de Henriette d'Angleterre*.”

Wśród chóru pochwał, wyznajemy pokornie, że nam się kazania Bossueta wydają przechwalone. Jeżeli pominiemy oryginalne zwroty mowy, które poniekąd mają interes biograficzny; jeżeli wyjmiemy parę kazań wyjątkowych, jako to o *śmierci* i o *sądach ludzkich*, obojętność XVIII wieku na edycyą dom Deforisa, wydaje nam się usprawiedliwiona. Uwielbienie takich ludzi jak Nisard i Gaudar, tłumaczy się przesądem, który na sądy literackie ogromnie wpływa. Tak naprzykład, kazania o *jedności kościoła* które Bossuet powiedział 1681 roku, przy otwarciu zgromadzenia powszechnego francuzkiego duchowieństwa, zapala do najwyższego stopnia krytyków. Książd Maury zowie je „najpiękniejszą pracą, jaka w tym rodzaju była napisana w jakim bądź języku.“ Nisard jeszcze podwyższając tę pochwałę, oświadcza „że

krytyka jego zbyt słaba, nie może znaleźć słów do scharakteryzowania téj szczytnéj kompozycyi.“

Po takich aplauzach mężów uczonych, trudno występować z naganą; jednak, nienależy taić swojej prawdy, trzeba mieć zawsze odwagę swoich przekonań.

Owóz, zdaniem naszym, Bossuet nie ma gruntu, czyli, co na jedno wyjdzie, grunt u niego, nie do niego należy. Nie jest on ani uczony, ani myśliciel, ani moralista; nie ma własnych poglądów; brak mu inwencji, własnego spostrzeżenia, własnego ducha. Wyobraźnią ma bujną, doskonałą znajomość stylu kaznodziejskiego; ale ta znajomość służy mu tylko do parafrazowania moralności powszedniej. Pomimo obszerności formy, wystawa jego jest czysto scholastyczna; nie cofa się przed żadną z tych trudności, których już znosić nie umiemy; a im mniej przedmiot nadaje się do prawdziwego wzruszenia, tém więcej mówca zapala się na zimno. Mowa jego złożona z zapytań i wykrzykników: A! O! Ach! bez końca.... Woła, że umysł jego się miesza, że w ocean zapada.... że oczy jego nie mogą znieść tak wielkiego blasku..! Ale tych wszystkich zachwyków nie udziela słuchaczowi.

Streszczając sąd nasz zuchwały, powiemy, że tak mało jest prawdy ludzkiej, powszechnéj w tych kazaniach, że trudno się zajmować niemi nawet wstecz-poglądnie. Darownie stajesz na właściwém stanowisku, potrącasz co należy na czas i zmiany, przypuszczasz rodzaj uświęcony, nic nie pomoże! Trzeba być straszliwie rozkochanym w krasomównie żeby się niemi lubować, kiedy jest tylko formą retoryczną bez ducha.

Zaszczytnie znany w świecie literackim Paweł Roussélot, skreślił historią *Mystyków hiszpańskich*. Dzieło zajmujące, napisane wedle najlepszych tradycyj krytyki filozoficznój.

Badanie umysłów wzniosłych które do Boga apellują od smutków i radości tego życia, należy do najpożyteczniejszych duchowój stronie ludzkości. Ludzi takich, świętych w oderwaniu od walki, będącój zadaniem naszym na tym padole płaczu, właściwie nazwać można szczytnemi samolubami. Strapieni widokiem nędz i cierpień ziemskich, odwracają

oczy od bliźnich i topnieją w kontemplacji Stwórcy, w zachwycie miłości rzeczy nadziemskich. Niebo otwiera przed nimi skarby pociechy, poi ich nadzieją nieśmiertelności. Na rozwiniętych skrzydłach wiary, lecą w czyste przezrocza, gdzie ich wieczny pokój czeka.

Taki wstręt do ziemi a pociąg do ideału bez dopełnienia pracy ziemskiej wyznaczonęj każdemu, kto się tu rodzi, widzimy u niektórych wielkich ludzi genialnych: Święty Bonawentura, Dante, Petrarca, Fenelon byli tacy. Szczęście które płomienna wyobraźnia znajduje w oderwanem połączeniu stworzenia ze Stwórcą, przyciąga w sposób nieprzeparty dusze zbyt czułe na niedostatki ludzkie, a nie mające siły, czy woli, wyrzeczenia się idealnego nieba na korzyść braci, cierpiących z powodu win własnych.

Ludzie tacy, potrzebni w wiekach średnich, bo wśród ogólnego skażenia i srogich walk rozhlukanych namiętności, tylko na pustelni można było przechować czysty ogień miłości bliźniego, nie potrzebni w epoce urzeczywistnienia myśli Zbawiciela, coraz stają się rzadsi. Obecnie, jedna tylko Hiszpania posiada jeszcze po klasztorach swoich mistyków: jestto fenomen godny uwagi.

Jakim sposobem rasa hiszpańska z natury twarda a jeszcze zahartowana ośmiu wiekami wojen; naród który zadusił świetną cywilizacyą Arabów; wyludnił nowy świat, wyniszczył Niderlandy; wydał Filipa IIgo, księcia Alby i Torquemadę; naród który zawsze miał pociąg do widowisk krwawych, czy to do auto da-fy, czy do walki byków; kraj gdzie tak w sztuce jak w literaturze góruje żywe poczucie realizmu—jakim sposobem naród tak może pojmować żywiej niż inne, idealne pieszczoty i mistyczne zachwyty?

Pytanie takie samo się nastęrcza powierzchownie sądzącym—rzeczywistość odpowiada faktem i zbija z tropu tych, co w zbyt ciasnem kole zamykają definicyą narodowego ducha Hiszpanii. Ani narodu, ani człowieka nie można scharakteryzować jednem słowem. Różnorodne bogactwo ich natury wymyka się klasyfikacyi ryczałtowej, teoryi systematycznej, której się zdaje że fizyonomią jednym rysem odda.

Niewątpliwie, twardość jest wydatnym rysem Hiszpanii. Dumny ten, uparty i nieubłagany naród, wojnę domową prowadzi bez litości, nie oszczędzając ani krwi swojej, ani

krwi wroga; mści się wściekle; lubuje się w okrutnych odwetach: sam mogąc wszystko wycierpieć bez słabości, dziką rozkosz znajduje w patrzeniu na cudze katusze.

Takimi znali Hiszpanów Rzymianie; takimi byli w walce o niepodległość; takimi znaleźli ich Francuzi podczas wojen Napoleońskich. Saragossa jest dalszym ciągiem Sagonty i Numancyi! Gwałty które nastąpiły po kapitulacji Baylen, już widziano za czasu Scypionów. W epokach kwitnienia Hiszpanii, ludzie prywatni nie postępowali z nieprzyjaciołmi inaczej jak naród. Największą wadą Hiszpanów, mściwość: w tym względzie zasady ich zupełnie są przeciwne zasadom Chrystusa. Ileż ofiar torturowała i spaliła inkwizycja *święta* przy oklaskach tłumu. Iluż młodzieńców padło pod rogami byka, dla zabawy chciwój silnych wzruszeń powszechności.

Jednak, mimo to wszystko, omyliłby się ktoby o charakterze Hiszpanów chciał wyrokować z téj jednéj okrutnéj strony. Ciż sami ludzie co umieją nienawidzić tak potężnie, którzy przelewają krew na zimno, którzy namiętnie poszukują krwawych widowisk—umieją także kochać, i miłość swoją okazywać z czułością przedziwną. Nic śliczniejszego jak miłosne sceny komedyi hiszpańskich, wierne odbicia rzeczywistości. Wszystko co duch rycerski może natchnąć najszlachetniejszego, to kochankowie Lope de Vega i Calderona składają u nóg swoich kochanek. Ażeby je widzieć, narażają się na największe niebezpieczeństwa: żeby im się podobać, żeby ich zachceniom dogodzić, poświęcają bez wahania fortuny, spokój, życie... Mówią do nich wykwintnie, dobierając wyrażień najczulszych, malujących wszystkie odcienia uczuć, a zarazem zachowujące wysoki ton uszanowania. Jeżeli do ostateczności posuwają obawę o wierność kochanki i wybuchy zazdrości—to dochodzą także do ostatnich krańców poświęcenia i wierności. „Miłość urodziła się w Hiszpanii“ powiada Musset—tak go uderzyła w tym kraju moc tego uczucia, mianowicie w porównaniu z miłością francuską.

Ponieważ tak wielką jest wrodzona zdolność kochania w kraju Cyda, dusze religijne w samotności klasztornej musiały wybiedz wyżéj, wznieść się uczuciem ponad rozkosze

miłości ludzkiej. Czułość ich oderwana od światowych przywiązań, cała zwraca się ku miłości Boga.

Tak się rodzi w głębi serca niektórych zakonników i zakonnic hiszpańskich szlachetny mistycyzm, którego Rousselot opowiada dzieje.

Rozumny przeciwnik nadużyć mistycyzmu, Rousselot dla tych mistyków hiszpańskich, którym zachwył ducha natchnął piękne czyny, ma żywe uwielbienie. Nazwisko Śtej Teresy zawsze ze czcią wymawia. Ale dla tych co dla rozkoszy nadziemskich cierpienia ziemi porzucili: jest surowy—i słusznie. Szczęśliwi mistycy, którzy w porę się zatrzymują w pogoni boskości; których żądza pomieszania się z Bogiem, nie idzie aż do zaprzepaszczenia osobistości człowieka, aż do utopienia swojego ja w łonie wieczności, jako kropli wody w oceanie. Wtedy już nie pozostaje nic z tego, co przynosi zaszczyt naszej naturze: wtedy człowiek zabija zarazem wolność i wolę, wysiłek ku dobremu—i usypia w bezpłodnej kontemplacji błękitu, zamiast z podniesienia ducha brać moc do pracy i walki. Do takięto bezpłodności wiodą doktryny Molinos'a i jemu podobnych. Dlatego rozsądny Bosseut z kościoła je wyrzucił.

O ile mistycyzm przesadny szkodzi, o tyle umiarkowane wybieganie myślą ponad ziemię, może być pożyteczne. Nic wznioślejszego jak porywy miłości mistyków hiszpańskich wśród okropności wojen XVI wieku. Kiedy inkwizycya w Kadyxie i Barcelonie terroryzm szerzy, kiedy urzędowi obrońcy wiary ogniem i mieczem utrzymują panowanie religii, miłości, przebaczenia i miłosierdzia—duch chrześcijaństwa, miłosierdzia boskiego mistrza, schronił się w kilku duszach gorących stworzonych do kochania, a nie dzielenia nienawiści prześladowców. Ci, tak dobrze poznali w mistykach hiszpańskich przeciwników swoich wyobrażeń, że mimo świętości ich życia, podali ich surowej kontroli; najdostojniejszych za podejrzanych mieli: podejrzaniem im byli Ludwik Leon, Jan de la Croix, nawet święta Teresa. Zbrodnią tych prawdziwych chrześcijan było, że mówili o miłości przed trybunałem, który znał tylko prawo siły zwierzęcej. Kochali gorąco Boga, ale nie odłączali miłości Boga od miłości ludzi. Z nieba gdzie ich płomienna unosiła wyobraźnia, wciąż powracali na zie-

mię z myślą litości dla wydziedziczonych braci, z gorącą chęcią ulżenia nędzy, ułagodzenia doli nieszczęśliwych.

Zniewagi wyrządzane przez inkwizycyą tym czynnym mistykom, są ich największą pochwałą. Co im wyrzucano wtedy jako winę, to im dziś zaszczyt przynosi. Zarzucają im, iż zmiękczają katolicyzm. Oni przeciwnie, jego najczystsze przechowali tradycye; a podczas kiedy ich prześladowcy dają nam pojęcia najtwardszej strony hiszpańskiego ducha, oni odkrywają światu obok urzędowej Hiszpanii rządzonej przez rozbestwionych fanatyków, istnienie innej Hiszpanii, Hiszpanii kochającej, w klasztornej ciszy zajętej dobrem bliźnich i uczynkami miłości.

Jeden z najznakomitszych współczesnych dramaturgów paryzkich Teodor Barrière, przedstawia obecnie w dwóch sąsiednich teatrach, dwie swoje sztuki z różnym powodzeniem: wznowienie *Faux Bonshommes* w Vaudevillu odbierają co wieczór głośne oklaski—nową komedyę *Romans d'une honnête Femme* przyjmują gwizdaniem.

Pan Barrière od niejakiego czasu nie ma powodzenia w teatrze. Przedostatni jego utwór: *Ouce parszywe*, ledwie tydzień ostały się na afiszu; *Romans* uczciwej kobiety pewno dłużej nad miesiąc nie pożyje. Są to poronione płody. Autor *Paryżanów upadku* żyje jednak starą sławą, a jako z żywym i silnym, rachować się z nim trzeba. Przejrzyjmy jego ostatnie dzieło.

Paweł Castellan młody kapitan Spahisów, zaledwie przybywszy z Afryki do Paryża, miał dwie przygody: zakochał się—i został wyzwany na pojedynek. Stało się to w ciągu jednego dnia. W wagonie spotkał nieznaną kobietę, która nie mówiąc z nim ani słowa, szalenie mu głowę zawróciła.... na jednoby wyszło zakochać się w spadającej gwieździe. W dworcu stracił ją z oczu. Tegoż wieczora wychodząc z restauracji modnej, nadepnął na powłok schodzącej ze schodów damie.... Kobieta się rozśmiała widząc podarte koronki; ale ten co je kupił, towarzysz damy, rozgniewany, wyrzekł zelżywe słowo „imbécile!” Oficer odpowiedział trafnie zastosowanym policzkiem—ztałd wyzwanie i pojedynek.

Mając się udać na spotkanie, Paweł układa papiery. Wtém, ordynans oznajmia mu wizytę kobiety... oficer pozna je w niej swoją wczorajszą wizytą z drogi żelaznej. Wierząc w tajemnicze sympatye, patrzy na nią zachwycony... Ale złudzenie wnet znika. Dama oświadcza, że się zowie Eliana Chabanel, i przybywa w imieniu swoich dwóch małych córeczek, błagać żeby oszczędzał ich ojca, tego właśnie mężczyznę z którym ma się pojedynkować.

Wyróżwiony tém odkryciem młodzieniec, nie czuje się bynajmniej usposobiony łaskawie: zabiłby chętnie Chabanela chociażby za to, że śmiał się ożenić z kobietą w której on zakochany. Zamiast skryć okrucieństwo, wyjawia je wraz z oświadczeniem. „Nie mam ochoty, mówi, oszczędzać twego męża, gdyż jestem w pani zakochany.” Pani Chabanel czuje się obrażona, ale Paweł tak śpiesznie i szczerze żałuje uniesienia, iż Eliana przebacza mu niepocziwe słowo. Spahis upokarza się przed nią jak lew pustyni przed czarodziejem — i przyrzeka uroczyście iż mąż jej wyjdzie z pojedynku niezadrażniony. Eliana odchodzi wzruszona, serce jej ukojone... ale zarazem podbite.

Prolog ten, powabny chociaż błahy, dość dobrze rozpoczyna sztukę: zakrawa to na wytworną komedię. Ale akt drugi bez ostrzeżenia wpada w błazeństwo, przedstawiając Chabanela i jego przyjaciela Toulignon'a.

Toulignon w którego ogrodzie ma się odbywać pojedynek, jest karykaturą dorobkowicza. Chabanel jest znów tak płaski i głupi, że trudno pojąć jakim sposobem Paweł mógł się z nim spotkać w jednej i tej samej garnkuchni: Chabanel powinienby jadać gdzieś w szynku za rogatkami. Śmiešność jego aż na żonę spływa: nie można sobie wyobrazić poetycznej Eliany małżonką tego sklepowego Sylena; dobraną jego połowicą byłaby jedna z owych bab potężnych, co siedzą za straganami.

Cóżkolwiekby, Chabanel przybywa na spotkanie z miłą zwyciężką. Przyjaciel Toulignon nie może się wydziwić jego bohaterskiej postawie... Tajemnica téj odwagi prosta: Chabanel uwiadomił żandarmeryę; ufny że w momencie wskazanym przybędą rozjemcy, spokojnie ich czeka. Ale niewczesny przybysz, kwietyzm jego zakłóca, jestto Amerykanin, którego na zastąpienie siebie przysyła drugi sekun-

dant. Figura typowa, chociaż już nieco na paryzkich scenach spowszedniała. Wyobraźcie sobie rosłego chłopca z twarzą śniadą, najeżoną brodą i okrutnym wzrokiem, podobnego do handlarza murzynów, który idzie sprawić im łaźnię. Straszliwa ta osoba nie rozumie pojedynku bez trupa z jedną, a ran z drugiej strony. Opowiada, że strzelił w łeb najlepszemu przyjacielowi za to, że mu na placu odwagi zabrakło.

Chabanel blednie widząc się wydany w ręce temu Mohikanowi, a wnet zielenieje znalazłszy w kieszeni swój list do brygadiera żandarmów. Przepadło! Ostatnia godzina wybiła... Trzeba iść naprzód i bić się naprawdę. *Go head!* woła na opuszczonego przez żandarmeryą, nieubłagany Yan-kes z rewolwerem w rękę.

Nadmiar trwogi cuda czasami czyni: nic niebezpieczniejszego jak wściekły tchórz. Tą razą mieszczuch przeszływa szpadą nie broniącego się kapitana. Odnoszą Pawła bez duszy do pokoju pani Chabanel, która dowiedziała się niegodnego powodu pojedynku. Widząc Pawła dobrowolną ofiarą tego spotkania, ucziwa kobieta wyznaje konającemu oficerowi swoją miłość.

Trzeci akt przenosi nas do Auvernii, gdzie nieszczęśliwa żona znikła przed złym mężem. Chabanel przybywa do jej domu na to jedynie, żeby od niej wyłudzić resztę majątku. Potrzebuje pieniędzy dla wyposażenia tej właśnie damy, której Paweł oberwał koronki. Ażeby zapewnić los bezmieniemu synowi, wydaje na nędzę swoje własne dzieci.... Czyż to prawdopodobne? Czyż możebne? A cóż sądzić o tej matce, która nie czytając, podpisuje odzierający ją z mienia kontrakt.

Nikt z was zapewne nie przypuścił śmierci Pawła Castellan: skoro kochanek umiera w końcu drugiego aktu, niezawodnie zmartwychwstaje w trzecim, to rzecz wiadoma i przewidziana jego zaangażowaniem. Jakoż Paweł jawi się zupełnie wyleczony i srodze zakochany. Eliana przyjmuje go z zachwytem, ale jeszcze, jako ucziwa żona z namiętnością swoją walczy: chce pozostać wierną do końca.

Tu następuje scena silnie wygwizdana. Mąż z pełnemi kieszeniami wraca pożegnać żonę. Eliana żąda, żeby zwrócił te skradzione pieniądze dzieciom; on z niej sztydzi.... mó-

wi że nie ma serca, wychwala swoją kurtyzankę i t. d. Toż to potwór, ten mieszczanin paryzki... był aptekarzem nie rozbójnikiem, jakimże prawem może być tak okrutny?

Rozwiązanie do dzieciństwa sztuki należy. Ponieważ dwużeństwo jest zbrodnią za którą wieszają, trzeba było Elianę zrobić wdową najkrótszym sposobem. W tym celu autor wsadził Chabanela na dzikiego konia, z którego kark skreślił w mgnieniu oka. Koń ten, uczony i opatrzny, jest ten sam, który od niepamiętnych czasów zbieguje się w komedjach i rzuca kochankę w objęcia lubego, co na drodze nań czeka z wyciągniętymi rękoma. Rumak ten nieoceniony, mnóstwo małżeństw skojarzył. Caligula mianował swego konia konsulem; ten zasługiwałby na jaką wyższą godność.

Dwa tomy dzieł różnych razem opracowane, dałyby pojęcie téj komedyi niejednolitój, zrobionój z okrawka domowego dramatu i kawałka krotochwili: miejscami to zblakłe, miejscami jaskrawe, niezgoda wszędzie. *Le Roman d'une honnête Femme* wcale się nie udał, i nic dziwnego: jakże może być dobra kopia kiedy brak naturalnego wzoru? Twór wysmażony w retorcie mózgu, gdzie także pojęcie uczwój prostoty się zatarło, musi być kulawy i nieprawdopodobny.

Nowym sztukom Barriera brak bezpośredniej obserwacji natury, brak celnych strzałów, rzeczywistego obrysu przywar i charakterów. Wszystkie te zalety nie obecne w *Romansie uczciwej kobiety* znajdujem w *Faux Bonshomme*, przyjętój równie dobrze dzisiaj jak przed laty. Jestto komedya w prawdziwem znaczeniu tego słowa: szczera, wesoła, wykrojona w żywcu śmieszności obyczajów. Cała ta galerya portretów którąśmy w swoim czasie na tém miejscu opisali, pozostała żywą. Podobieństwa rękojmią, jest właśnie trwanie: lat 12 nie postarzały ani trochę przedstawionych postaci.

Peponet nie jest figurą nową: odnajdujemy w nim poważne głupstwo, powszedniość i napuszystość Prudhoma, odwiecznej karykatury mieszczaństwa. Ale jestto nowy odcień starego typu: Peponet z fizyonomią dzisiejszą, może uchodzić za prawego syna pana Józefa Prudhom'a, który działał i kwitnął w bohatérskich wiekach gwardyi narodowój.

Druga figura w galeryi *Falszywych poczcwiwców* Dufour-re, jeszcze komiczniejsza: jestto drobny kapitalista francuzki, jadowity i skąpy, w samolubstwie zasklepiony jak robak w sérze. Tyran w domu, skoro zeń wyjdzie, udaje czulego. Kiedy są sami, ciemieży żonę, ale niech przyjdzie trzeci, wnet zmienia ton i staje się najłagodniejszym mężem. Wyborna scena, kiedy ten fałszywy poczcwiwiec ubolewa nad chorą żoną przez lekarzy na śmierć skazaną. Niby płacze i wzdycha... Ale przyjaciele, którzy się znają jak łyse konie, z pociechy w pociechę, nieznacznie wprowadzają go w jego właściwy charakter. Wtedy mąż widzi się wdowcem, swobodnym, zjadającym sam, co teraz jedzą we dwoje, widzi się, wywatowanym ciepło samolubstwem miękkim... Ujrawszy siebie takim w perspektywie, zaczyna się do siebie uśmiechać... myśli głośno.. Wybuch śmiechu dwóch szyderców, zbudza go ze snu miłego na grobie małżonki.

Z nie mniejszą przyjemnością zobaczyliśmy także pana Bassecour, owego słodkiego człowieka, co to zawsze zaczyna od pochwały; lecz mu wnet jakieś *ale* na poprzek staje i frazes kończy się zmijowym ogonem. Zaczynasz pić słodkie mléko, wtém, nagle, witryol... Iluż takich!

Jeszcze lepszy Vertillac, ze swoją mechaniczną sztywnością. Nie znamy komiczniejszej sceny, jak kiedy ten suchy, łysy i żyłasty automata finansowy prosi Peponeta o rękę jego córki dla swojego siostrzeńca.

„Pan Oktawiusz Deleroix, tu obecny staje się moim współnikiem we wszystkich operacyach wszelkiej natury; nadto, zapewniam jemu *hic et nunc*, kapitał na przypadek gdyby nieprzewidziane okoliczności mnie się kazały pozbyć ciężaru mojego; nadto, przy otwarciu mojego spadku, jeżeli wyż wspomniany Oktawiusz dowiedzie że istnieje, jak tego mądrze wymaga artykuł 725 kodexu cywilnego; tenże Oktawiusz wejdzie w posiadanie moich nieruchomości i ruchomości, funduszków, ziemi, budowli, młynów wietrznych i wodnych, borów, zagajników lub krzaków, nakoniec owoców wszelkich, także czynszów, mieszkań, zaległości renty i t. d. wchodzących w skład dóbr moich; które to dobra powinny być zupełnie zlikwidowane i bez hipotek legalnych, prawnych i konwencyonalnych, i to postanowiwszy, mam za-

szczyt prosić apana, o rękę panny Eweliny Peponet, dla mojego siostrzeńca Oktawiusza Deleroix, wyż wymienionego.”

Oto prośba o żonę zredagowana wyraźnie, wedle przepisów prawa.

Wyż wymieniony Oktawiusz zkocha Ewelinę córkę Peponeta, ale jest ubogi, a do tego artysta: przywara nie do przebaczenia. To też Peponet który nigdy dobrze nie mógł odróżnić malatury olejnej od wycisku na fularze, z zapalem odmawia ręki swęj spadkobierki. Aż dowiaduje się że Oktawiusz jest milionowy z łaski wuja: więc przymierze sztuki z mieszczaństwem zawiera. Skoro wuj znowu wydziedzicza synowca za to że na giełdzie nie grywa, wtedy Oktawiusz postanawia zagrać lichwiarzom komedią, któraby im na zawsze obrzydziła arytmetykę. Łamie pędzle i idzie na giełdę, kupuje, sprzedaje, szachruje—aż miło. Skutkiem tego przeobrażenia, wuj zwraca mu szacunek a Peponet córkę.

Oktawiusz ołówkiem giełdzysty, sam zredagował projekt kontraktu i przedstawia go teściowi. Peponet czyta i blednie... w tym kontrakcie mowa tylko o jego śmierci. Eskontując jego testament, koszą siano na jego grobie, proszą żeby co rychlej urzeczywistnił *nadzieje* małżeństwa, schodząc z tego świata polubownie, w oznaczonym okresie... Peponet protestuje, wrzeszczy, nie chce się podpisać na swój pomnik, dowodzi że jeszcze jary, choć stary. Daremnie! Pan Oktawiusz ostro kuty w statystyce na karnecie spisuje średnią istnienia teścia: kładzie zero, podkreśla, sprawdza dodawanie i pokazuje pocziwcowi, krótki kredyt dni pozostających mu do życia.

Z drugiej strony, wuj wygłasza zasady nie nowe a rozpaczliwe: interes interesem, niewiadomo kto z brzega, nie jesteś nieśmiertelny i t. p. Tak pogrzebany przy podzwonnym własnych dukatów, Peponet pada na krzesło szcękając zębami...

Jestto szczyt furji komicznej: crescendo dochodzi do najwyższych tonów ironii i wesołości. To mi komedia! Niewątpliwie najlepsza ze wszystkich jakie się pojawiły w Paryżu w tym ostatnim tuzinie lat, tak niefortunnych dla sztuki dramatycznej.

Dwóch wydawców podzieliło się wydaniem dzieł zupełnych pana Ampère. Levy wydał świeżo: *Histoire romaine*

à Rome i *Mélanges d'Histoire littéraire et de la littérature*. Dziś księgarz Didier wydaje drugą edycją celnego dzieła Ampèra: *Histoire littéraire de la France avant Charlemagne*.

Na tém to polu literatury uczonej, mianowicie odznaczał się przenikliwy i ciekawy umysł Ampèra. Posiadał on w wysokim stopniu ducha erudycyi, dar zdobienia i ożywiania najniewdzięczniejszych działów krytyki literackiej; umiał rozwijać kwiaty nawet w kopaliskach epok barbarzyńskich, z których inni przynoszą teksty suche jak kamienie. Najwłaściwszą dziedziną Ampèra był ów pas mglisty najdawniejszych początków, gdzie literatura miesza się z archeologią. Tam on wprowadza porządek, światło, kolor; tam sieje idee nowe, oryginalne poglądy, nieprzewidziane analogie, i z téj kombinacyi nauki wszechstronnej a głębokiej, wynikają perspektywy prawie malownicze, czyniące dzień tam gdzie noc była, odsłaniające z gruzów zwaliska prawdziwie nauczające.

Historya literacka Francyi przed Karlomanem, obnaża, w ich najgłębszém przedłużeniu korzenie piśmiennictwa francuzkiego. Istny to chaos, ów okres czterech czy pięciu wieków, ciągnący się od podboju Cezara do inwazyi Franków. Język łaciński umarł, a francuzki jeszcze się nie narodził. Barbarzyńcy oblegają cywilizacyą gallo-rzymską która się ścieśnia widomie. Resztki piśmiennictwa istniejące jeszcze w owych wiekach ciemnych, czynią wrażenie zużytej pochodni, którą kilku ludzi podaje sobie w zmroku: rzecz ciekawa w księdze Ampèra śledzić ten płomień drżący. Przechodzi on z ręki pogańskiej do chrześcijańskiej, od retora do biskupa, od konsula do mnicha. Poezya klassyczna kona pod zimném technieniem Auson'a i Rutiliusza; poezya chrześcijańska słabo gwarzy w ubogich wierszykach św. Paulina i Fortunat'a. Wszystkie siły umysłowe skupiły się w polemikach i apologiach kościoła, pobijających herezyą lub stawiających dogmata wiary. Ale z wieku na wiek te rzadkie pochodnie kultu rzymskiego gasną pod wzrastającym napływem barbarzyńców. Pomiedzy Siclonu Apollinaire a Grzegorzem z Tours, 500—539, noc nastąpiła i wszelkie światło zagasło.

Jeden z najciekawszych rozdziałów księgi Ampèra jest ten który poświęcił Grzegorzowi z Tours „Herodotowi Bar-

barzyństwa” jak go zowie autor, naocznemu świadkowi opowiadanych wypadków. Jego *Historia Franków* nietylko ma wartość jedyne go świadectwa, twardego ogniwa, bez którego łańcuch czasów byłby przerwanny; jest ona nadto, naiwnym wyrazem letargu, w jakim okropne czasy pograżyły wszystkie dusze.

Grzegorz z Tours jest już prawie barbarzyńcą: żadnego porządku ani planu w jego opowiadaniu, nieświadomość rażąca, łacina nie poprawna, zeszpecona akcentem germańskim. Najdziwniejsza w tém, zimna krew z jaką biskup, jeden z najlepszych ludzi swojego wieku, opowiada dzikie zbrodnie których był świadkiem. Zdaje się przywykły do krwi i potworów, twardość powszechna widocznie go spetryfikowała. Jednostajnym głosem jak godzinki, recytuje zdrady i zbrodnie które rozwściekłały Tacyta. Styl jego kamienny, porusza się jedynie skoro o herezyi mowa. Wtedy kronikarz ustępuje miejsca biskupowi wojującemu. Poza tém nic, prócz zimnej relacji świadka zeznającego bez żadnych uwag, co widział. Często zdaje się że nie pojmuje rzeczy które opowiada.

I tak np. wymieniwszy po innych zbrodniach Klodoweusza zamordowanie przez niego Sigeberta, nie zmieniając tonu, dodaje: „Klodowesz posiadłszy królestwo i skarby Sigeberta i lud jego jarzmu swojemu poddał. Co dzień tak Bóg wrogów Klodoweusza pod jego ręką łamał, bo ten król szedł z *czystém* sercem przed Panem i czynił co było Jemu miłym.”

Chociaż tak pisana *historia* Grzegorza jest arcydziełem w porównaniu z *kroniką* Fredeguir'a, który jej dalszy ciąg pisał. W krótkim czasie dzielącym tych dwóch pisarzy, barbarya wszystko zalała. Noc była zupełnie czarna: różnica jasności taka jak między pełnią a nowiem. Grzegorz przynajmniej pamięta dzień, czytał Sallustiusza i Wirgiliusza; mówi o starym Rzymie jak o zaszłym słońcu. Fredeguire urodził się w ciemności; piekielny nierząd pustoszący Gallią, wydaje mu się normalnym stanem narodów. *Historia* dlań schodzi do suchego wyliczenia faktów; najstraszniejsze wypadki w rachunek wciąga jak maszyna. Rzekłbyś, notariusz końca świata. Tę zna jedyną zasługę, że niemoc swoją czuje.

Było to uczucie ogólne wtedy. Jednocześnie piszący Fortunat, ostatni poeta łaciński Gallii, z pokorą wyznaje ubóstwo swojego umysłu:

„Brak mi sztuki—woła—umysł mój ciężki jest i bezwładny; mówię gburowatym językiem; zaledwie parę kropel połknąłem z rzeki gramatyki; zaledwiem liźnął źródeł retoryki: zardzewiałe słowa wychodzą z ust moich niesfornych.“

Jednak Fortunat i Fredeguire byli względniem światłem w owym mroku. Skoro te lampki pogasły, chodzono po omacku przez lat sto — nie było jednego promyczka literackiego światła.

Vox tacuit, perit lux, nox fuit et fuit umbra.

Ten wiersz wypisany na starym germańskim grobowcu, może służyć za epitet owemu zgąsztemu światu.

Przebiegnijcie te podziemia francuzkiego piśmiennictwa pod przewodnictwem Ampèra; on wam odczyta zatarte napisy i wytłumaczy archaiczne pomniki opromieniając je światłem swęj wiedzy. Przez niego komentowane gruzy nabierają życia.

Wyszło pośmiertne dzieło Proudhona „*France et Rhin*” Autor ostro i twardo występuje wobec swego narodu: nie oszczędza mu prawd gorzkich, a nawet często przesadza prawdę. W rozdziale *Considérations sur la nationalité française*, powiada: pokolenie dwuznaczne. Pomieszanie ras; charakter zniewieściały, lekki, próżny, gadatliwy, gapiący się, głupi: patryotyzm i poszanowanie narodowości mierne. Potem następuje długie wyliczenie cudzoziemców, których Francuzi zbyt mocno uwielbiają. Proudhon wyrzuca im miłość cudziemczyzny i to, że nie umieli zreformować swojej religii. Dalej powiada że Francya nie umiała żyć w zgodzie z żadnym ze swoich rządów, nie umiała zrobić porządnej rewolucyi, przez co doszła do despotyzmu miłości przywileju, podwładności i szuka centralizacyi. Jeżeli Francya postępuje, to dlatego że jęj próżność nie dozwala w tyle pozostać. Francya grała rolę nie przez swój geniusz, ale przez pozycyą i rozmiar. Francya nie ma geniusza. Porzuciła, zaparła się, zniczczyła swoje najszlachetniejsze dzieci. Towarzystwo Jezusowe jeszcze Francyą rządzi. Upadku

swojego ducha Francya dowodzi militaryzmem. Chwałę narodu, mówi w końcu autor, jest czynić wielkie rzeczy zachowując czystość swojej krwi, tradycyi i ducha. Czyż to nasza chwała? Nie dopięliśmy wielkich przedsięwzięć, chwała nasza uzurpowana; jesteśmy bez tradycyi i bez zasad.“

Wyż przytoczone zdania i sądy dowodzą, że jeżeli Proudhon nie innych oszczędza szczepów, ani narodowości, nie mniej surowym jest dla swojego własnego kraju.

— Pan Feer professor tybetańskiego i mongońskiego języka w szkole języków wschodnich, wydał książkę o potęgde i cywilizacyi mongońskiej w XIII wieku. (*La puissance et la Civilisation mongoles au Troisième Siecle*). W treściwym obrazie autor pokazuje jak się utworzyło państwo mongońskie, jak siebie zniszczyło, w jakich stosunkach pozostawało z monarchami chrześcijańskimi, a mianowicie z królami francuzkiemi. Dalej mówi o usiłowaniach Francyi celem oświecenia tego państwa, wedle nowo odkrytych dokumentów. Wszystkie te rzeczy Feer dla większej publiczności opowiada zrozumiale. Studium tak dalekiego kąta ziemi zajmuje Francuzów jako ognisko dziczy, która spadła na Europę i postać jej zmieniła; dla geografów i etnografów jest ważne, gdyż rozprzestrzenia pole ich obserwacyi.

— Felixa Belly książka: *A travers l'Amerique centrale le Nicaragua et le canal interoceanique*, mocno zajmuje tutejszych przemysłowców. Jestto książka nie bez wagi naukowej. Autor opowiada o drugiej półkuli wiele szczegółów nieznanych; styl piękny, moc przekonań, w sferach wyższych stawia wielkie przedsięwzięcie kanału Nicaragua i jedna mu nie mało współpracowników we Francyi.

PIEŚNI OSSYANA.

PRZEKŁAD

Maryi Ilnickiej.

KARTHON.

Błękitna Loro! szmer twojej wody,
Echa minionych przebudził czasów;
O Gormallarze! wiosenne chłody
Słodko mi szumią w ciszy twych lasów;
W ciszy twych lasów, w cieniu doliny,
Gdzie skała stoi w wrzosów koronie,
Mgła na nią rąbek zarzuca siny,
Trzy stare sosny wiszą na łonie.
U stóp zielona leży równina,
Wonieją zioła, kwitną tam kwiaty,
Białe kielichy wietrzyk nagina,
Snieżny puch oset trzęsie brodaty.
Ale Malwino, patrz, na uboczu
Głaz obok głazu zwałił się czarny:
Scigany jelen mimo uskokczy,
Spłoszone tędy nie biegną sarny.
Bo duch przeszłości siadł tu na straży,
Milczący czuwa w milczenia grozie.
Dziewico Luty! grób to mocarzy,
Potężni w cichym leżą wąwozie.

Powieść przeszłości, dzieje dni dawnych.

Któżto! któżto stąpa w dali,
Swych tysięcy wiedzie rotę?
Blask się słońca przed nim pali.
Z nad gór szczytów, z nad wód fali,

Wiatr mu wieje we włos złoty! ..
 A on cichy, on łagodny,
 Żarów wojny z ócz nie ciska,
 Jak ów płomień w mgłę nadwodnej,
 Co w wieczoru czas pogodny
 Nad doliną Kony błyska.

Któżby! któżby! syn Komhala!...
 Co się pracą walk nie trzusi,
 Jak wspaniała morza fala
 Do gór swoich wraca z dala
 I tysiąca harf dźwięk budzi.

Nuże pieśni! głos wesóło
 Jak pierzchnęli syny trwogi;
 Jak miotając dumne czoło,
 Krwawe oczy tocząc wkoło
 Wstrząsł się świata mocarz srogi!...

Taka pieśń była w godzinie chwały,
 Gdy harfy Bardow na Selmie brzmiały;
 A jak czerwone blaski zachodnie
 Gorzały z krajów obcych pochodnie;
 I zastawiono ucztę dokoła:
 Noc wśród uciechy biegła wesóło,
 Gdy długowłosa Fingal zawoła:
 „Czemuż w godzinie mojej radości
 Starzec Klessamor ze mną nie gości?
 Czemuż go nie ma przy moim boku
 W tłumie mocarzy, w męźnych natłoku?
 Czemu go niema? ale widzicie
 Rycerską postać na wzgórza szczycie?
 Iście Klessamor stąpa ze skały,
 Jako w swój sile rumak wspaniały,
 Gdy grzywę jeząc w śród nocnej ciszy
 Wietrzy dalekich swych towarzyszy.
 Bywaj rycerzu pozdrowion ninie:
 Czemuż tak rzadko w królów gościnie?”

Klessamor na to: „Żaliż pospołu
 Sława z mocarzem siadła do stołu?
 Jak ongi było, gdy Komhal młody
 Z krainy wrogów wracał na gody,
 Z krainy wrogów do króli progów,
 Wśród szczęku mieczy, wśród brzmienia rogów,
 Wracał z za siniej Karunu fali.
 Czerwono świecił blask naszej stali;
 A mocarz świata na tronie swoim
 Drżał tajemniczych trosk niepokojem.
 Lecz pocóż dawne czasy wspominać?
 Ręka dziś nie chce łuku napinać,
 Ramię lżejszego oszczepu szuka,

A włos ten czarny, jak skrzydło kruka
 Czas pokrył białym śniegiem starości!...
 Nie! nie wróćcie chwile przeszłości,
 Chwile przeszłości, szczęścia godziny,
 Kiedy za modre oko dziewczyny,
 Czarne jej kosy i łono białe
 Szczęście żywota oddałem całe...”

„Powiedz, król rzece, powiedz nam twoje
 Młodych dni troski i niepokoje;
 Bo jak na słońcu czarnych chmur ślota,
 Na duszy twojej ciężą zgrzyzota.
 I po nad Lory huczącą rzeką
 W samotnych dumach dni twoje cieką.
 Odkryj więc wdzięcznym słowem powieści
 Młodzieńczych dziejów twoje boleści.”

Klessamor rzece: „Dawne to czasy!...
 W pokoju stały Morwenu lasy,
 Gdy mnie topieli zdrajne lazury
 W Balkluty pyszne zaniosły mury;
 Wicher mi wtedy dał zągiel biały,
 Strumienie Kluty okręt szarpały,
 A ja trzy doby lubej gościny
 Patrzyłem w jasne lica dziewczyny,
 Aż wyprawili konch pełnych gody
 I dał mi córkę mąż siwobrody,
 Dał Reutomir Moinę piękną.
 Cicho Bardowie! harfy nie brzękną
 Tak, jak głos płynął z ust jej korali;
 Łono dziewicze—piana na fali;
 Oczy—dwie gwiazdy, a czarna kosa
 Noc, co promienne kryje niebiosa.

Przybył mąż obcy i on dziewoje
 I on ulubił kochanie moje;
 Gniew dzikiej zemsty dyszał mu w słowie,
 Coraz się miecza ima w połowie,
 Aż rzekł mi wreszcie: „Czy tu gdzie zbliska
 Miecz potężnego Komchala błyska?
 Niezmordowany goniec po wrzosach,
 Czy on tu idzie przy pieśni głosach,
 Że tak Klessamor w dumie się puszy?”

Jam na to: „Woju! promień mój duszy
 Własnego ognia promieniem gore,
 Słów twoich pycha urosła w porę,
 Że wśród tysięcy sam jeden stoję;
 Lecz ja nie blednę, ja się nie boję,
 Ni za się rzucam trwożnego wzroku,

Jeno miecz ojców ściskam przy boku;
 Wara więc synu huczającej Kluty,
 Kasać mnie słowem chelpliwiej buty.“

Zerwał się mocarz, duma go wsparła
 I stal błyszcząca z stalą się zwarła!
 Upadł pod ciosem! a brzegi Kluty
 Echem upadku jęczały póty,
 Aż tysiąc mieczy błysło dokoła;
 Jam nie uchylił trwożnego czoła,
 Ale przemocy zmogły mnie syny!
 I wtędy skoczył w wody nurt siny;
 A białe żagle z wiatrami w sporze,
 Znów przez błękitne niesły mnie morze.
 Moina jęcząc na brzeg przypadła,
 W łzach się mieniła twarz jej wybladła,
 Włos kruczy płynął po wiatrów woli.
 Daremnom słyszał głos jej niedoli,
 Daremno czarno-tonym okrętem,
 Z technieniem się wschodu darłem zawziętém:
 Już nie ujrzałem błękitno-okiej!
 Tylko gdy Łory srebrne potoki
 Szumiały w ciszy nocy miesięcznej,
 Duch do mnie zstąpił bładny a wdzięczny,
 Jak ten księżyc promyk na nowiu,
 Co drży samotny na chimur wezglowiu;
 A niebo sieje srebrny puch śniegu
 Dla uciszzonej ziemi noclegu.

Bardowie! (głos zagrział Fingala)
 Uderzcie w harf strony uspijone!
 I ducha Moiny przyzwijcie gdzieś z dala,
 Na nasze pagórki zielone!
 Niech buja swobodnie z Morwenu córami,
 Co były dni dawnych promieniem,
 Weselem rycerzy! ich biesiad blaskami!
 I niemych dziś pieśni natchnieniem!
 Lecz gród twój Balklutu jam widział w ruinie,
 Zwały się szczyty twych wieży,
 Syk ognia zaszumił po komnat gościnie,
 Gdzie gwar się już ludu nie szerzy!
 O Kluty strumienie pod mury spadłemi,
 Zgubiły ślad dawny łożyska;
 Samotny się oset pochylił nad niemi,
 Mech pokrył zezerniałe zwaliska;
 Wśród chwastów splełanych zwierz dziki ma czaty,
 Przez okna na łupy swe dybie.
 Pustkami stanęły Moiny komnaty,
 Milczenie w jej ojców siedzibie.
 Zantęcie więc bardy pieśń smutną załoby.

Zapłaczcie nad obcych dziedziną!
 Przed nami upadłszy, pokładli się w groby,
 Lecz nasze dni również przeminą!
 Skrzydlatych chwil synu! dla kogo kolumny,
 Dla kogo strop wznosisz téj wieży?
 Ze szczytu tych ginachów poglądasz dziś dumny,
 Lecz czekaj—za rokiem rok bieży....
 Szalone burz tchnienie od puszczy przygoni,
 Po pustych podwórzach zawyje,
 W spróchniałe tarcz kręgi świst wichrów zadzwoni,
 Rdza mieczów błyszczących hart wyję!
 Co burze! co wichry! niech gromy, niech ryki,
 Moc dzika zagłady szaleje,
 Jam mieczem budował rąk moich pomniki,
 A pieśni zdał czynów mych dzieje;
 Więc moja jest radość! niech bardów chór pieje,
 A koncha kolejną nam służy,
 Jeżeli twój słońce! blask z laty zciemnieje,
 To sława ma będzie trwać dłużej!

Tak śpiewał Fingal, a do-okoła,
 Tysiące mężnych schylało czoła,
 Słuchając pieśni co w swoich tonach
 Brzmiąta jak tchnienie wiatru po stronach;
 Tymczasem nocne pierzchały cienie,
 Poranek w złote błysnął promienie,
 Góry wyjrzały głowy siwemi,
 Morze się w dali śmiało za niemi;
 A nad jeziorem jak chmura biała,
 Drżącym tumanem mgła się wzbijała.
 Nagle ten tuman podniósł się, wzdyma,
 Urósł w strasznego dziada, olbrzyma.
 I dąży błoniem w ciszy zarania;
 Nie słychać kroków jego stapania;
 Wiatr go nie niesie—powietrzem płynie,
 Ku królów Selmskich mierzy gościecinie;
 Przeszedł podwórcę, progi przesunął,
 I krwawym deszczem wśród sali lunął.

Król jeden tylko ujrział widziadło,
 Śmierć ludu serce jego odgadło;
 W milczeniu przeszedł komnaty swoje,
 W milczeniu starą ojców kładł zbroję.
 Aż mu zachrząścił pancierz na łonie:
 Zerwą się męże—w skupioném gronie
 Patrzą na króla, śledzą mu wzroku,
 Wojnę w spłonioném dojrzeli oku;
 A śmierć na miecza iskrzącej stali!
 I tarcz tysiące razem porwali,

Razem dostali mieczów tysiące!
 Komnata Selmy błyska jak słońce.
 Szare psy wyją, chrzęszczą pancerze,
 I niemi wkoło stają rycerze.
 A król im rzece: „Morwenu syny!
 Nie czas przy konchach trawić godziny,
 Bo duch życzliwy ostrzegł Fingala,
 Że wrogi jego spieszą się z dala,
 A jak widziadło zrodziła fala,
 Tak od fal strony wojna się chmurzy;
 Śmierć rycząc będzie jak piorun burzy,
 Nuż więc za oszczep nie dziewczki dłonią!
 Niech miecze ojców w prawicach dzwonią,
 Stare ojcowskie, niech błyszczą zbroje;
 Morwenu woje! za mną na boje!
 Za nasze góry! lasy i zdroje!

Stąpa bohater przed wojska szykiem,
 Jak czarna chmura z krwawym wężykiem,
 Co żeglarzowi w nocej podróży
 Nadiągającą tuż burzę wróży.
 Stąpa bohater—gdzie wrzos zielony,
 Jak bór stanęli na szczycie Kony.
 Dziewczyna z bielszém od śniegu łonem,
 Spojrzała okiem łzami przyémioném;
 Żal jej młodzieńca, co dzisiaj zginie,
 I klnąc ku morskiej patrzy głębinie;
 Na tej głębinie, na tej topieli
 Bałwan się tylko zdradliwie bieli;
 Lecz słońce wstało, i w modrej dali
 Tysiące statków widać na fali.
 Widać ich—pędzą jak tuman śniegu,
 Aż zaskrzypiały piaski na brzegu.
 Tłum męźnój młodzi hurmem wysiada,
 Wódz ich jak jelen w pośrodku stada.
 Krąg jego tarczy nabity złotem
 Kroczy wspaniale, stąpa z łoskotem
 I prosto widać ku Salmie mierzy:
 Za nim tysiące jego rycerzy!
 —„Ullinie, —Fingal do Barda mówi:
 Idź ku pysznemu mieczów królowi;
 Idź, proszę, z wdzięczną pieśnią pokoju.
 Powiedz mu, żeśmy potężni w boju;
 Że wrogów naszych tułacze duchy
 Świszczące wiatrów niosą podmuchy;
 A sławni w świecie ci którzy z nami
 Za biesiadniemi siedli stołami.
 Na pokaz niosą ojców mych bronie;

Lud im w nieznaną dziwi się stronę
I imię nasze daleko słyńie,
Drży mocarz świata w dumnej krainie.”

Poszedł Bard—Fingal podparł się, stoi.

Patrzy na wroga w błyszczącej zbroi
I cudzoziemców wodza tak chwali:
„Jakiż wspaniały syn morskiej falil
Miecz jego bioder—płomień pożogi;
Jak sosna w lesie oszczep na wrogi.
A tarcza drugie koło miesięczne!
Jak śliczne włosy! jak lica wdzięczne!
Czemuż to drzewo runąć ma ninie?
Imienia jego pamięć zaginie!

I cudzoziemka tylko nieboże
Smucić się będzie patrząc na morze;
A kiedy okręt ujrzawszy w biegu
Dziatwa wesola krzyknie na brzegu:
„To mocarz ludu wraca nareszcie!“
Łzy z oczu nędznej trysną niewieście.
Bo ten, za którym myśl jej w pogoni,
Został, z kąd nigdy nie wróci do niej!...”

Tak mówił Fingal, a Bard się spieszy;
Stanął przed wodzem rycerskiej rzeszy.
Stary wódz oszczep do stóp mu rzucił
I pieśń pokoju taką zanucił:

Chodź na ucztę do Fingala
Ty coś do nas przybył z dala,
Chodź królewskie dzielić gody;
Albo woju niespokojny
Podnieś w górę oszczep wojny;
Ale radzę spojrzysz wprzód.
Spojrzyl!—okiem rzucić dokoła,
Gdzie zielone wzgórków czoła
Kamiennym się szczytem jeżą:
To najeźdców dumne plemię
Na Morwenu padło ziemię:
Na ich grobach głowy leżą!....
—„Co mówisz, Bardzie lesistej ziemi?
Zawołał Karthon, wódz nad mężnemi.
Co mówisz do mnie, synu pokoju?
Czyn ja jest chłopię nie byłę w boju?
Czy lice moje bladło od trwogi,
Że zwyciężone liczysz mi wrogi?
Niel ramię moje zna już co boje.
Dla innych starcze pokusy twoje;
Dla innych słodkie pieśni twych nuty.
Czym ja nie widział gruzów Balkluty,

Ażeby teraz za jednym stołem
 Z synem Komhala godować społem?
 Tego Komhala, co mi pozarem
 W ojców mych gnieździe zaświecił starem?
 Mały ja byłem; ach! nie wiedziałem
 Czemu tak męże biegają cwałem,
 Czego tak w nocy dziewice płaczą?
 Klaskałem patrząc jak iskry skaczą;
 Dym nad ścianami bawił mnie bury,
 Cieszyła mężnych ucieczka w góry.
 Ale nie długo, ach! nadto wcześnie
 Na gruzach mogił poznałem plesnie;
 Z zorzą się jęki budziły moje,
 Nocą płynęły skrytych łez zdroje.
 Aż duszy mojej rzekłem nareszcie;
 Na co łzy? na co jęki niewieście?
 Czemu nie walczyć z wrogów synami?
 Tak—Bardzie! będę ja walczył z wami!
 Będę ja walczył—czuję dość siły!
 Za wszystkie gruzy! wszystkie mogiły!"

Lud wkoło wodza scisnął się kołem,
 Miecze żelazem błysnęły gołem,
 A on w ich środku jak słup płomieni,
 Łzę wstrzymywaną wzrok mu się mieni,
 Bo wspomniał nędzną pustkę Balkluty,
 Lecz pierś od męzkiej wzniosła się buty.
 A kiedy spojrział na wrogi swoje,
 Na ich błyszczące miecze i zbroje,
 Oszczep mu zadrzał! naprzód schylony
 Grozić się zdaje szczytowi Kony.

Tymczasem Fingal mówi do siebie;
 „Mamże z młodzieńcem stanąć w potrzebie?
 Mamże go wstrzymać w drogi połowie,
 Nim świat imienia jego się dowie?
 Anuż na cichój jego mogile
 Bard kiedyś powie:—„W tysiąców sile
 Fingal na niego uderzył zgrają!
 Śpiewaku wieków które przejść mają,
 Nie! ty nie będziesz bluźnił méj sławie,
 Innemu walkę z młodym zostawię,
 A sam ustane patrzeć z tej góry.

Wodzowie moi! któryż z was, który
 Chce się spróbować z tym morza synem?
 Stoi nie podłym otoczony gminem;
 A jesionowy oszczep ten w dłoni
 Z lada się wiatru technieniem nie skłoni."

Zerwał się Kathul, syn Larmarowy,
 Zerwał się silacz na dźwięk tój mowy,
 Plemię rodzinnych jego wybrzeży,
 Trzystu za wodzem poszło rycerzy;
 Ale niestety, nie jego ramię
 Młodą Balkluty chwałę przelanie.
 Polegli: strwożone pierzchnęły woje.
 Więc Komhal za nich poszedł na boje.
 Lecz miecz mu prysnął, cios strzaskał zbroję,
 I już na ziemi związany leży—
 Karton rozgania jego rycerzy!...

—Nuż Klessamorze!—Król huknął głosem;
 Gdzie miecz twój stary z śmiertelnym ciosem?
 Zacz patrzeć będziesz stojący z dala
 Na bezsilnego w pętach Komhala?
 Wstań wierny druhu mego rodzica,
 W blasku oręża co ci przyświeca,
 Wstań i Balklutskiej pokaż młodzieży,
 Jak ród Morwenu cenie należy!

Powstał wódz siwy, włosy rozgarnie;
 Snadź słowa króla nie pójdą marnie,
 Bo już przytwierdził oręż do boku
 I idzie w dumie męzkiego kroku.

Karton stojący pod łemem skały,
 Ze czią się spojrzął na ten włos biały;
 Miła mu starca moc wojownicza
 I słodki widok jego oblicza.
 —„Czy, myśli sobie, wzniesie mi wypada
 Oszczep, co nigdy próżno nie spada?
 Lub też łagodnym słowem przymierza
 Oszczędzić życie starca rycerza?
 Ostatni promień gasnącej chwały?
 Jakżeż chód kroków jego wspaniały!
 Może méj matki mąż zatracony,
 Może mój ojciec z dalekiej strony,
 Gdzieś mieszkający u Lory brzegu,
 Takie ma lice w starości śniegu?”

Ale Klessamor tuż już nadchodzi.
 Podniósł oszczepu, prosto nim godzi;
 Więc młodzian na cios wystawił tarcze
 I tak przemawia: „Wojaku, starcze,
 Czy tam już u was zabrakło młodzi,
 Której z młodemi walczyć się godzi?
 Czy nie masz syna, coby za ciebie

Miecz ojców swoich dzwignął w potrzebie?
 Oblubienica twoja sędziwa
 Czy obok niego padła nieżywa,
 Albo ta płacze na świeżym grobie
 Że siwy woju dała iść tobie?
 Jesteś ty królem! wodzem narodu?
 Cóż ręka twoja zdziałała z młodu?
 I jaka będzie sława mej broni,
 Gdy siwa głowa pod nią się skłoni?..”

„Nie mała sława, zaszczyt nie lichy,
 Rzekł mu Klessamor—lecz synu pychy,
 Jam nie wojownik, który przed bojem
 Wrogom z imieniem chlubi się swoim!..
 Ustąp mi kroku, a poznasz wtedy
 Com ja na świecie zdziałał i kiedy!...”

„Nie mnie się cofać, Karthon mu na to;
 Bo sława wieków moją zapłądą,
 Ale ty wodzu, nie gardź przestrogą:
 Ciosy mej dłoni sypią się mnogo;
 Zejdź więc na stronę i jak się godzi:
 Stary niech spocznie, a walczą młodzi!”

Gorzka iza w oku rycerza stanie:
 „Zacz mi urągasz, dumny młodzianie?
 Jeszcze prawica nie drży mi przecie,
 Jeszcze mię ciężar miecza nie gniecie.
 Ja mam uciekać w obec Fingala,
 Jak drżąca dziewczka chować się z dala;
 Ja mam doczekać hańby tej losu?
 Nuż synu morza! złóż się do ciosu!...”

Starli się z sobą jak huragany,
 Pod których tchnieniem drżą mórz bałwany.
 Lecz Karthon błaga miecza swojego,
 By nie tknął głowy starca siwego;
 Bo w młodej głowie dziwnie się roi,
 Że to sam ojciec przed synem stoi.
 Ale starcowi słabiej ręka,
 Drzewo oszczepu na dwoje pęka,
 A miecz młodzieńca wydrzcć się sili.
 Lecz on ma sztylet ojców, i w chwili
 Gdy wróg odkrytym zwijał się bokiem,
 Wbił go pod serce ostrzem szerokiem!

Fingal zdaleka widzi że pora
 Rozbrojonego wzmódlz Klessamora,

Więc ruszył naprzód w łaskocie zbroi.
 Milczące wojsko na wzgórzu stoi.
 I wszystkich w niego patrzą się oczy,
 A on doliną wspaniale kroczy.
 Podobien temu szumowi burzy,
 Co wiatr wyprzedza, a piorun wróży;
 Także myśliwiec nagle spłoszony
 W skał rozpadlinach szuka uchrony.

Karthon stał w miejscu: krew żyga z boku,
 Lecz widzi króla, i jeszcze w oku
 Radość mu błysła sławy nadzieją.
 Cóż, gdy jagody coraz blednieją,
 Włos w tył gdzieś leci; drży kuta zbroja.
 Przeszła Karthonie, przeszła moc twoja
 Fingal już z tobą walki nie stoczy,
 Bo dostrzegł mocarz krew co cię broczy,
 I słowo zgody puszczając przodem
 Oręż swój chyli przed tobą, młodym.

— „Poddaj się wodzu; skończone boje.
 Krwi ci z pod serca uciekły zdroje,
 Błede masz lica, a choć go ima,
 Ręka oszczepu już nie utrzyma.“

— „Czy to ty jesteś, Karthon się pyta,
 Ta błyskawica śmierci nie syta?
 Co straszy władców dalekiej strony?
 Czy to ty jesteś król wszechsławiony?“

Lecz co ci pytać, nędzny Karthonie!
 Szybki jak strumień w gór jego łonie,
 Śmiały jak orzeł, co chmury porze.
 Czemużeś, czemu, woju nieboże
 Z miecza się jego ciosami złożył?
 Byś w pieśni bardów na wieki ożył?
 I słyszał w grobie mowę rycerzy:
 Z Fingalem walczył ten co tu leży!...
 Ale ty zstąpisz w ciszy mogiłę,
 Boś ze słabemi zmarnował siłę!..
 Mężny nie zginie nigdy bez wieści;
 Rzekł król Morwenu głosem boleści.
 Dostyć jest Bardów w mojej krainie;
 Pieśń ich natchniona wieki przepłynie;
 I kiedyś przyszłych pokoleń syny,
 Wśród uroczystej biesiad godziny,
 Kiedy płonące dęby obsiedą,
 O tobie słuchać i marzyć będą.
 A łowiec spocząc ległszy na wrzosach,
 Gdy w huczącego wiatru odgłosach

Ustłszy echo drzące na Konie,
Ze czcią ku tamtęj zwróci się stronie
I synka swego garnąc ku sobie,
Powie mu: Karthon leży w tym grobie.
Karthon co walczyć przybył z daleka,
Jak z stu potóków wezbrana rzeka.

Ciężkie powieki Karthon odmyka,
Radość migąła na wzór promyka,
Którym zachodnie śmieje się słońce.
Jeszcze miecz dłonie dzwigały drzące,
Dał go królowi—niech mu zostanie!
Błyszczącym ostrzem wisząc na ścianie
Niech pamięć jego budzi w Morwenie!

Ustała walka: pokoju pienie
Bard z pochylonem zanucił czołem.
Mężę milczącym stanęli kołem
I opuściwszy na dół ramiona,
Słuchają głosu tego co kona.
A głos ten smutny, mowa ta cicha,
Jak wiatr co w długich włosach mu wzdycha.

— „Królu Morwenu, padam za młodu,
Nie dobiezawszy i pół zawodu,
Ostatnie dziecię starego rodu
Wielki Balkluto zał ci się stanie,
Boleś na Krathmie zajmie mieszkanie.
A wy tymczasem, wrogowie moi.
Grób mi u Lory wysypcie zdroi;
Może na syna kurhan nieznany,
Przyjdzie Moiny mąż zabłąkany!“

Słyszcy Klessamor, w pierś zgnęły słowa,
Siwa na ziemię runęła głowa,
Niemą się grozą tłum zatrząsł cały,
Niebo i ziemia w milczeniu stały.
Aż noc nadeszła: księżyc na wschodzie
Drzał w sinęj jakięś tęczy obwodzie.
A mężę stali, jak las Gormali,
Gdy teńnienie wiatru pójdzie gdzieś dalej.

Trzy dni płakano zgonu mężnego,
Nieszczęsny ojciec skonał czwartego;
Więc położywszy obu przy sobie,
Razem ich w jednym schowano grobie.
Duch jakiś smutny objął tam strażę;
A czasem znowu po dziennym skwarze,
Gdy już cień nocy spadnie dokoła,
Lecz słońce jeszcze drga u skał czola,

Moina płynie na rąbku chmury,
Ale nie taka jak gór tych córy:
Wiatrów ją kędyś rwą niepokoje,
Samotna zawsze, obce ma stroje.

W duszy Fingala żal mieszkał długo.
I kazał bardom smutku posługą,
Pilnować pierwszej jesiennej doby;
A kiedy przyszła z jękiem żałoby,
Drżące za sobą prowadząc cienie,
Takie śpiewano pieśni w Morwenie:

Kto idzie od morza? przez dzikie bezdroża?
Kto ciągnie jak chmura jesieni?
Śmierć niesie w prawicy, blask jego żrenicy
Goreje tysiącem płomieni!
Nad Lorą, nad rzeką, gdzie fale wód cieką,
Kto głośniej zahuczał niż one?
Oszczepem gdzie zmierzy, pomostem lud leży,
Wytłoczył precz wrzosa zielone.
To Karthon, Bardowie, tłum za nim jak mrowie,
Z Morwenu chce mierzyć się duchem;
Lecz wichry zawyły, dąb runął bez siły,
Zwalony ich nagłym podmuchem.

Nadziejo Balkluty, na jakiej dźwięk nuty,
Na jakich głos ockniesz się pieni?
Przybyłeś z fal morza, przez dzikie rozdroża,
Ciągnąłeś jak chmura w jesieni?...

Śpiewano pieśni, a bard żaloszny
I ja smutnego dałem dźwięk głosu,
Bo Karthon poległ w dniu swej wiosny,
Od nieszczęsnego zwałił się ciosu.
I gdzież jest teraz? na jakiej chmurze,
Na jakim wietrze jego mieszkanie?
Czyż, z Klessamoreem bujając w górze,
O krwawej swojej zapomniał ranie?
Ale Malwino, słońce dopieka,
Prowadź mnie, prowadź, w moje ustronie,
Kiedy się senna przymknie powieka,
Może tam do mnie zstąpisz Karthonie?
Głos niby jakiś słyszę z daleka,
Na grobie męcznych, czuję, żar płonie.
Ty! co się w górze toczysz wysoko,
Jak tarczy mojej koło błyszczące,
Zkąd takim blaskiem pała ci oko,
Zkąd światło twoje bierzesz, o słońce?...

Gdy twych promieni nadchodzi краса,

Zbladłe się gwiazdy kryją po niebie,
 Gdzieś na zachodzie księżyc dogasa,
 Bo któż wydoła stać obok ciebie?
 Padają dęby na gór wyżynie,
 I góry same z wiekiem się walą,
 Siny ocean nie zawsze płynie
 Równiej potęgi jednaką falą;
 Księżyc na niebie czasami ginie,
 Promienie twoje tylko jedynie
 Blaskiem wesela zawsze się palą!...
 I kiedy nawet niebo się chmurzy,
 Gdy gromy ryczą, drżą błyskawice,
 Ty z za obłoku wychylisz lice
 I z szalejącej śmiejesz się burzy.

Tylko daremnie dla Ossyana
 Spojrzenia twego promień migota,
 Żółtych twych włosów nie widzi z rana,
 Nie wie gdy stąpasz w zachodu wrota.
 Któż jednak zgadnie?... jak mnie, tak tobie
 Może kres również zawodu dano?
 Gdy na obłoków zaśniesz gdzie grobie,
 Już cię swym głosem nie zbudzi rano,
 Więc ciesz się teraz siłą twą młodą,
 Bo smutna bywa starości pora,
 Jak kiedy z drżących chmur niepogodą,
 Księżyc się łamie w cieniach wieczora,
 A wiatr tymczasem świstem złowieszczym
 Z gór na dolinę pędzi tumany;
 Wędrowiec trwożnym przejęty dreszczem,
 W połowie drogi staje zbłąkany!..



APOLOGIA SOKRATESA

PRZEZ Xenofonta,

przełożył z greckiego z dodaniem krótkiego wstępu

L. S. Wieczor

Kand. filoz.

W czasie zgubnej dla wszystkich Greków, tak zwycięzców jak i zwyciężonych, wojny Peloponezkiej (431—404 przed Chr.), oświata grecka zaczęła chylić się ku upadkowi. Zniknęło dawne męstwo, dawna prostota obyczajów; wiara była zachwiana, moralność w stanie rozprzężenia. Zjawili się fałszywi mędracy, sofiści, którzy dowodzili że wszystko co jest uważane za prawdę, jest zarazem nieprawdą i za pomocą subtelnej, odurzającej gadaniny raz dowodzili, drugi raz zbijali to samo. Powstał zamęt w wyobrażeniach, nie wiedzianno czego się trzymać. Stare pojęcia i stare tradycje były zachwiane, sofiści przyłożyli się do ich upadku, lecz nie zbudowali sami nic nowego. Wtedyto wystąpił Sokrates syn Sofroniska (ur. 469 r. przed Chr.) jako wróg sofistów.

Człowiek ten spędził całe życie na placu publicznym i na ulicach Aten, nie pisał on żadnych dzieł, nie wdawał się w subtelne roztrząsania, które były naówczas w modzie; lecz opierając się przeważnie na prostym, zdrowym rozsądku, rozmawiał ze wszystkimi o obowiązkach i potrzebach życia. Filozofia jego była przeważnie praktyczną: przedewszystkiem zalecał on poznanie siebie samego (*γνώθι σαυτόν!* Znaj siebie samego!); uczył żyć uczciwie, wypełniać swe obowiązki a w rozumowaniach i nauce trzymać się ściśle praw zdrowego rozsądku, logicznych praw myślenia. Przeciwno sofistom Sokrates używał ich własnej broni: udając zrazu zupełnie nieumiejętnego, stopniowo zręczną dyalektyką, rozmowami prostym i zdrowym wykazywał cześć ich nauki. Sokrates nie był jednak wcale przyjacielem wyuzdanej ateń-

skiej demokracji i stronnikiem dawnych zasad: jego rozumowania obalały także wiele tradycyjnego i to nam tłumaczy dlaczego gorliwy obrońca dawnych zasad, Arystofanes wyszydził i wyśmiał Sokratesa w swojej komedyi: *Obłoki* (*Νεφέλαι*, Nubes). To też, w 5 lat po ukończeniu wojny, po upadku narzuconych przez Spartę rządów 30 tyranów, i przywróceniu demokracji, trzej wpływowi Ateńczycy: Anytos, Melitos i Lykon oskarżyli Sokratesa przed sądem. Nieśluszne to oskarżenie zawierało 3 punkta: 1) Sokrates nie uznaje ojczystych bogów, 2) wprowadza nowe bóstwa, 3) psuje młodzież. Sokrates, gardząc temi potwarzami, nie myślał wcale błagać litości sędziów, nie prosił o zmniejszenie kary, odzywał się w sądzie z ironią, z politowaniem nad zaślepieniem sędziów i z poczuciem swojej wartości, tak że oburzony sąd, większością jednakże tylko 5 głosów, skazał go na śmierć. Sokrates obojętnie wypił cykutę w 70 roku życia (399).

Apologia czyli obrona Sokratesa przez Xenofonta zawiera 34 paragrafów. W pierwszych dziesięciu przytacza autor rozmowę Sokratesa ze swym uczniem Hermogenesem o przyszłej obronie; następnie § 11—22 zawierają obronę Sokratesa, wypowiedzianą przed sądem. Tu Sokrates zbija wszystkie trzy punkta oskarżenia i zarazem stawia przed oczami sędziów obraz swego cnotliwego życia. W ostatnich paragrafach Xenofon wspomina ostatnie chwile Sokratesa i kończy pochwałą tego mędrca. W ogóle niewielkie to piśmiśko, właściwym Xenofontowi pięknym i potoczystym językiem napisane, jest pięknym hołdem, który autor oddał pamięci swego mistrza, wspominając go zawsze z miłością i uwielbieniem: jest to krótkie streszczenie tego, co o życiu i nauce Sokratesa przekazał potomności Xenofon w swém większém dziele: *Pamiętnikach* (*Memorabilia*).

Apologią Sokratesa napisał także drugi, niemniej znakomity jego uczeń, Platon. Jest to dzieło znacznej objętości, skreślone z zapałem, po mistrzowsku, ozdobione wszystkimi powabami poezyi i krasomówstwa, jakie geniusz Platona miał na zawołanie; pomnik niepożyty, wynoszący Sokratesa do ideału. Apologia Xenofonta w porównaniu z apologią Platona jest więcęj prostém, serdeczném wspomnieniem ucznia o nieodżałowanym nauczycielu.

XENOFONTA

Apologia Sokratesa.

Zdaje mi się rzeczą godną przypomnieć i o tém, jak Sokrates, przed sąd powołany, zastanawiał się nad swą obroną i nad końcem życia. Pisali o tém i inni, i wszyscy wystawili trafnie jego wymowę, co jest dowodem, że rzeczywiście tak mówił Sokrates; lecz że już wtedy Sokrates wolał śmierć niż życie, tego żaden z tych pisarzy nie wykazał i w skutek tego obrona jego nie wydaje się dość rozsądną.

Hermogenes to właśnie, syn Hipponika i przyjaciół Sokratesa, opowiadał o nim, że jego wymowa jaśniała rozumem; onto bowiem, widząc że Sokrates o wszystkim raczej rozprawiał więcej niż o swym procesie, rzekł:

Czy nie potrzeba też, o Sokratesie, zastanowić się i nad tém, co masz powiedzieć na swą obronę? Sokrates odpowiedział mu zrazu: Czy ci się nie zdaje, że doszedł do kresu życia, przygotowując się do swęj obrony? Potém, na pytanie: a to jak? odpowiedział: ponieważ żyłem, nie czyniąc nic niesprawiedliwego, a to, jak sądzę, jest najpiękniejsze przygotowanie do obrony.

Ale czy nie widzisz—rzekł znowu Hermogenes, że sądy ateńskie, nieraz wprowadzone w błąd wymową, skazały na śmierć w niczém niewinnych i przeciwnie, nieraz one uwolniły winnych, albo ich mowami do litości pobudzone, albo tylko dlatego, że oni umieli pięknie mówić?

Na Zeusa—rzekł Sokrates—dwa razy już, gdym się zabierał do rozmyślania nad obroną, demon (1) mój wewnętrzny oparł się temu.

Dziwne rzeczy powiadasz—rzekł Hermogenes. Czy i to—odpowiedział Sokrates—będziesz uważał za dziwne, jeżeli bogowie sądzą, że lepiej jest dla mnie umrzeć?

(1) *Demon* (το δαιμόνιον) był to głos boski w człowieku przemawiający, sumienie, o którym Sokrates pierwszy mówił; lecz nie mogąc się jeszcze zupełnie oderwać od mytologicznych przedstawień i nazywając tę moralną potęgę bóstwem, tém właśnie ściągnął na siebie zarzut wprowadzania nowych bóstw.

Czy nie wiesz, że aż do tój chwili nie przyznaję nikomu, żeby miał przeżyć lepiej odemnie? To właśnie jest dla mnie najmilsze przekonanie, że byłem bogobojny i sprawiedliwy przez całe życie; będąc z tego powodu zadowolonym z samego siebie, odkryłem, że i ci, z którymi przestaję, tak samo o mnie sądzą.

Teraz zaś, gdy będę coraz podeszlejším w latach, wiem, że koniecznie będę musiał poddać się niedogodnościom starości: i gorzej, widzieć i gorzej słyszeć i mniej być chętnym do nauki i łatwiej zapominającym to, czegom się nauczył (1). Gdy tedy poczuję, że się staję gorszym i będę z siebie niezadowolonym, jakże mógłbym jeszcze żyć przyjemnie?

Może być nawet—ciągnął dalej—i Bóg w swojej łaskawości daje mi zakończyć życie nie tylko w porę, ale i najłatwiejszym sposobem. Jeżeli bowiem teraz mię potępią, widoczną jest rzeczą, że będę mógł zakończyć życie takim sposobem, jaki dla zajmujących się tą sprawą wydaje się najłatwiejszym, dla przyjaciół zaś moich, najnośniejszym i wzbudzającym największy żal po umierającym. Gdy bowiem nic niestosownego i nieprzyjemnego nie pozostawiłem w umysłach towarzyszy i umieram, mając zdrowe ciało i duszę zdolną do zachowania pogodnej równowagi (2), czyż nie jest więc niezawodnie taki los upragnionym?

(1) Widzimy tu zestawienie i stopniowanie niedogodności starości, a mianowicie: 1) najuniejszą niedogodnością jest *osłabienie wzroku*, gdyż pozostają jeszcze: słuch, pamięć i t. d. 2) ważniejszym już brakiem jest *osłabienie słuchu*, 3) jeszcze nieznośniejszą jest *utrata zdolności do nauki*, to jest pojētności, władzy pojmowania i nakoniec 4) największēm nieszczęściem jest *osłabienie pamięci*, zapomnienie tego, czegośmy się nauczyli, bo wtedy już starzec traci wszelką zdolność do umysłowych rozkoszy.

Że Sokrates więcj wagi (podobnie jak potēm jeszcze i Platon) przywiązuje do słuchu niż do wzroku, nie powinno nas to zdziwić, gdy przypomnimy, że w owych czasach nie wiele jeszcze uczono się przez czytanie książek, lecz więcj przez obcowanie i rozmowy z mędrca ni.

(2) *ευφρονεισσαι* słowo to, dla oddania którego po polsku użyliśmy aż trzech wyrazów (*zachować pogodną równowagę*) oznacza niezamącony stan duszy, źródło spokoju i czystych rozkoszy, który był w charakterze starożytnych Hellenów a który nowsi, jak widać, postradali, gdyż brak im i odpowiedniego wyrazu.

Słusznie też bogowie sprzeciwili się wtedy zaprzętanemu obroną, gdy się nam (1) zdawało, że wszelkimi środkami należy szukać sposobu wymknąć się (2). Gdybym był bowiem to uczynił, widocznie, zamiast teraz zakończyć życie, przygotowałbym sobie śmierć w skutek udręczeń, chorób lub starości, gdy się zbiegnie wszystko złe, zupełnie ogołoczone z rozkoszy (3).

Na Zeusa, Hermogenesie, o to ani się pokuszę, lecz wyłuszczę, jakie piękne rzeczy osiągnąłem od bogów i od ludzi (4) i objawię zdanie, jakie mam sam o sobie, a jeżeli to będzie dla sędziów nieznośnym, natenczas wolę umrzeć, niż niewolniczo błagać o życie i zyskać zamiast śmierci życie daleko gorsze.

Tak rozumiał o sobie Sokrates. Gdy zaś—powiada Hermogenes—oskarżyciele obwinili go że nie uznaje bogów, których czci miasto, lecz wprowadza inne nowe bóstwa i psuje młodzież, Sokrates przystąpiwszy rzekł:

Najprzód, o mężowie, podziwiam to w Melitosie, zkąd też wnioskując powiada on, jakoby nie uznawał bogów, których uznaje miasto, wówczas gdy i inni tu obecni i sam Melitos, gdyby był chciał, mógł mię widzieć składającego ofiary i w czasie wspólnych świąt i u ludowych ołtarzy.

Jakim też sposobem mógłbym wprowadzać nowe bóstwa mówiąc że mi się zdaje, jakobyu чуł w sobie głos boga, wskazujący co mam czynić? (5). I ci przecież, którzy używają głosu ptaków i ludzi, jako wieszczków, kierują się głosem. A o grzmotach, któż powie że one nie wydają głosu, albo że nie są największą wyrocnią? Wszak i ka-

(1) *Nam*, powiada Sokrates przez delikatną grzeczność, zamiast *wam* (uczniom) ażeby zbyt rażąco nie wystawiać niedorzeczności zdania uczniów.

(2) *Wymknąć się* (*αυτοφυγεῖν*) było to właściwe techniczne wyrażenie, gdy była mowa o uniknięciu kary; podobnie zamiast *oskarżać*, Grecy mówili *ścigać* (*διώκειν*). I jedno i drugie jest przenośnią wziętą od myślicstwa.

(3) *εὐφροσύνη* rozkosz czysta, umysłowa, wolna od cierpienia.

(4) To jest: od bogów dostąpił Sokrates *pięknych darów*, od ludzi *pięknej sławy* (dobrego o sobie muiemania). W tłumaczeniu zachowaliśmy tu energiczną krótkość oryginału.

(5) Rozumie się tu wspomniane powyżej *δαίμονιον*.

płanka pytyjska na trójnogu, czyż także nie ogłasza wyroków boga za pomocą głosu?

Że bóg przewiduje przyszłość i przepowiada, komu chce, to właśnie, jak ja utrzymuję, tak i inni mówią i uznają. Ale inni uważają za przepowiadające przyszłość ptaki, wyrocznie, oznaki i wieszczków; ja zaś nazywam to bóstwem i sędzę, że tak nazywając, mówię prawdziwiej i pobożniej niż ci, którzy boską siłę przypisują ptakom. Że zaś nie mam wcale błędnego przekonania o bóstwie, dowodem jest to, że objaśniając wielu przyjaciółom dane od boga wyrocznie, nigdy się nie omylił.

Gdy słuchając tego sędziowie szemrali, jedni nie dowierzając temu, co było powiedziane, drudzy zazdroszcząc, na wypadek, gdyby Sokrates i od bogów miał więcej otrzymać niż oni, on ciągnął dalej: posłuchajciego jeszcze ażeby ci z pomiędzy was co zechcą umocnili się jeszcze więcej w przekonaniu że nie został uczczony przez bogów. Gdy bowiem pewnego razu Cherefon zapytywał w Delfach o mnie w obecności wielu, Apollon wyrzekł że nie ma człowieka nademnie ani swobodniejszego, ani sprawiedliwszego, ani rozumniejszego.

Gdy to słysząc sędziowie znowu słusznie szemrali, Sokrates ciągnął dalej: ależ daleko więcej, o mężowie! powiedział Bóg przez wyrocznię Lacedemończykom o Likurgu, niż o mnie. Powiadają bowiem, że do wchodzącego do świątyni przemówił Bóg: „waham się, czy mam cię nazwać bogiem, czy człowiekiem.“ Mnie zaś do boga nie przyrównał wcale, lecz osądził że ludzi o wiele przewyższam. Wy jednak i w tym Bogu jeszcze nie wiercie, lecz roztrząśnijcie po szczególe to wszystko, o czém Bóg powiedział (2).

Czy znacie bowiem kogo, coby mniej odemnie hołdował cielesnym namiętnościom? Kogo z ludzi znacie niezależniejszego nademnie, który nie przyjmuje od nikogo ani podarków

(2) W tym paragrafie szczególnie wybitnie występuje prawdziwa Sokratesowa *ironia*. Tu się zarazem kończy odpowiedź Sokratesa na dwa punkta oskarżenia, t. j. na zarzut bezbożności (§ 11) i wprowadzania nowych bóstw (§12—15). Teraz Sokrates rozwija przed sędziami wzniosły obraz swego cnotliwego życia, oddając sam sobie słusność, co ze względu na ważność i uroczystość chwili, nie powinno nas razić jako samochwalstwo, 16—18) i dopiero w § 19 przechodzi do trzeciego punktu oskarżenia.

ani żołdu? I kogo według słuszności uznacie za sprawiedliwszego od tego, który, stosując się w zupełności do okoliczności, niczego cudzego nie żąda? Mądrym zaś któż może nie nazwać słusznie męża jak ja, który od czasu jak zacząłem pojmować to co mówią, nie zaprzestałem nigdy poszukiwać i uczyć się czego tylko mogłem dobrego?

Że zaś nie bezskutecznie pracowałem, czy nie zdaje się wam dowodem to, że wielu obywateli z liczby pragnących cnoty i wielu cudzoziemców ze mną przedewszystkiem wybrali obcowanie? A jaką też wymienimy przyczynę tego że wszyscy wiedzą iż ja jak najmniej mam środków odwzięczenia się, a jednak wielu pragnie dawać mi podarunki? Zkąd też i to pochodzi, że nikt nie może dowieść ażeby był moim dobroczyńcą, mnie zaś wielu wyznaje że są winni wdzięczność?

Albo to co znaczy, że w czasie oblężenia miasta inni ubolewali nad sobą, ja zaś zniosłem to wcale nie inaczej jak gdyby miasto najbardziej kwitnęło? Czémże się także dzieje, że inni skupują na rynku rozmaite przyjemności, ja zaś z własnej duszy, bez wydatków, dobywam sobie najmilsze rozkosze? Jeżeli przecie nikt nie jest w stanie dowieść że skłamałem w tém, com powiedział o samym sobie, czy nie jest więc słuszną rzeczą, ażebym był chwalony i przez bogów i przez ludzi.

Ale jednakże ty, Melitosie, mówisz że ja, pracując nad tém wszystkiém, psuję młodzież. Przecie wiemy zapewne, jakie są rodzaje zepsucia młodzieży; ty więc powiedz, czy znasz kogo, coby przezemnie stał się albo z pobożnego bezbożnym, albo z rozsądnego gwałtownym; albo z umiarkowanego w jedzeniu, zbyt kownym, albo z wstrzemięzliwego w napojach, pijakiem, albo z pracowitego, opieszałym, albo opanowanym przez inną jaką złą namiętność?

Właśnie też, na Zeusa, rzekł Melitos, znam takich, którym ty wmówiłeś ażeby tobie byli posłuszniejsi niż rodzicom.

Przyznaję to—rzekł Sokrates—ale to co się tyczy nauki, bo to, jak oni wiedzą, moją jest rzeczą. Tak pod względem zdrowia, ludzie posłuszniejsi są lekarzom, niż rodzicom, a i na zgromadzeniach ludowych wszyscy Ateńczycy bez wątpienia słuchają tych, którzy mówią najrozsądniej, bardziej

niż blizkich krewnych. A i za wodzów czy nie tych bierze-
cie, których uważacie za najdoskonalszych w sztuce wojennej
dając im pierwszeństwo przed ojcami i braćmi, a jak wy, na
Zeusa, to i przed samemi sobą? Tak bowiem, o Sokratesie,
rzekł Melitos—jest i korzystnie i w obyczajach.

Czy nie wydaje się więc tobie dziwném—mówił dalej
Sokrates, że celujący w innych rodzajach zajęć, nie tylko
przypuszczeni są do równego z innymi udziału we wszyst-
kiém, ale i szczególnie są czczeni; ja zaś, ponieważ w sztuce
wychowania, która jest dla ludzi największém dobrem,
uważany jestem przez niektórych za mistrza, za to przez
ciebie do kary śmierci jestem pociągnięty? (1).

Widocznie więc więcej niż tyle powiedziane było przez niego
i przyjaciół, którzy także w sądzie przemawiali; ale ja nie
usiłowałem opowiedzieć wszystko o procesie, lecz podobało
mi się wykryć, że Sokrates bardzo wiele wagi przywiązywał
do tego ażeby nie okazać się ani bezbożnym względem bogów,
ani niesprawiedliwym względem ludzi.

Nie uważał zaś za potrzebne błagać o darowanie życia,
lecz sądził że i czas mu już umrzeć. Że takiego był on
zdania, to okazało się jeszcze jawniej po przegłosowaniu
sprawy. Najprzód bowiem, wezwany do oznaczenia ze swęj
strony kary, ani sam nie oznaczył, ani przyjaciołom tego
uczynić nie pozwolił; lecz owszem mówił, że oznaczać karę
byłoby to przyznać się do winy.

Potém gdy ktoś z towarzyszy chciał go wykraść, on nie
tylko się nie zgodził, ale zdawało się nawet, że żartował
sobie z tego, zapytując czyby znali jaki kraj za obrębem
Attyki, nieprzystępny dla śmierci?

Gdy proces był już ukończony, Sokrates przemówił (2):

(1) Odparłszy trzeci punkt oskarżenia w § 19—20, Sokrates w tym
ostatnim § 21, stawia wniosek z całej swęj obrony wypływający. Mamy
tu próbkę Sokratesowęj *dyalektyki*; § 21 stanowi zamknięcie krótkiej obrony
Sokratesa.

(2) Po własnych uwagach Xenofonta o zachowaniu się Sokratesa
(§ 22—23), następuje krótka przemowa Sokratesa w sądzie już po'zapa-
dnięciu wyroku, skazującego go na śmierć (§ 24—26). Tu Sokrates
w krótkości raz jeszcze wystawia swą niewinność i energicznie protestując
przeciwko niesprawiedliwości sędziów, odwołuje się do sądu potomności.

Ci, o mężowie, którzy nauczyli świadków, jak krzywo-przysiężko mają fałszywie świadczyć przeciwko mnie, i ci zarówno, co ich usłuchali, koniecznie muszą poczuwać się do wielkiej bezbożności i niesprawiedliwości. Ja zaś dla czegobym teraz miał więcej upadać na duchu niż przed osądzeniem? Nie okazało się bowiem wcale, ażebym zamiast Zeusa i Hery i bogów w ich orszaku będących, składał ofiary jakimś nowym bóstwom, przysięgał na nie lub uznawał innych bogów.

Co się tyczy młodzieży, jakim sposobem mógłbym ją psuć, zaszczipiając prostotę i wstrzeźliwość? Z występ-ków zaś, za które kara śmierci jest ustanowioną, jako to: świętokradztwo, łupieztwo, handel ludźmi, zdrada ojczyzny, z tych sami nawet przeciwnicy moi nie mówią, ażebym który-bądź popełnił. W skutek tego dziwną jest, przynajmniej dla mnie rzeczą, jakim też sposobem stało się dla was ja-wném, żem popełnił czyn godny śmierci.

Ale właśnie nawet dla tego że niesłusznie umieram, nie wypada mi mniej o sobie rozumiéć. Potępienie nie jest bowiem haniebném dla mnie, lecz dla tych co roztrzygnęli tę sprawę. Pocięsza mnie i Palamedes, w podobnyż co ja sposób zgładzony (1): bo i teraz jeszcze jego los jest przedmiotem pieśni daleko piękniejszych niż los Odysseusza, który go niesprawiedliwie zabił. Wiem że i o mnie przyszłość i przeszłość dadzą świadectwo, żem nikogo nigdy nie pokrzywdził i nie zgorszył, lecz byłem dobroczyńcą tych, co ze mną obcowali, ucząc ich darmo, jakem mógł, wszelkiego dobra.

To powiedziawszy i zgadzając postępkę ze słowami, odszedł wesół postawą i w ruchach, z pogodnym wzrokiem. Gdy zaś ujrzał płaczących tych co mu towarzyszyli, rzekł:— Cóżto? Czy tak bardzo płaczecie? Czy to nie wiecie, że od czasu jakem się urodził, przeznaczona mi była śmierć według praw natury? Tylko w takim razie, gdybym umierał przed osiągnięciem zbliżającego się dobra, musiałbym i ja sam i dobrze mi życzący ubolewać; lecz gdy kończę życie w obec czyhającego zła, to sądzę, mnie się dobrze dzieje, a więc i wy wszyscy powinniście być dobrego ducha.

(1) Palamedes, jeden z bohaterów greckich pod Troją, spotwarzony i zgubiony został przez Odysseusza. Pieśni, o których mówi Sokrates, że tak były piękne, do nas nie doszły.

Wtedyto Apollodor przy tém obecny, wielki stronnik Sokratesa i mąż cnotliwy, rzekł:—co do mnie, o Sokratesie! ciężko mi to przenieść, że widzę ciebie niesłusznie umierającego. Mówią że Sokrates, dotknąwszy jego głowy, rzekł mu na to:—Ty więc najukochańszy Apollodorze, wolałbyś mię widzieć skazanego na śmierć słusznie niż niesłusznie? I przytém uśmiechnął się.

Powiadają także, że widząc przechodzącego Anytosa, Sokrates rzekł:—Oto mąż ten okryty sławą, jak gdyby co znakomitego uczynił mnie zgubiwszy za to, że widząc jak miasto ucziło go największemi zaszczytami, powiedziałem że nie należałoby mu wychowywać syna przy worku winna (1). Jak godnym on jest pożałowania! gdyż jak się zdaje, nie wie że ten z nas dwóch, kto dokonał piękniejszych i pożyteczniejszych rzeczy na wszystkie czasy, ten jest zarazem i zwycięzcą.

Oto, mówił dalej, i Homer przypuszcza, że są ludzie, którzy przed zgonem przewidują przyszłe rzeczy: chcę więc i ja coś przepowiedzieć. Niedawno spotkałem się z synem Anytosa i zdało mi się że nie jest on niedołączny duchem; dla tego utrzymuję, że on nie wytrzyma w niewolniczym trybie życia, jaki mu ojciec przygotował; nie mając zaś troskliwego kierownika, podpadnie jakiegokolwiek złej namiętności, i postąpi jeszcze dalej w złém.

I nie zawiódł się Sokrates, tak mówiąc, gdyż młodzienaszek, znajdując przyjemność w winie, nie przestawał pić ani w nocy ani w dzień i nakoniec stracił wszelką wartość i dla miasta i dla przyjaciół i dla samego siebie. Sam zaś Anytos, z powodu złego wychowania, jakie dał synowi i braku rozsądku w postępowaniu, nawet po śmierci używa złej sławy (2).

(1) To jest świadkiem ciągłych uczt i pijatyki, wychowanym óród niewolników i posługaczy. Ze wzmiankowanej tu okoliczności widzimy, jak niskie osobiste pobudki kierowały przesładowcami Sokratesa.

(2) Przytoczone w § 30—31 opowiadanie, chociaż daje dowód przenikliwości Sokratesa, mało jednak należy do ogólnej treści utworu. Według naszego zdania, ustęp ten razi nawet nieprzyjemnie, gdyż widzimy tu wytknięcie ujemnych stron przesładowcy Sokratesa, a więc pewną zemstę ze strony Xenofonta, tém więcóją działającą ujemnie na czytelnika, że jak to z § 31 widzimy, Anytos wtedy już nie był, tak że ten przytyk do osobistości suuje spokojny nastrój prostego i zarazem wzniosłego utworu.

Co się tyczy Sokratesa, to on podnoszeniem swęj wartości w sądzie, pobudził zazdrość i przyczynił się do swego potępienia przez sędziów. Mnie się tedy zdaje, że osiągnął on błogosławiony los, gdyż pozbył się najuciążliwszej reszty życia i dostał najlżejszego rodzaju śmierci.

Okazał on zaiste moc duszy, gdy poznał bowiem, że lepiej jest dla niego umrzeć niż jeszcze żyć, to podobnie jak nie opierał się żadnemu innemu dobru, tak nie ugiął się i w obec śmierci, lecz wesoło ją spotkał i jęj się poddał.

Co do mnie, rozmyślając o mądrości i szlachetności tego męża, nie mogę ani nie pamiętać o nim, ani pamiętając, nie chwalić. Jeżeli zaś kto z miłośników cnoty obcował z kimkolwiek pożyteczniejszym nad Sokratesa, to ja go uważam za najbardziej godnego nazwy najszcześniejszego człowieka.

Kielce, 8 stycznia 1867 r.

Z poematu Moor'a

POD TYTUŁEM:

MIŁOŚĆ ANIOŁÓW.

Przyjdź modlić się ze mną, aniele mój drogi!
Aniele mój jasny, przyjdź modlić się ze mną!
Bom usta utrudził już pracą daremną,
Modlitwę serdeczną w niebieskie słońce progi!
Choć jęczę boleśnie i na twarz się ścięła,
Nie mogę się modlić bez ciebie, aniele!

Jam wonne na ołtarz zgromadził tu krzewy,
I ogień zapalił, i czujnie go chronię
Od wiatru podmuchów, od groźnej ulewy;
Lecz ogień mój święty, nie świeci, nie płonie
Jak gdyby, jak mnie dziś, i życia i siły
Bez ciebie mu brakło, aniele mój miły!

Jak łódka samotna, w noc ciemną rzucona
Na morze bezbrzeżne, wśród burzy łoskotu,
Jak lutnia, gdy pęknie ostatnia jej struna,
Jak ptasze zranione, niezdolne do lotu,
O jednem mdłym skrzydle, już bliskie zaguby—
Tak ja dziś bez ciebie, aniele mój luby!

Więc nigdy, o duchu mój miły, świetlany
Nie rzucaj mnie nigdy, ni w życiu, ni w grobie!
Gdy w blaskach słonecznych pomiędzy niebiany
Ulecieć znów zechcesz; to niech się przy tobie
Jak cień twój rozplynę i wionę po niebie,
A lżej mi tak będzie, niżeli bez ciebie.

A. Plug.

WYCIECZKA DO BRETRANII.

Słońce jesienne łagodnym światłem oświetlało horyzont, kiedy zbliżaliśmy się do Duarnenez (1). O kilkaset kroków od celu naszej podróży, widok dzwonnicy w Ploaré (do którego parafii liczy się Duarnenez) zatrzymał naszą uwagę.

Jest to budynek w stylu gotyckim, z jednej sztuki kamienia, który sięga XVI wieku; dzwonnica bowiem nosi datę z 1555 roku. Łódki i ryby rzeźbione, jakie ją przyozdabiają, wskazują, że fundatorami jej byli rybacy. Wszyscy okoliczni mieszkańcy przyłożyli się do budowy tego małego arcydzieła, przez ofiary lub własną pracę; kobiety nawet brały czynny udział, pod kierunkiem jednego magnata z Paut-Croix. Wnętrze straciło na swym wdzięku przez pobielenie murów i pstrocinę ołtarzy i sklepienia. Kiedy przybliżaliśmy się do wielkiego ołtarza, towarzysz mój Robert ścisnął mi rękę z wzruszeniem i cofnął się zdumiony szczególnym widokiem; ujrzał bowiem mężczyznę i kobietę, którzy zdawali się być najmnij stuletniami starcami: ubiór ich, wiek przeszły przypominał.

Kobieta miała strój wieśniaczki, ale twarz jej musiała być kiedyś cudnie piękną, zanim ją zmarszczki porały. Mężczyzna przybrany w ubiór francuzki, białe włosy miał związane z tyłu czarną wstążką, jak szlachcic z czasów Ludwika XVIgo. Oboje klęczeli przed krucyfiksem zawieszonym w ołtarzu; jeśli bym kiedy pragnął uosobić wielką boleść i poświęcenie odmalowałbym postacie tych starców.

(1) Duarnenez kraj wysp. Należy do wyspy Tristan, położonej wprost zatoki.

— Czy znasz ich?— zapytał Robert zakrystyana.

Zakrystyan z rodzajem przestרחu, odrzekł półgłosem:

— To jest obłąkana z Duarnenez, i jej mąż!

— Jak to!—wykrzyknąłem, ta kobieta jest obłąkana?...

Jej oblicze tak spokojne!

— Jak będziecie w mieście—odrzekł zakrystyan, zapytajcie się o mego wujka Hervé Ledirec, sternika, on wam opowie historią tej obłąkanej, którą codziennie o wieczorniej porze ujrzyście przechadzającą się po płaszczyźnie Treboul z kawałkiem chleba razowego i świecą woskową w ręku.

Zapisałem starannie nazwisko sternika, i rzuciwszy raz jeszcze spojrzenie na starców, wyszedłem wraz z mym towarzyszem na galeryą dzwonnicy.

Wieżyczki i okna pierwszego piętra, wznoszą się z śmiałością pełną wdzięku. Dzwonki piętr wyższych tworzą grupy spoczywające u stóp szczytu wielkiej wieży, która gubi się w obłokach. Ozdoby architektoniczne dwóch galeryi misternie rzeźbione. Z wierzchołka drugiej galeryi, wspaniały i cudowny roztoczył się widok.

Podstawa drwonnicy wyniesioną jest o 240 stóp po nad morzem. Sama dzwonnica trzyma 160 stóp wysokości; góruje więc nad zatoką Duarnenez o 400 stóp. Jest to najpiękniejsza panorama widoków dzikich i nadmorskich, obejmująca 200 wiosek tak rozsypanych po skałach, że oko dojrzeć ich nie może. W środku rozciąga się zatoka jak jezioro, które jest najpyszniejszą w Europie kaskadą, spadającą jakby szerokim, śnieżnej białości, obrusem.

Teraz zatoka Duarnenez uszpiona a kołysana łagodnym powiewem wiatru zachodniego, przyodziła się w najświetniejszą srebrzystą suknię, przyozdobioną w około frędzlą z błyszczącej piany, którą wybrzeża i skały podnosiły jak falbanę z przepysznój koronki.

Wyspy szare zdawały się pływać po powierzchni wody, jak kołyski z granitu. Ménez, Hom i Motta górowały dumnie i poważnie nad skałami pod ich stopami. Niezliczona liczba małych łódek, z żaglami czerwonymi i ciemnymi, błąkała się w dali: byli to rybacy zajmujący się połowem sardeli.

Robert pod wpływem wspaniałego widoku i urokiem tak czarującego miejsca, nie chciał je opuścić; namówiłem

go przecie i zaprowadziłem na cmentarz parafialny, do grobu, na którym był napis:

„Tu spoczywa doktor Laënnec.”

Sławny był to lekarz, niestrudzony w poświęceniach dla ludzkości, a z tak gorącym uczuciem dla miejsca rodzinnego, że czując się słabym, mimo grożących mu niebezpieczeństw i długiej podróży, kazał się zawieźć do Duarnenez aby spocząć w ziemi ukochanej. On to przekazał na własność kościoła przepyszną statwę Chrystusa, dłuta Kanowy, który otrzymał był w darze od kardynała Fesch'a. W kilka minut później, byliśmy w Duarnenez. Dalsze miasto jestto gromada domów starych, przesiąknięch duszącą wonią z tłoczonych sardeli. Mężczyźni i kobiety przechodzą się bezustannie z koszami ryb pełnemi.

Miasto górne o wiele schludniejsze, posiada nawet piękne gmachy, budowane przez bogatych właścicieli okrętów.

Pragnąc jednocześnie poznać historią obłąkaną, i obznajomić Roberta z połowem sardeli puściłem się na odszukanie sternika Hervégo: znaleźliśmy go w głębi okrętu *Ulliac*, wśród kłębu dymu i stosu butelek.

Jeżeli starcy, których widzieliśmy w kościele, wyobrażali stuletnich, to Hervé zdawał się mieć półtora wieku. Głowa jego była zupełnie łysa; nos zakrzywiony jak dziób kormarana, na brodzie zaledwie kilka białych włosów, a twarz cery żółtej, wyprażona wiatrami morskimi, skwarem słońca i ulewami deszczowemi, skurczona była i pomarszczona. W jednym ręku trzymał fajkę, drugą zażywał tabakę.

Kiedy powstał z miejsca aby skłonić się na nasze powitanie, zostaliśmy zdziwieni siłą jaka jeszcze ożywiała to ciało zgięte w dwoje, i błyskami ocz zapadłych i wklęsłych.

Umowa nasza z tym marynarzem nie trwała dłużej nad kwadrans czasu; trzy kieliszki araku i dwie sztuki pięciofrankowe w zgodny ją sposób zakończyły. Nazajutrz o świcie mieliśmy ruszyć na połów sardeli z sternikiem i jego synem, na szalupie *Margoite*, a po powrocie z tej wycieczki, starzec miał nam opowiedzieć historią obłąkaną.

Ze wschodem słońca stawiliśmy się na miejscu; Hervé już nas oczekiwał. Około osiemset łodzi napełnionych trzema tysiącami ludzi, odpłynąć miało od brzegów. Kiedy

wreszcie wyruszyły w drogę, zaczęły się wyścigać tak szybko, że trudno było dojrzeć wody, a rybacy wołając na siebie z daleka, ścigali się od jednego brzegu do drugiego.

Był to obraz zajmujący i pełen życia!

Nasza szalupa wiozła ośm sieci, piętnaście sążni długich a pięć szerokich, i mnóstwo beczulek stokfiszu z Norwegii: tém się bowiem nęca sardele.

Są to jaja ryby zwanéj *dorsz*, solone, i mocną woń wydające, przywożone z Bergu, statkami z Nordland. Każde jajko jest téj objętości, co główka małej śpilki. Miliony ich mieści się w torebkach błonkowych, jakie je pokrywają. Przechowują się od roku do roku, ale sardele rozróżniają świeżość po zapachu, i chciwe pokarmu rzucają się w sieci na nich zastawione.

W pół godziny później, siedemset łodzi z rozwiniętymi żaglami płynąc małemi gruppami, rozsypało się po szerokiej zatoce.

Statki z Croson w liczbie ośmuset przypłynęły jednocześnie, i ta flotta złożona prawie z dwóch tysięcy łódek, znikła na obszarze wody. Wzrok retmanów tak już wprawny, zagłębiał się w przezroczystych falach. Słuch ich również drażliwy jak słuch dzikiego, badał pilnie najmniejszy szelest. Każdy z nich obrał sobie miejsce, stosownie do spostrzeżeń, i ściągnął żagle do masztu. W téj samej chwili, słońce wschodząc ze strony gór Lazernau, ukazało oblicze purpurowe. rozpędziło mgłę, i w mgnieniu oka ogarnęło jasnym światłem wybrzeże, oblewając całe morze bladoróżowym płomieniem. Wspaniały to widok, i trudno wzroku oderwać od tyle uroczego obrazu. Sędziwy sternik wraz z synem, z którym dzielili się na przemian dowództwem statków, zatrzymali łodzie. Zarzuciliśmy sieci, a rozsypawszy w nich stokfisz, ujrzelśmy jak sardele zwabione zapachem, przypływały z głębi zatoki, srebrzystemi szeregami i rzucały się z chciwością przez oczka sieci, szamotając się w nich gwałtownie. Ta walka która ich wikła i płacze coraz więcej, odrywa im łuszczkę, wznoszącą się jak pianka z masy perłowej. Błyszczy ona przez chwilę na wodzie, i opada w przepaść. Czasem te zastępy żarłoczne, wsuwające się do sieci są tak liczne, że pociągając za sobą, zatawiają ją swym ciężarem.

Po upływie dwóch godzin, rybacy podnieśli sieci przepelnione zdobyczą, i wydobywali miliony sardeli, rzucając je do łodzi.

Kiedy nasza była już do połowy napelnioną, zbliżyłem się z Robertem do Hervégo.

— Jak widzę, mój dobry starcze—rzekłem—połów będzie wybornym; odpocznij więc, a opowiedz nam historią obłąkanéj.

Pomimo że już sześćdziesiąt lat upłynęło od epoki, w jakiej te wypadki miały miejsce, starzec wzruszony wspomnieniami, potrzebował zaczerpnąć sił z butelki wódki, zapalił fajkę, i tak zaczął opowiadanie, które wiernie podajemy:

„Sześćdziesiąt lat minęło od wypadków które wam opowiem; historia ta bowiem sięga 1795 r. Rok ten nie-szczęśliwym był dla Duarnenez, lubo cena sardeli była bardzo wysoką. Ze wszech stron mówiono o klęskach i niedoli, a na gościńcach więcej było żebraków jak mieszkańców w chatach.

W siedzibach jakie ocalały, mieścili się tylko wdowy, a w kościołach, których ogień nie zniszczył, mieścili się konie należące do garnizonu. Chodziliśmy co noc każdej niedzieli, słuchać mszy św. w grocie Morgat, gdzie ksiądz i wszyscy otaczający go stali w łódce, a wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa oparty był o skałę. Ta skała którą ztąd panowie możecie dojrzyć, nazywa się do dziś dnia *oltarzem*.

Jednego wieczora, strudzony połowem sardeli, udałem się wcześniej na spoczynek; zastukano do drzwi: pobiegłem otworzyć, i ujrzałem przed sobą młodą dziewczynę i starca, którzy mnie prosili o schronienie. Dziewczyna piękna jak anioł, przybraną była w mały czepeczek i strojny gorsecik kobiet z Pont-l'Abbi. Starzec był rybakim, sądząc po jego ubiorze; ale skoro lepiej mu się przypatrzyłem, zamiast podać rękę, rzuciłem się do nóg jego.....

Zaraz dowiecie się dlaczego.

Żona moja i cała rodzina poszła za moim przykładem, i podróżni zostali umieszczeni w dwóch pokojach, najpiękniejszych z całego naszego domu.

— Przyjmuję z wdzięcznością twoją gościnność—rzekł do mnie starzec—ale pod warunkiem że będę dzielił twoją pracę, i że tak ja, jak córka moja, pozostaniemy dla wszystkich, ona prostą wieśniaczką Małgorzatą, ja biednym rybakiem Julianem Kerloi.

Chciałem sprzeciwić się, ale łyzy przecięły mi mowę, i trzeba było ustąpić gdy starzec wyrzekł do mnie:

— Idzie tu o moje życie, i o twoje!.....

Moje mało mnie obchodziło; ale życie mego gościa!....

Julian i Małgorzata (tak trzeba było ich nazywać), stali się towarzyszami naszych rybackich wycieczek, i podzielali nasze trudy. Serce krwawiło się na widok rąk starca, pokaleczonych ostremi linami, i jego białych włosów, zlanych znojnym potem, albo zimnymi kroplami deszczu. Pomimo wszelkich przybranych przez niego ruchów, mowy, a nawet używania przysięg właściwych prostym rybakom—zachował godność, która mu zyskała nazwę króla szalupy. Małgorzata była równie szanowaną, i wszyscy kochali ją całym sercem. Mieszkańcy Duarnenez nazywali ją swą królową. Wśród niezliczonego grona towarzyszek, ona była najpiękniejszą; wszystkie gasły przy niej, jak gwiazdy przy dniu jasnym: rybacy oddaliby życie za jeden uśmiech jój, a jednak żaden nieśmiały jój tego wyznać.

Szlachetność jój ruchów, wdzięki wymowy, nawet prostota i łagodność, aż do delikatności rysów i białości rąk jój: wszystko wzbudzało uwielbienie i nakazywało uszanowanie.

Dwa miesiące pobytu ich w domu moim, upłynęło spokojnie i bez żadnych wypadków; odwiedziny tylko opata Pleumez, ukrywającego się w bliskości nas w Locrenon, zmieniały zwykły tryb życia. Zwykle przynosił on tajemne wiadomości. Jednej nocy udzielił tak ważnych nowin, że Julian i Małgorzata, niekładąc się na spoczynek, modlili się do rana; poczem Julian uchwycił pistolet, który wisiał nad jego łóżkiem, i chciał wraz ze mną udać się w drogę. Stan zdrowia i błagania córki zaledwie go zdołały zatrzymać.

Tego samego dnia otrzymaliśmy z Quibérou wiadomość, że emigranci wylądowali tam, i całe Morbihor broń podniosło.

Nasi goście przebyli dni następne w ciągłej obawie. Skoro Małgorzata dowiedziała się o klęsce zadanej emigrantom, wpadła w stan omdlenia, a następnie nie powstrzymując już ojca od wyjazdu, postanowiła bez zwłoki jechać z nim razem.

Noć była późna, wiatr sprzyjał zamierzonej podróży, a łódka była gotową. Julian uzbrajał się, a Małgorzata zawieszała na szyję mały krzyżyk z dyamentami, kiedy nagle pies zaszczeakał i usłyszeliśmy odgłos obcych kroków. Jakiś młody człowiek, wszedł niestukając do drzwi, rzucił się w objęcia ojca, a córkę przycisnął do swych piersi.

— Fryderyk!.... Taki był wykrzyknik starca i jego córki.

Podróżnym był śliczny młodzieniec, szlachcic od stóp do głowy. Miał na sobie mundur oficera Rzeczypospolitej, który mu służył za przebranie. Poznał on mnie natychmiast, i ścisnął dłoń moją ze łzami wdzięczności, a ja rozplakawszy się, zapytałem czy już nie wyruszymy do Quiberon? Małgorzata zarumieniła się, starzec potrząsnął głową z uśmiechem, ale młodzieniec rzekł do mnie pocichu:

— Zatrzymaj jednak twą łódkę; może ona dla mnie będzie potrzebną... I dał mi znak milczenia.

Twarz jego przed chwilą rozpromieniona, tak się pochmurzyła, że zadrżałem, lubo nie wiedziałem przyczyny tej zmiany.

Nazajutrz, równo ze świtem, posłano mnie do Quimper, po mego brata Jana, i do Locronau po opata Plomeur, który przybył ze mną, i zamknął się z moimi gośćmi.

— Mój przyjacielu—rzekł do mnie Julian, powrócisz do nas za godzinę, wraz z twym bratem: przybierzcie wasze świąteczne ubiory.

W godzinę później, wszyscy byliśmy zebrani w pokoju Małgorzaty. Nigdy przedtém ubogi mój domek nie widział takiej uroczystości, i nie zobaczy już więcej podobnych godów. Pokój ten był obity sukniem i przystrojony kwiatami jak ołtarz. Ile tylko znalazło się w naszych kufrach i szafach batystu, koronek, aksamitu i jedwabiu, wszystko to użytém było na przyozdobienie. Stół okryty ślubną suknią mojej matki, wyobrażał ołtarz, przed którym stał ksiądz

Plomeur, w komży i ze stulą, a przed nim Małgorzata z Fryderykiem.

Ubiór jej wieśniaczy zastąpiła suknia z muślinu indyjskiego ozdobiona bogatymi koronkami. Długi welon, spięty bukietem pomarańczowym, spadał od warkoczy splecionych w koronę, aż do stóp. Jakże ona była piękną, Wielki Boże! trzeba było na klęczkach patrzeć w jej oblicze!

Julian siedział obok córki. Miał na sobie mundur szambelana dworu, szabla przy boku i krzyż Śgo Ludwika błyszczał na jego piersi. Wyobrażał króla który na tron wstępuje po raz drugi.

Ksiądz Plomeur rozpoczął śliczną przemowę do państwa młodych, później pobłogosławiwszy złote obrączki oddał je Fryderykowi, który jedną z nich wsunął na palec Małgorzaty:

— Panie margrabio Talhonaru — rzekł natenczas Opat do Juliana — przyzwalasz więc w obec braci, Hervego i Jana Ledivec, na małżeństwo twój córki?

— Przyzwalam — odpowiedział margrabia.

— Panie wicehrabio Fryderyku Lisconet — mówił dalej — bierzesz za małżonkę pannę Małgorzatę Talhonaru, tutaj obecną, i przyrzekasz jej przed Bogiem opiekę i wierność?

— Tak, do ostatniej chwili mego życia — odpowiedział wicehrabia.

To samo pytanie, i ta sama odpowiedź udzieloną była Małgorzacie.

Uważałem jednak wielką różnicę między oblubieńcami.

Małgorzata była rozpromieniona i śmiałym głosem odpowiadała; wicehrabia był przerażająco bladym, i drżał wymawiając słowa: do ostatniej chwili mego życia!

Ja sam zadrżałem, przejęty złowrogiem przeczuciem...

Po obiedzie każdy przybrał ubiór dawniejszy, i poszliśmy zwiedzać składy naszych sieci i koszów, bo wicehrabia chciał widzieć wszystko co było zajęciem Małgorzaty.

Jaka była radość wszystkich, trudno opisać. Patrząc na ich szczęście, można było rozczulić serce ze skały. Ja co posiadałem duszę tkliwą zmuszony byłem aż odejść, ażeby się napłakać dowoli; wicehrabia korzystał z téj chwili, i pociągnął mnie do ciemnej groty.

Przy tych słowach, starzec Hervé zatrzymał się; zdawało się że siły go opuściły: zimny pot pokrył jego czoło.

— Ach! jak to okropnie—wyjąknął—wszystko tak żywo przedstawia się mój pamięci.

I dalej mówił:

„Pięć lat przedtém, służyłem w Breście u margrabiego Talhonaru. Moja żona wykarmiła jego córkę. W 1793 r. ocaliłem go, z całą jego rodziną od gilotyny, i wszystkich uprowadziłem do Anglii. O! nie wszystkich. Jeden z synów pana Talhonaru, opuścił go, ażeby pozostać po stronie przeciwnej, a widząc ojca z siostrą emigrującemi, znieważył ich dotkliwemi słowami. Margrabia ciężką uczuł boleść, i odtąd nie słyszano o wyrodném dziecku. Wicehrabia Fryderyk Lissouet spotkał się w Anglii z rodziną Talhonaru. Pokochał pannę Małgorzatę, która mu była wzajemną. Już byli zaślubieni umową, kiedy w wigilią ślubu, jaki miał się odbyć w kościele, wicehrabia otrzymał rozkaz udania się do Quiberon, z pułkiem który mu oddano pod dowództwo. Musiał spełnić polecenie, a Francycę obrał za miejsce spotkania się z rodziną Talhonaru. Wyprzedzili oni jego przybycie, i zawitali do mnie pod strojem rybackim, wieść życie jakie wam opisałem, a wicehrabia który wiedział o ich schronieniu, złączył się z niemi w domu moim.

Ślub odbył się jak opowiedziałem, a w parę godzin, wicehrabia wzięwszy mnie na bok tak przemówił:

— Hervé, byłeś po razy dwa opatrnością dla rodziny Talhonaru. Obecnie mogą potrzebować twój pomocy więcej jak kiedykolwiek. Przyrzeknij mi, że nigdy nie opuścisz Małgorzaty.....

— Może być pewną mego poświęcenia, w życiu i przy śmierci.

— Ale czy pan zamierzasz opuścić ją?—zapytałem.

— Może..... Nie należę do siebie..... Dzisiaj..... jutro..... za godzinę..... za chwilę, mogę być jej wydartym..... na zawsze.....

Oto jest powód dla którego prosiłem ciebie (i nie zapomnij o tém) ażeby twoja łódka pozostała do mego rozporządzenia.....

— Panie!—wykrzyknąłem—ukryłeś przed nami tajemnicę twoją..... ale ja ją czytam w twych oczach. Tyś nie

ocalał ucieczką jak to mówiłeś!... Ty Panie wzięty zostałeś w niewolę z bronią w ręku! Mamy wiadomości że dwa tysiące niewolników skazanych zostało na śmierć, że niektórzy z nich wolni są na słowo honoru, do chwili wykonania wyroku.... Panie! ty jesteś jednym z nich?...

Wicehrabia schylił głowę, i przez chwilę milczał.

Następnie podniosłszy na mnie wzrok swój — Tak jest — rzekł z wyrazem boleści. Ponieważ odgadłeś moje położenie, potrafisz zrozumieć boleść moją! Chciałem przed śmiercią dopełnić związku, jakim w obec ludzi złączeni byliśmy. Chciałem zaślubić ją przed wrotami nieba, i z tej ziemi bólów, przejść w wieczność z wspomnieniem chwil uroczych. Błogosławieństwo małżeńskie było dla mnie ostatniem namaszczeniem, a dla niej będzie jedyną po mój stracie pociechą!

Jeden z oficerów rzeczpospolitej rozumiał mnie, użył mi tego munduru, i kilka godzin wolności.... W zakład dał swoją głowę.... On mnie zawiadomi w chwili strasznej. Przy boku Małgorzaty, oczekuję wezwania na śmierć!...

Czułem się tak pogwałcony, że słowa wymówić nie mogłem.... Powtarzałem tylko: To okropne! to okropne! I oczu podnieść nie śmiałem, ażeby nie spotkać wzroku p. Lissouet.

Uścisnął moje drżące dłonie, polecił mi na nowo pod przysięgą, zachowanie tajemnicy, i raz jeszcze wzywał mój opieki dla swój żony.

Poczęm podwoił kroku i rzekł:

— Złączmy się z nią co prędzej: chwile jej radości są policzone.

Zwierzenie wicehrabiego przyniosło mu pewną ulgę. Przez cały czas przechadzki z Małgorzatą był on rozpromieniony. Tyle odwagi i wyrazu szczęścia jakim jaśniało jego oblicze, mieszało mój umysł. Oboje bawili się kwiatami i muszlami. Śpiewali piosenkę panny młodej, a nam kazali powtarzać wszystkie strofki. P. Tallonaru zdawało się że odmłodził o lat dwadzieścia. Nowozaślubiona biegała od ojca do męża z czarującym uśmiechem i wyrazem najwyższej radości.. Wieczór ten zakończyliśmy tańcem bretońskim, który nam panna młoda poleciła wykonać na trawniku obok naszego domku.

Zdawało mi się widzieć widma skaczące po grobach, i nie mogąc dłużej wytrzymać, uciekłem zanosząc się od płaczu.

O dziesiątej zebraliśmy się wszyscy, aby podług zwyczają zmówić wspólnie pacierz wieczorny.

Połowę nocy przepędziłem na modłach, błagając Wszehmocnego o miłosierdzie dla Małgorzaty.

Chciałem zasnąć, ale nie mogłem. Co chwila zdawało mi się że wicehrabia zbiega ze schodów, albo ucieka oknem.. Jeżeli zdrzymałem się, miałem widzenia straszne, i słyszałem strzały padające wpośród ciał skrwawionych. Nakoniec wstałem z postania i wyszedłem. Niebo zasypane było gwiazdami, księżyc rzucał wkoło łagodne światło; zatoka zaledwie poruszana lekkim powiewem wiatru: cała natura dziwny i błogi przedstawiała spokój. Podniosłem wzrok mój ku mieszkaniu Małgorzaty. Głęboka cisza zaległa schronienie tego anioła: cichy szmer wody zdawał się kołysać mieszkankę téj siedziby, i usypiać ją jak śpiew matki przy kolebce dziecięcia.

Z brzaskiem jutrzeńki, wicehrabia zszedł pierwszy i zapytał mnie czy łódka jest gotową..... Cofnąłem się z przerażenia.... Przemówił do mnie z uśmiechem:

— Uspokój się! potrzebuję jęj, ale jeszcze nie dla siebie samego. Życzę sobie z margrabią i Małgorzatą zwiedzić tę zatokę, którą oni tak często przepływali: ty sam będziesz nas przewoził.

Odetchnąłem uspokojony, i pojechaliśmy.

Pan Talhonaru swobodnego i wesołego był humoru. Fryderyk z Małgorzatą siedząc obok siebie śmieli się i szczerbiotali jak ptaszki co wkoło nich latały.

— Wiesz mój luby—mówiła młoda kobieta—jaki jest najlepszy sposób, ażeby minęły nasze dni trwogi? oto zostać rybakami u dobrego i tak nam szczerze przychylnego Herwego. Mój ojciec już się przyzwyczaił do tego życia. Ty Fryderyku będziesz uczniem naszego sternika, a z tobą i ja stanę się najpierwszym majtkiem zatoki. Posłuchaj, nauczę cię nazwy masztów i różnych obrotów.

I wyliczała je na palcach, każdy oddzielnie nazywając. Później sama zmieniała kierunek naszego statku, zwracając go ku południowi, lub zachodowi. Ja na-

wet byłem jój posłuszny, a wszyscy poklaskiwali na wyścigi.

— Ale do czego to nas doprowadzi?—zapytał wicehrabia z roztargnieniem.

— Najprzód do ocalenia naszego życia, a potem zapewni nasze utrzymanie. Nigdy twoi nieprzyjaciele nie przyjdą do Duarnenez szukać ciebie pod suknią rybaka. A przytem jest to stan bardzo korzystny. Czasem jedno zarzucenie sieci przynosi 100 franków: zapytaj Hervego, on potwierdzi.

— A więc moja miła, zrobimy majątek,—mówił Fryderyk z uśmiechem—i jakże użyjemy naszych bogactw?

— Rozdamy je pomiędzy ubogich, jeżeli nasze stanowisko i majątek będzie nam wrócony; a jeżeli pozostaniemy rybakami, każemy wybudować na wybrzeżu śliczny domek i będziemy mieli własną łódkę.

— Powiedz lepiej wiele łódek: całą flotę!

— Tak jest, ażeby powiększyć nasz handel i przewozić naszych przyjaciół.

— Jak to będzie prześlicznie! Wyprawimy wesela wszystkim nowożeńcom z całej okolicy.

Podczas tej rozmowy, która mi serce rozdzierała, a margrabiego wprowadzała w zachwycenie, dostrzegłem statek który wyruszał z portu z rozwiniętymi żaglami. Przybliżał się do każdej łódki, jak żeby wszystkie chciał przejrzeć.

Nagle jak strzała skierował się ku naszój. Ja tylko dojrzałem te obroty, i doznałem potajemnej obawy.

Skręciłem w tył łódkę: statek skręcił ku mnie.

Płynąłem na wschód, skierowałem na północ: on obrócił za mną. Oczywiście ścigał nas, i co chwila szybszym pędem dopływał. Lżejszy od mojej łódki, i więcej żagli mający, mógł nas dosięgnąć. Przestрах mój podwoił się kiedy dostrzegłem mundur wojskowy. Niepewność była straszna. Nie mogłem uprzedzić wicehrabiego bez zdradzenia jego tajemnicy, a odkryć ją w takiej chwili, byłoby to zabić Małgorzatę. Oczekiwałem więc straszego ciosu: uderzył on niebawem. Fryderyk i Małgorzata nachyleni ku sobie, i widząc tylko siebie, byli pogrążeni w najrozkoszniejszych marzeniach, kiedy statek skrzyżował się z naszą łódką, i usłyszałem głos który mówił do wicehrabiego: „dziś wieczór.”

Margrabia nic nie zauważył. Fryderyk zachwiał się jakby pod pchnięciem sztyletu. Małgorzata zerwała się jak ze snu obudzona i wykrzyknęła;—Co to jest? Co do mnie, byłem więcej umarły jak żywy. Upuściłem wiosło, łódkę wiatr pochylił na bok, zdawało się że zatonie.

Ten wypadek można było nazwać szczęśliwym, bo chwilowe niebezpieczeństwo zajmując wszystkich, dozwoliło wicehrabiemu zwieść żonę, która nie dosłyszała tych strasznych słów, a tém mniej byłaby je zrozumiała. Fryderyk śmiał się z jej zapytań, i żartował z odwagi *pierwszego majjka zatoki*, który się tak przestraszył jednem pochyleniem łódki.

Tym więc sposobem, ja tylko i wicehrabia byliśmy ugodzeni.

Zapomniałem jednej okoliczności, która później została mi wyjaśnioną.

Ten co wymówił słowa „dzisiaj wieczór” spojrzawszy na Małgorzatę, wydał szczególniejszy okrzyk zdziwienia, i odbił od brzegu śpieszniej aniżeli do niego przyplynał.

Działo się to o dziewiątej rano; pragnąłem przedłużyć tę podróż, a nawet dopłynąć aż do Anglii. Ale wicehrabia dał mi znak rozkazujący ażeby przybić do brzegu, i widziałem że byłby mi wyrwał wiosło, gdybym mu nie był posłuszny. Powróciliśmy więc koło południa. Pierwszy pobiegłem do domu: znalazłem tam mego brata Jana bardzo wzruszonego.

Przed godziną, rzekł on, oficer rzeczypospolitej przybył tu, i zapytał czy to mieszkanie zajmuje wicehrabia Lissouet? Zaprzeczałem całemi siłami: nie słuchał.

— Nie on sam mieszka u was—odrzekł; zaprowadź mnie w głąb tego domku. Kiedy opierałem się temu, wydobył pałasz, i oświadczając że on tylko może ocalić naszych gości, przebiegł dom cały.

Przybywszy do pokoju Małgorzaty, zatrzymał się blady i drżący.

Przyglądał się wszystkiemu z uszanowaniem pełnem boleści, a kiedy ujrzał małą miniaturę wicehrabiny, wydał okrzyk, i łzy gorące trysnęły mu z oczu. Później przyłożył ją do ust swych, całował pismo Małgorzaty, i jej roboty ręczne. Nakoniec przeszedł do pokoju margrabiego, ukląkł przed jego bronią zawieszoną nad łóżkiem, uderzył się

w piersi, a widząc mnie zdziwionego temi oznakami rozczulenia, zadawał tysiące pytań o rodzinę Talhonaru. Przed wyjazdem zostawił list do wicehrabiego, i te do mnie wyrzekł słowa: „Jeżeli chcesz ocalić p. Lissouet, to zatrzymaj go do jutra, bo jak dzisiaj wieczorem ztąd odjedzie, śmierć go nie minie!”

Wicehrabia przybył w chwili, kiedy brat mój kończył to opowiadanie, oddając mi list nieznanego. Odebrał go z rąk moich, i przeczytał te kilka wierszy:

„Bądź jeden dzień dłużej szczęśliwym! Otrzymałem nowy rozkaz, podług którego nie dzisiaj, ale jutro oczekuję ciebie.”

Kapitan Romulus.

Wicehrabia był zdziwiony i zamyślony.

Nic nie rozumiałem z całej tej sprawy, ale sądziłem że będę mógł zatrzymać wicehrabiego do dnia następnego. Przez godzinę łudziłem się nadzieją; małżonkowie zamknęli się z margrabią i mieli jakąś naradę. Spodziewałem się że Fryderyk na zasadzie słów skreślonych przez nieznanego odłoży swój wyjazd, kiedy nagle wyszedł z swego pokoju, idąc wprost ku zamkniętej bramie, przy której wraz z Janem trzymaliśmy wartę.

Małgorzata żegnała go z okna, z uśmiechem pełnym wdzięku.

— Powrócę niedługo—rzekł do niej wicehrabia, obracając się, i kładąc palec na ustach.

Ten uśmiech i te słowa wzbudziły we mnie nadzieję, ale twarz wicehrabiego, w jedném mgnieniu oka zmieniona, ukazała mi istotę rzeczy.

— Panie!—rzekłem—ty idziesz na śmieć! nie puszcze ztąd ciebie!

Pociągnął mnie żywo za parkan, i uściśnął, polecając mi znowu swą żonę.. Trzymałem go w mych objęciach z niewymowną rozpaczą:—Ale, panie—rzekłem—masz czas do jutra!

Jedną ręką zamknął mi usta, drugą odepchnął całą siłą:

— Hervé, ty nie pragniesz mojej niesławy! bądź człowiekiem! i myśl tylko o Małgorzacie....

Zawisłem na jego szyi, nie chcąc go puścić. Brat mój przybył mi na pomoc, ale na próżno!... Wicehrabia nadludzką siłą odepchnął nas od siebie i znikł w głębi wioski.

W chwili kiedy biegłem za nim jak szalony, nie mogąc go dogonić, mój brat który niestety! zupełnie stracił głowę, zaczął krzyczeć pod oknami wicehrabiny:

— Pan Fryderyk nie żyje!

Margrabia i jego córka zeszli z swych pokojów przerażeni temi wyrazami. Jan, który nic nie widział, ani słyszał, powtarzał bezustannie: „Pan Fryderyk nie żyje!”

Kiedy w godzinę później wróciłem do domu, znalazłem Małgorzatę bez przytomności. Ojciec schylony nad nią i milczący, zdawał się przez tę godzinę starszym o lat dziesięć... Jan poznawszy swą nieuwagę i nedorzeczne postępowanie, wił się z cierpienia.

— Niepodobna zatrzymać wicehrabiego! — wykrzyknąłem.

— Tak jest, niepodobna! — rzekł margrabia podnosząc głowę, bo ja sam nie byłbym go zatrzymywał. Spełnił on swą powinność... Obecnie trzeba zająć się moją córką. Posłałem natychmiast brata mego po doktora, i przebyliśmy resztę dnia i noc całą w nieokreślonej obawie i oczekiwaniu. Nazajutrz rano wicehrabina była jeszcze bez przytomności. Doktor który czuwał przy niej, nie był pewny jej ocalenia; oznaki życia były słabe, szeptała tylko słabym głosem: Fryderyk nie żyje!

Wśród tych chwil okropnych, wielki okrzyk dał się słyszeć na dworze... Poznałem głos mego brata, i ujrzelśmy go wchodzącego z panem Lissouet! Zdawało się to być snem tylko.

— Ocalony! on ocalony! — rzekł Jan, rzucając wicehrabiego w nasze objęcia. Sądząc że złe już minęło, mój biedny brat ukląkł dla podziękowania Bogu.

Rzeczywiście był to p. Lissouet! nie było żadnej wątpliwości. Widzieliśmy go wśród naszego kółka. Zdziwienie i radość głos nam tłumity... Zapomnieliśmy na chwilę o Małgorzacie... Fryderyk nam ją przypomniał rzucając się do jej nóg.

— Kiedy taki cud spełniony, Boże mój! — wykrzyknął margrabia — ocal także córkę moją!

— Tak, mój ojciec — rzekł wicehrabia obracając się ku niemu. Niebo zwraca ci dzisiaj twoje dzieci.

I wręczył p. Talhonaru list, którego kopią przyłączaemy: „Panie margrabi! Nie śmiem nazywać ciebie moim ojcem, może mi pozwolisz używać tego słodkiego tytułu po przeczytaniu tych kilku wyrazów. Przed dwoma laty, kiedy opuszczałeś Francją, zamiast ci towarzyszyć i wspierać, pożegnanie moje było zniewagą dla ciebie i mej siostry. Straszne okoliczności zatarły w sercu mojem wszelkie uczucia. Bog też w sprawiedliwości swęj nie oszczędził mi pokuty. Pałasz który w mojem przekonaniu podniosłem dla sławy, wzbudzał tylko postrach.

„Rząd Francyi zamiast mnie wysłać za granicę kraju, postawił mnie w orszaku prokonsulów, wydających wyrok śmierci. Ostatni wypadek otworzył mi oczy, i odkrył całą potworność mego postępowania. Przeznaczony na straż przy skazanych na śmierć w Quiberon, pomiędzy którymi znajdował się p. Lissouet, uwolniłem go na słowo, aż do dnia wykonania wyroku. Mówił mi że przed śmiercią musi dotrzymać przysięgi, jaką zobowiązał się względem ubogich rybaków w Duarnenez. Ostatnia chwila nadeszła; ponieważ głową moją odpowiadałem za więźnia, sam po niego pojechałem. Ja to goniłem wczoraj na zatoce; tam ujrzałem ciebie wraz z mą siostrą, obok p. Lissouet. Nie mogąc wierzyć własnym oczom, pobiegłem do domu w którym zamieszkujecie, i tam przekonałem się o wszystkim! Poznałem w ubogim domku broń twoją, którą znieważylem, portret mej siostry tak nikczemnie przezemnie opuszczonęj; dowiedziałem się nakoniec, że ten którego miałem rozstrzelać, jest twoim zięciem! Cios ten byłby ugodził ciebie i Małgorzatę. Tak uzupełniała się miara ciężkich prób moich. Widzę że jeszcze cząstka człowieczeństwa pozostała we mnie, kiedy pragnąłem korzystać z tej strasznęj okoliczności. Pisałem do p. Lissouet że może pozostać jeden dzień dłużej, ponieważ wyrok odłożony do dnia następnego. Kłamałem, bo wicehrabia miał umrzeć tego samego wieczora; ale w miejsce jego, i w jego mundurze, siebie postawiłem pod kule moich żołnierzy. To poświęcenie miało okupić błędy moje, kiedy p. Lissouet wierny pierwszemu swemu zobowiązaniu, przybył wyswobodzić

mnie od zasłużonej kary, dopominając się o miejsce dla siebie pomiędzy skazanymi ofiarami. Ubiegaliśmy się o zaszczyt śmierci, jak inni ubiegają się o rozkosz życia. Ta szczególna i dziwna walka, rozbroiła naszych sędziów, i wspaniałomyślny wyrok generała Hoche, ogłosił naszą wolność. Jeżeli nie udało mi się ukarać siebie, umiałem przynajmniej ocalić zięcia twego. Siostrze mojej wracam drogiego jej małżonka, tobie wracam syna godniejszego odemnie téj nazwy.

Pałasz zламаłem i więcej go nie podniosę. Czy to jest dostatecznym do zyskania twojego i Małgorzaty przebaczenia?

Karol Talhonaru.

(były kapitan Romulus).

Ten list wyjaśnił wszystko, ale nie powrócił przytomności pani Lissouet.

— Przebaczam mu — rzekł margrabia. Bohaterstwo jego wynagradza jego błędy. Ale moja córka! Wróćcie mi spojrzenie, słowo, uścisk mego dziecka!

Bóg nie chciał wysłuchać gorących modłów sędziwego ojca.

Kiedy nasze starania i pieczyoty przywróciły Małgorzatę do życia, otworzyła wielkie oczy, ale nie poznała nikogo. Uchwyciła dłoń wice-hrabiego, jakby zupełnie obcego, i prowadząc go ku drzwiom zawołała:

— Fryderyk nie żyje..... idźmy szukać jego ciała.....

Upadliśmy z przerażenia.

Pani Lissouet była obłąkaną!

Stary sternik zatrzymał się przez chwilę. Spojrzeliśmy na siebie w milczeniu; nakoniec z bolesnym wysileniem, kończył opowiadanie:

— Margrabia Talhonaru umarł wkrótce potem, syn jego przybył aby otrzymać ojca przebaczenie, i zamknąć mu powieki. Poświęcił swe życie wprawdzie bardzo krótkie, staraniom około Małgorzaty, dzieląc je wraz z panem Lissouet. Przy końcu rewolucyi, wice-hrabia odzyskał majątek, lecz rozdał go biednym i na kościoły, z intencją wyblągania powrotu do zdrowia drogiej swój małżonki. Wszystko było daremnym. Jak widzieliście tych nieszczęśliwych dzisiaj rano w Ploaré, tak kraj cały widzi ich od lat pięćdziesięciu.

zawsze błakających się i nierozłączonych. Fryderyk w ciągłym oczekiwaniu i pragnieniu, ażeby Małgorzata poznała go, a ona powtarzając niezmiennie:

— Fryderyk nie żyje! chodź zemną szukać jego ciała!

Tak skończył Hervé opowiadanie, które wzruszyło nas do głębi duszy, i przez długi czas nie mogliśmy o niczym inném mówić, jak tylko o obłąkanej z Duarnenez. Wieczorem, kiedy połów sardeli ukończył się, płynęliśmy z powrotem wzdłuż wybrzeża Treboul. Hervé wskazał nam dwa widma, stojące na płaszczyźnie: poznaliśmy starców z Ploaré.

Pan Lissouet był w swym ubiorze przeszłego wieku, a Małgorzata w żałobnym stroju wieśniaczki. W ręku trzymała chleb czarny, w którym osadzona była świeca woskowa. Świecę zapaliła, rzuciła chleb na morze i wiodła wzrok swój za niemi modląc się na klęczkach.

— Takim to sposobem—rzekł do nas Hervé—szukają na naszych wybrzeżach ciała rozbitków. Utrzymują, że chleb zatrzymuje się w miejscu gdzie ciało pochłonięte. Biedna obłąkana, której zdaje się że jej mąż utonął, przychodzi co wieczór, w każdej porze roku, oddawać chleb swój i świecę niemym falom w Duarnenez.

Boleść nasza była głęboka.... Dwaj starcy szli po płaszczyźnie, idąc za płomiennym chlebem. Odwróciliśmy oczy od tak smutnego widoku.

— O! zapewne nigdy—wykrzyknął Robert—nie było męczarni podobnej tej, jakiej doznaje ów mąż nieszczęśliwy, który od lat pięćdziesięciu, nie poznany przez swą ubóstwianą żonę, wspólnie z nią szuka własnego trupa!

Byliśmy tak znęcani obrazem tej strasznej boleści, że potrzebowaliśmy oderwać od niego naszą uwagę.

Przepyszny widok, jaki oczekiwał nas u portu, tworzył wielką sprzeczność z tym, który się nam przed chwilą przedstawia.

Noc zapadła. Siedemset statków jednocześnie wracało, każdy oświecony pochodnią, zatkniętą w ładunek ze zdobyczą. Trzeba zwrócić się myślą ku uroczystościom Wenecyi, ażeby sobie wyobrazić, wśród ponurego półkola przyładków, tę magiczną illuminację, tak odbijającą się w każ-

dém poruszeniu wody, że zdawała się zaćmiewać światło miliona gwiazd.

W mgnieniu oka, tłum nieprzeliczony kobiet, dzieci i starców, zajął się liczeniem zdobyczy, wypróżniał łódki, kładąc sardele w kosze. Każdy z ubogich dostał po pięć rybek; tym którzy przeliczali, wyznaczono po sto sztuk: reszta była podzieloną pomiędzy kupców okrętowych zajmujących się sprzedażą ryb świeżych i handlarzy ryb tłoczonych w baryłkach. Każdy statek łowi dziennie od 25 do 60 tysięcy sardeli: połów rozpoczyna się w czerwcu, a kończy w październiku.

W przecięciu: licząc lata dobrego i mniej licznego połowu, Duarnenez wysyła 40,000 beczulek tłoczonych sardeli, biorąc 40 do 50 franków za jedną baryłkę, a świeżych do 30 milionów.

P. F.

KRONIKA LITERACKA.

Studja z dziejów wieku XVI, napisat Xawery Liske, Doktor filozofii. Poznań, nakładem księgarni Jana Konst. Żupańskiego, 1867, w 8-ce, str. 324.

Mamy tu w tem dziele p. Liskego kilka rozpraw, których treść zajmująca i ważna. Wszystkie odnoszą się do jednego czasu i jednych stosunków, opowiadają nam wspólne sprawy, jakie miał król Zygmunt Stary z Czechami i Węgrami. Wtedy na obudwu sąsiednich Polsce tronach, czeskim i węgierskim, panowała rodzina Jagiellońska, to jest Władysław Rex bene, brat rodzony Zygmunta, po ojcu zaś miał panować Ludwik, dziecko słabowite, które nie rokowało długiego życia. Zawczasu więc krzątał się dom habsburski około swojej myśli, którą był powziął oddawna, opanowania dwóch królestw. Historyczne przysłowie: „tu felix Austria nube,“ w owych to czasach powstawało, rozwijało się faktami. Dumny, chytry, zuchwały, nieprzebiegający w środkach cesarz Maxymiljan, oplątał swemi intrygami dwóch jagiellońskich braci i dobiegał do celu. Jednym słowem, owe to czasy, w których tworzyła się, ulepiała z rozmaitych państw i narodowości, dzisiejsza Austria.

Pan Liske rozwija przed naszymi oczyma kolejny szereg tych intryg. Naprzód tu idzie rzecz o kongresie wiedeńskim z 1515, na którym cesarz pierwsze przelamał lody, pierwsze usnuł sieci; potem jest tu opowiedziany stosunek dworu polskiego do elekcji Karola V-go cesarza, wnuka Maxymiljana, a więc już po jego śmierci; dalej widzimy konfederację panów węgierskich z r. 1519, bo w obec zabiegów cesarskich rozbudzało się coraz silniej w Węgrzech działanie stronnictwa narodowego, które nie chce dynastji niemieckiej, a rodzinę Zapolskich do tronu prowadzi i owa konfederacja magnatów węgierskich jest także symptomatem gorącej walki. Nareszcie mamy tutaj rys działań dyplomacji polskiej z r. 1526, to jest przyczynek, jak się autor wyraża, do dziejów sporu o tron węgierski po śmierci Ludwika Jagiellończyka w bitwie pod Mohaczem.

Sama ta książka jest pięknym przyczynkiem dla dziejów, nie powiemy wyłącznie polskich, ale polsko-czesko-węgierskich. Nie są to wszelako same dzieje, a raczej nie jest to rozdział jeden z nich wyjęty; nie znajdzie tu czytelnik opowiadania, przedstawiania kolejnego faktów, obrazu kongressu, działań jego i narad, bo są to właściwie tylko krytyczne rozprawy, mające na celu sprawdzenie faktów, ocenienie ich, są to materiały do historii, do tego przyszłego obrazu, są to, że tak się wyrazimy, przypiski historyczne Naruszewicza do wielkiego jego dzieła historycznego, są to dowodzenia, rozumowania, wywody oczyszczające fakt sam z rozmaitych naleciałości, dodatków, któremi z upływem czasu poplątały prawdę nieumiejętność, albo nieostrożność. Przypiski Naruszewicza powiadamy, bo w przypiskach tych leży, jak dzisiaj, cała wartość dzieła znakomitego; text naruszewiczowski przestarzał się, przybyło i źródeł i pogląd się zmienił, nauka stanowczy krok postąpiła i tylko w przypiskach ocalała się krytyka, potężny rozum, erudycja, dar kombinacji Naruszewicza. Może nie być wartości dzisiaj w jego np. przedstawieniu spraw Bolesława Chrobrego i Śmiałego z Waregami lub Węgrami, ale zajrzy i dziś do Naruszewicza historyk, który pragnie wiedzieć, co znaczył w Polsce wojewoda, co szlachta, co kniezie, kiedy jakie nastąpiły urzędy, podatki i t. d. Naruszewicz nie wciągnął w text dziejów wewnętrznego życia narodu, jego obyczajów, instytucji, — traktował to w przypiskach. Takie było jego pojęcie nauki. Ale nie o to idzie. W przypiskach tych nagromadził całe masy erudycji, żeby fakt jaki sprawdzić, objaśnić, ocenić, z dodatków oczyścić i pod tym względem studja p. Liskego przypominają nam przypiski Naruszewicza. Krytyka taka wiele zawsze pracy historycznej kosztuje. Podjęta przecież być musi, bo bez niej historia nie byłaby nauką, ale powiastką, zabawką fantastyczną, mieszaniną prawdy i fałszu. Krytycy ważne stanowisko w nauce zajmują; tylko ten fakt, który przejdzie przez sprawdzian ich sądu i erudycji, oczyszczony, w surowej nagości swojej, bogaci dzieje. Krytycy muszą poprzedzać opowiadaczy, gotując drogi pańskie. Z długich wywodów, porównań i sprawdzeń krytycznych, nieraz mało nauka wywinie treści dla samych dziejów. Niemniej krytyka konieczna, bo jedyna co oświeca.

Tak i w obecnej pracy p. Liskego. Weźmy jeden np. fakt kongressu wiedeńskiego; mało tu znalazło się treści, pewników, ale za to sam kongress wysunął się z po za osłon mitycznych, w jakie go ukrywała chęć zatajenia prawdy, lub świątobliwa niewiadomość. Te pewniki, które wy dobył p. Liske, zostaną w nauce i na nich się kiedyś oprze historyk

Mówiono tedy, że w Wiedniu układał się akt sukcesyjny Habsburgów do korony czeskiej i węgierskiej. Autor mniemanie to dość rozpowszechnione zbił, dowodząc, że owszem w całym ciągu obrad kongressu mowy o spadkobierstwie tém nie było; wszelako bardzo umiejętnie i z erudycją wskazał, że o spadkobierstwo

już dawno wprzód starał się dom rakuski, że rozpiął już wszelkie sieci i że kongres wiedeński, chociaż nic o prawie jego mniemanem do spadku nie mówił, był wszelako ważnym krokiem na drodze przywłaszczeń. Nastąpiły dwa małżeństwa: królewicza węgierskiego z cesarstwową i cesarza w imieniu wnuków z królowną węgierską. W średniowiecznym obyczaju, chociaż korony elekcją chodzily, wszelako do tej elekcji torowały ambicjom drogę związki rodzinne. Tak neapolitańska dynastia dostała się na tron węgierski przez kobiety, tak przez Marię córkę Ludwika wszedł na tenże tron Zygmunt Luxemburski, i przez tegoż córkę znów dom rakuski w osobie arcyksięcia Albrechta i sam nawet Rex bene Władysław Jagiellończyk, był synem Albrechtówny, więc przez matkę dostąpił korony. Tak i teraz na zjeździe wiedeńskim cesarz chciał się ubezpieczyć aż dwoma naraz małżeństwami.

Wszystko to dobre, ale spotykamy w autorze nieraz i zbyt uczną, niepotrzebną erudycję, marnowanie czasu i zdolności na różne wycieczki. Wpływa to szkoły. Rzecz prostą samą z siebie potrzeba tam koniecznie osłonić powagą erudycji, nasadzić cytacji, wypisów, niemieckim polski język przeplatać, a co najważniejsza, łacińskimi zdaniem, niby kwiatem to wszystko posypać.

Trud stracony był na to wykazywanie arcydrobiazgowo, że nie stanął żaden akt sukcesyjny w Wiedniu. Autor poprzednio już skreślił i przebieg kongressu i rozebrał pojedyncze na nim postanowione traktaty i wskazał, że o sukcesji nie było mowy. Ale Ranke wyraził się nicostrożnie w dziejach reformacji, że Maksymilian w Wiedniu z królami Jagiellońskimi zawarł, jak się wyraził, „najściślejszy traktat sukcesyjny.“ Dla zbicia też pomysłu Rankego, autor przywołuje wszystkie źródła, wszystkich pisarzy, nawet najmniejszych, społecznych i późniejszych, tych co mogli coś wiedzieć więcej i tych co nie mogli; jednych zdania przywołuje, drugich zbija, a to dla tego, żeby pokazać, że traktatu owego nie było.

Niepotrzebny też wywód erudycyjny, że królowny węgierskie mężów swoich wynosiły na tron, bo kto chociaż najpowierzehowniej zna dzieje, wie jak po Arpadach weszli książęta andegawenscy do Węgier, jak po nich Luxemburgowie, Habsburgowie, Jagiellony. Tu jednak jest i o co posprzeczać się z autorem. Jeżeli wynosiły królowny, to nie znaczy jednak, żeby miały jakie do tego prawa. „Bądź jak bądź, powiada autor, czy przyjmujemy, że linia żeńska miała prawo do korony w Węgrzech, lub nie, to w każdym razie dom Habsburgów mógł słuszne rościć pretensje do tronu tego“ (str. 110). Ani prawa królowny nie miały, ani dwór Habsburgów słusznie sobie rościć pretensje. Pretensje to nie prawo, ale czyż naprawdę te pretensje słuszne? W Polsce także same zachodzą wypadki. Ludwik węgierski następuje po Kazimierzu W., czyżby dla tego że jest synem Elżbiety Łokietkówny? Jadwiga następuje po Ludwiku, czyżby dla tego że była córką Ludwika? Tak i w Węgrzech. Za Arpadów było prawo dynastji, nie osób, bo nie bardzo podług starszeństwa wstępowali na tron tam królowie. Kiedy rodzina

Arpadów wygasła, naród przychodził średniowiecznym obyczajem do elekcji i nikt prawa jego zaprzeczyć nie mógł, a że wybię-rano spokrewnionych książąt z królewskimi rodzinami, wpływ to tradycji, nie skutek praw dynastycznych i sądzimy, że cesarz Maxymiljan opierając się na dawniejszych traktatach z XV wieku, sukcesyjnych swojej rodziny do Węgier, prędzej mógł o swoim prawie mówić, jak o sukcesji dynastycznej, chociaż i to przyznać trzeba, że podwójnem małżeństwem uchwalonem w Wiedniu, w duchu wieku, rozumnie drogę sobie torował.

Wywód więc praw żeńskich chybiony i szkoda erudycji autora, tém bardziej, że sam w końcu się reflektuje i dowodzi, że cesarz utrzymywał królowę węgierską Annę w Austrii, chociaż nie zaślubioną jeszcze stanowczo nikomu, bo się obawiał Jana Zapolyi. Ten Jan Zapolya nie marzył tylko o koronie węgierskiej, ale miał niepłonne nadzieje, że ją otrzyma po wygaśnięciu Jagiellonów. Autora książka cała około tej sprawy się kręci, wskazuje ciągle na walkę jaka trwa między Habsburgami a stronnictwem narodowem węgierskiem, którego nadzieją jest Zapolya. Cóż w takim razie znaczyły prawa Anny? I jeżeli cesarz bał się królowy przysłać do Węgier, żeby nie ożenił się z nią Zapolya, pokazuje to, że miał taki pogląd na sprawę, jak i sam Zapolya. Pretendent nie potrzebował praw Anny, sam stał własną siłą, dążeniami narodowego stronnictwa. Ale Maxymiljan miał za sobą dawniejsze, sukcesyjne traktaty. Obadwaj jednak pragnęli pretensje swoje wzmocnić pretensjami Anny. Rzecz jasna.

Zawiele też autor ujmuje Czechom. Prawo ich takie samo jest, jak i Węgrów. Wprawdzie Karol IV przepisał roku 1347, że elekcja króla należy się stanom czeskim tylko w razie, jeżeli wygasnie jego rodzina męskiej i żeńskiej linii. Pokazuje się atoli, że prawo to opierało się tylko na życzeniu królewskiem; było rodzajem takiego prawa, jakie miał Maxymiljan z dawniejszych sukcesyjnych traktatów do Węgier, to jest prawem przywłaszczenia. Panował Jerzy Podjebrad w Czechach pomimo prawa Karolowego. A Władysław Jagiellonczyk stara się także o uznanie prawa dziedzicznego swojej córki Anny do Czech. Tu już uznanie praw jest pewniejsze, bo stany królowi obiecują. Jednak królowna nie ma iść za mąż bez wiedzy stanów, teraz czyż traktaty wiedeńskie działały się za wiedzą stanów? Ferdynand potem na prawa Anny się powoływał, chcąc dostąpić korony czeskiej, a wszelakoż pozwolić musiał na elekcję i być wybranym królem Czech. Po elekcji swojej nawet nadał Czechom Ferdynand dyplomat zapewniający im i nadał to prawo elekcji, i potem zawodził spory z niemi chcąc dyplomat odebrać. Wszystko to dowodzi, że p. L. niepotrzebnie zwodził boje w obronie Habsburgów, którzy lepiej o sobie pamiętali. Sam autor opowiada, że Maxymiljana „tam gdzie chodziło o korzyść jego domu, nikt nie był w stanie przewyższyć“ (str. 113). Tak jest i tutaj zasługa autora również, że ten charakter historyczny, bardzo dobrze zresztą znany, samolu-

bny, umiał jeszcze nowemi rysami rozjaśnić. Maxymiljan typ to prawdziwie austriacki; cały świat klócić, aby panować na nim, to jego polityka; byle środek, żeby prowadził do celu, to jego postępowanie.

Więcej ma wartości naukowej wywód historyczny swatów króla Zygmunta Starego o Bonę. Ranke, magister dixit, powiedział (str. 73), że jeszcze na kongressie wiedeńskim cesarz króla oplątał Boną. Zdarza się i profesorom niemieckim strzelać baki. Ale, żeby nie magister dixit, nie mielibyśmy wcale tutaj ciekawego w istocie wyvodu. Cesarz dopiąwszy swego celu, uśpiwszy czujność Jagiellońskich królów, dorwawszy się nowej nadziei do korony czeskiej i węgierskiej, rozczulił się i z przyjaźni serdecznej chciał mu być swatem. Pierwej jednakże nim Bonę, podsuwał królowi swoją wnuczkę Eleonore, dziedziczkę Flandrii i Burgundji, w razie bezdzietnej śmierci dwóch braci, Karola i Ferdynanda. Król i większa część senatorów oświadczyła się za tym małżeństwem. Lecz dwory bruxelski i hiszpański stawily trudności, bo nie chciano zięźniczki oddawać za mąż w tak odległe strony, jak wówczas była Polska. Wtedy dopiero wypłynęła na wierzch sprawa Bony.

W książce p. Liskego są jeszcze postronne rzeczy. Jest wiadomość o materiałach rękopiśmiennych biblioteki miejskiej w Lipsku, odnoszących się do historii polskiej i zbiór rozlicznych dokumentów z wieku XVI, objaśniających rzeczy krytycznie przejrzaue przez autora. Zbiór ten dokumentów nie jest nowy, ale wyjęty z dzieł rzadkich i starych, rozpowszechnia źródło. Jest to zbiór dowodów, piéces justificatives do opowiadań autora, któremu i za to podziękować.

Dnia 13 listopada 1867 roku.

Juljan Bartoszewicz.

„Panie kochanku.” *Anegdota dramatyczna we trzech aktach przez J. I. Kraszewskiego. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego. Czcionkami A. Schmädiekiego w Poznaniu (w 12ce str. 129).*

„Wszystko się mieni z mieniącemi czasy,” powiedział Jan Kochanowski, a prawda to szczerza; ktokolwiek z nas co dawniejsze pamiętamy lata, rzuci myśl i spojrzy na społeczność swoją, widzi te zmiany. Niedotykając wielu przedmiotów, najdobitniej uderza przerwana złota nić tradycyi *żywego słowa*, które przechowywało tyle skarbów przeszłości. Gdziekolwiek przybyłeś, czyto do wspaniałego dworu, czy do skromnego dworku ubożego ziemianina, którego całym mieniem był tylko jeden zagon

roli, po przyjęciu *chlebem i solą* rozpoczynała się gawęda swobodna, najmiłsza przykrasa gościnnego przyjęcia. Wynosiłeś z niej obok zajmujących wiadomości i naukę, która jako żywem słowem wypowiedziana, ryła się w pamięci niestartemi zgłoskami.

W tejto tradycyi przed 40 jeszcze laty, najgłośniejszy i najszersze zajmujący miejsce, był „Panie kochanku” a właściwie, książę Karol Stanisław Radziwiłł, mający ten przydomek, gdyż co słowo, było u niego przysłowiem *Panie kochanku*.

Cóż mu dało tak niesłychaną popularność w całym kraju, to zajęcie myśli kilku pokoleń, że gdy na zebraniu jakim, wspomniano jego imię, zbiegali się wszyscy, otaczali wieniec tego, który je wymówił.

Czy ród, czy bogactwa, czy zasługi przeważne? Ale nie brakło w pierwszej połowie XVIII wieku, równych mu rodem możnowładców, aui też słynnych wielkim majątkiem, a zastugami dla kraju wielu go przносиło. Mimo to popularność księcia wzrastała z latami i musiała być potężną, gdy w tradycyi ziemianskiej zacierała dawniejsze. Popularność tę *Panie kochanku* zyskał wrodzonym dowcipem i humorem, który ze był swojskim, przypadłał do smaku ogółowi. Przyznać też zaprawdę należy, że to rzadki humorysta. Kłamał niestworzone rzezy, które lotem kraj cały obiegały, a w słuchających wzbudzały śmiech serdeczny. Najlepiej maluje go nam wspomnienie zebrania licznego w Nieświeżu. Podano myśl zadawania zagadek, na które jeden z obecnych winien do rymu odpowiedzieć.

Jeden z ziemian poufalszych przy książęcym stole, po hojnym przyjęciu siedząc w pobliżu gospodarza wypowiedział wiersz:

„Kto łze ciągle od wieczora do poranku?”

Kiedy wszyscy umilkli, książę spojrział na ulubionege *journaliste* i odrzekł prędko z udaną powagą:

„A to ja, Panie kochanku.”

Czemu obecni śmiechem ogólnym i oklaskami przywtdrzyli.

Dodajmy do tego hojność i wspaniałość, dobroć serca i szlachetność, gdyż oprócz jednego napadu w młodych latach na dom ziemianina, zarzutów niesprawiedliwego postępowania, przewagi możnowładczy nie widzimy żadnej: i dlatego popularność jego wzrastała.

W tradycyach jakie o nim przez wiek blisko krążyły, nie było słówka o jego życiu publicznem, wszystkie tylko malowały jego stronę anegdotyczną. Ztąd postać *Panie kochanku*, może się przydać do komedyi, ale nigdy do poważnego dramatu, jakkolwiek w życiu swoim miał wiele ustępów smutnych i tragicznych.

Mozemy powiedzieć nawet, że nie znała tych właśnie wypadków tradycya i ztąd omijała obojętnie. Dopiero w naszych czasach Edward Kotłubaj, dał nam dokładny zyciorys księcia Karola oparty na źródłach historycznych (1).

W nim sprostował wiele błędnych mniemań, krążących długo jako prawdziwe fakta o tój tak wydatnej postaci.

Oblicze samo *Panie kochanku*, może służyć jedynie do postaci, z której wybija dowcip i humor. Twarz podłużna, kilką podbródkami zakończona, nos długi z sumiastem zawieszystym wąsem, czoło wyniosłe; oczy nie tak wydatne, w oprawie więcej wązkiej jak okrągłej; wszystko razem, nadawało wyraz pogodny, wesoły. Rysy te zmieniały swoją łagodność, kiedy wpadał w gniew, a uniesienie każde było tak gwałtowne, że tracił głos, słowa wyrzec nie zdołał, i krzyk tylko straszliwy wydobywał z głębi piersi. W takim wzburzeniu a były to rzadkie chwile w jego życiu, nie dziwota, że całe oblicze zmieniało się do niepoznania.

Jakkolwiek miał ogromny majątek, nie nie przysporzył ale zmniejszał go rok rocznie. Ziemianie, ze stu przeszło milowej okolicy, co go ubóstwiali, mniej więcej zebrawszy grosz jaki, a wówczas złoto i srebro znane były jedynie, przywozili mu go, prosząc ażeby raczył przechować w swoim skarbie. Książę żadnego worka nie liczył, ale w obecności przybyłego, po zapytaniu jaką obejmują sumę, każdy opieczetowawszy swoim sygnetem kazał zapisać rachmistrzowi do księgi, wydawał *skrypt* i odwieźć do skarbcu, a pieniądze nie użytkując, procent właścicielowi opłacał.

Wystawne życie, hojność wrodzona, doznane klęski nie małe w zamieszkach krajowych, a w przystępach dobrego humoru niesłychane marnotrawstwo i zbytek, miliony pożerało. Po śmierci zostawił wielką *fortune*, ale obciążoną wielkimi także długami.

Przez długie lata, żyła postać Pana-kochanku w żywej pamięci, tradycją podtrzymywana; nie dawne temu lata, gdy przeszła na karty pisane. Henryk hr. Rzewuski, Chodźko, i inni, gdy tradycya przygasła zachowali ją w swych własnych utworach. W r. b. J. I. Kraszewski, dobrze pojmując tę postać, postawił ją na deskach teatralnych, ale w komedyi p. n. *Panie kochanku*. Mnóstwo krążyło anegdotycznych powiastek, które się przy nim ugrupowały, chociaż początek ich spoczywa w dalekiej przeszłości. Ale nie mogło być inaczej, gdy przechowały się w *żywem* tylko słowie podania. Ze zmianą czasów po wygaśnięciu tych, co wielu dykteryek pochodzenie dobrze znali, a te wartością swoją w pamięci ogółu utkwiły, przyczepiano je do postaci najwydatniejszej a im pobratniej. *Panie kochanku* był uosobionym dowcipem

(1) Galeria Nieświeżska portretów Radziwiłłowskich, z drzeworytami Michała Starkmana. Wilno 1857 r.

i humorem domowym: wszystko więc co tchnęło jednym czy drugim zgarnęła tradycya pod jego poły żupana: Ztąd też mnóstwo dykteryek, anegdot, od Jagiellońskich czasów, przechowało się przy tym księcin.

Kiedy już przygasta pamięć głośnej za Zygmunta Augusta *Rzeczypospolitej Babińskiej*, dowcipki jej ogarnęła także postać księcia *Panie kochanku*.

To co zachowała dotąd pamięć, co ujęto pismem już w bliższych nam czasem złożyłoby księgę niemalą a pełną zajęcia.

J. I. Kraszewski, w szkołach bialskich tuż pod zamkiem Radziwiłłów wychowany, w którym mieszkał *Panie kochanku*, gdzie po oślepieniu, smutnie wiódł życie, i tu je zakończył, słyszał wiele o nim, znał nawet wielu jeszcze dworzan zmarłego księcia. Postać też jego żywo mu się odmalowała od lat pacholęcych, i łatwiej mu też jest oddanie jej z całym prawdy urokiem.

Jak z przemowy widzimy, na czele tego utworu pomieszczonej, autor powziął zamiar napisania trylogii, trzy komedye (jak wyraża) z trzech epok życia księcia Karola, pod ogólnym tytułem *Panie kochanku*. Pierwsza z nich: „*Na wygnaniu*” po Barze, druga „*Wesele w Albie*” wizerunek z wesołego żywota bandy albeńskiej: trzecia, ta którą dajemy, „*Syruc i Radziwiłł*” ostatki lat spędzonych w Nieświeżu przedstawiać miały.

„Dwie pierwsze nie zdały się nam jeszcze gotowemi do wyjścia na świat, i do czasu w tece pozostać muszą: trzecią a ostatnią dajemy.”

Z tego napomnienia widzimy, że w tém trylogium autor pragnie w szerokich ramach odmalować nam postać tak wydatną, jaką jest książę Karol Radziwiłł.

Powiedzieliśmy wyżej, że *Panie kochanku* może służyć jedynie do komedyi, rozumiał to dobrze J. I. Kraszewski, i przedstawia go w swęj *anegdocie dramatycznej*.

Treść tego utworu, stanowi jedno zdarzenie z życia księcia Karola.

Akt pierwszy odbywa się w starej puszczy litewskiej, w której na ulubionych łowach na niedźwiedzie czas trawi z dworem swoim.

Wirszyl rezydent i poufały księcia stojąc na stanowisku wyznaczonem, niespodzianie w miejsce dzikiego zwierza spostrzega z gęstwiny wychodzącego młodego podróżnika, w którym z nie-małym przestachem poznaje Syrucia z pod Lidy.

Obawa jego nie była daremna, bo gdy książę Karol w czasach burzliwej młodości kiedy był miecznikiem, najechał w gniewnym uniesieniu dwór jego, i wyгнаł z rodzinnego gniazda, Syruc wyjednał wyrok trybunału na możnowładcę skazujący go na *wieżę*. Chociaż odsiedział ją po pansku, ale poprzysiągł w zemście, że jeżeli go schwyty, śmiercią ukarze.

Przestrach Wirszyła jeszcze był większym, kiedy się dowiedział że przybywa na dwór Nieświeża, dla zobaczenia narzeczonej swojej Leosi Puciatównę, i osłonięcia jej od zalotów *Pana Kochanku*.

Nikt więcj Syrucia nie znał na całym dworze, przymusza więc Wirszyłę do zachowania tajemnicy, gdyż przedstawi się pod nazwiskiem Pawła Hbrajny.

Wśród tej rozmowy słychać strzał blizki, i wierzechowiec Syrucia, w miejsce niedźwiedzia, pada z ręki księcia Panie Kochanku.

Wychodzi z kniei sam książę, z szambelanem Łopuskim i rezydentami, a widząc rozpacz młodzieńca po stracie konia, poleca szambelanowi wziąć na siebie rolę *panie kochanku*, a sam udaje się za szambelana.

Na zapytanie jakiej chce nagrody za poniesioną stratę, Syruc żąda kilka tysięcy talarów, i konia dobrego wierzechowego ze stajni nieświeżskiej.

Rozgniewany książę tak wygórowanem wymaganiem, zaprasza go na dwór swój, a cichaczem daje rozkaz, ażeby go ucztowano pieczenią z zabitego konia, spojono i na dywanie *bockowski* monitorem dano dobrą pamiątkę.

Tak więc wchodzi na dwór nieświeżski, odważny Syruc; pieczeni końskiej nie kosztuje, spoić się nie daje, bo wszystkich przepija, i pomimo straży czujnej uprowadza swoją narzeczoną, z którą ślub bierze, w pierwszym po za Nieświeżem kościele.

Książę Panie Kochanku, dowiedziawszy się o ucieczce ukochanej rezydentki bawiącej przy swej siostrze, i Syrucia, wysłała zastęp zbrojnych, który sprowadza po ślubie już wziętym oboje do Nieświeża.

Związany nowożeńiec, śmiało staje przed *panie kochanku*, który schwytyany za słowo, przez Leosię Puciatównę, ofiarując jej bowiem ze swego skarbcu pierścień kosztowny, gdy się jej zalecał, że gdy go pokaże, wszystkie jej życzenia spełni, a ona żąda uwolnienia swego męża, nietylko swobodnie oboje wypuszcza, ale sprawia im na swoim dworze sute wesele.

Przez całą sztukę charakter *panie kochanku* wybornie utrzymany, znać w nim ciągle humorystę i łgarza, który w wierutne swoje kłamstwa dobrodusznie sam wierzy. Tak np. kiedy Syruc, dla zapobieżenia zdradzie Wirszyły, gdyby go wydał że nie jest Horajnem, ale wrogiem księcia, owym Syruciem, co obudzał zawsze zawzięty gniew w księciu Karolu, potrafił w tegoż wzmówić, że ów rezydent cierpi czasami pomieszanie zmysłów; *panie kochanku* mimo ciężkiego strapienia mówi do szambelana Łopuskiego:

— „Ja byłem świadkiem w Londynie ciekawej operacyi, gdy jednemu angielskiemu szlachecicowi, kula kawał czaszki z mózgiem wyrwała. Wstawili mu tedy kość srebrną pozłacaną, a mózg, że innego pod ręką nie było, wpuścili cielięcy. Zawsze

potem, gdy krowy zobaczył, ssać miał ochotę. Ale i szambelan byłś przy tém podobno?...

A szambelan z ukłonem odpowiada:

— Tak Mości Książę, gdy ssat.

Piękną jest postać Syrucia, pełną odwagi i szlachetności. Wybija ona najcieplej w scenie zamykającej akt drugi, kiedy szambelan donosi księciu że do kielicha jest niezwytyczony, pieczeni zabitego wierzchowca nie skosztował, i wyzwany na rękę każdego pobit.

Energiecznie obok tego występuje, gdy schwytyany przy stopniach ołtarza, po wzięciu ślubu ze swą narzeczoną, staje przed różgniewanym *panie kochanku*.

Postać Leosi Puciatównej oddana jest we właściwych jej rysach prostoty i niewinności, jak Wirszyłło w typowej dworzan i rezydentów owego czasu.

Utwór ten, czy go nazwiemy *anegdota dramatyczną*, jak sam autor, czy „*porządną krotoczwiałą*” jak się o nim wyraża K. Kaszewski, ma tę rzeczywistą wartość, że przenosi czytelnika w tamte czasy, że go owiewa atmosferą zgasłej przeszłości. w której wybijał tak jaskrawo *Panie Kochanku*

Biorąc miarę z wartości *Pani Kochanka* i szczęśliwem wprowadzeniu go na scenę, musimy pragnąć i żądać od autora, ażeby zamierzoną trylogię wykończył, i dał nam poznać charakter tego możno-władcy z poważniejszej nieco strony.

Oltwarzanie takich postaw z zamierzczej przeszłości, nie jest bez korzyści; pokazując odmianę czasów, daje nam widomy obraz postępu ludzkości, i pięknych a szlachetnych nabytków, które zdobywa w pochodzie swoim wiekowym. K. Wł. W.

Opisy i przygody z podróży po różnych częściach świata: Zebrał i ułożył Wład. L. Anczyc. — Przypadki Robinsóna Kruzoa podług najlepszych źródeł dla dzieci polskich, opracował Wł. L. Anczyc. — Mali ludzie i ich świat prze: Teofila Nowosielskiego. — Wieczory domowe. Zbiór zabawek, opisów i powiastek dla nauki i rozrywki dobrych dzieci zebrała Paulina Kralów. Wydanie drugie. — Powieści złotte. (Les contes javnís). — Warszawa. 1868.

Wszystkie, powyżej napisane dziełka, są przeznaczone na gwiazdkę dla dzieci mniej więcej prawie jednakowego wieku. Piśmienictwo dla dzieci jest rzeczą daleko trudniejszą, aniżeli się to na pozór zdawało. Pisarz tego rodzaju książek musi mieć ciągłe na uwadze nieprzeliczone względy na wiek, usposobienie, uzdolnienie dzieci; zastosować się musi do tych przeróżnych względów w swo-

im stylu, sposobie opowiadania, w przedmiotach opisów i opowiadań, słowem w treści i formie, na co inny pisarz mniej daje baczenia. Rzecz oczywista, że tak ograniczony zakres ścieśnia swobodny polot pióra, tłumi atmosferę, w której się obraca duch takiego pisarza, co wszystko ogromnie utrudnia jego działalność. Można prawie powiedzieć, że do tego potrzeba osobnego talentu, któryby wszystkie te przeszkody bez trudności omijał. Do powyższych wymagań trzeba jeszcze dodać wymagania wspólne wszystkim w ogóle literackim utworom. Do takich mianowicie liczę konieczny przymiot każdej książki t. j. jej ciekawość, umiejętność zajęcia i przywiązania uwagi czytelnika. Bez tego przymiotu i dziełko dla dziecka w żaden sposób obejść się nie może, i owszem jest on potrzebniejszym niż gdziekolwiek indziej. Jeśli się dziecko nie zaciekawi do jakiej książki, to na nic się nie zda i pożyteczność treści i czysta moralność i wszystkie inne zalety, praca w takim razie zupełnie chybia:—dziecko nie a nie z nią nie skorzysta. O książkach będących przedmiotem niniejszego przeglądu, tego nie można powiedzieć; owszem wszystkie razem i każda z osobna jest dziełem pisarzów, których zdolności w tego rodzaju utworach są powszechnie znane i słusznie cenione.

I tak p. Władysław Anczyce, b. redaktor „*Przyjaciela Dzieci*,” obdarzył nas obecnie dwoma książkami, które bezpiecznie na miłą dzieciom gwiazdkę zalecić możemy. Jedną z nich p. n. *Opisy i przygody z podróży* i t. d. daje „*małym ludziom*” pewne wyobrażenie o zwyczajach, obyczajach, przyrodzie każdej z pięciu części świata. Najbardziej zajmującym jest tu ustęp p. n.: *Przygody majora Huxton w Australii*. Zdaje nam się, że taki właśnie sposób malowania danych krajów, jak widzimy w tym ustępie, zwłaszcza przeprowadzony na obszerniejszą jeszcze skalę, lepiejby się przyczynił do zaciekawienia a zatem i nauczania dzieci nizeli suche czasami wiadomości, które autor o innych krajach podaje. Ciągłe opowiadanie więcej przywiązuje uwagę dziecka aniżeli pojedyncze nie powiązane kawałki. A o uwagę dziecka najwięcej tu chodzi; ztąd też z przyjemnością przechodzimy do drugiej tegoż autora książki p. n. *Przypadki Robinsona Krusoe*, której przedmiot znany jest niemal wszystkim, co nas uwalnia od podawania treści; a przedmiot ten pod piórem p. Anczyca nowego wdzięku nabiera. Powszechnem dotąd było mniemaniem, że twórcą tak zwanych *Robinsonad* jest Anglik *Daniel Defoe*, którego praca wyszła po raz pierwszy w Londynie 1719 r.; teraz jak wiele innych powszechnych mniemań, chwiać się ta opinia zaczęła. Chcemy tu mówić o piśmie Dra *Sophus Ruge* p. n. *Robinsonady przed Defoem* (Die vordefoe'schen Robinsonaden. Drezno. 1867). W tej pracy p. Ruge wykazuje, że już na sto lat przed Defoem były utwory w podobnym rodzaju jak jego *Robinson*. Za pierwsze z takich pism uważa dzieło p. *Jana Moequet* w jego *Voyages en Afrique etc.* Paryż 1616. W 60 lat potem wyszło pismo, które dr. Ruge uważa za najlepszą *Robinsonadę* przed Defoem. Autorem jej jest

Gabryel de Foigny, który pod pseudonimem *Tadeusz* wydał: „La terre Australe connue, c'est à dire la description de ce pays inconnu jusqu'ici etc. A Vannes. 1676 (1). Przedmiot więc *Robinsona* jest, jak widzimy, stary; mimo to przecie zapewne długo jeszcze będzie powodem do rozlicznych opracowań, gdyż przedstawia doskonały materiał do zajęcia i nauczania dzieci, wyborny środek rozwinięcia wszystkich władz ich duszy. *P. Anezyca* umiał w swoim piśmie skorzystać z dotychczasowych prac na tem polu i wpleść w swe opowiadanie wiadomości ciekawe i pożyteczne. Za zaletę także tego opracowania uważamy dodanie objaśniających uwag co do pewnych technicznych wyrażen i nazw mniej znanych młodemu pokoleniu. Co się tyczy stylu w obu dziełkach *p. Anezyca*, to trudno nie przyznać, że umiał w tym względzie szczęśliwie ominąć szkopuły, o które się wielu rozbija w pracach dla dzieci. Styl jest potoczny, jasny, ani zbyt prosty ani wygórowany, prosty jak prostota dziecięca. Jednakże można by uniknąć w książkach, dla dzieci przeznaczonych, takich słów jak *bydłęta*, mówiąc o ludziach. jak wszystkie przekleństwa do wszystkich djabłów i t. d. Język *p. Anezyca* wszędzie dość poprawny, chociażby łatwo było się ustrzedz takich wyrażen i wyrazów jak: *masz słusznie*, *nawyożki*, *plyw*, *rwiać* i t. d. Wszystkie te usterki dadzą się bez trudności poprawić przy drugiem wydaniu, które ze nastąpi wątpić nie można.

Mali ludzie i ich świat przez *Teofila Nowosielskiego* jest nowym przyczynkiem, powiększającym nie zbyt liczne u nas piśmiennictwo dla dzieci. Jestto zbiór krótszych lub dłuższych powiastek, oryginalnych lub naśladowanych z historyi lub życia pospolitego, prozą i wierszem. Wszystkie one odznaczają się ciepłem uczucia, miłością dla dzieci, poczciwą chęcią nauczania młodzieńczego pokolenia. Rzecz oczywista, że trudno w takich pracach o jakich tu mowa, o nowość inwencji; zasługa głównie opiera się na szczęśliwym ujęciu przedmiotu i jego obrobieniu: a trzeba wyznać, że pod tym względem książka *p. Nowosielskiego* po większej części zadowalniająco odpowiada swemu przeznaczeniu. Są tu kawalki, które się z przyjemnością czytają. Na dowód przytaczamy wiersz *p. n. Wiejski kominek* str. 124.

Słońce zachodzi już za górami,
Już i na polu skończona praca;
Powraca oracz z swemi radłami,
Z bydelkiem pasterz także powraca.

Już i mrók zapadł nad wiejską chatką,
Na Anioł Pański dzwon się odzywa,
Gospodarz w domu z swoją czeladką
Po pracy dzienniej wczasu używa.

(1) Zasługa pierwszego zwrócenia uwagi czytającej publiczności pod tym względem należy się *Przeglądowi Tygodniowemu*. 1867. N. 47.

Tu na kominie ogień się żarzy,
 Działwa spożywa skromną wieczerzę;
 Ojciec o dawnych dziejach im gwarzy,
 A potem z nimi mówi pacierze.

Wnet po pacierzach kniutek ubogi
 Z działwą się udał na twarde łoże,
 Anioł im przyniósł z nieba sen błogi,
 Bo nad prostaczkim jest oko Boże!

Ryciny nie powiemy, żeby ozdabiały tę książkę, są po większej części niedbale wykonane i przechodzą prawie w karykatury.

Wreszcie mamy dwie książki, z których jedna w powtórnym drugą zaś już w kilkakrotnym wydaniu u nas się pojawia; mają one tym sposobem już ustalone powodzenie i nam prawie na zgodnem z tem uznaniem wspomnieniu ograniczyć się wypada. Pierwsza z tych książek „*Wieczory domowe*” jest pracą p. Pauliny Kraków, autorki, która w utworach na tém polu zaszczytne sobie imię zarobiła. Czysta moralność, pouczająca treść mile przedstawiona, język zawsze poprawny a styl naturalny, są to jakby konieczne przymioty tej pisarki. Z pomiędzy artykułów, znajdujących się w *Wieczorach domowych*, najwięcej zapewne wzbudzi zajęcia *Nadwiślanie*, komedyjka w 2ch aktach, *Lepiej mało a do brze niż wiele a licho*, przysłowie w obrazie i *Listy z przejeżdżki*.

Drugie dziełko: *Powiesci żółte* (po polsku i francuzku) właściwie jest przeznaczone do początkowej nauki języka francuzkiego a nie do celu w jakim były pisane wszystkie wyżej wymienione pisma, t. j. do celu nauczania dzieci w połączeniu z ich zajęciem, wpłyńcicia na ich serce i moralność; chociaż zkażdym i ten cel w *powiesciach żółtych* nie jest zaniebdany. Bezwątpienia dla wielu było dziełko jedną z pierwszych książek, na których uczyli się języka salonów. Obecne wydanie tych *żółtych powieści*, jak wszystkie w ogóle wydania pp. Gebethnera i Wolffa—a właśnie rozbierane tu książki oprócz „*Mali ludzie i ich świat*” są staraniem tych księgarzy wydane—odznacza się bardzo powabną powierzchownością, co jest zaletą nietylko w oczach dzieci, pięknym papiere, drukiem czystym i wyraźnym, rycinami nawet pod wzgiedem artystycznym dość zadowalniającemi. Ryciny te są roboty pp. H. Pillatego, W. Gersona; samo ich nazwisko dostatecznie już nas pod tym względem ubezpiecza. Fakt ten, jako niezbyt często się powtarzający w naszych ilustracyach książkowych, tu zaznaczamy.

Stanowisko pracy w rozwoju społecznym, przez p. Jana Hempla. Warszawa. 1868. W 8ce str. 54.

Kiedy przeglądamy tę książkę, sympatya nas ogarnia, bo przedmiot to godny zaprawdę szerokich studyów i wszechstronnego traktowania. Stanowisko pracy! wszakżeż to kwestya jedna z najżywotniejszych, to wielka ona budowa, na której się postępek ludzkości zasadza. Praca tylko jedynie i to praca olbrzymia, żelazna, praca jednem słowem prawdziwa, doprowadziła ludzkość do stanu obecnego. Wszystkie nabytki dzisiejszej cywilizacyi z tej pracy wyrosły, i pracato przez powódź wieków tylu unosiła zawsze w górę sztandar postępu. Wdzięczność zatem prawdziwą chować winniśmy dla każdego, kto kwestyi pracy w ogóle dotyka, a co ważniejsza, jej stanowiska w rozwoju społecznym, bo powtarzamy, kwestya to wcale na czasie.

W rozprawie p. Hempla, uprzedzam cię czytelniku, nie znajdziesz głębokich a tém bardziej genialnych myśli, filozoficznych traktatów, pełnych nowych poglądów, nie spotkasz się tu również z erudycją. Sumiennosc nakazuje nam to wyznać. Ale jeżeli, z drugiej strony, szukasz tylko jasno a prosto przedstawionego obrazu naszego stanu terażniejszego; jeżeli żądasz od autora, aby wskazał rany nie przepomniał zarazem przepisać na nie skutecznych leków; by z miłością ku współtraciom i w duchu wiary naszej mówił ci o potrzebie pracy, — jeżeli, mówię, tego wymagasz: to mam nadzieję, że się nie zawiedziesz.

Autor rozwija, jak wiek nasz, mimo wielu właściwych mu wad i stron ujemnych wzbudził poszanowanie dla pracy, otworzył jej wrota; owszem, przez stowarzyszenia i zdrowe teorye ekonomiczne stara się jak można najwięcej rozszerzać źródła godziwego zarobkowania. Tym sposobem przynajmniej coraz zinniejsza się wielka jeszcze liczba proletaryatu, bo plagi tej uniknąć niepodobna.

Prawda, dodajmy że ta praca naszego stulecia ma na swém białem obliczu i ciemne plamy; prawda, że np. brudna spekulacya wielu przemysłowców naszej epoki posuwa się do niegodnego wyzyskiwania pracy robotnika od dziecka, starając się zagłuszyć w niem wiare i wszelkie wyższe uczucia ducha ludzkiego, by przez to łatwiej z istoty myślącej zrobić maszynkę prawie nadającą się do ich egoistycznych interesów. Ztądto nie rzadkie dziś są smutne przykłady; a podobne do wypadku, opowiedzianego przez ks. Dupanloup'a (1). Robotnik pewien, są słowa biskupa Orleanu, zapytany przez członka Instytutu paryzkiego o to, czy zasady

(1) Patrz jego: *l'Atheisme et le peril social.* Paris. 1867. Septième edition, str. 102.

religijne zachowują się w jego fabryce, odpowiedział: „My, panie, my jesteśmy pozytywistami.”

Ale niegodziwości ludzkiej nie należy kłaść na karb zasady pracy, jak nie można obwiniać idei prawa dlatego, że złych ma wykonawców. Autor słusznie zatem zbija zarzut, jakoby systematyczna praca miała tępić uczucia serca i materyalizować ducha. Wielki ten błąd pochodzić może jedynie tylko z błędnego pojmowania znaczenia pracy. Praca nie zabija ducha, przeciwnie ona go podnosi, rozwija i uszlachetnia.

W trzecim rozdziale autor rozbiera nasze dawne stosunki ekonomiczne.

Wszystko co powiedziano o urządzeniu stosunków rolniczych w dawnej Polsce, jest może nie nowe, ale bardzo logicznie, nawet gruntownie wypowiedziane i to jest ustęp, który do najlepszych w broszurze p. Hempła zaliczamy.

P. Hempel podaje środki, mogące nam zapewnić rozwój przemysłu. Projektuje instytucye, których celem byłoby umiejętne wspieranie młodzieży, garnącej się do zawodów technicznych i t. p. Czas tylko może pokazać, o ile projekta te są praktycznymi: dziś przesądzać ich wartość, byłoby przedwczesnie. Dość zaznaczyć, że poczciwa myśl je natchnęła.

Ostatni rozdział (IV) zawiera kwestye ogromnej doniosłości. Zapytuje się np. autor, czy reforma charakteru narodowego na wprost przeciwny, radykalnie i bezwzględnie jest możliwą i rozwija rzecz tę ze stanowiska psychologii. Powiada on że tylko gdy w zamiarze zupełnego odrodzenia duchowego wnikiemy we wnętrze swojej istoty, nad własną zastanowimy się treścią, możemy zreformować swój charakter; tylko bacząc, jakie to cnoty i zasługi najbardziej odpowiadają instynktowym naszym popędom, dojdziemy do celu ufając tej prawdzie, że każdy naturalny pociąg i każda namiętność wrodzona może w kolei czasu ukształtować się na wadę lub przymiot, na występek lub cnotę.

Tak tylko pojęta reforma charakteru, (a stosuje się to równie do ludzi pojedynczych jak do narodów całych) jest możliwa.

Najsłabszą stroną broszurki jest jej strona filozoficzna. Jak tylko autor puszcza się na pole filozoficznych dowodów, a czyni to zawsze z właściwą sobie i godną pochwały skromnością, to zwykle w pół drogi ustaje, to znaczy, kończy niefortunnie, lub nieprzekonywająco. Tak np. możnaby wychodząc z zasady, że wszystko w przyrodzie istnieje tylko dlatego: iż się rozwija, dowieść potrzeby pracy w sposób nawet bardzo dosadny; tymczasem rozwinięcie autora widzimy w tym punkcie blade, lub oparte na ogólnikach, niczego nie dowodzących.

Zwrócić też musimy uwagę na jedno miejsce w broszurze p. Hempła. Na str. 27 autor powiada, że Platon określa piękno jako odbłask prawdy, a w nawiasie zaraz powtarza to zdanie w języku Wiktora Hugo. (*Le Beau est la splendeur du Vrai*). Coż to znaczy, pytamy się ten tekst w nawiasie z Platona, po francuzku!

To nas poucza, że autor czytał greckiego filozofa po francuzku tylko, ale po cóż nam ta wiadomość? Jeżeli nie można przytoczyć oryginału, trzeba przestać na cytacie we własnej mowie; inaczej wygląda to dziko, jeżeli nie śmiesznie.

Język autora broszurki w ogóle piękny i czysty, znajduje się atoli kilka galicyzmów, takich np. jak w zdaniu następującym:

„Bóg tylko jeden tworzy z niczego, tworzy bezwzględnie i wyłącznie mocą swojej woli; bo będąc nieskończonym i wiecznie bytującym, najogromniejsza nawet mnogość istot ograniczonych wypływa z Jego potęgi” i t. d., które nie mile uderzają ucho czytelnika.

Niemniej, żądalibyśmy większej systematyczności, ale nie owej zewnętrznej, zasadzającej się na jak największej liczbie działów i poddziałów, przypominającej niemieckie paragrafy; lecz systematyczności w myśli samej i jej przeprowadzeniu. Jaśniej mówiąc, pragnęlibyśmy, iżby w broszurze o której mowa, zkąd inąd, jakeśmy widzieli, nie bez wielkich nawet zalet, było kilka myśli głównych, konsekwentnie przeprowadzonych, a inne by koło nich były według pewnego, a ścisłego ładu, ugrupowane; bez tego, wygląda rzecz p. Hempla na zwykłą łóżną pogadankę, nie bez pożywnej prawda treści, ale nie na rozprawę naukową.

Wl. Miłkowski.

Dzieła nader ważnego: *Scriptores Rerum Prusicarum. Die Geschichtsquellen der Preussischen Vorzeit bis zum Untergange Ordensherrschaft. Heraus gegeben von Dr. Theodor Hirsch, Dr. Max Töppen und Dr. Ernest ^{Strehlke}*. Lipsk. 1866, wyszedł tom III Zawiera VII działów na 730 stronicach, i tak:

Dział Iszy mieści w sobie: Krótkie roczniki Pruskie 1190—1337, wydane przez p. Ernesta Strehlke.

Dział IIgi Annales expeditialis Prussici (1233—1414) wydane przez p. Ernesta Strehlke.

Dział IIIci. Franciscani Thormensis Annales Prussici (941.—1410).

Dział IV. Jaua von Posilge oficyała poznańskiego: Kronika kraju Pruskiego, (1360—1419) wraz z ulamkami odnoszącemi się do Prus, a poczerpniętymi z kroniki Detmara z Lubeki, wydaną przez p. Ernesta Strehlke.

Szczególniej wydanie tej kroniki jest krytyczne, albowiem oprócz tekstu znajdujemy tu ośm dodatków stanowiących noty i objaśnienia samego jej kodeksu, czerpane z kronik i źródeł: pruskich, pomorskich, dolno-niemieckich, tungujskich, górno-niemieckich, czeskich, szlązkich, opolskich, niderlandzkich, francuzkich, szwedzkich, duńskich, z opisów życia papieżów i t. d.

Dział Vty. *Chronica terrae Prussiae 1029 (sc. 1098)–1450* wydana i poprzedzona wstępem przez p. Ernesta Strehlke.

Dział VIty. Dalszy ciąg kroniki Piotra z Dusburga przez Konrada Bitschina, w opracowaniu p. Maksymiliana Toeppena. I tu w dodatku znajdują się ułamki z innych pism przez Konrada Bitschina.

Dział VII. Stara kronika wielkich-mistrzów, opracowana przez p. Maksymiliana Toeppena. Przytém 2 dodatki, z których pierwszy obejmuje przyczynek do rękopismu starej kroniki Wielkich mistrzów, a drugi dopefnienia z roczników polskich, wydanych przez p. Ernesta Strehlke.

Tu także znajdują się materyały, jakie p. Dr. Arud, odwiedzając Warszawę zebrał z tutejszej biblioteki Zamojskich i ze zbiorów naukowych p. Alexandra Przędzieckiego.

Wł. M.

ROZMAITOŚCI.

*Zwyczaje ludu z okolic Tykocina i Bielska zebrał i opisał
Zygmunt Gloger.*

Niezmiernie ważnym materiałem dla badaczy przeszłości, są stare zwyczaje i zabobony, pod strzechami wieśniaczemi z głębokiej przeszłości z godnym uwagi konserwatywnym przechowywane. Oto podajemy tu kilka takich zwyczajów z pomiędzy bardzo wielu, któreśmy napotkali badając okolice miast: Tykocina, Białegostoku i Bielska, pod względem etnograficznym.

We wsi Złotori dużej i starożytniej w tykocińskiej osadzie nad Narwią, do r. 1846—1848 przechowywał się stary i ciekawy zwyczaj, co rok w dzień Zielonych Świątek *chodzenia z królową*. W dniu tym rano, cztery dziewczyn wybranych ze wsi na *marszałków*, przywdziewało na siebie suknie męskie t. j. obuwie, pantaliony, kamizelki i długie siwe kapoty, przepasane czerwonymi wełnianemi pasami i wyszywane z przodu i z tyłu białą taśmą, ubiór w tej miejscowości dotąd noszony; kładły na głowy czapki męskie, opięte dokoła do tego obrzędu kolorowemi wstążkami. Oprócz tego małą od lat czterech do sześciu liczącą dziewczynkę, ubierano jak można było najstrojniej (lecz nie po męzku) i tę zwano *królową*. Około godziny dziewiątej rano, a było to zawsze w pierwszy dzień Zielonych Świątek, zbierały się w jednym domu wszystkie ze wsi dziewczęta, i wyruszało całe ich grono na obejście granic wioski. Wśród tego grona dziewczyn (gdyż tylko one same obrzęd ten odprawiały), postępowało czterech marszałków w dwóch parach, jedna za drugą; w środku marszałków prowadzono a częścią niesiono na ręku królowę. Co kilkadziesiąt kroków lub więcej zatrzymywano się, marszałkowie idący w pierwszej parze, obracali się do królowy i wraz z drugimi dwoma zdjawszy czapki, oddawali jej niskie pokłony, śpiewanie zaś różnych *świątowych* pieśni ani na chwilę nie ustawało. Wśród takich ciągłych śpiewów i pokłonów, obszedłszy dokoła granice wioski, na czem zwykle

cały dzień schodził, całe grono powracało wieczorem do wsi, gdzie prosto do gospody zachodzono. Królowną w gospodzie sadzano w pośrodku stołu na poduszce, a matka jój, zwykle zamożna ze wsi gospodyni, musiała ją *wykupić* zastawieniem na stole wódki, chleba i séra. Wtedy dopiero przybywali do karczmy chłopacy, a muzyka, tańce i wesoła biesiada w noc późną, były jakby zakończeniem tego obrzędu, który bezwątpienia dalekiej przeszłości był zabytkiem. Użyte zaś w zwyczaju tym nazwy np. *marszałków*, jako późniejsze, w nowszych czasach zastąpiły może tylko miejsce nazw pierwotnych.

Zwyczaj powyższy dziś całkiem zarzucony, musiał tu dawniej być powszechnym; naprzód iż widzimy, że w stronach wielce ztąd oddalonych, pod inną wprawdzie cokolwiek postacią się on ukazuje. Co zaś najgłówniejsza, że dotąd istnieje tu w każdej wsi zwyczaj, obchodzenia w Zielone Świątki dokoła granic wioski, wśród pobożnych śpiewów, z obrazem świętym zwykle Bogarodzicy i Jój Syna, który każda wieś sobie sprawiwszy, przywozi na tę uroczystość z parafialnego kościoła. Pobożny ten zwyczaj jest tylko naturalnym następstwem zwyczaju pierwotnego, może pogańskiego, który w pewnych ustroniach dłużej przetrwawszy, ostatecznie już przed dwudziestą laty, został w Złotorzy zarzuconym.

Drugim zwyczajem który tu z kolei opiszymy, jest tak zwane *wołowe* lub *końskie wesele*, obrzęd około Tykocina i Bielska zachowywany, a także tylko Zielonym Świątkom właściwy. Tak jak dziewczęta same obchodziły zwyczaj *chodzenia z królowną*, tak niniejszy należy do chłopców. Ci na kilka dni przed Zielonemi Świątkami, przygotowują zwykle gdzieś w lasku lub zaroślach, pewien rodzaj uplecionych z tyka wierzbowego zaprzęgów, a *razdój* rzędu na wołu, podobnego do zwykłej rogoży, tudzież przystrajają z odartój szerekory z drzewa olszowego, dziwnego bałwana, mającego człowieka a zarazem i rycerza wyobrażać.

W dzień Zielonych Świątek prowadzą w to miejsce wołu, którego owieszają dziwnymi temi ubiorami, i przytwierdzają na nim ustrojonego bałwana a *razdój* rycerza, bo przywiązaną ma nawet z drzewa wystruganą szablę u boku. Wół przestraszony tém wszystkim, zaledwie go do wsi przywiodą; biega, skacze i rzuca się na wszystkie strony, usiłując pozbyć się niezwykłych straszdeł, co wśród zebranej gromady wiejskiej, sprawia śmiech i wrzawę. Nareszcie zwierz zrzuca z siebie mniemanego rycerza i dziwny rząd łyczany, a chłopcy wiejscy ze złożonych kilku złotych, hulanką za nie w karczmie wyprawioną, kończą odwieczny obrzęd *wołowego weseła*. Zwyczaj powyżej opisany, w większej części już zatracony, widzieliśmy jeszcze tak obchodzony u *zagonowej* szlachty, we wsi Rzędzianach, zowiącej się w dawnych wiekach Drogwinem, a położonej nad Narwią. U włościan we wsi Złotorzy, ten sam zwyczaj nazywano *kienskim weselem*, koło Bielska zaś znowu *wołowem*; ubierano tam wołu w wieńce, i chodzono z przystrojonem tak zwierzem, do każdego z gospodarzy. Ze złożonych chłopcom w da-

rze: jaj, pierogów, okrasy i t. p., wyprawiano w karczmie biesiadę, nie sprzedawano jednak wcale zebranych wiktuałów, jak to ktoś robiąc wzmiankę o zwyczajach w tych stronach, powiedział. W drugi dzień Zielonych Świątek, widać tam także w wielu wsiach na obrcznych wieńce, i nad wieczorem ze śpiewami zawieszają po trzy na każdym krzyżu, za wsią lub we wsi stojącym. W kilku wioskach przechował się tam zwyczaj, palenia za wsią pod krzyżami po Zielonych Świątkach brzeziny, którą w te święta *majono* starym zwyczajem domostwa: jestto zabytek pogańskiej *Kupaly* czyli *sobótek*, znany koło Tykocina, pod odwieczną nazwą *Kupalnocki*.

Na wiosnę w dniu św. Jerzego włóścianie około Bielska, przysposabiają pierogi, wódkę i inne jadło; po nabożeństwie i obiedzie, wzięwszy to w serwetę każdy gospodarz obnosi ze wszystkimi domownikami około swego żyta, które obszedłszy dokoła, tarzają się na niem i spożywają obrzędowe jadło.

W wigilią Nowego Roku zachowywane są także w wielu wsiach tych okolic, różne zwyczaje; w ogóle starają się rok stary zakończyć w dniu tym wesoło. Koło Tykocina robią wtedy jedni drugim różne psoty, zakładają np szczapami lub klockami drzewa drzwi od domostw, wciągają na komin na dachu bronę, niby bocianie gniazdo robiąc na nim, czem nabawiają kłopotu gospodarzowi zmuszonemu zaraz bronę zdejmować. Dziewczęta także rozmiesiwszy rzadko glinę, często jeszcze z popiołem, podbiegłszy z nieznacka zamazują okna w domach, w których mieszkają chłopcy. Wpadają także one do mieszkań tych chłopców, a porwawszy cokolwiek z ich odzieży, uciekają; pozabierane w ten sposób rzeczy, składają do dnia następnego, w domu jednego z gospodarzy. Naza jutrz czyli w Nowy Rok, każdy z poszkodowanych musi wykupić swoją własność, z czego zebrana mała kwota, wystarcza wszakże na sprawienie hucznej w gospodzie biesiady.

W oklicach Bielska, w wigilią Nowego Roku za nadejściem wieczoru, dziewczęta wiejskie w liczbie kilkunastu, przebierają się za cyranki; jedna z nich nosi na ręku uwinięte jakoby niemowlę. Chodzą w ten sposób po wszystkich gospodarzach, w każdym domu naśladują głosem i ruchem zebrzące cyganki i krzyk niemowlęcia, dla którego niby na odziewek proszą. Gospodarstwo pośpieszają zaraz dla nich z datkiem, gdy bowiem tego nie uskutecznią, dziewczyny sypią gorczycę na palące się ognisko, co trzask nieznośny sprawia. Z datków tych, jużto z jada, już z pieniędzy się składających, dziewczuchy wyprawiają sobie w końcu biesiadę.

Zaraz po cygankach, chodzą od domu do domu chłopcy; jeden z nich przebrany jest za *niedźwiedzia*, okręconym on bywa całkowicie *powróslami* z grochowin, co w istocie niejaki podobieństwo do niedźwiedzia mu nadaje. Inny chłopiec przebrany za cygana, opatrzony potężnym kijem, na powróśle ukręconém także z grochowin lub słomy, prowadzi na łańcuchu tego niedźwiedzia, kijem go swoim popędzając. Całe grono postępując tak, nie wchodzi wszakże do *izby*, lecz przed drzwiami każdego domu za-

trzymuje się, z którego wychodzą na widowisko gospodarstwo i domownicy. Niedźwiedź przy odgłosie skrzypek tańczy i pokazuje rozmaite sztuki i figle, już z własnego konceptu, już wedle dyspozycji cygana, od którego często choć w żartach, ale boleśnie razy otrzymuje (1). Dostawszy datek złożony zwykle z pieroga lub mięsiwa, rzadko z pieniędzy, idą dalej a obszedłszy tak całą wieś, udają się do karczmy, gdzie już dziewczęta wprzód wioskę obszedłszy i zrzuciwszy z siebie ubiory cyganek, zgromadziły się. Powstaje wesola biesiada, skrzypek który przygrywał cyganom niedźwiedziarzoną, gra już do skoczego tańca; parobek przebrany za cygana, zrzucił z siebie jego odzież; lecz niedźwiedź pozostaje przez całą noc, bo do końca biesiady niedźwiedziem, platając przeróżne figle i koncepty często w istocie pociesza, czém rozśmiesza do rozpuku młodych i starych. Rok więc nowy rozpoczynają zawsze wesółą hulanką, którą nad ranem zakończają zapaleniem grochuwin na niedźwiedziu, oblewając go naturalnie zaraz wodą, co przy rozejściu się już wszystkich do swych domów, uciechę wielką sprowadza.

Do zwyczajów ciekawszych zachowywanych dawniej powszechnie, a dziś w niektórych tylko wsiach lub rodzinach, w okolicy Tykocina i Bielska, należą bez wątpienia *święte wieczory*. Jest to zwyczaj i zarazem przesąd, że we wszystkie dni od Bożego Narodzenia do Nowego Roku, żadnych robót po zachodzie słońca spełniać nie wolno; a silna wiara u ludu się przechowuje, iż każdy rodzaj roboty w tym czasie dokonywanój, sprowadza innego rodzaju nieszczęście, w czém widoczna, jak wielką wagę do tego świętowania przywiązywano. Tak np. motanie nici, sprowadza *zamotywanie* się do wsi wilków, czyli nadchodzenie częste na siota, tych dusieli trzód wieśniaczych; robota połączone z trzęsieniem czegoś sprawia, iż wszystko cokolwiek się urodzi w przychówku wieśniaczym, tak trząść się będzie. Rąbanie sprawi, iż nowo narodzone prosię lub cielę, na świat przyjdzie napół przecięte, a skręcanie czegoś np. bicia lub czegokolwiek innego, będzie przyczyną, iż pokręcone się urodzi. Może z tego iż nie wszędzie i nie wszyscy, obserwując dziś ten stary zwyczaj, powstało mniemanie że kto zupełnie *świętych wieczorów* nie zachowuje, temu nieszczęścia podobne wcale nie grożą; lecz raz w życiu zachowany przez kogoś zwyczaj, musi już koniecznie być przez tegoż zawsze obserwowanym, jeśli nie chce on na siebie złych następstw sprowadzić. To stało się przyczyną, że często w jednej wsi, jedne rodziny ściśle zwyczaj ten przechowują, inne zaś go zarzuciły.

Święte wieczory zarówno były w tych okolicach obchodzone przez włościan, jak i przez *zagonową* szlachtę tu zamieszkałą od wieków, a połowę większą ludności miejscowej składającą. Wdzieliśmy nawet jeszcze u klasy wyższej, gdzie slugom i domo-

(1) W zwyczaj u powyższym doskonale przechowwał się obraz cyganów, wodzących niegdys po kraju naszym niedźwiedzi.

wnikom w wieczory te, dla zachowania odwiecznego zwyczaju, zadnych zatrudnień nie przeznaczano, co jest tylko zabytkiem powszechności i ogólności niegdyś w całym narodzie, zwyczaju powyższego. Nie trzeba jednak sądzić, iż te *święte* wieczory pod strzechami wieśniaczemi, uchodziły na gnuśném próżniactwie i nagannéj bezczynności, owszem powiem, iż miały one swoją zasługę.

Zebrani domownicy i rodzina około ogniska, przy którym kilka pokoleń zwyczaj stary zachowywało, słuchali opowiadań starców o czasach dawnych, o tym świecie uroku i dziwów. Tradycya więc często tysiącletnia, w te długie zimowe wieczory utrwalając się w pamięci młodych pokoleń, robiła z nich nowe ogniwa długiego i starego łańcucha. Opowiadanie starych podań i baśni i pogrążenie myśli w świecie, który nazywamy przeszłością, przerywały często śpiewy nabożnych pieśni, podnoszące mimowolnie ducha wieśniaków do uczuć szlachetnych i prawych, do Boga, który jak był przeszłości, tak i przyszłego niezmiennego życia miał być panem.

W pierwszy dzień postu czyli w Popielec, a jak tu zwykle zowią we *Wstępną środę*, wiedziliśmy także zachowywane około Tykocina różne zwyczaje. Najprzód pasterz wiejskiej trzody, chcący podjąć się gromadzie pasienia podczas mającego nastąpić lata, téj trzody, zaprosiwszy wieczorem do karczmy wszystkich gospodarzy, co dla pośpiechu jeśli wieś duża, przez okno tylko uskutecznia, stawia w gospodzie na dwóch oddzielnych stołach wódkę. Mężczyźni zasiadają osobno przy jednym stole, białogłowy zaś gospodynie, przy drugim; przynoszą one z sobą *osuszków* czyli postnego ciasta z tartych kartofli i pytlowanej mąki urządzonego. Po wypiciu wódki przez pasterza zastawionéj, sami gospodarze ją dalej kupują, a tak całe grono podchmielewszy cokolwiek sobie, czyni następujące do dnia tego przywiązane odwieczne gusła:

Na środek izby karczemnéj przynoszą pień drzewa, przez który najprzód skaczą wszystkie gospodynie. a to jak mówi stary przesąd, by len im rósł tak wysoko jak skaczą; po niewiastach skaczą przez pień gospodarze, żeby im znowu owies rósł tak wysoko. Owies bowiem, jako zapewne najstarożytniejsze u nas zboże, w wielu obrzędach i pieśniach jest wspominanym, gdy o pszenicy jako późniéj, bo za Jagiellonów dopiero. w téj okolicy zaprowadzonéj, obrzędy i pieśni milczą. Po skakaniu przez pień, przynoszą w jego miejsce stępe, a nalawszy w nią cokolwiek wody; tłuką *stęporę* tę wodę, jakby *pećak* lub co innego; następnie przynoszą na środek izby wiąź słomy, którą rozściełają i pokilkakroć zapalają i gaszą. We wsi Mężeninie u Mazurów w Łomżyńskiem wiedziliśmy zwyczaj, iż na pień wśród dnia wciągnięty do izby karczemnéj, dopóty leją wodę, dopóki szynkarka lub szynkarz nie poczęstują od siebie, wszystkich zebranych wódką. W ten sposób zakończają pierwszy dzień postu, będący dziwnym obrazem mieszaniny zwyczajów pogańskich z chrześciańskimi.

Drugi dzień postu, to jest czwartek, stary zwyczaj każe by wszystkie niewiasty gospodynie przepędziły razem zgromadzone,

zapewne niegdyś na modlitwach i śpiewach nabożnych. Pobożny ten zwyczaj wielkiej musiał uległ zmianie; dziś na miejsce zgromadzenia wybierają zawsze gospodę, gdzie od rana schodzą się z całej wsi same wszakże tylko białogłowy, każda przynosząc z sobą postne lecz obfite jadło, przy którym bez wódki obejść się nie może. Przy rozgwarze i wzajemnem częstowaniu się, cały dzień szybko mija, a skakanie przez pień, znowu się w dniu tym powtarza; każdemu zaś co dnia tego wejdzie do gospody, choćby żyd lub dziad jaki, zdejmują z głowy czapkę i umieszczają na butelce stojącej na stole, co oznacza zaproszenie do uczy, lub potrzebę poczęstowania ich wódką (1).

Ostatnim zwyczajem który tu dziś przytoczymy, są śpiewy pod krzyżami; we wsi Złotorzy miały one miejsce, zawsze przez całą noc z soboty na niedzielę zaczawszy od Wielkanocy aż do Zielonych Świątek. W okolicy Bielska zaś, śpiewały dziewczyny od Wielkanocy do ś. Jerzego, zebrane co wieczór choćby deszcz ulewny padał, (lecz nie zawsze śpiewały pod krzyżami), zowiąc czasem te wieczory *świętemi*. Ze starożytnością tego zwyczaju łączy się to, iż nie śpiewano tam pieśni nabożnych a przynajmniej bardzo mało, ale same *światowe*, najdawniejsze, przywiązane do tego zwyczaju. Starożytność niektórych tych pieśni, zrobiła je niezrozumiałemi dla samych śpiewaczek, które je wszakże ślepo powtarzając, starały się tylko o większe odosobnienie od ludzi, co pieśniom tym nadawało pewną tajemniczość tak, że z trudnością o ich treści i słowach dowiedzieć się mogliśmy. W Złotorzy gdzie dziewczęta całą noc przepędzały prawie na tych śpiewach, czytano je naprzód od paru pieśni nabożnych, co nadawało zwyczajowi cechę religijności, następnie szły *światowe*; między nimi śpiewano pieśń ze starą nazwą *Kupalnocki*, co w innych stronach kraju oznacza Sobótkę lub Kupalę. Pieśń powyższa jak i sam obrzęd Sobótek czyli Kupalnocki, dziś już zapomniana prawie w Złotorzy, od tych słów się zaczynała:

Tam na górze ogień gore,
Nocel moja, kopiel moja.

Daliej śpiewano pieśń zwaną *Konopielką*, a zaczynającą się od wiersza: „Cienka mała *konopielka*,” śpiewano także tak zwany *Bujny owies*, zaczynający się od słów: „Zieleń, zieleń bujny owies,” i wiele bardzo pieśni innych.

Pieśni tych lubo ciekawych i wielce dawnych, nie przytaczamy w całości, zostawiając na to miejsce, gdzie będzie mowa wyłącznie o pieśniach. Sam zwyczaj śpiewów pod krzyżami w tej porze, ma może niejaki związek z obrzędem słowiańskich tryzn, czyli pogańskich uroczystości pogrzebowych. W gub. bowiem wołyńskiej jak w swoim opisie tej gubernii p. Stecki twierdzi, zabytkiem pogańskich

(1) Zwyczaje te we wsi Złotorzy widzieliśmy, gdzie w ogóle najwięcej ich się przechowało.

tryzn; są po Wielkanocy przez dziesięć piątków ponawiane na mogilkach nabożeństwa, śpiewy i uczyty; śpiewanie zaś w tych stronach *pod krzyżami* za wsią, gdzie także czasem bywają tu stare mogiłki, z jednego źródła łącznie wypłynąć niegdyś mogło. Pora w tygodniu tych śpiewów, to jest noc z soboty na niedzielę, nie powinna zwracać na siebie żadnej uwagi, gdyż następujący nazajutrz dzień wolny od pracy, niedziela, pozwala tę tylko noc w tygodniu, przepędzić całą na śpiewie dziewczętom wiejskim, które każdego innego dnia równo ze świtem słońka do pracy wyruszają (1).

Najdawniejszy zabytek prozy oryginalnej polskiej w Liber Beneficiorum Długosza.

W dziele Długosza: *Liber Beneficiorum* (Księga podań kościelnych), które jest obszerniejszém od samej jego *Historji Królestwa Polskiego*, a które po raz pierwszy ogłoszone zostało drukiem w Krakowie w r. 1864 jako początek wydania ogólnego zbioru pism tego historyka, wśród innych zajmujących a różnorodnych szczegółów odnoszących się do dziejów naszych wewnętrznych z wieków XV, XVI i dalszych, znajduje się ustęp pisarzy ówczesnym językiem polskim, który poczytujemy za najdawniejszy zabytek prozy polskiej *oryginalnej*. Ustęp ten jest jako *wzór* czyli *przepis* (*szemplar*) sekretu, jakim sposobem można się stać posiadaczem skarbów, akt który w kształcie spowiedzi spisać miał na łożu śmierci niejaki *Wydzga* Piotr bogacz z okolic Sącza, stawszy się właśnie w ciągu życia posiadaczem ogromnych skarbów.

Akt ten nadesłany Długoszowi z klasztoru panien Klarysek w Starym Sączu przy wymienieniu ofiar jakie mu składać są obowiązani obywatele Nowego Sącza, nie mieści wprawdzie daty swego spisania, łatwo jednak wnieść iż się odnosić musiał najpóźniej do drugiej połowy wieku XIV.

Liber Beneficiorum pisaną była przez Długosza w skutek polecenia biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego (kardynała) dla oceniaenia proporeyi, w jakiej duchowieństwo dyecezyi krakowskiej mogłoby się przyczynić pieniądze do wojny przeciwko Turkom, układaną zaś była z raportów i objaśnień nadsyłanych ze wszystkich parafij i klasztorów tej dyecezyi. Kardynał Oleśnicki umarł w r. 1455. Wiadomości zbierał Długosz za jego

(1) Podając opis kilku powyższych zwyczajów z okolic Tykocina i Bielska, musimy tu nadmienić, iż kilka już zwyczajów ze stron tamtych dawniej opisaliśmy a mianowicie: *obrzędy rolnicze i weselne* w Bibl. Warsz. i *obrzęd Kupalnocki* czyli *Sobótki* w Tyg. Illustr. Kilka znowu innych zwyczajów jak chodzenie z *szopką*, z *królem Herodem*, z *gwiazdą* i t. p., tam zachowywanych, jako późniejszych i znanych powszechnie w kraju, tu nie przywieśliśmy.

zycia, rapporta składane były więc z połowy i zapewne z pierwszej połowy XV wieku. Notatka o sprawcy testamentu Pietrze Wydźga (którą tu poniżej umieszczamy) mówi o nim jako o postaci dawniej (si narrationi veterum standum est) a zatem jako odnoszącej się przynajmniej do wieku XIV. Jakoż i z innych aktów to wiemy, iż rodzina Wydźgów z okolic Sącza głośną była właśnie w XIII i XIV wiekach. Tak np. w *Miechowie* Nakielskiego jest wzmianka, iż w r. 1255 starostą sandeckim był Gietko Wydźga, oraz iż w r. 1354 równie starostą sandeckim był niejaki Wydźga. W *kodeksie dyplomatycznym* polskim (wydania Rzymszczyńskiego) znajdujemy iż w akcie z r. 1356 podpisanym jest jako świadek Wydźga Capitaneus Sandecensis (bez wyrażenia imienia), zaś w akcie z r. 1365 Petrus Capitaneus Sandecensis (bez wyrażenia rodu). Z powodu bliskości lat i jedności urzędu wnieść można iż ten Petrus Capitaneus i Wydźga Capitaneus są jedną i tą samą osobą, a następnie iż ten Piotr Wydźga mógł właśnie być owym Piotrem Wydźgą autorem testamentu. Zarówno też i formy językowe jak i pisownia wskazują na starożytność zabytku i jego społeczność z Psalterzem Małgorzaty. Lecz gdyby nawet akt ten zmyślonym był przez autorów objaśnień Długoszowi składanych (do przypuszczenia czego nie mamy najmniejszej podstawy, wymagane bowiem były od nich rapporta o funduszach a nie powieściach romansowych) to i w tym razie utwór ten jako Długoszowi współczesny byłby jednym z najdawniejszych zabytków naszej prozy (oryginalnej nieprzekładanej). Wnieść też można, iż pisownia zabytku jest i pisownią polską (dotąd nieznaną nam) samego Długosza; prolog bowiem który poprzedza zabytek jest wyraźnie ręki samego historyka nie zaś jakiego zbieracza kopisty: czytamy tu bowiem np. „jako ten *sam* w oryginalnych kronikach krzyżackich czytałem” „przepis ów lękając się jego zatury w zbiorze obecnym umieściłem.”

Oto jest ten starożytny akt domowy; umieszczamy go wraz z prologiem łacińskim, który go objaśnia.

„Notandum quod in regno Poloniae fuit quidam Satrapa Petrus Wycza, nobilis, de armis et domo Janina, habens plures possessiones et substantiam magnum nimis, habens et castra Czorsten, Rither et Lyemasz, qui in sylvis et saltibus Polonicis et regnum Poloniae cum Hungarico determinantibus, invenit montes, venas aureas et mineram foecunde producentes, ex quibus magnificatus et ditatus est vehementer, et ex quibus plures thesauros in variis locis, et praesertim in castro Lyemasz, sabulo infodit et occultavit. In praefato siquidem castro maximos thesauros dicitur recondidisse, quos nemo potest effodere, propter daemonum impedimenta, et forte ex eo, quod per evocationem daemonum arte nigromentica quandoque querebantur. Fuit autem homo hic, si narrationi veterum standum est, plurimi livoris et ambitionis vir, operarios qui in montibus aurum et auri mineram effodiebant, ne loci in alios transivet et commoditas et conditio, clandestine suffocans et necans; sed et in patriam, regnum

videlicet Poloniae, quae illum genuerat, alluerat, et extulerat, impio et novercali ardens odio, cum maxima parte thesauri et auri in vasis ligneis, fingens se ferrum et aes ex Hungaria ferre, in struibus lignorum ex *Sandecz*, primum per *Dunajecz* usque in *Opatowycz*, deinde per *Vislam* usque in Prussiam navigavit, et omnem illum thesaurum, omnemque substantiam in magistrum et ordinem Cruciferorum maluit conferre, quam in Poloniae regnum. Quod et annalia Cruciferorum, quae originaliter *legi* nomine tamen eius suffresso, et caliginosis et obscuris testantur verbis; eius tamen exemplar praesenti operi *inserere volui*, ne processu temporis posset aboleri, aut in negligentiam, et oblivionem verti, providens necessitati et commoditati reipublicae regni Poloniae, ad consolationem omnium Polonorum, tam praesentium quam futurorum.

Exemplar informationis et avisamenti, quod et quam praedictus *Wyszga* moriturus reliquit.

In nomine Sanctae Trinitatis et individuae unitatis. *Jo sz toruny* (z *Torunia*?) *a gdy szem umrzecz ymyal* (miał), *protha szem tho kazal popyyszacz*, *zeby tho na mey dusszy ne zostalo*. *Napyrvey szya pytayecz do Cracowa*, *a z Cracowa do Nowego Sandcza*, *a sz Sandcza Nowego, do starego Myasta*, *a sz starego Myasta do Rytra*, *a pod tym hradem pod Rytrem, szto gy (stoi) yedna karczma*, *a yeden mlyni*, *a tam yedna woda wpada*, *czo yey dzeya* (zowią) *Rosthoka*, *Pofolqyze* (idź w kierunku) *wodze tey*, *a gydzy po nyey*, *a gdy bulesch w lyessze* (lesie) *dalyeko*, *theydy przydze tham druga woda z tyewey ranky*, *opuszcz thę na prawo*, *a ffolgy they na lewo*, *a ta gydzy asz do vyrzchu*. *A poth thym vyrzchem jest lanczka* (łączka), *a thu woda gydze przez nya*. *A they wodze yaszkynya pod zyemya*, *a gydysz yedno stayanye*, *a pothem tha woda sznaydzesch*, *bo tham czem ya czemrowal Czyszsem* (1) (cembrował ci-sem?). *A thu gdze wszamyey glowye thucz szem porambal drzewye do yedney dolyny*, *aby nykth nye posnal a thu nad tha dolyna jest gyeden pothoczek*, *czo gy zowa szucha rostoka*. *A thu stoy myoszandz* (miesiąc) *y Gwoyaszdy napyszane*, *Polyecz y pyecz* (policz mi pięć?) *y masz posszyag nacz*, *albo czo masz y wzyandz*. *A tam jest kaganyecz y myszka* (miszka?), *a gdy na tho myeszecz przydzesz*, *poklakny*, *a day bogu chwala etę yesili czya* (jeśli cię) *pan bog upamyantha*, *mey dussche nyzapamyathay*. *A tho jest dobro yako groch y yako Szyemya* (ziemia? siemie?), *A rzathko yako bob*, *A tho panu bogu polyeczam*. (Liber Benefic. T. III, str. 353—355).

A. T.

(1) W dołączonej do tego aktu polskiej instrukcji łacińskiej czytamy między innymi: „inistis *Slothyni* invenies arborem alias *czisch*, dum sub isto movebitur, videlicet *na trzy stopy*, invenies *Kylyowi* et *Mothiky*, ibi Deum laudabis, quod quoris invenies.

WIADOMOSCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Grudzień 1867 r.—Ruch księgarski zostający w ciągłej stagnacyi, ożywił się nieco przed świętami. Puste księgarnie dotąd, odwiedzane były chwilowo przez zakupujących nowo wydane książki dla dzieci, tak przez nakładców Gebethnera i Wolffa, jak i innych. O tych świeżych publikacyach, mówimy we właściwym dziale naszego pisma „Kroniki Literackiej.”

— Z kalendarzy więcj godnych wspomnienia, wymienimy wydany najpierwszy Józefa Ungra; drugi *Poradnik czyli kalendarz dla gospodyń* na rok 1868 przez I. Dobieszewską (Śmigielską) i kalendarz J. Jaworskiego.

— Po długiej przerwie, nowy zeszyt trzeciej seryi *Wzorów sztuki średniowiecznej w dawnj Polsce*, ukończony wyszedł z pod prasy: ryciny wykonane zostały w zakładzie litograficznym M. Fajansa. Zeszyt o którym mówimy tego pomnikowego dzieła, które zaszczyt przynosi wydawcom: Alexandrowi Przeddzieckiemu i Edwardowi Rastawieckiemu, obejmuje ostatniego obszerną rozprawę p. n.: „Wiadomość o odlewnictwie w dawnj Polsce i dochowujących się jego tworach.” Przedmiot dotąd niedotknięty przez naszych badaczy, zawiera ciekawe i zajmujące szczegóły. W niej autor wspomina o dzwonach kościelnych, z wymienieniem nazwisk ich odlewaczy. Tego rodzaju zabytki już się rozpoczynają od XIgo wieku. Dalej idą podwoje do świątyń, jak słynne a opisane od drzwi w kościele katedralnym w Płocku, z blach lanych na drzewie osadzonych, które opisał Joachim Lelewel, i oznaczył im wiek XII pochodzenia. Tu należy odlewnictwo pomników nagrobnych, siggające także odległej starożytności; chrzcielnice spiżowe i ołowiane, kraty ozdobne w kościołach, posągi: jak Zygmunta III na Krakowskiem-Przedmieściu w Warszawie, i inne zastępujące miejsce pomników grobowych (posąg spiżowy złożony, na grobowcu Jerzego Tyszkiewicza biskupa wileńskiego, w katedrze wileńskiej) w ostatku trumny z różnych kruszców lane.

— Encyklopedyi Powszechnej tom ostatni XXVIII w połowie już wydrukowanym został. Spodziewać się możemy z pewnością, że cały ukończonym będzie w pierwszej połowie marca 1868 roku. Przy pierwszych zeszytach tego ogromnego dzieła, była myśl, ażeby w końcu był dodany spis przedmiotowy wszystkich artykułów w niem zawartych. Tom ostatni pomieszcza litery Z i Ż, i przyjętą obszerność arkuszy 62 ścisłego druku zapewnie obejmie. Sądzimy, że wydawca zechce spełnić myśl pierwotną, i oddzielnie wydać spis przedmiotowy, który chętnie każdy posiadający tak szacowne dzieło nabędzie. Wykazuje się też potrzeba uzupełnień tej encyklopedyi; zapewnie wkrótce zeszyty suplementowe zobaczymy.

— Redakcyja Gazety Lekarskiej, wychodzącej staraniem professorów szkoły głównej warszawskiej, celem zachęty do samodzielnych badań naukowo-lekarskich, ogłosiła konkurs, za najlepszą rozprawę, na temat następujący: „Wykazać doświadczeniami na zwierzętach źródła odradzania się kości w ogóle, a w szczególności udział okostnej (*periosteum*) w tej sprawie, oraz obserwacyami na chorych (operowanych) ludziach; dowieść jak wielkie jest znaczenie praktyczne zachowania okostnej przy rezekecyach (*resectio subperiostealis*) w następstwie rozmaitych wskazań dokonywanych (próchnienie, zgorzel, rany kości, stawy rzekome i t. p.).” Nagroda przeznaczona r. 150 (złp. 1,000). Termin złożenia tej pracy w pierwszej połowie grudnia 1868 roku.

— We Lwowie z Nowym Rokiem 1868, ma wychodzić: „Szkoła, czasopismo pedagogiczno-naukowe dla szkół średnich, ludowych i seminaryów nauczycielskich.

Po zgonie Henryka hr. Rzewuskiego pozostało wiele pism niedrukowanych. Pism tych jest kilkanaście zeszytów dosyć sporych, które mogłyby wypełnić kilka tomów drukowanych. Ciekawa to wielce spuścizna, a godna uwagi. Jakkolwiek bowiem zasady głoszone ostatnimi czasy przez Rzewuskiego, mają otwartych przeciwników, zawsze jednak był to pisarz niepospolity, i ztąd wydanie części pism pozostałych jest pożądanem. Mówimy o pewnej tylko części rękopismów, bo wieluby sam autor pewnie nie drukował. Są tam bowiem prace z pierwszych lat zawodu pisarskiego autora „Listopada” niektóre nawet z roku 1834. Taką nosi datę obszerny rękopism p. n.: „O stosunku literatury z historią.” Są między temi rękopisami rzeczy bardzo ciekawe, w których widać talent autora Soplicy, są inne przypominające Jarosza Bejtę, ale są i takie, których treść traktująca o bieżących kwestyach, straciła wiele przez przedawnienie. Rękopisma te musiałyby znaleźć kogoś kompetentnego, któryby je uporządkował, gdyż niektóre z nich nie są tytułowane i nie dokończone. Na przykład, jak ciekawe rzeczy zawierają te manuskrypta, tytuły wykazują. „Obszerne uwagi nad romansem,” rozprawę wielce zajmującą: dalej *Myśli przelotne Tetorowianina* zawierające liczne rozprawki, między którymi uderza rzecz o rozwoju języka i stylu polskiego. Dalej *Otia domestica* o rzeczach towarzyskich, społecznych, literackich, rozprawa o Lammennaim i t. p. Z wyjątkiem dzieła „O stosunku literatury z historią” wszystkie zeszyty pisane są własnoręcznie przez Rzewuskiego. Pismo charakterystyczne, wprawne i czyste: śnać autor miał łatwość pisania; w brulionach bowiem, rzadko gdzie spotykają się kreślenia i poprawki. Rodzina zmarłego autora, układa się z jednym z księgarzy lwowskich o wydanie tych rękopismów.

— Maurycy hr. Dzieduszycki kurator zakładu Imienia Ossolińskich, autor znany wielu dzieł historycznych, napisał powieść, której treść poczerpniętą została z czasów Zygmunta III. Księgarz Karol Wild ją nabył, i wkrótce zacznie drukować. Tegoż księgarza nakładem, wyjdzie wielce pożyteczne dzieło Dra Władysława Sereżyńskiego p. n. „Zarys praktycznej pedagogii.”

— Kazimierz hr. Stadnicki wydał nowe dzieło p. n. „Bracia Władysława Jagiełły Olgierdowicza” jako dalszy ciąg *Synów Gedimina*, z tablicami genealogicznymi.

— Assystent przy Szkole Realnej we Lwowie p. Emanuel Sygierycz, ogłosił zaproszenie do Wystawy Geologicznej krajowej, która d. 1 marca 1868 r. otwartą zostanie. Kuratorya Zakładu Imienia Ossolińskich odstąpiła na ten cel salę główną w tymże Zakładzie. P. Sygierycz zaprasza wszystkich posiadających jakiegokolwiek zbiory geologiczne lub mineralne krajowe lub pojedyncze egzemplarze o nadesłanie najdalej do 1 lutego 1868 r.

— Wydawnictwo aktów grodzkich z archiwum bernardyńskiego we Lwowie, ukończy druk tomu pierwszego w styczniu 1868 r. nakładem funduszu krajowego galicyjskiego.

— Professor historyi powszechniej, przy wszechnicy lwowskiej Dr. Henryk Zeisberg, wydał rozprawę historyczną z dziejów polskich p. n. „*Miscce I (Mieczysław) der erte christliche Beherrscher der Polen.*” Rozprawa ta wyszła w Wiedniu, i jest odbitką z Roczników Akademickich.

— Do znakomitszych zakładów naukowych, jakimi Austria rozwija oświecenie w tych czasach, należy bezwątpienia założenie w roku 1866 w stolicy Krocacji Zagrzebiu, narodowej akademii nauk i umiejętności. Wedle nadanej ustawy dzieli się ona na trzy wydziały: historyczno-filozoficzny, filozoficzno-prawny i matematyczny. Członków spólnie mających działać na jej rozwój ma w r. b.: *honorowych* 8 w Belgradzie, Wiedniu, Pradze, Moskwie, Petersburgu i w Warszawie, którym został zasłużony nasz uczoney Waclaw Alexander Maciejowski; *korrespondentów*: do oddziału historyczno-filozoficznego 9, jakoto: w Wiedniu, Pradze, Halli, Waradynie, Belgradzie, Petersburgu i Lwowie w osobie Augusta Bielawskiego uczonego naszego dziejopisarza; do oddziału filozoficzno-prawnego 5, to jest: w Belgradzie, Wiedniu, Peszcie i Florencyi; do oddziału matematycznego 3: w Belgradzie, Wiedniu i w Gracu. Wreszcie *członków czynnych* ma na dwóch pierwszych oddziałach po 8 łącznie z dziekanami, zaś na oddziale matematycznym 6. Dziekanami są: Franciszek Raczki, Jan Lubotycz i Józef Szloser. Do znakomitszych prac jakimi rzeczona akademie usilnie stara się już rozwijać oświecenie, należy bez zaprzeczenia wydawanie coroczne, zbioru uczonych rozpraw dotyczących szczegółowo samej Krocacji, lub ogół Słowiańszczyzny. Tom I tego zbioru już wyszedł w formie i wydaniu najzdobniejszém. W rozprawach w nim zawartych, wszystkie artykuły są drukowane literami łaćnińskimi, wyjąwszy jedną rozprawki sekretarza tejże akademii Daniczycza *Zapiski o niektórych rękopismach*. Między innymi gałąź polska w kilku materyach, a w wielu miejscach jest tu także przedstawiona: pod względem etymologicznym w rozprawie powyższego Daniczycza, o wynawianiu dwóch głosek w językach słowiańskich, w wielu razach opiera się jej autor na źródłach polskich. Oprócz rozpraw, obejmuje to pismo dział bibliograficzno krytyczny, co do dzieł obchodzących Krocacją lub Słowiańszczyzną. W końcu

sposzregany ważny objaw do postępu, to jest treściwe sprawozdanie o wszystkich posiedzeniach szczegółowych wydziałów téj akademii oraz ogólnych, tym bowiem sposobem, prace i starania wszystkich członków téj władzy naukowej, są dotykalnie przed uczonym światem ujawniane.

— Otrzymujemy wiadomość, że księgarz poznański Jagielski przygotowuje kompletne wydanie pism śp. Józefa Korzeniowskiego. Pisarz ten, jeszcze za swego życia zrobił układ z księgarzem Adamem Zawadzkim w Wilnie, o zupełne wydanie prac swoich. Podzielił je na dwie główne serye: na dramata i powieści. Obliczenie całego wydawnictwa było na 20 tomów, i autor dostarczył nawet materyały do pierwszych tomów. Z niewiadomych nam powodów p. Zawadzki odwlekał z roku na rok rozpoczęcie tego wydania a w końcu zaniechać musiał jeszcze przed zgonem autora.

— W tomie IX Biblioteki Ossolińskich, który zamknął przedwcześnie całość tego wydawnictwa szacownego, oprócz wielu zajmujących rozpraw mamy dwie pierwsze pieśni *Odyseji Homera* w mistrzowskim przekładzie Lucyana Siemieńskiego, i poezye dotąd niedrukowane Stanisława Trembeckiego. Zakład Ossolińskich otrzymał z gub. podolskiej rękopism obejmujący 15 arkuszy, a zawierający poezye różne z końca XVIII wieku. Po uważném ich rozpatrzeniu okazało się, że wszystkie te poezye, z wyjątkiem kilku o których autorstwie zachodzić może wątpliwość, są pióra Trembeckiego: reszta zupełnie nieznaną, a niepospolitej wartości, charakteryzująca dobitnie tak samego autora jak swój wiek i ludzi. Rękopism nadesłany Zakładowi Ossolińskich nie jest oryginałem, lecz świeżo zrobioną kopią, z jakiegoś dawniejszego. Kopista wiernie ją odpisując, poddawał nawet uwagi, jak ów rękopism oryginalny wygląda. Z nich dowiadujemy się, że oryginał ów, jest wielce uszkodzony, brakuje w nim początku równie jak końca, a i ze środka karty niektóre są powydzierane. Na zapytanie zkądby ów oryginalny pochodził, nieumiano objaśnić. Być może że to jest szczątek drobny owych pism Trembeckiego, które autor przed śmiercią swoją w wielkim kufrze opieczętowane złożył w Tulczyńcu, w ręce Zofii Potockiej. Jakoż zasługuje to na uwagę, że w całym tym zbiorze wierszy dotykających wiele znakomitych rodzin najjadliwszą satyrą, Potocy, są nie tylko traktowani ze względnością, ale nawet największą czcią wspominani. Zbiór który teraz wydany w Bibliotece Ossolińskich został, rzuci nie małe światło na wydatną postać Trembeckiego. W témże piśmie, Lucyana Siemieński, dając nam życiorys tego poety zupełniejszy od dotąd znanych, starał się go rehabilitować, i zdjąć z niego plamy które Trembeckiego każyły. Nowe jego poezye nieznanne, ogłoszone, silnie podeprą sąd Siemieńskiego, o tym najznakomitszym poecie z okresu Stanisławowskiego.

— Dnia 16 listopada 1867 r. odbyło się ogólne posiedzenie Towarzystwa Naukowego krakowskiego. Prezes Towarzystwa Dr. Józef Majer zdał sprawę z czynności zarządu Towarzystwa w upły-

nionym roku. Zbiory Towarzystwa doznały znacznego przybytku z różnych stron, a najznakomitszego z daru p. Rudzkiej. Dar ten składa się z 200 blisko tomów dzieł znakomych i kosztownych, pozostałych po jej synach zmarłych w Paryżu w samym kwiecie wieku. Ze stałego zaś corocznego funduszu w kwocie 1000 złotych reńskich, śp. Romana księcia Lubomirskiego, powiększył się księgozbiór w tym roku o 103 dzieła treści doborowej. Podobnie, w medalach, monetach, rycinach i przedmiotach muzealnych, zwiększyły się znacznie zbiory Towarzystwa, i wraz z biblioteką występują się żywo, nietylko członkom Towarzystwa, lecz i publiczności. Druga część zapisu księcia Lubomirskiego, także w rocznej kwocie 1000 złotych reńskich, przeznaczona w jednej połowie na nagrody, w drugiej na wydawnictwo dzieł najlepszych w lat pięć rozdaną być mająca, oczekuje przeznaczenia w swęj pierwszej połowie w r. 1870, w drugiej zaś przeznaczoną została uchwałą komitetu na wydanie tomu 2go „Monumentów“ Augusta Bielowskiego. Z pomiędzy odezwo do Towarzystwa o danie opinii w różnych naukowych przedmiotach, podniósł prezes wezwanie c. k. rządu co do posągów mających być umieszczonemi na odbudowanym gmachu biblioteki akademickiej, tudzież odezwę profesora Malinowskiego z Maçon, imieniem akademii Maçońskiej o wyjaśnienie szczegółów pobytu w Kluniaku Kazimierza I odnowiciela, w celu napisania monografii opactwa Kluniackiego. Na témże posiedzeniu obrani zostali członkami czynnemi Towarzystwa pp. Dr. Blumenstock lekarz praktykujący, Dr. Matejko Franciszek (brat rodzony słynnego malarza Jana) skryptor biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sobiesław Mieroszewski pisarz i właściciel dóbr ziemskich, Dr. Władysław Seredyński kustosz zbiorów Towarzystwa Nauk. Krak. i Stanisław hr. Tarnowski na członków korespondentów pp. Karol Hoffmann z Drezna i profesorowie techniki lwowskiej Strzelecki i Zmurko.

Towarzystwo wydało Tom XII Roczników swoich, który obejmuje następujące rozprawy: 1) Rozbiór chemiczny wód lekarskich w Iwoniczu A. Aleksandrowicza. 2) O wpływie nerwu błędnego na serce, prof. G. Piotrowskiego. 3). Opis geologiczny iłowych łupków i brunatno szarych wapieni, rozwiniętych pod Bodzentynem L. Zejsznera. 4). Rozbiór chemiczny, trzech źródeł wody alkaliczno-słonej, jodowo-bromowej w Rabce p. A. Aleksandrowicza. 5). Przyczynek do teoryi największości i najmniejszości funkcyi zależnych od ilukolwiek ilości zmiennych, Dr. Wład. Zajączkowskiego. 6). Przyczynek do historyi naturalnej wymoczków, A. Wrześniowskiego. 7). Obliczenie potencyału dla wielościanów jednorodnych, prof. G. Piotrowskiego. 8). Pogląd na wypadki otrzymane w pracowni chemiczno-patologicznej Uniw. Jagiellońskiego pod kierunkiem Dr. A. Stopczańskiego.

— Nakładem księgarni I. M. Himmelblaua w Krakowie wyszło dzieło p. Lucyana Tomasza Rycharskiego: *Literatura polsku w historyczno-krytycznym zarysie* w dwóch tomach. Ważnej téj

pracy tom Iszy, wyszły przed kilką miesiącami zawiera: Część estetyczną i dzieje literatury do Konarskiego; a drugi tom obejmuje: okres od czasów Konarskiego do dni dzisiejszych. Cena obu tomów 3 zlr.; zważywszy, na objętość ich znaczną (48 arkuszy druku w wielkiej 8ce) jest bardzo niską.

— We Wrocławiu w r. b. wyszedł tom siódmy dzieła: *Codex diplomaticus Silesiae*, wydawanego przez Towarzystwo historyczno-starożytnicze szląskie.

— W Poznaniu w r. b. wyszło dzieło p. H. Jolowicza pod napisem: *Geschichte der Juden in Königsberg. Ein Beitrag zur Sittengeschichte des preussischen Staates. Nach urkundlichen Quellen bearbeitet.*

— Do bardzo mielicznych prac o dziejach naszej literatury w obcych pisanych językach, przybywa nowe dziełko, noszące już godło roku przyszłego, a wydane we Wrocławiu pod tytułem: *Geschichte der polnischen Literatur. Uebersichtlich dargelegt von E. P.*

— Dr. Toppen wydał świeżo niezmiernie ciekawą monografią przesądów ludu na Mazowszu. Nosi ona nadpis: *Aberglauben in Masuren, mit einem Anhange, enthaltend Masurische Sagen und Märchen.*

— W znanj publikacji: „Biblioteczka kolei żelaznych” przedrukowano świeżo poemat Juliusza Słowackiego pod napisem: *Ojciec Zadumionych w El-Arisch.* Cena tego poemaciku jest 15 gr. (7½ kop.).

— Nakładem redakcyi „Przeglądu Tygodniowego” wyszedł zeszyt pierwszy zbioru popularnych prelekcji z literatury i nauk, wydawanego pod ogólnym tytułem: „Wiedza.” Zeszyt ten zawiera wykład Schultze-Delitzscha miany w Berlinie 14 lutego 1866 r. o „obowiązках i prawach społecznych.”

— Wiadomo, ile dzieje Prus, szczególnie w wieku XVIII przedstawiają intaresu dla badacza przeszłości. Nie od rzeczy więc będzie wzmiankę uczynić o świeżo wyszłym dziele obszernem p. Eberly'ego (2 tomy o 1422 str.) pod napisem: *Geschichte des preussischen Staats. (1411—1710) Wrocław. 1867.*

— P. Muchliński wydał: *Listy Władysława IV do Krzysztofa Radziwiłła pisane od 1612—1632 roku.* Lwów. 1867. Jakkolwiek pod przedmową do tych listów wyczytujemy nazwisko Kraszewskiego, to przecież „Listy” te nie mają wartości dla historyi prawie żadnej, gdyż pisane były w materyach czysto osobistych lub zupełnie prywatnych.

— P. Bianchi Nikomed wydał świeżo w Turynie trzeci tom swego dzieła znakomitj wartości pod tytułem: *Storia documentata della diplomazia europea in Italia dall' anno 1814 all' anno 1861.* (Historja dyplomacyi europejskiej we Włoszech od r. 1814 do 1861 na podstawie dokumentów opracowana). Tom który mamy przed sobą, zawiera przeciąg czasu między rokiem 1830—1846 na str. 474 w 8ce.

— Wyszły dzieje Węgier p. Fesslera w opracowaniu p. Klej-
na w Lipsku u Brokhausa. Tytuł całkowity jest: *Geschichte von
Ungarn von Ign. Aurelius Fessler. Zweyte vermehrte und ver-
besserte Auflage bearbeitet von E. Klein*. P. Michał Horwath dodał
przedmowę. Dotychczas tego znakomitego dzieła ukazało się 2-ie
części tomu pierwszego, które razem zawierają 256 stronic.

— XXVI tom znanego zbioru dyplomatów, wydanego przez
komisję historyczną cesarskiej Akademii Nauk w Wiedniu u Ger-
ralda ukazał się w r. b. z druku. Są to tak zwane *Foutes rerum
austriacorum*. Treścią tego tomu są: „Sprawozdania posła Wene-
ckiego o Niemczech i Austrii w XVII stuleciu przez p. Józefa Fie-
dler.”

— P. Höfler wydał niedawno w Pradze ciekawą biografią:
*Barbara Markgräfin zu Brandenburg verwitweta Herzogin in Schle-
sien: vermürthe Königin von Böhmen, Verlopte Konrads Herrn zu
Haydek. Ein deutsches Fürstenbild aus XV Jahrhunderte. Nach
den geheimen correspondenzen des hohenzollerschen Haus archives
bearbeitet.*

— Najnowsze dzieje Prus znalazły we Francyi świeżo wielu
historyków i tak:

P. Maistre de Roger de la Lande ogłosił swoją: *Histoire de
la Prusse, depuis les traités des 1815 jusqu'a. 1867*. Paryż. 1867 r.
Książka w 8ce ma str. IV i 309. P. Veron Eugeniusz wydał ró-
wnież swoją jednotomową: *Histoire de la Prusse depuis la mort de
Frederic II jusqu'a la bataille de Sadowa*. Paryż. 1867. Tom
jeden o IV i 444 stronicach.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA wychodzić będzie re-
gularnie w r. b. Cena prenumeraty pozostaje taż sama,
w Warszawie rocznie rub. sr. **9**, półrocznie rub. sr. **4**
kop **50**. Przedpłata tak w Królestwie jak w Cesarstwie
w kopertach wynosi rocznie, rub. sr. **10**, półrocznie rub.
sr. **5**. Prenumeratorowie raczą przedpłatę wnosić na
stacyach pocztowych lub adressować do księgarni Gebe-
thnera i Wolffa w Warszawie.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Listopad. 1867.

Listopad, 1867.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

Dzień	Okazywane kształtami	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		751.26	750.20	748.73	745.32	748.878	+ 8°0	+ 11°0	+ 11°6	+ 9°2	+ 9°95
2	Apog.	743.25	744.34	746.07	747.68	745.335	9.8	7.9	7.1	5.0	7.45
3		751.73	754.07	755.83	756.99	754.655	2.3	3.4	3.2	- 0.2	2.15
4		751.58	748.61	740.75	735.30	744.060	0.4	1.9	2.0	+ 1.5	1.45
5		736.32	736.35	737.28	739.03	737.245	1.9	3.1	1.2	0.4	1.65
6		741.97	744.87	749.87	754.01	747.680	0.7	1.4	2.1	- 0.2	1.00
7		753.37	751.89	748.27	751.64	751.293	- 1.8	- 2.3	0.3	+ 1.9	- 0.45
8	Równ.	749.08	747.39	742.78	741.19	745.110	+ 3.8	+ 5.5	6.9	3.1	+ 4.83
9		741.18	743.22	743.76	747.86	744.005	1.1	1.9	1.9	1.5	1.60
10		750.56	751.95	753.71	754.55	752.693	0.2	0.8	0.0	- 0.5	0.13
11		752.19	750.14	746.98	749.98	749.823	0.3	1.3	3.7	+ 2.9	2.05
12		753.90	755.59	757.64	758.10	756.058	0.5	1.9	1.9	0.8	1.25
13		758.37	758.92	757.69	756.33	757.840	- 1.4	0.5	1.9	- 0.7	0.08
14	Perig.	754.60	754.71	754.58	755.30	754.798	2.3	0.8	3.2	+ 2.9	1.15
15		755.89	756.27	755.14	753.04	755.085	+ 2.7	3.2	1.9	0.2	2.00
16		746.94	744.77	740.26	738.70	742.668	- 0.7	2.5	6.7	5.8	3.58
17		741.14	747.91	750.51	751.72	748.570	+ 1.6	- 0.2	- 1.7	- 4.8	- 1.25
18		749.23	748.95	749.25	750.50	749.483	- 5.3	4.8	5.2	6.9	5.55
19		748.54	746.94	739.09	736.10	742.668	2.6	1.7	+ 0.2	+ 1.3	0.70
20		736.06	737.10	738.12	738.28	737.390	+ 0.3	+ 1.1	0.6	- 0.2	+ 0.45
21	Równ.	740.88	743.84	747.94	752.24	746.225	- 1.4	- 3.5	- 6.5	10.3	- 5.43
22		752.26	750.70	742.18	736.26	745.350	14.7	8.8	4.5	3.3	7.83
23		738.32	730.69	713.24	750.52	743.193	1.3	0.7	0.9	5.7	2.15
24		757.85	760.10	760.92	760.54	759.860	11.4	9.3	6.2	6.1	8.25
25		756.96	756.16	754.90	755.06	755.770	4.8	3.8	1.9	+ 0.1	2.60
26		754.2	754.77	752.59	750.61	753.173	+ 0.5	+ 1.0	+ 1.5	0.8	+ 0.95
27		746.69	746.12	755.82	747.90	746.833	0.4	1.0	- 0.1	1.0	0.55
28		751.8	752.70	751.58	747.42	750.720	0.3	1.0	0.2	1.9	0.75
29		747.52	749.3	748.06	753.02	747.988	1.4	1.2	0.0	- 1.5	0.55
30	Apog	757.61	759.58	759.05	756.60	758.220	- 3.9	- 2.7	3.1	4.4	- 3.53
Sr.		749.051	749.523	748.720	749.061	749.089	-0°52	+0°19	+0°92	-0°15	+ 0.19

w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiém.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Średnia dzienna	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim.		Wysok. wody na Wiśle	
	6	10	4	10	6	10	4	10	dész.	siln.	temp.	cali.
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.	cau	gu	na m. p.	
89.3	poch. dész.	pochm.	pochm.	pogodny	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ2.	0.3		3	3
89.9	pochm.	poch. dész.	pochm.	napój pog.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	Z2.	4.7		3	2
81.0	pochm.	napój pog.	pogodny	pogodny	PnZ1.	Z2.	PnZ1.	Z1.			3	1
95.8	poch. śnieg	poch. dész.	poc. ś. dész.	poch. dész.	PdZ2.	PdZ2.	PdZ4.	Z2.	6.0	3.0	3	0
94.9	poch. dész.	pochm.	pochm.	pochm.	Z2.	Z2.	tnZ2.	Z2.	6.4	2.0	3	0
92.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnZ2.	PnZ2.	PnZ3.	0.4		5	0
97.8	pochm.	poc. śnieg	pochm.	pochm.	Z1.	Z2.	Z1.	Z2.	1.2	4.9	3	1
92.1	pochm.	poch. dész.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z2.	PnZ2.	4.5		3	1
96.3	pochm.	poc. śnieg	poch. dész.	pochm.	PnZ1.	PnZ2.	PnZ2.	PnZ2.	0.9	0.3	3	4
99.1	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Pn1.	Pn1.	Z1.			3	7
96.0	poch. śnieg	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z2.	Z2.	Pn1.	0.7	0.4	3	11
93.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Pn1.	PnZ1.	PnZ1.			4	1
95.6	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z1.	Z1.	PdZ1.	Pd1.			5	1
98.7	napój pog.	pogodny	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	PdZ1.			7	2
94.8	pochm.	pogodny	pochm.	mgła	Z1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			6	6
93.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			6	1
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn2.	PnW1.	Pn1.	PnW1.			5	11
-	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PnW1.	PnW1.	Pn1.	PnZ1.	0.1		5	7
-	poch. śnieg	pochm.	poc. śnieg	pochm.	PdZ2.	Z1.	PdZ2.	Z2.	2.4		5	0
-	pochm.	pochm.	pochm.	poc. śnieg	Z2.	Z1.	Z1.	Z2.	5.8		4	6
-	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	PnZ1.	Pn1.	Pn2.	Pn2.	4.8		4	8
-	napój pog.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	3.8		5	6
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnZ2.	PnZ1.	Pn2.	2.7		6	5
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Z1.	Z1.	Z1.			5	1
-	pochm.	pochm.	pochm.	poc. śnieg	PdZ1.	PdZ1.	Z2.	PdZ2.	2.2		4	9
92.6	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	2.6		3	10
90.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ2.	PdZ1.	Z2.			3	4
94.9	pochm.	pochm.	pochm.	poch. dész.	Z1.	Z1.	Z2.	Z3.	0.2	0.3	3	2
95.8	pochm.	pogodny	napój pog.	pochm.	Z2.	Z2.	Z2.	PnZ2.	3.3		3	6
-	napój pog.	napój pog.	pogodny	pogodny	PnZ1.	PnZ1.	Z1.	Pd2.			2	11
Sr.					93.7				24.9	39.0	4	3.2

	m.	c.	l
Srednia wysokość barometru miesięczna	749.089	27	8.068
Najwyższy barometr dochodził d. 24 o g. 4 po poł.	760.92	28	1.313
Najniższy — — d. 4 o g. 10 rano	735.30	27	1.956
Srednia dzienna zmiana barometru	6.872		3.015
Największa dzienna zmiana barometru d. 3—4 o godz. 10 w.	21.69		9.615
Srednia wysokość barometru jest mniejsza o	1.520		0.678
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	750.619	27	8.746
Srednia temperatura listopada wynosi	+ 0°.19 C.	+	0°.15 R.
Srednia zmiana dzienna temperatury	3.23	"	2.62 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 22—23 o godz. 6 rano	13.4	"	10.7 "
Srednia temperatura listopada jest mniejsza o	1.10	"	0.88 "
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	+ 1.20	+	1.03 "

Termometrograf wskazał: Maximum: +13°.4 C. = +100°.7 R. d. 1 po poł.
Minimum: +15.0 " = +12.0 " d. 22 rano.

Srednia wilgotność powietrza miesięczna jest: 93.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 5.1 gramow na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 0.8 setnych od normalnej (94.5).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 24.9 mil. czyli 11.04 lin. par.: ze śniegu 39.0 mil. czyli 17.29 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 63.9 mil. czyli 28.33 lin. par., więcej o 24.5 mil. czyli 10.86 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w listopadzie spada (39.4 mil. czyli 17.47 lin. par.).

Dni pogodnych było 1, napółpogodnych 4, pochmurnych 25.

— deszczu 9: (d. 1, 2, 4, 5, 7, 8, 9, 11 i 28).

— śniegu 16: (d. 4, 5, 6, 7, 9, 11 od 18 do 23, 25, 26, 28, 29).

— mgły 1: (d. 15).

— gradu 1: (d. 15).

— wichrów 3: (d. 4 PdZ., d. 5 Z., d. 23 PnZj).

Wiatr panujący zachodni.

Listopad b. r. był niepogodny, dżdżysty, śnieżny i chłodny. Srednia temperatura wynosi + 0.2 stop R. o 1.0 stop. R. niższa od uormalnej a o 1.2 stop. R. jak w r. z. Po pierwszych kilku dniach ciepłych temperatura nieco się zniżyła i pozostała prawie niezmienną aż do d. 20, po d. 21 czyli po przejściu księżycy przez równik niebieski nastąpiły dni niezwykle chłodne, przy panującym północno-zachodnim wietrze i niebie wciąż zachmurzonym; dopiero przy końcu miesiąca, gdy wiatr zmienił się na zachodni, termometr nieco się podniósł. Największa zmiana dzienna temperatury 13.4 stop. R. przypada z d. 22 na 23 gdy księżyc przechodził przez równik niebieski. Barometr utrzymywał się w ogóle nisko, lecz znacznie stan swój zmieniał. Największa zmiana dzienna barometru 9.62 lin. par. przypada z d. 3 na 4 podczas pierwszej kwadry księżycy. W pierwszej połowie miesiąca deszcze i śniegi, a w drugiej tylko śniegi padaly bardzo często i obficie. Dni deszczu było 9, a śniegu 16 czyli pierwszych o 1, a drugich o 10 więcej jak w stanie normalnym. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny, natomiast stosunek dni pogodnych do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak 3,0 : 6,5 : 20.7, gdy tymczasem tenże stosunek w b. m. jest jak 1 : 4 : 25. Wiatr panujący był zachodni, który często zmieniał się na południowy lub północnozachodni.

Srednia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 4 cali 3.2 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 14..... stop 7 " 2 " "

" " najmniejsza " d. 20..... stop 2 " 11 " "

W wielu okolicach jak w Czechach, Galicyi i południowych powiatach Królestwa miały miejsce w przeciągu tego miesiąca wielkie zasypy śniegowe.

Pod d. 14 donoszą z Kalkuty o strasznej burzy, która zniszczyła do 30,000 chat tubylców i skutkiem której do 1000 ludzi straciło życie.

W nocy z d. 12 na 13 nastąpił świeży wybuch Wezuwiuszu, z wnętrza jego dotychczas jeszcze wypływają ogromne potoki lawy i ogień wóród straszego huku wyrzuca znaczną ilość kamieni.

FAUSTA CZĘŚĆ DRUGA.

STUDYUM KRYTYCZNE

według dzieła E. Caro (La philosophie de Goethe).

Nie trzeba wielkiej przenikliwości na odgadnięcie epoki życia, w której Gete przedsięwziąć mógł dopełnienie swego Fausta; nie jedna cecha zdradza tam słońce skłaniające się ku zachodowi. Ogromny ten poemat nie rozwija się wcale drogą właściwą każdemu utworowi przyrody, nie wykwita z idei jakby z ziarna, nie zastaje ani w stosownie urobionym gruncie, ani w otaczającym go powietrzu warunków życia i wzrostu; nie podnosi się stopniowo ku ostatecznej swojej mierze w sposób zdolny utaić wysiłki swego twórcy. Doprawdy, nie takto rodzą się i rozwijają wielkie wytwory geniuszu, nie tak zwiastują się światu dzieła istotnego namaszczenia. Czujesz tu wyraźnie pracę, przyniewalającą do form systematycznych myśl często nieposłuszną; natchnienie tu krótkie jest, przerywane, ukradkowe: robota widocznie spełniona dopadkami, w znacznych czasu przedziałach. Cóż to raczej silnej woli działającej z przymusem, którego też utaić nie umie, niż przyrodzonego popędu, zdolnego tworzyć swobodnie i radośnie, z łatwością noszącą wszelkie cechy niebieskiego pochodzenia.

Czuł to boleśnie sam Gete, wyznawał nawet głośno w poufnych pogawędkach z przyjaciółmi. Kiedy raz mówiono przy nim o powołaniu Napoleona i świetnej jego

gwiazdzie, mierzchnącej w miarę jak się oddalał od dni swój młodości. „Cóż chcecie—rzekł na to—toż i ja nie utworzyłem dwa razy w życiu moich pieśni miłosnych i Wetera. Podobnie boskie oświecenie opromienia tylko lata młodości, które są jedynym wiekiem zdolności twórczych. Bo i cóż geniusz bez siły twórczej?—w tym względzie wiecznie młodymby być należało!” Słowa te tłumaczą nie jeden zwrot po za siebie w dziejach pomysłów wielkiego poety. Czuł się zdolnym gwałcić zwyczajko zwykłe warunki życia ludzkiego. Inni są raz tylko młodzi, ale geniusz to co innego. On wie, że mu nie tylko wolno ale i przystoi wyznawać głośno boskie swoje pochodzenie. W istocie zdarza się napatykać u niektórych wyższych ludzi chwile świetnego odmłodnienia: Gete nazywał to powtórnem *dorastaniem* geniuszu. „Z tém wszystkiém—dodawał smutnie—powtórna młodość, to więcej złudzenie jak jawa. Siła geniuszu, jakbądź potężna, nie łatwo da radę ciału; nie jedno to zaprawdę, czuć w sobie samym sprzymierzeńca czy przeciwników”. I zwracając się ku twardym koniecznościom życia, przypominał jak za dni swojej młodości, był w stanie, w ciągu trzech dni, napisać dramat lub inną jaką większą całość. „Dziś aniby probować czegoś podobnego. To co mi się wtedy codzień udawać mogło, dziś zdarza się chyba chwilowo, i to jedynie w pewnych przyjaznych warunkach. Pracując nad drugą częścią Fausta, gdyby nie ranne godziny, w których dobroczynnym snem pokrzepiony, czuję całą rozkosz oderwania się od tuzinkowych zaprzątnień domowego życia, aniby podolał mojemu zadaniu. A i wtedy jeszcze, cóż tak dalece wypracować mogę? W najlepszym razie kartkę rękopismu na dzień, co wszystko zmieściłoby się na dłoni, a są dnie w których i mniej się napisze!” Niebawem zmuszony był uciekać się do innych jeszcze środków dla podsycenia swój weny. Raz gdy go pytano: jak daleko zaszedł z Faustem?—„Idzie to, idzie—odpowiedział. Dziś kazałem zszyć w jedno wszystko co się dotąd napisało, dodałem także białego papieru na miejsce gdzie ma być akt czwarty. Tym sposobem widok dokonanej już pracy z jednej strony, z drugiej zaś tego co pozostaje do zrobienia, zachęci mię a nawet zmusi poniekąd do dokończenia reszty. Nie uwierzycie, do jakiego stopnia podobne środki działają nieraz na umysł człowieka”. W sło-

wach tych czuje się już zdziecinnienie ducha. Wykładając te dziwne teorye, liczył już sobie wielki poeta przeszło 82 lat życia.

Spóźniony wiek ten, z innych jeszcze względów przebija w poemacie. Najzupełniejszy brak w nim namiętnego uczucia. Wszechwładnym przywódcą całej sprawy, jest tam jedynie idea, objawiająca się w dwóch formach, to jest: erudycyi i dążności filozoficznych. Wszystkie zasoby wiedzy, jakie poeta z mozolną pracą zgarniał życie całe, używają w tym dziwnym poemacie najbardziej nieukróconej swobody. „Obmyśliłem go niewiedzieć jak dawno, mówił Gete w roku 1829, lat już 50 jak się z nim noszę. Przez czas ten tyle się *nagromadziło* materyałów, że dziś mam nie małą trudność w ich wyborze. Jest niesłychana mnogość postaci mitologicznych domagających się koniecznie swojej roli; ale ja wybieram takie tylko, które odpowiadają memu zadaniu.” Czytelnik sam osądzić potrafi, czy wybór poety zawsze był usprawiedliwiony. Nie małe to zresztą utrapienie, nie móż czytać rzeczy podobnej, bez nieodzownej pomocy mitologicznego słownika. Zajęcie poetyczne, rozprasza się tam co chwila pośród tego tłumu dziwacznych nazwisk, zbieranych pracowicie pomiędzy atrybutami najrozlicniejszych bogów, półbogów i bohaterów, albo znowu wyrazów zapożyczanych z ciemnej mowy tajemniczych inicjacyi i obrzędów. W istocie do czegoż się przywiązać myślą, pośród tego chaotycznego rozstroju nazwanego *Klasyczną Nocą Walpurgi*, kędy wirują w opętanym chorowodzie: to gryfy, to żurawie i byka, to daktyle, to lamie, to syreny, to znowu dryady i forkady, to nereidy i trytony, i wreszcie sfinksy obok ciemnych bóstw kabirów? Dziwnieź wygląda w obec podobnie płonnych wyśilków, prostoduszne zadowolenie Getego, który ani się spostrzega, że ta niepomiarkowana nauka, całkowiec przyniotła poezję! Eckerman wydziwić się nie mógł, że miał tak wysoce uczonego mistrza. „Tak, tak, odpowiadano mu na to, jest tam nad czém połamać głowę. Już to nie zawadzi czasem nieco erudycyi.” I kiedy sobie uczeń wieszował, że właśnie w samą porę przeczytał był rozprawę Szellinga *O bóstwach Samotracyi*: „Co do mnie, rzekł mu Gete z uśmiechem, myślałem sobie zawsze, że to jednak rzecz nie zła mieć cośkolwiek. Tożto tam streszczono całą starożytność!

mówił znowu kiedyindziej oczarowany Eckerman. „Masz słuszość, odpowiadał mu Gete, filologowie znajdują tam nie mało roboty.”

Jak powiedzieliśmy, dążności filozoficzne tyle niemal co i erudycya, składają się na to, żeby drugą część Fausta zrobić jak najmniej przystępną ogółowi. Wiemy już w jak późnym wieku stworzył ją poeta. Już mu wtedy ani w głowie było: czy Werter słusznie czy nie słusznie zropaczył o swoim szczęściu? W tej wieczorniej porze życia, daleko zostawił po za sobą równie upojenia jak tęsknoty, i jeśli jeszcze czasem pogonił za nimi wzrokiem, to mu się już przedstawiały tylko złotawym bez życia tumanem, rozplywającym się w mgłach widnokregu. Wcale co innego zaprzątało wtedy umysł starca. Szło mu o możność pogodzenia w jednej wspólnej teoryi obrońców sztuki starożytniej ze stronnikami nowszych o niej pojęć; szło mu o odgadnięcie znaczenia wielkich ruchów ludowych, które pół wieku trwając, strąciły w otchłań uświęcone wiekami tradycye polityczne, i cały stary świat z posad dotychczasowych zepchnąwszy, szerzyły zwycięzki przewrot aż w ostateczne ziemi krańce; szło mu o zgłębienie ogólnych praw świata fizycznego, o przyswojenie sobie teoryj naukowych, wykwitających naonczas w Paryżu, Londynie i Berlinie, o przyjęcie udziału w tych świetnych sporach, w których przeciwnikami sobie byli Geoffroy Saint-Hilaire i Cuvier, każdy na swój sposób wykładając przyrodę; szło mu wreszcie pod schyłek dni pełnych sławy, o zdanie samemu sobie dokładnego rachunku ze wszystkich systematów które miał sposobność rozważyć w długiem swoim życiu, i w sprawie których uważał się powołanym dać wymowne świadectwo potomności, dopóki mu jeszcze współczesną była. Takie to było usposobienie jego umysłu, w chwili kiedy się zabierał pisać część drugą swego Fausta. „Pomysł jój, słowa są jego, liczy już z górą lat 50; z témwszystkiem nie wyjdzie to na złe poematowi, żem mu nie dał życia aż dzisiaj; z wiekiem umysł mój nabył nierównie jaśniejszych pojęć o rzeczach tego świata. Jestem jak człowiek, któryby miał w młodości nie mało drobnych srebrem i miedzią; stopniowo coraz się dalej zapędzając w lata, mieniał te drobne coraz zyskowniej, aż dziś posiada wreszcie samo ważne obrączkowe złoto.”

Paraboli tój niepodobna odmówić pewnej względnej słuszności. Życie poświęcone myśleniu i poszukiwaniom prawdy, toż to jedyna praktyczna alchemia pod słońcem; pytanie tylko: czy udoskonalenie filozoficzne jest zarazem postępem na drodze poezyi? Rzecz się ma wcale przeciwnie. Wszelkie, choćby najrzadsze spekulacyjne skarby, nie tylko nie podtrzymują natchnienia, ale je owszem przygnębiają i głuszają. Dzieje się to tak: że myśli nagromadzone w głowie wieszczą, nazbyt tłumnie cisną się do światła i życia uśmiechającego się im w poezyi, skutkiem czego gniotą się wzajemnie, właśnie jak się to zdarza w zbiegowiskach, gdzie każdy radby być pierwszym. Żadna z tych myśli nie dobieje się swobodnego, oddzielnego, wyróżniającego ją od drugich istnienia, gdyż takowe udziałem jest tylko wytworów sztuki rzeczywiście niczem nie skrępowanej i szczerze płodnej: słowem jedynie po to ze sfery czystych abstrakcyj wyjdą, żeby się przenieść w chłodne krainy symbolizmu. Skutkiem zaś podobnego stanu rzeczy, wytwarzają się zjawiska, których zbiór dziwnie uzupełniony przedstawia właśnie druga część Fausta. Poezja dramatyczna, której całe zajęcie polega na przedstawieniu walk namiętności, rozplywa się tam w pewnym rodzaju ogólnej allegoryi, pośród której działające osoby, nie ludzie już są, tylko systemami. Nie szukać też nigdzie głównego jakiegoś czynu, któryby wiązał do siebie pojedyncze ustępy, lub choćby organicznego ogniska, ześrodkowującego jako tako stosunki oderwanych części poematu. Wszystko tam rozpierzchłe, myślące tylko o sobie; scena każda stanowi niemal osobną w sobie całość, bez związku z tem co ją poprzedziło, lub co po niej będzie. Ogólnie poemat ten jest tylko przedstawieniem w dyalogowej formie: to mglistych symbolów, to przymuszonych do rzeczywistości abstrakcyj, pośród których błakają się niby cienie Tartaru ci, których niegdyś tyle żyjącemi, tyle działającemi znaliśmy; nosili oni jeszcze wtedy z całą nieprzymuszoną szczerością ducha miano Fausta lub Mefistofelesa. Święta jakaś pomroka narzuca nieprzenikliwą mgłę zasłoną, ten ciąg sennych pochodów, pośród których snują się widm orszaki. Trzeba nie lada odwagi, żeby się chcieć zapuścić w te tajemnicze cieniów krainy, żeby módz' przebyć te tysiączne przeszkody, które co krok bronią wyjścia; i tak-

że nie lada nauki, żeby potrafić zakląć te zgraje najróżnorodniejszych widziadeł, błakających się pod pokrywką starożytnych nazwisk pośród cieniów uroczystej nocy: i wreszcie nie lada przenikliwości, żeby przebrawszy się poprzez te wszystkie manowce, odszukać wkońcu ognisko labiryntu, pośród którego przy świetle czystej idei, odśtania się ołtarz prawdziwego Boga.

Nie wielka liczba śmiazków, którzy się odważyli na tę wyprawę, wróciła z niej jednak bez szwanku. Z tém wszystkiem trudności jeżące się już na samym wstępie do świątyni, zniechęcają zwyczajnych śmiertelników. Mniemaćby można, że takie było właśnie życzenie poety; sam bowiem, osobiście broniąc wstępu do świętego gaju w którym wydaje wyrocznie, nie wahał się powtórzyć za Horacym: *odi profanum vulgus et arceo*. „Kto choć części tych idei nie nosi w sobie, rzekł indziej znou, nigdy nie zdoła pojąć, com chciał wypowiedzieć.” Dodaje także wyniośle, kiedy mu wspomniano o czytającej powszechności:—„Powszechność? Dajcież mi tam pokój z powszechnością! Mnie szło tylko o to, żebym spisał w żywém słowie, com nosił w duszy. Świat niech sobie z tém robi co mu się podoba; pożytek jaki z tego osiągnie, będzie zależał od jego uzdolnienia.” Słowa to bardzo nieroztropne. Ogół wzgardzony przez poetę, pozostawił go sam na sam z jego dziełem. Tak jest, obojętność ukarała samolubstwo starca, który ani już pomyślał o czémś inném, jak o popisaniu się z zasobami własnej wiedzy.

Taką się nam przedstawia część druga Fausta, będąca raczej wytworem połączonych sił erudycyi i filozofii, niż dziełem szczerego natchnienia. Właśnie jednak te same trudności, które zniechęcają profanów, tém żywiej zaostwiają badawcze żądze krytyki filozoficznej, która przeszkody pomienione za godne siebie uważając zapasy, rada je wyzwać do walki i zwyciężyć ile może; pomiędzy niemi bowiem, droga jest prosto w samo ognisko, w samo serce dzieła, i rzeczą jest ze wszechmiar ważną: zarówno zbadać cały ogrom wyrażania się idei przez przeciąg półwiekowy w umyśle wielkiego poety, jak i schwytać na żywym uczynku stopniowy postęp jego pojęć i przekonań w przedmiocie wszystkich wielkich zadań, jakimi się zaprzętała zwykła ciekawość speku-

lacyjna. Nie troszcząc się tedy o ogólny układ dramatu, który zresztą, jak to i sam Gete rad przyznawał, złożony jest z części nie koniecznie do siebie przystających, ograniczymy się tylko na kilku pojedynczych z niego studyach, dzieląc go dowolnie na trzy części, dość zresztą same z siebie wyraźne: Jedna z nich wyróżniać będzie cały zawód *poślanniczy Fausta* aż do jego zgonu; druga magiczne zjawisko *Heleny*; trzecia ustęp *Homunculusa* i *klassycznej nocy Walpurgi*. Pod symbolistyką tych trzech epizodów, uporządkowuje się zresztą sam z siebie systematyczny wykład teorii poety: tyjących się *polityki*, pojęć o *sztuce* i tłumaczenia zjawisk *przyrody*. Po przez cały zaś ciąg dzieła, przesuwają się, niby nitka Aryadny, idea ogólna, niekiedy z rąk upuszczana, niekiedy znów podejmowana, pozwalając jednak acz z trudem przebyć najciemniejsze nawet manowce poematu i wyjść z nich na światło; idea ta, streszczająca w sobie długoletnie poety nad zagadkami życia dumania, całe wreszcie doświadczenie jego moralne, nie czém inném jest, jak apologią, nieledwie nawet apoteozą ludzkiej działalności.

Widocznie tedy, część druga Fausta nie jest niczém inném, jak jedną wielką teorią filozoficzną w allegorycznej formie. W miarę jak nam się przyjdzie posuwać w rozbiórze pojedynczych jej części, przekonać się będzie łatwo, ile podobne nagromadzenie najmocniej wysilonych abstrakcyj, ciężkiem nieraz ugniatła brzemieniem polotną swobodę natchnienia poety. Rzeczy tych jednak nie sądzmy zbyt porywczo. Prawda to, że poeta dziwnie postarzał w przerwie dwóch części swego dzieła: że wraz z nim postarzał także jego bohater; jedna to przecież z tych starości pełnych potęgi i mocy życia, które silnemi sokami podsycała myśl przez czas długi; jedna to z tych, co się piętrzą ponad młode pokolenia na podobieństwo owych dębów, czasem już całkiem pozbawionych liścia a jeszcze sterczących dumnie ku niebu, wrosły bowiem korzeniami niemal w sam ziemi rdzeń, wierzchołkami zaś trącają obłoki.

Zanim się wdamy w bliższy rozbiór teorii wchodzących w skład filozoficznej trylogii dramatu, spróbujmy wykazać ile się da najjaśniej, sposób związania w jedno oddzielnych jej części. Zdaje się przedewszystkiém, jak to już powiedzieliśmy sposobność, że główną nicią w tym względzie,

jest idea działalności Fausta, coraz dokładniej stosowana do czynów pożytku powszechnego, coraz dojrzalej kształcona nabywanem po drogach życia doświadczeniem, jedném słowem, po szczeblach niby nieustającego postępu, pnąca się mozolnie ku ostatecznej wysokości, na której poeta umieścił udoskonalenie moralne. Udoskonalenie to, nawiasem mówiąc, wygląda raczej zajrzane ukradkiem, niżeli jasno twarzą w twarz widziane; tak dalece nie wyraźnie, tak nieśmiało określił je poeta.

Emblematyczna noc przedziela drugiego Fausta od pierwszego, który jak wiemy kończy się na śmierci Małgorzaty. Przez czas kiedy Ariel król Sylfów sen wielkiego winowajcy wońmi i miękką pieśnią kołysze, dusza jego uspokaja się i odradza. Straszliwe wspomnienia, zgryzoty, rozpacz, rozplývają się stopniowo w jego pamięci. Pod uroczym symbolem nocy téj, pełnej czystych upojeń, jakimi przyroda obdziela swoich wybranych, to jest tych co ją rozumieją i kochają, z góry już uwidomia się idea ulubiona panteistycznemu poecie. Po wielkich wstrząśnieniach duszy, nawet po przewinieniach wielkich, jedynym, najczystszyim środkiem podniesienia jój z upadku, jest oddać się całkowicie w moc téj powszechnój, tajemniczój siły, wiecznie czynnej i zbawczój, która wszystko naprawia, bo i wszystko stwarza. Schorzałe duchy zdrowie tam czerpią, umysły wzburzone, odpoczynek zbawienny, zaniepokojone sumienia pociechę, i nawet (wypowiedzmy tu do ostatka całą myśl Getego) przebaczenie. Tak jest: w mniemaniu tego wielkiego czciciela przyrody, nie tylko płyną z niej obfitem źródłem wzmacniające fizyczne własności, ale i wszelkie światło opromieniające ciemności, ale i wszelka moralna odradzająca własność, a tą jest zapomnienie, stanowiące najsilniejszy stopień uspokojenia wewnętrznych wyrzutów. Przyroda bowiem jest w każdym razie pobłażliwą matką, i przeto szlachetną pocieszycielką człowieka, a jako taka, staje się koniecznie najwyższą potęgą religijną, bowiem podnosi z upadku i rozgrzesza. Z jednéj strony zlewa ona na nędze tego życia oczyszczającą wodę Letejską, z drugieój, z mocy boskieój potęgi, namaszcza człowieka na zapaśnika wielkich walk, do których go powołano.

Pod jéjto błogim wpływem, Faust uczuwa stopniowo w odświeżonych wnętrzach swego ducha budzące się źródła

nowych życia zasobów. Zwątpienia i upadki wczorajsze, pierzchają jakby nikłe tumany, w obec wschodzącej zorzy nowych sił woli. Czuje po wszystkich członkach odmłodnienie jakieś szczególne. Chór niewidzialny wyśpiewał mu wyroczną radę, której posłucha.—Odważnie! naprzód! bez wahania! umiej być śmiałym! powiedziano mu: prosto do celu! Motłoch tylko błąka się i chwieje. Szlachetny umysł, rozumny i działawczy, sam jeden podoła wszystkiemu!—Więc téż zaledwie świt zabłysnął, otrząsłszy z siebie słabe więzy snu magicznego, wstaje bohater, swobodny po dawnemu, i znów gotowy wyzwać do boju przeznaczenie. W przepysznój apostrofie składa podziękowanie ziemi, że go śpiącego przytulała czule do macierzyńskiego łona.—Z siłą nową biją we mnie tętna żywotne, witając słodko rumieniejącą się u wschołu jutrzeńkę... Ziemi! tyś mi także wierną była téj nocy, ty także dyszysz u nóg mych odmłodniała. I oto poczynasz mię znów otaczać rozkoszami życia, budząc zarazem i podniecając we mnie silne postanowienie dążenia bez ustanku ku coraz szlachetniejszemu istnieniu.

Dotąd namiętność wstrząsała go tylko bezpożytecznie, i wreszcie nędznie w pole wywiodła; ostatecznie rzuciła go o ziemię zdeptanego, zmiażdżonego niemal, pod brzemieniem konieczności, którego zarody nosi w sobie wszelki popęd ziemski. Obecnie czyn już tylko wypełniać mu będzie życie, tak jest, czyn jedynie kusi odmłodniałą jego swobodę, zbudzoną nagle jakby ze snu czarodziejskiego zarazem i przykrego. Nie będzie już dłużej losu igraszka, nie odda mu już więcej duszy swój, jak było wprzód, na całkowitą państwo, z wszelkiem zaparciem się siebie. Pełném prawem wzniosłego umysłu, który odzyskawszy siebie, ani myśli wyrzec się swojej władzy, on sam teraz panem być chce wypadków, sam je przygotowywać, sam wybór robić między nimi. Stanąwszy pośród zakresu który naznaczy swój działalności, on powie teraz z Prometeuszem: — „Nic ani podemną, ani nademną.“ — On panem się stanie wszystkiemu, byle się tylko niczego nie ustraszył, byle niczego nie wyglądał zbyt, byle się potrafił wyłamać losom z pod zawistości, w którą zaprzeda je ludzi tajemniczy zbieg wypadków w połączeniu ze słabością ducha. Tak jest, za tę cenę, monar-

chę się stanie, Bogiem się stanię—wprawdzie ziemskim, ale zawsze Bogiem.

Jestto jednem słowem zbudzenie się działalności w wzniosłej sferze bohaterstwa. Działalność ta, długo ukrócana bezpożytecznym targaniem, długo to ugniatana, to znowu rozsadzana gwałtami namiętności, obecnie zrywa się do swobody, w chęci zagarnięcia świata. Tym sposobem, Faust, w nienasyconej swojej żądzy doświadczenia wszystkiego i wszystkiego zgłębienia, przebiegł niby rozmaite sfery zachęć ducha. Zrazu przebierał się mozolnie po przez tę wyniosłą a ciemną strefę, którą myśl spekulacyjna dążeniami swemi pychy pełnemi oraz przywidzeniami wypełnia; potem przeleciał burzliwie drugą, o wiele powabniejszą, pośród której rozwieliżyła się miłość, ze wszystkimi swemi uroki, tajemnicami, szaleństwem. Przybywa ostatecznie do trzeciej, prawdziwie już człowieczej; kędy woła na to tylko siły zbiera i skupia się w sobie, ażeby jedną razą wybuchnąwszy na zewnątrz, szeregiem postanowień pełnych energii, we właściwej godzinie świat zdobyć, i przerobić go po swęj myśli: bądźto drogą politycznych działań, bądź z bronią w rękę, bądź przez podniesienie przemysłu, bądź odrodzeniem sztuki. Tedy jak widzimy, poemat cały jest tylko czystą allegoryą, wypowiadającą w formie dramatycznej całą potęgę działalności ludzkiej, ubóstwionej skutkiem wielkości celu, do którego dąży, oraz siły którą rozwija.

Czyn więc staje się odtąd jedynem przeznaczeniem odrodzonego Fausta. W spełnieniu naznaczonych sobie przez siebie samego obowiązków znajdzie on odtąd najszlachetniejsze jakie być mogą pod słońcem uciechy: poważne szczęście mędrca, który czuje na każdym kroku że jest pożyteczny, bądź to szerząc w około ulepszenia rolnicze i zarazem towarzyskie, to jest dopomagając ziemi do zapewnienia ludziom dobrobytu, bądź też, co rzecz trudniejsza daleko, krzątając się około polepszenia dusz ludzkich, serc i umysłów. Widocznie poeta umyślił urzeczywistnić w życiu swego bohatera własny ideał moralności, która się cała jak ku słońcu zwraca ku czynowi, zawsze jednak w najwyższym i najobszerniejszym jego znaczeniu, mianowicie biorąc go jako działanie wprost przeciwne egoizmowi namiętności, a także i jako myśl gardzącą poklaskiem tłumu, wprost przeciwną spekulacji roz-

pierzchającej się pośród abstrakcyjnych czczości, oraz niemniej płóнным popędóm żądź chwytających tylko cienie rzeczywistości; jedném słowem, jako działanie, objawiające się bądź pełnieniem namacalnym obowiązków codziennego życia, bądź wielkimi dziełymi zdolnymi w przyszłości dopiero ludzkość odrodzić, bądź wreszcie estetyczną i naukową umysłową uprawą.

W znaczeniu podobnym rzecz biorąc, przyznać wypadnie, że poemat ten nie tylko jest dalszym ciągiem i dopełnieniem pierwszej części Fausta, ale że dopełnia także Wertera udoskonalając go zarazem, a mianowicie zacierając smutne wrażenie ostatecznych jego losów, z pomocą wzniosłej nauki, będącej owocem długoletniego doświadczenia. Werter uosabiał niby chorobliwą młodzieńczą czułośćkowość, uważającą się w prostocie ducha za jedyny cel życia, i która raz omyloną w swoim rozmarzeniu, ani się zdobyć zdoła na wycierpienie rzeczywistości bez złudzeń, życia bez żądź, żądź bez szczęścia. Był niby typem miłosnego szału, stojącego w swém opętaniu na równi z starożytną cnotą, przyoblekającego się zarozumiale w zwyciężkie uroki przywidzianego bohaterystwu, który w rzeczywistości był tylko opłakanym i dziecinnym pomieszaniem zmysłów. Jedyną tedy możebną poprawą moralnego sensu Wertera, jedynym lekarstwem na tę chorobę która w swoim czasie tyle młodzieży niemieckiej do samobójstwa popchnęła, było w mniemaniu Getego przedstawienie dosadnego obrazu wysiłków, zapasów i wreszcie tryumfów czynnego życia. Stosownie do zamiaru poety, Faust rzucający się w rzeczywistość dla otrząśnienia z siebie wycieńczającej niemocy ducha odrętwiałego w miłosnych zachwytach, za przykład miał służyć każdemu, który uwiedziony poetycznością typu Wertera, w ślad za nim, w przesadzie uczucia, wyższego nad obowiązek popędu szukał, czyli co na jedno wyjdzie, w miejsce prostoty życia praktycznego, zbrodniczą i niebezpieczną wielkość marzeń podstawił. Czynność! Czynność! oto jedyne zbawienie dla tych, co sobie na zbyt długo, w wyczerpanym życiu uniesień pełnym, podobali. Z podobnej matni wyzwolić się należy wszelkim możebnym kosztem; to też to jedno tylko ocalić zdoła Fausta, zbawić go nawet (mówiąc w duchu pojęć Getego), zbawić, pomimo wszystkich jego błędów a następnie zbrodni; tak jest, tą tyl-

ko drogą zdoła o i odzyskać znowu zaszczytne miano człowieka, tym tylko sposobem wykupić zaprzędaną upadkowi wielkość w obec Boga i przyrody.

Z téj strony, intencja moralna drugiej części Fausta, pozostaje w zgodzie z zasadą, przeprowadzaną w *Latach kształcenia się* i w *Latach podróży Wilhelma Meister*. Nazywając utwór ten podmiotową epopeją, prosi się Gete, żeby mu wolno było traktować w nim ludzi jak się jemu będzie podobało. Prawdę zaś mówiąc, robił to i bez opowiadania się komukolwiek. Poprzez próby jakich doświadcza Wilhelm Meister, a raczej poprzez dziwne wybryki fantazyi autora, który bohatera swego najosobliwszemi wiedzie przejściami, widnieje wielka zasada moralna, nierzadko wprawdzie mierzchnąca w pośród szczegółów natłoku: jestto nieunikniona kolej niedoli, w jaką popada każdy, kto obłąkawszy się wśród fałszywych dążeń, właściwy nakoniec z oczu cel traci, i przeto zbacza na manowce, rzucając się w tysiączne przedsięwzięcia, do których go bynajmniej nie stworzyła przyroda; jestto konieczność, pod karą cierpień i płonnej rozpacz, odszukania sobie kierunku właściwego wrodzonym zdolnościom, pogodzenie się z samym sobą i przyrodą, wywikłania się wreszcie z matni bezcelowych mrzonek, dla oddania się duszą całą życiu czynnemu, porządnemu, słowem całkowicie pożytecznemu. Zasada to dziwnie piękna w sobie, streszczająca bowiem całą moralność praktyczną: „spełniaj twój obowiązek nie dalej jak z dnia na dzień. Nie każdemu wyznaczono to samo co i drugiemu zadanie, każdemu jednak jakieś wyznaczono. Nie ma takiego nędzarza ani takiego wydziedziczenia przyrody, któremu by nie było dano coś zacząć lub coś ciągnąć dalej: bo nawet i najskromniejszych środków wartość przedziwnie uszlachetniają szczęśliwe ich wyniki, poczucie zaś potrzeby powszechnego postępu podnosi w własném mniemaniu najlichszego nawet w hierarchii społecznej pracownika. Nie tyle bowiem idzie o to, żeby wielkie rzeczy działać, jak raczej o to, żeby pełnić to do czego się jest stworzonym; na to, żebyś godnie zadaniu swemu odpowiedział, działaj tylko stosownie do właściwych środków oraz wrodzonego usposobienia, nie oddalając się ani krokiem z wyznaczonego ci losem stanowiska. Na tém polega najwyższa moralność, najwyższe także szczęście i jedyne. Po

za obrębem téj zasady istnieją tylko straty sił i czasu, drogi bez wyjścia, udręczenie życia trawiącego się w gorączkowej nikomu nie przydatnej szarpaninie, zawody płonnych acz wyczerpujących wysiłków, i wreszcie bohaterkie uniesienia rozbijające się po ciemnościach." Śpiew tajemniczych towarzyszy, wtajemniczających Wilhelma w nowicyat życia praktycznego, streściłby można w tych prostych, pełnych ducha męskiego wyrazach: W życiu staraj się nic nie puszczać w odwłokę, działaniem tylko żyj, działaj bez końca.

W ten sposób wracamy znowu do zasady, stanowiącej podstawę drugiej części Fausta; jest nią, jak widzieliśmy, działalność człowieka, podniesiona do najwyższej potęgi ideału wyznawanego przez poetę: nic też dziwnego, że dąży ni mniej ni więcej jak do podbicia świata. I oto przesuwa się kolejno pochod form, symbolizujących charakter tego podboju. Polityka, sztuka, nauka, wojna, przemysł, takie to są rozliczne środki, jakie poeta oddaje rozporządzeniu myśliciela lub bohatera. Naprawa bytu społecznego, oto cel, z pomocą którego ludzkość się uświęca. W zakresie szerokich ram rozwiniętej tu allegoryi, Faust jest jednocześnie myślicielem i bohaterem.

Przepatrzmy pokrótce, w jaki sposób wikłają się z sobą pojedyncze ustępy poematu. Faust przedstawia się na dworze, pałający żądzą czynu; ale tam znajduje państwo dziwnie zagrożone: w istocie, przepowiednie klęsk najstraszliwszych zdają się unosić w powietrzu. Chciałby wszelkimi sposobami ostrzedz o nich, i nawet czyni to pod osłoną tyśiącznych allegoryj i alluzyj, starając się oraz zapobiedz ich wybuchowi zbawiennymi radami. Byłby może i podolał rozbrojeniu grożących zewsząd nieszczęść, gdyby szatańską sztuką nie był przyspieszył ich natarcia Mefistofeles, lubujący się w krwawych przewrotach, jakby w najmilszym żywiole. W tém rozkiełznaniu ludowém, lejącém bez opamiętania w ziejącą otchłań, jedyną ucieczką dla mędrca którego radom odmówiono ucha, jest już tylko wiedza i sztuka. Zaczem dwie te dążności ducha wypełniają sobą cały ogrom przerwy, przedzielającej pierwsze sceny zjawienia się Fausta na dworze, od tych, w których wraca znowu, przynosząc cesarzowi zwycięstwo. W tym długim lat przeciagu, Faust usiłował dosięgnąć dwójakiej mety: najprzód, najwyższego piękna,

to jest poezji, w osobie Heleny; następnie szczytu wiedzy, nie téj czczéj, szkolarskiej wiedzy, ale prawdziwéj, istotnéj, wiedzy żyjącéj rzeczywistością, a taką napotkał jedynie w Homunculusie, który go téż doprowadza aż do źródeł i aż do samego rdzenia życia. Dwa te w ten sposób uważane zaprzątnienia umysłu, są także w sobie działalnościami objawem. Toż głęboka znajomość natury jak i poezji wdzięków, już przez to samo że oświeca umysł człowieka i duszę jego ku niebu wznosi, niemniej potężnie jak i inne czynniki do postępu się przyczynia. W akcie czwartym, Faust czując już siły krzepnące starością, chciałby nieco zacieśnić zakres swojej działalności, sprowadzając ją, dla tém dzielniejszego zużytkowania, do rozmiarów więcéj szczegółowego, wyraźniej określonego, jedném słowem więcéj bezpośredni mogącego przynieść pożytek dzieła. — „Czuję w sobie, powiada, siły nowe do nowych prac.“ Niezdolny wznieść się do wysokości podobnie wzniosléj żądzy stanowiącéj zaszczyt serca ludzkiego, Mefistofeles usiłuje, w pobudkach mniéj szlachetnych, dopatrzeć tajemnicy, popychającéj Fausta ku wielkim przedsięwzięciom. — „Chcesz zyskać chwałę—powiada mu — rozumiem. Przybywasz prosto z kraju bohaterów. — Mylisz się—odpowiada mu dumnie Faust. — Czyn tu jest wszystkim, chwała za nic.—Marzeniem jego jest wydrzeć oceanowi obszerne ziemie przestrzenie, które użyźni, a następnie obsadzi ludnością szczęśliwą i kwitnącą; będzie to rodzaj idealnéj Hollandyi, którój rolnictwo i handel zapewni dobrobyt dotąd światu nie znany. W chwili jednak kiedy się już marzenia jego ziścić mają, nieprzewidziany wypadek strąca go znowu w najsmutniejszą rzeczywistość, bo w okropności wojny. Tak to często niemałym kosztem opłacić przychodzi prawo służenia ludzkości! Faust tedy zmuszonym się widzi stanąć wszelkiemi sposobami po stronie dość sobie miernego monarchy, którego upadek mógł być wielką klęską, ale którego i zwycięstwo nie wiele więcéj jest warte. Szczęśliwie dopiąwszy swego, śpieszy czémprędzej na wybrzeża oceanu, którego płonne obszary oddał mu cesarz na własność, w zamian za uczynioną w potrzebie przysługę; z tych ław piaszczystych, z tych pustek na których nawet trawa nie wyrasta, cudownymi przemysłem zrobi Faust wkrótce najżyźniejszą część kraju. Tam przynajmniej,

czy raz już będzie szczęśliwy? Czy zakosztuje wreszcie uciechy, jaką daje zbawienna działawczość? Czy po tylu przykrych w życiu przeprawach, odpocznie raz już w sposób rozkoszny, mogąc choć dni swych schyłkowi zupełne z siebie zadowolenie dać w nadgodę? Nie, ta nawet najwyższa ze wszystkich szczęśliwość, polegająca na zaprzątzeniu około uszczęśliwienia drugich, i ta nawet zaniepokojoną się staje, zmaconą. Jest tam coś, co zatrzuwa tajemnie czyste źródło, z którego ona wytryska. W miarę, jak przez szczere zaparcie się siebie dusza się Fausta ulepsza, bohater przekonanywać się zaczyna; że jednak sam czyn nie jest jeszcze wszystkim, że nawet popęd szlachetny nie jest wszystkim, że na to ażeby wyniki czegoś podobnego czyste były, aby dobro zupełnem było, potrzeba także, aby srodki któremi się osiąga były podobnież nieprzymuszone, szczere i czyste. Otóż od tego tam Mefistofeles: żeby podstępna przewrotnością swoją zatrzuwał nieustannie powietrze, którem Faust oddycha, żeby niezmordowanie zasiewał ziarno zepsucia pośród najszlachetniejszych jego zamiarów, zbijał z prawego toru gwałtownymi i niesprawiedliwymi popędami wzniosłe pomysły bohatera, gotów niby na każdą chwilę być mu poparciem, w rzeczy zaś: to niwecząc częściowo zakreślone plany, to skoszlawiając ich wykonanie, to wreszcie brukając ich intencję całą złośliwością ujemnego natchnienia, którego jój nie szczędzi. Wierny aż do końca swój roli, Mefistofeles uosabia przy boku niezmordowanego w coraz podnioslejszej działalności Fausta, ten pierwiastek małości, lichego pojęcia rzeczy i samolubnych zachcianek, zapługawiający najszlachetniejsze dążności epok bohaterysty, niby chwast, pielęgnowany ręką złośliwego zrzędzenia, sprawiającego wiecznie: że ani piękno na tym płaczu padole bezwzględnie pięknem być nie może, ani dobro dobrem.

Obaczmy w jaki to sposób ten niezblągany szyderca wszelkiej wielkości i wszelkiego piękna, zaprzęta się około pomniejszenia swego bohatera, rzucając w jego serce zarody robactwa, podgryzającego najszlachetniejsze jego dążenia. Pośród wzrastającej pomyślności tego idealnego ludu którym rządzi ojcowskie berło Fausta, najlepszego z monarchów króla-médrea, przemyśliwającego jedynie jakby tu jak największém nagromadzeniem bogactw zwiększyć srodki do

zwalczenia cierpień i nędzy, czy widzicie na pobliskiej wydmie piaszczystej tę skromną chatkę Filemona i Baucydy, oraz pokorną kapliczkę tuż opodal? U szczytu szczęścia, zaczyna Fausta kłuć w oczy ten widok. Myśl że to są przestarzałe już tylko zacofanych cywilizacji i wypelzłych wiar szczytów, myśl, że to stanowi niepotrzebną tylko plamę na tym szerokim postępu obrazie, myśl ta przebiegle pod najrozmaitszymi kształtami i co chwila przez szatańską ironię podsuwana, niepokoić go zaczyna, nawet rozdrażniać. Trzeba to będzie usunąć. Im władza większą jest, im zawada mniej ważną, tym mniej łatwą jest cierpliwość temu, kto jest wszystkiego panem—wszystkiego jednak, prócz sprawiedliwości.—Opór, upor, wiecznie zasmucały najchwalebniejsze podboje, powiada Faust. Sprawiedliwość! jakaż to męczarnia! Cóż to za rzecz trudna! cóż za niesłychanie kosztowna!—Jakto? będziesz się jeszcze namyślał—szepcze mu Mefistofeles —Kiedy się można skarży na przymus w poszanowaniu cudzego dobra, nie wielka to nadzieja żeby je szanował długo.—Wprędce też na rozkaz pół wyłudzony, pół źle wytłumaczony, skromna chatka staje się pastwą płomieni. Faust z ganku pałacowego, uczuwa jedną razą woń dymu niebieskiego na wiatrach.—Niestety! powiada truchlejąc na samą myśl, że do tego czynu chęć przyłożył, nazbyt dokładnie mię zrozumiano! nazbyt porywczco pośpieszono z przysługą!—Ciesz się Mefistofeles. Niegodziwa myśl którą poddmuchnął, okryła niesławą czystą pracę lat tylu. Faust, podobnie jak Achab niegdys, sądził że nic nie posiada, dopóki nie posiadał lichęj własności sąsiada. Odwieczna to historia Nabotowej winnicy.

Za to, ostatni to już tryumf Mefistofelesa, i to nawet nader krótki. Pożar chłonący chatkę Filemona, rzucił smutną jasność w serce Fausta. Rozpatrując się w jego wnętrzu, spostrzegł że zgrozą, że poddmuchy niegodziwego tchnienia krzywiły kierunek najskrytszych jego chęci, zgnilizną zapowietrzały najszlachetniejsze myśli. Tedy odtrąca od siebie godnego wszelkiej wzgardy sprzymierzeńca, i oczyszcza się przekleństwem jakie rzuca na wynalazcę zbrodni. „O magio—powiada—czegożbym nie dał, żebym własnymi twymi zaklęciami mógł cię zepchnąć z mój drogi! O! przyrodo! czemuż po dawnemu człowiekiem nie jestem, zwyczaj-

nym tylko w obec ciebie człowiekiem! Wtedy jeszcze żyć-by było warto. Tak jest, przynajmniej choć człowiekiem byłem, zanim się wkopałem w ciemności, zanim zbrodniczymi wyrazy przekląłem świat i siebie. Obecnie, powietrze wkoło mnie, jest tak przesycone czarami, że nawet ani wiem kędy się od nich schronić. Jakbądźby mnie dzień opływał światłem posilającą mądrość tchnącym, noc każda zawzięcie chwyta w matnię ducha mego, i udręcza go kłamliwymi snami, z których obudzić się nie mogę”

Zerwawszy wreszcie z poślannikiem niegodziwości, swobodnym się staje, szczęśliwym się uczuwa, i ukojone serce jego zakosztowuje wreszcie zupełnego z siebie zadowolenia. Tymczasem zbliża się ostateczna chwila. Zwolna gromadzą się w około Fausta zwiastunowie kresu. Strapienie zapędza się aż w głąb jego pałacu; dotkliwa niemoc w twarz mu tchnęła, i oto ślepym się staje; śmierć już blisko, a przecież nigdy serce Fausta spokojniejszym nie było, nigdy myśl pogodniejszą, woła silniejszą i czystsza. Noc osłoniła i zaćmiła wzrok jego, ale nie duszę. „W głębi mego ducha olśniewające światło błyszczy! woła z uniesieniem. Do mnie wierni służy moi! do mnie wszyscy co do jednego! Dla spełnienia wielkiego dzieła, dość tysiącom rąk jednego ducha.” Z chwałą w grób się położy, kołysany wzniosłem rojeniem.—„Chciałbym milionom pokoleń otworem pozostawić obszary nowe, na którychby zamieszkać mogli w czynnej swobodzie; tak, tak, myśl ta trawi mnie jak Feniksa płomień odrodzenia, dobiłem się szczęśliwie kresu mądrości. Ten tylko zasługuje równie na swobodę jak na życie, kto codziennie zdobywać je umie. O! czemuż własnymi oczyma widzieć nie mogę rozwijającego działalność podobną ludu wydartego nędzy i poniżeniu, na ziemi wydartej żywiołom? Wtedy powiedziałbym bieżącej chwili: stój! zatrzymaj się! jesteś tak piękna! Nie, nie, ślad dni mych ziemskich nie zginie, chyba pośród wieków pochodu... Przeczucie podobnie ogromnej szczęśliwości jest najpiękniejszą godziną mego życia.”

W takito zachwyty niebiański popadają prawdziwi bohaterowie, będący dobroczyńcami ludzkości. Rozbudza go w ich duszach przewidzenie epoki, w której zniknie z ziemi

nędza, ciemnota, słowem wszelkiego rodzaju niewolnictwo, a przynajmniej skończy się panowanie przekazywanego dziedzictwem upośledzenia, i nie będzie już innego zła na świecie, jak tylko to, które leży w zarodkach własnej człeka swobody, stanowiąc zarazem próbę jej i ukaranie. Takie też jest i rozwiązanie drammatu, w którym przedstawić zamierzono coraz podnioslejsze szlachetnej żądzy dążenia. Oczyszcza się ona na samym wstępie ściśłym przymierzem z sztuką i wiedzą, stopniowo zdobywa coraz szacowniejsze tajemnice piękna i prawdy, następnie oddaje się duszą całą dobru ludzkości, aż wreszcie, zdobywszy sobie samopoznanie, stawa u kresu, godna w śmierci nawet kosztować uciechy najszlachetniejszego ze wszystkich tryumfu. Nie, zaprawdę, Bóg nie mógł potępić Fausta: byłoby to potępić zarazem naszą naturę i nędzę, nasze namiętności i zasmucenia, byłoby to potępić także i to co pierwsze okupuje a drugie pociesza: poczucie piękna i dobra, tkwiące nawet w głębi naszych skaz i przewrotności; byłoby to potępić jednem słowem ten brzask niebieski słusznie olśniewający Mefistofela, a który świtając pomrokom pośród których żyć nam kazano, przemocą dźwiga człowieka z nicości.

Posłuchajmy chóru aniołów, wlatujących w górne sfery ze słodkim ciężarem nieśmiertelnej części naszego bohatera:— Zbawiony jest szlachetny duch, zbawiony! Kto walczył, kto pracował, tego wydzwignąć się godzi: zły duch nie ma nad takim mocy. Najwyższa Miłość z wysokiego nieba, Sama Ona pomyślała o nim! Zbór błogosławionych wychodzi na jego spotkanie i wita go z świętą uciechą!— Słowa te dają najprawdziwsze świadectwo filozoficznemu wyznaniu wiary Getego. Przekonać się z nich łatwo, że wyznawany przez niego panteizm, nie należy bynajmniej do rzędu pojęć usypiających człowieka w błogięj bezczynności, dlatego że czuwa nad nim prawo nieodwołalnego zrządzenia, które za niego myśli, chce, słowem we wszystkim go wyręcza; takim jest panteizm mistyczny, wschodni, całkowicie sprzeczny z przekonaniem Getego. Jego zaś własny, jest panteizmem działawczym, wyznaczającym woli człowieka powołanie wybitne, niby udział jego w ogólnej pracy, i wyzwalający go zarazem z wszelkiej zależności, nie żeby takowe nie istniały, ale że właśnie nieustanna z niemi walka

jest szermierką jedynie godną swobodnej ludzkości. Podobnego panteizmu dali nam już przykład stoicy Grecyi i Rzymu, podobny także w nowszych zjawiał się czasach, tylko że do pewnego stopnia uduchowiały go czystsze religijne pojęcia w połączeniu ze swobodą w rzeczach sumienia.

Ponieważ Faust jest uosobieniem ducha ludzkości, czy też ludzkości samej z całą jej nędzą i wielkością, godzien był tedy zbawienie otrzymać, bo takąż nadgroda czeka i cały ród człowieczy, idący wieki, wśród pracy ciężkiej, ku ostatecznemu udoskonaleniu. Tylko że bohater ten, zanim ludzkością został, człkiem był; skutkiem czego zaznał i boleści i żądz powszedniego życia, ale nadewszystko nieśmiertelną miłością kochał. Uczucie to szczytne, śmierć nawet zwyciężyć zdolne, nieustannie wolę człowieka, myśli jego, duszę, ku niebu pociąga. Któż się oparł kiedy tej tajemniczej tęsknocie, któż nawet kiedy chciał tego? Doprawdy, tak błogo jest wierzyć, że miłość podzielona z duchem czystym, po jego odejściu nawet, staje się podniętą postępu moralnego, duchowi targającemu się jeszcze w więzach doczesnej niewoli. W wielkiej scenie ostatecznego wyzwolenia Fausta, pośród tylu śpiewów, bijących zewsząd jak kadzidło ku orszakowi nadciągających aniołów, pomiędzy głosami świętych pustelników, brzęcących ku Bogu harmonią męzką silnych dusz i wielkich myśli, nie, nie daleko wyżej jeszcze, tam, pośród tego zboru pokutnic, wznoszących gorące błaganie ku wiekuistej światłości, kędy króluje *Matka chwalebna*, posłuchajmy rzewniejszej nad inne, drżącym głosem wypowiedanej prośby tej, która się niegdyś na ziemi nazywała Małgosią:

„*Jedna z pokutnic.* O dziewico! o niezrównany wzorze czystości! racz zwrócić łaskawe oblicze ku memu szczęściu! Oto ten, któregoś kochała niegdyś na ziemi, spoczął już i wrócił.. otoczony zewsząd wspaniałym duchów zbozem, przychodziń nowy, opamiętać się nie może; za ledwie ośmiela się domyślać nowego w sobie życia... Patrz! patrz o Pani! jak zrywa z siebie aż do ostatniej szmaty dawny swój ziemski przyodziewek; jak z pod powietrznych szat w które go przyodziano, przegląda wdzięcznie rzeźwa siła jego lat młodzieńczych. Racz dozwolić, niech go uczy nowego życia: blask tutejszy jeszcze go oślepia.

Matka chwalebna. Zezwalam na to. Wszakże nie zanedbaj wznosić się ku coraz wynioślejszym sferom; jeśli mu dano zrozumieć cię: pójdzie za tobą.

Zbór tajemniczy. Wszelka rzecz przechodnia symbolem tylko jest. Tu dopiero dopełniają się przerwane gdzie indziej szczęścia, to co niewysłowione, rzeczywistość bierze, wiekiusty czar kobiecój duszy wniebowzięciem się staje."

Jakiegokolwiek byłby kto przekonania, niepodobna, żeby go nie wzruszyły do głębi te sceny ostatnie drugiego Fausta, w których wielki poeta, wśród zimowego późnych lat odrętwienia, budzi się znowu młodzieńczym wieszczem, uderzając w struny natchnienia, jakby na nich łabędzią pieśń wygrywał. Hymny sławiące miłość niebieską, święte zachwyty, idealna harmonia złożona z porozumienia się dusz z których każda jest już tylko dźwiękiem czy myślą Bożą, z takichto żywiołów składa się owo zakończenie przedziwne; w końcu wszystko zlewać się zdaje w jedną wspólną światłość mistyczną, kołysaną słodkimi melodyami aniołów. Czujesz wyraźnie że poeta sam się oczarował blaskami temi i urokiem tych tajemnic. Zresztą i nie wypiera się tego w rozmowach z Eckermanem. „Pośród tych nieujętych obrazów, których zaledwie przecucie mieć można, byłbym się obłąkał, powiada, gdybym nie znalazł poparcia w tych tak dotykalnie gorącą wiarą wytworzonych postaciach, które myślom moim poetycznym dały ostateczne tętno silnego życia.” W istocie dziwnieży tu wyglądało zastosowanie filozoficznych danych Getego. Wyobraźmy sobie tylko poemat ten, rozwiązujący się w chłodnych powiewach, niechby nawet najidealniejszego panteizmu. W podobnych warunkach, abstrakcyjne zbawienie Fausta, dopełniłoby się spłynięciem w nieskończoności, której był widziadłem przelotnym, słowem, czystym tylko roztopieniem się w tej „jedności przedwiecznej, która nieustannie sama siebie stwarza. Tedy artysta wolał tu zadać gwałt filozofowi, i bardzo słusznie się stało. Zarazem jedna to z największych osobliwości tego poematu obmyślanego w duchu panteistycznym, że się rozwiązuje w promienistej chwale wiary prostaczków, która z tej strony rzeczy biorąc, od czasów Dantego, nie miała może potężniejszego wyznawcy.

...Wzgląd estetyczny któremu w tym razie uległ poeta, skłania nas zwrócić się jeszcze ku niektórym ustępom poematu, w których, na sposób nie mniej od reszty abstrakcyjny, przedsięwziął rozwinąć pojęcia swoje o sztuce. Dadzą się one streścić w następnj zasadzie: sztuka powinna szukać wzorów w tradycjach przekazanych przez starożytność, odświeżać się zaś nieustannie natchnieniem bieżącym. Myśl ta przewodniczy wszystkim scenom, w których się ukazuje Helena, osobliwie zaś aktowi trzeciemu, który też cały niemal boskim swoim urokiem opromienia nieśmiertelna piękność grecka.

W przedmiocie czarnoksiężkich godów Fausta i Heleny, zastał już Gete w średniowiecznej legendzie dane gotowe. Faust przesycał się wszelkiego rodzaju rozkoszami, żąda od piekła, ażeby mu dało jeszcze posiadać Helenę. Ten zaś ideał piękna, z którego starożytność bóstwo sobie zdziałała, ascetyzm wieków średnich związał z czartowskimi pokusy, uosabiając w greckiej wdziękini, zgubne powaby plugawej lubieżności. Gete zarówno żarliwy czciciel przyrody jak i starożytnj sztuki, będącej w oczach jego najdoskonalszym teje wyrazem, nie mógł zcierpieć podobnego jak nazywał świętokradztwa. Schwyciwszy pomysł podania, tchnął w nie własnego ducha. Wprawdzie w drammacie równie jak w legendzie, Faust w tajemniczy sposób ulega urokom czarodziejskiej piękności; Helena jednak ani na chwilę jedną nie dotknęła stopą tej plugawej otchłani, w którą śmiały ją zepchnąć barbarzyńskie wieki. Owszem, wraz z jej osobą wstępuje się w pogodną krainę wiekuistych idei; jest ona jak i niegdyś kobietą, ale zarazem i typem. i to najczystszy typem sztuki, a raczej wszelkiego rodzaju jej natchnieniem. Dzieje jej są niby emblematem przedmiotu wielkiej wagi. Przedstawia ona losy poezyi, przypomina najprzód świetne jej brzaski we właściwej ojczyźnie, dalej symboliczne uspienie trwające wieków nie mało, następnie pełne chwały zbudzenie w epoce Odrodzenia; przepowiada wreszcie niedalekie jej tryumfy i długą przyszłość.

.....Nietrudno dopatrzeć w poemacie dwóch wyraźnych epok zaklęcia Heleny. Jedno jest czysto metafizyczne, i dopiero drugie stanowczo wskrzesza ją do życia. Obadwa jednak wzajemnie się dopełniają. Pierwsze pobudzone jest

niejako działaniem tylko wyobraźni, nie wyrazną jeszcze ani dość silnie określona żądzą, nie tyle posiadania, ile raczej ujżenia Heleny; drugie już w nieukróconej swojej gwałtowności miłosnej, rzuca go najprzód w ślad za widziadłem w przygody i niebezpieczeństwa *sabbatu klasycznego*, a następnie daje mu moc nadludzką wdarcia się aż do krain otchłani. Tam tkliwemi słowy Prozerpinę zmiękczywszy uzyskuje od niej choćby chwilowy Heleny powrót do życia; z wzajemnej ich bowiem miłości, zrodzi się światu dziecię cudowne, poezya nowoczesna.

Ale nie uprzedzając myśli poety, obaczmy, poczynając od jój zawiązku, idąc z jój wątkiem: jak się ona stopniowo wypowiada coraz wyraźniej, jak się udotykalnia coraz szerzej, aż dopóki nie osiągnie ostatecznego swego rozwoju, w którym naraz wykrawa się odrębną całością, mającą w poemacie życie własne, niezależną od reszty formę, słowem indywidualność całkiem sobie właściwą.

...Uzbrojony magicznym kluczem otwierającym zaczerpnięte światy sztuki, wraca Faust z państwa *Idei-matek* przyprowadzając z sobą Parysa i Helenę. Odbywa się to szybko bardzo. Właściwie bowiem jest to tylko wskrzeszenie typów; życie nie zostało jeszcze dane tym postaciom, mają tylko ułudę jego i pozory. Pierwszy ukazuje się Parys. Przy wdziękach rozkosznej muzyki, przybiera rozliczne ruchy, jakie unieśmiertelniła rzeźba starożytna. Pośród widzów mężczyźni drwią z niego lub go obrzucają przekleństwami; natomiast kobiety czulsze nierównie, pełnemi uniesień słowy, wypowiadają niezrównane powaby tej wiekuistej młodości, która je przejmuje miłością. Parys usypia, zjawia się Helena. Zbliżywszy się do niego, składa pocałunek na jego ustach, poczem odchodzi i znów na niego spogląda. Wtedy to szczególnie zachwycającą się wydaje. Mężczyźni, rozpaleni żądzą, nie znajdują słów na jój uwielbienie; przeciwnie kobiety, w przystępie zazdrości i nienawiści, nie szczędzą jój złośliwych uwag i pogardy. Sam Faust nie umie być już dłużej panem siebie; patrząc na tę piękność boską, zapomina gdzie jest, czem jest, co robi, i Mefistofeles co chwila powstrzymywać musi jego gwałtowność. Tymczasem Parys i Helena zdają się pociągani ku sobie niepowstrzymaną niczem siłą. Jedną razą Parys chytya kochan-

kę, jakby ją uprowadzić pragnąc. Tu już Faust nie posiada się z szalonej zazdrości; nie bacząc na skutki, zwraca przeciw niemu klucz czarodziejski, który jeszcze w ręku ma; w gnieniu oka następuje wybuch straszliwy: widziadła pierzchają z dymem, Faust pada rażony gromem.

W następnym akcie znajdujemy go rozciągniętego na łożu, w dawniej jego znanym już dobrze komnacie. „Spoczywaj tam nieszczęśliwy, spętany trudnemi do zerwania więzami miłości! Niestety! nie łatwo oprzytomnieje, komu raz boska Helena zdrętwiała ducha!“ Z tém wszystkiém, uspienie to magiczne, nie pozostaje bez pociechy. Podczas kiedy leżą bez życia rażone gromem członki Fausta, dusza jego czuwa i śni błogo. O czémżeby marzył: jeśli nie o czasach i pokoleniach szczęśliwych, którym dano było oglądać tę Helenę niebiańską, która się stała drugą duszą w jego duszy, najszczytniejszym ideałem w jego wyobraźni? Stopniowo, przesuwają się po zwierciadlanej przezroczy ukołysanych do snu myśli Fausta, wszystkie najwdzięczniejsze widzenia klasycznej greckiej legendy. Co za kraje cudowne! co za przepyszne krajobrazy! co za przejrzyste wody w głębiach poświęconych gajów! Tam, ponad niemi, cóż za urocze kobiece postacie! Nad wszystkie jedną; naga i gotowa już do kąpieli, zdaje się należeć do rodu bohaterów, nawet może bogów samych. Stopą dotyka już wody, wrażenie chłodnej fali, jakże rozkosznie drażnić się zdaje ten słodki płomień życia, który ożywia szlachetne jej członki!... Ale cóż to znagła za szmer skrzydeł miotanych gwałtownie? Zkąd pochodzi ten szelest przesywający świętym dreszczem? Towarzyszki pierzchają wystraszone, sama tylko nie obawia się niczego królowa. Ona, spokojnym wzrokiem, w słodkiej serca swego pysze, spogląda tylko, jak coraz bliżej, po wzruszonej fali, pod pływa ku niej szlachetny Łabędzi król... To Leda, niebiański to kochanek jej, Olimpu mocarz, Cejs nieśmiertelny!... Marzyć o miłostkach Ledy, to jeszcze marzyć o Helenie. W widzeniu tém czarodziejskiém, wyjaśniającém oraz loiczną pięknoscą mytów greckich przygotowawa się niby powtórne odrodzenie Heleny. Zarazem (zwracając rzecz tę ku Faustowi), widocznie leżało w intencjach poety, wtajemniczać go na nowo, i jakby doskonalej niż

wprzód, w to co niebawem stać się ma rzeczywistością, zamiast jak dotąd przywidzeniem tylko.

Jakoż, zaraz potem, Faust rzuca się duszą całą, w namiętne poszukiwanie znikłej Heleny. Rozpoczyna się to, mało z wszech względów usprawiedliwionym, a niesłychanie ciemnym w sobie ustępem, noszącym nazwę *klassycznej nocy Walpurgi*. Po długich korowodach, w scenie która nie została napisaną, Faust dostawał się wreszcie aż do samego tronu Prozerpiny, i tam wzruszającemi, gdyż z głębi serca płynącemi słowy, wygrywał od niej: nie już przywidzenie czarodziejskie jak wprzód, ale zmartwychwstanie Heleny, wraz z nadzieją jej posiadania, nawet słodką obietnicą jej miłości. Ziszczenie tej obietnicy, stanowi właśnie przedmiot całego aktu trzeciego, jednego z najchętniej dziś czytanych, w nim bowiem geniusz poety, potężnie podniecony powabem i nowością pomysłu, potrafił wzbic się ku najwyższym sferom natchnienia.

Spróbujmy streścić kunsztowne powikłanie idei, stanowiących części składowe tego wspaniałego epizodu. Królowa przybywszy do Sparty, zatrzymuje się u przedśionka pałacu Menelaosa, otoczona orszakiem trojańskich niewolnic. Niepokój uciska piękne jej czoło, otoczone jakby wieńcem z ciernia tragiczną fatalnością, którą miłość wiecznie nosi z sobą. Ekspozycya tu wielce szlachetna, ale akcya rozwija się powoli, szczególnie w rozmowach, do których starożytnym obyczajem chór mięsza własne uwagi, rady, moralne zdania, przewidzenia przyszłości. Tymczasem niepokój Heleny okazuje się wielce usprawiedliwionym. Zaledwie przekroczyła próg pałacu, kiedy niebawem wraca nazad pełna trwogi. Kobięca postać obrzucona zasłoną, straszliwe widziadło, Phorkys jednem słowem, stanęła jej na oczach, wzbroniała iść dalej i jeszcze nawet w tej chwili towarzyszy jej aż do przedśionka. Jestto widmo wyrzutów sumienia i straszliwych przeczuć. Zwiastuje ono królowej, że Menelaos niebawem wraca rozszrozony, że najkrwawszą zemstą dysząc, ją naprzód pod nóż ofiary przeznacza, a następnie wszystkie jej towarzyszyki co do jednej u belek pałacowych powywiesza. Pozostaje tylko jeden środek ratunku. W dolinach „z cieniów kymbryjskich nocy wylęgły,” osiedlił się ród zuchwały. Zrazu nic o nim słyhać nie było, ale po-

woli rozsiadł się coraz przeważniej, i dziś stał się panem kraju. Wiekito średnie, północneto ludy, zjawiają się w ten sposób na ziemi greckiej. Oni tylko jedni ocalić mogli Helenę. Takimto podstępem przeznaczenie oddaje klasyczną Helenę miłości barbarzyńskiego Fausta.

Helena z całym poddaniem się słucha wyroków konieczności. Jak każdy wyższym jakim darem niebios powołany do odznaczenia się w dziejach świata, i ona także nie zależy wcale od siebie. Piękność jej nie jej jest własnością, ale bogów; bogowie zaś postanowili nieodwołalnie, za pośrednictwem Heleny, piękność tę, rodem i wiekom całkiem nowym przekazać w udziale. Helena sama wie o tem dobrze.— „Tyś jest konieczność” powiada do Phorkydy, mam tego niemylnie przecucie... Powiedz mi, gotowam pójść za tobą do zamku, w którym mieszkają tak zwani dotąd przez nas barbarzyńcy. *Co dalej będzie... wiem już.* Wszakże to co w głębi serca złożyła królowa, winno każdemu pozostać tajemnym.” Tajemnica ta wyjaśnia się jednak w danej chwili: przybycie Heleny jest wielką uroczystością w średniowiecznym zamku. Faust odchodzi od siebie z zachwytem, oglądając wreszcie w progach swoich tę piękność tyle upragnioną. Zaczem odbywają się weselne gody, święcone z całą wspaniałością, na jaką tylko stać bogatych przybyszów, posiadających w obfitości skarby, o których ani się śniło Grecyi stariej, nigdy nazbyt płodnej i przeto wielce sobie ubogiej.

Następnie rozpoczyna się kształcenie Heleny przez Fausta i Fausta przez Helenę. Helena, w poufnych małżeńskich zwierzeniach, wprowadza Fausta w nieprzystępne niepoświęconym przybytki starożytnego piękna, i wypowiada mu ostateczne tajemnice boskiej sztuki wieków, w których żyła. Z kolei Faust uczy Helenę wszystkiego co sam oміe: obyczajów, myśli i języka czasów nowych. Wreszcie w prześlicznej scenie, wtajemnicza ją w melodyą rymu, której Grecya pojęcia nawet nie miała. „Co za szczególna, co za urocza mowa! powiada oczarowana Helena; dźwięk jeden zdaje się łączyć miłośnicie z drugim. Zaledwie wybitniejsze słowo uderzyło zmysł słuchu, aźci niebawem przybywa drugie podobne, upieścić swego poprzednika. Równie echo jak serce, dziwną ztąd mają uciechę.” I oto, zrazu trwożnie, dalej

coraz śmielój, piękna Greczynka sama próbuje mówić wiązanemi dźwięcznie słowy. Rozmowa z Faustem, to ją pociąga ku tój chęci, to wyzywa o lepszą; miłością tchnące wyrazy, wdzięczne jak miłość wywabiają odpowiedzi.

Ale zagnęła pośród tych słodkich szermierek, wszczynają się zgiełk straszliwy; wojenne okrzyki, szczęk broni, zwiastują krwawe starcie: to przybywa Menelaos z tłumem swoich wojowników. Ale najdzielniejsze jego szyki rozbijają się o warowną obronę murów, oraz bojową sztukę, której potęgi ani się domyślali. Menelaos po raz drugi traci Helenę a wiarołomna jego małżonka przenosi się z barbarzyńcem swym zwyciężkim do idealnej Arkadyi, gdzie cała przyroda podziela z niemi uroczystość miłosnych zachwyty. Tam wreszcie, tajemniczy ten stosunek owoc przynosi. Z łona Heleny wybiega na świat piękny jak bóg Euforion, dziecię przeznaczeń świętych, byle tylko życia mu starczyło; płyną bowiem w żyłach jego razem z krwią bogów przekazaną mu przez Helenę, wrzące strumienie namiętności całkiem świeżego rodu. Niestety! nie starczy mu lat! Żyje nazbyt pośpiesznie, nazbyt bohaterskiem życiem; szorstkie rzeczywistości powijaki ugniatają go, uwierają do niezniesienia. Żyje rozgłośnie ale nie dłużej jak godzinę (1). Zagnęła urocze jego członki rozpierzchają się w powietrzu; zstępuje do Hadesu, dokąd i matka koniecznie za nim pośpieszy. Helena ostatni pocałunek składa na zbladłych ustach Fausta. „Pękły już życia ogniwa, powiada, tak jak już pękły miłości.” Po tych słowach znika pozostawiając w rękach Fausta kraj zwierzchniej swojej szaty. Taki zaś ma przymiot czarodziejska osłona, pod którą przebywając ziemię po raz drugi, kryła swe wdzięki piękność boska: że jedną razą porywa Fausta w powietrze, i tak go trzyma czas dość długi, za śladem niebiańskich istot które go odbiegły.

Symbolistyka całkiem tu jest przezroczyista; zresztą sam Gete nigdy nie ukrywał do niej klucza. Owszem, udziela go jak najchętniej każdemu ktoby sobie życzył, bądź w listach swoich, bądź w rozmowach. „Już od samego początku

(1) Z niektórych rysów miejsca tego w poemacie, niewątpliwie wnosząc się godzi: że Gete stwarzając Euforiona, miał na myśli tyle świetny a tak niestety krótki zawód współczesnego sobie Byrona.

powiada, zjawiają się tu i owdzie nazwy klassyczości i romantyczności. Zrobiono to dlatego, żeby oswoiwszy czytelnika z ich znaczeniem, doprowadzić go stopniowo aż do wyżyny, na której napotka Helenę i z nią na równi stojącego Fausta. Dwa te uosobienia dwóch form poetycznych, wchodzą następnie w układy, zakończone najzupełniejszym porozumieniem... Czas już bowiem załatwić wreszcie te niepotrzebne a tak namiętne dwóch szkół zatargi... Otóż jest punkt widzenia, bystrzejszy jeszcze i wznioślejszy nierównie od poezyi starożytniej, jakbądź i jej zawdzięczamy odrodzenie smaku w wieku XVI. Czyż nie nauczymy się nakoniec, z orleń wysokości na rzeczy patrząc, przyznać wszelkiemu pięknu należne mu estetyczne stanowisko, bez względu na to, czy jest starożytnego czy nowszego pochodzenia? W tęto właśnie nadziei, stworzyłem poetyczny ustęp Heleny, przekonany że kto zdoła ogarnąć jego całość, z łatwością też przyswoi sobie i szczegóły. A teraz oddaję uosobione w jej postaci piękno greckie, właściwemu jego przeznaczeniu.“

Z tém wszystkiém w samodzielny tym pomysłe niepodobna nie dopatrzeć grubych plam zaciemniających, nawet w pewnym względzie brukających przezroczystość jego symbolistyki. Dobrze to wszystko, dopóki idzie o idealne gody, allegoryzujące połączenie sztuki dawniej z poezją nowożytną, ale dziwnie to wygląda, stawiając się po stronie starożytności klassycznej, kojarzyć ją, jak to ma miejsce w *Sabbacie klassycznym*, z chórem poczwarnych postaci. Już Mefistofeles przerzucony w widziadło Phorkydy nie mały wstręt obudza. Szczególnaż to myśl wszczepiać brzydotę w ten świat bezwzględniego piękna, któremu zwłaszcza króluje Helena. Cóż dopiero powiedzieć o *Sabbacie klassycznym*, którego samą już nazwę zlepieno z dwóch wyrazów śmiertelnie sobie nieprzyjaznych. Jestże na świecie dość powabna erudycja, któraby usprawiedliwić zdołała użycie do pomocy tej ohydnej zgrai najpotworniejszych wyrodków, które się tam roją do zbytku? Potrzebowałże mistrz wielki nastrajać w sobie natchnienie opętanemi pomysły tessalskich czarownic? „Jestto klassyczny romantyzm” tak sam powiada. Dobrze: ależ w takim razie, wypaczony to zarazem klassycyzm. W tym względzie Gete poszedł nawet wbrew temu, co sam włożył w usta Phorkyadów: „Zrodzone w wiekui-

stym zmroku—śpiewają one — z cieniami nocy zrosłe, niezna-
ne niemal sobie samym, tém bardziej dnia jasnego synom,
nigdy nie odtworzyła nas sztuka żadna.” Bezkształtne te
i niemal bezimienne ohydy, pełzające na samém dnie mito-
logicznych mętów, można było bez najmniejszej szkody po-
zostawić w ich błocie. Wyciągając je ztamtąd i opromie-
niając szlachetnej sztuki światłością, dopuścił się Gete po-
dwójnego przestępstwa: zespecził starożytność klassyczną,
i unieprzystępnił całe części swego poematu. Przestępstwa
te są mu zarazem karami. Powiedziano to nie bez pewnej
słuszności, że polyteizm twórcy Fausta, stanowi ozdobę jego
panteizmu; tylko że nieraz w ozdobie téj przebierać lubi
miarę, i wtedy upiększenia jego samochęący ciężarem swoim
zgniatają ideę, której poprostu powab tylko nadawać miały.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Raport złożony Izbowi przez prefekta Sekwany z dziesięcioletnich prac około przeobrażenia Paryża.— Hamlet w teatrze de la Gaité, pani Judyt w roli królewicza duńskiego.— „Miss Suzanne” komedia pana Legouve — „Podróże Guliwera” widowisko czarodziejskie w teatrze Châtelet.— Paryż dawny i teraźniejszy: odcienia obyczajów.— Atleci w paryżkiej arenie. — Wiadomości literackie i artystyczne.

Ubiegły rok 1867 pozostanie w rocznikach drugiego Cesarstwa naznaczony cechą odrębną: jestto rok rozczarowania

du: Ubiegły

Rozczarowanie na zewnątrz, rozczarowanie wewnątrz. Pomyślność wzrastająca wstrzymana; kapitały się kurczą... stagnacja w interesach posunięta do dawno niewidzianego stopnia. Instytucje finansowe są jak zewnętrzna polityka: wiele narobiły w świecie chałasu; potem nagle, zadyszane, bez tchu upadły. Nieszczęścia Kredytu ruchomego odpowiadają porażkom zewnętrznym. Podczas kiedy sprawy Meksyku i Niemiec dają Francji gruntowną lekcję polityki zagranicznej, straty rozsiane po wszystkich klasach przez ten wielki zawód finansowy, dokończają edukacją ekonomiczną francuzkiego narodu.

Nakoniec jakby na dopełnienie tej powszechniej spowiedzi, zarząd miasta Paryża uchyla zasłony: w przeddzień Nowego roku senator prefekt Sekwany, Izbowi się spowiada.

Fakt dziwny i godny uwagi: Haussmann, człek najpewniejszy siebie za naszych czasów, czuje się zachwiaany;

niezłomna jego wola, nawykła biegać samowolnie pędem lokomotywy, dziś ustaje... mówi o odkładaniu, żąda przestanku w swęj działalności; owa zarozumiała, uparta głowa, czuje potrzebę zwierzać się i radzić powszechności...

Dotąd, doroczne memoriały prefekta Sekwany były buletynami zwycięstw; ostatni jego raport jest bilansem zawodów, przyznaniem tego, czemu dotąd przeczył: jestto dla kraju najjaśniejszy dowód niekorzyści postępowania zarządu miasta bez kontroli.

W rozdziale memoriału pod napisem „*Operations de Grande Voirie*” który następuje po pierwszej części najeżonej budżetowemi liczbami, znajdujemy pokorne wyznania dumnego administratora.

Rok 1868 jest rokiem stanowczym w historii robót miasta Paryża: kończy się z nim dziesięcioletni kontrakt zawarty 3 maja 1858 roku, pomiędzy państwem a miastem. Miasto miało w tym przeciągu czasu skończyć roboty na które skarb od lat dziesięciu płaci subwencją. Prefekt zapewnia że Paryż zobowiązania spełni. Miasto ma również ukończyć do 1 stycznia 1869 roku dzieło, które przedsięwzięło bez subwencji państwa, o własnych siłach. Jestto więc chwila obejrzenia się wstecz i streszczenia pobieżnie wielkich robót będących na ukończeniu.

Prace podjęte około przeobrażenia Paryża, prefekt dzieli na trzy części, czyli na trzy sieci. Pierwsza sieć dróg przebitych, zwie się *środkową*; datuje się ona od rzeczpospolitęj, stała się zawiązkiem, punktem wyjścia do dwóch następnych sieci. Środek Paryża był nieprzystępny: Luwr, Tuilerye, Ratusz z sąsiednimi okręgami, tworzyły ogromny labirynt uliczek ciasnych i krótkich, które stolicę niejako na dwie przecinały połowy. Ogólny zarys tego planu, kazała jeszcze nakreślić konwencya narodowa w r. 1793. Z pomocą Państwa które prawami z 1849, 1851, 1855 i 1857 współdziałało, dając pieniądze gotowe lub zwalniając z podatków, miasto przebiło ów labirynt, zniosło ową niedostępną warownią, odsłoniło wyż wspomniane pomniki, i nakreśliło, co tu zowią (*la grande croisee de Paris*) przedłużeniem ulicy Rivoli, wycięciem bulwaru Sebastopola na prawym, a bulwaru Świętego Michała na lewym brzegu Sekwany.

Pierwsza ta sieć dróg publicznych, mająca 9,467 metrów długości, kosztowała miasto 272 miliony, z których 121 milionów dostarczyły pożyczki z 1852 i 1855 roku. Ta pierwsza część robót miejskich, najważniejsza, nieulegająca krytyce, jest od dawna skończona bez żadnych trudności.

Druga sieć na ukończeniu, jest ta, którą miasto ma wykonać do 1 stycznia 1869. To przedsięwzięcie na urzeczywistnienie którego Państwo dostarczyło subwencji *pięćdziesiąt* milionów w ciągu lat dziesięciu, założyło sobie powiązać środek Paryża przebity pierwszą siecią, z jego krańcami: okręgi skrajne z gmachami gdzie powstają władze, a całe miasto z dworcami dróg żelaznych.

Wszystkie te drogi wspaniałe, razem wzięte, przedstawiają 26,994 metry długości. Plan ich, jak mówi prefekt, od dawna skreślony, Rada Stanu i Ciało Prawodawcze przejrzało i potwierdziło 1858 roku. Druga ta sieć dróg kosztowała 410 milionów.

Inne są dzieje i inna ustawa trzeciej sieci. Jestto sieć *osobista* Haussmana. Nie wymieniając składających ją ulic, powiemy tylko że przeprowadzenie tych dróg spowodowało rozwalin co niemiara, we wszystkich okręgach Paryża; długość tak nowych ulic razem wzięta, wynosi 28,000 metrów. Pracę tę miasto przedsięwzięło bez żadnej subwencji. Ta sieć trzecia, trzy razy większa od pierwszej i rozleglejsza od drugiej, zdaniem prefekta nie mniej była potrzebna jak dwie poprzednie. Należało dokończyć wielkich dróg, zniwelować, wyrównać, dopełnić dzieła.

Haussmann koszt tej trzeciej sieci ocenia na 300 milionów. Trzy sieci czynią razem 64,500 metrów drogi, przeszło szesnastcie *lieues* a blisko ośm mil polskich, kosztowały co *najmniej* *dziewięćset* *osmdziesiąt* *dwa* miliony, blisko *miliard* franków.

Summą tą nie objęte wydatki spowodowane przyłączeniem przedmieść, które prefekt ocenia na 300 milionów, oraz „*sta milionów*” wydane w dawnym Paryżu na budowę gmachów publicznych, targowisk, kościołów, ścieków, i ogrodów.

Pierwszy to raz ogromna ta summa ukazaje się oczom publiczności. Ujrawszy ją, Francuzi zawołali chórem: jak-

to? tyle milionów w rękę jednego człowieka. Dwa miliardy, to budżet Francji całej, a pan prefekt przez lat dziesięć pewno nie mniej wydał jak dwa miliardy. I taką to potęgą jest od lat piętnastu administracja bez kontroli, władza nie odpowiedzialna, jeden człowiek podszyty Radą miejską nie obieralną! Zaprawdę od dawna nic podobnego nie widziano!

Patrząc ze stanowiska gospodarskiego, że tak powiem, jest w tych zarzutach wiele prawdy. Przeciwnikom *osobistego* zarządu miasta Paryża odpowiadano zawsze, iż ten rząd robi wielkie rzeczy małym kosztem; że posiada sztukę nieobdłużania ani terażniejszości ani przyszłości; że przewiduje trafnie, rachuje bez omyłki—i cóżkolwiek bądź o nim mówią, szanuje prawa. Memoryał 1867 roku, dowiódł dwóch rzeczy: nieuszanowania legalności i nieprzezorności.

Nieprzezorność bije w oczy. W 1858 roku rysują i uchwalają drugą sieć dróg. Prefekt ocenia wydatek na 180 milionów. Ciało Prawodawcze wotuje 50 milionów subwencji. W 1867 robi się obrachunek, z którego wynika, że druga sieć będzie kosztowała 410 milionów. Miasto mniemało, że wedle kosztorysu *stu ośmdziesięciu* milionów, wyda tylko *sto trzydzieści* milionów, skoro ję Państwo dało *pięćdziesiąt*; wtém, nagle spostrzega wydatek rzeczywisty *trzystu sześćdziesiąt* milionów!

Pierwsza pomyłka—pierwsze wyznaczenie. Pomyłka jest ogromna, a wyznaczenie dziwnie spóźnione.

Od lat dziewięciu cyfra pierwotna kosztorysu 1858 r. służyła miastu za podstawę wszystkich obrachunków; brzmiała nieustannie w dziennikach i mowach adwokatów miasta w Izbie i raportach prefekta. Przed trzema laty, w memoryale swoim Haussmann jak dziś, spoziera w przeszłość i przyszłość robót miejskich, ale tryumfalnie oceniając zawsze *wszystkie* koszta przeobrażenia Paryża na 350 milionów. Teraz uwiadamia że samo przyłączenie przedmieść kosztowało *trzysta* milionów. Druga sieć której koszt w raporcie z 1865 roku, oceniona na *sto* milionów, ukazuje się w olbrzymiej postaci *trzystu sześćdziesięciu* milionów. W 1864 roku prefekt się zobowiązał nie wydać więcej na przeobrażenie Paryża jak *trzysta pięćdziesiąt* milionów i za tę cenę dokończyć dzieła. We trzy lata później, zmuszony jest

wyznać; że w ciągu lat czterech wydał dwa razy tyle. W 1864 budżet dziesięcioletni był wyborny, opłacał się za pomocą zwykłych przychodów i zostawało jeszcze pięćdziesiąt milionów na rzeczy nieprzewidziane. W 1867, tam gdzie prefekt powiedział 350 milionów, trzeba czytać co najmniej 620 albo 630. Nie pięćdziesiąt, ale trzystu milionami płaćcą nieprzewidziane rzeczy.

W obec takiego sprawozdania krzyki przeciwko prefektowi się wzmożyły. Paryżanie mówią: jeżeli Haussmann w 1864 roku domyślał się olbrzymiej omyłki jaka w jego rachunek się wcisnęła, co sądzić o jego szczerości? Jeżeli się nie domyślał, jeżeli wcale nie widział tego co się pokazało, co sądzić o jego przezorności i rachukowych zdolnościach?

Wszystko to prawda, jeżeli patrzeć mamy jedynie ze stanowiska gospodarskiego, ale nowy Paryż zbudowany nie na chwilę, przetrwa słuszne chwilowo zarzuty arytmetycznych pomyłek i niedokładności kosztorysów. Wszystkim wielkim dziełom potrzeba perspektywy żeby się wydały we właściwem świetle. Zbyt blisko stojący, nie ogarniając wszystkiego, widzi jedynie skazy i ehropowatości, które chociaż mu się ogromne wydają, tyle znaczą w całości ile góry na globie. Potomność nie wchodząc ile wydano na rozszerzenie i rozwidnienie francuzkiej stolicy i wymurowanie tego drugiego miasta, które pod ziemią dla zdrowia widomego Paryża zbudowano, powie, że robotnicy co takiego dzieła w ciągu lat dziesięciu dokonali, silniejszymi byli od mytologicznych Cyklopów, a ów prefekt Sekwany który kierował tém budowaniem, nie mniejszy od sławnych w dziejach burzycieli, i nie mniej wart pomnika.

Taki będzie niewątpliwie wyrok potomności o całej tej sprawie. Epilog jój dzisiejszy jest następujący:

Haussmann chcąc wyprowadzić miasto z kłopotu jakiego doznało znalazłszy się niespodzianie w obec przyrostu 530 milionów nad obrachunkiem 1858 roku, zawarł ugodę z Towarzystwem kredytowem, które wzięło na siebie *bony* wydane właścicielom i przedsiębiorcom. Większą część tych *bonów* Towarzystwo kredytowe już zapłaciło; inne wypłaci we właściwym terminie; miasto zaś zwróci te summy

Towarzystwu dopiero za lat sześćdziesiąt, za pomocą amortyzacji.

Wyłuszczywszy całą tę kombinacją finansową, senator prefekt tak kończy raport:

„Dzięki temu szczęśliwemu układowi, miasto ma rozwiązane ręce do dalszego działania. Nie ulega wątpliwości że nawet postanawiając po ukończeniu trzeciej sieci dróg *odłożenie na czas pewien* dopełnienia programu przeobrażenia dawnego Paryża, skreślonego dostojną ręką, należałoby skończyć rozpoczęte części tego ogromnego dzieła. Nikt zapewne nie pochwali opuszczenia projektu *Drogi Napoleona*, bez której położenie gmachu Nowej opery pozostaje niezrozumiałe. Co do mnie, wyznam, iżby mi było przykro odstąpić zupełnie od tej demonstracji płodności prac użytecznych, którym poświęciliśmy tyle baczących starań, które nie kosztowały ludność paryżką podwyższeniem podatku, przyszłość zaś nie obdłużają jak o połowę ogromnych wydatków które spowodowały, właśnie dlatego, iż powiększyły fortunę miasta w stosunku więcej niż podwójnej wartości użytego kapitału.”

Pomimo krzyku Paryżanów, Ciało Prawodawcze pewno potwierdzi cały układ finansowy robót Paryża, zgodzi się na zawieszenie nowych przedsięwzięć, a dokończenie rozpoczętych prac uzna za konieczne.

W teatrze de la Gaité przedstawiają teraz *Hamleta* w poetycznym i wiernym przekładzie Pawła Meurice i Alexandra Dumasa. Efekt jest ogromny, pomimo miennej gry aktorów. Dévrien mówił, iż grałby *Hamleta* nawet w lamusie, przed szcurami. Widzowie toż samo czują: gdyby im jarmarczni kuglarze przedstawili ten nadludzki dramat w stodole, pomiędzy czterema łojówkami, jeszczeby zapał wzbudził.

Hamlet jest do dziś dnia niewyczerpanym przedmiotem polemik i sporów. Każdy po swojemu tłumaczy ten dramat głęboki jak śmierć, ruchomy jak życie. Gdzie jest źródło tego potoku łez, największe i najcierpsze z wszystkich jakie z geniuszu ludzkiego wytrysły? Jaka jest prawdziwa fizjonomia tej tajemniczej figury, co zamaskowana szyderstwem,

to zakwefiona tumanem obłąkania, nigdy się nie ukazuje w dzienném świetle?

W optyce scenicznej, królewicz duński przedstawia się takim, jak go określił Goethe: „Hamlet, to dusza obarczona zadaniem wielkiego działania, a nie zdolna go spełnić” przedstawia się myślicielem wahającym i ponurym, któremu *fatalizm* narzuca robotę właściwą silnemu ciału i śmiałemu duchowi człowieka czynu.

Mieszanina gwałtu i słabości, dobroci i pesymizmu, nieufności i otwartości, charakter Hamleta jest ustawiczną sprzecznością: jest on jakby struty jadem który go na przemiany wstrząsa i denerwuje: z paroxyzmu wściekliczny przerzuca w nieruchomość senną. Przed przyjściem widma przedstawia się jakim jest: urodzony rozczarowanym, znoszący życie jak zmorę... usiłujący chwilami oswobodzić się od niej konwulsyjnym wysiłkiem, i zapadający znowu w letarg lub senne marzenia. Hamlet sam siebie sądzi kiedy mówi o ojczymie swoim: „On tak podobny do mojego ojca, jak ja do Herkulesa.”

Jakoż, w istocie, jeżeli bohater starożytny, Herkules czy Orestes, skory do przecinania węzłów, twardy w działaniu, idący prosto z okiem i mieczem zwróconym do celu; jeżeli mówię, ten typ zuchwały a silny, ma antypoda w świecie moralnym, to nim jest Hamlet królewicz duński.

Na wałach Elsenuru, w obec widma ojca wskazującego mordercę swojego, pod wrażeniem wizyi, wola jego potężnie... ale zaledwie cień zniknął, Hamlet przeklina przeznaczenie skazujące go na działanie. Im dalej, tём więcéj słabnie pod brzemieniem zaprzysiężonego zadania. Zamiast ogłosić zbrodnię, zwołać lud, zgromadzić wojsko i przeciw królowi-bratobójcy iść, Hamlet w labiryncie odkładań się błąka... targuje się z obowiązkiem, na późniéj zostawia, czyni się waryatem, zamiast zrobić z siebie człowieka. Obłąkanie udane mające mu służyć za broń odporną, staje się dlań szyderczą zabawką. Z przyłbicy robi maskę, pod którą z wszystkich drwić może.

W całej pierwszej części dramatu Hamlet postępuje jak królewicz na maskaradzie, wyśmiewający się *incognito* ze swoich dworzanów. Ale w tём rozumującej hypokondryi, moc działania coraz się ulatnia, i nie wraca, nawet po

przedstawieniu na dworskim teatrze sztuki, na której otrzymał potwierdzenie zbrodni. Skalpel kazuistyki przychodzi w pomoc wrodzonemu wstrętowi do czynu i zastępuje miecz. Nie zabija Klaudyusza na modlitwie „żeby nie poszedł do nieba.”

Tragiczność położenia w tém, że oszukując siebie, Hamlet ma zupełne poczucie swojej bezwładności: sądzi się i potępia z jasno-widzeniem nieubłaganém: „Tak to—mówi—sumienie czyni nas podłymi. Tak to, wrodzone barwy, postanowienia, płowieją pod bladym odcieniem myśli... tak, przedsięwzięcia najważniejsze wykołejają ze swojego toru i tracą nazwę czynu.” A dalej: „Niech kto zechce nazwie mnie nędznikiem, niech roztrzaska mą głowę, niech mnie policzkuje!” To zwykła mowa Hamleta. Przerażająca gwałtowność pod jego apatyą się kryje. Po za akcją, straszny jest, pełne usta ma obelg... ironia jego krwawa: królewicz co chwila z pod filozofa wyziera.

W miarę jak udane szaleństwo rzeczywiście, w miarę jak maska waryata do twarzy przyrasta, charakter Hamleta jątrzy się i szpetnieje: do wszystkich, nawet do Ofelii, gada jak w malignie. W scenie z królową posuwa się tak daleko, że aż *widno* musi interweniować i prosić żeby oszczędzał matkę.

Kara Hamleta rozpoczyna się w tej właśnie scenie zemsty. Niepotrzebne zabójstwo Poloniusza, pociąga za sobą samobójstwo Ofelii, tej dziewczycy-dziecięcia, której charakter jak ciało, zaledwie ukształtowany. Żadna osobistość nie przebija jeszcze w jej rysach... wyobrazasz ją sobie przezroczystą, oświeconą od stóp do głowy łagodnym światłem zorzy borealnej...

W chwili kiedy Ofelia się topi, Hamlet jest niemniej obłąkany. Wola jego rozniemożona, niema nawet siły nakreślić planu. Zamiast tworzyć wypadki, ulega im bez oporu. Kiedy z czaszką na jej grobie się bawi, już niezyszy od niej. Nadużycie rozmyślań, opium marzenia, wyrzuty niespełnionego obowiązku, wyniszczyły go zupełnie... tylko błyski rozsądku, tylko gorączkowe odpowiedzi, wychodzą z tej spalonej skorupy człowieka. W otwartym grobie Ofelii i ostatecznej zabijajcyce, jeszcze się zrywa, ale te ruchy

zdają się raczej pod rzutem zgalwanizowanego ciała, niż popędem człowieka rozpalonego namiętnościami życia.

W tej to ostatniej scenie, tragiczna moralność poematu wybija w całej okropności. Ponieważ Hamlet nie był zdolny spełnić swojego zadania, *fatalizm* je podejmuje i wykonywa na jego miejscu. Zawiązuje mu oczy i popycha w krwawe pomyłki. Nie był wykonawcą sprawiedliwości, więc będzie katem. Rzeź niesprawiedliwa zastąpi ofiarę pokuty, której od niego żądało widmo. Posiadająca go Nemezys jak on zwaryowała: wpadła w działanie jak w nieprzyjacielskie czworoboki na rozhukany koniu, i na oślep pałaszuje... Ciosy obłędem lecą, czary trucizny błędzą w drodze zamieniane niewidzialną ręką... rzekłbyś że tu śmierć gra w ślepe babkę, tak zygzakiem chodzi, tak na chybi trafi uderza. Hamlet w rzezi bierze udział, ale nią nie kieruje. Winowajca prawie przypadkiem znajduje się w tej hekatombie.

Przy Hamlecie, bohaterki Fortenbras. Jakiż sprzeczności! Zdaje się że to szkic tego co był później Karolem XII. Dwa razy się tylko jawi, ale zawsze tryumfalnie. Tyleż skupiony ile Hamlet rozpierzchny, tyle szybki ile tamten powolny, pierwszy raz przechodzi przez dramat krokiem podnośnym... Podczas kiedy król wicz duński filozofuje nad próżnością podbojów, on wydawszy krótkie a dobitne rozkazy, odchodzi, rzucając w monolog marzyciela ironiczny dźwięk muzyki wojskowej i łoskot przyspieszonego chodu swoich żołnierzy... W końcu przybywa poprzedzony trąbą zwycięstwa; przybywa właśnie w chwili kiedy cała dynastia duńska wyginęła, zdejmując z trupów korony i kładzie rezolutnie na swoją głowę.

Dumas inny wynalazł epilog. Cień się jawi: przeklina Klaudyusza, przebacza królowej, a Hamletowi żyć każe. Zakończenie to, szczęściem się nie utrzymało. Czyż może być lepsze jak to co jest? Czy może być więcej uderzająca antitheza, silniejsza i wyższa moralność, jak widok *czynu* przybywającego po utwory marzenia, jak *życie* rozpoczynające swój bieg dalszy na ruinach *śmierci*.

Pani Judyta, siostra Racheli gra główną rolę. Chociaż to aktorka nie pospolita, pomysł przebranego Hamleta nie wydaje nam się szczęśliwy. Hamlet niema w sobie nic niewieściego: obłąkanie jego, udane czy rzeczywiste, ma lwie

ocknienia, ma huraganowe gniewy! Wahanie jego nawet mężkie: jestto sceptycyzm filozofa a nie miękkość kobieca. Szyderstwo głębokie, rozpacz samowiedna, twardość tonu, wszystkie mężkie głosy roli, nabierają dwuznaczności przechodząc przez usta aktorki.

Pomimo więc talentu, pani Judyt nie mogła przedstawić Hamleta na seryo. Gra jęj uczona, nie jest jednolita: znać naśladowanie aktorów angielskich i reminiscencyc Rouviëra. Najlepięj gra scenę z wędrownymi aktorami, która jest sceną komiczną. W scenie cmentarnęj, postawą i ruchem przypomina obraz Eugeniusza Delacroix: czarne pióro wichrem męczone, czarny płaszcz krótki, czarna szpada, postać wiotka, nachylona, twarz trupio-biała, wzrok gorączkowy, jak ogień płynny...

Dla Francuzów kobieta w roli Hamleta jest głównym powabem sztuki. Chwalą że gra doskonale... zapewne; ale kto widział Emila Dévrien w roli duńskiego królewicza, tego Judyta razić będzie od początku do końca.

Od Szekspirowskiego *Hamleta* do *Miss Zuzanny* pana Legouvé, niema przejścia. Są to dwie rzeczy tak różne jak aquaforta Rembrandta i litografia rodzajowego obrazku przeznaczona na ozdobę mieszczańskiego saloniku. Sztuka otrzymała powodzenie podobne do nagrody dobrego ucznia.

Miss Suzanne, córka paryzkiego stolarza, urodzona w Paryżu, wraca z Ameryki gdzie ją wychowała ciotka, i z nowego świata przywozi zapas doskonałości mogących uszczęśliwić z tuzin mężów. Zuzia jest rozsądna, stateczna, pracowita, piękna jak anioł, a mądra jak professor; posiada wszystkie cnoty gospodarskie i wszystkie talenta przyjemne.

Pan Legouvé jak wiadomo, celuje w toczeniu takich bobaterek bez żadnej skazy charakteru. Panna Zuzanna jest zakochana w Stanach Zjednoczonych a mianowicie w swobodzie jakiej tam używają dziewczęta. Swoboda wszelka: wolno chodzić samęj, polować na męża, *flirtować* z młodzieżą—uczęszczać na kursa geologii, astronomii, chemii i anatomii porównawczęj. *Go head!—et honni soit qui mal y pense.*

Wybornie! Ale odwrotna strona tego męskiego wychowania nie taka piękna... wdzięk niewieści uwieźdły w pączku, urok kobiety rozwiany, powab zwietrzały... Dosyć, aż nadto liczna w Europie rodzina Benoitów; obeszloby się bez wzoru tych niewinnych huzarów, uzbrojonych od stóp do głowy, na morzu świata poszukujących złotodajnego małżonka; pozytywnych i suchych pod roztrzepaną formą; rozprawiających o polityce i o interesach; znających na pamięć każdy ostatni romans i ceny bawełny. Nie przyśpieszajmy przyjscia Ameryki, która na Europę idzie dychając parą... Ciężki ten oddech już i tak pomroczył nasze ideały.

Cóżkolwiekbydz, Miss Zuzia oczarowywa wszystkich co się do niej zbliżają. Ojciec ją ubóstwia, uczennice wielbią; ciotka Marta w niej doskonałość widzi: Józef czeladnik stolarza, za nią szaleje...

Ojciec Zuzanny nie mniej doskonały jak córka. Może nawet zbyt daleko posuwa purytanizm, kiedy nie chce sprzedać kredensu swojej roboty pannie Laurze, bogini półświata która złotem płaci. Stolarz ten widać, uważa swoje meble jako nagrody Montyona, kiedy sądzi że tylko cnota może je posiadać... Nie należy mieszać rzemiosła stolarskiego z moralnością.

Pani hrabina Brignole przypadkiem jest obecną téj scenie w pracowni stolarza i poznaje w pannie Laurze kochankę swojego syna dwudziesto-pięć letniego kapitana. Owóż, Paweł Brignol zakochany szalenie w téj grzeszniczcy... tak szalenie iż gotów szlify swoje utracić hyle z nią jechać do Baden... Istne opętanie!

Pani Brignole chociaż miejsce nie bardzo stosowne, słusznie żąda od kurtyzanki zwrotu swojego syna; ale niesłusznie posuwa się aż do obietnicy że jéj rękę publicznie poda, jeżeli pastwę swoją wypuści: panna Laura niezawodnie jéj ofiarę wyszydzi.

W drugim akcie jesteśmy u hrabiny, gdzie poznajemy pana Tavernier, anakreontycznego pułkownika z pierwszego cesarstwa, ulubieńca Marsa i Wenery. Nic zabawniejszego jak ten woltyżer cyterowych gajów!

Pani hrabina nie próżnowała od pierwszój u stolarza wizyty. Pod pozorem tłumaczenia angielskich pamiętników krewniaka, przywabiła do siebie Miss Zuzię i przypuściła

ją do swego rodzinnego życia. Słowem tak nastawiła rzeczy, iż syn jęj Paweł już nie w pannie Laurze, ale w pannie Zuzannie zakochany. Rujnującą przyjaciółkę, matka zastąpiła uczciwą dziewczyną, której niema potrzeby się obawiać. Na odwrót greckiej bajce, Ifigenia zastąpiła łanią na ofiarnym stosie poświęconym namiętności syna.

Myśl śmiała... nawet zuchwała. Ta matka stręczycielka z dobrej pobudki, ten egoizm macierzyński posunięty aż do podłości, godne piętna najśmielszego obserwatora. Niech Dumas syn taki przedmiot podejmie — sala będzie wrzeszczała w niebogłosość, a przynajmniej odzierana ze skóry pacjentka... Ale szanowny akademik Legouvé w teatrze jest damskim lekarzem: używa tylko kataplazmów i rumianku. Sam zląkł się swojego pomysłu; stłumił go w poczęciu. Nie moralny projekt hrabiny zaledwie się ukazuje za gazą: trzeba zbliżyć patrzyć żeby sobie zeń zdać sprawę. Tym sposobem niebezpieczeństwo położenia ominięte; ale z tego wynika, że zamiast dramatu poważnie studyowanego, mamy komedię mdłą i powierzchowną, która dotknąwszy ducha, czempredzėj go porzuca.

Potwarz zaczyna osnuwać brudną nicią stosunek Zuzanny z hrabią Pawłem. Ciotka Marta podejmuje się ostrzedz siostrzenicę. Kębska jest ta panna ciotka: wie że szpetna, pierwsza z tego żartuje, i odważnie nosi żałobę po miłości i zakochanych swoich. Ciotka spowiada Zuzię. Ta jęj wyznaje bez ogródki że kocha Pawła, że on ją też kocha i że zapewne wkrótce się pobiorą. Na to Marta odpowiada że we Francji krótko wile prywatnego życia rzadziej się kończą małżeństwem niż w Nowym Yorku. Pan kapitan jak na to, przybywa do wyjaśnienia tēj kwestyi zawiłej. Zapytany śmiało przez Zuzię czy prawda że chciał ją uwieść, wyznaje, spuszczać oczy naganny swój zamiar... Ale wnet się poprawia i oznajmia że gotów prosić o jęj rękę swojej matki.

Ztąd widzicie oburzenie i bunt hrabiny. Na samą myśl ożenienia syna ze stolarczanką, rumieniec wstydu występuje na jęj czoło... Odmawia wręcz; co widząc Zuzia z niemniejszą dumą oświadcza że jęj syna nie chce, a poślubi Józefa ucznia swojego ojca.

Zgadliście zapewne że to próżne strachy. W końcu pan Legouvé wszystko jak najprzyjemniej układa: hrabina odpo-

kutowywa naganny pomysł. łącząc syna z Zuzanną, a poczciwy Józef żeni się z tą szpetną a porywającą Martą, której można powiedzieć jak niegdyś Wiktor Hugo powiedział niezrównanej aktorce pani Dorval: „Vous n'êtes pas jolie, Vous êtes pire!”

Nie można odmówić dowcipu téj komedyi. Pułkownik trubadur jest wyborynym szkicem; brak tylko sztuce wigoru, trafności i uszczypliwości. Tego rodzaju utwory sceniczne podobne są do owych obrazków przyjemnie malowanych, rozsądnie ułożonych, około których publiczność paryżka w niedzielę zawsze się gromadzi. Artyści rzuciwszy na nie okiem, mijają, sądząc jedném słowem: „C'est rond.”

Mówiliśmy na wstępie, że Legouvé doskonałym jest tokarzem; nadto, zna proceder sceniczny, umie udawać uczucie, umie podobać się kobietom: ma dowcipne słówko i łezkę na zawołanie. Sztuki jego *toczone* przypadają do smaku tłumowi, ale nigdy nad poziom nie wychodzą.

Pomiędzy widowiskami czarodziejskimi, których tutejsze teatru dostarczyły publiczności ostatnich dni roku, jakby kubek opium do popicia goryczy i kwasów doznanych w tém paśmie ubiegłych dni trzystu sześćdziesięciu pięciu, pierwsze zajmuje miejsce *Fodróż Guliwera* przedstawiona w trzydziestu obrazach. Jak Paryż Paryżem nie widziano tu wspanialszej i głupszej sztuki. Nie ma to ani początku ani końca, nie ma nawet sensu, jako sen bez związku; ale ma splendor marzeń ogarniających palacza opium.

Aż przykro że Guliwer Swifta służy za szyld téj zmysłowej rozpuście. Postrzyżona nożycami librettystów, powieść angielska stała się całkiem niezrozumiałym galimatiasem. Zdmuchnęli świecę i powybijali szyby téj czarnoksiężkiej latarni ludzkiej głupoty. Z owych satyr malowniczych tak gryzących i dowcipnych, zrobiono bigos poziomych bredni... Guliwer nie jest już członkiem społeczności przeniesionym w krainę fantastyczną wyszydającą namiętności tegoż społeczeństwa i zniżającą je do lilipuciej małości, albo porównującą do olbrzymów Brodingnag: zrobiono z niego błazna wędrującego po świecie nadludzkiem; za nim podąża kochan-

ka w towarzystwie przyjaciela niedołęgi. Jakiś czarodziej prześladuje dwoje kochanków; żenią ich w ostatnim obrazie wśród apoteozy słońce wirujących.

Nie więcej myśli w całym tym widowisku, które od siódmym wieczór do północy, trzyma widzów w ogłupiającym olśnieniu...

Nie zajmując się więcej treścią, przejrzyjmy najpiękniejsze dekoracje tych trzydziestu obrazów. Prolog odbywa się w domu Guliwera podczas angielskiej jasełki. Przybywają z darami trzej królowie: Kasper, Melchior i Baltazar. Aniołowie skrzydlaci idą przed nimi. Latarnia zawieszona na tyce, naśladuje gwiazdę przewodniczącą karawany. Osioł i wół kroczą za orszakiem. Czworonożni ci świadkowie Wcielenia, zawsze występowali w dawnych ludowych obchodach nocy Bożego Narodzenia. Czczono w nich usługujące zwierzęta, które swój stajni pożyczę Dzieciątku Jezus i ogrzewały Je oddechem. Osioł mianowicie był poważany: uniósł on świętą rodzinę do Egiptu; Chrystus na nim wjeżdżał do Jerozolimy. W czarnym krzyżu widocznym na jego grzbiecie, lud upatrywał herb święty rumaka Jezusowego; wierzył iż w noc Bożego Narodzenia mowa była mu daną i że wtedy rozmawiał z wołem, starym towarzyszem żłobku.

Po tym ewangelicznym obrazie, następuje widok portu Bristolskiego, gdzie na kotwicy kołysze się okręt Guliwera. Dalej przepyszny widok rozbicia tego okrętu na morzu Lodowatym. Obraz straszliwy! Guliwer z towarzyszem w łódce maleńkiej, czekają śmierci. Białe niedźwiedzie łąją po pływających bryłach lodu... niebo ołowiane... morze marmurowe. Nagle głąb sceny się rozjaśnia i Wyspa Latająca wylatuje podobna do cudownego balonu żeglującego w łonie zorzy borealnej. Astronomowie z wyspy, kierują teleskopy na rozbitków: zbliżają się, zniżają i zabierają z sobą.

Należało poprzestać na tym uroczym obrazie, i nie pokazywać w następnych królestwa Laputa, którego allegorye zaledwie już w powieści Swifta zrozumieć można. Jestto najmniej zajmująca część książki, ów dwór metafizyczny i matematyczny, którym autor chciał sparodyować ówczesną akademię nauk. Pozbawiona rzeczywistości, satyra Swifta, stała się zbiorem zagadek i szarad, których niepodobna odgadnąć na scenie. Owe maniaki w togach suszący głowy nad

rozwiązaniem niedorzecznych problematow; owe lunatyki kwadratury koła, których od czasu do czasu budzą lokaje, nie zabawniejsze od geometrycznych figur. Śmiać się z tego niepodobna.

Obraz również poroniony, jest *królestwo koni*, Honyhuhmens, wyobrażone przez stado kobiet krótko ubranych. Widok wcale nie nadobny te figurantki koni, galopujące w sabotach i rżące piosneczki.

Nieprzyjemne wrażenie nagradza obraz następujący: *Kraj Liliputów* przedstawiony przez ruchome marynetki. W głębi teatru widać ich miasto maciupcie; flota z łupin orzechowych, pływa na rzeczce okrążającej miasteczko, karetę królewską przejeżdża ciągniona konikami niewiększemi od myszy, z dobraną eskortą konną. Ta dekoracya miniaturowa, bardzo jest ładna: dzieci mianowicie zachwyca.

Swift nie wymyślił téj drobnój bajeczki: ludzkość sparodyowaną w pomniejszeniu jego Liliputów, znajdujemy w greckich Pigmejczykach, którzy w skorupach od jaj mieszkali, a na wojnę jechali na kuropatwach. Poeci starożytni nieraz śpiewali maleńkie ludki oblegające uśpionego Herkulesa. Dwa skrzydła wojska otaczają ręce bohatera; korpus zaczepny na nogi jego wkracza; król z łucznikami idzie do szturmowania głowy; żołnierze przystawiają do uda drabiny, żeby się dostać na piersi olbrzyma. Herkules połączony tym mrowiskiem, budzi się i śmieje szerokim śmiechem bogów... wstaje, i unosi maleńkie wojsko uczone u swojej lwiej skóry.

Z królestwa karłów Guliwer w teatrze Châtelet przeskakuje do królestwa olbrzymów. Widzimy go w ręku owego ogromnego niemowlęcia, coto porywa go jak zabawkę i kładzie głowę w gębę... Nie pominięto nawet dziecinnęj filizanki mleka, w której się Guliwer o mało nie utopił.

Olbrzymie to dziecko przywodzi nam na myśl bajkę niemiecką, która pod fantastycznym kształtem głęboki sens moralny kryje.

W zamku Nidek w Alzacyi, na wysokości górze, mieszkali niegdyś panowie olbrzymi. Pewnego razu córka jednego z nich chcąc wiedzieć co się dzieje w dolinie, zaszła aż na pole gdzie orali chłopci. Ujrawszy pług, konie i oracza zdziwiła się niezmiernie, gdyż nigdy takich rzeczy nie

widziała. — Ach! jakież to ładne! zabiorę to sobie do pałacu! To mówiąc uklękła, rozpostarła fartuch który połowę pola przykrył, pociągnęła ręką po ziemi i jednym zamachem zagarnęła pług, konie i ludzi: potem wróciła pędem do zamku.

Ojciec siedział przy stole skoro weszła: „Co niesiesz córko?—spytał—czegoś taka uradowana?”— „Patrz—rzekła rozwijając fartuch.

— Stępiął mi wzrok, nie widzę... cóż to się na twoim fartuchu rusza?..

— Sliczne zabawki! Nigdy nie miała ładniejszych.

To mówiąc postawiła na stole pług, konie, oraczy i posuwała klaszcząc w ręce i śmiejąc się do rozpuku. Ale ojciec brwi zmarszczył i rzekł: „To nie zabawka, córko! odnieś mi to zaraz napowrót w dolinę.” Córka w płacz, a pan olbrzym na to: „Dla mnie chłop nie jest zabawką! Pokładź to wszystko ostrożnie w fartuszek i odnieś zkąd wzięłaś. Skoro wieśniak nie orze pola, my olbrzymy głodni jesteśmy w naszych niebotycznych gniazdach.”

Poważna bajeczka! Jestto skarga oracza pukająca do średniowiecznego pana, który wyzyskuje pracę, a z nędzy sztydzi... Błagając zmiłowania, oracz ostrzega pana że może go ogłodzić.

Ale wróćmy do Guliwera.

Są dwa balety w tej sztuce, oba oszałamiające przepychem. Odmłodzono stary temat anakreontyczny *Motyle i kwiaty*. Wyobraźcie powietrzną mieszaninę przezroczy-
stych skrzydeł muskających róże—tańczący ogród, z którym igra stado Argusów. Czarodziejstwo olśniewa i tumani widza. Drugi balet *Polka ptasia*, osobliwością zajmuje: kobiety naśladują chód i postawę ptaków rozmaitych będąc strojne w ich pióra: jestto niby tańcząca *voliera* bardzo oryginalna.

Dwa te balety zdecydowały powodzenie sztuki. Skrzydlaty szwadron dwoma szarżami wygrał bitwę napół przegraną. Jeżeli *Gulivér* w Chatelet odbędzie podróż stu przedstawień, to zawdzięczy swojej uprząży z ptaków i motyli...

— Kreśląc nasze opisy czarodziejskich widoków Paryża, nieraz nam się zdaje, że nimi w czytelnikach co tu gościli za

młodu, wzbudzimy tęsknotę za tym sztucznym rajem, który kiedyś zaludniali ideałami dwudziesto-letniej fantazyi, a który w ich pamięci przechował się świeży i barwny, jak motyl w bursztynie. Tym co w cichych potonęli wioskach, tęskno pewno wtedy za zgiełkiem stolicy, za potrójnym ruchem który tu ożywia każdego, za światłem które tu zarówno zalewa głowy i ulice, za sklepami w których wykwintny smak zamieszkał, za tłumem owych rączych gazelli, co jedwabnym bucikiem ledwie tykając ziemi biegają po ulicach Paryża a wzrok ich przeszywa koronkową zasłonę jak ogień wystrzału swój dymny obłok.... nadewszystko, zapewne tęsknią za owemi salonami, które były ich życia niebem i torturą, za buduarami w których żyją na perskich dywanach, wśród ścian watowanych, wśród zwierciadeł, obrazów i woni kwiatów, owe czarodziejki, co usypiają rano a budzą się wieczorem, ażeby znów czarować przy blasku gazowego słońca.

Zaprawdę, błogie to czasy, kiedy każda kobieta wydaje się aniołem, kiedy piękna forma zachwyca, bo nie przypuszczamy żeby mogła nie mieć duszy. Mówią, że szczęśliwy kto umrze w porę; ja sądzę że szczęśliwszy kto w porę zdoła uciec z pięknego świata: pierwszy kończy naraz złe i dobre; drugi, prócz że goryczy uniknął, unosi z sobą wspomnienia, któremi bawi się przez resztę życia, szczęśliwszy od lorda Bayrona, bo ma czego żałować.

Jednak, prawdę choć z teoryi, poznać zawsze warto: nie jeden tęskniący za Paryżem nie poznałby go dzisiaj. Świat piękny paryzki, w gruncie się nie zmienił: lśniący i próżny jak dawniej, ale na pozór spowaźniał i zesmutniał do niepoznania. Wesołość wygnano z salonów do przedpokoi: śmiech jest oznaką złego wychowania—ludzie dobrego tonu, ledwie się uśmiechają, a nie dziwią się nigdy: odrazu jednym rzutem oka każdy z nich powinien dostrzedz w pięknym utworze wadę, która go uwolni od admiracyi, uczucia pospolitego, które zarazem, zawsze jest wysileniem dla rodu ludzkiego.

W ogóle, każdy objaw uczucia, czy to radości czy smutku, oburzenia czy pogardy, jako nie przyzwoity, został wykluczony z małego kółka ulubieńców fortuny, które skromnie *światem* siebie nazwało. Rzekłybyś, że nie tylko ciała ale i dusze oblekli w kauczuki chroniące od wszelkich ze-

wewnętrznych wpływów. Heine podwójnie miał słuszość, mówiąc, że przyszłość wydawać będzie mocną woń gutaperki.

Prócz obojętności, milczenie jest także modnym. Czysta grobowa zaległa gwarne niegdyś zgromadzenia; po salonach paryzkich nie rozmawiają już, ale szeptać: widząc krążące po dywanie, co szelest kroków tłumi, eleganckie grono gości; sądzisz że to wizya dawnego świata, lub chodzące kartki wydarto z modnego żurnalu. W teatrach nikt nie klaszcze prócz najętych klaskaczy, najgenialniejszy aktor próżnoby zebrał współczucia; muzyka nawet musi grać *piano*, jeżeli chce mieć słuchaczy.

Jakto? spytacie—piękny świat zaniemówił? przestał się obmawiać? Miałożby to milczenie oznaczać skrucę? Czy nad grzechami rozmyśla? Czy ludziom jaką nową ideę ma objawić? Czy zamilkł żeby wyraźniej usłyszeć głos Boga?

„Gdzie tam“ milczy, bo taka moda; co nie przeszkadza że obmawia pocichu; sztuka zaś udawania, chwaleńcia lub ganieńcia wedle potrzeby, jednej i tej samej rzeczy, przy większej rozwadze doszła do doskonałości.

Sledziłem uważnie taktykę jakiej używa świat modny ku potępieniu lub obronie wszelkiej sprawy. Jeżeli przyjaciel twój nie celuje dowcipem, rozpowiadasz o jego uczciwości i rozumie; jeżeli napisze książkę nudną a rozwlekłą, wychwalasz sumienność autora; jeżeli styl zły, nad głębokością myśli się zastanawiasz. Ów, bez czci i wiary zmienia się z każdym wiatru podmuchem i wymyka definicyi; to nic: miewa kaprysy... ale w gruncie nieugięty jak skała. Jeżeli chodzi o nieprzyjaciół, słowa odwracają się na wywrót: rzucaś im na głowę żywych i umarłych, z równą przenikliwością odkrywasz ich błędy z jaką uwydatniałeś cnoty przyjaciół.

Na powyższem zastosowaniu lornetki do wzroku duszy, zasada się cała tajemnica rozmów modnego świata, sekret pisania fejtletonów, powodzenie głupców i tysiące niepojętych sukcesów. Nie używać owęj lornetki, widzieć rzeczy w istotnym świetle i stosownie je sądzić; być szczerym, jednym słowem, jestto toż samo co chcieć walczyć bez broni z ludźmi uzbrojonymi od stóp do głowy.

Nie inaczej dzieje się w dziedzinie sztuki. Wystawił kto nowy obraz, posąg lub dramat, nie widziałeś go jeszcze

i pytasz o zdanie ludzi lub dzienników; wnet wprost przeciwnie sądy z równą wypowiedziane wymową spadają na cię jednocześnie z taką mocą, że sam nie wiesz w końcu czego się trzymać. Stronniczość jednych, złość drugich, a mianowicie tych co w Paryżu berłem krytyki władają, w osłupienie cię wprawia, i zabija w tobie jeżeli nie wiarę w ludzi, to pewnie wiarę w sumienie tych sędziów, z których moda swój areopag złożyła; a jeżeli gdzie, to tutaj biada zwyciężonym!

Ktokolwiek cierpi fizycznie czy moralnie, niema pieniędzy ani władzy, uznany jest za renegata; radzę mu, niech pozostanie w swojej pustyni, bo jeżeli się z niej wydali, wszędzie napotka zimę: chłód w spojrzeniu, chłód w obejściu, w słowach, w sercu: wszędzie... szczęśliwy, jeżeli go nie znajdzie tam nawet gdzie się spodziewał znaleźć pociechę..

Świat modny (zawsze o paryzkim mowa) podobnie jak rzymianka w cyrku, niema litości nad zwyciężonym gladyatorem: hasło jego: *śmierć słabym!*

Ztąd słyszę wołających do porządku! do porządku! To stare dzieje! Chcemy nowin, a ty swoim zwyczajem rozpoczynasz nudny rozdział dyssekcji, chcemy widzieć świat modny jakim się przedstawia po wierzchu, mieniący jak kameleon, a zawsze pełen powabów i ułudy: a ty nam pokazujesz *in petto* odwrotną stronę medalu... Kto ciebie o to prosił? chcemy nowin.

Nowin? Zgoda. Znajdziemy je w drobiazgach, w chwilowych upodobaniach, bo w gruncie modny i niemodny świat zawsze jednaki.

— Widowiskiem daleko więcej dziś zajmującym Paryż niż teatr, jest arena, w której wznowiono greckie mocowania atletów: zbudowano na to salę umyślną przy ulicy Le Peletier. Jestto cyrk przykryty, otoczony drewnianymi ławkami, na których o miejsce bardzo trudno. *Mocowanie* ma już w Paryżu mnóstwo amatorów równie namiętnych, *z mody*, jak *aficionados* walki byków. Widowisko niemal ciekawsze na tych ławkach niż w arenie: stronnicy dwóch walczących gladyatorów krzyczą, interpelują, podniecają swoich atletów, zaprzeczają nie pewne razy: zupełnie jak w cyrku hiszpańskim.

Po krótkiej walce nowicyuszów, która jest wstępem do dzieła, ogłaszają walkę Marsylczyka z Dumortier'em. Mar-

sylczyk jest weteranem areny, sławnym z obalania najsilniejszych francuzkich atletów. Występuje w stroju kąpielnym. Jestto olbrzymie brzemię cielska, rzekłbyś skała muskułami pokryta. Twarz dobroduszną zakończy tego monolita: wyobrażcie głowę Gargantuy przyprawioną do torsu Herkulesa Farnèse.

Atleta z którym walczył jest szczupły, szybkością jedynie wygrywa: biega około przeciwnika jak około olbrzymiego wazonu, szukając ujęcia przez które mógłby go powalić. Podstępom i zabiegom Marsylczyk przeciwstawi jedynie siłę swojej ciężkości; skoro przeciwnik zmęczony, zgrzany, zawieszał walkę na chwilę, on uśmiechał się, jak śmiać się musiał Tytan skandynawskiej mitologii, kiedy mały bożek Thor, śpiącego uderzył maczugą: „Przyjacielu Thorze—rzekł ziewając kolos — zdaje mi się że mi jaskółcze piórko na czoło upadło.”

Nakoniec Marsylczyk znudzony bezskutecznym bojem, chwyta za ręce przeciwnika i kładzie go na ziemi, równie spokojnie jak słoń kiedy natrętną małpę zdepcze.

Arpin „Le Terrible Savoyard” potężnie zbudowany, przybiera pozy rzeźbiarskiego wzoru, naśladuje rzymskich gladyatorów: prostuje się, sili, przeciąga, bierze widzów na świadki i klnie się na Olymp... Muiemasz że porwie Sabinę wyciągniętymi rękami...

Arpin obalił Marsylczyka! Wielki szmer na sali... obaj przeciwnicy skrwawieni: jednemu krew idzie z nosa, drugiemu z pleców rozdartych pazurami. Widać że nie konieczne krótki miecz potrzebny do otrzymania krwawych efektów. Na południu Francyi, chociaż walczą bez ostrza, często śmierć z walk takich wynika.

Następnie Marsylczyk *młodszy* walczy z negrem Jaimem. Jestto pojedynek bawołu z czarną panterą. Marsylczyk *młodszy* krępy jak bryła. Jaimes ma cienkość, gibkość i sprężystość dzikiéj bestyi. Skoro wystąpi, sądzisz że to żywy bronz Clesingera postawiono w cyrku. Siła zostawała po stronie Marsylczyka, zwinność ocalała negra. Wysuwał mu się z rąk jak węgorz... dwakroć Marsylczyk jedném ramieniem negra do ziemi przycisnął, ale syn pustyni tors wykręcił i stanął na nogach. Ostateczne zwycięstwo zostało po stronie siły.

Znowu inny atleta występuje. Chwila uroczysta: *Olbrzym alpejski* ma walczyć z *gladyatorem zamaskowanym*. Olbrzym alpejski potężny, niby siekierą z granitu wykuty; niskie ma czoło, szerokie barki, oczy iskrzące a minę dziką gladyatora starożytnego, który do areny przychodzi zabić, albo umrzeć. *Zamaskowany rycerz* w białych trykotach i czarnych rękawiczkach, porywa go w stalowe objęcia; przez chwilę nie widać ich w kurzawie wzburzonego piasku... aż głuchy łoskot słyszać... Olbrzym alpejski najmocniejszy z wszystkich dziś znanych, leży, obalony przez zamaskowanego atletę. Kto on? nikt nie wie. ...„Tak, powiada Wirgili, stara sosna zgryziona zębem czasu, a wichrem wykorzeniona, pada w lesie Erymantu albo Idy.”

Może zbyt długo mówiłem o tych grecko-paryzkich igrzyskach; może mi zarzucicie iż niski przedmiot wybrałem.. Ci co tak myślą, niechaj sobie przypomną, że Pindara który śpiewał tylko wyścigi wozów igrzyskowych, starożytność uznawała za swojego pierwszego liryka.

Liryzm i Włochy przypominają zaalpejską nowinę. Na *Campo Santo* w Pizie, inaugurowano przepyszny, marmurowy pomnik pani Catalani. Wiadomo, że *Campo Santo*, cmentarz usypany z ziemi świętej sprowadzonej okrętami przez krzyżowców z Palestyny, jest tęp we Włoszech, czém opactwo Westminster w Anglii, czém miał być Panteon w Paryżu. Grobowiec na *Campo-Santo* nie jestże zbyt wielkim zaszczytem dla śpiewaczki?

Tak nam się zdaje. Pani Catalani miała głos prześliczny, tak śliczny że nie mogła długo pozostać w klasztorze, gdzie dzieckiem weszła za staraniem kardynała Onorati. Skoro śpiewała w kościele, włoskie melomany nie mogli się wstrzymać od oklasków... Sztuce to nie ubliżało, ale Pan Bóg mógł się obrazić... Nie mogła więc pozostać w klasztorze, i przeszła od muzyki świętej do profańskiej: w kilka lat wystąpiła w teatrze Argentino.

Oklaskana w Rzymie, pani Catalani tryumfowała w Lizbonie, w Madrycie i w Paryżu. Następnie bawiła ośm lat w Anglii, w ciągu którychto lat ośmiu zebrała dwa miliony

franków. Na owe czasy była to sumka nie szpetna, nawet dla sopranistki.

Cóżkolwiek bądź, niemniej prawdą jest, jeżeli mamy wierzyć społecznym, że pani Catalani miała tylko głos wielki, ale nie była wcale wielką artystką, tak dalece, że ją przezwano: „instrument-Catalani.”

Oto dlaczego zdziwiliśmy się, ujrawszy Catalanią na Campo-Santo pod postacią świętej Cecylii i w towarzystwie największych śław Italii.

— Pan Renan ma wydać w tym miesiącu „*Życie Świętego Pawła*.”

— Pan Feer professor tybetańskiego i mongolskiego języka w szkole języków wschodnich, wydał książkę o potęgde cywilizacji mongolskiej w XIII wieku. (*La puissance et la Civilisation mongoles au treizième siècle*). W treściwym obrazie autor pokazuje jak się utworzyło państwo mongolskie i jak siebie zniszczyło; w jakich warunkach i stosunkach pozostawało z monarchiami chrześcijańskimi, a mianowicie z królami francuzkimi.

Daliej mówi o usiłowaniach Francyi celem oświecenia tego państwa podjętych; mówi o dokumentach świeżo odkrytych, które o tych usiłowaniach świadczą i żywo zajmują archeologów. Wszystkie te przedmioty o których pisano w sposób nieprzystępny dla większej publiczności, Feer w studyum swoim opowiada w sposób zrozumiały każdemu a nawet zajmujący.

Studjum tak dalekiego i niewdzięcznego kąta ziemi, zajmuje Francuzów jako gniazdo ludności, która spadała na Europę w rozmaitych epokach i postać jej zmieniała. Z politycznego stanowiska uważana ta praca może zajmować jako ognisko siły mogącej w danej chwili dać się uczuć Zachodowi.

— Literatura kolendowa zalała nas po brzegi: gdzie spojrzysz, stozysy illustrowanych książek. W tém pociecha, że treść ich coraz mniej błaha. Stare poemata, stare arcydzieła wszechnarodowego geniuszu, stały się kopalnią wydawców francuzkich nie podsycanych dostatecznie płodami

umysłowemi młodej Francyi. „To nowe w świecie, co najstarsze”, powiedział jeden z uczni owego filozofa, co to utrzymywał że ludzkość nie idzie naprzód, ale zawsze wkoło krąży jak planeta. Tego systemu trzymając się paryzcy wydawcy, otrzepane z bibliotecznego kurzu, dawno zapomniane dzieła podają publiczności w nowej złożonej sukience.

Wszedł także w modę rodzaj mozaiki literackiej układanej z drogich kamieni myśli, starych podań.

W rzędzie dzieł takich pierwsze zajmuje miejsce *Legenda celtycka* pana Villemarqué. Wiązanka pięknych legend wspaniale wydanych, toż najpiękniejszy na gwiazdkę upominek. Pan Villemarqué wskrzesił poetycznie wiele wspomnień stariej Armoryki i Gallii. Prócz znanego zbioru *Pieśni ludowych*, Bretania jemu zawdzięcza publikacyą: *Bardów bretońskich VIgo wieku*; pod tytułem: „*Romans de la Table Ronde*” wydał bajki miłośne z owego czasu; jego *Legenda Merlin'a* wydobyła z pomroki w pół-rzeczywiste a pół-bajeczne widmo proroka celtyckiego szczepu. Ostatnia nakoniec książka, poznajamia z piśmiennictwem duchowném: legendami Irlandyi i Bretanii, odślania nader poetyczne początki miejscowego chrześcianizmu.

Didot wydał *Nowy Testament* przepysznie illustrowany wedle obrazów starych mistrzów. Curmer, wydawca-artysta, któremu już Paryż zawdzięcza cudne wydanie: *Naśladowania Chrystusa*, *Ottarzyk Anny Bretonki* i *Ewangelie*, ukończył dzieło dorównywające wspaniałością wymienionym wydaniom, w trzech wielkich księgach. Jestto: *Dzieło zupełne Jehan'a Fouquet*, naczelnika szkoły Tours, która jest tém w sztuce francuzkiej, czém była szkoła Ombrii dla malarstwa włoskiego.

Zgromadzenie wszystkich miniatur Fouqueta rozsianych po całej Europie, nie było rzeczą łatwą: kosztów i fatygi nie szczędzono. Frankfurt dostarczył najwięcej wydając do przekopiowania miniatury oryginalne z *księgi nabożnej de Maître Estienne Chevalier*, skarbnika królów Karola VII i Ludwika XI. Drogocenny wolumin podarto. Z 42 malatur z których był złożony, czterdzieści znaleziono 1805 roku u introligatora w Bâle; resztę znaleziono gdzieindziej, tak że dziś nic nie brakuje. W bibliotece cesarskiej

jest rękopis *Starożytności Judaicznych* zawierający jedenaście miniatur Fouqueta. Z biblioteki munichskiej przybyło kilkanaście. Każde prawie miasto większe w Europie dostarczyło kilka kartek do tej książki będącej ostatniem słowem typografii francuzkiej i pomnikiem francuzkiej sztuki. Ta publikacya Curmera jest tak ważna i piękna, że jej osobne studyum poświęcić warto. Dokonamy tego w przyszłym poszycie Biblioteki Warszawskiej.



PARMENIDES

FILOZOF Z ELEI, JEGO NAUKA I JĘJ ZNACZENIE

z poglądem

NA ROZWÓJ FILOZOFII I PRAWDZIWE ZNACZENIE TĘJ NAUKI.

NAPISAŁ

Lud. Szczerbowicz -- Wieczor.

(Dokończenie).

B. KOSMOLOGIA PARMENIDESA.

O świecie zmysłowym. (IIga część poematu).

Przystępując do roztrząsania zjawisk zmysłowych widomego świata, Parmenides rozpoczyna tę część swego poematu następującemi słowy: *Na tém kończę prawdziwą naukę, i rozmyślanie o prawdzie; teraz dowiedz się odemnie o zdaniach śmiertelników, słuchając mych ozdobnych i utudnych słów* (71).

Tak więc Parmenides sam nazywa swą naukę o świecie zmysłowym *utudną*, przeciwstawiając ją poprzedzającej nauce o bezwzględnym bycie, w której znajduje się „prawdziwe

(71) Vers. 111 sq.:

*ἐν τῷ σοὶ παῖσι πιστὸν λόγον ἤδη νοήμα
ἀμφὶ ἀληθείης, δόξας δ' ἀπο τοῦδε βροτείας
μᾶνθανε, κοσμοὶν ἐμῶν ἐπέων ἀπατηλὸν ἀκουσας.*

przekonanie“ (*πίστις ἀληθείης*) daje on znać że opuszcza dziedzinę prawdy (*ἀληθεία*) i wchodzi w dziedzinę zwykłych przesądów ludzi (*δόξαι*), opartych na zmysłach. Zstąpiwszy z wyżyn oderwanéj nauki o bezwzględnym bycie, Parmenides zwraca się ku światu zmysłowemu, a nie przyznając takowemu prawdziwego bytu, nie może téż dać prawdziwéj ściśle kosmologii, tylko hypotetyczną teorię, mało wiarogodną, ułudną (*ἀπατηλός*). W następnych wierszach Parmenides daje główne zasady swéj kosmologii:

Ludzie w swém mniemaniu przypuszczają dwie formy, z których jedna istnieć nie powinna i w tém właśnie zawiera się ich błąd. Dwie te formy oni przeciwstawiają jedną drugiej jako odmiennę materya i własności (72). Pierwsza z tych form jest to eteryczny, płomienny ogień (73), zupełnie zgodny sam z sobą, lecz nie jednostajny z drugim pierwiastkiem, także jednostajnym w sobie. Tym zaś, przeciwnym pierwszemu, jest ciemny pierwiastek nocy (74), miększe i ciemne jestestwo (75):

Daléj następuje objaśnienie prozą, przypisywane przez niektórych Parmenidesowi (76), lecz prawdopodobniej pochodzące od jakiego starożytnego komentatora (scholiasty (77)), gdzie się mówi, że pod pierwszym pierwiastkiem (t. j. eterycznym ogniem) należy rozumieć wszystko jasne, miękkie i lekkie, a do drugiego (ciemnego pierwiastku nocy) należy policzyć wszystko miększe, chłodne, ciemne, suche i ciężkie (78). „Pomieważ jednak (ciągnie daléj Parmenides) wszystko nosi nazwę światła i nocy, i jedno i drugie okazuje swą moc to w jednych, to w drugich rzeczach, a więc wszystko jednostajnie napelnione jest światłem i ciemną nocą, za-

(72) *δέμας*—według materyi, *σημαία*—co do własności. Nie można inaczej rozumieć tego miejsca.

(73) *φλογός αἰθέριον πῦρ*.

(74) *Νιχτας*.

(75) V. 114—120.

(76) Simplic. in Phys. Arist. fol. 7, 6.

(77) Brandis. Gesch. d. Gr. R. Phil. I, 377.

(78) Z jednéj strony: *τὸ ἀραιόν, τὸ θερμόν, τὸ φαιός, τὸ μαλθακόν, τὸ λιγρόν*; z drugiej zaś strony: *τὸ πικρόν, τὸ ψυχρόν, τὸ ζόφος, τὸ σκληρόν, τὸ βαρύν*.

równy wiecznymi (79), ponieważ nic sprzeczném jest z jednym i z drugim (80).⁶⁶ Cały ten ustęp, przetłumaczony przez nas z wszelką możliwą jasnością, nie łatwym byłoby do zrozumienia, gdybyśmy nie mieli jednomyślnego świadectwa starożytnych pisarzy, którzy, poczynając od Arystotelesa, świadczą iż Parmenides przypuszczał w świecie dwa pierwiastki: ciepły—ogień i zimny—wodę (81). Oba te pierwiastki uznaje Parmenides za wieczne, za równosilne; lecz, jak widać, pierwszeństwo pod pewnym względem oddawał ogniewi, uważając go za bardziej zbliżony do prawdziwego bytu, i tak rozumiał to Arystoteles, którego tłumaczenie możemy przyjąć w ten sposób, iż Parmenides, szukając coby w świecie widomym odpowiadało ustalonej metafizycznej idei bytu, uznał za takowy pierwiastek ciepło i światło, a chłód i ciemność odniósł do niebytu (82). Trudno nie dopatrzeć w tym poglądzie wpływu teorii Herakleita, który ogień płomieniejący i ogień gasnący łączył w świecie zmysłowym jako byt i niebyt.

Pozostałe nam znane poglądy Parmenidesa na świat zmysłowy okazują znaczny wpływ pojęć staréj jońskiejszkoły i nawiązań do mitologicznych doktryn Pytagorejczyków. Szczególniej godnym uwagi jest ustęp, w którym Parmenides powiada, że w środku świata zmiennego, składającego

(79) Tak zdaje się należy rozumieć *ἴσων* (w wierszu 126) idąc za tłumaczeniem Rittera i Prellera (Histor. Ph. Gr. R. 96), który przytacza wiersz Empedoklesa:

ταῦτα γὰρ ἴσα τε πάντα καὶ ἤλικα γένναν ἔστι.

(80) Oto cały ten ustęp (w. 123—126):

*αὐτὰρ ἐπεὶ δὴ πάντα φάος καὶ νύξ ὀνόμασται
καὶ τὰ κατὰ σφέτερας δυνάμεις ἐπι τοῖσιν τε καὶ τοῖς,
πάν πλεόν ἔστιν ὁμοῖ φάος καὶ νυκτὸς ἀφάντου
ἴσων ἀμφοτέρων, ἐπεὶ οὐδέτερον, μετὰ μηδέν.*

(81) Aristot. Phys. Ausc. I, 5: *καὶ γὰρ Παρμενίδης θερμοῦν καὶ ψυχρὸν ἀρχὰς ποιεῖν, ταῦτα δὲ προαγαγοῦει πῦρ καὶ γῆν.*

(82) Aristot. Met. de Ge. et. Cor. I, 3: *Παρμενίδης λέγει δύο στοιχεῖα εἶναι τὸ ὄν καὶ τὸ μὴ ὄν, πῦρ τε καὶ γῆν.* Teofrast uważa jedno za materją, drugie za przyczynę tworzącą: *τὸ μὲν ὡς ὑλὴν τὸ δὲ ὡς αἴτιον καὶ ποιουν.*

się ze światła i mroku, znajduje się kulista ziemia, obracająca się jednostajnym ruchem. Ustępu tego nie mamy, lecz Dyogenes i Plutarch dają nam jego treść i stanowczo twierdzą, że Parmenides pierwszy mówił o kulistym kształcie i o ruchu ziemi (83). Cały wszechświat wystawiał Parmenides złożonym z kolejnych warstw (wieńców, *στεφάνων*) czystego ognia (światła) i mroku, a w środku mieścił bóstwo, „które wszystkiem rządzi, jest początkiem rodzenia i łączenia się; ono zbliża męzki pierwiastek do żeńskiego a żeński do męzkiego (84).” Bóstwo to nazywał Parmenides *duchem* (*demonem*), *rządca*, *kierownikiem losu*, *sprawiedliwością*, *koniecznością* (85). Niewłaściwie niektórzy sądzą, że Parmenides pod tym bóstwem rozumiał *przyrodę* (86) i *konieczność* (*Ἀνάγκη*), to najwłaściwsze jego określenie, gdyż Parmenides, stawiać byt bezwzględny wyżej umysłowych zjawisk, skłonny był do mechanicznego na świat poglądu i do uznania bezwzględnej konieczności, podobnie jak Herakleitos i Demokryt. W nauce o warstwach ognia i mroku widać wpływ pytagorejski, równie jak w przypuszczeniu śródkowego ognia; zresztą ten ostatni pogląd wyprowadzają z jednego tylko bardzo ciemnego i prawie niezrozumiałego wyrażenia (87).

Bóstwo, rządzące światem, najpierw według Parmenidesa, stworzyło Erosa (miłość (88).) Według świadectwa Cycerona, zresztą nie zupełnie dokładnego, Parmenides dopuszczał także żywioł niezgody, w rozmaitych jej objawach (89), tak że dwom żywiołom kosmicznym (*ogień* i *woda*) odpowiadają dwie potęgi: *miłość* i *niezgoda*. Zgodnie z tym i Arystoteles powiada, że Parmenides dopuszczał dwa pierwiastki (*αρχαί*) i dwa principia, dwie osnowy, (*αἰτίαι*).

(83) Diog. Laert. IX, 21. Plutarch plac. philos. III, 15.

(84) Vers. 127 sq.

(85) *Δαίμον, Κυβερνήτης, Κληρουχος, Δικη, Ανάγκη* (porówn. Stobaci Ecl. I, p. 484).

(86) Hegel. Vorles. I, 299.

(87) V. 128: *μετά δὲ φλογος ἔεται αἴσα.*

(88) V. 133: *πρωπιον μὲν Ἐρωταφειων μιτίσατο πάντων.* Znakomity ten w starożytności wiersz przytaczają Arystoteles (Metaph. A. 4) i Platon (Sympos. 178 i 195).

(89) Cicero: De natura deor. I, 11.

przynajmniej tak zdaje się należy rozumieć jeden nie dość jasny ustęp jego metafizyki (90). Teorią tych dwóch potęg, dwóch panujących w świecie pryncypiów, rozwija później daleko dokładniej znakomity Empedokles. Według świadectwa Cenzoryna (91), Parmenides, równie jak Empedokles, utrzymywał że początkowo powstały pojedyncze członki zwierząt i ludzi, a potem dopiero miłość połączyła je w jedno.

W ostatnich, które zachowały się dla nas, wierszach, swego poematu, Parmenides mówi o zmysłowych wrażeniach:

„Jak w każdym człowieku widzimy pomieszanie mocno pogiętych członków, tak i rozum tkwi w człowieku, ponieważ u wszystkich i u każdego, władza myśląca jest jedna: jestto natura ludzkich członków, a myślenie jest najsilniejszym pierwiastkiem (92).“

Jak widzimy, ten końcowy ustęp jest bardzo ciemny i prawie niezrozumiały. Szukając objaśnienia u Arystotelesa znajdujemy u tego filozofa wiadomość, że Parmenides przypuszczał zależność myślenia od stanu ciała, tak że pierwsze zmienia się, gdy w ostatnim zachodzą zmiany (93), a więc prawdopodobnie uznawał zależność doskonałości myślenia czyli duszy (gdyż, jak w ogóle starożytni, tak i Parmenides uznawał to i drugie za jedno, na co mamy nawet wyraźne świadectwo Dyogenesa) (94), od doskonałości ciała. Wiemy oprócz tego, że Parmenides utrzymywał jakoby wszystko w naturze otrzymywało wrażenia, tak że każdy żywioł zewnętrznej przyrody poznawany jest przez odpowiedni żywioł

(90) Arystot. Met. A. 5.

(91) Censorinus de die natali c. 4.

(92) Oto te ciemne ostatnie nam znane wiersze poematu Parmenidesa (w. 148—150):

*Ὡς γὰρ ἕκαστος ἔχει κρᾶσιν μελέων πλυνκάμπτων,
Τίς νόος ἀνθρώποιον παρίσταται τὸ γὰρ αὐτό
Ἔστιν, ὅπερ φρονεῖ μελέων φύσις ἀνθρώποιον
καὶ πᾶσιν καὶ παντί, τὸ γὰρ πλεον ἐστὶ νοῦμα.*

(93) Arystot. Met. 1, 5, 17: μεταβαλλοντας τινῆσιν, μεταβάλλειν φησὶ τὴν φρονησιν.

(94) Diog. Laert. IX, 22: τὴν ψυχὴν τε καὶ νοῦν ταυτὸν εἶναι.

w zwierzęciu lub człowieku: ciepło zewnętrzne poznajemy przez nasze ciepło wewnętrzne i t. p. (95). Taka teorya rzeczywiście panowała w starożytności aż do czasów Platona i szczególniej rozwiniętą była przez Empedoklesa. Teofrast powiada, że oprócz tego Parmenides utrzymywał, iż każde wrażenie tém jest doskonalsze i prawdziwsze, im więcej prze-waża w niem ciepły (ognisty) żywioł (96); a ponieważ ten żywioł najwięcej odpowiada idei bytu, więc możemy rozumi-ć to w ten sposób, iż Parmenides uznawał wrażenie zmy-słowe za tém prawdziwsze, im więcej jest w niem żywiołu myślenia, a więc zbliżenia do prawdziwego bytu, gdyż jak wiemy, myślenie, według Parmenidesa, jest w najściślejszym stosunku z bezwzględny bytem. Musimy poprzestać na takiem tłumaczeniu, gdyż brak nam danych, abyśmy mogli utworzyć dokładne pojęcie o tém jak pojmował Parmenides stosunek wrażeń do myślenia: tu właśnie kończą się ułamki z jego poematu a nieliczne i niezadowolniające wskazówki niewielu starożytnych pisarzy raczej zaciemniają jeszcze bar-dziej niż rozjaśniają tę kwestyę; najważniejszy dla nas pod tym względem Teofrast uznaje sam niejasność tego pun-ktu i brak dokładnego określenia ze strony Parmeni-desa (97).

Na zakończenie wspomnijmy o pewnych szczególnych poglądach Parmenidesa, dla sprawdzenia których brak już nam samego tekstu filozofa-poety; posiadamy zaś tylko tu i owdzie rozrzucone u starożytnych wskazówki. Według tych, Parmenides utrzymywał że ludzie powstałi z wilgotnej ziemi; może zapłodnionej przez słońce (98). Słońce i księ-życ, według niego, wydzieliły się niegdyś z mlecznej drogi, która składa się także z jasnego i ciemnego pierwiastków, gwiazdy zaś karmią się wyziewami (*αυαθυμιασις*) ziemi. Parmenides pierwszy miał także okazać, że poranna i wie-

(95) Teophr. de sens. c. 3. Według tej teoryi np. trup nie czuje ciepła, lecz czuje tylko ochłód.

(96) Id. ibid.

(97) Id. ibid.

(98) Diog. Laert. IX, 22: *γενεθιν τ' ανθρωπιων ε' ελκος πρωτον γενεσθαι*. Wariant *ηλιου* zamiast *ελκος* jest niedorzeczny, lecz wskazuje może na zapłodnienie wilgotnej ziemi przez słońce.

czarna gwiazda, odróżniane w mytologii, są jedną i tąż samą (co inni przypisują Pytagorasowi), i miał dokładnie zbudować ustrój nieba. Przypisują mu także wiele zdań co do stosunków płciowych i zjawisk przy zapłodnianiu: powiadają że osłabienie starości i sen on objaśnił zmniejszaniem się życiowego ciepłaka; dowodził wbrew przyjętemu powszechnie przekonaniu, że żeńska płeć ma w sobie więcej ciepła niż męzka i t. p. Z tych i innych urywkowych i niedokładnych wskazówek widzimy, że kosmologia i fizyka Parmenidesa musiały być znacznych rozmiarów i zawierać wiele najrozmaitszych zasad i zdań nie bez pewnej, jak na ową epokę, naukowej wartości, jak to widzimy już z posiadanych przez nas ułamków i przytoczonych świadectw starożytnych pisarzy. Starożytni wysoko cenili wszystkie zasady kosmologii Parmenidesa: używały one powszechnej wziętości i nikt nie odważał się podawać je w wątpliwość.

IV.

Stanowisko teorii Parmenidesa w historii filozofii.

Starożytni pisarze zadawali sobie pytanie, co mógł rozumieć Parmenides pod *bytem*, tak ściśle określonym w pierwszej części jego poematu. Jedni utrzymywali że pod tą jedyną i prawdziwą istnością Parmenides rozumiał bóstwo (99); drudzy twierdzą że przez *byt* filozof oznacza „coś istniejące na zewnątrz żywiołów” (100) „powszechną przyczynę wszechrzeczy, w której wszystkie one są zawarte swoją istnością i prosto” (101).

To ostatnie tłumaczenie pochodzi od Symplicyusza, który zarazem dodaje, że przez *byt* Parmenides nie rozumiał nic duchownego, nic myślowego (102). Nakoniec niektórzy trafili na prawdziwe tłumaczenie: że Parmenides przeciw-

(99) Ammon in Phys. Aristot. f. 58 Cl. Aristotel. de Xenoph. etc.

(100) Johann Philop. in Arist. Ph. p. 9.

(101) Simplic. in Phys. f. 31.

(102) *Οὐδὲν φυσικόν, οὐδὲν νοητόν.* (Simpl. l. 1.).

stawiał świat myśli światu zjawisk zmysłowych (103). I rzeczywiście takie jest prawdziwe znaczenie teorii Parmenidesa. Zatrzymawszy się na czystej *idei bytu*, Parmenides rozwinął i określił takową na podstawie niezmiennych praw czystego myślenia i pokazał że idea ta zostaje w zupełnej sprzeczności ze zjawiskami zmysłowego świata, szczególnież z *mnogością*, i *zmiennością*, tak że streszczenie nauki Parmenidesa o bycie, według Platona, zawiera się w zdaniu o *jedności* i *niezmienności* (nieruchomości) bytu (104). Wykazawszy że idea bezwzględnego *bytu* jest nadzmysłową, dającą się pochwyć tylko czystym myśleniem, Parmenides ograniczył się na tej formalnej teorii i nie znalazł przejścia od świata myślenia do świata zmysłowego, nie wytłumaczył możliwości, znaczenia i stosunku tego ostatniego do prawdziwej istności. Dlatego niema żadnego ogniwa, któreby łączyło pierwszą część jego poematu z drugą, jego metafizykę z kosmologią i ta ostatnia składa się z poglądów po większej części nawpół mytologicznych i z żywiołów teoryj jońskich i Herakleita, gdyż uznanie *ognia* jako pierwiastku *bytu* wypowiedziane niejasno i przy tem wcale nie nowe, nie może być uważanem za środek pogodzenia idei bytu ze złudnymi objawami zmysłowego świata; lecz ten brak zastosowania teorii absolutu do świata widomego trudno wyrzucać Parmenidesowi ze względu na zasoby nauki w jego czasach i ze względu na to, iż żaden z późniejszych idealistów nie rozwiązał zadawalniająco tej kwestyi trudnej, a wszyscy mniej więcej obracali się w kole hipotez, często świetnych i gienialnych, lecz nie mających ściślej naukowej wartości. Tak więc Parmenides dał tylko *formalną* teorią absolutu, t. j. bezwzględnego bytu, pojętego i określonego myśleniem, jako najwyższem kryterjum w filozofii.

Jeżeli teraz rzucimy okiem na rozwój filozofii greckiej, to pojmiemy i ocenimy stanowisko Parmenidesa. Widzieliśmy że *fizyka* jońska zatrzymała się z jednej strony na

(103) Plutarch. adv. Colot. 114: z jednej strony: *τὰ νοούμενον*, albo *τὸ νοητόν*; z drugiej strony: *τὸ φαινόμενον* albo *τὸ αἰσθητόν*.

(104) Plat. Theaet. 180: *ὡς ἐν τε πάντα ἐστὶ καὶ εἰρηκεν αὐτὸ ἐν αὐτῷ οὐκ ἔχον χωρᾶν ἐν ἧ κινεῖται*.

atomizmie Demokryta, a z drugiej strony rozprzegła w obec gienialnej krytyki Herakleita. Szkoła elejska przeprowadziła różnicę między światem zjawisk (*φαινόμενον*) i światem myśli bezwzględnej (*νοούμενον*), szukając prawdziwego bytu, który Demokryt, mimowolnie odróżniając od zmiennych zjawisk natury, znalazł w atomach. Xenofanes z Elei trzymał się jeszcze szczupłego zakresu w swych doktrynach i nie przeprowadził wybitnej różnicy między bezwzględnym bytem i zjawiskiem. To zadanie wypełnił właśnie Parmenides, największy z Eleatów. On pierwszy poznał niezmiennie prawa logiki i na nich oparł swą dyalektykę, której celem było określenie idei bezwzględnego bytu. Po bezowocnych, dziecinnych próbach jońskich filozofów, *filozofia przyrody* przeszła w teorią atomistyczno-materyalistyczną; *etyka*, której początkiem były dydaktyczno-liryczne pienia doryckich poetów, zaczęła występować na główną widownię a jednocześnie w szkole Eleatów powstała *dyalektyka*, sztuka rozumowanego dowodzenia, oparta na prawach logiki. Od czasów Parmenidesa dyalektyka miała za przedmiot *czysty byt* i potem, Arystoteles i Xenokrates wydzielili z niej *logikę* i *metafizykę*, jako oddzielne części filozofii (105); lecz z rozbioru poematu Parmenidesa dostatecznie widzimy, że on właściwie pierwszy założył podwaliny tych nauk, że on wskazał *jak należy myśleć o bezwzględnym bycie* i przyjmąwszy myślenie za najwyższe kryterium, był pierwszym idealistą. Kierunek idealizmu, polegający na logiczném określeniu bytu i różnicy jego od zmysłowych zjawisk, stał się odtąd jedynym kierunkiem filozofii, jako nauki.

W szkole Eleatów po Parmenidesie nastąpił upadek i nikt nie potrafił wyciągnąć korzyści z jego nauki. Ciekaw-

(105) *Filozofia przyrody* (fizyka) wzięła początek od Talesa i innych jońskich filozofów; *Etykę* i *Politykę* znajdujemy już u Pytagoresa i Herakleita; *Dyalektyka* powstała od czasów Xenofanesa i Parmenidesa. W jedną harmonijną całość zlał wszystkie te części filozofii Platon (Diog. Laert. III, 56: *Ἰλλάτων ἐτελεσιουργήσε τὴν φιλοσοφίαν*). Arystoteles wyłączył z dyalektyki *logikę* i *metafizykę*; tę ostatnią zresztą sam on odnosił raczej do fizyki i dopiero późniejsi na podstawie pism Arystotelesa zaczęli uważać ją za oddzielną część filozofii. Jeszcze Xenokrates przyjmował *logikę*, *dyalektykę* i *etykę* jako 3 części filozofii i pierwszy utrwalił ten podział (Sext. Emp. Adv. Math. VII, 2).

we są wiadomości o niektórych poprawkach w jego nauce, zaprowadzonych przez jego następców. Tak sądząc ze wskazówek niektórych pisarzy i ułamków zachowanych u Symplicyusza (106), uczeń Parmenidesa *Melissus* z *Samos* zbił zdanie swego mistrza o *określoności* bytu, odrzucał możliwość nauki o zewnętrznym świecie, jako o niebycie i usiłował jakoś rozumieć *jedność bytu* Parmenidesa w stosunku do materji (107). Szkoda że nie możemy mieć jaśniejszego wyobrażenia o tych usiłowaniach *Melissa*, z powodu szczupłości i niedokładności danych.

Ostatni najznakomitszy filozof z Elei *Zenon* udoskonalił dyalektykę i w subtelnych dowodach usiłował pokazać sprzeczność w pojęciach ruchu, czasu i przestrzeni. Tu już dyalektyka Eleatów przechodzi w sofistykę, wpada w ostateczność, gubiąc się w subtelnościach zewnętrznej strony elejskiego idealizmu, a nie wyciągnawszy z niego istotnego pożytku dla nauki. Rzeczywiście *sofistyka* wzięła początek od sycylijskich i południowo-italskich mędrców, wykształconych na dyalektyce Eleatów i ostatnich filozofów tej szkoły nazywano też zwykle sofistami.

Powstał ztąd chaos i zamęt wyobraźni: doktryna o niemożliwości pochwycenia prawdziwego bytu przeszła w doktrynę o bezwzględnej podmiotowości (subiektywności), a zastosowana i do świata moralnego, zrodziła szkodliwy wpływ sofistyki. Śród tego zamętu utracono pojęcie o prawdziwym zadaniu nauki, dopóki *Sokrates* nie skrępował samowolności myśli poczuciem wewnętrznych praw myślenia i niezmiennych norm postępowania (108). Dopiero wtedy zarodki nauki, zawarte w teorii Parmenidesa, zaczęły kieł-

(106) Aristot. Met. A. 5. Stob. Ecl. I, 60. Simplic. In phys. f. 22—34.

(107) *κατα ὑλίην* (Aristot. I. I.)

(108) Doktryny sofistów były pożytecznemi pod tym względem, iż doprowadziwszy do ostatecznych granic dowolność i samowolność myślenia, wywołały reakcyą w osobie Sokratesa. Główna zasługa Sokratesa polega właśnie na poczuciu praw logicznych, krępujących dowolność postępków. Mylnie sądzono jakoby Sokrates był tworcą *etyki*, istniała ona, jak okazaliśmy, dawno przed nim; lecz Sokrates głównym przedmiotem i zadaniem filozofji zrobił *człowieka*, niechętny spekulacyjnym teoryom, chociaż, wyznaczyć należy, że nigdy grecka filozofia nie zapomniała zupełnie o *człowieku*;

kować i rozwijać się dalej. Sokrates, a potem Platon użyli za narzędzie nauki dyalektyki opartej na logice, którą jak pokazaliśmy, wskazał Parmenides. Zadanie filozofii, wpływające z określeń Parmenidesa, pierwszy dokładnie pojął twórca pierwszego całkowitego i zaokrąglonego genialnego systemu idealizmu, Platon. On pierwszy usiłował określić *prawdziwą naturę rzeczy* (ὄντως ὄν), odróżniając ją od *zmysłowych zjawisk*; uznał ten prawdziwy byt w *ideach* i starał się określić ich stosunek do świata zewnętrznego, pogodzić *byt z niebytem*. Platon nie był bezpośrednio uczniem Parmenidesa, lecz był nim o tyle, o ile był uczniem Herakleita i Pytagorejczyków, mniej zapewne niż o ile był uczniem Sokratesa. We wspaniałym gmachu, który wystawił geniusz Platona, nie jedna cegielka pochodzi ze skromnej budowy elejskiego mędrca. Platon zbijał nawet teorią Parmenidesa (109), jak zbijał wszystkie inne dlatego aby je między sobą pogodzić i potęgą własnego geniuszu złożyć je w jeden system, wspaniały pomnik greckiego ducha. Wybitna różnica nauki Platona od nauki Parmenidesa zależy głównie na tem, że Platon uznawał *mногоść istności*, tak że treść istoty wszechrzeczy jest według niego *jedno i mnogość* (ἐν καὶ πολλά), gdy według nauki Eleatów jedno jest zarazem wszystkiem (ἐν καὶ πᾶν). Platon zarzuca Parmenidesowi, iż jego byt jest bezwzględny, absolutny, bez żadnego rozwoju; sam on wymaga aby treść wszechrzeczy rozumiano jako krystalizacją duchownego życia z zasadniczych idei świata powstałą.

Pomimo tej różnicy, powtarzamy, zadanie filozofii, przekazane przez Parmenidesa, zostało po raz pierwszy pojęte i wystawione przez Platona: różnica między *istotą* rzeczy a *zjawiskiem* już otrzymała prawo obywatelstwa, w filozofii i jako pewnik (aksyomat) stała się podstawą wszystkich późniejszych filozoficznych systemów idealizmu.

nawet mytologiczno-fizyczne teorye, dyalektyczne subtelności i t. p. nie odsuwały go na dalszy plan. (Porówn. Brandis. Gesch. der Gr. R. philos. I, 7). Tak więc potrzeba rozumieć znane słowa Cyceronu (Tuscul. Disput. V, 4): *Socrates autem primus philosophiam devocavit e coelo.*

(109) W dyalogach: *Parmenides*, a także *Sofista* i *Teaetetos*.

V.

Rzut oka na rozwój i losy idealizmu w nowszych czasach. Znaczenie filozofii, jako nauki.

Tak więc, dzięki Parmenidesowi i Platonowi, filozofia otrzymała charakter nauki, mającej określony cel i dążności i stała się idealizmem. Rzućmy okiem na wybitniejsze fazy rozwoju tego kierunku w nowszych czasach, obaczmy jak długo on się utrzymywał, do jakich doprowadził wniosków i jakie też ze społecznego punktu widzenia nauki, jest prawdziwe znaczenie filozofii, jako nauki.

Ojciec nowej filozofii, *Kartezyusz*, który blaskiem swego geniuszu oświecił ciemności, w jakich myśl ludzką przez długie wieki trzymała średniowieczna scholastyka, uznał jako *prawdziwie istniejące* rozciągłość i myślenie, przestrzeń i myśl. Taki dualizm nie mógł utrzymać się długo: dawała się uczuć nęcąca potrzeba jedności. Sam *Kartezyusz*, choć niestanowczo i niejako bojaźliwie, wypowiedział myśl o prawdopodobnej jedności tych dwóch istności. Genialny *Spinoza* aż do ostatecznych krańców rozwinął to pojęcie jedności. Teoria Spinozy jest możliwym udoskonaleniem i uzupełnieniem teorii Eleatów: znajdujemy w niej ostateczne wnioski, płynące logicznie z głównych zasad *Xenofanesa* i *Parmenidesa*. *Spinoza* utrzymywał, że rozciągłość i myślenie, materya i duch, są zarówno zjawiskami nieprawdziwemi; prawdziwą zaś istotą rzeczy jest *jedna substancya*, w której niema tego dualizmu, niema żadnych różnic, a tą substancją jest *Bóg*. Tak więc zasadę *Xenofanesa*: „Wszystko jest jedno, a to jedno jest *Bóg*” *Spinoza* przyjął w najrozleglejszym znaczeniu: wszystko jest *Bóg*, i duch i materya. Świat zewnętrzny, świat zjawisk zmysłowych, *Spinoza* pomimo tego uznaje jako niebyt, jako złudzenie, jako *modus*, boskiej substancyi, objawiającej się nam w nim nie istnością swoją, lecz pod *atrybutami* rozciągłości i myślenia, a to w skutek naszej ludzkiej ograniczoności.

Lejbnic zarzuca *Spinozie* to samo co *Platon* zarzucał *Parmenidesowi*: *Lejbnic* nie uważa prawdziwej istności (substancyi) za coś spokojnego, gotowego; lecz rozumie ją jako

vim activam (czynną potęgę), mieści istot. rzeczy w ich popędach, dążnościach, w ruchu duchowego życia, które posiadają wszystkie przedmioty w przyrodzie, będące przeto *monadami*, odrębnymi duszami, każda z właściwem sobie życiem, z właściwemi dążnościami.

Te były trzy główne systemata idealizmu przed Kantem; lecz żaden z tych trzech wielkich filozofów nie tłumaczy, dlaczego do nas uporczywie tak wiąże się wyobrażenie zmysłowego zmiennego świata zjawisk, a nie możemy dostrzedz w tym świecie owego absolutnego bytu. Chociaż świat zmysłowy nie stanowi, według idealistów, istoty rzeczy, lecz musi przecież niejako zależeć od prawdziwego bytu, być w pewnym z nim stosunku. Jak możliwymi są ułudne zmysłowe obrazy świata? *Kant* zajął się rozwiązaniem tego pytania i odpowiedział nań w sposób, niweczający podstawę wszystkich teorii idealizmu, dążących do poznania absolutu, to jest bezwzględnego bytu. Z matematyczną ścisłością wielki ten filozof dowiódł, że poznanie istoty rzeczy, prawdziwego bytu, przechodzi możność ludzkiego rozumu; że należy wyznać z pokorą, iż jesteśmy zamknięci na zawsze w fatalném kółku zjawisk; że o istocie rzeczy możemy tylko *myśleć*, lecz nie możemy jej *poznać*: myślenie nie może dać nam poznania o tém, co nie jest daném we *wrażeniu*, a rozum jest to tylko *zdolność*, władza formalna, nie mająca własnej absolutnej treści, a przeto może on tylko myśleć a nie tworzyć pojęcia sam z siebie, a nie dawać z siebie treść.

Pomimo tego, widzimy dwóch późniejszych od Kanta filozofów, których poglądy na stosunek *bytu* do *zjawiska*, w swoim rodzaju oba krańcowe, są zupełnie jeden drugiemu przeciwne. *Fichte* zupełnie odrzuca istnienie zewnętrznego świata, jako danego tylko w *zmysłowych obrazach*, rodzących się w naszej duszy odrazu, nawet bez żadnych zewnętrznych pobudek. *Fichte* nie dopuszcza żadnych czynników wrażenia i powstającego zeń obrazu zmysłowej rzeczy: wrażenia te rodzą się wprost w duszy i obraz zmysłowego świata jest tylko zjawiskiem, produktem duszy. Jedynym prawdziwym bytem według *Fichte*'go jest *ja*; wszystko pozostałe dane jest w tém *ja*, dla niego i przez niego. Druga teoria, *Hegla*, łączy, podobnie jak teoria *Herakleita*, byt z niebytem.

Każda rzecz, według Hegla, łączy w sobie twierdzenie z przeczeniem, każda idea przechodzi w *inny byt*: oto główne metafizyczne podstawy systemu Hegla, za pomocą których on dowodzi, że byt i niebyt jest to jedno i niejedno, niwecząc tym sposobem zasadnicze logiczne prawo tożsamości. Godnym jest uwagi, że jak teoria Herakleita oznacza, w pewnym stopniu, jak to okazaliśmy wyżej, nowy kierunek filozofii, dealizmu, i spowodowała teorią Plotatów, tak systemem Hegla, absolutnym idealizmem zakończył się w naszych czasach ten kierunek filozofii.

Takim był, w krótkości, rozwój filozofii idealizmu, której zadaniem było wynalezienie *bezwzględnego bytu*.

Zebrawszy w jedno rozproszone w tych systematach kwestye, widzimy że zadaniem filozofii teoretycznej od czasów Parmenidesa i Platona było: 1) określenie istoty rzeczy, 2) określenie stosunku istoty rzeczy do świata zjawisk, wytłumaczenie możliwości zmysłowych wrażeń, zmysłowego doświadczenia. 3) Zbadanie praw i zjawisk wewnętrznego świata myślenia. Kant jakżeśmy wspomnieli, zaprzeczył możliwości rozwiązania pierwszego z tych zadań, a możliwość zmysłowego doświadczenia podjął się wytłumaczyć na mocy samych praw wewnętrznego doświadczenia. Przed Kantem, a po części jakżeśmy powiedzieli, i po Kantcie, niektórzy filozofowie wierzyli jeszcze w możność *znalezienia i określenia* istoty rzeczy, istotnego bytu myśleniem, a mistycyzm wszystkich czasów przypuszczał możność *widzenia* (kontemplacji) rozumem istotnego bytu. Z drugiej strony materializm oparł się na faktach danych w zmysłowych doświadczeniach, jako bezwarunkowo prawdziwych, widząc w nich samą istotę rzeczy. Z tych trzech kierunków, mistycyzm i materializm nigdy nie miały znaczenia nauki, a idealizm dążący do wynalezienia myślą istoty rzeczy, także nie ma podstawy, jak dowiódł tego Kant. Powiedzmy kilka słów o mylnych podstawach tych trzech kierunków.

1). *Mistycy* zapominają o ograniczoności ludzkiego rozumu. Rozum nie ma władzy widzenia, przenikania bezwzględnie istoty rzeczy; nie może on dawać wiedzy bezwzględnej, bez żadnych danych i pod tym względem słuszną i prawdziwą jest zasadą, że wszelka wiedza może pochodzić tylko z doświadczeń, urabiać się z tego tylko materyału, to

jest, wiedza może być tylko tam, gdzie jest *wrażenie*, skutek doświadczenia.

2). *Materyalizm* zapomina, że zmysłowe zjawiska, dane za pomocą zmysłowego doświadczenia, nie są niczém innym jak naszymi własnymi wrażeniami, a mówiąc o wrażeniach, nie można nie brać na uwagę *tego, kto otrzymuje* wrażenie i *tego co rodzi* wrażenie. Jeżeli przypuścimy np., że woda może mieć wiedzę o padającym w nią kamieniu, to oczywiście, poznałaby go ona nie takim, jakim on jest w istocie, lecz takim jakim jest w wodzie. Jeśli uderzymy czemś o kamień, to wydany przezeń dźwięk wypływa z natury kamienia, na zewnętrzną pobudkę odpowiada on takim dźwiękiem, jaki może wydać według swój natury. Dla czegoż, uznając to prawo, dla wszystkich ciał w przyrodzie, mielibyśmy zaprzeczać jego istnienie i względem żywej duszy. Dusza na zewnętrzne pobudki odpowiada także oryginalnie: odpowiedzi jej są zgodne z jej naturą i odpowiedzi te są to właśnie powstające w duszy za przewodnictwem zmysłów *wrażenia*. Wrażenia te są *nasze*, podmiotowe, wpływające z natury naszego ducha. Człowiek może mieć wrażenie i wiedzę o rzeczy tylko o *tylę i tak*, o *ile i jak* to jest możliwém dla człowieka: on nie może mieć o rzeczy takiego pojęcia, jakie ma o niej inne np. zwierzę, ptak lub ryba, lub (przypuścimy że to jest możliwém) jakie ma rzecz sama o sobie. Koniecznością jest tedy uznać, że mamy wiedzę o rzeczach z naszego, ludzkiego punktu widzenia, na warunkach naszej natury opartą. Dlatego tóż jeśli rzecz zdaje się raz takąż, drugi raz inną, według różnic zachodzących w poznających podmiotach, to niedorzecznością byłoby przypuszczać, żeby sama rzecz w istocie przemieniała się ciągle, stawała się inną dla człowieka, inną dla ptaka, inną dla owadu, a nawet niejednostajną dla różnych ludzi. Fakt zmienności, który niezbadany jeszcze służył instyktownie punktem wyjścia najdawniejszych filozoficznych teoryj (jak to wskazaliśmy na początku niniejszej rozprawy) sprzeczny jest z pojęciem bytu, jak to logiczną drogą wskazał Parmenides. Tak więc niewątpliwa w pewnym stopniu *podmiotowość* wrażeń i pojęć, i niedorzeczność łączenia zmienności z ideą prawdziwego bytu, niweczą główną zasadę materyalizmu, który nie uznaje tych oczywistych prawd, nie chce nic

wiedzieć o naturze ludzkiego ducha i o naturze myślenia, odegrywających przecież ważną rolę w formowaniu się naszych wrażeń i pojęć, a woli przywiązywać się ślepo do zmysłowych danych, uważając je za bezwzględną prawdę.

3). Przejdźmy teraz do *idealizmu*. Ponieważ jasno, że nasze wrażenia nie dają dokładnego pojęcia o istocie rzeczy i zależą od natury naszego ducha, i ponieważ sam duch nie może absolutnie rodzić wrażenia i tworzyć pojęcia o rzeczach, przeto musi być jakiś stały byt, istota rzeczy, którą widzimy tylko przez pryzmat naszego ducha. *Wrażenia* są zatem wpływem dwóch czynników: z jednej strony natury otrzymującego wrażenia ducha, a z drugiej strony istotnego bytu rzeczy, prawdziwej ich natury. My znamy tylko *zjawiska*, lecz musi być także coś co się *zjawia*, co rodzi te zjawiska w duszy. Dotąd idealizm ma niezaprzeczoną podstawę: zmysłowe zjawiska nie są istotnym bytem rzeczy. Ponieważ nasze pojęcia o zmysłowych zjawiskach opierają się koniecznie na zmysłowym doświadczeniu; więc pojęcia o naturze rzeczy, o istotnym bycie, musiałyby być wcale niezależnymi od zmysłowych doświadczeń, płynąć z samego ducha, być jego tworam. Idealizm dążący do poznania natury rzeczy, przypuszcza możliwość takich pojęć absolutnych, wiedzy absolutnej bez żadnych danych, któraby musiała chyba być *wrodzoną* duchowi. Ciekawy spór o *wrodzone idee* ciągnął się przez cały wiek XVIII; *Leibnitz*, *Lokke* i *Hume* brali w nim udział, a ostatecznie wyjaśnił i rozstrzygnął tę kwestyą *Kant*. Zbijając zarazem zdanie materyalizmu, empiryzmu i sceptyzmu, jakoby dusza była *tabula rasa* czystą tablicą, na której dopiero zmysłowe doświadczenie stawia pierwsze litery; jakoby dusza zupełnie biernie przyjmowała wrażenia, nie wnosząc nic swojego; a z drugiej strony walcząc przeciwko idealizmowi, dopuszczającemu możliwość tworzenia absolutnych pojęć; *Kant* utrzymał się na środku w równym oddaleniu od obu tych ostateczności, rozwiązując to zadanie zgodnie z prawdziwym stanowiskiem filozofii. Poznanie nie jest możliwem bez pewnego materyału, a takowy daje tylko doświadczenie, którego naturę wykazał powyższy rozbiór znaczenia wrażeń. Lecz z drugiej strony i dusza ma coś wrodzonego, nadzmysłowego, to właśnie co wchodzi jako czynnik w skład *wyobrażeń* przy ich powstawaniu z *wrażeń*,

a t \acute{e} m s \acute{a} wrodzone prawa logiczne, i kategorie: rzeczy, przymiot \acute{o} w, w \acute{l} asno \acute{s} ci i t. d., te prawa i po \acute{e} cia nie znajduj \acute{a} si \acute{e} w \acute{z} adnych zmys \acute{l} owych danych, s \acute{a} one nadzmys \acute{l} owe-
mi, wrodzonemi duchowi, lecz maj \acute{a} znaczenie tylko *formalne*, bez tre \acute{s} ci. Bez tych wrodzonych praw i po \acute{e} ci niemo \acute{z} liw \acute{e} m by \acute{l} oby zmys \acute{l} owe do \acute{s} wiadczenie: dusza wnosi je jako czynnik wyobra \acute{z} e \acute{n} , jako \acute{z} ywi \acute{o} l porz \acute{a} dkuj \acute{a} cy, jako cement, \acute{z} e tak powiemy, do materia \acute{l} u danego przez zmys \acute{l} owe do \acute{s} wiadczenie. Tylko w skutek obecno \acute{s} ci w duchu tych zasadniczych praw mo \acute{z} liwymi s \acute{a} twierdzenie i przeczenie, odr \acute{o} wnienie rzeczy od j \acute{e} y przymiot \acute{o} w, przyczyny od skutku i t. d. Bez tych norm nie byliby \acute{s} my w stanie przyj \acute{s} ć np. do zdania: *kamie \acute{n} nie jest to samo co drzewo*, cho \acute{c} by \acute{s} my w \acute{s} wiecie zmys \acute{l} owym na ka \acute{z} dem kroku spotykali kamienie i drzewa. Dane zmys \acute{l} owego do \acute{s} wiadczenia by \acute{l} oby chaotyczn \acute{a} mas \acute{a} , z k \acute{o} r \acute{o} ej nie mogliby \acute{s} my wydobyć nic.

Znakomity sp \acute{o} r, o k \acute{o} rym wspomnieli \acute{s} my, by \acute{l} skutkiem prostego nieporozumienia. Empirycy i material \acute{i} sci trzymali si \acute{e} uporcezywie swego: „*nihil est in intellectu quod non fuerit in sensibus*,” zaprzeczaj \acute{a} c mo \acute{z} liwo \acute{s} ci czego-b \acute{a} d \acute{z} wrodzonego duszy. Nie rozumiej \acute{a} oni, \acute{z} e my np. zmys \acute{l} ami poznajemy tylko twardo \acute{s} c kamienia; lecz czy w t \acute{e} m zmys \acute{l} ow \acute{e} m wra \acute{z} eniu twardo \acute{s} ci danym jest logiczny s \acute{a} d: „*kamie \acute{n} jest twardy*?” Zk \acute{a} d tu konieczno \acute{s} c rozbitcia tego wra \acute{z} enia twardo \acute{s} ci na podmiot i orzeczenie? Przecie \acute{z} nie mo \acute{z} e być t \acute{e} j konieczno \acute{s} ci w sam \acute{e} m li nieprzyjemn \acute{e} m dla naszej sk \acute{o} ry i nerw \acute{o} w wra \acute{z} eniu. Zdaje si \acute{e} \acute{z} e na tym przyk \acute{a} dzie sp \acute{o} ldzia \acute{l} anie ducha w tworzeniu po \acute{e} ci, sp \acute{o} ldzia \acute{l} anie za pomoc \acute{a} wrodzonych mu norm i praw, jest oczywist \acute{e} m. Tak wi \acute{e} c sp \acute{o} ldzia \acute{l} anie ducha w formowaniu si \acute{e} samych zmys \acute{l} owych wra \acute{z} e \acute{n} , jak i pochodz \acute{a} cych od takowych wyobra \acute{z} e \acute{n} czyli po \acute{e} ci, nie mo \acute{z} e ulegać w \acute{a} tpliwo \acute{s} ci. Widzimy co duch ma wrodzonego i mo \acute{z} emy przyj \acute{a} c dopiero co przytoczon \acute{a} zasad \acute{e} empiryzmu, uzupe $\acute{l$ niwszy j \acute{a} tylko dodatkiem Lejbnic \acute{a} : „*Nihil est in intellectu quod non fuerit in sensibus, nisi intellectus*.”

Lecz z drugiej strony, poniewa \acute{z} nasze wra \acute{z} enia i powstaj \acute{a} ce z \acute{a} d wyobra \acute{z} enia czyli po \acute{e} cia wyp \acute{l} ywaj \acute{a} \acute{z} e sp \acute{o} ldzia \acute{l} ania dw $\acute{o$ ch wzmiankowanych czynnik \acute{o} w, to jest natury naszego ducha i natury rzeczy, objawiaj \acute{a} c \acute{e} y si \acute{e} w zmys \acute{l} owych danych; przeto g \acute{d} zie nie ma jednego z tych dw $\acute{o$ ch

czynników, tam nie może być pojęcia; gdzie nie ma materiału doświadczeń, tam niema treści pojęć, gdyż dusza, jak dostatecznie okazuje się ze wszystkiego co powiedziano, chociaż na pobudki pochodzące od istoty rzeczy odpowiada zgodnie ze swoją naturą, chociaż wnosi porządek do materiału zmysłowego i czyni możliwemi wyobrażenia i wiedze, nie może jednak sama z siebie wydobywać treści, nie może tworzyć bezwzględnych pojęć. Te więc niezmiennie prawa i normy, które czynią możliwem zmysłowe doświadczenie i pewną wiedzę, służą li tylko tam gdzie dany jest materiał, a teorii bezwzględnej prawdy, teorii *absolutu a priori* wydobyć z naszego rozumu nie potrafimy. Tak pogodził niejako Kant empiryzm z idealizmem i zaprzeczając temu ostatniemu możności określenia absolutu, wskazał prawdziwy kierunek filozofii, który można nazwać *racyonalnym idealizmem*. Zadaniem filozofii według tego pozostało zbadanie wrodzonych wewnętrznych praw i zasad naszego ducha i w stosunku ich do danego przez doświadczenie materiału. Tak naturalnie mamy trzy części filozofii teoretycznej: *Logika* bada same te zasadnicze prawdy i podstawy; *Metafizyka* zastosowanie ich do danych w doświadczeniu, a mianowicie *Filozofia przyrody* do świata zewnętrznego i *Psychologia* do samej naszej duszy, danęj jako fakt, jako zjawisko podpadające doświadczeniu, gdyż podobnie jak nie znamy wcale żadnej rzeczy w jej absolutnym byciu, tak też nie wiemy jaką jest dusza sama przez się, sama w sobie, lecz znamy ją tylko z doświadczenia.

Co do filozofii praktycznej, ta opiera się na wrodzonych również ideach dobra i piękna. Nie znaczy to znowu, żebyśmy posiadali te wrodzone pojęcia z pewną treścią, lecz tylko że, jakiegokolwiekby były nasze pojęcia i przekonania, zawsze podprowadzać je będziemy pod jedną z dwóch kategorii, dobra lub zła; jakiegokolwiekby były nasze wyobrażenia o pięknie, zawsze wszystko będziemy podprowadzać pod kategorią piękna lub brzydoty. Pojęcia, przekonania i wyobrażenia, to już rzecz osobistego doświadczenia, ale sama konieczność stosowania do wszystkiego pojęć dobra, piękna i t. p., jest wrodzoną; same te kategorie są wrodzone naszemu duchowi, nadzmysłowe, nie wzięte z żadnego doświadczenia.

Tak więc, jak wrodzona idea *prawdy* stanowi podstawę filozofii teoretycznej, Logika oparta na wrodzonych duchowi pojęciach o twierdzeniu i przeczeniu, sprzeczności wniosku i t. p. i *Metafizyka* oparta na wrodzonych kategoriach czyli pojęciach o rzeczy, własnościach, przyczynach, skutkach i t. d., tak idee dobra i piękna stanowią podstawę *filozofii praktycznej*: pierwsza *Etyki i Polityki*, druga *Estetyki*.

Widzimy ze wszystkiego co było powiedzianém, że filozofia jest *nadmysłową* nauką, o ile niemożliwąby była wiedza bez nadmysłowych wrodzonych praw i norm, lecz nie może być ona teorią absolutu a priori. Ograniczoność ludzkiego rozumu stoi temu na przeszkodzie, tak że w zakresie swych granic, jakie najdobitniej z nieubłaganą ścisłością określił Kant, można powiedzieć, że filozofia zrobiła wszystko w ciągu 24-wiekowego swego rozwoju. Czy kiedy nasz rozum wydoskonali się tak że dojdzie do bezwzględnej prawdy i rozstrzygnie najwyższe zadania, godzi się wątpić o tém, gdyż zupełna doskonałość nie jest udziałem człowieka. Instynktownie dążąc do bezwzględnego bytu, niedostępnego naszej bezsilności, do urzeczywistnienia bezwzględnej prawdy, bezwzględnego dobra i piękna, ród ludzki szukał tego urzeczywistnienia w religii. Najwyższe pytania o świecie i człowieku jako: o pochodzeniu duszy; o jej nieśmiertelności, o swobodzie woli, o stosunku dobra do zła, jako dotyczące się bezwzględnej istoty rzeczy; dotąd stoją po za obrębem nauki, składając dziedzinę religii. Żaden filozof nie był dotąd w stanie rozstrzygnąć w zadowalniający sposób te kwestye, i nic nie mamy o tém oprócz przypuszczeń, czasem świetnych i genialnych, lecz nie mających pewności, której brak natychmiast uczuć się daje, skoro tylko myśl ludzka wyrwa się z zaklętego koła, do którego przykuta jest w taki sposób, że choć może wzbić się czasem w górę, nie zdoła jednak przeniknąć niedostępnej sobie sfery: o bezwzględnych najwyższych prawdach niestety, możemy tylko *myśleć*, lecz nie możemy ich wiedzieć. Kant powiada że nie może być inaczej; opierając się na dotychczasowych danych co do natury ludzkiego rozumu, zaprzecza on mu możności dojścia do takiej doskonałości. Rzeczywiście gdybyśmy mogli dotrzeć do poznania absolutu, nicby nie było dla nas tajemnym i nieskończone miliony planet i życie trawki i nasze życie i śmierć

i przeznaczenie, wszystko byłoby znaném nam dokładnie: przeniknęlibyśmy wszystko. Jedna byłaby nauka, jedna prawda, filozofia zlałaby się z religią, a wszystkie inne nauki byłyby zawarte w téj jednej.

Postępy nauk przyrodzonych i matematycznych w ostatnich czasach podają niejaką nadzieję zbliżenia się do zbadania najwyższych zagadnień człowieka, przynajmniej co do natury rzeczy. Nie myślimy tu rozszerzać się o stosunku tych nauk do filozofii, powiemy tylko że matematyka jako nauka zupełnie a priori, zbudowana na wrodzonych naszemu duchowi prawach i normach, a wcale nie wyciągnięta z doświadczenia (czego nie chcą rozumieć materyaliści) i dla tego najdoskonalsza ze wszystkich nauk, może dojść do szacownych rezultatów, które mogą zbliżyć umiętności przyrody z filozofią. Nie może być empirycznych podstaw nauki: przyrodzone nauki, opierając się niby na doświadczeniu, o tyle jednak nabywają znaczenia nauki, o ile właśnie opierają się na matematycznym rachunku, płynącym a priori z tych niezmiennych wrodzonych praw naszego ducha, których istnienia uporczywie zaprzeczają zawzięci empirycy, szerzący uprzedzenia przeciwko filozofii, które są dowodem dziwnego zaślepienia, jednostronnego kierunku i niepojmowania natury téj nauki, o której znaczeniu staraliśmy się dać jak można jaśniejsze pojęcie we wszystkiém cośmy dotąd powiedzieli o zmysłowém doświadczeniu, o wrażeniach, wyobrażeniach i ideach. Rozszerzylibyśmy zanadto ramy niniejszój rozprawki, gdybyśmy chcieli wkroczyć w głąb niezmiernój dziedziny praw i objawów ludzkiego ducha. Poprzestaniemy na tém cośmy powiedzieli, a mając na uwadze granice ludzkiego rozumu, powtórzmy ze starożytnym pisarzem:

„Badaj wszystko, dopóki nie będziesz zmuszonym powiedzieć: trzeba zatrzymać się.”

(*Σκοπεῖ πάντα μέχρι τοῦ „ἀναγκῆ στήναι” εἰπεῖν*).



RODZINA ALVAREDA.

Nowella hiszpańska p. Fernana Caballero.

PRZEŁÓŻYŁ

Władysław Milkowski.

I.

Postępując zakrętami wśród starych murów Sewilli i zostawiając na prawo rzekę i *Délices*, wkrótce przybywamy do bram San Fernando.

Ztąd idzie droga, która w linii prostej przerywa równinę i piętrzy się nagle tworząc pagórek, zwany *buena Vista* (piękny widok). Zwaliska kaplicy otaczają jego szczyty.

Gdybyśmy lotem ptaka przebiegali okolicę, powiedzielibyśmy że wyniosłość, rozciągająca się od Sewilli aż do tych zwalisk, służy jakby dla zwrócenia na nie uwagi przechodnia. Zwaliska te, z pozoru zaprawdę nędznie wyglądają, nie noszą najmniejszego śladu sztuki na sobie; lecz w nichto właśnie przechowują się wspomnienia historyczne i religijne. Przywodzą na pamięć tak popularną postać wielkiego Ferdynanda, ideał narodu hiszpańskiego, który go uwielbia jako bohatera, czci jako świętego, i kocha jako dobrego króla.

Z wierzchołków pagórka, droga zniża się na pochyłości przeciwnej i zapuszcza się w wąską dolinę, przez którą mały strumyk płynie: przed nim zachwycający odkrywa się widok. Z jednej strony spostrzegamy niby uśmiech, skromną i prostą gospodę, która zmęczonego wędrowca do spo-

czynku zaprasza; z drugiej na wyniosłości przedstawia się oczom jego zamek maurytański w całej okazałości. Zdawało się, że ziemia wznosi się umyślnie na przyjęcie tego ogromu, nakazującego poszanowanie, żeby służyć za piedestał jego dumy.

Don Pedro z Kastylii udarował nim piękną i bardzo sławną Donnę Maryą z Padilli; jej to imię jeszcze pałac ten nosi.

Całe to królewskie mieszkanie z wszystkiemi jego przyległościami, z upływem czasu i w skutek pobożnych donacyi bezwątpienia, przeszło na własność katedry Sewilskiej. Kapituła pozbyła się go, i dziś znajduje się w rękach bogacza. Ten nabył bujue pastwiska i rodzajne drzewa oliwne Donny Maryi; lecz wspomnień nie kupił. Starodawna rezydencya ujrzała szybko nikuące swe cienie i zmarszczki, słowem czuła się zupełnie odmłodziła pod białą powłoką wapienną i tysiącznemi wieńcami zieloności. Przerobionej w guście nowożytnym i wystrojonej jak dziewczyna z kokieterią, okoliczni mieszkańcy nie mogli zrazu rozpoznać i zapytywali samych siebie ze zdziwieniem, czy to nie sen? A potem przechodzili mrucząc pod nosem, iż zresztą piękna grzesznica przez pięć wieków w czyscu mogła już odpokutować za błędy życia i powrócić do łaski Boga. Wszelako ci, którzy odszukują dawne pamiątki i lubią spoglądać na uroczystą szatę czasu, płaczą i szérzą swe skargi jakby tu szło o zbezczeszczenie grobu.

Lecz idźmy dalej, a ocienieni drzewami palmowemi i zielonymi dębami lasku, wkrótce przybędziemy do wsi Dos-Hermanas (dwie siostry), położonej na piaszczystej równinie, o dwie mile od Sewilli.

Nie zobaczysz tu ani rzeki, ani jeziora, ani chłodnego cienia. Tębardziej nie ujrzysz tu wcale domków wiejskich ocienionych zielenią, ani pawiów, ani kogutów gwinejskich, dziobiących winogrona jeszcze niedojrzałe, ani tych uroczych alei wysadzonych szeregiem drzew, na podobieństwo niewolników podtrzymujących ogromne parasole, dla czuwania nad ciągłym chłodem przechodniów. Wszystkiego tego tu niedostaje i smutno wyznać, że na cokolwiek spojrzysz jest proste i bez wdzięku. Lecz z drugiej strony napotkasz tu poczciwe i wesołe postacie, dowód oczywisty, że szczęście

nie polega na wyszukanych tylko rozkoszach; a nawet znajdziesz kwiaty przed domami, a na progu mieszkań czerstwe i piękne dzieci, liczniejsze niż kwiaty. Tu mimo woli przyjdą ci na myśl wspomnienia Edenu, obrazu nieba, słodkiego pół pokoju, który rodzi się zawsze na łonie skupienia i samotności.

Kilka długich ulic, obszerny plac, niskie domy, składają całą wieś. Plac podobny do kobierca o tle płowém, rozciąga się przed pięknym kościołem, którego wieża w górę krzyż wznosząca, jak żołnierz swój sztandar, gubi się w obłokach.

W cieniu kościoła, ukryta od spojrzeń wszystkich, znajduje się oaza tego nieurodzajnego miejsca. Drzwi artystycznie rzeźbione w murze prowadzą na obszerny dziedziniec, poprzedzający szanowny przybytek, kaplicę św. Anny, patronki tego miejsca. We wnętrzu téj kaplicy, napełnioném wonią religijną, hodują się i kwitną stuletnie cyprysy melancholичnej zieleni; dalej rozkoszny kwiat raj u delikatnej łodydze, która szybko wzrasta i za lada wiatru powiewem nad miarę utracą woń i liście, albowiem wie o swój przemijającej trwałości, i wreszcie drzewo pomarańczowe, ów pan wielki, to dziecko szczególnego upodobania gruntu andaluzyjskiego, darzącego go życiem tak przyjemném i tak długim. Winna latorośl rozpostarta na tyczkach przy murze kończy tło obrazu. Równie jak dziecko potrzebuje ona pomocy człowieka, by wzrosnąć i wspiąć się do góry; lecz nie jest niewdzięczną dla swego dobroczyńcy, nie skąpi mu swych owoców, a sama zrzuca się wszystkiego, nawet tych podpór, które zdaje się otaczać swemi ramionami i ocieniać z miłością szerokimi gałązkami. Któż z rozczuleniem nie patrzy na zachwycający wdzięk szczepu winnego? Zresztą zauważyć należy, że każda roślina ma swe właściwości, swe ścisłe odcienia, które rodzą w duszy tysiące najrozmaitszych wrażeń; cyprys zdolny jest natchnąć nas szacunkiem, kwiaty rajskie czułością, drzewo pomarańczowe podziwem; a inne, zamiłowaniem spokoju, dobrémi i świętými myślami.

Na okół wioski Dos-Hermanas rozciągają się niezliczone plantacye drzew oliwnych, jeden ze skarbów rolnictwa w Andaluzji. Drzewa rozmieszczone w małych odstępach

jedne od drugich, przedstawiają w tém miejscu widok rozkośnych gaików; lecz grunt nie okryty murawą i pługiem wyrównany, stanowi nieprzyjemną jednostajność. Gdziegdzie spotykasz dom właściciela z gospodarskimi zabudowaniami jak folwark i fabryka, w których uskutecznia się maceracya i wydobywanie oliwy. W budowlach tych nie widać najmniejszego śladu smaku.

W ogóle plantacye te należą do arystokracji sewilskiej, która je rzadko zamieszkuje, gdyż życie wiejskie bynajmniej nie podoba się damom. Dlatego też plantacye te są zaniedbane i próżne jak stodoły. W tych ustropanych okolicach milczenie przerywa chyba tylko śpiew koguta, czujnego stróża, i poryk biednego osła zgnębnego.

W piękny wieczór styczniowy 1810 roku, można było słyszeć głos dźwięczny i świeży młodego człowieka lat dwudziestu, który mając strzelbę na ramieniu szedł krokiem szybkim i stanowczym wzdłuż plantacji oliwnych. Był wysmukły i kształtnej postaci; ruchy jego, mina, chód wreszcie, świadczyły o tój giętkości i gracyi, które sztuka napróżno stara się naśladować, a któremi to przymiotami natura szczerze obdarzyła Andaluzyjczyków. Czoło wyniosłe, ocienione pysznemi kuczemi włosami, przedstawiało wzór pięknego typu hiszpańskiego. Wielkie oczy były żywe, w spojrzeniu błyszczał rozum, a górna warga malująca lekki cień wesołej ironii, odkrywała białe zęby. Z całej postaci łącno było odgadnąć niezwykłą siłę i życie.

Srebrna spinka zapinała kołnierzyk jego białej koszuli. Miał na sobie krótki kaftan z szarego sukna i także spodnie równie przymocowane do kolan za pomocą jedwabnych sznurków; lekka przepaska o pomarańczowych prążkach ścisła mu łędwie i odznaczała kibić. Trzewiki i kamasze z żółtj skory obejmowały nogi i golenie, a kapelus z szerokimi skrzydłami, nazywany kalabryjskim lub portugalskim, aksamitką obwiedziony i z gracyą na lewy bok nachylony, uzupełniał elegancki ubiór andaluzijski.

Młodzieniec ten znany z pracowitości i charakteru nieustraszonego, był wysłanym przez dzierżawcę jednej z plantacji w celu pilnowania robotników podczas zbioru oliwek. Idąc śpiewał:

Kiedy przybywam, gdzie narzeczona
Czeka już na mnie z różą u łona,
Tę mi się zdejże, w tej miłej drodze,
Że już odchodzę.

A kiedy od niej wracam niebogi,
Kiedy opuszczę domku jej progi,
Zda mi się znowu w powrotnej drodze
Że do niej wchodzę.

Przybywszy przed parkan przeskoczył go, nie chcąc tracić czasu na szukanie przejścia, i ujrzał się naprzeciw drugiego młodzieńca, trochę starszego, a który równie jak on, szedł w stronę wioski. Miał na sobie takiż sam ubiór; lecz był niższym i nie tak wysmukłym. Bure jego oczy mniżej rzucały ognia, a spojrzenie spokojniejszym się wydawało, wyraz twarzy poważniejszym, a uśmiech słodszy. W miejsce strzelby, narzędzie pracy ciężyło mu na ramieniu. Poprzedzał go osioł nie okiełznany, a za nim postępował ogromny pies o gęstej a krótkiej sierci żółtawego koloru, należący do pięknej estremadurskiej rassy.

— Hola! to ty Peryko! Niech cię Bóg ma w swęj opiece!—zawołał nasz młodzieniec.

— Daj Boże, Ventura—odpowiedział drugi. Czy idziesz na uroczystość.

— Nie, za interesem. A zresztą już ośm dni...

— Jak nie widziałeś mój siostry Elwiry? przerwał Peryko z życzliwym uśmiechem.—Dobrze, mój drogi: to się nazywa zrobić dwie rzeczy za jednym zachodem, albo przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie.

— Gdybyś był milczał, i jabym nie odrzekł; lecz gdy ty mówisz, i ja mówić będę, Peryko! Kiedy się ma dach szklany, nie rzuca się kamieni na dach sąsiada.

— Szczęśliwys i bardzo Ventura!—dodał Peryko wzdychając: możesz się żenić, kiedy zechcesz, a nikt ci nie przeszkodzi.

— Eh! Peryko, któżby ci bronił zrobić tak samo?

— Wola mój matki, Ventura!

— Co mówisz? i dlaczegoż to, Peryko? Czegoż nie dostaje Rycie? nie jestże młodą i ładną? alboż nie z dobrego jest gniazda, a zresztą przecież to twoja krewniaczka?

— W tém właśnie leży przyczyna, dla której moja matka jęj nie lubi.

— Skrupuły dobrej kobieciny! czyż ona zamyśla prosić kościoła, żeby na to zezwolił?

— Nie; skrupuły mój matki nie są jedynie religijne. Mówi, że małżeństwa między tak blizkiemi krewnymi sprzeciwiają się naturze, że sama krew odpycha się a nie łączy, i że czy prędzej czy później spadają na nich nieszczęścia i ścigają ich zgrzyoty sumienia. Tysiące tego stawia przykładów.

— Przestań już mówić o tym proroku nieszczęścia, Peryko! zbytecznie sobie tём głowy nie zawracaj. Alboż to się tak zwykle nie dzieje, że matki zawsze pod jakimkolwiek pozorem, sprzeciwiają się małżeństwu swych synów?

— Nie Ventura, odrzekł Peryko poważnie, bez matczynego zezwolenia nie ożenię się nigdy.

Chwil kilka szli w milczeniu.

— To dobrze! odparł nakoniec Ventura, jestem podobny do swego opiekuna, który stojąc nad brzegiem wsadzał ludzi na okręt a sam zawsze pozostawał na lądzie; lub do tego Faryzeusza co wołał: „Rób to co mówię, a nie to co robię” Czyż to być może, by wola mego ojca tём była dla mnie, czem przedza wełny dla lwa! Czy myślisz Peryko, że to nie z jej przyczyny w tём chwili nie jestem w Ubrera gdzie się organizuje batalion ochotników mających wkrótce wyjść w pole. Czy wiesz Peryko, jaką rolę odgrywamy, gdy nie ruszając się z miejsca patrzymy, jak inni idą? Gramy poprostu rolę złych i zniewieściałych Hiszpanów.

— Tak, myślę tak samo, Ventura; lecz jakżeż chcesz bym opuścił matkę i siostrę dla których jestem jedyną pomocą? To niewątpliwa, jednakże jeżeli moja matka trwać będzie dalej w swym uporze, nie będę żył tak dłużej i pójdę wraz z innemi. Tak już sobie postanowiłem.

— I dobrze uczynisz! zawołał Ventura w uniesieniu. Co do mnie, tego dnia kiedy mnie wezwą, Peryko, znajdziem kilku Francuzów, którzy opuszczą ziemię hiszpańską na zawsze.

— A Elwira?

— Elwira zrobi jak inne. Będzie na mnie oczekiwać lub opłakiwać mnie.

Przybyli do wsi.

Dom rodzinny Peryka był obszerny i świeżo wybielony. Z każdej strony wrót znajdowały się oparte o ścianę mocne ławki; w górze wisiła lampa przed wizerunkiem Zbawiciela, umieszczona tu według zwyczaju katolickiego, który nakazuje poprzedzać czyni każdy myślą religijną i oddawać wszystko pod wszechwładną opiekę boską.

W środku przestronnego podwórza, na grubym pniu wznosiło się ogromne drzewo pomarańczowe. Podstawę jego otaczała okrągła krata z żerdzi, jakby pancierz. Od czasów niepamiętnych drzewo było to źródłem dumy dla całej rodziny. Nieboszczyk Ignacy Alvareda ojciec Peryka, w duchu tradycyi przechowywanéj w jego domu, utrzymywał, że istnienie drzewa tego odnieść należy do epoki wypędzenia Maurów. Według niego, drzewo to zasadził jeden z Alvarédów, żołnierz króla Ferdynanda. A kiedy proboszcz, brat jego żony, żartował sobie z tego i chciał go wprowadzić w kłopot co do starożytności i nieprzerwanego rodowodu jego gniazda, odpowiadał niezmierny i bez żadnego wahania się z całym przeświadczeniem, że wszystkie plemiona świata były starożytne, i że potomstwo w prostéj linii mogłoby wygasnąć u bogaczów, lecz że się nigdy nic podobnego nie przytrafiło biedakom.

Kobięty domowe, z liści drzewa pomarańczowego przygotowywały środki wzmacniające żołądek i łagodzące nerwy. Młode dziewczęta przystrajały się w jego kwiaty, dziaćwa rozkoszowała się i chłodziła owocami. Ptaki wśród gęstych gałęzi założyły sobie główną siedzibę i ztąd słały w powietrze tysiączne okrzyki radości.

Na prawo i na lewo wewnętrznego kurytarza, były tu dwa równéj wielkości mieszkania, stanowiące dom cały: każde z nich składało się z sali o dwóch okienkach zakratowanych od ulicy i z dwóch pokojów, do których światło wpadało od podwórza. W głębi otwierały się drzwi, na rozległy podwórzec, obejmujący kuchnię, sadzawkę i stajnię. Drzewo figowe rośło w pośrodku tak małe, że służyło tylko za schronienie dla drobiu.

Pan domu umarł już od trzech lat. Kiedy poczuł zbliżający się koniec dni swoich, przyzwał syna Peryka i rzekł mu: „Matka twa i siostra na twojéj chcą polegać opiece: czuwaj nad jedną, a pozwól by cię prowadziła druga. Zaw-

sze przechowywałem w sercu świętą miłość Boga i myślałem o śmierci; ztąd też bez strachu i zdziwienia widzę ją nadchodzącą. Pamiętaj, żebyś się jej nie lękał. Wszyscy Alvaredowie byli ludźmi zacnymi: w twych żyłach też sama krew krąży, i w sercu twém żyją te same zasady katolickie. Wstępuj w ich ślady, a żyć będziesz szczęśliwie i umrzesz spokojnie."

Wdowa po nim była kobietą szanowaną nawet w wyższych warstwach dla swój godności. Wychowaną przez brata, który był księdzem, zdołał rozum, czystość obyczajów, charakter poważny, sposób obejścia się nacechowany godnością. Każdy ją też szanował. Syn jej Peryko, posłuszny, skromny, pracowity był jej pociechą i nadzieją; nigdy jej jeszcze nie dał powodu do zmartwienia, aż dopiero teraz miłością dla swój krewnej Ryty.

Córka jej Elwira trzy lata młodsza od brata, była młodą rośliną przez swą czułość, fijołkiem przez skromność, a liliją przez swą czystość. W pierwszych latach życia słabowita, ztąd też na jej twarzy zaczęła bardzo podobnej do oblicza brata, została lekka bladeść i ten wyraz pokoju, zdającego się na wolę Bożą, który całej jej postaci nadawał niewypowiedziany powab. Od dzieciństwa przywiązała się do Ventury, do odważnego i wyborczego syna sąsiada Pedra, przyjaciela i towarzysza broni Juana Alvaredy.

Żona Pedra umarła wydając na świat córeczkę, którą od téj chwili ojciec powierzył staraniom zakonnicy Alkali, siostrze nieboszki. Rozłączony w ten sposób z dzieckiem, Pedro zlał wszystkie uczucia na Venturę, i widział w nim z dumą najpiękniejszego, nieustraszonego młodziana wokolicy.

Naprzeciwko mieszkania Alvaredów, był położony dom Maryi, matki Ryty. Marya była wdową po bracie Amy, dzierżawcy plantacji Quintos w sąsiedztwie. Była to kobieta dobra, szczerą, prawa, ale słabego charakteru; nie umiała nagić i pohamować burzliwej natury swój córki. Tak wszystkie błędy rozwijały się w niej swobodnie, i charakter jej był gwałtowny, wrażenia były wrzące, a serce zimne i nieczułe. Postać jej nadzwyczaj piękna, ujmującego wyrazu, żywa i szydząca, tworzyła doskonałe przeciwieństwo z wizerunkiem jej krewnej Elwiry. Można je było porównać, jedną do róży świeżej, rozkosznej, ale uzbrojonej

ostremi kolcami, druga do róży co na białych bladych liściach unosiła koronę cierniową, jako znak cierpienia, ale na dnie swego kielicha ukrywała skarb słodocy.

W opisie i wyliczeniu wszystkich osób składających tę rodzinę i jej dalszych lub bliższych krewniaków, musimy wspomnieć Melampa, psa domowego, bo nie wszystkie psy są równe. Otóż, Melampo był psem uczciwym i poważnym a krzepkim. Szczekał rzadko i nigdy bez ważnej przyczyny; był wstrzemięźliwym i nie odstąpił nigdy od prawideł roztropnego umiarkowania. Nie przymilał się wcale swym pañom, lecz za to, żadna pobudka nie mogła go skłonić do ich opuszczenia. W całym życiu nie ukąsił nikogo. Pogardzał dumnie napadami małych psiaków, które, skoro przechodził, poszczekiwały za nim z głupią niechęcią. Ale Melampo zagryzł sześciu wilków, raz rzucił się na wściekłego buhaja, który ścigał jego pana, pochwycił go za ucho i osadził w miejscu. Z takimi tozaskugami, Melampo spoczywał spokojnie na słońcu.

— Takto—mówił Pedro—latoś trzoda pada z głodu, a zeszłego roku, potrzebowała tylko wyjść za opłotki, żeby zawsze znaleźć wszędzie paszę, pokarm dobry i to do sytości.

— Zdaje mi się — odrzekła Elwira głosem melodyjnym i dźwięcznym—że wkrótce deszcz padać będzie. Dziś nad brzegiem ukazała to mgła czarna, wróżka burzy i nawałnicy.

— Z pewnością będzie deszcz padał—dodała Ryta—dziś w nocy widziałam gwiazdę wodną, a burza niosła ją przed sobą jakby wysoką wieżę z pochodniami.

— Tak, będzie deszcz padał, potwierdziła dobra Marya obudzona ze snu czystym i donośnym głosem swjej córki. Mój reumatyzm zapowiada mi to niestety. Lecz nie mnie tak nie martwi jak trzody tych nieszczęśliwych pasterzów, którzy całe noce przepędzają pod cieniem Estraili (gwiazda).

— Oh! nie kłopotz się o nich matko Maryo—rzekł wesoły Pedro, który w każdej okoliczności miał za pasem jakiś dowcip, przysłowie lub zabawną dykteryjkę na poparcie tego, co wyrzekł—jestto rzeczą wielkiej wagi na tym lichym świecie, przyzwyczaić się do czego, a to co jednemu złem się wydaje, inny za dobre uważa. Zwyczaj wygląda wszystkimo jak morze i ozłaca wszystko jak słońce. Pewien pasterz z

ożenił się z dziewczyną istną różą. Traf zrządził, że pierwszego dnia po weselu zadał wiatr gwałtowny, z grzmotami, błyskawicami i ulewnym deszczem. Serce omdlało biednemu pastérzowi, nie mógł wytrzymać, a opuściwszy młodą małżonkę, wyskoczył z łoża, pobiegł do okna, które otworzył i zaczął krzyzcć: o nocy boska! trzebaż bym nie mógł nacieszyć się tobą!

— Tę noc Bóg dał naumyślnie, by rzucić cień na nowożeńców—zawołała Ryta—śmiejąc się serdecznie.

Ósma wybiła; pomodlono się za dusze w czyscu będące, i każdy odszedł w swą stronę.

Kiedy rodzina została samą, Elwira nakryła stół błyszczącą białości obrusem i przyniosła na wieczerzę karafkę wody, chleb i sałatę.

Anna i jej córka rozpoczęły biesiadę, lecz Peryko ciągle siedział na swém miejscu, głowa owisła mu na ramieniu i, jak to dzieć się zwykło w roztargnieniu, grzebał pogrzebaczem w węglach, tłących się jeszcze pod popiołem.

— Czy nie chcesz wieczerzać—rzekła doń siostra—pokazując mu bułkę, którą rozczylniała własnymi rękoma.

— Nie jestem głodny—odrzekł nie podnosząc głowy.

— Może słaby jesteś mój synu?—zapytała Anna.

— Nie, matko.

Wieczerza kończyła się w milczeniu, a gdy Elwira wyszła odnosząc półmiski do kuchni, Peryko nagle rzekł do matki:

— Matko, jutro idę do Ubrery zaciągnąć się w szeregi Hiszpanów, biegnących walczyć przeciw Francuzom.

Anna osłupiała. Była przywykłą do łagodnego posłuszeństwa syna, które ją jeszcze nie zawiodło.

— Idziesz na wojnę!—zawołała mocno wzruszona—to znaczy, że chcesz nas opuścić. Lecz to być nie może: ty nie możesz, nie powinieneś opuszczać swęj matki i siostry; ja nie zezwolę na to.

— Matko!—wyrzekł rozjątrzony młodzieniec—zwykłaś zawsze opierać się moim życzeniom! Aż dotąd sprzeciwiałaś się méj woli, a teraz chciałaś mi ją całkiem odebrać. Zawsze mi tylko robisz przeszkody. Ale, matko—ciągnął dalej z zapalem—matko, skończyłem już 21 lat,

z czego wypływa, że mam dosyć siły do zwalczenia wszystkich przeszkód, gdyby przyszło do oporu z twój strony.

Anna, równie zdziwiona jak przestraszona, złożyła drżące ręce i zawołała:

— Cóż! niema więc środka pomiędzy małżeństwem, które cię uczyni nieszczęśliwym a wojną, którą życiem przypłacisz?

— Żadnego—powiedział Peryko—albo zostanę i ożenię się, albo pójdę spełnić obowiązek dobrego Hiszpana.

— Dobrze więc! żeń się!—odparła matka głosem stanowczym. Z dwojga złego wolę mniejsze. Lecz pomnij Peryko na to, co ci dziś mówi twa matka: Ryta jest próżną, trzpiotem, obojętną chrześcianką i córką nieczułą. Zła córka, złą będzie żoną, wasza krew odpycha się. Kiedyś wspomnisz moje słowa, Peryko, lecz wtedy zapóźno już będzie.

Wymówiwszy te słowa, szlachetna kobieta, którą łyzy dusiły, odeszła do alkowy, by je ukryć przed synem.

Peryko, który kochał swą matkę z równą czułością jak szacunkiem, uczynił poruszenie jakby chciał ją zatrzymać, lecz bojaźń złączona z niepokojem umysłowym, odjęła mu władzę. Słowa mu na ustach zamarły i chwil kilka pozostał niezdecydowanym. Potem cofnął się porywco, spocone czoło przetarł dłonią i wyszedł.

W tymże czasie, Ryta, po za kratą swego okna, na próżno wyczekiwała Peryka. Niecierpliwość i niespokojność owładnęły jej duszę.

— Przypłaci mi to—szepnęła nakoniec i zamknęła wewnętrzzną okiennicę z gniewem.—Możesz przyjść teraz, a przysięgam, że będziesz czekał dłużej niż ja na ciebie...

W tej samej chwili kamień stoczył się po murze. Był to umówiony znak między niemi; oznajmiał przybycie Peryka.

— Oh! możesz wyrzucić wszystkie kamienie z Dos-Hermanas—pomyślała Ryta—a ja ci więcej już nie otworzę. Sądzisz może, że zależę od twój woli lub zachcianki, żebym stała tam Bóg wie dokąd, jak twój stary osioł? Nie, nie, mylisz się mój synku.

Drugi kamień odbił się o mur z gwałtownością, nie zgadzającą się ze zwyczajem Peryka.

— Ach! ach!—rzekła Ryta—zdaje się, że nasz młodzieniec napięra się... Dobrze! dobrze! żałuję tylko, że nie pada ulęwa. Potém, po chwili rozwagi, dodała: Jeżeli się pokłócimy, to bezwątpienia moja ciotka obłudnica będzie się kąpała w wodzie różanej. A potem będziemy w stanie wydostać z klasztoru córkę wuja Pedra, którą ten chytry starzec trzyma tam jak sardynkę w pudełku, aby ją w końcu sprzątnął za pierwszą sposobnością chrzestnemu synowi Perykowi. Lecz, przysięgam, nie dokonają tego....

Otwierając nagle okno:

— Jestem tu!—krzyknęła. I z gniewem zwracając głos do Peryka, mówiła dalej:—Słuchaj, czyś sobie postanowił rzucać z muru? i dlaczego mię budzisz? Kiedy czekam, zasypiam; a kiedy zasypiam, niech się wynoszą natręty, którzy mię budzą. Wracaj więc zkądeś przyszedł, albo inną drogą, jeżeli ci się to spodoba; co do mnie, wszystko mi to jedno.

Uczyliła poruszenie, jak gdyby zamykała okiennice.

— Ryto! Ryto!—krzyknął Peryko głosem wzruszonym — mówiłem méj matce...

— Ty!—rzekła Ryta, odmykając okiennice—i cóż mi przynosisz? Lecz to jest inny cud! I cóż ci odrzekła ta matka *niemila?*

— Odpowiedziała mi: że mogę się żenić!—zawołał Peryko w uniesieniu radości.

— Lecz cóż powiesz, Peryko, jeżeli ja zmienię swoje zdanie i odpowiem ci: nie!

— Ryto! Ryto!—zawołał Peryko nieprzytomny—nie mów tego; ty chcesz być moją żoną!

— Da się to widzieć—odrzekła Ryta. Wyras *nie* ma tę własność, że: im częściej się doń powraca, tém piękniejszym się nam wydaje....

Temi żarcikami Ryta zupełnie zatarła w Peryku uroczyste wrażenie, jakie na nim sprawiły słowa ukochanej matki.

* * *

Wracając, nasi dwaj młodzieńcy znaleźli Elwirę i Rytę oparte, każdą w rogu bramy. Miały na sobie mantyle obszyte czarnym aksamitem, które były wówczas w modzie

u kobiet wiejskich, tak jak dzisiaj szale wełniane. Twarze ich były zakryte, oprócz oczu i czoła.

Przywitawszy dziewczęta, Peryko rzekł do swęj siostry:

— Elwiro, miej się na baczności!, bo ci twój ptaszek uleci. I dobrze zamknij klatkę..... Możeby i jemu zachciało się polecieć na spotkanie tych smoluchów *Gabachos* (1), którzy chcą weisnąć się do nas i narzucić nam swe prawa?

— Chodzi nawet pogłoska,—dodał Ventura, że przybliżają się do Sewilli. Czyż więc godzi się, abyśmy jak te martwe posągi pozostawali w spokoju, z założonemi rękoma?

— Ah! Chryste Jezu!—rzekła z westchnieniem Elwira: spodziewam się, że nie dopuścisz na nas takiego nieszczęścia. Nie wspominaj mi już o tém przynajmniej. O święta Anno, moja patronko, wyswobódź nas od tęj klęski; a na ofiarę złożę Ci, co mi jest najmilszém:—własne włosy splecione w warkocze, z piękną błękitną kokardą, poświęcę Ci na ołtarzu.

— A ja,—powiedziała Ryta—ofiaruję świętęj dwa wazonny gwoździków, do jęj kaplicy, abyście jak najprędzjęj sobie wyruszyli, a wrócili jak można najpóźniej.

— Oh! nie, nie mów tego, przestań żartować—zawołała Elwira głosem błagającym.

— Cóż ci to szkodzi!—dodał Ventura—niech sobie mówi. Czy myślisz że święta nie przełoży warkoczy z twych pięknych włosów nad jęj bukiety?

W tęj chwili zbliżyła się dobra Marya. Marya, starsza od swęj bratowęj, miała ze sześćdziesiąt lat wieku; ale ponieważ była małą i szczupłą, a kobiety wiejskie zwykle wcześniej się starzeją, znacznie starszą się wydawała. Marya otuliła się w mantylę i drżała jak w febrze.

— Dzieci!—zawołała widząc je przed bramą - już noc zapada. Jak możecie tak ziębnąć?

— Ziębnąć!—zawołał Ventura, odpinając koszulę;—pałam z gorąca. Zimno może być tylko w twoich kościach, moja ciociu.

(1) Hiszpańskie *Gabachos* znaczy dosłownie: brudny i obrzydliwy. Dawniej to miano dawano niektórym mieszkańcom pirenejskim; później rozciągnięto je do wszystkich Francuzów, w skutek gwałtów i bezprawiów, jakich ci dopuszczali się podczas napadu Hiszpanii za Napoleona I-go.

— Nie żartuj ze zdrowiem mój synu—odpowiedziała dobra kobieta—i nie ufaj temu żeś młody, bo śmierć nie będzie zaglądać do twój metryki. A wiatr z północy tnie jakby ostrzem i powtarzam ci, że łatwiej od niego dostać w spadku zapalenia płuc, niż jakie bogate dziedzictwo w Indjach.

Mówiąc to, weszła do domu. Wszyscy téż poszli za jej przykładem, oprócz Ventury, który udał się za interesami.

Zastali Annę siedzącą przy braseru (1), którego dziś nie obsiadło, jak to zwykle bywa w zimie, kółko rodzinne. Izba obszerna, na podłodze były porozkładane słomianki i dywaniki okrągłe o długim włosiu. Na około stały krzesła i wysokie ławki z poręczami. Stół jodłowy, na którym paliła się duża lampa, i fotel skórzany dopełniały skromnego umeblowania. W alkowie widziéć można było łóżko, rzezbione na sposób starożytny, okryte białą kapą z długimi frendlami, spadającemi do ziemi, cedrową szafę na zdobnych rzezbionych nogach, i mały także cedrowy stolicek, na którym umieszczono statuę Matki Boskiej Bolesnej, pod szklannym kloszem na mahoniowym piedestale; oraz kilka książek treści religijnój, jak *Korona mistyczna* i *Żywoty Świętych* Ojca Baltazara, Bosch Centellos.

Gdy się już wszyscy zgromadzili, licząc w to i przyjaciela Pedro, zaczęto odmawiać różaniec. Po skończonej modlitwie, Anna wzięła wrzeczono i prząść zaczęła, Elwira zabrała się do pończochy, a Pedro, usiadłszy w wielkim fotelu, zapalił cygare. Peryko piekł kasztany na węglach i dawał je do jedzenia Rycie. Dobra Marya odmawiała cicho różaniec, drzemiąc naprzemiany.

— Pójdźmy—rzekł Peryko—już sucho na dworze, ziemia jak skała, a niebo czerwieni się. Zeszłego roku o tój porze, takie były ulewy, że nie było już widać gołej ziemi, a trawa jak najpiękniej porosła.

* * *

Nazajutrz Anna smutna była i pogębiona, cała pogrążona w myślach, gdy nagle ujrzała wchodzącego wuja Pedra.

(1) *Brasero* jest to naczynie z miedzi lub innego metalu, w które kładą żarzące węgle i umieszczają na środku pokoju. W Andaluzji i wielu innych okolicach, gdzie jak wiadomo nie ma pieców, jest to jedyny sposób ogrzania się w porze zimnej.

— Jak się macie kumo—zawołał—otóż i i jestem.

— To dobrze kumie.

— Ale ja przyszedłem w celu rozmówienia się z wami.

— Mówcie kumie, i to jak można najkroćej.

— Otóż kochana kumeczko: uroiło się temu trzpiotowi Venturze iść i chce się dać zabić tym przeklętym Francuzom, których niechaj Bóg skarże!

— Na miłość Boską! kumie! wprawdzie są to nasi nieprzyjaciele w otwartym boju, ale pocóż ich przeklinać? Perryko chciał się także przeciw nim zaciągnąć: bolesne to, straszne dla nas, ale bardzo naturalne.

— Nie przeczę temu kumo (niech tam piorun spali tych bezecnych Francuzów), ale znowu jest to mój syn jedyny, którego bym nie chciał przecież utracić, bo nie oddałbym go pono za całą Hiszpanią. Ale kumo — znalazłem jeden środek dla powstrzymania go, i z tém właśnie przychodzę do was.

Mówiąc to, Pedro wygodnie się usadowił w wielkim skórzanym fotelu, starannie zawinął końce swego płaszcza, przysunął nogi do ognia i rozgościł się jak można najlepiej.

— Kumo—rzekł z tonem téj obfitości wyrażen, właściwej wielkim gadułom;—nienawidzę wszelkich wstępów, które służą jedynie do wypróbowania języka. Rzeczy lubię zawsze traktować krótko a jasno. Taki to już mój system. Dlaczego mówić godzinę o tém, co można skończyć w pięciu minutach. Co można dziś zrobić, po co odkładać do jutra? Ze wszystkich dróg, wiadomo że najkrótsza jest najlepsza; przejdźmy więc do rzeczy, bo nie mogę znieść wszelkich wykrętów ani...

-- Doprawdy, kumie, zaprzeczam temu co mówisz—wyrzekła Anna przerywając mu.—Przejdź więc do rzeczy, bo odkąd tutaj przyszedłeś, trzymasz mię jak na śpilkach.

— No, no, umiarkuj się kumo, nie jestem twoim nieprzyjacielem, przecieżto za pomocą mowy ludzie się porozumiwiają. Nikt nas nie ściga do licha! Jesteś moja kumo żywszą od iskry, prędszą niż błyskawica. A więc, mówiłem wam, że znalazłem jeden tylko środek powstrzymania téj racy, która ma chętkę ulecieć. Trzeba zrobić krok, który wcześniej czy później uczynić należy: jedném słowem, bez wszelkich przemów, przychodzę prosić o twoją Elwirę dla

mego Ventury; i chciałbym ażebyś zięcia którego ci ofiaruję tak mile przyjęła, jak ja pragnę twoją Elwirę powitać jak najprędzej jako swoją synowę.

Anna nie ukrywała radości, jaką jej sprawiało oświadczenie związku tak odpowiedniego pod każdym względem, a upragnionego zarówno przez rodziców jak i przez dzieci.

Nasi kumowie, jako ludzie dostatni, przystąpili teraz do ułożenia warunku aktu ślubnego.

— Znaście dobrze kumie,—powiedziała Anna—całe nasze bogactwo. Idzie tylko o podział. Dom ten z prawa należy do najstarszego syna; winnica do Peryka, on ją bowiem ulepszył i wysadził nowemi latoroślami; krowy oddaję mu także, gdyż będzie miał o mnie staranie i pieczę do końca mego życia. Zda mu się i osioł dla....

— Ależ, na Boga—przerwał Pedro—powiedzcie mi, jeśli łaska, kumeczko, co zostanie dla Elwiry, bo tak postępując jak zaczęłaś, zdaje mi się że wyjdzie ona z rąk waszych jak nasza matka Ewa, (którą niech Bóg ma w swęj opiece) wyszła z rąk Stwórcy.

— Elwira będzie miała ogród oliwny.

— Na honor, dziedzictwo prawdziwie książęce! Cudownie! Ogród oliwny nie większy od chustki do nosa, z któregooby może nie wystarczyło oliwy do lampki przed Najświętszym Sakramentem.

— Dwadzieścia lat temu—wtrąciła Anna—ogród ten przynosił przeszło sto arrobów (1).

— Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr; dwadzieścia lat temu wszystkie dziewczęta szalały za mną.

— Chyba czterdzieści.

— Bardzoś złośliwa kochana kumo; ale do rzeczy. W waszym ogrodzie oliwnym brakuje więcej drzew, niż włosów na głowie świętego Piotra, a pozostałe są tak liche i nędzne, że wyglądają jak lichtarze przy mszy w Wielki Piątek.

— E! z tego co mi mówicie, widać żeście go już dawno nie widzieli. Od chwili bowiem, kiedy Peryko dowiedział się, że ogródek ten ma należeć do jego siostry, zajął się nim starannie, oczyścił, i dziś każde w nim drzewko jest pielęgnowane, jak kwiatek w doniczce. Elwira będzie miała

(1) Arrobe jest miarą do mierzenia płynów: zawiera $16\frac{1}{10}$ kwart.

jeszcze w dodatku kawałek ziemi, przyległej ogródkowi, przez którą strumyk przepływa.

— Ależ zwróćcie uwagę kumo, że ziemia ta nigdy nie rodzi, bo ten strumyk pół roku jest wyschnięty, a pół bez wody. Co do mnie lubię żeby siano było sianem, a wino winem; otrąb w sianie, a wody w winie nie lubię. Grunta te są nieżyzne i leżą odłogiem, i chyba osioł mógłby się na nich czém pożywić. Ale mówiąc między nami, bo nikt nas nie słyszy, nie sprzedaliście to kumo łońskiego roku, dwóch tucznych wieprzów, z których każdy ważył po 15 arrobów (1), funt po 2 złote przeszło? sto firtelów (2) jęczmienia po 15 realów (3), sto łagwi (4) wina i pięćdziesiąt octu? A więc, czy nie dobra nadarza się teraz właśnie sposobność wydostać na świat te pieniądze, które zapewne leżą w szafie i starannie zamknięte. Kiedy jego królewska mość Karlos IV przybył do Heres podano mu wyśmienite wino, ach, co za wino! nie takie pewno jak z waszjej winnicy. Król, dobry znawca, wychwalał je w wyrazach pełnych zadowolenia. Wtedy alkajde (5) który rósł z radości i pychy, (bo trzeba wam wiedzieć, że ci Herejczycy są dumniejsi z wina swego, niż ja ze swego syna), wtedy alkajde, mówię, rzekł: „Najjaśniejszy Panie, niech wasza królewska mość wie, że mamy jeszcze lepsze!” — „Tak?” — powiedział król; — „a to się wam zda na lepszą sposobność!” Tak i wy teraz zróbcie kumo.

— Ach kumie, przecież te pieniądze i inne jeszcze, nie dla kogo innego chowam, jeno dla Elwiry, mojej najukochańszej córki.

— No to tak gadajcie, to mi rzecz! — zawołał Pedro uradowany. Kumo, na honor, warta jesteś całego Peru. Co zaś do Ventury, wszystko co mam, jest jego, bo Marcela, jak wiadomo, ma wstąpić do zakonu. Mój syn także przecież nie obdarty: a najprzód mój dom...

(1) Arroba, waga 25 funtowa.

(2) Firtel = półowiatki.

(3) Real znaczy 15 groszy.

(4) Łagiew naczynie skórzane do wina; łagiew wina waży około 25 funtów.

(5) Alkajde, urzędnik po miastach w Hiszpanii.

— Istny kurnik—dorzuciła Anna.

— Dalej, moje oślice...

— Stare jak świat — znów przydała Anna.

— Dalej, moje kozy...

— Te więcej dają nawozu, niż mléka, séra, i kozłat.

— Dalej, mój sad—ciągnął cierpliwie Pedro nie odpowiadając na naigrwania Anny, która tym sposobem od-dawała mu wet za wet...

W podobnym tonie ciągnęła się rozmowa długo, aż Anna i Pedro zawarli umowę co do dzieci swoich jako najlepsi w świecie przyjaciele.

Po odejściu Pedry, Anna wzięła na siebie mantylę i przewyciężając swą boleść i wstręt prawdziwy, udała się do domu Maryi.

Marya, która dla bratowej żywiła w swém sercu uczucie przywiązania i wdzięczności, jak również szacunku i uwielbienia, powitała ją z radością.

— Błogosławione oczy które cię tu widzą--zawołała, widząc ją wchodzącą. Cóż za dobra myśl sprowadza cię do mnie?

I pośród tych wykrzykników pośpieszyła podać jej krzesło.

Anna usiadłszy objawiła jéj cel swych odwiedzin.

Ta wiadomość napełniła taką radością serce biednej wdowy, że nie umiała nawet wyrazić swego szczęścia.

— O! moja siostrze!—wołała przerywanym głosem. Co za szczęście! Peryko! to dziecię méj duszy! świętemu to Antoniemu winnam takie błogosławieństwo! A cóż Anno, jesteś z tego zadowolona? Widzisz moja siostrze, Ryta jest lekkomyślna; ale w gruncie dobra dziewczyna: jest może trochę za samowolną, ale to jedynie z mojej przyczyny. Byłaby inną gdybym ją była wychowywała jak ty swoją Elwirę. Moja Rytko trochę za płocha, ale zobaczysz z czasem wszystko się zmieni, i jak pójdzie za mąż będzie zupełnie inną. Wszystko to niestety, z mojej słabości i skutkiem jéj młodego wieku. Ryto! Ryto! przybawaj, twoja ciotka jest tutaj; co mówię? raczej twa matka, bo cię chce połączyć ze swym synem.

Ryta wstała, sztywna jak bankier, poważna jak dyplomata.

— Co mówisz?—zawołała matka uniesiona.

— Że o tém wiedziałam—odpowiedziała zimno Ryta.

— Otóż masz—rzekła matka półgłosem: wymuszonas bardziej niż księżna jaka, a posepniejszaś od sowy.

— A więc chce matka, abym tańcowała fandanga (1), że mam iść za męż,—odpowiedziała Ryta głosem podniesionym.

Anna wstała i wyszła.

Marya do żywego tknięta niepoprawném postępowaniem swęj córki, odprowadziła bratowę aż na ulicę oświadczając jęj wdzięczność swoję i przywiązanie.

* * *

Wzięto się więc z zapałem do przygotowań godowych; ułożono, żeby wesele Elwiry z Wenturą obchodzić pierwęj niż zaślubiny Ryty i Peryka, gdyż ci nie mieli jeszcze pozwolenia z Rzymu.

Pedro chciał żeby córka jego była na ślubie brata przed wstąpieniem do zakonu; wskutek czego postanowił jechać po nią do Alkali. Marya miała tam właśnie odebrać sumkę należną, której jak raz potrzebowała. Postanowiła więc udać się w tę podróż razem ze starym przyjacielem.

Nasza tedy para, wsiadłszy na osłów, pojechała z Dos Hermanas do miasta. Przed tym jeszcze, przeżegnali się i pomodlili, szczerze i po chrześcijańsku prawdziwie do św. Rafaela archanioła, patrona wszystkich podróżnych.

Marya usadowiwszy się wygodnie na siodle, miała na sobie szeroką suknię indyjską, zfałdowaną około pasa i czarny kaftan wełniany z wązkiemi rękawami zapinającemi się na mankietkach za pomocą srebrnych guziczków. Na szyi chustkę muślinową białą, zapiętą na śpilkę, aby nie obcierała się o włosy. Było w tém niby jasnowiedzenie przyszłej mody, mającej w trzydzięci lat później panować pośród najpierwszych elegantek. Mała woalka z końcami związanemi pod brodę okrywała jęj oblicze.

Pedro nosił prawie taki sam ubiór, jakiśmy opisali, mówiąc o Venturze. Tylko sukno było grubsze, a pas był z czarnej włóczki, jak przystało na wdowca; prosty kape-

(1) Fandango jest rodzajem tańca w Hiszpanii.

lusz, o szerokich skrzydłach, nie był już zalotnie na bok przechylony.

— Jakież to dzień piękny—mówiła Marya—pola rozkwitają, a słońce zdaje się im mówić: rozweselcie się.

— Tak—odrzekł Pedro—jasnowłosy F'ebus ogarnął sobie kędziory na skroniach i naostrzył promienie, kłujące jakby śpilki; następnie wyciągnął z kieszeni kapciuszek z tytoniem z króliczjej skóry i zrobił sobie cygaretkę.

— Maryo—przemówił po chwili Pedro, wiesz co przychodzi mi na myśl, że powrócisz z Alkali z próżnemi rękoma. jak jedziesz. Ale powiedz mi, co za zły duch cię natchnął, żeś ty, taka chrześcianka pożyczyla pieniędzy temu hołyszowi? Alboż nie wiedziałaś, że on nie miał nawet głowy gdzie skłonić?

— Lecz pomnijcie—odpowiedziała Marya—że właśnie biednym się pożyczca, bogaci tego nie potrzebują, a zresztą to przyjaciel.

— A nie wiesz-to, dobra duszo, że ten co pożyczca przyjacielowi utraci i pieniądze i przyjaciela. Ale ty Maryo, zawsze dasz się złapać na wędkę. Ja ci mówię, że on ci zapłaci w trzech terminach: późno, źle i nigdy.

— Zawsze przypuszczasz rzeczy najgorsze.

— Prawdę jest, że mi się to udaje—odpowiedział przebiegły starzec—zresztą jestto przysłowie: myśl źle, a powiedzie ci się.

Następnie zaczął sobie nucić romanse na temat ogólnie znany.

Było to jakoś około drugiej z północy,

A historyjka to arcy ciekawa,

Wnet też ją wam rozpowiem.

Marya umilkła upojona świeżem powietrzem. Kołysana łagodną jazdą siedząc na siodle drzemała.

W połowie drogi stał dom zajezdny. Kiedy nadjechali ujrzeli żołnierzy niedbale rozkładających się na ceglanych ławkach, przed drzwiami. Zoczywszy przybliżających się podróżnych, zaczęli z nich żartować.

— Wuju! dokądże to wybraliście się w tym wielkim poście?

— Ciotko!—rzekł drugi—czy jeszcze istnieje ten kościół, w którym cię chrzczono?

— Ciotko!—dodał trzeci—czy pamiętasz aby swoje wesele?

— Wuju!—pytał czwarty—czy jedziesz do Alkali na ślub z jaką młodą dziewczyną?

— Nie—odpowiedział Pedro—złaząc powoli z osła, czekam aż trochę rozumu nabiorę, a dziewczę urośnie.

— Ciotko, może chcesz, żebyśmy ci pomogli zsiąść z tego paradnego rumaka?

— Byłoby to wcale nie źle—odrzekła dobra kobięcina.

Przybiegli natychmiast i ofiarowali jej swe usługi, uprzedzając jedni drugich.

Pedro zastał w oberży wielu starych znajomych, ci go wciągnęli między siebie i musiał z niemi szklanice wychylać.

— Teraz—rzekł—na mnie kolój zapraszać. Moi kumowie i wy mości panowie, których znam chyba dla tego, żeby ich poczęstować, zrobicie mi przyjemność i zaszczyt, gdy wypijecie szklanke anyżówki za moje zdrowie.

— Wuju Pedro—mówił jeden młody wojak z Dos-Hermanas—opowiedz nam jaką historyjkę, a ja przez ten czas będę ci szklanke wciąż napełniał, ażeby ci nie było sucho w gardle.

— Ach Jezu!—zawołała Marya łyknąwszy kroplę anyżówki i usiadłszy na workach z jęczmieniem—jeśli się Pedro rozgada, to dziś nie zajdziemy do Alkali, chyba, gdyby się znów stał z nami cud Jozuego.

— Nie bój się Maryo—odrzekł Pedro—mogę ci przyrzec, że nie będziesz siedzieć na tych workach aż do sądu ostatecznego.

— Czy to prawda, wuju Pedro—spytał wojak—że w dawnych czasach, kiedyście to oboje byli młodzi, byłeś pierwszym konkurentem Maryi? słyszałem to z ust mojej matki.

— A naturalnie—odparł Pedro—i to mi zaszczyt przynosi.

— Kłamstwo!—krzyknęła ciotka Marya—równe temu, jak gdyby ktoś powiedział, że ztąd widać moje domostwo.

No, no, Pedro, zkadże ci znowu te przechwałki! W całym życiu nikt się o mnie nie starał, jeno mój mąż, święć Panie jego duszy.

— Matko Maryo! matko Maryo! jakże masz pamięć krótką! wiedz bowiem, że można królowi odebrać koronę i zrzucić go z tronu, ale nigdy nie odejmiesz mu chwały, że panował.

— To prawda — odpowiedziała Marya — że mi nadska-kiwał na weselu mojej krewniaczki, i że raz wieczór, przyszedł pod kratę mojego okna. Ale tak go przestraszono, że uciekał, jakby mu do nóg przypięto skrzydła i ręce, że się nie zatrzymał póki nosem nie zarył o ziemię.

— Czy to być może? — zawołali wszyscy głośno śmiejąc się na całe gardło; — takto uciekałeś ze strachu wuju Pedro!

— Nie myślę się weale chełpić — odrzekł spokojnie — i nie chcę być wyższym od św. Piotra.

— To dowodzi więcej bojaźni niż wstydu — odparła ciotka Marya, zaczynając się już niecierpliwie.

— Patrzenie mości panowie — rzekł Pedro przymrużając oka, z miną figlarną — ona mi jeszcze tego nie wybaczyła. I cóż dziwnego! miała słabość do mnie! Chciałbym jednak wiedzieć, dodał, kto z was jest nowym Cydem Kampeadorem, i ktoby się nie uląkł ducha z tamtego świata.

— Nie masz nic dziwniejszego jak twój strach, — przerwała Marya — kamień poruszony przez jakąś brykę furmańską, ot i cała tajemnica.

— Opowiedz nam to wuju Pedro, a my będziemy sędziami nieporozumienia waszego — zawołali wojacy.

— Otóż tedy, mości panowie, wiécie lub nie wiécie, że krata, o której wspomniała Marya była w miejscu samotnym i oddalonym i wychodziła na wieś gdzie się miasteczko kończyło.

Niedaleko ztamtąd był obraz przedstawiający dusze w czyscu. Przed nim paliła się lampa. Na widok jej światła, przyszedł mi na myśl wypadek, jaki się zdarzył nieco dawniej. Pastérz jeden, noce całe przepędzał przed tym obrazem z próznymi bukłakami (1), i te nazajutrz rano znajdo-

(1) Naczynie skórzane na napoje.

wał pełne mléka. Zwykle zniżał lampę i zapalał u niej cygara, nie sobie z tego nie robiąc. Aż raz w nocy, a było to w *Zaduszki* spuścił lampę jak zwykle, alisci tą razą nie mógł już zapalić cygara, gdyż światło zgasło. Dziwiło go to nie pomaha, czas był bowiem pogodny, nawet najmniejszy powiew wiatru nie potrzącał liści.

Posunął lampę do góry i odszedł w swoją drogę, lecz jakież było jego zadziwienie, gdy w kilka chwil potem, odwróciwszy głowę, ujrzał lampę zapaloną, a do tego płonąca tak żywo, jak nigdy jeszcze.

Poznał, że był w tém palec boży, i żalując swego grzechu ślubował, dla ukarania się, że nigdy przez całe życie, nie będzie zapalał cygara. I trzeba wam wiedzieć, mości panowie—dodał Pedro poważnie,—że słowa dotrzymał.

Pedro umilkł, a nikt mu nie przerwał.

— Wypadek ten zasługuje na uwagę;—wtrąciła Marya po chwili, bo wszyscy od razu zamknęli usta, jak gdyby anioł przeleciał nad niemi, a powiew jego skrzydeł przejął wszystkich niemém uszanowaniem.

— No, Pedro, kończ-że nam tę opowieść—wykrzyknęli chórem wojaćy.

— Otóż mości panowie—ciągnął Pedro—wiedźcie że ta lampa natchnęła mię uszanowaniem połączoneń z pewną trwoga. Dobrzeż to, myślałem sobie, przyjść i tak wdychać w obliczu dusz świętych, co cierpią i pokutują! Zapewniam was, moi przyjaciele, że światło to płonące na cześć zmarłych wzruszyło mię do głębi. Zdało mi się, że czuwa i pamięta, że spogląda na mnie i mnie oskarża. Jużto widziałem je smętne i płaczące, coś nakształt *de profundis*, jużto zdało mi się nieruchomem, jakby oko trupa jużto znowu przedłużało swój płomień i kierowało się ku mnie jakby palec ognisty, groząc, że mnie ukarze i zgromi. Otóż, jednej nocy, gdy uważałem że światło jest groźniejszem i straszniejszym niż zwykle, kamień, wymierzony ręką niewidzialną uderzył mię w głowę tak silnie, że zostałem ogłuszony, a gdy chciałem uciekać, widziałem dokoła siebie czyste jeno pole. Podzielałem tedy smutny los owego murzynka, który mając przed sobą troje drzwi do wyjścia, nie trafił do żadnych, tak że biegnąc zapamiętałe, zamiast dostać się do domu, przybyłem na plac gonitw.

— Wuju Pedro—powiedział jeden ze zgromadzonych — często słyσαμε mówiących o tym murzynku i o jego losie, lecz nie znam jego historyi. Czy nie mógłbyś nam tego opowiedzieć?

— Owszem — odrzekł wuj Pedro — lecz jestto bardzo znana historya.

Był tedy murzyn bardzo bogaty, a mieszkał naprzeciw młodej i szlachetnej pani, w której się zakochał szalenie. Widząc, że obcy mężczyzna nieustannie zwraca na nią baczną uwagę i ściga ją, opowiedziała rzecz całą mężowi. Mąż doradził jej wyznaczyć murzynowi schadzke na noc przyszłą. Tak się też i stało. Murzyn przybiegł, niosąc z sobą bogate podarki. Wielka pani przyjęła go z udaną uprzejmością w pokoju, z którego wychodziło troje drzwi, i w nim wspaniała zastawiono ucztę. Nasz murzyn, jak sobie łatwo wyobrazić, w wybornym był humorze. Zaledwie atoli siedli do stołu, światła pogasły, a mąż wszedł nagle z porządnym korbaczem w rękę i dalejże smagać nim plecy nieproszonego gościa, a ten obracał się na wszystkie strony, nigdzie nie mogąc spostrzedz drzwi dla wymknięcia się, i za każdym razem kręcił się jak na śpilkach, krzyząc: Biędny murzynku! jakiż los twój smutny! Troje jest drzwi a nie możesz do żadnych trafić! Nakoniec natrafia na jedne z nich i naturalnie chce się wynosić co prędzej, lecz w tém mąż zastępuje mu drogę z tyłu i zrzuca go na dół ze schodów. Na krzyk jego budzi się służący. pyta: kto tu? — To znaczy — odrzeczcie nieszczęśliwy, — iż jestem ukarany, wszedłszy lekko na palcach, a schodzę teraz ciężko na grzbiecie.

— Wuju Pedro! — powiedział śmiejąc się młody wojak i czyż to dla tego pokłóciliście się oboje?

— Oh! nie — odpowiedział Pedro — w ośm dni potém, uzbroidem się w odwagę i powracałem do kraty, ale już mi Marya okna nie otworzyła.

— Zapewnie dla tego, że nie chciała, byś zginął jak święty Stefan.

— Nie o to tu chodzi, mój chłopcze. Prawda że Miguel Ortiz skończył czas swój służby; porzucił płaszcz wojaka, powrócił do miasta, ale Marya sądziła, że lepiej będzie dać mu odkosza, wybierając drugiego, który...

— Nie bał się—przerwała Marya—rozmawiać z dziewczyną, dobre mając zamiary, tuż przed tym obrazem przedstawiającym cierpiące dusze. Czyż sobie wyobrażasz że trafem wszystkie te dusze były bezżenne?

— Tak sędzę, Maryo, bo ludzie żonaci już mają czyścice na tym świecie: kobiety gotują go dla mężczyzn, a matki dla synów.

— Prawdą jest, mości panowie, że na nieszczęście nie mógł zostać w Dos-Hermanas w dzień wesela mego rywala i schroniłem się do Alkali.

— Gdzie—dodała Marya—tak o mnie pamiętał, iż się niebawem ożenił z drugą.

— Rzecz jasna—odpowiedział Pedro—gdyż zawsze miałem to na myśli, że po śmierci króla, trzeba będzie króla nowego.

— No, jedźmyż już, ty wieczny gaduło—rzekła Marya wstając.

— Tak jedźmy—dodał Pedro—bo słońce tak dogrzewa, że, jak sędzę, deszcz będzie padał.

— Zachowaj nas Boże od niego—krzyknęła Marya—wolę raczej muchy i słońce dojmujące.

— Do zobaczenia, moi przyjaciele!

— Jakże ci się śpieszy, ciotko Maryo!—rzekł jeden—czy się boisz żebyś do ziemi nie przyrosła?

— Nie, Józefie, tylko że nasze osły nie chodzą tak prędko jak wasze muły.

— To pewna—odpowiedział Pedro podsadzając Maryą—że tutaj wszystko jest stare: kawalerowie, jeźdźcy i bydłęta. Mój osioł jest tak stary, że nie wie na którą rzeczywistość nogę kuleje, gdyż kuleje na wszystkie cztery, a osioł Maryi jest taki staruszek, że gdyby mógł mówić, byłby niewątpliwie nam wszystkim *tykał*. Do widzenia, mości panowie!

— Szcześliwój drogi i prędkiego powrotu! wuju Pedro.

Po takim odpoczynku, nasza para puściła się w dalszą drogę; przybywszy do Alkali, każde udało się za swoim interesem.

Wgodzinę potem wrócili. Pedro przyszedł z córką. Marcella rzuciła się z radością i rozrzewnieniem w objęcia Maryi; Marya obsypała ją pieszczotami.

— No, cóż, odebrałaś swoje pieniądze?— zaraz zapytał Pedro.

— Ofiarowali mi— odrzekła Marya— teraz tylko połowę, albo wszystko we żniwa, a że mi potrzeba teraz, przeto wzięłam choć połowę.

— Dobrze, Maryo, dobrze! bo szczęśliwy ten, kto choć cokolwiek posiada, i lepszy wróbel w garści niż dziesięć na dachu.

Pedro wsadził córkę na osła i wszyscy wrócili do Dos-Hermanas. Marya chowała swoje pieniądze, Marcella zaś kwiaty, ciasta i łakocie, które w podarunku wiozła, a Pedro czuwał nad niemi.

*

Przybycie Marcelli* obudziło wielką radość, Ryta tylko nie mogła ukrywać niechęci z obecności tej, którą obie rodziny przeznaczyły były na żonę Perykowie. Marcelli nigdy nawet na myśl nie przyszło żeby mogła dać jaki powód do urazy Rycie. W dzieciennój prostocie nie pojmowała wcale tego uczucia. Od kołyski niemal przebywając w klasztorze i wychowana w małym kółku rodzinnem; patrzyła jakby przez mgłę na zabiegi i namiętności życia, nie stawiając ich wyżej nad niewinność i szczęście. Ukochała sercem całym poczciwe zakonnice, swój ogródek, cichą pracę polubiła; przywiązała się do pobożnej modlitwy, do swego kościoła i do świętych obrazów. Wstąpiła do klasztoru nie z egzaltacyi, lecz z zamiłowania, nie z nienawiści ku ludziom, lecz z własnej chęci; nie dlatego żeby nie mogła znaleźć w świecie odpowiedniego sobie miejsca i wygodnego utrzymania, lecz dla tego, że uważała za lepsze wszystko co klasztorne.

Tego to właśnie wielu ludzi nie rozumie, lub udaje, że o tém nie wie. Wszystko da się wytłumaczyć na tym świecie: występki, nierząd, najdziksze wybryki, ludożerstwo nawet; lecz niepodobna wytłumaczyć skłonności do życia cichego, w ukryciu, bez troski o terażniejszość i bez niepokoju o przyszłość.

Wszystkiemu na świecie można wierzyć; są tacy, co wierzą wolnej kobiecie, w moralność złodzieja, w filantropią gilotyny; są tacy, którzy wierzą w mieszkańców na księżycu, we wszelkiego rodzaju *puffy*, jak mówią Anglicy, albo *kaczki*, jak mówią nasi sąsiedzi, albo wreszcie w *bolasy* i *patranasy* (bezczelności i głupstwa), jak my mówimy.

Sceptyczna satyra, co ją światem nazywają, niszczy i pożera wszystko, nie ma bowiem nic łatwowiejszego jak niedowiarstwo, ani nie zabobonniejszego nad bezbożność; lecz nie wierzy w poczucie czystości, w skromne wymagania, korne serca, ani w uczucia religijne. Ludziom naszej epoki, chcącym być wyrazem opinii publicznej i nią kierować, kobieta pragnąca ciszy zakonnej wydaje się kozłem ofiarnym, albo potworem, wymykającym się z pod ogólnego prawa przyrody i targającym najświętsze węzły swego powołania. Tak, o filozofowie, prawdziwie są one godne i szlachetne, wasza intuicya stworzyła kobietę emancypowaną, a wyparliście się niewiasty pobożnej, pokornej, niewinnej! Wynście się, wynście się het tam, za Pireneje: zasady wasze rozwiozły są i bezbożne. W Hiszpanii nie znajdziecie ludzi naukowych tak ograniczonych, żebyście ich mogli oszukać, ani dusz tak słabych, by na nie wasza przewrotność mogła oddziaływać.

Marcella po raz pierwszy w towarzystwie Anny i Elwiry wyszedłszy z domu, pierwsze swe kroki skierowała ku kościołowi i kapliczce św. patronki miasteczka. Poczciwa zakrystyanka oprowadzała je. Kaplica była długa a ciasna; w głębi znajdował się ołtarz św. Anny, a na stopniach mogłeś ujrzeć w kuli kryształowej drewniany krzyż i dzwonek.

Obraz św. Anny widocznie był bardzo starodawny. Wyobrażał ją z Najświętszą Panną na ręku w sposób, w jaki zwykle przedstawiają Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus.

Naprzeciw muru, po prawej stronie, wisiały dwa wielkie obrazy, z których jeden przedstawiał anioła, ukazującego się dwom dziewczynkom; drugi zaś, też same dzieci obok człowieka, kopiącego rów w dzikięj i samotnej puszczy. Po prawej stronie widać było żelazną kratę, otaczającą groby kościelne, do których schodziło się po małych schodkach.

Marcella i jej towarzyszkę po nabożeństwie usiadły w cieniu altany na niskich stołkach, które tylko co zakrystyanka im przyniosła. Marcella uprosiła zakrystyankę ażeby opowiedziała jej treść wielkiego obrazu, znajdującego się w kaplicy. Poczciwa staruszka, której to właśnie było na rękę, rozgadała się na dobre i w te odczytywała się słowy: „W czasach zamierzchłej przeszłości panował w Hiszpanii Don Rodryg, człowiek rozwiozłych obyczajów; pod owe

zaś czasy zwyczajem było, że wszyscy magnaci przysyłali na dwór swe córki. Jak raz, zdarzyło się, że szlachetny hrabia Don Julian, wyprawił tam swą córkę, piękną Floryndę; ujrawszy ją król, zapłonął ku niej gwałtowną namiętnością. Ale Florynda była cnotliwą, jak na stan jej przystało; król tedy postanowił gwałtem dopiąć tego, czego nie mógł pozyskać po dobrej woli. Zniesławiona piękna Florynda, posłała do hrabiego list, skreślony łzami i krwią: „Ojczy, ty i ja jesteśmy zhańbieni. Dla ciebie byłoby lepiej, dla mnie pożądańszém, gdybys mógł raczej mię zabić, niżeli tu wysyłać. Pomścij się zniewagi tobie i mnie zarazem wyrządzonej.”

„Hrabia, gdy na list ten rzucił okiem, zbladł jak chusta i padł bez zmysłów. Przyszedłszy do siebie, przysiągł na rękojeść szpady, że poszuka zemsty tak straszliwej, o jakiej dotąd nikt nie zasłyszał nawet: jakiej wymaga wielka zniewaga. W tym celu porozumiał się z Maurami, oddał im Taryfę i Algesiras, a tłumy ich, niby gwałtowne wód bałwany przerywające tamy, zalały Andaluzją.

„Przybyli wkrótce do Sewilli, nazwanej wówczas Hispolis, a którą oni znowu nazwali Oryfo. Chrześcianie, przedtém niż pomyśleli o własném ocaleniu, schronili pod ziemię czczony obraz swęj patronki św. Anny. Zostawał on tam przez lat 500, dopóki święty król Ferdynand, pan kraju, wypędzając zeń Maurów, nie obległ Sewilli: Maurowie stawili tak mężny opór, że król zwątpił o wygranęj. W tak smutném położeniu, w wieżach *Herveros*, dziś już rozwalonych, ukazała mu się święta nasza Matka, ożywiając w nim odwagę i obiecując zwycięztwo. Tak pocieszony bohater odstąpił od oblężenia i przeniósł się do swych królewskich posiadłości do Alkali. Tam kazał się zebrać wszystkim artystom, jakich tylko mógł znaleźć, rozkazując im zrobić obraz zupełnie taki, jaki widział we śnie; lecz żaden z nich nie przystał na to, co bardzo zasmuciło króla.

„Wkrótce potém przybyło doń dwóch młodzieńców, niezwykłej piękności w szatach pielgrzymich i przyrzekli mu wykonać żądany obraz. Król uniesiony radością, zawiódł ich do swego namiotu, gdzie się znajdowało wszystko potrzebne do malowania. Wiedziony gorączkową niecierpliwością, chciał zaraz nazajutrz oglądać ich pracę, ale pielgrzymi

już byli znikli. Niczego nie tknięto, widziano tylko ołtarz, którego przedtém nie było, a po nad nim obraz Matki Boskiej taki, jaką ujrzał po raz pierwszy. Święty król uznał cud boży; upadł na ziemię i wylewał łez potoki przed tym obrazem, co mu niepokoju zrządził tyle i widział że Królowa Aniołów przysłała mu swój wizerunek przez posłańców niebios.

„Później, kiedy zdobyto Sewillę, Ferdynand umieścić Najświętszą Pannę na wozie tryumfalnym, ciągnionym sześcioma białymi końmi; sam zaś szedł boso, chcąc złożyć ją w katedrze, gdzie jest czczoną i będzie aż do końca wieków pod nazwą Matki Boskiej królów. W kaplicy i u stóp Jój spoczywa ciało świętego monarchy: relikwii tych może pozazdrościć Hiszpania cała.

„Niedługo po tym wypadku, wielki nasz król, którego ufność w opiekę nieba granic nie miała, przygotował się do nowego napadu. Rozłożył się obozem z walecznymi zastępami na wzgórzach, leżących obok Buena-Vista. Zmęczeni podróżą, wycieńczeni gorącem i pragnieniem, żołnierze upadali bez sił i odwagi. W tém zmartwieniu święty król stawia ołtarz i umieszcza nad nim obraz N. Panny, który wioził ze sobą: „O! wspomóż, wspomóż mię, mówik; jeżeli dziś za Twą pomocą zatknę krzyż na murach Sewilli, ślubuję Ci wystawić tutaj kaplicę, do której przybędziemy Cię błagać i złożymy na cześć Twą wszystkie sztandary, pod którymi zwyciężymy Maurów”.

„W téjże chwili, u stóp pagórka wytryska przepyszna fontanna o siedmiu źródłach, które do dziś dnia jeszcze płyną, a zowie się *królewską fontanną*.

„Ludzie i konie ochłodzili się i do sił wrócili. Sewillę zdobyto, a król Maurów Aixa, przyszedł w koszuli, podając zwycięzcy na złotej tacy klucze od grodu, przechowane w skarbcu, pomiędzy relikwiami katedry.

„W tym samym czasie—ciągnęła niestrudzona zakrystyanka—w prowincyi Leona żyły dwie młode siostry imieniem Elwira i Estefania. Tym ukazał się anioł, i polecił im udać się w drogę dla odkrycia obrazu świętej Matki, *Nuestra Senora*, który niegdyś chrześcianie ukryli w ziemi.

„Ojciec dwóch tych świętych dziewczątek, Gomez Nazareno, równie jak one pobożny, chciał im towarzyszyć; lecz

w chwili, gdy już się mieli udać w podróż, mocno się zaniepokoiłi, nie wiedząc w którą iść stronę. Wtém głos niewidzialnego dzwonka rozlega się w powietrzu: poszli tedy aż do miejsca tego, gdzie znikł pod ziemią.

Pod owe zaś czasy miejsce to było nieuprawne, dzikie i zarośnięte krzewami. Maurowie uprawiający ten kraj, nie mogli nigdy dotrzeć aż do tój ustroni, którą anioł pilnował ze szpadą w ręku.

Nasi podróżni z pośpiechem poczęli kopać ziemię i znaleźli po jakimś czasie szlifowany kamień, a podniósłszy go, ujrzeli ukryte wejście do jaskini. Tu znaleźli obraz święty, krzyż i dzwonek, który im przewodniczył, jakby gwiazda czarnoksiężka, lampę palącą się jeszcze, zawieszoną przed ołtarzem, gdzie był umieszczony wizerunek, ale już dopalającą się, bo blisko od lat tysiąca goreje na cześć tój świętój.

Wydobyli ztamtąd cudowny obraz i wystawili mu kaplicę. Pod ich opieką domy wznosiły się dookoła, dając początek wiosce, nazwanój siołem *Dwóch-Siostr* (Dos-Hermanas), na pamiątkę swych założycielek."

— Widzicie—mówiła zakrystyanka wstając i wchodząc do kaplicy—widzicie ten obraz, którego nie naruszyć nie mogło: ani wilgoć ziemi, ani zmiany powietrza, ani czas niszczący; na nim widzicie dwie siostry i ojca, pobożne narzędzia miłosierdzia boskiego.

W tym szanownym przybytku znajduje się wielka liczba *ex voto*. Siedm małych nóżek srebrnych wiszących i związanych razem różową wstążeczką zwróciło uwagę Marcelli.

— Co oznacza ta ofiara?—spytała zakrystyanki:

— To Manéos, ślusarz ją tu przyniósł. Dostał raz nagle takiego bólu w nodze, że mu się życie sprzykrzyło. Żona wyczérpawszy naprózno wszystkie doradzane léki, zawiozła go do Sewilli, rozciągniętego na wózk; ale i tu nie doktorzy nie pomogli.

Tak postradał całe swe mienie naprózno. Pewnego dnia, gdy mu ból mocniej niż zwykle dokuczał, a dzieci wołały chleba co przejmowało go boleścią; wniósł serce do Boga i biorąc za pośredniczkę świętą patronkę prosił z zapalem o zdrowie tak pożądane dla całej rodziny: „O święta,

mówił, kiedy synowie moi nie będą już potrzebowali odemnie pomocy, umrę spokojnie; a jeśli za Twém wstawieniem się odzyskam zdrowie, ślubuję Ci zawieszać rok rocznie nóżkę srebrną nad ołtarzem Twoim, aby świadczyła o wszechwładnej Twéj dobroci."

I dzięki świętej, Manéos zaraz nazajutrz odzyskał zdrowie.

Upływały lata, synowie Manéosa podrośli i poszli na swój chléb; pozostała mu tylko córka, ale i ta miała narzeczonego, który prosił o nią ojca. Huczne było weselisko ale Manéos stał się jakimś marzącym i smętnym jeno oddawał się myślom. Dnia zaraz następnego uczuł że mu niedobrze; położył się i nie wstał więcéj. To o co prosił, otrzymał: obowiązek jego skończył się na ziemi.

— A te kłosa? — zagadnęła Marcella, spostrzegłszy snopek, związany niebieską wstążką.

— Ofiarowała je — odrzekła zakrystanka — Petrola, żona Gomeza. Biędni ci ludzie całodzienną zaledwie pracą zdołali wyżywić siebie i ośmioro dzieci. Z oszczędności obsiewali mały kawałek ziemi. Radowali się wielce z niego: był to przedmiot, na którym największe swe nadzieje budowali. Ztąd pielęgnowali go z czułością, a pole opłacało im się dobrze. Zboże rosło, jak gdyby go codzień skrapiał wodą święconą.

Razu pewnego weszła sąsiadka wracająca z równiny i powiedziała, że *langosta* padła na zboże. Langosta! jedna z siedmiu plag egipskich! Piorun spadający z nieba nie byłby bardziej przeraził biędnej kobiety. Wyszła, nie wiedząc co robi opuszczając dom i synów, biegła jak szalona z rękoma rozpostartými, krzyząc: „Święta Anno, święta Anno, gdzie chléb dla mych dzieci?"

Nakoniec na skraju pola spostrzegła ślady langosty, która padła na zboże, zniszczywszy je całkiem. Cała atoli szkoda nie przeszła po za granicę tego kawałka, reszta zaś osłonięta jakby murem niewidzialnym, zostawiła zboże nie naruszone dla biędnej matki, wzywającej pomocy świętej Anny. Możecie sobie wyobrazić radość poczciwej kobiety, a że była biędną, mogła przeto kilka jeno kłosów przynieść świętej w ofierze.

Anna, Elwira i Marcella z sercem wzruszoném i oczami załzawionými słuhały zakrystyanki. Z tém uczuciem autor tój nowelli słuhał sam i przeléwa teraz tę opowieść na papier. Spraw to Boże, by ją czytano z takiém samém wrażeniem!

* * *

Maj uśmiéchał się do ziemi, ten miesiąc tak pełen słońca, tak ożywiony śpiewem ptaków i szmerem niezliczonych owadów, tak woniejący kwiatami, miesiąc najszczęśliwszy ze wszystkich, poświęcony Matce Boskiej.

Nadszedł czas zaślubin Ventury z Elwirą, od dnia tego słońce wstało weselsze, radosne jak przyjaciel, co pośpieszał z wynurzeniem im swych życzeń. Wychodzili właśnie do kościoła. Anna przyciskała do serca córkę, którą kochała tak czule, całowała ją w głowę z zapałem i w oczy, jakby je olśnić miała. Wuj Pedro, wesoły, ruchliwy jak nigdy, nawet się przewyższał w gadulstwie i w śmiesznych koncepcjach: Marya zachwycona prawdziwie, drżała z radości.

— Siostrzo moja—mówiła Marcella do Elwiry—po moim niebieskim małżonku, ukochanym Jezusie, twój jest najlepszym i najdoskonalszym. Widzisz jaki mój Ventura piękny! Gdyby jeszcze lilia w dłoni, możnaby go wziąć za św. Józefa na zaręczynach.

Miała słuszość, gdy tak wychwalała swego brata. Ventura elegancko i bogato ubrany, zwinny i zręczny, jakim go jeszcze nie widziano, nalegający na wszystkich o pośpiech w wybieraniu się w drogę, był jakby typem dla rzeźbiarza, chcącego odtworzyć rysy Achillesowe.

Peryko zapomniał o Rycie; zapatrzywszy się na swą siostrę, wlepił w nią wielkie oczy, pełne słodyczy w przeciąglém spojrzeniu, w którém tyle było czułości, że jej opisać niepodobna.

Ryta miała minę obojętną i znudzoną.

Melampo sądził że to zawiele zachodu około tak drobnej sprawy i poszedł spać pod cień pomarańczy. Zdało się, że drzewo to otrząsa z pyłu wszystkich kwiat, jakby chciało nim usłać ścieżkę dla drogiej narzeczonej.

Wyszli nakoniec, gdy wtém nagle jakiś hałas obił się im o uszy; jakby ryk byka, wpędzonego do areny, jakby rozdzierające jęki zranionej łani. Byłto krzyk popłochu

i grozy uciekającej drużyny, zewsząd pomieszany z krzykiem przestרחu i oburzenia mieszkańców miasteczka.

Francuzi którzy już weszli do Sewilli, ciągnęli dalej niszczący swój pochód ku Kadyxowi.

Peryko, przewidując ten smutny wypadek obrał folwark samotny, daleki od przechodu téj bandy, za schronienie dla swój rodziny i przygotował wszystko do ucieczki.

Gdy się to dzieje, ludzie siodłają na gwałt muły i osły, drżące z przerażenia kobiety wybięrały pospiesznie z szaf bieliznę i ubrania aby je od łupieży uratować.

— Jakaż smutna wróżba, Ventura!— mówiła Elwira;— dzień co miał nas połączyć, rozłącza nas!

— Nic nie może nas rozłączyć, Elwiro—odpowiedział młodzieniec—jedź spokojna, my tu wszystko urządzimy i złączymy się z wami w drodze.

Ventura polecił im jechać pod dozorem Peryka, a sam powrócił do siebie dopięro wtedy gdy mu znikli z oczu.

Lecz już przy bramach miasta oczekiwano straszego odgłosu bębnów, co oznajmiał przybycie nieprzyjacielskich zastępów, które miały uderzyć na bezbronną ludność, i uprowadzić w niewolę.

Dzikie żołdactwo rzuciło się do rabunku.

— Za mną, ojczu—zawołał Ventura—siostró! idźmy: uciekajmy!

— Już zapóźno—odparł Pedro;—oni są tutaj; schowaj się Ventura z siostrą. Gdy mrok zapadnie uciekniemy, lecz teraz ukryj się spiesznie.

— A ty ojczu?—spytał wahajaco Ventura.

— Ja zostanę; cóż mogą zrobić miue staremu? No, posłuchajcie dobrej rady i schowajcie się dobrze. Marcello! co tam robisz? zimnaś i nieruchoma niby posąg kamienny. Ventura, cóż sobie myślisz, że stoisz jak muł nieruchomy? Chcesz zgubić siostrę? Ventura, mój synu czy chcesz mnie zabić?

Rozpacz ojca obudziła Venturę z odrętwienia, w jakim go pogrzyżyły: niepewność, zadziwienie i gniew.

— Trzeba więc mi będzie—mruzczał sobie zaciskając pięście i zgrzytając zębami—trzeba więc mi będzie schować się jak babie jakiéj! Poniosę wstyd aż do grobu! Zchwycił

ręką drabinę, przystawił ją do otworu, przez który można się było dostać do ciemnego lamusa, składu zboża i starych sprzętów. Najprzód podsadził siostrę, potem sam przebiegł szczeble i wciągnął po za sobą drabinę.

Po jakimś czasie, zastukano do drzwi. Pedro otworzył: grenadyer francuzki wszedł.

— Przygotuj mi jeść i pić—rzekł do Pedra. Oddaj pieniądze, jeżeli nie masz ochoty żebym je sam wziął i zawołaj córek, jeżeli nie zyczysz sobie, bym je poszedł szukać.

Krew dumnego Hiszpana i obrażonego ojca wystąpiła mu na oblicze, ale odrzekł z umiarkowaniem:

— Nie mam tego wcale, czego żądasz.

— Jak śmiesz mi mówić, że nic nie masz, rozbójniku? Czy wiesz do kogo mówisz? Nie widzisz-że iż głodny jestem i spragniony?

Pedro, który się spodziewał przepędzić oczekiwany dzień wesela swego syna, w domu Anny, i nie miał nic przygotowanego u siebie, otworzył drzwi od kuchni, i pokazując ręką na zgaszony ogień, rzekł:

— Tak, powtarzam ci, tutaj nie ma niczego krom chleba do jedzenia.

— Kłamiesz!—wykrzyknął wściekły Francuz—dlatego nie ma, że nie chcesz, i basta.

Pedro rzucił na grenadyera spojrzenie, w którym błyszczał płomień oburzenia i wzgardy; szybka atoli rozwaga wstrząsała nim i spuszczać oczy odparł spokojnie:

— Możesz sam zobaczyć, czym ci prawdę powiedział.

Na tę nową odpowiedź przeczącą, żołnierz któremu wejrzenie Pedra jeszcze więcej krew rozjątrzyło, przybliżył się doń: „A! to ty myślisz mi się opierać! odmawiasz mi tego, coś mi dać powinien, a w dodatku jeszcze obrażasz mię twym niegodnym stoicyzmem. Słowo daję, jak się wezmę do ciebie, zrobisz się miękkim jak wosk.” To mówiąc, podniósł rękę i w tej chwili rozległ się w pokoju silny policzek.

Jak orzeł rzuca się na zdobycz, Ventura w oka mgnieniu zeskoczył na dół ze spichrza; przyskoczył do Francuza, wyrwał mu szablę z pochwy i wbił mu ją w piersi na wskrós: grenadyer powalił się jak głaz na ziemię.

„Synu mój! synu mój! cóżeś uczynił? zawołał starzec, niepomny na swą zniewagę, a cały zajęty tylko niebezpieczeństwem Ventury.

— Ojczy, dopełniłem powinności.

— Nieszczęsny! zgubiłeś się!

— I cóż to szkodzi, gdy ciebie pomściłem!

— Oh! uciekaj, uciekaj, bez straty czasu.

— Tak, lecz pierwój muszę zatrzeć wszelki ślad tego niegodziwca, który otrzymał to, na co zasłużył; gdyby go bowiem znaleziono, ukaranoby cię mój ojczy, za mnie.

— Nie, daj pokój, daj pokój—krzyczał ustawicznie starzec—myśl o własném ocaleniu: o, tu tylko o ciebie chodzi.

Ventura udając że nie słyszy, wziął trupa na ramiona i wrzucił go do studni; potóm powrócił do ojca, śledzącego jego ruchy i miotanego okropną, niespokojnością, prosił go pokornie o błogosławieństwo, wdrapał się na mur opasujący miasteczko i przeskoczył na drugą stronę: był już na wsi. Nieszczęśliwy starzec usiłując dostać się na drzewo figowe, rosnące na podwórku i wspinając się na gałęzie z sercem zła-maném, oczami otwartemi, piersią zadyszana, ujrzał swego syna, przedmiot najtkliwszego przywiązania, jak z lekkością jelenia przebywał przestrzeń rozdzielającą wioskę od gaju oliwnego, aż mu znikł pomiędzy drzewami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

Natan, poemat dramatyczny Lessinga. Przekład Rozalii z Feliksów Saulsonowój. Lipsk. 1867.

Czytelnik widzi w tytule, któryśmy wypisali, określenie Natana jako poemat dramatyczny; przez to więc samo już jest ostrzeżonym, że to nie dramat we właściwym tego słowa znaczeniu. Cóż jest poemat dramatyczny i czy taka poetyczna forma jest uprawnioną? Na to pytanie dają nam rozmaite odpowiedzi: jedni wykluczając z zakresu poezyi ten jej kształt, inni go przyjmując. Nam się zdaje, że każdemu poecie wolno przyoblekać swoje kreacye w formy, jakie mu się najstosowniejszymi do jego celu wydadzą. Z zasady więc samej, nie możemy pod tym względem nic przeciwno temu nadmienić; idzie tylko o to, aby tę formę natchnąć myślą, pulsującą życiem, wypełnić doskonałością pomysłu i idei. W poemacie dramatycznym, podobnie jak w powieści dramatyzowanej, akcyja rozwija się swobodnie, powolnie, bez tego przejmującego duszę ciągłego a szybkiego postępu, jaki w prawdziwych widzimy dramatach. Ztąd też taka forma nadaje się łatwo do rozwoju poważnych a spokojnych myśli; mniejszą grają tu rolę namiętności, a czyn jest po większej części prostą konsekwencyą myśli. Takim mniej więcej utworem jest co do ducha i formy Natan Lessinga. Gotthold Ephraim Lessing (1729—1781) był głównym reformatorem estetycznego smaku w Niemczech w zeszłym stuleciu; odznaczał się jako wyborny krytyk i przenikliwy myśliciel. A jakkolwiek prawdziwego poetycznego natchnienia nie posiadał, to przecież w dramatach przynajmniej jest on jedną z kolumn, na których się wspiera potężna a świetna budowa nowszej poezyi niemieckiej. Z jego dramatycznych utworów odznaczają się szczególnie: *Minna von Barnhelm*, *Emilie Gallotti* i *Nathan der Weise* (Natan mędrzec). Z pomiędzy nich Natan był ostatnim upominkiem, danym lubownikom poezyi, gdyż pisał go Lessing przy końcu życia swojego pod wpły-

wem teologicznych sporów, które z hamburskim pastorem *Melchioriem Goetze* prowadził. Z tej też okoliczności i cała barwa tego utworu pochodzi. Idzie tu bowiem o rozwiązanie ważnych problematów moralnych i religijnych, o potrzebę wzajemnej tolerancji, o ową ogromną różnicę, jaka istnieje między prawdziwą pobożnością serca i życia, a bezmyślną formułkowatością i mechanicznym wykonywaniem praktyk religijnych: zadanie nierzadko poważne, kwestye, które i dzisiaj powszechnie zajmują. Chcąc podać jasny obraz tego, w jaki sposób Lessing z zadania swojego się wywiązał, musimy tu podać treść jego utworu.

Rzecz dzieje się w Jerozolimie, w średnich wiekach, czasu wojen Krzyżowych. *Natan*, żyd, obraz ludzi rozsądnych, przepełnionych miłością bliźnich, wolnych od wszelkich przesądów, widzących w ludziach tylko „czystą treść człowieka”—jak mówi nasz wielki poeta, bez względu czy kto jest chrześcianinem, żydem lub muzułmaninem; otóż ten *Natan* w jednej z owych wypraw krzyżowych utracił swych spółwyznawców w Gata, utracił ukochaną żonę i siedmiu synów, których krzyżowcy żywcem spalili. Pozbawiony tego, co mu było najdroższem, przeklina świat i siebie, zaprzysięga chrześcianstwu nieprzebragana nienawiść;

Lecz rozsądek do mnie zwolna powraca,
Rzekąc łagodnie: „Jednak Bóg istnieje,
Więc to też święta Jego było wola;
Wznies się, w czyn wprowadź, co pojąłeś dawno.”

I właśnie do takiego czynu zdarzyła się szczęśliwa sposobność. Przed dom jego przybywa rycerz chrześciański i oddaje mu w opiekę dziecię, któremu odumarta matka, a ojciec, idąc w dalszy pochód, wzięsł go z sobą nie mógł. Była to *Blanda von Vilnek*. *Natan* przyjął je w swoje objęcia i wołał do Boga:

Za mych siedem dzieci, Panie,
Przecież mam jedno znowu!

Wychował ją jak najstaranniej, przyjąwszy na jej piastunkę *Daję chrześciankę*, za córkę ją własną uważał i nadał jej imię: *Recha*. Z niejto wyrosła dziewczina prosta, niewinna, pełna uczuć prawdziwie kobiecych. Zdarzyło się wtedy, że *templaryusz* (*Leon von Vilnek*), szorstki i małomówny, ale pełen szlachetnych uczuć, męskiej odwagi i gardzący przesadami, tak w owych czasach powszechnymi, śmiałym krokiem wyrwał *Rechę* z pośród płomieni gorejącego domu; ale na szczęście czy nieszczęście we własnej jego piersi zapaliły się płomienie nieugaszonej miłości ku zachwycającej dziewczycy, która ze swjej strony wzajemnością się odplaca. Szczęśliwemu połączeniu staje na zawadzie pewne podjęzienie *Natana*, który stanowczo decydować nie chce w tej sprawie,

póki owego podejrzenia nie wyjaśni. Ale popędliwy młodzieniec nie rozumie powodów ociągania się Natana i chce krótszą drogą dobić się szczęścia. Uwiadomiony przez Daję, ową piastunkę Rechy, że jego ulubiona jest dzieckiem chrześcijańskim, robi krok fatalny: zamyśla odebrać przemocą Rechę chrześcianką—żydowi. W tym celu udaje się do miejscowego patriarchy i tam chce wybadać jakie to kary są dla tych naznaczone, którzy dziecko chrześcijańskie wychowują w innej wierze. Tu się przedstawia druga niestety! ciemna strona obrazu. *Patriarcha* jest uosobieniem tych jednostronnych, fanatycznych umysłów, które niczego znieść nie umieją, co się z ich uważaniem rzeczy nie zgadza; tych wierzących na ślepo, którzy się nigdy siebie nie zapytają, dlaczego wierzą tak a nie inaczej, bo takie zapytanie nazywałoby się u nich zbrodnią: tych wreszcie obłudników, którzy pod maską religii dopuszczają się wszelkich niegodziwości i występków. Patriarcha posłyszawszy zaledwie o wypadku, wzmiankowanym przez templaryusza w formie tylko prostego pytania, natychmiast chce się dowiedzieć, kto jest ten, co śmiał w żydowszczyźnie dziecko chrześcijańskie wychować, i grozi stosem, spalaniem. Dopiero wtedy pomiarkował biedny templaryusz, w jaką mógł popchnąć przepaść kochane przez się istoty. Szczęściem nie było jeszcze zapóźno. Jako pojednawca w pośrodku Natana żyda i templaryusza chrześcijanina staje w całej świetnej postaci sułtan *Saladyn*—muzułmanin, hojny a nawet rozrzutny, co nie więcej nie chce posiadać jak „miecz, szablę jedną i konia jednego, ale i Boga jednego na niebie;” ale zarazem wylany dla drugich, wspaniałomyślny, któremu mały nawet wybieg jest ciężarem do niesienia. Za jego pośrednictwem następuje wzajemne porozumienie się Natana i templaryusza, oraz odkrycie, które z początku niemile uderzyło templaryusza i Rechę, któremu jednakże poddać się w końcu musieli. Odkryciem tym było, że templaryusz jest bratem Rechy, oboje zaś dziećmi brata *Saladyna*. W ten sposób trzej ci ludzie: templaryusz, Natan i *Saladyn*, innych przekonań religijnych, ale jednakowych cnót i zalet przychodzą do harmonii i zgody, tryumfują nad niecnymi zamiarami patriarchy i w jedną niejako łączą się rodzinę.

W tym pobieżnym streszczeniu pominąć musiałem wiele szczegółów charakterystycznych, wybornie służących do wypełnienia i zaokrąglenia obrazu; pominąć musiałem kilka osób, będących nie małą ozdobą tego utworu: ich więc bliższe scharakteryzowanie tutaj znajdzie miejsce. A najprzód mile nas uderza spokojna, jakby sielska atmosfera z oddalonym widokiem na palące się stosy i tortury; ten łagodny blask, który nie razi i nie oślepia, ale jasno daje nam odróżnić jedne postaci od drugich. Żywej wprawdzie akcji tu nie ma, ale się to już usprawiedliwia samą nazwą *poematu dramatycznego*; za to w szerokich, czasem zanadto może, obrazach, daje się autor rozwijać charakterom i uczuciom, i powolnym lecz pewnym krokiem zdąża do celu. Tu jedno mo-

znaby zarzucić: Recha i templaryusz, przez cztery akty gorącą ku sobie palającą miłością, w piątym dowiadują się, że są najbliższem rodzeństwem. Czytelnik bardzo ciekawy, co wtedy zaszło w sercu obojga. Czy w miłości braterskiej miały się stopić gorące zapaly? to psychologicznie nie zdaje się prawdopodobnem, a poeta innej odpowiedzi nie daje. W ten sposób czytelnik nie zyskuje artystycznego zadowolenia, polegającego na wyrównaniu wszystkich uczuć i uamiętności i przyprowadzeniu ich do spokoju. Autor doskonale się wywiązał z tendencji swego utworu, harmonii między ludźmi różnych religijnych przekonań; ale pod artystycznym względem chybił, tak nam przynajmniej się zdaje. Tu będzie także miejsce wspomnieć o owym sławnym ustępie, gdzie Natan, zagadnięty przez Saladyna, porównywa trzy religie: chrześcijańską, żydowską i mahometańską do trzech pierścieni, których prawdziwości nikt dojść nie może. Porównanie to, wzięte z *Decameronu Boccacia*, byłoby trochę za naiwnem, gdyby rzecz poematu działa się w dzisiejszych czasach: ale zważyć wypada, że znajduje się to w ustach żyda, ukształconego wprawdzie, ale o tyle, o ile o ukształceniu można mówić w średnich wiekach: a zdaje mi się że Lessing naumyślnie wyjął tę przypowieść z pisarza tych wieków—Boccacia. Dziś nikt takiego porównania nie weźmie bez wątpienia na seryo.

Co do postaci występujących w tym utworze, to już powyżej staraliśmy się scharakteryzować naczelne osoby: Natana, Rechę, templaryusza, Saladyna, patryarchę. Tu dodać należy *Zyttę*, siostrę Saladyna, kobietę pełną szlachetnych uczuć, wspierającą tajemnie finanse hojnego a nieogłędnego brata, czułą i kochającą; ale obok tego z przebiegłością i filuteryą płci swojej właściwą. Umie ona wspaniałomyślnie kosztowności swoje poświęcać, ale umie także dowcipnie zastawiać pułapki dla złowienia „z wszystkich drobnostek drobnostki najmniejszej” jak mawiał Saladyń, a pieńędzy wedle prozaicznego sposobu mówienia. Trudno pominąć milczeniem *Daję*, ową poczciwą, szczerze przywiązaną do Rechy piastunkę, która ją od najmłodszych lat pielęgnowała i z drzeniem serca taila ów sekret chrześcijańskiego Rechy pochodzenia; co jej ciągłych niepokojów i skrupułów było przyczyną, skrupułów na każdym występujących kroku. Z historią Rechy łączy się także postać *zakonnego braciszka*; byłego rycerza, co Rechę dał Natautowi, prostodusznego, pobożnego prawdziwie, ślepo posłusznego swym przełożonym, których władzę od Boga wyprowadzał; słowem *simplex servus Dei*. W nim jednakże niczem się nie dało zagłuszyć przyrodzone mu poczucie moralności i dobra, które się zawsze odzywa, gdzie mu w tém nie przeszkadza głos przełożonych. Tu także jeden zarzut. Pomiędzy osobami poematu z początku obszerne zajmuje miejsce, a potem znika bez śladu derwisz Al-Hafi; ztąd też wygląda on jak nie znaczący kompars wodewilu. Charaktery albo konsekwentnie przeprowadzają się od początku do końca, albo też przychodzą i znikają, nigdy nie zatrzy-

mując dłuższej uwagi; ale poświęcić im najprzód obszerne sceny a później opuścić bez wieści, to w dobrze zbudowanym utworze nie uchodzi.

W samem wykonaniu zewnętrznem zauważyć można klasyczną skończoność; ale obok tego właściwa Lessingowi pewna szorstkość mowy, niezawsze odpowiadająca naturalności, i brak silnych poetycznych obrazów. Wszystko tu jest raczej owocem głębokiego artystycznego namysłu niż istotnie poetycznego natchnienia: charakterystyczna to cecha wszystkich poetycznych kreacji Lessinga,

Dla charakterystyki osób i poglądów przytaczam najprzód następny monolog templaryusza, gdy jego serce miłość dla Rechy zajęła. (Akt III. sc. 8).

Tu już strudzony pada zwierz ofiarny!
Lecz przebóg! nie wiem, co się ze mną dzieje;
Czy jakieś tego złowrogie przecucie,
Co ma nastąpić? Kres przeszedł; napróżnom
Dotąd unikał, napróżno! Cóż jednak i nadal
Mam do wyboru, jak unikać dalej?
Niechże się stanie, co jest nieodwrotnem.
Przed tym się ciosem długo uchylałem:
Spadł wreszcie nagle. Jam widzieć jój nie chciał;
Lecz skorom ujrzał, dusza ma ślubuje
Widzieć ją, z oczu nigdy nie utracić.
Maż to być miłość? tak, miłość zaprawdę,
Jaką templarski rycerz tylko płonie.
Jaką wyznawca Chrystusa żydówce
Gotów ślubować. Lecz na to nie zważam:
Dawnych mych pojęć złożyłem przesady.
Czego ten zakon mój wymaga po mnie?
Umarł już we mnie templarski zakonnik;
Ja dla zakonu już wówczas umarłem,
Gdym Saladyna niewoluikiem został.
Byłażby głowa ta moja, nad którą
Litość wspaniała okazał Saladyn,
Wciąż jeszcze dawną?—nie, nie, już jest nowa,
I nie pojmuję, co się w tamtej działo,
Jakie mieć mogła tamta powinności.
Ta lepsza wcale, bo więcej stworzona
Dla swęj niebiańskiej siedziby śród ojców.

Oto znów inny urywek z rozmowy tegoż templaryusza z Nataniem wykazujący jego pogląd na religijną tolerancją. (Akt II, sc. 5):

. Wiesz (Natanie), jaki się naród
Chciał zwa●wybranim między narodami?
Jeśli dla tego narodu w mém sercu
Nie wre nicnawisz, tedy od pogardy—

Prosto dla dumy tój jego nieznośnej—
 Żadną się miarą powstrzymać nie mogą.
 Duma w nim równa dumie chrześcianina
 I mużułmana, gdy zwie swego Boga
 Jedyńc w swojém jestestwie prawdziwém!
 Dziwisz się pewnie, że z chrześcianina,
 Templaryusza ust słyszysz te słowa?
 Lecz gdzież i kiedy, pobożna zaciekłość
 Tego lepszego Boga swego wzięła,
 By śmiéć całemu światu go narzucać
 Jako nad wybór innych najlepszego?...

Taka jest treść i takie szczegóły tego utworu, wielkiego pod względem pomysłu, mniej szczęśliwego w jego przeprowadzeniu. W naszym języku mamy kilka jego tłumaczeń. Pierwsze jest Zygmunta Komarnickiego, poprzedzone wstępem, dość ciemno i zawile napisanym, które Pamiętnik Naukowy z 1866 r. w zeszytach IV, V i VI drukował. Ale niestety! tłumaczenie to, którego próbkę podaliśmy w powyższych wyjątkach, wierszem nierymowym dość udatne, choć niewszędzie naśladowujące charakterystyczną zwięzłość mowy Lessinga, zostało niedokończzone; obejmuje bowiem tylko 3 pierwsze akty. Wiemy także z pewnych źródeł, że znany tłumacz Szekspira pozostawił w swój tece tłumaczenie Natana. Obecny przekład p. Rozalii z Feliksów Saulsonowej nie może zadowolnić ani pod względem wiersza ani pod względem wyrazów i wyrażeń. Że jest użyty wiersz biały, jak i w oryginalne, to oczywiście za złe poczytaném być nie może; ależ w jego użyciu trzeba mieć wielką wprawę, żeby się nie sztukować pojedynczemi nic nie mówiącemi wyrazkami, forsowną przekładnią i naciągany szykiem wyrazów. Język zaś polski zdaje się lekceważyć p. Saulsonowa, bo tyle jest w jej przekładzie dziwnych składni, tyle germanizmów i innych izmów, że potrzebaby dodać spis poprawek dwa razy co najmniej większy niż *errata*, na końcu książki umieszczone.

D. 12 grudnia 1867 r.

P. Chmielowski.

Wilhelm Machaut truver francuzki.

Za wskazówką p. Malinowskiego, dawniej profesora niemieckiego języka w Macon, dziś profesora nauk przyrodniczych w gimnazjum realném w *Alais* (departamencie du Gard) i członka akademii makońskiej, trafiłem do pamiętników hr. *de Caylus*, pisanych w r. 1747 (a drukowanych w XX tomie *des Mémoires de Littérature de l'Académie Royale des Inscriptions et Belles-Lettres*) o *Wilhelmie de Machaut* truverze francuzkim, który opisywał wierszami czyny Jana i Karola Luxemburezyków królów cze-

skich, a następnie Piotra de Lusignan króla cypryjskiego, a także pobyt tego króla na zjeździe monarchów w Krakowie w roku 1364.

W r. 1852 p. de Mas Latrie wydrukował w Paryżu trzytomowe dzieło pod tytułem: *Histoire de Chypre sous la domination des Lusignan*; a w dodatkach umieścił wiele ustępów z poematów Wilhelma de Machaut (zachowanych w rękopismach współczesnych w bibliotece cesarskiej paryskiej) dotyczących Piotra króla cypryjskiego; opuścił jednak zupełnie podróż jego do Czech i do Polski.

Znalazłem w bibliotece paryżkiej rękopisy *Wilhelma de Machaut*, słiznie pisane na pergaminie, in folio, charakterami współczesnymi i ozdobione miniaturami.

Wilhelm de Machaut był dworzaninem króla francuzkiego Filipa Pięknego, r. 1300; zapisany jest: *Guillelmus de Machot valetus camerae*, na woskowych tablicach zawierających opis podróży króla Filipa a zachowanych we Florencyi. W roku 1308 dostał od króla dobra Bouilli, skontiskowane Janowi de Poinoille, jak świadczy 41-szy rejestr archiwów państwa francuzkiego. W r. 1312 Machaut przyjął służbę u Jana Luxemburczyka króla czeskiego, i zostawał przy nim 34 lat aż do śmierci tego króla, który zginął w bitwie pod Grecy w r. 1346. Wtedy przeszedł do usług córki tego króla Joanny Luxemburskiej, żony Jana króla francuzkiego. W r. 1364 obecnym był wstąpienia na tron francuzki Karola V, dla którego napisał był jeden z celniejszych poematów swoich, pod tytułem *Confort d'amy*. Na dworze francuzkim poznał Machaut Piotra de Lusignan króla cypryjskiego i opisał w rymach podróżę tego króla i zwycięztwa jego, zwłaszcza zdobycie Alexandryi na Turkach, a nareszcie i śmierć Piotra zabitego w Cyprze przez spiskowych r. 1369. Machaut musiał mieć podówczas z górą lat 80.

Z pomiędzy poematów jego zajmują nas tylko dwa; już wspomniany *Confort d'amy* i *Le livre de la prise d'Alexandrie*.

W pierwszym opiewa wielkie czyny Jana króla czeskiego i mniemane zdobycze jego w Polsce i na Rusi, w Prusiech i na Litwie. Wymienia miasta Wrocław, Kraków, a na Litwie kilka z zupełnie przekreconemi nazwami; między innymi miasto *Medonagle* (czy Miedniki?), w którym więcej jak 6000 pogan mieczem i ogniem nawrócił; ażeby czytelnik o tém nie wątpił, truver świadczy, że sam był na tém święcie:

Car présent fui a cette feste
Je le vis des yex de ma teste.

W poemacie *Le livre de la prise d'Alexandrie*, Machaut opisuje podróżę króla cypryjskiego Piotra de Lusignan po Niemczech, Czechach i Polsce, w celu otrzymania posiłków na wojnę przeciw Saracenom. W Pradze przyjmuje go Karol IV cesarz niemiecki (syn Jana Luxemburczyka), a truver korzysta z téj zrzęczności

dla opiewania wielkich cnót syna dawnego pana swego i dobroczyńcy.

Karol IV obiecuje królowi cypryjskiemu, że napisze do królów węgierskiego i polskiego, zapraszając ich na zjazd do Krakowa. Potem Karol IV bierze z sobą Piotra króla cypryjskiego, i we trzy dni przyprowadza do granicy czeskiej. Dalej w podróży tej wymienione są miasta: Wrocław (*Bresselan*), Lignica (*Liquenisse*), Mixtat (Minstat), Świdnica (*Suedenisse*), Kościan (Costen), Kalisz (Calix), Bytom (*Baton*), Głogów (*Glagomie*) i zapewne Poznań (*Basenomie*); przybywają do Krakowa, gdzie na ich spotkanie wyszli inni królowie i uczynili im cześć wielką. Szalony byłby toby zapytywał jakie ugoszczenie mieli; ile tam było chleba, wina, pieczywa, ptastwa rozmaitego, ryb i mięsa, jaka usługa i uczczenie? Dość powiedzieć, iż nie zarzucić nie można tak wspaniałemu przyjęciu. Potem był wielki rozhowor (parlement), i zgodzili się wszyscy, aby dać pomoc królowi cypryjskiemu. Powiem co każdy z nich mówił, bez żadnego łgarstwa. Najpierw cesarz obiecał pomoc od siebie dla tak świętej sprawy, nadto miał zebrać elektorów cesarstwa i pisać do Ojca Świętego, do książąt i do gmin, którzy mu lenną służbę winni. Potem król węgierski obiecał dać swobodne przejście posiłkowym wojskom, a gdy czas nadejdzie, przyrzekł osobą własną i majątkiem przyjść w pomoc. Następnie król polski który Krakowem włada, obiecał dać pomoc, ile razy tego potrzeba będzie, gdyż całym sercem tak świętej sprawie sprzyja. I wszyscy obecni książęta podobne obietnice przysięgą stwierdzili. Nakoniec postanowiono, iż król cypryjski uda się do innych książąt niemieckich, aby ich także o pomoc prosić i powiedzieć im o tem co postanowiono na zjeździe w Krakowie.

Nastąpiły potem turnieje, i cesarz podobno także walczył o lepsze z królami, (a więc truver nie był w Krakowie, z opowiadania tylko opisywał podróż króla cypryjskiego); wszyscy dzielni byli w turniejach, ale obcy król najlepiej znał się na broni, i pierwszą nagrodę otrzymał. Gdy odjeżdżał, złożono mu wielkie dary i odprowadzono go daleko. Dziesięć dni drogi, miał z Krakowa do Wiednia, gdzie przyjął go książę rakuski.

Tyle tylko o Polsce wspomina truver w ciekawym a mało znanym poemacie swoim. Nie był sam w Krakowie, nie wiedział ani o prawdziwej przyczynie zjazdu monarchów, ani o małżeństwie zawartem pomiędzy cesarzem a wnuczką króla polskiego księżniczką pomorską, ani o hojnej gościnności Wierzyńka. Dla niego król cypryjski był celem i najświetniejszą ozdobą tego zjazdu; ale zawsze społeczne rymy francuzkie ze społecznego rękopisu wydobyte, rzucają jakiś nowy blask fosforyczny na dawno ubiegły okres, który odbił się jak w czarodziejskim zwierciadle, w opowiadaniach Szajnochy. (*Wojna o cześć kobiety.—Nowe szkice historyczne*).

Alexander Przezdziecki.

Geschichte der Polnischen Literatur übersichtlich dargestellt von E. P. Breslau. Ernst Günthers Verlag. 1868, w 8ce, str. 47 i kart. niel. 4.

Corocznie mnożą się historye literatury polskiej; zacząwszy od *Szumskiego Tomasza*, *Bentkowskiego* i *Lukaszevicza*, mamy szereg prac *Jochera*, *Wiszniewskiego*, *Dembowskiego*, *Majorkiewicza*, *Kondratowicza*, *Wójcickiego*, *Maciejowskiego*, *Rogalskiego*, *Poroja*, *Bartoszewicza*, zgola, z wydanemi i przyrzeczonemi, czterdzieści historyj literatur. W ostatnim roku, drukuje: *Nehring*, *Wasilewska*, *Lewestam*, *Rogalski* (tom pierwszy już rozpoczęty) i w r. b. *Rycharski*. Widać że łatwiej jest w ciągu lat kilku wypracować dzieło historyczno-krytyczne, a to biorąc co się wzięść da od poprzedników, aniżeli wydać porządne źródła bibliograficzne, porządne monografie, na których podstawie możnaby przystąpić do systematycznego rozpatrywania pomników przeszłości. Takiej historyi całkowitej, nie mamy, i nie prędko ją mieć będziemy. Zbieraną drużyną w której co stronnica napotykamy to znane choć nie przytoczone zkąd, frazesa, to powoływane powagi problematyczne, mamy już dosyć; czas już zaprzestać wyrokowań o książkach nie czytając ich, a rozpocząć od uczenia się, odczytywaniem prac autorów.

Ambicya historyka literatury, łatwą jest do zaspokojenia, bo łatwo z kilkunastu literatur skleić jeszcze jedną lub dwie więcej, ale pożytku z niej nie tyle ileby wymagać można.

To stosuję do naszych piszących, biorących się rączo i na prędcę do tego, co wymaga wieloletnich trudów i studyów. Stosując to także do niemieckiego pisarza, który wydał *dzieje literatury polskiej*, powiedziałbym, iż praca jego niema wartości i nie obudza interesu.

Bez względunie biorąc rzecz, słuszném byłoby to ocenienie, ale biorąc ją względnie, nie można odmówić autorowi niejakięj zasługi.

Autorem zdaje się jest jeden z literatów, który osiadł w Krakowie od lat dziesięciu, pracował przy *Krakauer Zeitung*, i był dawniej korrespondentem jednęj gazety polskiej w Krakowie wydawanęj.

Domysł nie myli mnie, jak sądzę, bo autor, widać zna naszą literaturę, a lubo wyznaje, iż *Bentkowski*, *Lukaszevicz*, *Wójcicki*, *Wiszniewski*, *Bartoszewicz* i *Nehring*, służyli mu za źródło, jednakowoż pojedyncze tu i owdzie rozsiane zdania, wskazują że autor wypowiadając je przeważnie na zasadzie rzeczonych źródeł, wypowiada zarazem i na zasadzie własnych badań. Te wskazówki rokują, iż autor nie porzestanie na drobnostce, którą obecnie wydał.

Chęć obznajmienia Niemców z naszą literaturą zasługuje na uznanie. Szkoda tylko, że autor zacieśnił się w tak szczerze ramy.

Mówi on o 154 pisarzach, a dla każdego pozostało mu zaledwie kilka wierszy druku. O niektórych tylko rozwodzi się szerzej wyjątkowo.

Zamierzywszy pisać tylko o filarach literatury, wyłączył wiele osób, któreby mogły zaszczytnie reprezentować naszą literaturę jak: *Czacki, Grabowski Michał, Kaczkowski Z., Bartoszewicz, Józef Kremer* i t. p. Sądzić należy, że w drugim przerobieniu tej pracy, obraz literatury rozszerzony zostanie; ten bowiem który nakreślony został przez autora, bardzo niedostateczne daje wyobrażenie o literaturze naszej. Dobre chęci nie wystarczają, trzeba przyłożyć pilności, aby obraz wycieniować i rozszerzyć w ramach odpowiednich.

Nie radzibyśmy atoli, aby te ramy były tak dowolnie rozszerzane, i aby malowidło było tak pośpiesznie cudzemi farby nakładane, jak to widzimy w innej literaturze tegorocznej, w której co stronnica czytamy powoływania się na cudze zdania, a rzadko gdzie dostrzegamy specjalne studia autora.

Taka literatura w której autor polskiej książki mówi: „*Nie mogłem nigdzie wyczytać z życia jego szczegółów,*” pomimo, iż te szczegóły dokładnie podane znajdują się w *Encyklopedyi Powszechniej*, w *Brownie* i innych źródłach (np. *Bembus, Białobrzeski, Grabowski M., Potocki St., Radliński, Przeździecki, Sarnicki, Szaniawski, Węzyk Fr., Włodek, Szymonowicz* (cały błędny), *Rzewuski H., Wronski* i t. p.), w której nie rzadko powtarzają się cudze pomyłki i zestawiają najróżnorodniejsze cudze zdania, nie na wiele może się przydać; takiej też pisać nie radzimy niemieckiemu autorowi, ale radzimy aby sięgał do źródeł, a wówczas zapełni szczerbę, jaka panuje w literaturze niemieckiej (1).

K. E.

(1) Wspomniałem tutaj nawiasowo o literaturze jednego z naszych pisarzy. Nie mogąc zastanawiać się nad nią, zwrócę uwagę autora jej na to, że śmiałość orzeczeń, gładkość stylu, i zręczny układ zewnętrzny, nie wystarczają do nadania trwałej wartości dziełu, przeznaczonemu dla nauki młodzieży. Jeżeli czerpie się nie z pierwszej ręki, należy koniecznie krytycznie sprawdzać szczegóły, a ogólne zdania wypowiadać na podstawie odczytanych dzieł autora. Dowiadujemy się różnych nowości, jak np. że *Jenike Luul.* jest chemikiem, że *Józef Osiecki* pisał życie *Mickiewicza*, że *Bartoszewicz* uczył się w Lesznie w Królestwie Pruskiem, że dramata właściwie pisali: *Bogusławski Wojc.* (za jego czasów tylko melodramy znano), *Korzniowski, Magnuszewski, Szujski* i *Kubala* (tak); że *Krasicki* bawił wraz z *Wolterem* w *Sans-Souci*, że *Dufour* wraz z *Dmuszewskim* drukowali

Franciszek Bopp († 23 października 1867 r.).

Imię Boppa ściśle się łączy z powstaniem i wzrostem filologii porównawczej.

Do jego czasów cała porównawcza lingwistyka zasadzała się na mniej lub więcej szczęśliwem zestawieniu wyrazów, pozbiętych z różnych języków, lub na etymologizowaniu prowadzącem na bezdroża, bo bez stałych naukowych podstaw, jak tego, nie sięgając daleko, mieliśmy żywy a nieszczęśliwy przykład u nas na ks. Dębołęckim w czasach dawniejszych, potem na Jocherze, a głównie, w ostatnich latach na Pietraszewskim i na wielu innych zresztą.

Nie przesadzimy, jeżeli powiemy, że przed Boppem filologia porównawcza, jako umiejętność nie istniała wcale; stąd też cała przed-Boppowa językoznawcza znajomość, żadnych pożytków nie przyniosła. Dziś wiadomo, że gdyby nie filologia porównawcza, Mommsen nie odtworzyłby zamierzonych dziejów Rzymu. Jak Cuvier z jednej kości zaginionego zwierza oznaczał dokładnie całą jego budowę, rodzaj i gatunek; tak Mommsen z bardzo nielicznych zabytków etruskiej mowy dał nam obraz kultury całej Italii z epoki przedhistorycznej, a to na podstawie nauki, stworzonej przez Boppa.

francuzkie przekłady w XVIII wieku, zatem na 30 lat przed narodzeniem się ostatniego;— że *Łoś* był historykiem, *Zaleski Antoni* syn *Wacława* poetą odznaczającym się, *Szymanowski Józef* kasztelanem, *Kaszewski Kaz.* historykiem;— że *Bohomolec* głównie lud wyprowadzał na scenę (co innego udowodniono w *Rozmaitościach* r. 1859);— że cenniejszemi tłumaczami dramatów są *Czernicki* i *Powidaj*;— że *Wójcicki Kaz.* był professorem literatury i starożytności—to wszystko są wiadomości (a takich bardzo wiele) balańcujące tych, dla których przeznaczono książkę. Przepisywanie nekrologów frazeologicznych kończących się wyrazami: *prawy obywatel, czuły ojciec, dobry przyjaciel, kochany nauczyciel*—nie wiem co ma za styczność z charakterystyką życia pisarza jako pisarza.

W krytyce dzieła *Zukaszewicza*, umieszczonej przed rokiem w *Bibliotece Warszawskiej* wytknięto usterki dzieła tego; niektóre z tych widzimy mimo tego i tutaj powtórzone, jak np. o *Janockim*.

Nie widzimy tu, by autor korzystał z monografii mnogich, jak np. *Przyborowskiego*, *Paleńskiego* (o *Kochanowskim*), *Przyłęckiego* (*Bembus*) i innych, braku czego nie zastąpią zapożyczenia się ze źródeł częstokroć jednostronnych i wątpliwéj wartości, jak np. rozprawa *Goszczyńskiego* p. t. *Nowa epoka poezji*.

Autor zapowiada wydanie obszerniejszego dzieła. Jeżeli rozpatrzy się bliżej w źródłach, może powstrzyma swój pośpiech, bo przekona się, jak jeszcze odlegiem leży pole literatury, i jak jeszcze niedostatecznemi są te powagi, na które odwoływać się mu przyszło.

Boppowi przedewszystkiem i najwięcej świat uczony zawdzięcza utorowanie drogi do umiejętnego poznania sanskrytu, podniesienie znajomości wschodnich języków do godności umiejętności, szeroki pogląd na języki europejskie i założenie właściwej gramatyki porównawczej przez umiejętną metodę badania.

Rok 1816 stanowi epokę w dziejach filologii. Wtedy to na horyzoncie umysłowym Europy pojawiło się dzieło 25-letniego młodzieńca, które po dziś dzień, mimo wielu miejsc, przez późniejszą naukę obalonych, nie przestało być znakomitóm. Autorem był, jak się łatwo domyślać, Bopp. Książka zaś ta, owoc studyów nad Mahabháratą, miała nadpis: *Conjugationssystem der Sanscritsprache in Vergleichung mit jenem der griechischen, lateinischen, persischen und germanischen Sprache, begleitet von Uebertragungen aus indischen Gedichten*. Już to pierwsze dzieło wysoko postawiło Boppa, ztąd interesującym będzie poznać, choćby w najogólniejszych zarysach wpływy pod jakimi Bopp je napisał.

Pierwsze, silne wrażenie wywarły na młodym filologu pisma Windischmanna: w nich to należy szukać zaczątku i genezy tego zamilowania do badań języków wschodnich, jakie później całą duszą Boppa owładnęło.

W 19 roku życia (pod jesień 1812), po skończeniu studyów przygotowawczych, udał się do Paryża i tu głównie poświęcał się językom indyjskim. Nie przestawał jednak zajmować się arabskim i perskim, początków których wyuczył się był w Moguncyi jeszcze; zwłaszcza, że z tej strony znajdował wielką pomoc w znakomitych orientalistach pp. de Chézy, Sylwestrze de Sacy i Auguste Wilhelmie Szleglu. Opieka tylko, a raczej pomoc króla bawarskiego, który rok rocznie nieznaczną sumę pieniędzy nadsyłał Boppowi, sprawiła, że mógł pozostać przez lat 5 w Paryżu, oraz czas jakiś w Londynie i Gietyndze, gdzie unikając wszelkich zabaw, cały oddawał się ulubionym zajęcióm. W Londynie, a było to w 1819 roku, wydał w oryginale wraz ze swoim łaćnińskim przekładem ustęp z indyjskiego poematu Mahabháraty pod tytułem: *Nalas i Damayanta*. (Wydanie drugie wyszło w Berlinie w 1832 r.).

Kiedy, poprzedzony sławą młody Bopp wracał do ojczyzny, czekała go w niej katedra sanskrytu na uniwersytecie berlińskim, obowiązki, które pełnił do ostatnich dni życia (1).

Z tegoż czasu pochodzi jego *Indralokagamanám* czyli podróż Ardżuny do niebios Indry, oraz inne epizody z Mohabháraty, wydane po raz pierwszy przez Boppa w oryginale wraz z obocznym przekładem na wiersz niemiecki i objaśnieniami, w Berlinie 1824

(1) Grammatykę języka sanskryckiego opracował i wydał w trzech formach: 1-o *Ausfuhrliches Lehrgebäude der Sanscritsprache* (Berlin 1827). 2-o *Grammatica critica linguae sanscritae*. (Berlin 1829-32). 3-o *Kritische Grammatik der Sanscritsprache*. Berlin 1834.

roku. Oprócz licznych dzieł pomniejszych, umieszczał wiele recenzyj w czasopiśmie: „Berliner Jahrbücher für wissenschaftliche Kritik.”

Ale istotną podstawą sławy Boppa jest jego Gramatyka porównawcza, wydana w Berlinie 1839 r. a w drugim wydaniu w 1857 tamże. Całkowity w drugim wydaniu jej tytuł jest: *Vergleichende Grammatik des Sanscrit, Zend, Armenischen, Griechischen und Deutschen*. Poprawne to wydanie w głównych nawet zarzysach o wiele się różni od pierwszego.

Głęboka uczoność, jak już z tego co się powiedziało, rzeczą jest jasną, cechowała jego umysł: znał nawet języki malajsko-polinezyjskie, co okazał w swém dziele: *Ueber die Verwandtschaft der malaysch-polynesischen mit den indisch-europaischen Sprachen*, wydane w roku 1841.

Największy błąd Boppa spoczywa w tém, że usiłował utworzyć, co jest niepodobnem, ogólny szemat dla deklinacyi indo-europejskich języków; uważając mylnie starostowiańskie *yor* i *jer* (r i ь) za samogłoski, i to tak, że wszelkie inne samogłoski w różnych językach uważał za modyfikacye tylko tego *yoru* i *jeru*. Drugim zasadniczym jego błędem jest to, że sądził iż temat deklinacyjny znajduje się w mianowniku.

Tę teorię Boppa obalił jeden z najznakomitszych filologów naszego wieku: Fr. Aug. Pott w swém dziele „*Etymologische Vorschungen*” dowiódłszy że *yoru* i *jeru* nie można w żaden sposób uważać za samogłoski, i że ze wszystkich przypadków, mianownik najczęstszym podlega zmianom, że w nim przeto szukać tematu byłoby rzeczą zupełnie niewłaściwą; owszem że *temat deklinacyjny znajduje się w dopełniaczu liczby pojedynczej*.

Naturalnie, słuszność tych przeciwnych wniosków nie ubliża wcale naukowemu stanowisku Boppa.

Śmierć jego dzisiaj obchodzi całą Europę, pokazał bowiem nowe drogi wszystkim, chcącym umiejętnie i systematycznie badać język; co większa, obudził zapał do podobnej pracy. Tém zaś to jest godniejsze uwagi, że pierwotnie obojętność na każdym nieledwie go spotykała kroku: z początku po kilku miewał tylko słuchaczów na swych prelekcyach a jednak nie ustawał w pracy. Ztąd też wytrwałość zwyciężyła!

Wł. Milkowski.



Przegląd teatralny.

Repertuar Warszawskich Teatrów wzbogacił się podczas je-siennego sezonu nie jednym nowym utworem, obok tego różne starsze utwory przygotowano na nowo na scenę. Poświęcimy dzisiaj uwagę kilka „Rozmaitościom” i przejrzymy ważniejsze przedstawienia ostatnich miesięcy. Z nowych zasługuje na więk-szą uwagę i dla obszerności rozmiarów i dla ciekawości przed-miotu.

Złoty Młodzieniec komedia w 5-ciu aktach p. St. Bogu-sławskiego. Czy nazwa komedyi właściwą jest dla tej sztuki, okaże się później; tyle pewna, że od kilku miesięcy napełnia salę i bawi publiczność, do czego się głównie przyczynia p. Żółkowski. Ukazał się zresztą nie jeden rozbiór, nie jedna krytyka w tutej-szych czasopismach; jeżeli więc tak późno poświęcamy wzmiankę utworowi, znanemu już publiczności naszej oddawna, to jedynie z tego powodu, że w pierwszym naszym teatralnym sprawozdaniu nie chcieliśmy pominąć milczeniem pracy autora, dobrze zasłu-żonego z wielu względów naszej scenie. Bo któż z nas nie zawdzię-cza choć kilka wesołych wieczorów p. Bogusławskiemu, a że *Złoty Młodzieniec* powiększa ich liczbę, pokazuje publiczność do-statecznie. Jednakże wesołe usposobienie nie jedynym celem, za którym chodzimy do teatru ani jedyną korzyścią, jaką mamy z niego wynosić. Pamiętam wiele sztuk, mianowicie francuzkich, na których śmiałem się do rozpuku przez wieczór cały, a naza-jutrz byłem rozstrojony i wcale mi się nie miało na śmiech, jak po nocy przepędzonej przy szampanie. Gdy refleksya odzyska swoją władzę i rozbiera chwile minionej wesołości, wtedy nie zo-stając więcej pod magicznym wpływem mimiki aktorów, od-krywamy często czczość niewymowną tam, gdzieśmy widzieli przedtem wesołą treść życia, a rubaszność lub wymuszoność tam, gdzie przedtem dowcip serdeczny. Ale to ogólne uwagi, nie ty-czące się żadnej sztuki z osobna: przejdźmy do *Złotego Młodzienca*. Treść jego taka:

Majętny szlachcic Radosz wyprawia na usilne prośby żony jedynaka swego Edwina do Warszawy, aby się tam przetai i do-kończył, co to zowią edukacyi. O życiu w stolicy nie ma ojciec żadnych bliższych szczegółów, wyjąwszy że ma bajeczne długi i że mu wciąż trzeba posyłać pieniędzy; gdy nareszcie ojciec sta-nowczo oświadczył, że nic więcej nie da, wraca Edwin do domu po trzechletniej niebytności. Ojciec widzi przed sobą męczyznę, obwijanego starannie w futra i szale, z artystycznie wykończoną fryzurą i z sztywnym wąsikiem, w modnym kusém ubraniu; po pierwszej zaraz rozmowie przekonywa się, że syn nie wiele sko-rzystał w Warszawie, że obręb wiadomości jego nie sięga po za

kuchnią Stępkowskiego, wagnerki i różne panie dość dwuznacznej sławy. Syn afektuje obojętność na wszystko, krytykuje ostro niedostatki życia na wsi i wyraża się z zamiarem rychłego powrotu do stolicy, którą opuścił chwilowo tylko, dla braku pieniędzy. Ojciec znowu mając szczerą chęć wyrobić mu społeczną pozycyą, namawia go, aby się starał o rękę młodej, bogatej wdowy która sąsiaduje z nimi. Wkrótce przybywa Klara, tak się nazywa ta ciepła wdówka, w odwiedziny do Radostwa, ale zjawia się na nieszczęście i Zdzisław, gorący wielbiciel jej wdzięków, z nieodstępnym przyjacielem doktorem Henrykiem. Regina, daleka krewna Radostów i nie mała kokietka, uzupełnia obraz. Rozpoczyna się niebawem walka rywali. Edwin nie robi na paniach szczególnego wrażenia, popisując się ustawicznie znajomością kuchni, zresztą co do Klary, sprawa jego przegrana oddawna, gdyż ta kocha Zdzisława. Edwin mimo to jej się oświadcza, ale w sposób głupi i niegrzeczny, czem naturalnie straciwszy resztkę względów, jeżeli miał które u nadobnej sąsiadki, ucieka się do intrygi: znalazłszy kopertę adresowaną do Zdzisława włożył do niej list miłosny, który odebrał niegdyś w Warszawie, i rzuca na stole. Ale tém zgubił się zupełnie; Klara bowiem zobaczywszy list ów niby zapomniany i przeczytawszy go z ciekawości, obwinia zrazu Zdzisława o niewiarę. Regina przecież znając list ów, wyprowadza ją w sam czas z błędu i dowodzi, że zapewne Edwin go podrzucił w Zdzisławowej kopercie. Kończąc się wszystko na tém, że Klara w obec wszystkich oddaje rękę swoją Zdzisławowi, Regina kokietuje z doktorem, a Edwin, wyśmiany przez wszystkich, zostaje jak zamroczony Hamlet sam z myślą swoją. Ponieważ nie nauczył się myśleć w Warszawie, nie wymyślić nie może; chciałby wracać do Warszawy, ale nie ma pieniędzy, zgadza się więc na propozycyą ojca, osiada na odstąpionym sobie folwarku i bierze się do gospodarstwa. Otóż i szkielet sztuki. Wypełniony dobrami dowcipami, komicznemi sytuacyami, wesołemi anegdotkami, przyobleczony w lekkie, zgrabne wiersze, podtrzymywany nareszcie wyborną grą dwóch pierwszorzędných aktorów, p. Rychtera (w roli Radosta) i p. Żółkowskiego (w roli Edwina), potrafi zabawić i rozśmieszyć publiczność; śmiałem i ja się mimowolnie wieczór cały, ale gdy w domu zastanawiał się nad powodami wesołości, nie wydały mi się już tak zabawnemi, jak przedtém.

Zaczawszy bowiem od Edwina, od głównej osoby, ta została zupełnie fałszywie naszkicowaną; przypomina może czasem dowcipem lub słówkiem złotego młodzieńca, ale nim nie jest, tak jak mundur generalski, zawieszony na kiju, nie jest generałem. Ale tak sobie postąpił autor: z kilku urywek, przypominających ton złotej młodzieży, uszył szatę, myśląc że marynetka w nią ubrana będzie prawdziwym złotym młodzieńcem. Mamy garść pełną dowodów, popierających nasze twierdzenie, ale ograniczamy się na jednym. Jeżeli kto, jak Edwin, obracał się przez trzy

lata w towarzystwie dobrze wychowanej młodzieży, a trudno zaprzeczyć, żeby złota młodzież nią nie była, to przyswoił sobie bezwątpienia tyle lekkości w obcowaniu i tyle elegancyi w mowie, że się zdołałże na kilka zgrabnych komplementów dla pięknej pani i że ją potrafi zabawić przynajmniej pół godziny. Na to odpowie może nie jeden, że się zdarzają czasem tak tępe głowy, że i dziesięcioletni pobyt w dobrém towarzystwie nie nada im żadnego poluru, być może, ale wtedy indywiduum takie stanowi wyjątek i nie może być typem całej klasy. Ile razy zaś wprowadzamy do komedyi typ jakiś społeczny lub towarzyski, powinniśmy wybrać na to jednostkę najdoskonalszą, nie najgorszą; gdy ktoś ma zamiar pokazać na scenie Don Juana, nie wyprowadzi mazgaja, który nie doprowadził ani jednego romanu szczęśliwie do końca, lecz bohatera liczącego kochanki swoje na tuziny. Otóż gburowatość, niezgrabność, zapominanie języka w gębie można przypisać do każdego innego, byleby nie do złotego młodzieńca; wszystkie zaś te wady Elwina występują w jaskrawem świetle w sławnej scenie oświadczyn, która niestety jest punktem grawitacyjnym całej sztuki: Edwin oświadcza się tam pięknej, dobrze wychowanej, młodej wdowie, której ręka ma stanowić o jego przyszłości, w sposób, któryby każda panna służąca znalazła co najmniej rubaszny.

Jeżeli tak główna osoba sztuki została i źle dobraną i fałszywie pomyślaną, byłoby zbyt cennym właściwie zastanawiać się nad innemi, podrzędniejszymi figurami, ale dziwna rzecz, że te zamiast uwydatnić ujemne strony głównej osoby, czego należało się spodziewać, podnoszą ją jeszcze w oczach widzów. Bo jakże niepocześnie wyglądają rywale Edwina, Zdzisław i doktor: pierwszy zupełnie błądy i rozplływający się cedi przez zęby stereotypowe frazesa o enocie, obowiązkach, poświęceniu i inne tym podobne komunały; drugi z pustym uśmiechem wiecznie na ustach, robi czasem wrażenie zupełnego sowizdrzała, w którym żaden rzeczywisty doktor nie poznałby swego kolegi. Przyznam się zresztą, że najchętniej nie miałbym nic do czynienia z żadnym z tych trzech młodzieńców, ale gdyby mi przyszło koniecznie wybrać z pomiędzy nich towarzysza, wolałbym Edwina, bo on jeszcze najmniej nudny i posiada jedną przynajmniej dodatnią zaletę, rozwiniętą do wysokiego stopnia, znajomość kuchni, co jest rzeczą bardzo ważną; ale w jego antagonistach nie mogłem się dopatrzeć podobnie dodatnich przymiotów. A to wielka szkoda dla sztuki, gdy główna osoba wydaje się lepszą, niż zamierzył autor, bo przez to ginie sens moralny sztuki.

Autor zapewne nosił się z myślą, że życie złotą młodzieżą, zbyt długo przeciągane, przytępia w człowieku wszystkie myśli i uczucia do tego stopnia, że staje się niezdolnym zupełnie, aby dopiąć celu, jaki każdy mąż dojrzały powinien mieć przed sobą: jeżeli kto w młodości siał plewy, to później wygląda nadaremnie plonu. Przedstawić tę prawdę, jest bez wątpienia zamia-

rem wielkim i szlachetnym, a zarazem jedyną drogą, którą złoty młodzieniec może zostać bohaterem romansu lub komedy. Twierdzenie to wymaga pewnych wyjaśnień.

Nie ulega wątpliwości że nazwa złotego młodzieńca bardzo jest popularną i znaną prawie wszystkim; ale pytanie, co to złota młodzież? Nazwa jej i pojęcie, jak wiele innych rzeczy, importowane do nas z zagranicy, z nad Sekwany; żeby więc zrozumieć kopią, przypatrzmy się pierwowzorowi. Otóż każdy z czytelników naszych wie mniej więcej, co to paryżka *jeunesse dorée*, gdyż spotkał się choćby w romansie z którym jej przedstawicielem. W Paryżu młodzieniec z dobrej i bogatej rodziny, złożony egzamin bakkalaureatu, poświęca lat kilka temu, co nazywa poezią życia, potem czyni rozbrat z poezią, żeni się i przychodzi do pracy. Łatwo odgadnąć na czem się zasałża jemu poezya życia: zapisawszy się do cerklu, żyje z rówieśnikami swemi, uczęszcza mało do salonów, tyle tylko ile przyzwoitość lub stosunki wymagają koniecznie, większą zaś część czasu poświęca swoim: chodzi do cerklu, przejeżdża się po lasku Bulouńskim i po polach Elizejskich, bywa na wyścigach i na pierwszych przedstawieniach w teatrze, urządza wesołe kolacje, w których biorą udział przyjaciele jego i tak zwany półświat żeński. Ale ta poezya kończy się po kilku latach: młody panicz wybiera sobie towarzyszkę życia i zamienia wyuzdaną rozmaitość poezyi na regularną, jednostajną prozę salonów; życie bez celu zastępuje życiem czynnym, zmierzającym do pewnego celu, zostawszy albo agronomem na wsi albo politykiem albo finansistą w stolicy. Dałoby się zapewne nie jedno powiedzieć przeciw takiemu pojmowaniu poezyi życia i takiemu używaniu młodości: pesymista zawoła, że owa poezya wycieńcza ducha i ciało a podkopuje nieraz wielkie fortuny. Wszystko to prawda, bo każdej rzeczy używać można na złe i na dobre, jednakże przypomniemy pesymistom że większość francuzkich ministrów i wyższych dygnitarzy, wielu mężów stanu, wielu zawołanych agronomów i finansistów przeszło przez taką młodość ozłocaną i więcej z niej wynieśli korzyści niż szkody. Nawet bankier zapatrujący się zimuo i trzeźwo na rzeczy, uważa za rzecz wcale naturalną, że syn jego przez lat kilka użyje życia z wolą zupełnie nieograniczoną, i widzi w tém rękojmią, że później będzie tém rozsądniejszym. Zresztą jest to zjawisko tak naturalne i wynikające z porządku rzeczy, że młodzież powinna wyszumieć, jak mówią ludzie rozsądni, że tak zwana złota młodzież wcale nie jest wyłącznie francuzkim wyrobem, lecz istniała zawsze i wszędzie. Jeżeli w Paryżu więcej o niej mówią, niż gdzieindziej, to dlatego jedynie, że tam ma większą widownię i więcej środków popisu.

Ale za tém idzie, że złota młodzież, napotykana w wszystkich krajach i za wszystkich czasów, objawiająca wszędzie te same dążności i skłonności, choć czasem pod inną nieco formą, ma w sobie coś kosmopolitycznego, bladego, niewyrobionego, tak

jak dzieci lub studenci nie tylko z mundurka lecz i z wielu innych rzeczy do siebie są podobni. Pytanie więc, czy młodzież owa szumiąca może dostarczyć z grona swego głównego bohatera do komedyi. Na to odpowiadamy stanowczo, że nie. Komedia jak każda prawdziwa poezya, powinna być oparta na indywidualności, t. j. nie powinna chwycać rysów, w których jednostki do siebie są podobne, lecz malować przede wszystkim te, w których się wyróżniają od siebie, inaczej nie stworzy jasnych, wydatnych charakterów, inaczej żaden z nich nie będzie skończoną w sobie całością, punktem grawitacyjnym, ciągnącym ku sobie wszystkie drugorzędne postacie, światłem, przyświecającem przebiegowi akcji. Ale czyż złoty młodzieniec potrafi być takim charakterem? on działa, myśli, czuje jak koledzy jego i atmosfera, wśród której żyje, on dopiero wyrabia się ale bynajmniej nie jest wykończonym. Póki jest młodzieńcem, sposób życia jego dla nas jest dosyć obojętnym, czyny jego i dążności nie mają po większej części wybitnego celu, a czy były złe lub dobre, okażą dopiero późniejsze następstwa. Ażeby potępić ten sposób życia, okazać go śmieszny lub zgubny, trzeba koniecznie postawić obok niego skutki, a te zjawiają się dopiero w późniejszym życiu. Dopiero później złoty młodzieniec stanie się tragicznym lub komicznym, gdy on przedłuża nad miarę złoty sposób życia a towarzysze młodości jego tymczasem wyszli na mężów; wtedy okażą się przykre kolizye, między nim a rzeczywistością i wtedy dopiero, nie prędzej, zajmuje nas jego postawa. Ale jakież złe skutki spadły na głowę Edwina, wystarczające aby potępić jego pobyt w Warszawie? sprowadzają się wszystkie do jednego, że nie skorzystał tam dosyć, aby zasłużyć na miłość pięknej Klary. Nie przeczę, że to czasem skutek bardzo ważny, ale wtedy był autor powinien wykazać, że sposób życia przeciwny do Edwinowego skuteczniej doprowadza do celu. Usiłował to uwydatnić na rywalu jego Zdzisławie. Alena nieszczęście Zdzisław jest dosyć bladą figurą, ledwo jedrém pociągnięciem ręki nakreśloną. O ile się domyślam, żył na wsi, pracował, zapewne nad agronomią, czytał różne książki, oboował z rozsądnymi ludźmi, tym sposobem wyrobił sobie pewien sąd o rzeczach, pewną treść duchowną i pewne formy towarzyskie. Autor daje do zrozumienia, że gdyby Edwin był się udał tą samą drogą, byłby osiągnął tegoż celu. Ale przypuśćmy, że to się stało w istocie. Edwin wyjeżdżając do Warszawy musiał mieć najmniej lat dwadzieścia, po trzech latach wraca nieokrzesanym, bez treści i bez uczuć, obojętnym na wszystko. Trudno zaprzeczyć, że trzyletnie używanie życia, nie tylko w Warszawie, lecz i gdzie indziej może z niejednego zrobić to, na co Edwin twierdzi że sam wyszedł, *un homme blasé*, ale przeczę stanowczo, żeby dwudziestoletni młodzieniec, chowany w dobrym domu, nie wynosił z niego pewnych form towarzyskich, pewnego zasobu wiadomości i pewnej summy uczuć, których żaden pobyt trzechletni za domem nie zdoła zatrzeć zupełnie. Jeżeli więc Edwin wraca

z Warszawy gburem, nieukiem, egoistą i Bóg wie, czém jeszcze, to prawdopodobnie już wyjechał takim z domu. Jeżeli zaś do dwudziestego roku życia dom rodzicielski nie nie potrafił zrobić z niego porządnego, to i następne trzy lata przepędzone w tej samej atmosferze, przy ucziwój pracy, w sąsiedztwie Zdzisława i narwanego doktora, nie byłyby z niego zrobiły kawalera, zwracającego głowy młodym wdówkom.

Podobnych nieprawdopodobieństw jeszcze wiele w sztuce, ale przytoczyłem z nich tylko kilka, tak sobie bez ładu i porządku, w miarę jak mi przychodziły na pamięć pod wrażeniem niedawno widzianej sztuki. Gdy się teraz czytelnik przeczytawszy krytykę naszą, cierpką bez wątpienia ale sprawiedliwą, zapyta, czemu utwór mimo ułomności swoich zachwyca publiczność, odpowiem jak wyżej: język potoczysty, dobre dowcipy i wyborna gra aktorów porywają nas ze sobą i wprawiają w serdeczną wesołość. Gdyby zresztą autor przezwiał był utwór swój krotochwilą, byłby sąd mój wypadł zapewne inaczej, bo co innego jest sądzić krotochwilę, a co innego komedię. Jeszcze słów kilka o grze aktorów. Rolę Radosta odegrał p. Rychter w sposób nie pozostawiający nic zgola do życzenia; rola zaś Edwina, najtrudniejsza w całej sztuce, również wybornie pojętą została i oddaną przez p. Żółkowskiego: jego gra nieporównana już wielu sztukom pomogła do powodzenia. Przecież zdawało nam się, że Edwin wyglądał na zbyt dojrzałego mężczyznę, że głos jego był zbyt męzki i twardy. Razi to nieco, gdy przypominamy sobie, że Edwin najwięcej może mieć lat dwadzieścia trzy, a gdy nareszcie dobrej tuszy mężczyzna siada na kolanach ginącej przy nim matki: to śmieszna pozycya, ta zrazu wprawdzie wzbudza wesołość, ale ogólne wrażenie, które po niej zostaje, nie jest wcale estetycznym, lecz nawet nieco rubasznym.

Inną nowością jest mala krotochwila młodszego Fredry, pod tytułem „Przed śniadaniem.” O tej sztuce chciałbym koniecznie powiedzieć co dobrego, żeby publiczność nie posądzała mnie o umyślne uwłaczanie wszystkiemu; ale po długim szukaniu, nie mogę się zdobyć na inny komplement dla autora, jak że pisze gładkim językiem i że czasem jest dowcipny. Ujemne zaś strony małego utworu, a których trudno pokryć milczeniem, odbierają wszelką wartość komplementowi, z serdecznym moim załem. Bo nie wiem nawet, czy to coś, co widziałem na scenie, można nazwać utworem: nazwałbym to przedrzeźnianiem utworu. Bo wystawcież sobie państwo! Młody gimnazysta, złożywszy szczęśliwie egzamin dojrzałości, wraca do ciotki na wieś z napuszoną miną; tam spotyka się w ogrodzie z towarzyszką swoich lat dziecinnych, która wygląda go z wielkiem utęsknieniem, wiedząc naprzód że ciotka przeznaczą go jej na męża. I kocha go już namiętnie, bo wszystkim młodym pensyonarkom wydaje się, że kochają niezmiernie. Otóż zoczywszy go w ogrodzie bieży ku niemu z radością, ale on ją wita bardzo zimno i sztywnie, pozując na

mężczyznę. Ona jest naiwną i serdeczną jak dawniej, a on z prawdziwym pobłażaniem spogląda na jej dziecinne pomysły. Jemu się naturalnie o miłości nigdy nie śniło. Nareszcie odchodzi, pograżając ją przez to w głęboką rozpacz. Ale dobre serce jego bierze górę nad pozowaniem: głos sumienia mu mówi, że zapewne przykrość uczynił przyjaciółce i nagle odkrywa, że ją kocha szalenie. To odkrycie podsuwa mu najpotworniejsze myśli, jakie kiedy powstały w głowie gimnazysty, zamierza się zabić i to rafinowanym sposobem. Ona dowiedziawszy się o tem szuka go po ogrodzie, on zamiast kark skrócić tylko potłukłszy się trochę spadnięciem z konia, biega także po ogrodzie, szukając jej wszędzie. To bieganie jest jedyną zabawną akcją w tem nudnem coś; kończy się zaś wzajemnem spotkaniem, a gdy służący zastał śniadanie, wpadają sobie w objęcia pod czułym okiem zjawiającej się ciotki, i zabierają się do rzeczy arcyważnej dla gimnazysty, nawet gdy już skończył kursa, do śniadania. Sztuczka ta przypomina tokiem mowy i dowcipami wodewile francuzkie, ale te są mniej czeze, bo przynajmniej w nich jakieś treściwsze osoby. Tutaj mamy parę dzieci, bawiących się w bajronizm i sentymentalność, do których w ich duszach nie ma najmniejszego powodu. Jest to para karykatur, ale nudnych i bladych, zatem role ich dla aktorów arcy niewdzięczne.

Ala zakończmy przegląd ten czemś lepszym. Po lichotach owych widzieliśmy „*Sztukę i Handel*” p. *Kaszeuskiego*. Autor nazywa tę komedję bardzo skromnie przerobieniem francuzkiego oryginału, ale przerobienie to stało się nowym, samodzielny utworem: każdy wyraz o tem świadczy, że to sztuka ulana z jednego kruszcu, a jeżeli zagraniczne pomysły weszły do tego kruszcu, to zlały się z nim w masę tak jednolitą, że każdy dźwięk jej czystym, wnikałym do duszy; każdy wiersz jej, a wszystkie pełne męskiej siły, przemawia do nas, że to utwór naszego, nie obcego poety. Mamy tam prawdziwą komedję, jest akcja i są działające osoby, a każda z nich typem rzeczywistym, indywidualnym, niejako sylwetką przesuwaną się w półcieniu. Ale na cóż opowiedzieć tu treść sztuki, która znaną jest publiczności od lat wielu? na co wychwalać grę aktorów, ocenionych przez widzów kompetentnych także oddawna? Rzucam tylko myśli będące wynikiem osobistego wrażenia. Wdzięczni jesteśmy dyrekcji, że po długiej przerwie wróciła nam ten utwór zachwycający. Bo przy naszym bladym repertoarze, gdzie przeważają lichy tłumaczenia blądnych wodewilów, zapewne nie małej wagi rzecz, przepędzić wieczór w wyższem usposobieniu i wśród myśli idealnych. To zaś zdarza się nam, ile razy znajdujemy się w obec tej sztuki. Mamy wtedy przed sobą ideę, wcieloną w wielkiego artystę, który sam jest jej wymownym tłumaczem, ideę, że kult piękna tylko takich przypuszcza kapłanów, którzy mu się oddają z całym sercem i z duszą całą. Klemens X... w młodości

miął wszelkie dary, potrzebne kapłanowi piękna: miał zdolności wielkie i ogień natchnienia i tworzenia siłę. Sztuka sama wybrała go sobie na ucznia, rozlawszy po nim najpiękniejsze swoje dary. Ale prędzej wielbłąd przejdzie przez uszko igły, niż bogaty do królestwa niebieskiego. To samo powiemy o uczniach sztuki. Gdyby X... nie był nic miał, jak nadzieję, byłby stał się wielkim; ale ponieważ nie zdołał się wyrzec sam siebie, i porzucić doczesne widoki, ponieważ chciał obok świata idealnego uprawiać także marne zyski doczesne, przeto odjęto mu skarb, którego nie użytkował, jak niewiernemu słudze talent w Nowym Testamencie i ukazał się małym. Na artystę stworzony chciał najprzód intratnym kupiectwem zabezpieczyć swój majątek, myśląc że zawsze czas jeszcze wracać do Muz nieśmiertelnych; ale gdy dokazał, czego pragnął, wtedy już nie miał na czole znaku wybranego, nie był niczem zgola, bez przeszłości i bez przyszłości, i jak sami powiada, artystą być nie chciał, a kupcem być nie umiał. Zapewne wydadzą się ludziom XIX wieku główne myśli tej komedyi wybuchajemi, bo oni do płaskości przyzwyczajeni nie podniosą się do nich nigdy, przecież nawet dla episerów korzystną jest rzeczą, jeżeli choć czasem oddychają idealniejszym powietrzem. A tego pełnemi chausty ciągnąć można z tej komedyi, a czego same słowa nie potrafiłyby nigdy, bo ludzie dzisiejsi czytają z pośpiechem, bez uwagi, to uzupełnia gra nadzwyczajna aktorów. Mianowicie scena owa na początku czwartego aktu, gdy nieszczęśliwy kupiec zadowolniony nareszcie, że może wracać do sztuki, siada do fortepianu, którego nie tknął przez lat ośmnaście, a palce wypowiadają mu posłuszeństwo, wtedy ta boleść, większa niż Laokonowa, występując na twarz artysty, oceniając ją wyrazem niesłychanej rozpacz, ta chwila w której Królikowski jest największy i w której wątpię żeby ktoś mógł go przewyższyć, do tego stopnia owłada widzami, że wstrzymują oddech i że nawet poczciwe episerskie serce bije gwałtowniej niż zwykle. Ale czas zakończyć to sprawozdanie nasze. Ja ile razy byłem na tej sztuce opuściłem zawsze salę podniesiony w duchu, czułem się natchnionym i lepszym, niż przed przybyciem, i myślę że większość czytelników wyniosła to same, co ja, wrażenie ze sali. Dla tego nie wstydę się mojej głośnej spowiedzi. Ale wtedy, dzięki autorowi, który nam sprawia takie chwile, zdarzające się tak rzadko w tej jednostajnej naszej, błędnej rzeczywistości i dzięki artystom, którzy ideę autora wcieliłi w dotykalne postacie i uzmysłowili przed nami.

Dnia 19 stycznia.

Stefan Pawlicki.

ROZMAITOŚCI.

NAJDAWNIEJSZA TARYFFA DOMÓW

MIASTA KRAKOWA.

W braku wszelkich szczegółowych planów miast dawnych zwłaszcza do końca XVII a nawet do połowy XVIII wieku, nader ważnemi pod tym względem stają się tak zwane taryffy czyli spisy domów, robione przez urzędników z polecenia najwyższych władz sporządzane. Powód ich spisywania był rozmaity: jużto pod względem rozkładu zwykłych podatków na mieszkańców stale osiadłych w mieście; jużto w razach nadzwyczajnych, na gwałtowne i naglące chwilowo potrzeby; już też dla ściągania nałożonych kontrybucyi na miasto: już wreszcie dla rozpisu tak zwanych gospód (ex officia) w czasach odbywania sejmów, lub długiego pobytu króla z całym dworem w jakim grodzie. Wiemy że porządek numerowania domów, po większych zwłaszcza miastach, dopiero w drugiej połowie XVIII wieku nastąpił. Wiemy i to, że przy gwałtownych zniszczeniach i zburzeniach a szczególnie w XVII wieku, większe miasta, nadzwyczaj zmieniły swoją postać. W takim położeniu, ubikacye z epoki poprzedzającej: pałaców, domów, ulic, zamków i miast, dziś dla tych dwóch powodów, nieraz stają się prawdziwym węzłem gordyjskim, którego w szrankach sądowych nie można inaczej, dla braku dawniejszych planów rozwiązać, jak mieczem Alexandra. To nas skłoniło do nabycia parę lat temu, szacownego rękopisu obejmu-

jącego po większej części, najdawniejszą taryfę miasta Krakowa. Jakkolwiek zaś nie przytaczamy jej tutaj dosłownie, dla braku miejsca; w każdym jednak razie, mając zamiar rękopism ten przesłać następnie Towarzystwu Naukowemu Krakowskiemu, uważamy za użyteczne, podać przed spełnieniem tego, choć szczegółową treść tak ważnego pod względem archeologicznym pomnika.

Cały rękopism dosyć jest nadwerżony przez to, iż zewnętrznych okładek już nie miał kiedyśmy go nabyli. Że był niegdyś oprawny, dowodzą pięciokrotne tak zwane wąsy, które o tyle zabezpieczyły go, iż główny przedmiot, jaki w sobie obejmuje to jest taryfę domów Krakowa, prawie bez żadnego uszczerbku przechował. Gatunek papieru i rodzaj pisma przekonywają, że społeczeństwo w roku 1632 został sporządzony i że będąc oryginałem w rzeczach urzędowych nader potrzebnym, tём samem uległ przez częste użycie go takiemu nadwerżeniu. Składa on się z dwóch części, o każdej z osobna wyłuszczyć sam przedmiot różny nakazuje.

CZEŚĆ I.

Taką ma kartę tytułową: *Registr gospód wszytkich w mieście króla Jego Mości Krakowie dla Ich Mei PP. Senatorów, urzędników i dworu króla Jego Mei także królewiców Ich Mei przez Jakóba Alexandra Biedrzyckiego stanowniczego króla Jego Mei porządnie zrewidowanych i przejranych dnia (opuszczono) miesiąca (opuszczano) roku Pańskiego 1632.* Następnie obejmuje w sobie wyszczególnienie wszystkich ulic, dzielnic, miasteczek, jurydyk, i pojedyncze domy w obrębie dawnym Krakowa wówczas objęte. Oprócz nazwisk i imion właścicieli, przytacza położenie nieruchomości i ulic, wiele pięt, ile małych a wiele większych izb, ile sklepów, piwnic, komór, kuchenek, stajen i t. p. wreszcie dla kogo gospoda przeznaczona. Wielka drobiazgowość w oznaczaniu tych szczegółów, jak dziś jest bardzo użyteczną, w braku planów pojedynczych posiadłości Krakowa, tak z drugiej strony dowodzi, iż z całą ścisłością i pilnością chciał swoją pracę autor uskutecznić. Jak ją zaś starannie wykonał, dosyć przytoczyć, iż w formie małe folio objął ten spis gospód na 78 kartach czyli 39 arkuszach zapisanych. Mając taki ogólny rys tej szacownej pamiątki, przejdźmy do szczegółów w zarysach i w szeregu ulic, miasteczek, dzielnic podług porządku, jaki w tej księdze znajdujemy:

Razem
nieruchomości.

1. Rynek Krakowski z 4ma stronami: 1sza, obejmuje kamienie 12; 2ga, kamienie 13; 3cia, kamienie 13; 4ta, kamienie 15. Razem.	53.
2. Ulica Grodzka. Po jednej połaci: kamienie 32, dworek 1, bursa <i>Juristarum</i> 1, arsenał grodzki 1.	35.
Po drugiej połaci idąc od bramy ku rynkowi, łącznie z dworcem arcy-biskupa gnieźnieńskiego, ze szpitalem (?), collegium <i>juristarum</i> i kościołem Wszystkich Świętych, obejmuje: kamienie 39, dworków 3, kramy 2.	44.
3. Ulica Przecznicza <i>Legacka</i> nazwana (1); kamienie łącznie z dworem wojewody krakowskiego 9, dworków 6 .	15.
4. Przecznicza druga: dwór 1, dom 1.	2.
5. Ulica Szeroka: kamienie 17, dworców dygnitarzy 4, dworków 4.	25.
6. Ulica Stolarska: domów murowanych licząc z 2ma klasztorami św. Trójcy, ze szpitalem, oraz ze szkołą Panny Maryi.	19.
7. Ulica Sienna: kamienie.	3.
8. Ulica Wendeta (2): plebania 1, kamienie 8.	9.
9. Ulica Mikołajska. Po jednej stronie: kamienie 15, domów 2.	17.
Po drugiej: kamienie 19, dworek 1, plebania kościoła Panny Maryi 1.	21.
10. Ulica Szpitalna. Po jednej stronie: łaźnia 1, kamienie 18, kościół św. Tomasza 1, klasztor sierot ubogich 1, domków szpitalnych 2, słodownia 1.	24.
Po drugiej stronie: kamienie 15, dworków 9, szkoła św. Ducha 1, szpital św. Ducha 1, klasztor mniszek św. Ducha 1, kościółek św. Rocha 1 (3).	28.
11. Ulica Świnia, dziś istniejąca pod nazwą Różannej kamienie 14, dworków 6.	20.
12. Ulica Bracka. Po jednej stronie kamienie.	8.
Po drugiej: kamienie 9, bursa węgierska 1.	10.
do przeniesienia	333.

(1) W opisie Krakowa z roku 1866, nie znajdujemy tej nazwy.

(2) Według Ambrożego Grabowskiego: str 27 opisu Krakowa, **dziś** jest w tym miejscu plac zwany *Mały rynek*, za kościołem Panny Maryi.

(3) Dziś nie istnieje, bo przerobiony na dom.

	Razem nieruchomości.
z przeniesienia.	333.
13. Ulica Psi (sic) rynek, dziś istniejąca pod nazwą Franciszkańskiej: kamienic 11, dom probostwa kościoła Wszystkich Świętych 1, dworków 4, dwór biskupi 1. . . .	17.
14. Ulica Wiślna. Po jednej stronie: kamienic 5, bursa <i>pauperum</i> 1, plac pusty ksieni Zwierzyn. 1, dworek 1. . . .	8.
Po drugiej stronie kamienic.	14.
15. Ulica Gołębia: kamienic 7, domów 12, bursa jerozolimska 1, bursa filozofów 1, dom szkolny 1, collegium małe 1.	23.
16. Ulica św. Anny. Po jednej stronie: kamienic 7, szkoła św. Anny 1.	8.
Po drugiej: kamienic 7, collegium wielkie 1, mennica miejska 1, mennica koronna 1.	10.
17. Przecznicą z ulicy św. Anny ku ulicy Szewczej kamienic	4.
18. Ulica Szewcza: z jed. str. kamien. 14, z drug. 15.	29.
19. Ulica Szczepańska. Z jednej strony: kamienic 6, kościół św. Szczepana 1, konwent OO. Jezuitów 1.	8.
Z drugiej strony: kamienic 6, szpital św. Szczepana 1, plebania św. Szczepana 1.	8.
20. Przecznicą od ulicy Szczepańskiej ku Szewczej kamienic miejskich.	2.
21. Ulica Sławkowska. Po jednej stronie kamienic 21, dworków 2.	23.
Po drugiej: kamienic 17, klasztor św. Marka 1. . . .	18.
22. Ulica Żydowska. Po jednej stronie kamienic. . . .	5.
Po drugiej: kamienic 11, dworków 3.	14.
23. Ulica Rogacka: kamienic 5, domów i dworków 15, łaźnia rogacka 1.	21.
24. Ulica św. Jana. Z jednej strony kamienic.	22.
Z drugiej: kamienic 16, kościół św. Urszuli 1 (1). . . .	17.
25. Na dwóch przecznicach z ulicy św. Jana kamien. . . .	2.
26. Ulica Floryańska. Z jednej strony: kamienic 30, dom I.	31.
do przeniesienia	617.

(1) Następnie wedle Ambrożego Grabowskiego był pod tytułem: św. Jana Bożego z klasztorem Bonifratrów. W nowszych czasach sprzedany. Był tu także do roku 1842 teatr.

	Razem nieruchomości.
z przeniesienia	617.
Z drugiej: kamienic 23, dworków 2.	25.
27. W 3ch przeczn. od Floryańskiej ulicy kamien. .	3.

Dzielnica Garbarze.

28. Ulica Pańska dziś nieistniejąca: domów i dwor- ków 25, stajnia zwana <i>pod Fańcuchem</i> 1.	26.
29. Na Rybitwach domów i dworków.	5.
30. Ulica Różana " "	26.
31. Ulica na Kawiorach (sic) dziś nieistniejąca: domow i dworków 32, dworców 2.	34.
32. Ulica Garncarska: kamienica 1, domów i dwor- ków 33, ogród Cyglerów 1.	35.
33. Ulica Grzebienna dziś nieistniejąca: domów i dwor- ków 14, dworzec 1.	15.
34. Ulica Czarna dziś nieistniejąca: dworzec 1, domów i dworków 20.	21.
35. Ulica Szeroka dziś nieistniejąca: kamienic 2, do- mów i dworków 21.	23.
36. Ulica Tasemberg dziś nieist.; domów i dworków.	8.
37. Ulica za kośc. św. Piotra: domów i dworków. . .	11.
38. Ulica na Czarniej wsi: domów i dworków.	31.
39. Połać za młynem kamiennym i za rurmusem miejskim; domów i dworków.	10.

Dzielnica Biskupie stare.

40. Pominąwszy place pogorzałe: ogrodów 3, dom wielki Lorkowicowski gdzie posłowie stawali cudzoziemscy 1, domów i dworków 30	34.
---	-----

Dzielnica Krowodrzu.

41. Grunt proboszcza ś. Ducha 1, domów i dworków około 36, stajni 3	40.
--	-----

Dzielnica Błonie.

42. Pod zawiadywaniem rajców krakowskich: domów 61, gościnnych domów 4	65.
do przeniesienia	1029.

Dzielnica Pędzichów.

43. Połać za kościołem ś. Walentego (1): kamienica 1, domów i dworków około 30, folwark 1 32.

Dzielnica Promnik wielki.

44. Kamienica biskupa krakowskiego 1, młyn 1 2.

Dzielnica Promnik wieś.

45. Dwór wielki 1, młynów 2, papiernia 1, plebanija kościoła ś. Mikołaja 1, folwark ojców Dominikanów 1. domów i dworków około 21 27.

Dzielnica wał krakowski.

46. Połać od bramy Grodzkiej; domów i dworków 26
47. Połać od Nowej bramy ku Wiśle; domów i dworków 17, stajnia miejska 1, ogród miejski 1, ogród Jezuicki wielki 1 20.
48. Połać od Nowej bramy ku Mikołajewskiej; domów i dworków 8, młyn królewski kamieniany 1 9.
49. Ulica w tyle tych domów bez nazwiska: domów i dworków 15, stajni rzeźniczych 11 26.
50. Połać od bramy Mikołajewskiej do kościoła ś. Mikołaja; kamienie 2, domów i dworków 25 27.
51. Uliczka za kościołem ś. Mikołaja: klasztor Ojców Bossaków 1, domków księży 2, dworzec 1, młyn drewniany królewski 1 5.
52. Połać *Blechnu miejskiego*; kamienie 3, domów i dworków 34, dworzec 1, ogrodów 2, folwark 1, młyn drewniany na Rudawie 1, szpital ś. Mikołaja 1 43.
53. Połać *wału wielkiego* od Mikołajewskiej bramy ku Kleparzowi: domów i dworków 37, stajnia 1 38.
54. Uliczka do Mogiły idąc: domów i dworków 13, ogród wielki 1 14.
- do przeniesienia 1298.

(1) W dzisiejszych czasach zburzony.

Razem
nieruchomości.
z przeniesienia 1298.

Dzielnica miasteczka Kleparza.

55. Rynku Isza część kamienic 2 domów 6; 2ga domów 8, 3cia domów 15, 4ta domów 20	51.
57. Ulica Długa; po jednej stronie domów i dworków	26.
Po drugiej, domów i dworków 18, placów pustych 3	21.
57. Połąc między bramami Sławkowską i Mikołajewską; domów i dworków	10.
58. Ulica Krowia dziś nieistniejąca: domów i dworków 11, plac 1	12.
59. Ulica Malowance dziś nieistniejąca: domów i dworków	14.
60. Połąc gdzie szewcy w rynku domków	10.
61. Na gruncie ś. Floryana domków	12..

Miasto Kazimierz.

62. W rynku: Isza strona kamienic 6, domów 3; druga strona kamienic 4 domów 5; trzecia strona kamienic 9 dom 1, czwarta strona kamienic 8 domów 3	39.
63. Ulica Krakowska: po jednej stronie kamienic 10 domów 4	14.
Po drugiej kamienic 12 dom 1	13.
64. Ulica Żydowska kamienic 13, domów i dworków 18, huta złotników 1	32.
65. Połąc między szewcami idąc z Kazimierza do Krakowa; po jednej stronie kamieniczka 1, domków 8, łaźnia miejska 1	10.
Po drugiej od mostu idąc do Kazimierza: kamieniczka 1, domów 11	12.
66. Ulica Wielicka; po jednej stronie kamienic 5 domów 6	11.
Po drugiej, kamienic 6 domów 5.	11.
67. Ulica Psirynek (sic) dziś nieistniejąca; po jednej polaci kamienica 1, domków 16.	17.
Po drugiej, kamienic 3, domów i domków 13	16.
68. Przekaznica ku kościołowi ś. Wawrzyńca; kamienic 2 domów 16	18.
do przeniesienia	1647.

	Razem nieruchomości.
z przeniesienia	1647.
69. Połać jatek maślnych w stronę ratusza: jatek maślnych 13 waga miejska 1, jatek miejskich 6, domków 16, jatek solnych 12	53.
70. Ulica Jakobska: kamienie 7, domów 12	19.
71. Ulica Piekarska: kamienie 2 domów 18	20.
72. Połać naprzeciw kościoła s. Katarzyny domków	7.
73. Ulica Krowia dziś nieistniejąca: domów i domków	7.
74. Ulica Tkacza dziś nieistniejąca: domów i domków	21.
75. Połać na <i>Podbrzeziu</i> domów i domków	59.
76. Za bramą Wielicką dom	1.
77. Za <i>Skalką</i> domów	2.
78. Za klasztorem ś. Katarzyny domów	3.

Dzielnica Stradom.

79. Po prawej stronie od Grodzkiej bramy: kamienie 8, domów i domków 25.	33
Po lewej ręce idąc z Kazimierza: kamienie 12, domów i domków 26, dworzec 1.	39

Dzielnica Podzamcze.

80. Połać do juryzdykeyi wielkorządcy należąca: domów i dworków 17, mennica królewska 1.	18.
81. Połać od kośc. św. Agnieszki: domk. 5, dwor. 2.	7.
82. Połać w uliczce przeciw ogrodowi bernardyńskiemu: domków.	6.
83. Połać pod samą górą Zamkową: domków i dworków 22, pralnia królewska 1, dwór pana krakowskiego 1, dwór królewski nad Wisłą 1.	25.
84. Połać na Rybitwach: domów i domków 51, dworów 2, klasztor (lub kościół) Reformatów 1.	54.
85. Połać na Smoleńsku: domków.	3.

Razem nieruchomości. 2,024.

Rozdzieliwszy powyższe dane na rodzaje budowli, wypada z w roku 1632 podług powyższej taryfły było w Krakowie:

Dwór królewski.	1.	Słodownia.	1.
Arsenał	1.	Mennic.	3.
Dworców dygnitarzy. . .	18.	Ogrodów.	9.
Kamienie	647.	Stajen	17.
Domów i dworków . . .	1,227.	Gościn. domów.	4.
Domów szkolnych i kol-		Folwarków	3.
legii	14.	Młynów	6.
Szpitali	4.	Papiernia	1.
Kramów.	2.	Huta złotników.	1.
Domów plebańskich. . .	7.	Waga miejska. . .	1.
Łaźni	3.	Jatek różnych. . .	36.
Kościółów.	7 (1).	Pralnia.	1.
Klasztorów	6.	Placów pustych. .	4.

Razem jak wyżej . . . 2,024.

W końcu tego spisu, jest jeszcze zamieszczone wyszczególnienie 23 wsi najbliższych Krakowa i Kazimierza, które były: Zwierzyniec, Przegorzały, Bronowice mniejsze, Bronowice większe, Tarus, Zielonki, Witkowice, Górka, Rakowice, Bieńczyce, Czerzyny, Łąg, Dąbie, Płaszów, Zabłocie, Bieżanów, Wola, Kardwanów, Dorek, Skotniki, Pychowice, Dębniki i Jugowicze. Z tych, Zwierzyniec, Przegorzały, Bronowice mniejsze i większe, Bieńczyce, Czerzyny, Bieżanów, Kardwanów, Dorek, Dębniki i Jugowicze, były uposażeniem różnych klasztorów i osób duchownych w samym Krakowie.

Wreszcie w samém zakończeniu tój taryffy, na oddzielnej stronie zamieścił spisujący następujący szczegół: „Przy wyżej pisanym mieście Kazimierzu jest miasto żydowskie, w murze zdawna nasiadłe bulwone; ci prosili żeby ich nie rewidował i nie pisać, powiadając, że mamy przywileje na to, a do tego nie stałby tu nikt u nas i nie stawał dla samój ciasności i smrodu.” Widać że układający tę taryffę Alexander Biedrzycki musiał się dokładnie sam przekonać o tych zaletach tój dzielnicy, kiedy ani jednego budynku w tém mieście, nie zamieścił do ponoszenia gospód.

(1) Dlaczegooby w powyższym spisie, autor nie objął wszystkich kościołów, których wedle Pruszcza w roku 1650 miało być 65, nie jest nam wiadomo. Prawdopodobném jest tylko, iż spisujący objął te tylko kościoły, w których uboczne liczne zabudowania i oficyny dozwalały bez uszczerbku służby Bożej gospody w nich ponosić. Toż samo i o klasztorach wnioskować można.

Porównywając ilość domów w tej taryffie objętych. 2020.
z liczbą nieruchomości wykazaną w r. 1844. 1863.

widzimy ubytek domów 157.

nie licząc znacznej ilości kościołów nieobjętych w tym spisie z roku 1632.

Ile szacowny ten rękopism. jest ważnym dla Krakowa, bliżej będzie mógł dopiero ocenić Ambroży Grabowski. Z naszej strony to jeszcze dodamy, iż obejmując Kraków z wszystkimi dzielnicami w r. 1632, zatem kiedy był jeszcze nietknięty tylokrotnemi klęskami, bardzo wiele będzie można wyjaśnić szczegółowych miejscowości, w dawnych aktach bądź miejskich bądź koronnych wyłuszczonej. Oznaczenie wreszcie dokładnie 16 ulic dziś nieistniejących, aż nadto dotykalnie przemawia za wartością tego rękopismu pod względem archeologicznym.

Bolejemy mocno, iż druga połowa tego rękopisu nader uszkodzoną została przez to, iż 11 kart początkowych brak jest zupełny i że żadnego śladu nie mogliśmy następnie wyczytać, kto go pisał i w jakim celu. Z przedmiotów jednak jakie w sobie mieści i po sposobie pisma dawnego z pewnością można wnioskować, iż jeden z pisarzy sądów assessorskich w XVII wieku, mając pod ręką grubą księgę powyższej taryfy w połowie niezapisaną, chcąc użytek zrobić z białego pozostałego papieru, zaczął przepisywać wszystkie ważniejsze wyroki, jakie w tychże sądach zapadły. Osnowa ich, w handlowych po większej części przedmiotach, dotyczyła różnych miast. Najliczniejsze z tych, obejmują Kraków i Kłeparż. Pod względem chronologicznym obejmują lata zapadłych dekrétów: z r. 1567, 1628, 1635, 1636, 1641, 1644, 1645, 1647, 1649 aż do r. 1650. Z tych najciekawszy dla nas wyrok jest ten, który zapadł w sprawie słynnego naszego malarza Tomasza Dolabelli w r. 1641 przeciw Jadwidze Piotrkowczykównie przeoryszy WW. PP. Dominikanek przy kościele N. Trójcy w Krakowie. Celem tego sporu było, żądanie przeoryszy wydania majątku ruchomego siostry jej a zmarłej żony Dolabelli Agnieszki z Piotrkowczyków na złp. 10,000 ówczesnych otaksowanego.

Pięć charakterów pisma takie w tej drugiej części rękopismu spotykamy, każą domniemywać, że jeden pisarz przekazywał drugiemu tę księgę do jej zapelniania. Co może naprowadzać także na drugi wniosek, iż może używana była w jakiejś kancelaryi jako posilkowa, gdy same oryginały dokumentów przy sprawach, musiały być stronom wydawane lub zwracane.

Pisałem w Mokotowie
dnia 2 listopada 1867 r.

Alexander Wejnert.

KORRESPONDENCYE.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Winien jestem Redakcyi *Biblioteki Warszawskiej* sprostowanie co do artykułu pomieszczonego w ostatnim jéj numerze: *Najdawniejszy zabytek prozy oryginalnej polskiej.*

Wydźga, starosta sandecki z r. 1356 nie jest „jedną i tą samą osobą”, co Piotr starosta sandecki z r. 1365; autor zajrzał do jednego tomu Dyplomatarjusza Rzyszczewskiego, nie zajrzał do drugiego. Otóż w tym samym dyplomatarjuszu czytamy już pod rokiem 1361: *Petro de Szczecocyn Starosta Sandecensi* (Rzyszcz. III. 268). Ten sam Piotr ze Szczekocin występuje bez tytułu w roku 1362 (III. 276 i 277) i z tytułem jako *Capitaneus Sandecensis* (III. 283).

W 1765 Piotr ze Szczekocin prosto ze starosty został kasztelanem sandeckim, czego dowód u Helcla: *Starodawne prawa polskiego pomniki* str. 212. I znane w Dyplomatarjuszu Rzyszczewskiego, czytamy go: *Petussio de Scecociny* bez tytułu (III. 298) i jeszcze raz *Petro Szczecotski*, wymieniony w roku 1369 jako kasztelan Sandecki.

Zresztą znany jest ten Piotr ze Szczekocin z Theinera z kodeksu mogińskiego i z dyplomatów drukowanych w „Przyjacielu chrześcijańskiej prawdy” ks. Korczyńskiego. 1833 r. III 106.

Z tego wszystkiego wypada, że Piotr ze Szczekocin był mężem rodziny Odrowążów, nie Wydźgów.

Chciałbym także zwrócić uwagę na rok urodzenia Romana Zmorskiego.

P. Rzązewski za historiją literatury Wójcickiego podaje rok 1824; nie wierzy ojcu Romana, który 1822 podaje za rok urodzenia syna.

Nie wiem dlaczego ojciec, chociażby wielki staruszek nie miał w tej okoliczności lepiej wiedzieć, jak ktokolwiek bądź inny. Otóż, w tej okoliczności będę z ojcem trzymał, przeciwko p. Rządowskiemu. Roman był moim rówieśnikiem, stał u moich rodziców na stancyi w r. 1832 i 1833 w Białym Radziwiłowskić, kiedy do szkoły chodził. Między mną a nim, było ledwie kilka miesięcy wieku różnicy, i z tego względu, widzę, że ojca tylko podanie stanowi powagę.

Zresztą, fakt ten sprawdzić łatwo, bo ponieważ Roman rozdził się w Warszawie, metryka jego gdzieś tutaj być musi w którymś z kościołów parafialnych.

Dnia 27 stycznia 1868 r.

Julian Bartoszewicz.

WIADOMOSCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Styczeń 1868 r. *Wiadomości z Szkoły Głównej*. — W piątek dnia 24-go stycznia r. b. o godzinie 12 tój z południa, w obecności J.W. Kuratora okręgu warszawskiego, Rektora Szkoły Głównej, Dziekana i Professorów wydziału historyczno-filologicznego, oraz licznie zebranych gości, bronił Dr. *Adolf Pawiński* publicznie rozprawy, przez Wydział przyjętej, celem uzyskania docentury i prawa wykładania historii powszechnej. Oponentami jego z urzędu byli prof. A. Tyszyński i K. Plebański. Po dwugodzinnej zajmującej dyspacie, prowadzonej z obu stron z nadzwyczajną biegłością i żywością, Wydział krótko się naradziwszy, oświadczył p. Pawińskiemu, że go przyjmuje do grona swego. Rozprawa zaś, która była przedmiotem uczonej tój i z wszech miar zasługującej na uwagę dysputy, jest streszczeniem pracy tegoż autora, ogłoszonej w przeszłym roku za granicą w języku niemieckim, która zaraz po ukazaniu się zwróciła na się uwagę uczonych, tak iż wydanie jój wkrótce zostało wyczerpniętym. Tytuł rozprawy taki: „Przyczynek do historii konsulatu w miastach północnych i środkowych Włoch w wieku XI i XII. W Getyndze 1867 r.” (Zur entstehung der geschichte des consulats in den comunen Nord-und Mittel-Italiens. XI—XII Jahrhundert). Ważność przedmiotu wynika z wielkiego tła dziejowego, na którym rysuje się powstanie miast włoskich i rozwój ich w wspomnianych dwóch wiekach. Wiekopomny wpływ miast tych na sąsiednie kraje, a przedewszystkiem germańskie imperyum, znany jest powszechnie, żeby jednak zrozumieć go należycie i ocenić doniosłość jego dziejową, na to nie dość przypatrzeć się działaniu miast na zewnątrz, trzeba poznać także ich domowe gospodarstwo. Zagraniczna polityka zawsze zawisłą jest od polityki wewnętrznej, jedna hamuje drugą lub wspiera, stosowie do okoliczności. Otóż w wewnętrznej polityce miast włoskich, jeżeli godzi się używać wyrazu tego o czasach tak odległych, w ich organizacyi municypalnej i miejskim samorządzie odgrywają przednią rolę wysocy miast tych dygnitarze. Na ich czele stoją konsulowie, ich to uczynił p. Pawiński przedmiotem swoich badań, aby wyjaśnić rozmaite zawiłości i niepewności, które otaczają dotąd ich powstanie i pierwsze chwile istnienia. Zarzuty uczonych oponentów dotyczyły się prawie wszystkie różnych pomniejszych już to niedostatków już to sprzeczności, jakie upatrywali w pracy autora. Ponieważ specjalne te zarzuty mają wartość tylko dla ludzi fachowych, a zrozumiałemi są tylko tym, którzy przeczytali rozprawę, pomijamy je chętnie. Zdziwiliśmy się jednakże, że uczeni

oponenci nie dotknęli jednej kwestyi ogólnej, będącej nader zajmującą i dla większego ogółu. Chodzi bowiem o wytłumaczenie następującego zjawiska. W ostatnich czasach rzymskiego cesarstwa rozpadły się miasta jego same w sobie, jak mury okalające je dokoła, i dawno już były zamarłe, zanim barbarzyńskie hordy wtargnąwszy do Włoch, zdeptały je do szczytu. Jednakże od czasów Karola W. podnoszą się miasta na nowo, a w wieku XI widzimy je kwitnące, używające wszelkich swobód, posiadające całkowity organizm polityczny i administracyjny. Pytanie więc, pod wpływem jakiego ducha wyrobił się ten organizm nowy: czy on wcieleniem tylko starorzyskich tradycji, czy też czemś zupełnie nowém. Mniemania uczonych podzieliły się w tym względzie, jak w wielu innych: jedni utrzymują, że tradycja rzymska nie wygasła nigdy zupełnie i tylko do czasu przytłoczona głazami, z pod nich wyrosła i okryła je nową zielenią, jest to szkoła Romanistów. Naprzeciw nim stanęła szkoła tak zwanych Germanistów, twierdzących, że germańscy zdobywcy uczynili wszędzie dokoła siebie *tabulam rasam*, że gdziekolwiek wkroczyli do rzymskich granic, wykarczowali wszystko co rzymskie a na tym wykarczonym gruncie zasiali idee czysto germańskie, które wydały, oprócz wielu innych owoców, także konstytucye miast włoskich, mianowicie lombardzkich. Jednym z przedstawicieli Germanistów jest Karol Hegel, który rozprowadził myśli swoje w sławnej „Historji konstytucyi miejskich w Włoszech”. (*Geschichte der staedte-verfassungen von Italien*). Obie zaś szkoły walczą ze sobą zawzięcie. Romanisci wołają: za nami przemawia zdrowy rozsądek, bo hordy barbarzyńskie stopniały na włoskich łąkach, jak śniegi ukazujące się tam czasem: wkrótce aklimatyzowały się zupełnie, przyjęły mowę i obyczaj krajowców; Germanisci wołają: mamy dokumenta, które świadczą przeciwnie. Dotąd walka ta wielka nie jest rozstrzygniętą, tocząc się nie tylko w historyi miejskich urzędzeń, lecz w prawodawstwie, starożytnościach i licznych innych dziedzinach. P. Pawiński szedł wiernie za Heglem, jak się sam zresztą przyznaje do tego: myśli jego rozprowadza dalej, modyfikuje je czasem, objaśnia nowemi, ciekawemi dokumentami, ale nie odstąpił od niego w żadnym stanowczym punkcie. Przez to chcąc nie chcąc broni sprawy Germanistów i stawia przeciw Romanistom. Rzeczą więc było oponentów podchwycić tę właśnie kwestyą kardynalną, która dla jednej i drugiej szkoły jest kwestyą bytu lub niebytu; ubolewamy mocno, że tego nie uczynili, ponieważ byliby autora zniewolili do bliższych wyjaśnień stosunku, w jakim zostaje do jednej szkoły i do drugiej, i czy dzieło Hegla było tylko podstawą jego pracy, czy też zasady Hegla uważa za prawdziwą normę historycznej metody.

— W *Srode*, 29 stycznia o godzinie 1-jej z południa miał p. Kopyłow lekcya wstępna w auli Szkoły Głównej. P. Kopyłow objął katedrę historyi i literatury ruskiej w Wydziale filologiczno-historycznym.

— Wydawnictwo pomnikowego dzieła „*Wzory sztuki średniowiecznej i z czasów odrodzenia w dawnej Polsce*” odżyły na nowo, i ukończonem zostanie. Wydawcy i autorowie tekstu do załączonych rycin pp. Alexander Przeddziecki i Edward Rastawiecki ogłosili, że po wydaniu świeżo zeszytów XIII i XIV seryi III zawierających cztery znakomite pomniki spiżowe; *Drzwi katedry Gnieźnieńskiej*, i *grobowców kardynała Fryderyka Jagiellończyka Bonara i Salomona* w Krakowie, dla zapewnienia ukończenia seryi III i *ostatniej*, zawarli urzędowy układ z właścicielem zakładu litografii Maksymilianem Fajausem, który przyjął obowiązek ukończenia tej publikacji, w przeciągu dwóch lat następnych. Dalsze zeszyty obejmą starożytne pamiątki po świętym Wojciechu i piękne zabytki sztuki malarskiej, złotniczej i haftarskiej z dawno ubiegłych wieków.

— Z początkiem bieżącego roku, nakładem księgarni J. Kaufmana zaczęła wychodzić nowa publikacja p. n. *Mucha szkice satyryczno-humorystyczne* zebrane przez F. Kostrzewskiego, H. Pilattego i L. Kunickiego. Są to rysunki litografowane, z odpowiedniami podpisami. Zeszyt pierwszy obejmuje stronic 10, a 20 szkiców. Ilość zeszytów nieoznaczona, gdyż to zawisło od przyjęcia przez publiczność.

— *Dyrekcya Towarzystwa przyjaciół Sztuk pięknych w Krakowie* z dniem 9 marca otwiera w témże mieście wystawę malarstwa, rzeźbiarstwa i architektury na rok 1868. Ogłosiła przeto wezwanie do artystów, ażeby swoje dzieła nadsyłali przed dniem 25 lutego. Koszta przesyłki dyrekcyja przyjmuje na siebie.

— Towarzystwo starożytności w Wrocławiu rozpoczęło publikacye, niemało obchodzące nasze dzieje. Zamierzyło zeszytami wydawać nagrobki, pomniki i wszelkie zabytki jakie się przechowują Piastów szlążkich. Do rycin będzie dodany tekst objaśniający. Pierwsze zeszyty obejmują grobowce biskupów wrocławskich, oraz książąt: brzeskich, głogowskich, lignickich, ziembiickich, opolskich, swidnickich, opawskich i wrocławskich. Główną redakcyą objął Dr. H. Luchs. Mieliliśmy dawniej wiadomość że jeden z uczonych krakowskich, zajmował się przez lat wiele pisaniem historii Piastów szlążkich. Wydawnictwo Dr. H. Luchs może wiele dodać drogocennych materiałów do tak ważnej pracy, a mającej ściłą łączność z dziejami odległej przeszłości.

— Oprócz kalendarzy w poprzednim zeszycie naszego pisma wymienionych, zasługują na większą uwagę: *Kalendarz premiowy* nakładem księgarza Józefa Kaufmana, rok trzeci i *Kalendarz domowy* rok drugi, nakładem drukarni Jana Cotty. Treść ostatniego poświęcona jest głównie dla ludu tak wiejskiego jak miejskiego. Ilustrowany kalendarz Jana Jaworskiego (rok czwarty) trzyma pierwszeństwo przed wszystkimi, tak trafną redakcyą, jak doбором artykułów pomieszczonych.

— W dziele p. n. „*Notice historique sur saint Gilles par Treissonnier. Nîmes 1862 r.*” jest zajmujący nas rozdział: „*Le culte de saint Gilles en Pologne.*” Badania w tym przedmiocie Aleksandra Przędzieckiego były znane autorowi tego dzieła.

— Współpracownik naszego pisma p. Franciszek Matejko urzędnik biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego, habilitując się w Krakowie na docenta bibliografii, napisał rozprawę; „*Rzecz o systematach bibliograficznych*” Przedmiot ten dokładnie opracowany został w Encyklopedyi Powszechnej w artykule: *Katalogi.*

— Paryzka księgarnia Luxemburska, wydała w groszowej edycyi *Gigantomachją Kordeckiego.* Jest to powtórzenie i przedruk przekładu Józefa Lepkowskiego, którego pierwsze wydanie w roku 1858 ogłosił S. Orgelbrand w Warszawie.

— *Kursu historii literatury polskiej,* Dr. Władysława Nehringa wydanego w Poznaniu w roku 1866, rozeszło się prawie całe wydanie: autor przeto przygotowywa drugą edycyę, poprawną i znacznie pomnożoną.

— Pojawiają się u nas czasami publikacye o których nikt nie wie. I tak w r. 1865 wyszła w Krakowie powtórna edycya Hillemacherowskiego katalogu dzieł Norblina (So majori str. 38). Ozdabia ją wizerunek malarza (fotografia ze sztychu): jest to powtórzenie wydania paryzkiego z r. 1848. Publikacya ta, nie była wcale sprzedawaną w księgarniach, rzec można, iż nieistnieje, chociaż jest: znakomity bowiem lubownik i zbieracz dzieł sztuki p. Franciszek Ksawery Masłowski kazał oddrukować ową broszurkę w 25 tylko egzemplarzach, na to aby ją rozdać tym, którzy się rzeczą interesowali. O tym katalogu w pierwszym wydaniu, nie wspomina E. Rastawiecki w swoim *Słowniku malarzów polskich.*

— Na odbytem posiedzeniu wydziału archeologicznego Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, w dniu 19 grudnia 1867, rzucona myśl przez W. Pola, ażeby wydać fotograficzne album wielkiego ołtarza N. Maryi Panny w Krakowie, już przeszła w wykonanie. Znalazły się potrzebne fundusze na tego rodzaju album. Alexander Przędziecki złożył sprawozdanie co do pracy p. Jakóba Malinowskiego profesora nauk przyrodniczych w Gimnazjum realnem w Alais, w departamencie du Gard, co do pobytu Kazimierza Mnicha w Cluny, i historii opactw benedyktyńskich. A Przędziecki zbadał przedewszystkiem rękopisma, na których oparł swe badania p. Malinowski, i kopie takowych przedstawił. Odpis z kodexu XV wieku zachowanego w bibliotece miasta Cluny p. n. *Visitatio in Alemanna et Polonia de tempore domini Roberti Abbatu An. 1418,* daje wiadomość o pięciu klasztorach Kluniackich w Polsce, którą podał brat *Mikołaj Nason* mnich tyniecki, dnia 16 lutego 1418 roku, w czasie soboru w Konstancyi. Wstęp do tej wiadomości odnosi się do mnichostwa jakiegoś *księcia Bolesława,* który po ukończeniu nauk w Paryżu, wstąpił

do zakonu Benedyktynów w Cluny i tam wyświęconym został na dyakona. Dalej, powtarza się taż sama historia co o Kazimierzu Mnichu; z dodatkiem że powracający jako król do Polski ów Bolesław, zakłada klasztor Benedyktynów w Tyńcu. Cała ta najwyraźniej błędna legenda umieszczona jest dosłownie w dziele: *Bibliotheca Cluniacensis*, na początku XII wieku, a więc za czasów Bolesława Krzywoustego w Polsce. Zarazem przedstawił nadesłane sobie przez Dra Wojciecha Kętrzyńskiego z Prus Zachodnich, dwa ułamki mowy polskiej z XV wieku, a może i dawniejsze: są to pieśni polskie nabożne, których rozpatrzeniem bliższem; wydział archeologiczny się zajął.

— *P. F. Marszałkowiec* z Galicyi wystosował odezwę do numizmatyków o zawiązanie z nim naukową korespondencyi. Opisuje on trzy złote monety nieznanne naszym numizmatykom, między którymi dukat króla Ludwika; posiada nadto kilka srebrnych nieznananych monet, których opisu gotów jest udzielić na żądanie.

— Kornel Kozłowski wydał trzeci zeszyt swego dzieła p. n. *Lud, podania, baśnie, zwyczaje i przesady ludu z Mazowsza Czerskiego, wraz z tańcami i melodyjami*. Idą tu pieśni doroczne i obrzędowe: jak *Koledy, Pieśni Wielkanocne, Sobotka, Wyrzynek* czyli *Okrężne, Wesele*; opis tego obchodu wraz z pieśniami i zwyczajami. Dział VI obejmuje: *Pieśni nabożne i legendy*. Wdzięczni jesteśmy szanownemu zbieraczowi, że tego rodzaju pomniki poezyi ludowej zachował od zatury i do swego dzieła włączył; we wszystkich bowiem zbiorach pieśni ludowych, pieśni nabożne całkowicie wypuszczano, a *Legendy* w małej tylko podawano częstee. Ztąd też, jeden z uczonych krytyków i znawca nawet dziejów i przeszłości Słowiańszczyzny, przy wydawanych zbiorach O. Kolberga, wpadł na wniosek, że lud nasz nie jest nabożny, albowiem żadnych w tym kierunku nie znalazł pieśni. Jakkolwiek był to domysł fałszywy, i wskazywał że mimo swęj uczoneści, z bliska ludu nie znał: zarzut ten powinien zwrócić uwagę zbieraczy, ażeby nie opuszczali żadnej pieśni, którą lud śpiewa, czy w kościele, czy to w domu, ani żadnej *legendy*, którą opowiada lub w kształcie pieśni podaje. Zbiory pod nazwą *Kantyczek*, powinny być sprawdzono poniędzy ludem, jakie z nich przetrwały jeszcze. F. Bentkowski, niedaremnie odnosił je do czasów Kazimierza Wielkiego: niewątpliwie, że wiele z pieśni *kantyczkowych*, odnieść śmiało można do pierwszego wieku chrześcijaństwa w Polsce, to jest do czasu Bolesława Chrobrego. Prostota ich i tok wiersza najlepszą będzie wskazówką, gdy znajdzie się która w żywem słowie ludu, o pochodzeniu z Piastowskich czasów.

— W gazecie *Wiener Abend-Post* rozpoczął się druk tłumaczonej powieści J. Korzeniowskiego: *Spekulant*.

— W Paryżu zainierzono utrzymać stałą wystawę etnograficzną, któraby z czasem stanowić mogła najbogatsze muzeum z całego świata. Wielki byłby to skarbiec dla nauki. Ciągła

wystawa etnograficzna, praca i staranie, mogą tę piękną myśl przyspieszyć. Towarzystwo w tym celu związane, już rozpoczęło swą czynność, i pozawiazywało stosunki, ażeby zgromadzać powoli tak kostiumy ludowe, jak sprzęty i wyroby tak ręczne jak unysłowe, cechujące charakter indywidualny ludu. Na wystawie paryzkiej 1867 roku, Szwecya pod tym względem wystąpiła najświetniej: przysłała manekiny odrobione po mistrzowsku, naturalnej wielkości, w właściwych ubiorach. Zbiór ten złożony z dwudziestu figur, zakupiono do Towarzystwa Londyńskiego za 25000 franków.

— W Krakowie wyszedł: *Słownik łacińsko-polski wyrazów lekarskich*, wypracowany przez pp. Drów F. K. Skobla i A. Kremera.

— W 31 numerze z r. b. *Dragoliuba*, pisma wychodzącego w Agramie, jest przekład *Stepów i Koliszczyzny* Michała Grabowskiego.

— W 1867 roku Hermenegilda Iireczka wyszedł tom drugi arcyważnego dzieła dla badaczy naszej przeszłości i dla naszych prawników pod napisem: *Codez juris bohemi*. Praga. 1867. Tekst tej pożytecznej publikacji jest w dwóch językach: łacińskim i słowiańskim.

— W belgradzkim piśmie *Wila*, mianowicie w N. 21 z r. b. jest przekład wiersza Mickiewicza: „*Dwa słowa*” dokonany przez Simę Popowicza.

— W roku bieżącym w *Odessie* wyszła broszurka o 37 stronicach pod tytułem: *Pogląd na zakon Jezuitów, ich regułę, zwyczaje, obyczaje, tendencje Zgromadzenia, oraz na zasługi i korzyści, jakie przyniósł Zakon Polsce, przez K. K.*

— P. Sainte-Beuve wydał tom VIII swoich biografii: w nim znajdujemy ciekawe studyum nad Maryją Leszczyńską córką króla Stanisława, a żoną Ludwika XV.

— W Poznaniu, nakładem księdza Bazyńskiego, w końcu 1867 roku wyszedł „*Psalterz Dawidowy, Jana Kochanowskiego, z ogłoszonych za życia autora i późniejszych przedruków, wydał i objaśnił Ludwik Rzepecki.*” (w 4ce str. X, 229). Na czele podany stalaryt M. Jaroczyńskiego, przedstawiający wielkiego poe-
 +
 te w postaci zamysłonej, podpartego na lewą rękę i piszącego. Wydawca we wstępie podaje swoje uwagi: „O pisowni w psalterzu użytój” której się w tej publikacji trzyma: poprzedza sam przedruk życiorys Jana Kochanowskiego, i *objaśnienia* do psalterza. Objasnienia podobne, mamy pod każdym psalmem. Całe wydanie odznacza się wielką starannością, na jaką zasługiwało to znakomite dzieło.

— W Berlinie wyszła broszura p. n. „*Klasom pracującym polskim, sześć książeczek przynosi szczerzy ich przyjaciel Karol Forster*” z godłem: „trzeba aby w umysłach było jasno.” Książeczka I zdanie poczciwego Ryszarda.— Droga do majątku.

— W Krakowie do pisma czasowego *Kalina*, jako dodatek wychodzi: *Biblioteka dla kobiet*. Tomik pierwszy a raczej broszurka obejmuje *Listy pani de Serigné* (w See str. 74.)

— Od 1 lipca 1867 roku zaczęła wychodzić publikacya p. n. „*Rolnik*, czasopismo rolniczo-przemysłowo-handlowe, organ urzędowy C. K. Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego pod redakcyą Antoniego Gostkowskiego. Na czele za godło ma zdanie Franklina: „Jeżeli ci ktoś powie, że możesz się inaczej wzbogacić jak pracą, niekaj od niego, on ci truciznę podaje.”

— W ostatnim numerze Tygodnika *Illustrowanego*, podaną mamy nową kompozycyą Jana Matejki przedstawiającą *Wyświecenie z miasta*. Była to kara hańbiąca w dawniej Polsce prawem uświęcona. Złodziej schwytyany na gorącym uczynku wprowadzony był za rogatki miejskie w orszaku kata i jego pomocników, którzy przyświecali świecami, pochodniami lub wiązkami łuczyna. Kat przez całą drogę siekł różgami w obnażone plecy. Volumina Legum (V, 648) przepisuje ten rodzaj kary na złodziei, których najprzód sieczono różgami u przegierza, a następnie *wyświecano z miasta*. Większym zbrodniarzom przywiązywano ręce do ogona końskiego, a wyświecając oprowadzano po ulicach, gdy kat go siekł batogiem po wyrwaniu mu nozdrzy. Takie szczegóły podaje nam Szymon Stawoski. (Reform.) Ulegały podobnej karze kobiety, oddane nierządному życiu. Rysunek Matejki, w całej gromie maluje nam pełną życia scenę, *wyświecenie kobiety z miasta*.

— Otrzymujemy wiadomość, że sławny astronom gdański Heweliusz, był zarazem rzeźbiarzem. Znany nasz badacz M. Bersohn, odkrywszy kilka prac tego rodzaju, wkrótce w jednym z pism *illustrowanych* poda szczegółowe wiadomości.

— W muzeum lipskiem znajduje się piękny, może jedyny portret Liszewskiego naszego ziomka, przez niego samego malowany, przedstawiający go rysującego głowę z antyku, oraz dwa w rodzaju Watteau pejzażyki Daniela Chodowieckiego. Są to wielkie osobliwości artystyczne, gdyż wiadomo, że Chodowiecki prędko porzucił pędzel, nie wiele olejno malował, i w muzeum berlińskim jest kilka obrazów jego olejnych, które są całą spuścizną po tym znakomitym artyście.

Korrespondencya.

Pani Z. Str... w Szodrzyńsku, guberni Permskiej. List pański dotyczący dawnej miniatury historycznej, znajdującej się w Kalinkach na Podolu, zakomunikowany został redakcyi „*Tygodnika Illustrowanego*” dla postąpienia stosownie do uznanja i możności.

Panu B. P. w Kijowie. Jakkolwiek rękopisma przez Pana posiadane, mają niezaprzeczoną wartość historyczną, jednak Biblioteka Warszawska, obecnie zamieścić ich nie może.

† Dnia 13 grudnia 1867 roku w Pyreneach w *Amelie Les Bains* zakończył życie, licząc zaledwie lat 30 wieku Artur Grotger Lwowianin, jeden z najznakomitszych malarzy naszych tegoczesnych. Sztuka niepowetowaną szkodę ponosi przez zgon tego genialnego artysty. Obrazy jego, które na wystawie paryzkiej w r. z., zwracały uwagę powszechną, zakupił cesarz austriacki, wraz ze słynnym utworem Jana Matejki.

† Dnia 10 stycznia r. b. we Lwowie zakończył życie Karol Szajnocha, historyk i poeta. Zwłoki zmarłego pochowane zostały na cmentarzu Łyczakowskim. Znakomity ten pisarz już od lat wielu dotknięty był kalectwem ślepoty, w ostatnich czasach choroba się wzmogła, która rozstroiła cały organizm. Pozostawił wdowę i syna jednego.

† Dnia 20 stycznia r. b. umarł w Warszawie Feliks Żochowski b. professor i rektor szkół rzędowych, współpracownik naszego pisma. Nietylko w zawodzie pedagogicznym, położył zasługi także i na polu literackim jako badacz naszego języka.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Grudzień, 1867.

Grudzień, 1867.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

w Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		750.57	748.28	742.67	738.44	744.990	- 4.5	- 0.9	+ 10.2	+ 10.8	- 0.60
2		731.62	730.89	731.52	735.72	732.438	+ 3.1	+ 5.1	4.9	3.3	+ 4.10
3		739.38	741.74	744.40	748.85	743.593	1.0	2.0	1.1	- 0.3	0.95
4	☾	753.84	756.09	757.06	757.46	756.113	- 0.9	- 0.9	- 0.8	0.8	- 0.85
5		751.57	753.59	749.62	746.84	751.155	0.7	0.9	1.4	1.9	1.23
6	Równ.	743.02	742.43	740.93	740.68	741.765	1.7	1.0	1.7	1.1	1.38
7		740.07	740.79	740.88	741.44	740.795	1.4	0.7	0.6	1.4	1.03
8		742.05	742.84	742.98	746.90	743.943	3.0	3.1	4.0	7.3	4.35
9		749.70	751.71	752.60	752.74	751.688	10.2	10.9	10.3	8.9	10.08
10		749.27	748.03	743.33	741.47	745.525	8.4	7.4	6.3	5.7	6.95
11	☉	727.55	725.84	726.79	729.87	727.513	3.5	0.1	+ 0.7	+ 0.2	0.68
12	Perig.	726.11	727.88	733.53	734.01	730.383	1.7	1.9	- 2.7	- 1.9	2.05
13		731.47	732.93	736.98	741.71	735.773	2.8	4.6	1.6	7.8	5.70
14		746.32	747.63	747.95	747.11	747.260	6.3	6.6	6.6	7.3	6.70
15		736.11	731.70	725.97	729.01	730.698	9.9	8.5	2.2	5.2	6.45
16		740.98	743.91	744.23	743.58	743.175	12.2	13.0	8.5	8.1	10.45
17		742.78	742.41	739.24	738.71	740.785	9.7	8.3	7.6	5.5	7.78
18	Równ.	740.16	741.14	740.85	739.85	740.500	+ 1.1	+ 1.6	+ 1.6	0.2	+ 1.03
19		739.92	741.18	741.33	742.00	741.108	- 1.6	1.2	0.9	+ 0.6	0.28
20		742.86	741.65	745.96	748.08	745.388	0.2	- 3.5	- 6.7	- 10.1	- 5.13
21		749.82	750.34	750.57	751.48	750.553	11.6	8.6	8.5	9.4	9.53
22		752.31	753.77	753.95	754.90	753.733	8.0	7.2	5.7	6.5	6.85
23		752.66	753.42	753.81	755.41	753.825	6.5	6.1	6.9	8.0	6.88
24		757.30	758.55	759.40	760.75	759.000	7.5	6.1	5.1	9.2	6.98
25		760.93	761.15	760.10	759.13	760.328	5.2	3.2	2.6	1.9	3.23
26	☉	758.21	758.40	757.94	758.26	758.293	2.1	1.5	2.1	2.5	2.05
27	Apog.	758.69	759.05	757.80	755.80	757.835	2.6	1.3	2.3	4.0	2.55
28		752.78	752.55	750.71	747.56	750.900	2.3	0.5	2.3	2.1	1.80
29		738.36	737.83	736.60	736.33	737.280	0.4	0.0	0.6	0.8	0.45
30		738.83	741.70	746.49	750.83	744.463	7.2	7.5	11.3	13.9	9.98
31		753.78	754.86	754.19	755.35	754.620	1.5	1.2	18.5	19.1	17.83
Śr.		745.227	745.719	745.538	746.139	745.656	-4.63	-3.92	-3.95	-4.08	- 4.30

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy co do wysokości w milim.	Wysok. wody na Wiele
	6	10	4	10	6	10	4	10		
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.		
96.7	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	Pd2.	Pd1.	Pd2.	Pd2.	0.2	3 4
94.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm. desz.	PdZ2.	Pd3.	Pd2.	PdZ1.	0.5	2 10
95.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	Z1.	Z1.	2.2	3 0
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnZ1.	Pn1.	Pn1.		3 3
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	W2.	W1.	W1.		3 6
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	PdW1.	W1.	W1.	3.1	3 9
-	pochm.	poc. śnieg	pochm.	pochm.	W1.	Pn1.	Pn1.	Pn2.	1.8	3 7
-	pochm.	pochm.	napół pog.	pogodny	Pn1.	Pn1.	Pn1.	Pn1.		3 10
-	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	Pn1.	Pn1.	Z1.	Z1.		4 11
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ2.	PdZ2.	1.2	5 6
-	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	pochm.	PdZ3.	Z2.	Z3.	Z1.	4.7	5 6
-	pochm.	poc. śnieg	pog. z ch.	pochm.	PnZ1.	PnZ1.	Z1.	Z2.	4.2	4 9
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	PnZ1.	PnZ1.	Z1.	.05	4 4
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.	4.9	4 2
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	Pd1.	PdZ1.	Pn2.	5.6	4 0
-	pogodny	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	PnZ1.	Z1.	Pd1.		3 9
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	Pd1.	1.8	3 8
95.6	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	PdZ1.	Pd1.	Pd1.		3 2
95.5	pochm.	pochm.	pochm.	poch. desz.	PdZ1.	PdZ1.	Pd1.	PdZ1.	2.2	2 11
-	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	pochm.	PdZ1.	PnZ1.	Pn1.	Pn2.	4.2	2 10
-	pochm.	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	Pn1.	Pn2.	Pn2.	Pn2.	2.4	2 7
-	pochm.	napół pog.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn1.	PnZ1.	PnZ1.	3.3	3 9
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn1.	PnW1.	Pn1.		3 11
-	pochm.	pochm.	napół pog.	pogodny	Pn1.	Pn1.	Pn1.	Z1.	0.9	4 4
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.		5 4
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.	2.1	6 11
-	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Pd1.	Z1.	Z1.	0.6	7 8
-	pochm.	poch. m. ś.	pochm.	pochm.	Z1.	PnZ1.	PnZ1.	Z1.	3.4	7 11
97.4	pochm.	pochm.	pochm.	poc. śnieg	PdZ1.	Z1.	Z1.	PnZ1.	7.3	7 8
-	poc. śnieg	pochm.	pochm.	poc. śnieg	Pn3.	Pn2.	Pn2.	Pn1.	10.0	7 7
-	pochm.	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	PnW1.	PnW1.	Pn1.	PnW2.	2.6	7 5
95.8									5.1	64.4 4 6.8

	m.	°.	l
Średnia wysokość barometru miesięczna	745.656	27.	6.547
Najwyżej barometr dochodził d. 23 o g. 10 rano	761.15	28	1.414
Najniżej — — d. 11 o g. 10 rano	725.84	26	9.763
Średnia dzienna zmiana barometru	6.642		2.945
Największa dzienna zmiana barometru d. 10—11 o godz. 10 r.	22.19		9.837
Średnia wysokość barometru jest mniejsza o	6.123		2.713
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	751.779	27	9.260
Średnia temperatura grudnia wynosi	— 49.30 C.	—	3.44 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.36		2.69 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 29—30 o godz. 10 w.	13.1	"	10.5 "
Średnia temperatura grudnia jest niższa o	1.75	"	1.40 "
od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających	— 2.55	—	2.04 "
Termometrograf wskazał: Maximum: + 5.4 C. = + 40.3 R. d. 2 po poł.			
Minimum: — 19.8 " = — 15.8 " d. 31 wiecz.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 65.8 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 4.0 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 1.0 setnych od normalnej (94.8).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 5.1 mil. czyli 2.26 lin. par.; ze śniegu 64.6 mil. czyli 28.64 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 69.7 mil. czyli 30.90 lin. par. więcej o 32.0 mil. czyli 14.19 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w grudniu spada (37.7 mil. czyli 16.71 lin. par.).

Dni pogodnych było 1, napółpogodnych 1, pochmurnych 29.

— deszczu 4: (d. 1, 2, 3 i 19).

— śniegu 19: (d. 6, 7, od 10 do 15, 17, 20, 21, 22, 24, od 26 do 31).

— mgły 1: (d. 28).

— wichrów 2: (d. 11 Z., i d. 30 Pn.).

Wiatr panujący północny i zachodni.

Grudzień b. r. był całkiem niepogodny, dość wilgotny, śnieżny i znacznie chłodniejszy jak zwykle. Średnia jego temperatura — 3.4 stop. R. jest o 1.4 stop. R. niższa od normalnej (— 2.0 stop. R.) a o 2.3. stop. R. jak w r. z. Do najchłodniejszych należą dni 9, 16, a szczególnie 31, średnia temperatura bowiem tego dnia wynosi — 14.2 stop. R. o 10.2 stop. R. niższa jak w stanie normalnym. W ogólności zmiana temperatury w przeciągu miesiąca była znaczna i niejednostajna, najwyższą okazała się ta zmiana z d. 17 na 18 podczas ostatniej kwadrty księżyca i przejścia jego przez równik niebieski, średnia bowiem temperatura d. 17 wynosiła — 6.2 stop. R. zaś 18go + 0.8 stop. R. Największe ciepło + 4.3 stop. R. było d. 2, największe zimno — 15.8 stop. R. d. 31. Największa zmiana dzienna temperatury 10.5 stop. R. przypadła z d. 29 na 30. Barometr utrzymywał się w ogóle bardzo nisko i niezwykle stał swój zmieniał, największa jego zmiana dzienna 9.84 lin. par. przypadła z d. 10 na 11 podczas pełni księżyca. Śniegi padały bardzo często i obficie, deszcze zaś tylko w kilku pierwszych dniach miesiąca. Dni deszczu było 4, śniegu 19 czyli pierwszych o 2 mniej, a drugich o 12 więcej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był całkiem niepogodny, stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 3.4 : 5.4 : 22.2 gdy tymczasem w b. m. tenże stosunek jest jak: 1 : 1 : 29. Wiatr panujący był północny i zachodni.

D. 9 wieczorem koło białe otaczało księżyc.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 4 cali 6.8 n. m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 28..... stop 7 " 11 " "

" " " najmniejsza d. 21..... stop 2 " 7 " "

Pod d. 11 grud. donoszą z New-Yorku że wybuch wulkaniczny zniszczył całkiem w. Śgo Bartłomieja. Wybuch Wezuwiusza trwa w dalszym ciągu.

Na Portorico i w. Śgo Tomasza były silne trzęsienia ziemi.

W pierwszych dniach tego miesiąca niepamiętne panowały burze na brzegach oceanu Atlantyckiego, które znaczne zrządziły szkody w nadbrzeżnych okolicach Francji, Belgii, Meklemburga i Anglii.

W końcu miesiąca znaczne zaspy śniegowe tamowały bieg kolei żelaznych w Królestwie.

Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatorium Astronomicznym Warszawskim w roku 1867 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza; jego szerokość geograficzna 52° 13' 6'', długość w czasie 1^h 14^m 46^s.5, czyli w łuku 18° 41' 37.5 na wschód względem południka paryzkiego.

ROK 1867	WYSOKOŚĆ BAROMETRU W MILIMETRACH SPROWADZONA DO TEMPERATURY LODY TOPNIĄCEGO CZYLI DO 0.					TEMPERATURA PODŁUG TERMOMETRU STUSTOPNIOWEGO					PSYCHROMETR Wilgotność średnia miesięczna biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza		STAN NIEBA							Ilość wody spadłej w mili- metrach		KIERUNEK WIATRU							Elektry- czność atmosfe- ryczna	WYSOKOŚĆ WODY na Wiśle pod Warszawą																				
																																			ŚREDNIA					ŚREDNIA		ŚREDNIA		ŚREDNIA		ŚREDNIA		ŚREDNIA		ŚREDNIA
	MIĘSIĄCE	6 godz. rano	10 godz. rano	4 go. wieczór	10 go. wieczór	miesięczna	Najwyższa	Najniższa	6 godz. rano	10 godz. rano	4 god. wieczór	10 god. wieczór	miesięczna	Najwyższa	Najniższa	0 g. r.	10 g. w.	4 g. w.	10 g. w.	mie- sięc	Dni pogodnych Dni napół po- godnych	Pochmurnych	Deszczu	Śniegu	Grudu	Mgły	Błyskawic i grzmotów	Błyskawic bez grzmotów	Wichrów	dészczu	śniegu	Północny	Północno- Wschodni	Wschodni	Wschodnio- Wschodni	Wschodnio- Zachodni	Zachodni	Północno- Zachodni	Średnie natężenie miesięczne	Średnia miesięczna stop. cali	Naj- wyższa stop. cali	Dnia	Naj- niższa stop. cali	Dnia						
Styczeń	744,199	744,809	744,368	744,645	744,505	760,43 d. 6	733,82 d. 12	- 3 ^o ,01	- 2 ^o ,84	- 2 ^o ,07	- 2 ^o ,71	- 2 ^o ,81	+ 5 ^o ,5 d. 16	- 17 ^o ,0 d. 7	99,3	98,2	98,7	98,6	98,7	2	4	25	8	11	1	3	-	-	1	13,3	22,3	3	6	5	23	24	23	34	6	-	4	11,3	7	10	22	3	9	13 i 15		
Luty	751,650	752,111	751,575	751,899	751,809	772,94 d. 19	728,24 d. 6	- 0,21	+ 1,22	+ 2,36	+ 0,43	+ 0,95	+ 9,7 d. 16	- 8,5 d. 23	96,3	92,2	90,4	96,2	93,8	3	8	17	10	7	-	-	-	-	-	13,7	12,4	9	5	1	12	17	15	40	13	-	8	2,7	11	4	5	5	10	1		
Marzec	749,125	749,275	748,625	748,991	749,004	767,99 d. 21	734,06 d. 20	- 4,90	- 1,47	+ 0,43	- 2,83	- 2,19	+ 11,9 d. 31	- 16,8 d. 13	99,2	95,5	95,9	98,5	97,3	4	10	17	5	7	1	1	-	-	-	9,9	18,7	17	10	13	38	14	2	24	6	-	7	1,8	10	2	27	5	4	11		
Kwiecień ...	743,660	743,976	743,8	743,931	743,845	756,03 d. 1	725,30 d. 9	+ 4,04	+ 7,04	+ 9,15	+ 5,22	+ 6,36	+ 23,1 d. 21	- 3,9 d. 8	90,6	79,5	69,1	89,2	82,1	1	3	26	22	7	2	-	2	-	6	38,6	4,0	5	8	2	6	23	18	39	19	-	9	5,6	13	1	6	7	4	25		
Maj	749,484	749,833	749,233	749,663	749,553	759,19 d. 7	735,86 d. 13	+ 7,77	+ 11,8	+ 14,15	+ 9,67	+ 10,85	+ 27,2 d. 31	+ 0,8 d. 20	83,4	67,9	62,6	80,1	73,5	6	6	19	14	1	1	1	3	2	-	45,5	-	21	18	10	11	16	9	25	14	-	6	5,9	9	1	3	5	1	14 i 15		
Czerwiec ...	749,117	749,165	748,667	749,157	749,026	757,74 d. 12	738,43 d. 16	+ 13,20	+ 16,96	+ 19,38	+ 14,41	+ 15,99	+ 28,3 d. 7	+ 6,6 d. 17	82,3	66,6	57,6	78,2	71,2	3	6	21	20	-	-	1	4	4	5	45,1	-	30	6	3	5	10	12	17	37	-	5	9,2	9	8	23	4	3	7		
Lipiec	747,636	747,801	747,375	747,512	747,581	752,66 d. 5	738,07 d. 11	+ 14,74	+ 18,42	+ 20,78	+ 15,72	+ 17,42	+ 31,2 d. 24	+ 8,7 d. 10	85,9	71,6	60,7	83,9	75,6	5	9	19	11	-	1	4	4	3	77,7	-	10	7	5	5	19	18	46	14	-	9	4,9	20	5	14	5	6	8, 29 i 30			
Sierpień	751,323	751,566	750,886	751,388	751,291	743,10 d. 2	743,10 d. 2	+ 14,03	+ 18,49	+ 21,47	+ 16,16	+ 17,54	+ 31,5 d. 21	+ 10,0 d. 2	86,7	71,3	60,7	81,0	74,9	1	9	13	11	-	1	3	2	2	26,1	-	11	3	3	17	17	9	34	30	-	4	8,9	8	16	2	2	9	27			
Wrzesień ...	753,133	753,461	752,827	752,914	753,084	762,04 d. 19	743,79 d. 30	+ 9,23	+ 14,25	+ 16,44	+ 11,41	+ 13,83	+ 29,3 d. 1	- 0,5 d. 28	84,6	78,3	63,4	85,2	77,9	6	13	14	12	-	-	2	2	2	39,2	-	22	5	3	14	9	15	42	10	-	2	7,9	3	11	6	1	9	29			
Październik.	750,506	750,892	750,714	751,098	750,803	762,16 d. 22	736,38 d. 9	+ 6,67	+ 8,62	+ 10,26	+ 7,44	+ 8,25	+ 15,5 d. 20	+ 2,0 d. 7	95,4	90,0	84,9	94,4	91,2	2	8	21	16	-	1	9	-	3	64,6	-	4	5	7	31	23	22	26	6	-	3	6,9	6	5	16	1	9	3 i 4			
Listopad ...	749,051	749,523	748,720	749,061	749,089	760,92 d. 24	735,30 d. 4	- 0,52	+ 0,49	+ 0,92	- 0,15	+ 0,19	+ 13,4 d. 1	- 15,0 d. 22	95,0	93,0	90,9	95,9	93,7	1	8	25	9	16	1	1	-	3	24,9	39,0	12	4	0	0	12	24	42	26	-	4	3,2	7	2	14	2	11	30			
Grudzień ...	745,227	745,719	745,538	746,139	745,656	761,15 d. 25	725,84 d. 11	- 4,63	- 3,92	- 3,95	- 4,68	- 4,30	+ 5,4 d. 2	- 19,8 d. 31	97,0	94,3	94,1	97,9	95,8	1	4	29	4	19	-	1	-	2	5,1	64,6	32	4	8	5	12	16	26	19	-	4	6,8	7	11	28	2	7	21			
Srednia rocz- na	748,676	749,011	748,529	748,867	748,771	772,94 d. 19 Lutego	725,30 d. 9 Kwietnia	+ 4 ^o ,65	+ 7 ^o ,42	+ 9 ^o ,11	+ 5 ^o ,84	+ 6 ^o ,76	+ 31 ^o ,5 d. 21 Sierpnia	- 19 ^o ,8 d. 31 Grudnia	91,3	83,2	77,4	89,9	85,5	35	82	248	153	68	8	21	18	14	26	403,7	161,5	176	81	60	167	196	183	397	200	-	5	11,3	20	5	14	Lipca	1	9	29	Wrze- 3, 4 Paź.

Srednia wysokość barometru roczna 748,771 = 27 7,927
 Najwyższej barometr dochodził d. 19 Lutego..... 772,94 = 28 6,642
 Najniższej " " d. 9 Kwietnia..... 725,30 = 26 9,523
 Największa zmiana roczna barometru 47,64 = 1 9,119
 Średnia zmiana miesięczna barometru 3,262 = 1,447
 Średnia zmiana dzienna barometru 4,646 = 2,060
 Największa zmiana dzienna barometru z dnia 10
 na 11 Grudnia. 22,19 = 9,837
 Średnia wysokość roczna baromet. jest mniejsza o
 od stanu normalnego z 41 lat poprzedzających 749,992 = 27 8,469

Srednia temperatura roczna jest + 6^o,76 C. = + 5^o,41 R.
 Największe ciepło było d. 21 Sierpnia .. + 31,5 " = + 25,2 "
 Największe zimno d. 31 Grudnia - 19,4 " = - 15,8 "
 Największa zmiana roczna temperatury. 51,9 " = 41,0 "
 Średnia zmiana roczna temperatury. 4,41 " = 3,53 "
 Średnia zmiana dzienna temperatury 2,67 " = 2,14 "
 Największa zmiana dzienna temperatury
 z dnia 23 na 24 Stycznia..... 14,0 " = 11,2 "
 Średnia temperatura roczna jest niższa o
 od stanu normalnego z 41 lat poprze-
 dzających + 7,36 " = + 5,89 "

Miesiące: Styczeń, Luty i Październik były cieplejsze, wszy-
 stkie inne chłodniejsze jak w normalnym stanie.

Uważając miesiące: Grudzień (1866 r.), Styczeń i Luty r. 1867 za
 miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień i Maj za wiosenne; Czerwiec,
 Lipiec i Sierpień za letnie; Wrzesień, Październik i Listopad za je-
 sienne, wypadła:
 temperatura zimy - 1^o,06 C. = - 0^o,85 R. wyższa o 2^o,48 C. = 1,98 R.
 " wiosny + 5,01 " = + 4,01 " niższa o 2^o,06 " = 1,65 "
 " lata .. + 16,98 " = + 13,58 " niższa o 1,18 " = 0,95 "
 " jesieni + 7,09 " = + 5,67 " niższa o 0,62 " = 0,50 "
 od temperatur tychże pór w stanie normalnym.

Srednia wilgotność powietrza roczna jest 85,5 biorąc 100 za zu-
 pełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 6,91 gra-
 mów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest
 4,4 mniejsza od normalnej (81,1).

Ilość wody spadłej wynosi co do wysokości:
 z deszczu 403,7 milimetrów, czyli 14 cali 10,96 lin. par.
 ze śniegu 161,5 " " 5 " 11,59 "
 razem z deszczu i śniegu 565,2 milimetrów, czyli 20 cali 10,55 lin. par.
 to jest o 33,3 milimetr. czyli o 1 cal 2,76 lin. par. mniej, od ilości
 wody, jaka zwykle u nas w roku spada (598,5 milimetrów, czyli
 22 cali 1,31 lin. par.). Najwięcej wody spadło w Lipcu, najmniej
 w Lutym i Sierpniu. Ilość wody spadłej z deszczu jest dwa i pół
 raza większą jak ze śniegu.

W całym roku było: dni pogodnych 35, napół pogodnych 82,
 pochmurnych 248, deszczu 153, śniegu 68, gradu 8, mgły 21, błyskawic
 i grzmotów 18, błyskawic bez grzmotów 14, wichrów 26. Wiatr
 panujący zachodni.

Uważając rok za całość podzieloną na 100 równych części, i w tych
 częściach wyraziwszy liczbę dni pogodnych, napół pogodnych i po-
 chmurnych; wypadła w średnim stanie z 41 lat poprzedzających (1826
 - 1866) stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych
 jak: 17,1 : 32,9 : 50,0; w roku bieżącym stosunek tych dni jest jak:
 9,6 : 22,5 : 67,9; co pokazuje, że rok bieżący był znacznie mniej
 pogodny jak w stanie normalnym.

Zima. — W większej połowie niepogodna, dżdżysta, śnieżna
 i łagodna, w końcu dosyć pogodna i niezwykle ciepła; w ogóle zna-
 cznie cieplejsza jak normalnie. Średnia jej temperatura wynosi
 - 0,8 st. R., o 2,0 R. wyższa od normalnej (- 2,8 st. R.). Najwię-
 ksze ciepło dochodziło + 8^o,4 st. R. dnia 7 Grudnia, największe
 zimno - 1^o,5 st. R. dnia 16 Grudnia (1866). Deszcze i śniegi pa-
 dały często choć nie zbyt obficie. Wody z deszczu i śniegu spadły
 co do wysokości 43,61 lin. par., o 3,52 lin. par. mniej jak w stanie
 normalnym (47,13 lin. p.). W początku zimy często wiały wicherzy
 zachodnie Wiatr panujący w przeciągu całej zimy był bardzo zmienn-
 ny, najczęściej jednak wiał zachodni, i ten był przyczyną częstych
 deszczów i łagodnej temperatury.

Wiosna. — Napół pogodna, wilgotna i chłodna. Średnia jej
 temperatura jest + 4,0 st. R., o 1,7 st. R. niższa od normalnej (5,7
 st. R.). Początek wiosny był dość pogodny i bardzo chłodny; śro-
 dek niepogodny, dżdżysty i także chłodny, koniec napół pogodny,
 wilgotny i chłodniejszy znacznie jak zwykle. Największe ciepło
 dochodziło + 21,8 st. R., d. 31 Maja, największe zimno - 13,4 st.

R. d. 13 Marca. Z początku deszcze były bardzo rzadkie, w środku
 padały często i obficie, w końcu także dość często, lecz nie obficie.
 Śniegi padały kilka razy w Marcu i Kwietniu. W środku wiosny
 miały miejsce częste wicherzy zachodnie. Wiatr panujący z początku
 południowo-wschodni, potem zachodni, i północno-zachodni.

Lato. — W większej połowie niepogodna, dżdżysta, wilgotna;
 w końcu dosyć pogodna i także wilgotna, w ogóle mniej ciepła jak
 zwykle. Średnia temperatura lata jest + 13,6 st. R., o 0^o,9 st. R.
 niższa od normalnej (+ 14,5 st. R.). Największe ciepło + 25,2 st. R.
 było d. 21 Sierpnia, najmniejsze + 5,3 st. R. d. 17 Czerwca. Deszcze
 w Czerwcu i Lipcu były częste lecz zazwyczaj drobne, tak że ledwie
 kilka dni wymienić można, w których spadek wody był obfity, jak 16
 Czerwca i 10 Lipca. W Sierpniu deszcze rzadko bardzo miały miej-
 sce; to też ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości
 65,99 l. p. o 33,47 l. p. mniejsza jak w stanie normalnym (99,48 l. p.);
 z tego zaś na wymienione wyżej dni wypadła część trzecia. Wicherzy
 północno-zachodnie panowały dość często w początku lata. Wiatr
 panujący był z początku północno-zachodni, potem zachodni.

Jesień. — W ogóle niepogodna, dżdżysta i chłodna. Średnia jej
 temperatura wynosi + 5,7 st. R., jest o 0^o,5 R. niższa jak w stanie
 normalnym (6,2 st. R.). Początek jesieni był napół pogodny, dość
 suchy i chłodny, środek niepogodny, wilgotny, dżdżysty i dość ciepły,
 koniec przy podobnym stanie nieba był znowu znacznie chłodniej-
 szy jak zwykle. Największe ciepło dochodziło + 23,4 st. R. d. 1
 Września, największe zimno - 12,0 st. R. dnia 22 Listopada. Desz-
 cze z początku jesieni, padały bardzo rzadko i nie obficie, później dość
 często i obficie; w końcu jesieni często także padały śniegi. Ilość wody

spadłej z deszczu i śniegu wynosi 74,35 lin. par., o 16,89 l. p. więcej
 jak normalnie (57,46 l. p.). W środku jesieni często panowała mgła.
 Wiatr panujący z początku i w końcu jesieni zachodni, w środku po-
 łudniowo-wschodni i południowo-zachodni.

Rok zatem 1867 był w ogóle chłodny, niepogodny i wilgotny.
 Wszystkie pory roku nie miały właściwych sobie cech; a mianowicie
 zima była zbyt łagodna, a inne pory znacznie chłodniejsze jak
 zwykle.

Ostatni mróz z wiosny wynoszący - 0^o,7 R., był dnia 19 Kwiet.,
 a pierwszy w jesieni - 0^o,2 R., dnia 29 Września.

Ostatni śnieg z wiosny padał dnia 25 Maja, a pierwszy w jesieni
 dnia 4 Listopada

W dniach: 11 Lutego, 14 Marca, 8 Kwietnia i 9 Grudnia, koło
 białe otaczało księżyc.

W nocy z d. 15 na 16 Grud. (1866 r.) lody na Wiśle pod Warszawą
 stanęły, lecz w nocy z dnia 22 na 23 t. m. poniżej mostu Alexan-
 drowskiego połamały się i ruszyły; powyżej mostu zostały nieporu-
 szone.

W dniu 4 Lutego na całej rzece lody połamały się i ruszyły;
 przez Luty i Marzec płynął gęsty szron, aż d. 28 Marca Wisła
 zupełnie oczyściła się z lodów.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle jest st. 5 cali 11,3 n.m.p.
 Najwyższa " " d. 14 Lipca (wylew) " 20 " 5 "
 Najmniejsza " " d. 29 Września, 3 " " 1 " 9 "

WSPÓŁCZESNA ABISSYNIA

I

CESARZ TEODOR II.

Wiadomo czytelnikom z gazet, że rząd angielski, po długich a nadaremnych układach, postanowił z mieczem w ręku uwolnić obywateli swoich, konsulów i misjonarzy, uwięzionych bezprawnie przez cesarza *Abissynii*; w tym celu odpłynęła armia do dalekiego kraju. Trudno naprzód wiedzieć koniec wyprawy, bo chociaż doskonała broń i zimna odwaga rokują Anglikom zwycięstwo, jednak pamiętać także trzeba, że weszli do kraju, obszernego jak Francya, najeżonego górami, przeciętego labiryntem niezliczonych wąwozów, wystawionego nareszcie przez większą część roku na wszelkie okropności pory deszczów zwrotnikowych. A gdy nawet uda się pobić dumnego mocarza Abissynii, to bynajmniej nie koniec wyprawy, ale raczej jej początek; plemiona abissyńskie, żyjące między sobą w wiecznej niezgodzie i wojnie, zbuntowane wiecznie przeciw swemu cesarzowi, zapomniały już nieraz domowych niesnasek, aby wspólną nienawiść zwrócić przeciw obcym. Wtedy z niezrównanym fanatyzmem broniąc gór swoich, dowiedli nieraz, że do Abissynii wniknąć łatwo, ale trudno z niej wrócić; łatwo ją podbić, ale trudno się przy podboju utrzymać. Zapomnijmy przecież na chwilę o małej armii angielskiej, która uzbrojona w gwintowane działa i z tyłu nabijane karabiny, posuwa się odważnie naprzód, z wąwozu w wąwóz, z doliny w dolinę, nie napotyając nigdzie nieprzyjaciół, tylko tu i owdzie gromadkę

zdziwionych górali; podczas gdy się zapuszcza coraz dalej w nieznanne odwieczne lasy, wśród stromych skał i niebotycznych gór, a przenieśmy się choć myślą, do dalekiego kraju aby przypatrzeć się jemu i zapoznać się z ludem, który tak niespodzianie zwrócił na siebie uwagę wszystkich europejskich dzienników. Sądzę, że czytelnicy chętnie towarzyszyć nam będą w tej geograficznej wycieczce, do mało znanych, a tak odległych stron.

Równoległe z morzem Czerwoném, ściśnięty wązką doliną, toczy odwieczny Nil spokojne swoje nurty; gdy czytelnik rozpocznie od ujścia jego, w górę rzeki, małą wędrówkę, rozumie się na mapie, to przesunie się palec jego najprzód przez płaski *Egipt*, potem przez górzystą *Nubią*, aż nareszcie w południowej Nubii rzeka, wzdłuż której odbywamy naszą geograficzną wędrówkę, rozdziela się na dwa, prawie równo silne, ramiona, z których jedno płynie od południowo-wschodniej, drugie od strony południowozachodniej; łączą się zaś oba ramiona pod miastem *Chartum*, w Nubii, jak wspomniano, aby odtąd we wspólnym, braterskim uścisku pośpieszyć do morza. Prawda, że nie bardzo się śpieszą, bo od *Chartum* do *Alexandryi*, nad ujściem rzeki, mil dwieście kilkadziesiąt, a Nil tak płynie powoli. Nie staniemy przecież w *Chartum*; siadamy na łódkę i jedziemy w górę, ramieniem rzeki, które płynie od wschodnio-południowej strony. Im dalej idziemy, tém dziksze, tém więcej malownicze kraje; jeszcze mil kilkadziesiąt a jesteśmy u granic *Abissynii*: gdybyśmy szli dalej, dostalibyśmy się niechybnie do mało znanych źródeł rzeki, ale podróż wodą staje się niemożliwą, bo coraz więcej skał, coraz więcej wodospadów. Otóż więc i *Abissynia*. Stanowi ona całość w sobie zamkniętą, jak *Szwajcarya*, do której z powierzchni swojej bardzo jest podobną. Do morza Czerwonego nie dochodzi, przedzielona piaszczystą płaszczyzną, w której mieszkają napół dzikie, czarne plemiona, wierzące w *Mahometa* i słuchające tureckiego sułtana; prawda, że ich poddaństwo dosyć jest wątpliwém. Od północy otacza *Abissynią* wspomniana już *Nubia*, od zachodu zaś i południa kraje bardzo mało znane, które jednak nie tak straszne i smutne w naturze, jak wyglądają dotąd na mapie, jeśli

wiarę damy rzadkim podróżnym. co je zwiedzali. I tak sterczy sobie Abissynia, uwieńczona niebotycznymi górami, zamknięta w sobie, nie dająca nigdzie łatwego przystępu; sterczy sobie, jak niezachwiana skała, o którą uderzają od lat przeszło tysiąca wezbrane mahometanizmu fale, bo trzeba wiedzieć, że Abissynia jest od XV wieków krajem chrześcijańskim, odcięty od wszelkiej styczności z resztą ludów Chrystusa, okolonym zewsząd wyznawcami pół-księżycy. Prawda, że dosyć dziwne tam wegetuje chrześcijaństwo, ale o tém później.

Na oko Abissynia jest bardzo uroczym krajem: płaszczyna przegradzająca ją od morza Czerwonego jest nieurodzajną, nudną, przykrą i niezdrową, ona zaś urozmaiconą, żyzną, obdarzoną powietrzem czystém i ożywczém, choć większa część kraju nawet 10° nie jest oddaloną od równika. Odróżnić jednak trzeba doliny od gór i wyżyn: w dolinach klimat duszący, zwrotnikowy, ale na górach powietrze prawdziwie szwajcarskie; słusznie też kraj ten przezwano afrykańską Szwajcaryą. Ogromne wyżyny piętrzą się jedna nad drugą, a na ostatnich sterczą wierzchołki gór, przechodzące zwykle 10,000'. Wyżyny te, wyniesione o kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza, odgradzone są od siebie niezliczonymi jarami i wązkiemi dolinami, których dna często nie dojrzysz z góry, a każda z tych dolin, gdy nastaje pora deszczów, zamienia się w koryto olbrzymiej rzeki. Przecież szamocące się fale nie długo panują, znikają bez śladu razem z deszczami, a wtedy zwrotnikowa wegetacja, o której bujności i żywych kolorach trudno na Północy nabyć dokładnego wyobrażenia, okrywa owe doliny i jary i wszystkie podnóża stromych gór. Przypatrzmy się tym dolinom, przez które teraz przedziera się armia angielska. Dolina czasem tak wązka, tak ściśnięta z obu stron niebotycznymi granitami, że zrazu nie wiesz, czy to dolina, czy tylko rozpadlina wśród skał, i z bojaźnią zapuszczasz się w ciasny wąwóz, w którym zdaje ci się co chwila, że skaliste ściany ścisną cię jak w kleszczach i więcej nie wypuszczą. W tych wąwozach, a liczą się one na tysiące, panuje cisza grobowa; żaden ptak tam nie zagości, bo mu zaduszno i ciemno, tylko małpa czasem, wspinając się na skałę, za-

krzyczy z przestachu i krzyk ten jeden przerywa straszne milczenie; a gdy się burza zbliża i jesteś właśnie w takim wąwozie, wtedy nie namyślaj się: uciekaj co prędzej, abyś się wydostał z niego, bo dosyć jednej godziny lub dwóch, aby zapełnił się huczącymi falami, które pochłoneły już nie jedną karawanę. I znowu za kilka godzin ani śladu powodzi, ta sama cisza co przedtem, i chyba strumyczek mały wije się leniwie wśród miękkiego koryta.

Z wąwozu wjedziesz w nieco szerszą dolinę, ale tam podróż także nie bardzo bezpieczna. W gęstych, nieprzeniknionych krzakach i zaroślach wije się straszny *boa*, czychają lwy, grassują stada dzikich słońi, a gdy znużony przepędzisz noc pod gołym niebem, napadnie cię febra niebezpieczna. Śmierć towarzyszy ci we dnie i w nocy, na każdym kroku, pod wszelką formą. Ale z wielką ciemnością sąsiaduje zawsze wielkie światło, z silną śmiercią silne życie. A jakie tam życie olbrzymie! Przed tobą trawa potężna jak trzcina, a gdy w nią wjedziesz, nie widać ani ciebie ani konia; nie przejedziesz zgoła, jeżeli nie znajdziesz drogi wydeptanej przez słońie. A z takiej dziewiczej łąki wjedziesz niebawem w również dziewicze lasy: rozłożyste odwieczne *sykomory* o szerokich liściach i niezmiernych konarach rozciągają cię, przez który nie przedarły się nigdy promienie słońca; droga staje się niemożliwą, bo wszędzie przed nogami twymi olbrzymie drzewa, wiekiem lub wichrem powalone, które runąwszy gniją od wieków, rozkładają się w atomy, co prawie pod okiem przechodnia zamieniają się w nowe rośliny. Wszystko tam bezustannie rośnie, rozwija się, kwitnie, tryska życiem na wszystkie strony.

Ale te doliny, obdarzone wszystkimi cudami i klątwami zwrotnikowego nieba, nie stanowią jeszcze prawdziwej Abissynii; chcesz ją poznać, to wstąp na szerokie wyżyny, wzniesione o kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza, rozpostarte u podnóża gór jeszcze wyższych. Tam klimat zupełnie odmienny: powietrze jędrne, wiatr zimny, mało drzew, zwierzyny żadnej. Trawa tam wiecznie zielona, choć skromniejsza, jak w dolinach, to też pasą się wszędzie nieprzejrzałe stada owiec i wołów; ziemia żyzna i czarna, wymagająca wprawdzie pracy, ale też chłodny wiatr osusza pot na czole znużonego oracza. Gorąco nie ubezwładniło

człowieka jak w dolinach: lud silny i rośły, pilny gdy potrzeba; wieś graniczy ze wsią, dziki zwierz ustąpił do dolin, przyroda poddała się zupełnie uprawie.

Z krótkiej téj charakterystyki widać, że natura wypozażyła Abissynią i najlepiej i najgorzej z pomiędzy dzielnic Afryki. Doliny są niezdrowe nawet dla krajowców, a mimo żyznej gleby, prawie zupełnie zaniedbane; przy jakiej takiej uprawie mogłyby wydawać wszelkie płody krajów gorących, mianowicie dobrą bawełnę. Za to wyżyny obdarzone klimatem zdrowym i umiarkowanym, sprzyjają osiedleniu się Europejczyków: rodzi się tam wyborna pszenica i jęczmień, wino i kukurydza, nawet kawa. Również sprzyja klimat hodowaniu bydła: wielbłąd i koń, muł i osioł udają się wybornie; krów i wołów co nie miara, owiec również wielka obfitość. Świnie, gołębie, kaczki i gęsi uchodzą za nieczyste i nie są hodowane, za to mają mieszkańcy szczególnie upodobanie w kurach, mianowicie w kogutach, które żywione w każdym kościele służą zamiast zegarów: pianie ich wzywa do rannej modlitwy. Miód i wosk bardzo są poszukiwane, przecież tylko dzikie pszczoły ich dostarczają, ponieważ pszczelnictwo zupełnie jest nieznanem. Soli kamiennéj nigdzie nie brak; wspominam dla tego o niej, że stanowi ona jeden z głównych towarów handlu z zagranicą: wywożą ją na południe i zachód do Murzynów, którzy cenią ją na równi ze złotem; kawały soli ważące w przecięciu 30 kilka łutów, są najpowszechniejszą monetą, można za jeden taki kawał kupić nieraz u Murzynów niewolnika. Mimo téj obfitości wszystkiego i wybornego klimatu na wyżynach została Abissynia upośledzoną od natury; kraj to bowiem zupełnie zamknięty w sobie, nie dochodzi ani do morza i nie ma żadnej rzeki spławnej, któraby go łączyła z resztą świata: za tém idzie brak komunikacji i mały rozwój handlu. Góry graniczne spadające wszędzie dosyć stromo przepuszczają tylko tu i owdzie handlowe karawany; gdy się zaczyna pora deszczów, ustają wszelkie podróże, dla braku mostów i dróg, bo rząd tam od wielu wieków nie osobiwy.

Mieszkańcy jednak radzą sobie jak mogą: ziemia ich żywi, chociaż uprawa roli jeszcze na téj samej stopie, na jakiej była przed tysiącem lat u starych Egipcyan. Pługi

drewniane, a forma ich prawdziwie przedpotopowa; niezgrabne sierpy jedynym sprzętem żniwiarskim, sposób młócenia bardzo pierwiastkowy. Jeżeli rolnictwo stoi tak nisko, naturalnie rzemiosła nie podniosły się wiele wyżej; mimo to wystarczają krajowe wyroby na wszystkie potrzeby życia. Ubiór nie wykwintny, ale ciepły i trwały. Złotnicy, malarze, kowale i tokarze, po większej części żydowskiej narodowości, nie wiele gorsi od naszych; gdyby zresztą powstała jaka taka konkurencya, obudziłoby się tysiąc zdolności, które dzisiaj drzemają zupełnie; bo lud zdatny do wszystkiego, ale od kilku wieków stan żołnierski, żywiący się kosztem kraju, pochłania najlepsze siły i szerzy dokoła niechęć do pracy. Miasta, główny warunek postępu i oświaty, podupały w sposób niesłychany; żeby mieć o nich wyobrażenie, dość przypatrzeć się największemu. Jest to stolica *Gondar*, w części zachodniej kraju. Stolica ta licząca niegdyś 80,000 mieszkańców, ma ich dzisiaj ledwo 7000, wszystkie lepsze budynki i znaczniejsze ruiny pochodzą z wieku XVI, gdy wielu Portugalczyków wstępowało do służby abissyńskiej. Onito pobudowali wszystkie zamki i drogi, po których zostały się tu i owdzie smutne zwałiska. Sam zamek cesarski w Gondarze składający się z wielu gmachów, o licznych wieżach i kopułach, dzisiaj jest niezamieszkałą ruiną; jego mury i baszty rozpadły się oddawna, dziedziniec zamkowy obrócono w targowisko, park zamienił się w nieprzebytą gęstwinę. Na około zamku, w dalekich odstępach, rozłożyły się pojedyncze dzielnice miasta, o wązkich, krzywych uliczkach: żydzi mieszkają osobno, mahometanie osobno, a chrześcianie także osobno. Kościołów chrześcijańskich aż 44, pochodzą naturalnie wszystkie z lepszych czasów. Kształt wszystkich jeden i ten sam: nad zupełnie okrągłym gmachem wznosi się wysoki, śpiczasty dach słomiany; dokoła zaś kościoła otwarty krużganek o niezgrabnych filarach, przykryty także słomą. Niektóre kościoły opatrzone w dzwony, a wszystkie bez wyjątku otoczone gajami starych jałowców lub drzew oliwnych. Do kościoła wchodzi tylko mężczyźni, płęć żeńska odprawia swoje modlitwy we wspomnianym krużganku. W samym środku kościoła miejsce czworograniaste odgródzone, rodzaj jakiegoś *sanctuarium*, w którym przechowuje się arka przymierza i dziesięcioro przy-

kazań. Domy prywatne, tak samo jak kościoły, okryte słomą i zwykle kształtu okrągłego: dom każdy otoczony gęstym żywym płotem, bo hieny i lamparty zagładają teraz aż na rynek miasta. Po tym małym obrazie stolicy, wystawi sobie czytelnik łatwo, czém są miasta prowincjonalne; niektóre z nich liczą ledwo kilkaset mieszkańców.

Wspomnieliśmy o licznych kościołach i klasztorach w *Gondarze*, nigdzie ich nie brak, można powiedzieć, że kraj cały zasiany niemi; ale czas wspomnieć o religii, która je dźwignęła. Wspomniałem na wstępie, że Abissynia jest krajem chrześcijańskim i to od wieków piętnastu; powiedzmy więc, jak nim została. Krajowcy przepłatają pierwsze swoje dzieje takiem mnóstwem bajek, że trudno odróżnić fałsz od prawdy: takie bajki otaczają także wprowadzenie chrześcijaństwa. Czytelnicy przypominają sobie z dziejów apostołskich, że św. Filip, wyszedłszy pewnego dnia z Jeruzalem spotkał się z rzezańcem królowej *Kandaki* i ochrzcił go. Ten wróciwszy do domu, do *Etyopii*, tak bowiem niegdyś zwała się Abissynia, nawrócił podobno królowę i cały dwór, i stał się tym sposobem rozkrzewicielem chrześcijaństwa w pogańskim dotąd kraju. Jakkolwiek nawrócenie podskarbiego królowej *Kandaki* nie ulega żadnej wątpliwości, nie wiemy jednak z pewnością, czy królowa panowała w samej Abissynii lub innym jakim kraju południowym, gdyż granice starożytnej Etyopii bardzo były niepewne, nie ma zaś najmniejszego dowodu, że nawrócony rzeźniczek rzeczywiście apostołował za nową wiarą. Tyle pewna, że dopiero w IV stuleciu naszej ery, dwóch braci, *Frumencyusz* i *Edezyusz* wygłaszali słowo Boże w teraźniejszej Abissynii; nauka ich jednak, jakkolwiek ogarnęła kraj cały, wkrótce odcięta zupełnie od źródła prawdy, stała się dziwnym amalgamem chrześcijańskich dogmatów i żydowskich zabobonów. Wiele mianowicie zachowało się obrządków żydowskich, co nie zadziwia wcale, gdyż już przed wprowadzeniem chrześcijaństwa istniały w kraju liczne żydowskie osady, a wielu krajowców przystało było na ich wiarę. I tak, chrześcijanie abissyńscy święcą sobotę, zamiast niedzieli, uważają obok chrztu obrzezanie za niezbędne i praktykują takowe nietylko na chłopcach, lecz i na dziewczętach; odróżniają jak żydzi zwierzęta czyste od nieczystych, uważają jak oni wiele

czynności jako zanieczyszczające, po których powinno nastąpić obmycie, zanim zanieczyszczony przestąpi próg kościoła. To też nie dziw wcale, że psalmy Dawidowe i księgi Mojżesza używają prawie większego znaczenia od Nowego Testamentu. A to, co się zostało z chrześcijańskich nauk, także bardzo jest mętném, jak wszystkie sekty, które się odłączyły od prawdziwego kościoła. Co do istoty Chrystusa hołdują mieszkańcy heretycznym wyobrażeniom *Monofizytów*; jeżeli Najświętszą Pannę otaczają słusznie czią nadzwyczajną, to w zabobonie swoim oddają podobną cześć św. Jerzemu i Michałowi. Wszystko przesadzając utworzyli z chrześcijaństwa dziwną karykaturę. Utkwili w formalnościach, więcej dbając o nie, niż o treść duchową; i tak poszczą np. 10 miesięcy na rok, przestrzegają z największą skrupulatnością, aby nie zjedli zakazanego zwierzęcia i t. p. Do kościoła chodzą tylko w niedzielę, gdzie podczas mszy kapłan wszystkim rozdaje kominia. Nie wiem jednak, czy nabożeństwo ich można nazwać mszą, bo prócz odśpiewania psalmów i odczytania kilku ustępów z Pisma Św. inną ceremonii dojrzyć nie można. Duchownych świeckich i zakonnych mnóstwo niesłychane; stan ich jednak dosyć opłakany, bo wyjąwszy kilka klasztorów, odznaczających się wielkim bogactwem, reszta księży, mianowicie świeckich, żyje w nędzy i próżniactwie. Na czele abissyńskiego duchowieństwa stoi niby prymas, zowiący się *abuna*, przysyłany za każdym razem przez *koptyjskiego* patriarchę rezydującego w Alexandryi, gdyż starodawna ustawa wyklucza krajowców od tej najwyższej posady. Świeckie duchowieństwo żyje w małżeństwie; zakonnicy zachowują ścisły celibat, mają zresztą osobnego naczelnika, rzekłbym generała, który obok *abuny*, jest najwyższą figurą w kościelnej hierarchii. Naturalnie że w takich stosunkach jakie opisaliśmy, duchowieństwo wywiera wpływ nadzwyczajny, mianowicie na niższe warstwy, co o ile w zasadzie rzeczą jest dobroczynną, o tyle w Abissynii szkodliwą, gdyż wykształcenie duchownych, świeckich i zakonnych, równa się prawie zeru. Jakkolwiekby, te smutne resztki chrześcijaństwa, dają jeszcze mieszkańcom Abissynii duchową pewną wyższość nad sąsiadami, którzy albo hołdują przesadom Mahometa, albo kłaniają się dzikim fetyszom. Skutki chrześcijaństwa widoczne są na każdym

kroku: pojedyncze np. plemiona wojują między sobą bezustannie, ale podczas gdy u sąsiednich mahometańskich lub pogańskich murzynów kończy się wojna zupełnym wyćpieniem pobitego nieprzyjaciela, u Abissyńczyków żony i dzieci nieprzyjaciół zawsze są szanowane. Prawo bowiem zakazuje surowo, sprzedawać abissyńskiego obywatela w niewolę; można bezwątpienia napotkać tu i owdzie niewolników, ale nie są to nigdy krajowcy, lecz z zewnątrz importowani murzyni. Chrześcianinowi nie wolno się trudnić handlem niewolników, pod karą śmierci. Kobięta nie jest towarem, jak u Turków, Arabów i Murzynów; używa ona wielkiej swobody i zostaje pod opieką prawa. Jeżeli zaś Abissyńczycy dla Europejczyków nader są gościnni, to i ta okoliczność tłumaczy się pewnym duchowem pokrewieństwem, istniejącem między nami a nimi. Otóż dotykalne skutki wiary Chrystusowej. Chrześcianstwu też zawdzięcza Abissynia rodzaj literatury, która jakkolwiek szczupła i uboga, jednak stanowi pewną karm' duchową. Literatura ta pisaną jest i pisze się w staro-etyopskim języku, który oddawna umarł, lub raczej przeobraził się w szereg nowożytnych narzeczy, które mają się do niego, jak romańskie języki do łaciny. Znaczenie umarłego języka takie samo, jak niegdyś u nas łaciny: stał się on wyłącznym językiem literatury i liturgii. Spokrewniony z innymi semickimi językami, mianowicie z hebrajskim i arabskim, jest jednak daleko od nich trudniejszy dla skomplikowanego alfabetu, liczącego głosek około 200; kształt bowiem każdej spółgłoski zależy od towarzyszącej jej samogłoski, i tak: pisze się *b* inaczej przed *a*, inaczej przed *o*, inaczej przed *u*, i t. d. To też księży tylko i uczeni, którzy wychodzą z akademii w Gondarze, władają trudnym alfabetem: ogół nie umie ani czytać, ani pisać. Literatura zresztą narodowa nie bardzo bogata; oprócz Pisma Św. składa się w znacznej części z tłumaczeń teologicznych dzieł greckich, z jałowych kronik i nieosobliwych utworów poetycznych. Literatura więc jest przeważnie teologiczną, i ztąd zapewne pochodzi zapal Abissyńczyków do dysput teologicznych; nie masz narodu, któryby ich przewyższał w tej mierze. Ponieważ ćwiczenie pamięci stanowi ich ulubioną pedagogiczną metodę, przeto można na-

potkać mnóstwo ludzi, rozumie się uczonych, umiejących na pamięć jeżeli nie całą biblią, to przynajmniej trzy czwarte lub połowę. Każdy więc ma gotowy materiał do dysput pod ręką, bo potrzeba tylko cytować ustępy z Pisma Św., i ciskać niemi na przeciwnika, co Abissyńczycy czynią w strasznych rozmiarach. Czasem podróźny myśli że jest w starém, zniedołężniałem Byzancyum, gdzie także dysputowano o dogmatach, gdy już Turcy byli pod murami; tak samo dzieje się w Abissynii: kupcy i żołnierze, uczeni i kobiety, dygnitarze i właściciele dóbr, wszyscy, nie wyjmując wcale ludzi niepiśmiennych, byleby się nadarzyła sposobność, potrafią dysputować całemi dniami: czy np. w Chrystusie jedna była natura lub dwie, czy Duch Św. tylko od Ojca pochodzi, lub też zarazem od Ojca i Syna, i t. d. Czasem dysputy te kończą się w sposób przykry, gdyż w braku argumentów logicznych uciekają się często przeciwnicy do argumentów dotykalnych. Ale widać z tego wszystkiego, że to lud rozbudzony i pojętny, a podróźni zaręczają, że wcale nie stroni od nauki, że chętnie przeczyta książkę, gdy się do niej dorwie, a gdy sobie wytknie jaki cel naukowy, to i lata całe potrafi wytrwać przy nim.

Krótki, ale wierny obraz religijnego i duchowego życia Abissyńczyków nie wyda się czytelnikom bardzo ponętnym, ale pamiętajmy, że od wielu wieków kraj się cofa bezustannie, a z nim i jego religia. W pierwszych wiekach chrześcijańskich utrzymywał jeszcze rozliczne stosunki z światem rzymskim i z niego czerpał zarodki własnej cywilizacji; odkąd jednakże dziki Islam wytepił do szczytu rzymsko-chrześcijańską oświatę w Egipcie i na północnych wybrzeżach Afryki, a potem nawet zaraził większą część Murzynów, sąsiadujących z Abissynią; odtąd ustały wszelkie stosunki między nią a źródłem chrześcijaństwa, kraj zatrzymał się w rozwoju, a wszystko co się zatrzyma w drodze postępu, zmarnieje niechybnie; to też zmarniała Abissynia. Prawda, że jeszcze dzisiaj, jak przed wiekami, ciągną liczni pielgrzymi do grobu Zbawiciela; ale czynią to bez skruchy i bez przekonania, jedynie dla świeckich widoków, aby odznaczyć się między swymi. Wielu zaś z tych pielgrzymów wraca z Jerozolimy przez Mekkę i tam przyjmują Islam, także bez przekonania, jedynie żeby zarobić sumę, wypłacaną bie-

dnym neofitom przez tureckiego paszę, aby mieć czém pokryć koszta powrotu. Naturalnie, że tacy pielgrzymi, powróciwszy do ojczyzny, nie podnoszą w niczém ducha religijnego, to téż zdaje nam się, że chrześcijaństwo abissyńskie, jako sekta odrębna, wskazaném jest na zagubę, bo oderwane od pnia chrześcijaństwa, pozbawioném zostało soków żywotnych. Jest to gałąź niegdyś świeża, którą burze dziejowe rzuciły daleko od drzewa i która zasycha coraz więcej. Islam z dniem każdym zyskuje więcej prozelitów wśród ludów murzyńskich okalających Abissynią, coraz węższymi sploty otacza on jęj góry; już się do nich wdziera wszystkimi wąwozami: jeszcze wiek jeden lub dwa, a udusi zupełnie napół obumarłą wiarę. Przecież Europa spieszy z pomocą, aby odświeżyć zagrożoną starą wiarę Chrystusową: od wieków Rzym posyłał tam swoich misyonarzy, którzy jednak nie wiele zdziałali. Wspomniemy o tych usiłowaniach nieco później, na tém miejscu poświęcimy słów kilka misyom istniejącym tam obecnie. Dwie tam są główne misy, pracujące z różném powodzeniem: angielska i francuzka.

Los każdéj misyi w mniej cywilizowanych krajach, związany jest z politycznym wpływem narodu, od którego wychodzi. Ponieważ Francuzi wspierali współzawodników terażniejszego cesarza, Anglicy zaś go uznali zaraz po koronacyi, przeto misya angielska przez lat kilka była górą. Jęj misyonarze i konsulowie otaczali ciągle cesarza, i pod jego boki rozszerzali działalność swoję. Jednakże nie bardzo im się powiodło. Lud, wierzący w świętych i Matkę Boską, kochający się w obrazach, w processyach i świetnych religijnych obrzędach, odpycha z oburzeniem zimny racjonalizm północy, który mu wcale nie przypada do serca. Cesarz, pragnący we wszystkim centralizacyi i jedności, nie lubi wcale różnaitości sekt i ceni angielskich misyonarzy, nie dla ich wiadomości teologicznych, lecz dla technicznych zdolności. Pozamykał im szkoły i zakazał dysputować, ale za to zrobił z nich architektów, inżynierów, dozorców fabryk, lekarzy i Bóg wie co. Misyonarze musieli budować twierdze, urządzać działolejnie, najrozmaitsze fabryki, i tak stracili czas na najrozmaitszych zajęciach, wyjąwszy głoszenie słowa bożego. Wiadomo, że nareszcie cesarz pogniewał się

z Anglią, wsadził większą część misyonarzy i emisaryuszów do obronnej *Magdali*, a resztę trzyma przy sobie pod strażą. Taki był przebieg nieszczęśliwy missyi protestanckiej. Katolicka była nieco szczęśliwszą: wspominałem, że w dawniejszych wiekach rozpoczynała po kilkakroć swoje działanie, ale zawsze bezużytecznie: opowiem zaraz o tych usiłowaniach obszerniej. Teraźniejsza missya katolicka może dlatego więcej jest tolerowaną od dawniejszych, że oddzieliła się od politycznego wpływu Francyi. Od dwudziestu przeszło lat pracuje ona cicho w północnych częściach Abissynii, na samym jej krańcu, daleko od oka cesarza. Wykształciła sobie kilkudziesięciu krajowych kapłanów, którzy wywierają wpływ bardzo zbawienny na swoje parafie: lud uczęszcza regularniej do kościołów i otacza związki małżeńskie coraz większym szacunkiem. Oto pierwsze choć bardzo skromne owoce tej missyi, którą założył zmarły w r. 1860 biskup *Justyn de Jacobis*; był to człowiek tak szlachetny i tak łagodnego usposobienia, że wszystkie sekty, nawet sam cesarz szanowali go mimowolnie. Katolicka zresztą missya postępuje sobie daleko rozsądniej, od angielskiej: Anglicy chcieli wszystko stare wykorzeńić odrazu i dać biblią ludowi w rękę, który po większej części nie umie nawet czytać; katolicy zostawili wszystkie dawne zwyczaje: staro-etyopską liturgią, rozliczne posty i małżeństwo kapłanów, a w sporach dogmatycznych poczynają sobie bardzo ostrożnie, wiedząc naprzód, że takowe wśród ludu zupełnie zaniedbanego i podupadłego duchowo nie mogą przyczynić się do rozjaśnienia prawdy. Przecież przyszłość dopiero okaże, o ile Bóg pobłogosławi ich szlachetnej pracy.

Poznaliśmy kraj i stan obecny jego oświaty, powiedzmy także coś o jego dziejach i różnych kolejach, przez jakie przechodził od niepamiętnych czasów. Początki abissyńskiej historii otoczone nieprzeniknionym zmrokiem bajek, które więcej pochlebiają narodowej próżności, niż prawdzie; od wielu wieków panowała nad krajem starożytna rodzina, która według mniemania ludu pochodzi wprost od Salomona. Wiadomo bowiem z Pisma Ś., że piękna królowa *Saby*, zaciekawiona rozgłosem Salomonowej mądrości, pojechała do żydo-

wskiego króla w odwiedzin. Z powrotem przywiozła do kraju swego nie tylko wiele mądrych nauk, lecz i zadatek miłości: zadatkiem téj miłości był syn *Manilehek*, który został podobno praojcem abissyńskiej dynastji. Począwszy od niego, panowała ona, mimo różnych kolei zmiennéj fortuny aż do naszych dni prawie, i dopiero terażniejszy cesarz, człowiek bez przeszłości, dziecko ludu, pozbawił ją odwiecznej godności. Ale na cóż przechodzić szczegółowo losy kraju i staréj dynastji, nie bardzo one są ciekawe i nużącój jednostajności, jak we wszystkich despotycznie rządzonych krajach Wschodu. Niesnaski familijne, wojny domowe, bunty krnąbrnych satrapów i możnych panów, walki przeciw najzdom Murzynów i Turków z Egiptu, stanowią tkankę, na której każde stulecie wyhaftowało te same postaci, te same wypadki. Jedyłą ciekawą rzeczą na téj historycznej kanwie są stosunki z Europą, to téż zamierzmy zupełnie o historyi wewnętrznej i poświęćmy krótką wzmiankę stosunkom z zagranicą.

Przez całe średnie wieki Europejczycy nie wiedzieli nic zgoła o Abissynji, gdy ta nagle dała znak życia przy bardzo ważném zdarzeniu. W r. 1439 zebrał się sobór powszechny we Florencji, ażeby naradzać się nad pogodzeniem powaśnionych kościołów, greckiego i rzymskiego. Otóż na wspomniany sobór przyjechali także abissyńscy zakonnicy, z polecenia swego cesarza Konstantyna. Przysłał ich zaś przeor abissyńskiego klasztoru, istniejącego w Jerozolimie od wieku XIII, który był punktem zbornym i gospodą dla pielgrzymów, przybywających co rok do świętego miasta z Etyopji. Abissyńscy zakonnicy nie bardzo wspierali pojednawcze usiłowania soboru, przeciwnie obstawając uporczywie za dogmatem, jako Duch Ś. tylko od Ojca pochodzi, przyczynili się nie mało do uniemożebnienia zgody między wschodnim a zachodnim kościołem. Przywiązywano przecież w Rzymie niemało wagi do przybycia deputacyi z odległego kraju i dzisiaj jeszcze można w Watykanie oglądać obraz, wyobrażający to szczególne zdarzenie.

W tych czasach także usiłowali Portugalczycy odkryć nową drogę morską do Indji, a wysyłając różne wyprawy na zachodnie wybrzeża Afryki, aż do ujścia *Senegalu*, dowie-

dzieli się tam od kupców, którzy zdaje się przebyli lądem wszęć całą Afrykę, o istnieniu na wschodzie silnego państwa chrześcijańskiego. Sądząc słusznie, że państwo to stanie się bardzo ważnym ogniwem w stosunkach z Indjami, posłał nareszcie król Jan II ku końcowi XV stulecia dwóch znakomitych ludzi: *Covillan'a* i *de Payva* zwyczajną drogą przez międzymorze Suez do morza Czerwonego, aby się dowiedzieli tam czegoś pewnego o Indjach, a zarazem o państwie owym chrześcijańskim, napół mitycznym. *De Payva* przepadł bez wieści w tamtych stronach, *Covillan* zaś, dostawszy się szczęśliwie do Indyi Wschodnich i zabawiwszy tam czas dłuższy, wstąpił z powrotem do cesarza Abissynii, *Alexandra*, który rezydował wtedy w mieście *Szoa*. Spotkał go los ten sam, co potem wielu innych Europejczyków. Cesarz ożenił go, dał mu znaczne posiadłości ziemskie i rozkazał pozostać w kraju. *Covillan* przecieź utrzymywał stałą korespondencyą z królem portugalskim, i pierwszy udzielił pewniejszych wiadomości o Abissynii i krajach sąsiednich. Tymczasem odkrył *Bartłomiej Diaz* drogę naokoło przylądka Dobręj Nadziei, w ślady jego popłynął *Vasco de Gamu* z silną flotą do Indyi i zdobył *Kalikut*; odtąd uwaga rządu portugalskiego odwróciła się od Abissynii, a zwróciła się przeważnie ku zachodnim wybrzeżom Afryki, wzdłuż których wiodła nowa droga do ich posiadłości w Indjach.

Mówią powszechnie, że nowa ta droga pociągnęła za sobą przewrót w handlu europejskim i upadek Wenecyi, która przez międzymorze Suez i morze Czerwone utrzymywała stosunki z Indjami. Przecieź to nie prawda. Droga przez morze Czerwone jest krótsza i wygodniejsza: kupcy arabscy, perscy, egipscy przywozili regularnie towary indyjskie do Suez, zkąd je zabierali Wenecyanie. Te stosunki handlowe nie potrzebowały lękać się konkurencyi portugalskiej na drodze dłuższej i mozolniejszej naokoło przylądka Dobręj Nadziei. Jeżeli one ustały ze szkodą Wenecyi, to nie w skutek owęj konkurencyi, lecz zmian politycznych, zaszłych na brzegach morza Czerwonego. Wiadomo, że Egipt stanowił państwo samodzielne, że tak samo inne wybrzeża morza Czerwonego rozpadały się na liczne wolne państewka; odkąd jednak *Selim I* został sułtanem tureckim, wszystko

się zmieniło odrazu. W r. 1517 został Egipt podbitym i przyłączonym na zawsze do państwa tureckiego; w kilka lat potem spotkał tenże los całe pobraże morza Czerwonego aż do Indyjskiego oceanu. Wszędzie usadowili się Turcy, wszędzie nakładali olbrzymie podatki i cła niezmiernie, i wkrótce bezmyślność i brutalność sułtańskich paszów zniweczyły cały handel, kwitnący od wieków na morzu Czerwonym, a zostający w rękach kupców arabskich i indyjskich; ta więc okoliczność a nie współzawodnictwo portugalskie zadało śmiertelny cios dumnej Wenecyi.

Zdobytcze Turków w owych stronach zaniepokoiły mocno Abissynią. Sprzymierzywszy się z sąsiednimi pogańskimi ludami, które się szybko nawracały na Islam, stawały się armie tureckie coraz groźniejszymi. Ale od Abissynii nie daleko do Indyi, a tam kwitnęły już osady portugalskie w najlepsze; wtedyto małoletni cesarz Dawid, pobity przez sąsiadów i doprowadzony do rozpacz, usłuchał rady znanego nam już *Covillan'a*, który żył jeszcze natenczas w pierwszej połowie XVI stulecia. Cesarz wyprawił *Armeńczyka Macieja* z czułym listem do króla portugalskiego przyrzekając mu połowę państwa, byleby mu dopomógł do zniweczenia Islamu i do zburzenia Mekki. Maciej po długich przygodach dostał się nareszcie trzeciego roku do Lizbony, gdzie go król Jan II przyjął życzliwie i natychmiast wyprawił małą flotę na pomoc abissyńskiego mocarza. Flota ta jednak zmarniała w drodze, i dopiero druga, pod wodzą admirała Segueyr'y dopłynęła szczęśliwie do miasta *Massaua* gdzie i dzisiaj wylądowała armia angielska. Poselstwo portugalskie, mając ze sobą wspomnianego Macieja, udało się natychmiast do Abissynii, gdzie po sześciomiesięcznej podróży spotkało się nareszcie z cesarzem Dawidem. Ale uczucia cesarza odmieniły się wielce: pobiwszy szczęśliwie swoich nieprzyjaciół i nie potrzebując już zagranicznej pomocy, cesarz przyjął posłów dumnie i nareszcie po pięciu latach nadaremnych wyczekiwań odprawił ich z niczem, zatrzymawszy dwóch z nich u siebie, lekarza Jana i malarza Bermudesa. Ale los wojny jeżeli okazał się gdzie niestałym, to mianowicie w Abissynii. Cesarz Dawid niedługo potem został pobitym od Turków i plemion pogranicznych, i przez lat 14

cała Abissynia była wystawioną bezkarnie na wszystkie okropności wojny. Wtedyto, wśród tych okropnych zamieszek, został portugalski ów lekarz *Jan Bermudes*, po śmierci abissyńskiego prymasa abuną, t. j. głową narodowego kościoła. Ledwo dostąpiwszy tej godności, udał się pospiesznie do Rzymu, gdzie od papieża uzyskawszy tytuł „*patryarchy morza*” wracał do swojej dyecezyi. Ale tymczasem cesarz Dawid umarł, a następca jego Klaudyusz bił się dosyć szczęśliwie z Turkami i Murzynami. Nowy patryarcha wracał ale nie sam; uzyskawszy od króla portugalskiego znaczne posiłki, wyładował w r. 1542 w *Massaua*, poczem armia portugalska pod dowództwem Chrystofera, wsparta silnemi zastępami Abissyńczyków, udała się w głąb kraju, aby połączyć się z cesarzem Klaudyuszem. Jest to pierwsza armia europejska, która odważyła się na to: Anglicy dzisiaj próbują to samo drugi raz. Armia jednak portugalska zanim zdołała się połączyć z cesarzem, została w drodze zniesioną przez Turków; bohaterski dowódca Chrystofer de Gama poległ, a głowę jego posłano do Stambułu, jako oznakę zwycięstwa. Niedobitki portugalskie przedarły się szczęśliwie do cesarza i przyczyniły się potem do zadania Turkom walnej klęski, poczem cesarz odzyskał wszystkie prowincye państwa. Portugalczycy zaciągnąwszy się w służbę cesarza, osiedli w kraju, gościnnie przyjęci; ale Bermudes, oddawszy tak wielkie usługi cesarzowi, domagał się nadaremnie dyecezyi swojej, albowiem podczas niebytności jego obrano innego *abunę*, a cesarz nie myślał wcale ani złożyć go z urzędu, ani uznać supremacyi Rzymu. Pozostało więc wszystko po staremu, a usiłowania połączenia Abissynii z Rzymem spełzły na niczem. Rozpoczęto je jednak niedługo potem na nowo. W r. 1558 przybyło kilku OO. Jezuitów, których cesarz przyjął zrazu bardzo życzliwie, ale ci trawili czas na bezużytecznych dysputach z krajowem duchowieństwem, a chcąc odrazu znieść wszystkie odrębne cechy abissyńskiego kościoła, rozjątrzyli lud przeciw sobie. Obok tego zdaje się mieli także udział nie mały w domowych wojnach, łącząc się zawsze z tym pretendentem, który obiecywał przejść na katolicyzm; ale szczęśliwi pretendenci nigdy nie chcieli dotrzymać obietnicy, a nieszczęśliwi wciągali regularnie we wspólną zgubę

swoich katolickich przyjaciół. Ztąd każda nowa rewolucya sprowadzała nowe prześladowanie i na Portugalczyków, osiadłych w kraju i na katolickie duchowieństwo.

Pomyślniejsze czasy zaczęły się dla katolicyzmu, gdy w r. 1597 przybyło kilku OO. Jezuitów z Indyi, z kwitnącego domu w Goa. Byli to naturalnie znowu Portugalczycy a nazjnakomitszym pomiędzy nimi *O. Paez*, który umiarkowaniem, cierpliwością i chęcią zgody, osiągnął wszystko to, czego nie mogli uzyskać poprzednio misyonarze, powodując się niewczesnym zapalem i przesadzoną gorliwością. *O. Paez* zrazu działał cicho, założył szkoły, w których mnóstwo kształcił nowo nawróconych krajowców, a nareszcie wystąpił z całym ich orszakiem publicznie w r. 1604. Rozumie się że miejscowe duchowieństwo nie zdołało ostać się w dysputach z młodymi uczniami *O. Paez'a*, a cesarz tak się ucieszył i z widocznych zasług nauczyciela i z zadziwiających postępów uczni, że oznajmił *O. Paez'owi* gotowość przejścia na katolicką wiarę i wyprawił listy do papieża i do króla hiszpańskiego (Portugalia zostawała wtedy pod berłem Hiszpanii) prosząc o jezuitów do zakładania szkół i o rzemieślników, do urządzenia fabryk. Ten krok cesarza wywołał ogólne powstanie magnatów i krajowego duchowieństwa i nie długo potem cesarz zginął w wielkiej bitwie. Jego następca jednak Socynios pozostał również życzliwym dla katolików: *O. Paez* używał u niego nadzwyczajnego poważania i katolicyzm robił z każdym rokiem większe postępy. Z tych to czasów datują wszystkie znaczniejsze ruiny, wszystkie resztki dróg i mostów, o których wspomnieliśmy dawniej: są one wszystkie bez wyjątku dziełem portugalskich jezuitów. Przed nimi nie znano w Abissynii kamiennych gmachów, a po nich budować je zaprzestano. Bo też *Paez* był jak to mówią, geniuszem uniwersalnym, znał się na każdym rzemiośle, na każdej sztuce, kierował budowaniem zamków, kościołów, gmachów publicznych, dróg i mostów, których rozwaliska zadziwiają dzisiaj jeszcze wędrowców. Na nie szczęście umarł gorliwy kapłan zbyt rychło, i rzadko kiedy było czyjeś apostołstwo uwieńczone również zadziwiającemi skutkami. Ale od śmierci jego wszystko się zmieniło. W r. 1625 przybył z Rzymu nowo zamianowany patriarcha etyopski *Alfons Mendez*. Cesarz Socynios z całym dworem zło-

żył mu uroczyste hold posłuszeństwa. Ale wkrótce nowy patriarcha dumnym i szorstkiem postępowaniem zniechęcił sobie wszystkich, a chociaż Socynios pozostał do śmierci wiernym złożonej przysiędze, już syn jego *Bazylydes* zaraz po wstąpieniu na tron zniweczył całe dzieło ojca, powodując się ogólną niechęcią. Patriarcha i całe katolickie duchowieństwo odebrali rozkaz opuszczenia kraju, a gdy powstanie kilku prowincyi na ich korzyść nie udało się, wielkie prześladowanie zatarło wszelkie ślady nie dawno zaszczipionej wiary.

Odtąd ustały na długo wszelkie stosunki między Abisynią a Europą, tylko kupcy hollenderscy przyjeżdżali od czasu do czasu z Indyj Wschodnich. Usiłowania Ludwika XIV, żeby ustalić wpływ Francyi w nieznanym kraju, nie odniosły pożądanego skutku i Abissynia pozostała aż do naszego wieku nieznaną i zamkniętą w sobie. Dzisiaj oczywiście wszystko się odmieniło: w ciągu obecnego stulecia Francya i Anglia usadowiły się w kraju, a z niemi misye anglikańska i rzymska, których działanie poznaliśmy już dostatecznie. Głównie zaś przyczyniły się do poznania kraju podróże odważnych uczonych, którzy z narażeniem życia przejechawszy kraj w dłuż i w szerz, odsłoniли w sławnych dziełach ten nieznaną kąt ziemi. Trudno wyliczyć wszystkich, wspomniemy tylko, że już w przeszłym wieku Anglik *James Bruce* zwiedził kraj ten i opisał dokładnie. Z najnowszych wymienimy trzech, Anglika *Baker'a* i dwóch Niemców: hr. *Krakow-Wickerode* i nareszeie *Heuglin'a*, z których każdy dał gruntowne sprawozdanie z swojej podróży. Skorzystamy głównie z dzieła p. *Heuglin'a*, „Podróż do Abissynii” i t. d. (Reise nach Abissynien, den Gala-laendern, Ost-Sudan und Chartum); aby dać czytelnikom kilka szczegółów o cesarzu Teodorze poprzedzimy je krótką wstępną uwagą.

Powiedzieliśmy już, że od wielu wieków panowała nad Abissynią krajowa dynastya, dość mitycznego pochodzenia. Dynastya ta utrzymywała zawsze berło w swojej rodzinie, z władzą nieograniczoną, a chociaż nieraz się zdarzało, że bracia lub krewni dobijali się władzy najwyższej, nie odważył się jednak żaden obcy zająć miejsce prawowitych panów

kraju. Dopiero od połowy przeszłego wieku doznało znaczenie panującej familii niebezpiecznego szwanku, spotkał ją bowiem ten sam los zupełnie. co niegdyś królów francuzkich z domu Merowingów. Marszałek dworu stał się panem rzeczywistym a cesarz tytularnym cieniem. Stosunek taki trwał aż do roku 1855, gdy nareszcie prosty żołnierz imieniem *Cassa*, dobry wojownik, ale zresztą człowiek bez przeszłości i przodków, wyrzucił spróchniałe rządy dynastyi, pozbawionę oddawna wszelkiej powagi, i ogłosił się cesarzem w Gondarze pod imieniem Teodora II.

Ludność kraju nadzwyczaj jest rozmaita: szczep panujący stanowi szlachtę, a podbici krajowcy są zbiorowiskiem najrozmaitszych plemion, których naliczyć można przynajmniej dwadzieścia, a te nie cierpią się wzajemnie i wojują między sobą bezustannie. Los tych podbitych plemion był bardzo opłakany za dawnych rządów. W każdej prowincyi znaczna jakaś rodzina z panującej szlachty dzierżyła najwyższe urzędy, sposobem dziedzicznych lenności. Mali ci, prawie niezależni satrapi, uciskali lud a panujący nie miał dość władzy, aby go zaślaniać. To też przyjęto wstąpienie na tron Teodora z wielką radością: lud mniemał, że to zbawca zesłany z nieba, gdyż chodziła tam dawna przepowiednia, że kiedyś zjawi się możny pan, który wróci krajowi dawną świetność i sławę. Teodor miał w istocie wielkie plany, ale zacząwszy zbyt wiele rzeczy naraz, nie mógł żadnej dokończyć. Marzył np. o rozszerzeniu granic swoich aż do morza Czerwonego i o podbiciu pomorza, zostającego pod zwierzchnictwem tureckiego sułtana. Ale niesforna armia abisyńska została pobita przez małą garstkę dobrze uzbrojonych Turków, i trzeba było odłożyć wielkie plany na później. Marzył o zaprowadzeniu dobrych sądów, podniesieniu handlu, dźwignięciu przemysłu, ale nieustające bunty niweczą wszystkie jego zamiary. Od roku 1855, gdy ozdobił skroń cesarską koronę, wygląda Abissynia nadaremnie pokoju. Gdzie cesarz obozuje z bitnemi tysiącami, tam go słuchają; ledwc udał się do innej prowincyi, już nowe powstanie wybuchło za jego śladami.

We wszystkich prowincyach stara szlachta, nie cierpiąca samozwańca parweniusza, podnosi rokosz prawie corocznie, znajdując zawsze licznych ochotników, którzy przekładają życie awanturnicze w górach, nad cichy, pracowity

pobyt w domowej zagrodzie. Te bandy powstańcze, nie mając pewnej przed sobą przyszłości, żyją z dnia na dzień, używają teraźniejszości, bo jutro nie do nich należy i pustoszą kraj w najlepsze. Chłopi pozbawieni trzód i sprzętów, łączą się z nimi, aby nie umrzeć z głodu. Rozległość kraju sprzyja powstańcom, dzikie lasy i niezliczone wąwozy dają im bezpieczne schronienie. Armia zaś cesarska, nie lepiej obchodzi się z krajem od powstańców, wlokąc za sobą tabor nieprzejrzany i tysiące kobiet i dzieci, podobną jest do szarańczy, która nic nie zostawia po sobie: przed nią idzie popłoch, za nią spustoszenie. I tak mianowicie cała południowa Abissynia, która niegdyś była krajem opływającym w miód i mleko, jak mówi Pismo Św. zamieniła się w pustkowia, gdzie życie stało się zgoła niepodobnym. Żeby więc wybrnąć z tego zamętu kłopotów i wrócić krajowi dawną pomyślność, trzeba być niemal więcej, niż człowiekiem; zdaje się jednak że cesarz Teodor nie podola temu zadaniu, gdyż o ile jest dobrym żołnierzem, o tyle złym politykiem, czego dowodem niepotrzebne drażnienie Anglików, które ściągnęło na kraj, w dodatku do istniejących już nieszczęść, jeszcze niebezpieczną zagraniczną wojnę.

Ale zapoznajmy się nareszcie z cesarzem i jego obozem. P. *Heuglin* odwiedził go dwa razy: w r. 1853 i w kwietniu r. 1862. Przytaczamy kilka szczegółów z drugich jego odwiedzin, które pod wielą względami bardzo są ciekawe. Cesarz obozował wtedy w południowej części Abissynii, w prowincyi *Wollo*, niezbyt daleko od sławnej fortecy *Magdala*, gdzie uwięzieni Anglicy wyglądają oswobodzenia swego. P. *Heuglin*, zaproszony przez cesarza, wyjechał z honorową eskortą z Gondaru, dawniej stolicy, leżącej prawie w środku kraju, aby udać się do obozu. Opuściwszy Gondar 17 lutego 1862 r. przyjechał na początku marca do miasta *Gaffat*, gdzie mieszkali protestancy misjonarze. Ci uwiadomieni o jego przybyciu, przyjęli go gościnnie i zatrzymali u siebie tydzień cały. Misjonarze, stosownie do rozkazów cesarza, nie zajmowali się wcale głoszeniem słowa bożego, zamiast tego pracowali jako puszkarze, stolarze, stelmachy, działoleje, siodlarze, inżynierzy i architekci. Cesarz obchodził się z nimi bardzo dobrze: wyznaczył im obszerne grunta na stałe utrzymanie, a naczelnik prowincyi, rezydujący w *Debra-*

Tabor zaopatrywał ich w bydło, miód i inne potrzeby. Niewolno im było jednak wyjeżdżać ztamtąd bez osobnego pozwolenia. Za tydzień udał się p. Heuglin w dalszą podróż; 15 marca stanął pod *Magdala*, do której jednak zabroniono mu wstępu. *Magdala* leży na górze, wynoszącej mniej więcej $\frac{1}{2}$ mili kwadr.; przystęp do niej jest zupełnie niemożliwym, gdyż skaliste boki góry zapadają się stromo w przepaść; forteca więc, posiadająca obfite źródle i nawet grunta uprawne, nie da się ani wziąć szturmem, ani wymorzyć głodem: jest ona główną podstawą cesarskiej potęgi, gdyż tam znajdują się jego magazyny, arsenał, skarby i więźnie stanu. Trzy godziny drogi od *Magdali* mieszkał alter-ego cesarski *Ras-Ubie* w oszańcowanym obozie. Ten, młody jeszcze, dostojny mężczyzna, przyjął p. Heuglin'a bardzo uprzejmie w namiocie wykładanym bogatemi dywanami, ale oświadczył mu z góry, że go zatrzyma u siebie aż do dalszych rozkazów cesarza. Areszt ten dosyć zresztą przyjemny, osładzał sobie p. Heuglin spacerami po dzikiej, malowniczej okolicy, gdzie, jak zawsze robił ciekawe spostrzeżenia geologiczne i botaniczne, zbierał liczne okazy ciekawych i rzadkich roślin i zwierząt. Mianowicie studyował tam życie pewnego rodzaju małp, zowiących się zwykle *pawianami* a znanych w zoologii pod uczonem nazwiskiem *Theropithecus*. Ponieważ psychologia i socjologia tych małp bardzo są ciekawe, przytaczam z nich kilka szczegółów; sądzę że czytelnicy nie znudzą się nimi.

Małpy te mieszkają w niedostępnych jaskiniach, gdzie tuląc się do siebie przepędzają zimne noce, bezpieczne od srogich lampartów i żarłocznych hien. Ze wschodem słońca wychodzą ze swoich kryjówek, prowadzone przez kilku starych samców, i drżące od zimna siadają w wielkich gromadach na skałach, zabezpieczonych od wiatru. Podczas tego rannego grzania się na słońcu samice i młode drzemią jeszcze godzinę lub dwie, jak domyśla się uczony podróżny, podczas gdy samce siedzą szerokiemi kołami, jak wedety na straży. Ale odbywanie warty nudzi je diabelnie, to też ziewają bezustannie, otwierając szeroko brzydką paszczę, przecierają sobie oczy, a gdy chłodny poranny wietrzyk potarga im długą, żółtawą grzywę, warczą głośno na znak niezadowolenia. Tymczasem słońce wzbija się coraz wyżej,

gorąco się wzmaga, a małpice drzemiące dotąd w dość niewygodnych postawach, objawiają humor coraz lepszy. Jedna rozciąga się wygodnie na słońcu i przewraca się na wszystkie boki, druga przegląda troskliwie futro swego malca a głośném klaskaniem zębów oznajmia, że go oczyszcza z różnych drobnych nieproszonych gości. Nareszcie cała gromada, rozbudzona gorącym słońca porusza się, malcy przewracają niebezpieczne koziółki z niecierpliwości, starzy tymczasem ustawiają gromadę długim szeregiem, który na czele i na końcu dozorowany przez doświadczonych samców, udaje się gęsim pochodem, po przez spadzistość skał w dolinę. Tam już snują się inne gromady: po krótkim przywitaniu i rozstawieniu wart, zabiera się reszta do śniadania, które bardzo jest skromném, składa się z liści, pączków, owoców, ziarn rozmaitych a smakosze podnoszą wielkie kamienie i wyciągają z pod nich tłuste robaki i chrabąszcze, żeby mieć coś *pour la bonne bouche*. Malcy tymczasem bawią się i skaczą wesoło, przeszkadzają bezustannie starym w jedzeniu, a te doprowadzone do rozpacz, gryzą na wszystkie strony, biją malców po uszach, lub uchwyciwszy za krótki ogon odrzucają gdzieś daleko. Ale dorosła młodzież niemniej swawolna od malców. Tam nad kamieniem siedzi piękna małpka i zjada smacznie tłustego ślimaka; wtém zbliża się do niej młody galant w zalotnych susach: ona spuszcza skromnie oczki i nie zwraca na niego uwagi, on staje się coraz więcej natrętnym. Ale na nieszczęście małżonek ładnej, skromnej małpki zoczył zuchwałego adonisa, bieży ku niemu szalonym pędem, chwytą go ostremi szponami za wełniastą grzywę; ten się odgryza, nie poczuwając się niby do niczego, a więc wrzawa i straszna bitwa, kończąca się szybką ucieczką swawolnego galanta. I tak wesoły ludek małp bawi się, skacze, ugania się po zielonej dolinie. Wtém zaszczekały warty: znak to, że się zbliża jakie niebezpieczeństwo. Popłoch wszędzie: każda gromada zbiera się na około swego dowódcy, samice trzymają przy sobie swoje młode i powoli cały tłum cofa się ku skałom, oglądając się bacznie na wszystkie strony. P. Heuglin szezul je często dla zabawy psami, ale psy, choć dopędzały z łatwością uciekające małpy, jednak cofały się z przestachem, ile razy stare pawiany pokazały im zęby. Gdy zas

już dostały się na skały, wtedy żartują sobie z wszystkich, rzucają kamieniami na prześladowców i zmuszają ich do odwrotu. Najlepiej zaś można im się przypatrzeć w bliskości jakiego strumyka, gdyż regularnie po południu całe ich tłumy przybywają do wody, często razem z innymi zwierzętami, byleby nie drapieżnymi; wieczorem zaś wracają do swoich jaskiń na nocleg, tym samym porządkiem, w jakim opuścili je nad ranem. Ale wróćmy od małp do pana Heugliu'a.

Przebywał już dwanaście dni w towarzystwie Ras-Ubie'go, gdy nareszcie obaj wezwani zostali do cesarza. Udali się więc natychmiast w pochód. Po pięciogodzinnej przykrój podróży, wśród deszczu i gradu, zatrzymali się nareszcie u pierwszych forpoczty cesarskiego obozu, który rozciągał się na kilka godzin drogi. Punktem środkowym obozu była wyżyna, na której stały namioty magnatów, wśród nich płócienny kościół obozowy, na prawo i lewo od niego wielkie namioty, zajmowane przez dwie żony cesarza, dalej biskupa, komendanta obozu i innych wyższych wojskowych. Tam też rozbito namiot dla p. Heugliu'a i jego służby, ale cesarza nie było w obozie. Nazajutrz 29 marca cała armia, Heuglin naturalnie razem z nią, zapaliła obóz i pomaszzerowała dalej i dopiero 4 kwietnia połączyła się z cesarzem. Ten zawołał p. Heugliu'a jeszcze tegoż dnia do siebie. Siedział w wielkim namiocie z wełny, wykładanym kobiercami, na małej sofce, w skromnym ubraniu. Usadowiwszy p. Heugliu'a obok siebie, przypomniał mu ubiegłe czasy i pierwsze ich spotkanie się w r. 1853, poczem rozdał obecnym wódkę, wyborny miód i zastawiono postną wieczerzę. Cesarz wydawał się p. Heuglin'owi znacznie starszym, niż w r. 1853 i bardzo znużonym, jego oczy jednak nie straciły nic z dawnego blasku. Po wieczerzy pożegnał cesarz łaskawie swego gościa, zapewniwszy go o niezmienną swoją życzliwość.

Cesarz pracował od świtu do wieczora, ponieważ załatwiał sam wszystkie ważniejsze sprawy. Już przed wschodem słońca zbierają się tłumy petycyonaryuszów, wołających żałośnie *abet abet* (panie! panie!) lub też *dżau-hoi, dżau-hoi* (słuchaj nas! słuchaj nas!). Cesarz udziela im wszystkim bez wyjątku audyencye w łóżku, wysłucha każdego z oso-

bną i odprawia łaskawie. Po petycyach przybywają urzędowe raporta i gońcy, patrole przyprowadzają nocnych włóczęgów, a cesarz wszystko sądzi własnoocześnie, bez wielu słów i długich badań. Jest bardzo sprawiedliwym, wspaniałomyślnym i hojnym, ale też nieubłaganej surowości, a często nawet okrutny, przekonany że tylko postrachem można rządzić tak niesfornym ludem. Ubranie jego zawsze bardzo skromne, chodzi boso lub w sandałach, jeździec z niego doskonały a strzelec niezrównany; w bitwie walczy zawsze w pierwszym szeregu. Przepisów religijnych przestrzega skrupulatnie, i otoczony zawsze licznym zastępem zakonników.

Dnia 6 kwietnia chciał p. Heuglin pożegnać cesarza, ale ten mu wytłumaczył, że dla niepewnych dróg rzecz to niemożliwa. Musiał więc pozostać w obozie i miał dosyć czasu, aby w nim się rozpatrzeć. Obóz ten w niczem nie był podobny do naszych. Rozciągał się na dwie mile kwadratowe, a liczba żołnierzy, sług, kobiet, niewolnic i dzieci wynosiła przynajmniej 150,000; brak żywności dał się uczuć niebawem, gdyż niezliczone stada krów, koni, owiec i osłów zjadły dokoła wszystko w całej okolicy. Samych żołnierzy było przynajmniej 5000, ale organizacja ich i podział bardzo luźny, artylerya składała się tylko z małych armat, gdyż innych trudno używać w górach, i nie zrobiła osobliwego wrażenia na Heuglin'ie. Jedyńa jazda wydała mu się wyborną, która ubrana w czarne wełniane płaszcze, uzbrojona w dzidy i szerokie szaszki, pędziła wesoło na małych, silnych, niekutych koniach. Piechota zaopatrzona w większej części w karabiny, prawda nie szczególne, ale mimo złej broni i gorszej jeszcze amunicyi, strzelała ona nadzwyczaj celnie, choć niedaleko.

P. Heuglin zatrzymany mimowoli, odbywał z całą armią najfatalniejsze marsze i nie bardzo smakował w tém dziękim męczącym życiu; 20 kwietnia obchodzono uroczyste w obozie wielkanocne święto, z muzyką i wystrzałami z armat, oraz pompatyczną procesją. Cesarz rozdawał na wszystkie strony nagrody i oznaki swojej łaski, ale też i wiele batów. Kilku nawet generałów doświadczyło na sobie tych dotykanych dowodów niezadowolnienia. Następnego dnia cesarz nie mając już żywności żadnej w obozie, wyprawił się

z silnym oddziałem do sąsiednich wsi i wrócił po kilku godzinach z wielkim łupem, wiodąc prócz zboża i kawy około 20,000 sztuk bydła rogatego. Ale gęste kłęby dymu na niebie świadczyły wymownie, że poddani nie oddali tego dobrowolnie i że za tę krnąbrność, spalono im zagrody.

Nareszcie 25 kwietnia uzyskał p. Heuglin pozwolenie powrotu i eskortę na drogę; cesarz pożegnał go życzliwie i obdarzył jego towarzyszków hojnie srebrem wybitymi tarczami, drogiemi uzdami, siodłami i innemi cennemi przedmiotami. Nie mamy zamiaru towarzyszyć p. Heuglin'owi w powrocie, gdyż lękamy się żeśmy i tak już nadużyli cierpliwości czytelnika, prawiąc mu tak szczegółowo o kraju który nas obchodzi serdecznie mało, i o cesarzu, którego potęga taka mała. Bacząc jednak na to że małe, niepozorne rzeczy stawają się często przyczynami wielkich wypadków, nie powinniśmy lekceważyć żadnego kraju, choćby najsłabszego, ile razy wchodzi w stosunki czyto przyjazne czy nieprzyjazne z Europą. Zresztą sama ciekawość ciągnie nas silnie do wszystkich mniej znanych zakątków ziemi, a jakkolwiek wydać się może śmieszna, a często nawet bardzo nudna, pozostanie mimo to największym darem, użyczonym nam przez Opatrzność, albowiem ona wiedzie nas do szczęścia i prawdy, torując nam drogę postępu.

Dnia 10 lutego.

Stefan Pawlicki.

O GEOLOGII I JÉJ POSTĘPACH.

PRZEZ

Jana Trejdosiewicza,

Doktora filozofii, Profesora Instytutu Politechnicznego i Rolniczo - Leśnego
w Nowej Alexandryi.

„Das schönste Glück des denkenden Menschen ist,
das Erforschliche erforscht zu haben und das
Unerforschliche ruhig zu verehren.“

Goethe.

Zadaniem geognozyi jest poznanie ustroju ziemi, geologii jój tworzenia się i przeobrażeń. Geolog dla rozwiązania tego zadania potrzebuje z wielorakich stron badać ziemię, uważając ją jako wielką siłą fizycznych i chemicznych pracownią, jako siedlisko roślin i zwierząt, jako wypadek nieskończonych działań sił przyrody.

Od czasu jak wielostronnym tym badaniom zaczęły nieodstępnie towarzyszyć różne nauki, jak fizyka, chemia, mineralogia, botanika i zoologia, wtedy geologia przestała być nauką samych hipotez, przeszła z dziedziny pomysłów i przypuszczeń w szereg umiejętności ścisłych i opiera się obecnie na ustalonej zasadzie, że *każdy geologiczny fakt wymaga geologicznego tłumaczenia, czyli tłumaczenia opartego na geognostycznych postrzeżeniach i zjawiskach.*

Postrzeżenia geognostyczne polegają na badaniach fizyczno-chemicznych ziemi.

Fizyka i chemia rozpoznają wszystkie zjawiska, siły i przemiany świata materyalnego, obok których jako niepo-

dzielna całość występuje natura. Przedmiotem obu tych nauk jest także i nasza ziemia, uważana w całej swęj massie lnb częściach; geologia zatęm obejmować będzie prawdy wypływające z zastosowania fizyki i chemii.

Mineralogia która rozpoznaje jednorodne stałe, lub ciekłe nieorganiczne twory przyrody, przyczynia się wprost do postępu geologii i w bezpośrednim z nią pozostaje związku. Nawet krystalografia teoretyczna jest ważną nauką dla geologii, bo chociaż w nięj rozmaitość kształtów prawidłowych do podrzędnych zjawisk należy, jednak takie kwestye jak ogólne warunki krystalizacyi i stanu bezpostaciowego, oraz przejścia między nimi zachodzić mogące są nie małej wartości dla teoryi tworzenia się ziemi.

Rozpatrując bliżęj powyższe kwestye, ukazuje się znowu zależność mineralogii od nauk ogólniejszych, od teoretycznej fizyki i chemii, ściśle mówiąc od *atomologii*. W przedmiocie tym wszelka samodzielność mineralogii i geologii ustaje; o ile rzecz sama wchodzi w zakres atomologii, wtedy już fizyka i chemia zastępują geologią.

Wytłumaczenie wszystkich geognostycznych zjawisk jest zadaniem i skalą zakresu geologii.

Lecz postrzeżenia geognostyczne jak już wiemy, polegają głównie na fizyczno-chemicznych badaniach ziemi, więc i każde geologiczne ich wyjaśnienie posiadać będzie także charakter fizyczny lub chemiczny.

W naukach przyrodzonych podział pracy jest równie uważany za warunek postępu, każda więc z nich idzie sobie właściwą drogą. Fizyka i chemia nie zatrzymują się na geologią, ta ostatnia znowu stara się być coraz więcéj samoistną, usiłując nowe postrzeżenia, nowe fakta, nowe kwestye z nowęj poruszać strony, na świeżem je uprawiać polu.

Wszystkie prace skierowane do poznania życia organicznego na naszęj planecie, należą do najwznioślejszych badań ducha ludzkiego, lecz takowe słabo się łączą z kwestyami geologicznymi w ściślęm tego słowa znaczeniu. Jedynie silniejszým tu ogniwem jest tak zwana *paleontologia*, której główným jest zadaniem ukazać właściwe miejsce dla każdej roślinnej lub zwierzęcej istoty, stosownie do jęj organizacyi i samego rozwoju, a tęp samym oznaczyć i pewien

okres jój istnienia; lecz w tym przedmiocie botanika i zoologia zależą wprost od geologii, gdyż na jój faktach opierają swoje teorye.

Już w najodleglejszej starożytności, przy wyblysku pierwszych promieni cywilizacji, budzić się zaczęła w człowieku potrzeba badania jak się tworzyła ziemia, która go wydała i żywi, jest dla niego źródłem szczęścia i rozkoszy. Wielki prawodawca *Mojżesz* podaje w pięknym zarysie skreślony sposób powstania ziemi, który przez kilkaset wieków był zasadą myślącej ludzkości. Równie na rozkosznych błoniach szczęśliwej Hellady, ożywiony umysł Greków usiłował także wytłumaczyć wszystkie pojawy świata zewnętrznego. Wszakże pomysłów i postrzeżeń filozofów greckich nikt dzisiaj poczytywać nie będzie za teorye geologiczne. Jeżeli *Tales* twierdził, że z wody powstała ziemia, która ściągając się w najrozmaitszy sposób wydała skały i bardziej ściśliwie metale, a *Heraklit* znowu utrzymywał przeciwnie, że ziemia jest spalonym popiołem, to jednak obu dla ich pomysłów nie możemy uważać za geologów. Jeżeli później w średnich wiekach żył sławny malarz *Leonardo da Vinci* († 1519), który ze skamieniałości wyprowadzał wnioski o ówczesnym dnie morskim, nie był on także geologiem w naszym pojęciu.

Pierwsze dopiero zasady dla geologii jako nauki, czynają się nam ukazywać w XVII wieku. Mikołaj Steno, Robert Hooke, Jan Ray, Jan Woodward, Giovanni Arduino, Stefan Guettard, Gottlieb Lehman, Christian Fuchsels, Tobias Bergmann, Mikołaj Desmarest, Wilhelm Charpentier i niektórzy inni występują już jako geolodzy, których dokładniejsze postrzeżenia i niektóre myśli były później rozwijane; lecz tym który rzeczywiście nadał geologii naukową postać, był *Abraham Gottlob Werner* (1750—1817). Onto jako professor akademii górniczej we Frejbergu był pierwszym, który w roku 1780 rozpoczął tam wykłady naszej nauki pod nazwą *geognozji*. Werner nie tylko zgromadził znane mu minerały w pewien układ, ale nadto swoją teoryą tworzenia się ziemi ujął także w odpowiedni system (1).

(1) Classification der Gebirgsarten. Dresden 1786.

Według jego teorii, cała skorupa ziemską powstała przez tworzenie się osadów z wód. Wszystkie przeto skały są jednego pochodzenia; osadzały je wody w pewnym oznaczonym porządku i ta tylko między nimi zachodziła różnica, że jedne z nich były osadami chemicznymi, inne zaś powstały z mechanicznego naniesienia wód. Zmieniający się ustawicznie stosunek wody do lądów, oraz różność samej natury osadów, spowodowały Wenera do przyjęcia tak zwanych *formacji*. Werner wszakże utrzymywał, że formacje jednoczesne, noszą na sobie jednakowe znamiona petrograficzne a tём samém nie jednoczesne dają się między sobą odróżnić i rozpoznawać według ich gatunków skał.

Powstanie wulkanów przypisywał Werner zapaleniu się na różnych miejscach w łonie ziemi zawartych pierwiastków palnych. Lawy więc podług tego były tylko stopionymi skałami, kiedy przeciwnie teraz poczytujemy je za utwory, pierwotne, a wulkaniczną działalność, za wynik ogólnej własności ziemi. Nakoniec wszystkie nierówności skorupy ziemskiej, jak góry i doliny, powstały po większej części według Wenera przez podmywanie wód.

Oto cała teoria wenerowska w najgłówniejszych podana zarysach. Dwie jej główne zalety jasność i konsekwencya, poparte jeszcze samą osobistością twórcy, zapewniły jej ogólne przyznanie i upowszechnienie. Teoria ta wszakże opierała się tylko na bardzo małej liczbie niedokładnie poznanych faktów i zebranych postrzeżeń geognostycznych, oraz nie posiadała w innych gałęziach nauk przyrodzonych tych niewzruszonych podstaw, jakie nam dzisiaj te umiejętności przynoszą. Długiego jednak potrzeba było czasu, zanim zręczna, lecz jednostronna teoria Wenera, dała się usunąć z nauki i nowymi zastąpić poglądami.

Jak w innych naukach, tak i w geologii postęp i rozwój przychodził nie z łatwością i nagle, lecz z trudami i stopniowo. Pojedyncze bowiem postrzeżenia choćby bardzo ważne, lub prędko rozchodzące się hipotezy, choćby głęboko pomyślowe, przyczyniały się bezwątpienia do postępu, ale nagłego przeobrażenia całej nauki sprowadzić nie mogły. Działo się podobnie jak i z rozwojem naszej ziemi, gdzie również wolne i długotrwałe działania daleko więcej wpływały na jej przeobrażenia, aniżeli prędko przechodzące tak zwane

ziemskie katastrofy, które wywierały tylko wpływ na niektóre miejscowości. Wynalazki więc i znakomite teorye w naszej nauce powstawały także nie nagle, lecz wypływały z nagromadzonych przed ich pojawieniem się materiałów i ze ścisłego poznania rzeczy.

Już przed Wernerem i za jego życia niektórzy z geologów, szczególnież Jakób *Hutton* (1726—1796) i Karol *Wilhelm Voigt* (1752—1821), poczytywali oprócz law i niektóre jeszcze inne skały, jak np. bazalty za skały wulkanicznego pochodzenia. Werner zaś wróciwszy w r. 1787 z podróży w górach kruszcowych, uważać zaczął bazalt za skałę pochodzenia wodnego. Natrafił on tam pod *Scheibenberg* na małą górę składającą się od spodu z piasku, na którym leżała glina, następnie waka, a na niej rozpościerał się bazalt. Górę tę wziął on za utwór wodny, wnioskuje że wszystkie bazalty tworzą z gliną, waką i piaskiem jedną formację osadową. Teoryę tę ogłosił Werner w jенеńskiej gazecie literackiej z r. 1788 N. 57 pod tytułem: „*Nowe odkrycia.*” Voigt był pierwszy, który w tymże samym roku wystąpił przeciw Wernerowi, ogłosiwszy: „*Sprostowanie nowego odkrycia*” (1), gdzie powiada że odkrycie to opiera się na błędzie, gdyż pagórek pod Scheibenberg jest masą lawową rozlaną na pokładzie piasku. Na to odpowiedział Werner rozprawą: „*Ueber den Basalt*” (2). Wkrótce polemika ta między Wernerem a Voigt'em, stała się powodem do dalszych sporów naukowych. Liczni ze wszystkich prawie krajów pochodzący uczniowie Wenera, przejęci uwielbieniem dla swego mistrza i jego nauki wystąpili z gorącą a namiętą walką tak zwanych *neptunistów z wulkanistami*. Słuszność była po stronie muięj namiętych wulkanistów: nie zaprzeczali oni bowiem wcale widocznych działań wody, ale obok tego uważali i wulkaniczną działalność za istotnie ważny geologiczny czynnik; neptuniści zaś wszystko przypisywali wpływowi wody.

Nie będziemy tu przechodzili szczegółów tęg walki, ale raczej spojrzmy na kierunek jaki ztąd przybrała nauka.

Uczniowie Wenera przejęci jego zasadami, rozposzechniali je tak dalece, że teorya neptuniczna frejberg-

(1) *Intelligentzblatt der allgemeinen Literatur Zeitung*. Nr. 60.

(2) *Bergmännischer Journal*. Cz. 1. 1788.

skiego profesora, przygłuszyła wszelkie inne teorye przeważną liczbą swoich zwolenników. *Voigt*, *Widemann*, *J. F. Racknitz*, *Becher* i wielu innych geologów stawali ciągle w opozycji przeciw *Wernerowi*, dowodząc w licznych rozprawach, jak są błędnymi przez niego głoszone zasady, że bazalt jest pochodzenia wodnego i należy do najnowszych osadowych formacyj.

Francuzcy geolodzy jak *Jan*, *Stefan Guettard* (1), (1715—1786) i *Mikołaj Desmarest* (2) (1765—1815) opierając się na badaniach gór *Puy de Dôme* i *Montd'or* w *Oweronii* doszli do rezultatów, iż wszystkie bazalty są wulkanicznego pochodzenia i zarazem nieomylną wskazówką wulkanizmu.

Równie *Giovanni Arduino* (1713—1795), *Festari* i inni ówczesni włoscy geologowie przyznawali także bazaltom wulkaniczne pochodzenie.

Kiedy we Francji i we Włoszech powstawały ogólniejsze poglądy na naukę, to geologowie znowu angielscy, zajęci byli więcej szczegółowem badaniem pojedynczych miejscowości. Dopiero *Hutton*, przeciwnik *Wenera*, zmienił dawny kierunek nauki w Anglii. Obdarzony wysokim darem jasnego zapatrywania się na przyrodę zajął się poznaniem geognostycznem Anglii i Szkocyi i na zasadzie w tym względzie zebranych postrzerzeń wystąpił z teorią tworzenia się ziemi (3). Według *Hutтона*, granity, porfiry i bazalty, są jednymi co do natury i masy swojej skałami; on pierwszy zwrócił jeszcze i na to uwagę, ażeby wprowadzić i ustalić zachodzącą różnicę między skałami wulkanicznymi a plutonicznymi: za wulkaniczne uważać skały ogniowe powstałe i zastygłe na powierzchni, a za plutoniczne powstałe i zastygłe we wnętrzu ziemi.

Ale tak ważna teoria *Hutтона* z początku mało na siebie zwracała uwagę, gdyż większa część uczonych wierzyła

(1) Mémoires sur quelques montagnes qui ont été Volcans. Paris 1761.

(2) Mémoires sur l'origine et la nature de Basalte à grandes polygones, déterminé par l'histoire naturelle de cette pierre, observé en Auvergne. Paris 1737.

(3) Theorie of the earth. vol. II. Edimburg 1795.

w nieomyślność wymownego mistrza we Frejbergu, nie chciała nawet przypuszczać, aby teorye przeciwnie jego zasadom mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Z początku jeden tylko *Playfair* bronił teoryi i poglądów Huttona (1), a następnie *J. Hall* i *G. Watt*. Dopiero po trzydziestu przeszło latach, kiedy obydwaj już przeciwnicy spoczęli w grobie, a w obec niezbitych faktów ostygł zapał w uczniach Wenera, wtedy powszechnie uznanemi zostały znakomite zasługi angielskiego geologa. Teorya Huttona zostaje ogólnie przez geologów przyjętą i służy im za podstawę przy dalszych badaniach ustroju ziemi. Bazalt, przedstawiając się już fundamentem, na którym chciało wspierać budowę ziemi; dwa przeciwnie obozy neptunistów i wulkanistów godzą się ze sobą, najzapaleńsi uczniowie Wenera jak *Leopold Buch* i *Alexander Humboldt* przekonywają się po odbytych podróżach, o mylności zasad swego mistrza i stanowczo przechodzą na stronę wulkanistów.

Naturalnie że w Niemczech zasady Wenera utrzymywały się najdłużej, a chociaż błędne były jego teorye, to jednak wielką położył on zasługę wzbudziwszy w uczniach swoich zapał do badań geognostycznych. *J. K. Freiesleben* chcąc stwierdzić zasady swego profesora zajął się zbadaniem skał osadowych i dokładne w tym przedmiocie postrzeżenia ogłosił drukiem (2). *F. A. Reuss* położył znowu zasługę w dokładnym zbadaniu Czech pod względem geognostycznym i mineralogicznym (3). Wszakże do najznakomitszych uczniów Wenera bez zaprzeczenia należeli *Alexander Humboldt* (1769—1859) i *Leopold Buch* (1774—1853). Obydwaj znakomity wywarli wpływ na terażniejszy kierunek geologii. Pierwszy badania swoje zwrócił do wszystkich nauk przyrodzonych, ostatni zaś ograniczył się tylko na geologii. Nie będziemy tu bliżej rozbierali prac obu tych uczonych, ale ograniczymy się tylko na przytoczeniu samych wypadków, które wpłynęły na dalsze postępy naszej nauki.

(1) Illustration of the Huttonian theory of the earth. Eddimburg 1802.

(2) Geognostische Beiträge zur Kenntnis des Kupferschiefer-Gebirges T. 4. 1807—1815.

(3) Mineralogische und bergmännische Bemerkungen über Böhmen. 1801.

Podróż jaką Humboldt odbył do południowej Ameryki w latach 1799—1804 przyczyniła się do rozwoju geologii (1). Zjawiska wulkaniczne i z niemi nieodłączne trzęsienia ziemi, jakie towarzyszyły Humboldtowi w połud. Ameryce, wykazały mu całą jednostronność i błędy zasad Wernera. Przy badaniach Jorullo znalazł przykład wyniesienia całej krainy skutkiem sił wulkanicznych, a tém samém i podstawę do poglądów w dzisiejszej geologii. Następnie porównywał skały amerykańskie i ułożenie ich ze skałami europejskimi. Podróż nakoniec Humbolta do Rossyi Azyatyckiej, gdzie na Uralu wspólnie z G. Rose poczynił bardzo wiele ważnych postrzeżeń dotyczących się tamtejszych skał, była również z korzyścią dla nauki (2).

Lecz daleko większy wpływ na rozwój geologii wywarł L. Buch: jego długoletnie, prawie bezustanne podróże po całej niemal Europie, jego dokładne badania wielu gór, doprowadziły go do bardzo ważnych rezultatów.

Walka o pierwotne pochodzenie skał bazaltowych, powiodła go najprzód do wygasłych wulkanów południowej Francyi i do Wezuwiusza, gdzie wiara jego w pochodzenie wodne bazaltów została zachwiana, a następnie bardzo osłabiona po zebranych postrzeżeniach w Norwegii i Laponii (1806—1808) (3). W okolicach Christianii napotkał on na żyłę granitu, która przebijając pokłady zawierającego skamieniałości wapienia, takowe następnie pokryła zmieniawszy jego ustrój, odkrycie, które później stało się powodem do ważnych poszukiwań i poglądów. Następnie poświęcił się Buch zbadaniu gór niemieckich, poczem udał się do Anglii, ażeby się tam przygotować do podróży na wyspy Kanaryjskie. Pobył Bucha w Anglii (1815), gdzie teoria Huttona zaczęła się już coraz więcej rozpowszechniać, wpłynął jak się zdaje niemało na dalsze jego poglądy, gdyż po zwiedzeniu wysp Kanaryjskich, odstępuje zasad Wernera.

(1) *Reisen in die Aequinoktial-Gegenden des neuen Kontinents.* 3 t. Stuttgart i Tübingen 1815—1820.—*Essai géognostique sur le gisement de roches dans les deux Hemisphères.* 1822.

(2) *Fragments de Géologie et Climatologie Asiatique* II t. 1831.

(3) *Reise durch Norwegen und Lappland* 2 t. Berlin 1810.

Po powrocie z powyższych wysp, o których wydał znakomite dzieło (1), Buch skierował znowu swe badania geologiczne do Niemiec a mianowicie do Alp.

Najgłówniejszym rezultatem podróży naukowych Bucha było dokładne i obszerne poznanie działań wulkanicznych; dalej oznaczył wiek gór niemieckich, dzieląc je na cztery systemy: system Alp, Renu, system niderlandzki i północno-wschodni. Pogląd ten Bucha został dalej rozwijany przez Eligiusza de Beaumont i wzięty za podstawę do jego teorii podnoszenia się łądów. Buch nakoniec był pierwszy, który zaczął odróżniać melafiry od kwarcowych porfirów, a nadto na zasadzie poczynionych postrzeżeń w Tyrolu, wystąpił jeszcze z teorią tworzenia się dolomitów ze zbitych wapieni przez działanie na nie melafirów.

W historii geologii, Buch zajmować będzie zawsze jedno z najpierwszych miejsc.

W obec działalności Humboldta i Bucha przyczyniali się jeszcze i inni uczeni do postępu nauki jak *Heim, Raumer, Hausmann, Dechen, Nöggerath, Fr. Hoffmann, Alberti, Bronn, K. Naumann, B. Cotta* i t. d.

W Anglii do największych zwolenników Wenera należał *R. Jameson*, który w Edyburgu najgorliwiej zasady jego rozszerzał i w obronie ich występował. Poglądy Wenera o kolejnym układaniu się na sobie skał, zostały natychmiast sprawdzane na utworach osadowych w Anglii, badano je z wielką ścisłością i oznaczano z równą dokładnością za pomocą skamieniałości. *Smith* pojąwszy głównie geologiczną ważność zagrzebanych w ziemi szczątków organicznych, takowych poszukiwał w różnych warstwach i przyszedł do przekonania, że za pomocą skamieniałości, możnaby oznaczać i porządkować osady. Następnie zaczął odróżniać od siebie tak oddzielne formacje jako i ogniwa tychże. Praktyczny ten kierunek geologii przyczynił się bardzo wiele do dalszego rozwoju nauki nie tylko w Anglii, ale i w innych krajach. Odtąd poznawane w Europie warstwy osadowe, zaczęły być porównywane ze zbadanymi osadami w Anglii i od tych ostatnich otrzymywać swe nazwy. W roku 1815

(1) *Physikalische Beschreibung der Kanarischen Inseln. 1825.*

Smith wydał pierwszą kartę geognostyczną całej Anglii, która w r. 1819 pojawiła się w powtórném upiększoném i poprawném odbiciu. Badania geognostyczne objęły naraz prawie całą Anglię, tak iż wkrótce stała się ona krajem najlepiej ze wszystkich poznanym pod względem geologicznym. Do mężów najwięcej zasłużonych w nauce należą: J. *Webster*, W. *Phillips*, W. D. *Conybeare*, J. *Mac-Culloch*, *de la Bèche*, *Buckland*, *Sedgwick* i *Murchison*.

Ostatni badania swoje rozciągnął nietylko do Anglii ale je skierował także do poznania Niemiec, Polski i Rosyji. W r. 1843 zwiedzał *Murchison* z geologiem naszym *Zejzsznerem* *Karpaty*, a zbadawszy północne stoki *Tatrów*, rezultat swój pracy ogłosił następnie drukiem (1). Lecz najznakomitszym ze współczesnych geologów angielskich jest *Karol Lyell*; jego postrzeżenia geognostyczne, a szczególniej nowy zwrot jaki nadał geologii, stanowią jego największą zasługę. Wykazując na wielu przykładach apriorystyczny kierunek, jakiego się jeszcze podówczas geologia nie pozbyła, takowy w niej stanowczo potępił. Poznawszy dokładnie wszystkie przemiany, które obecnie zachodzą na powierzchni ziemi i przyczyny które je sprowadzają, *Lyell* zaczął dowodzić, że tylko te same siły i przyczyny jakie są teraz czynnemi, wpływały także na przekształcenia ziemi w dawniejszych okresach geologicznych, i to w tym samym jak dzisiaj rozmiarze i stosunku. Badania *Lyell'a*, oprócz wielkich dla nauki korzyści zwróciły jeszcze baczność uwagę geologów na terazniejsze zjawiska; z nich wyprowadzane wnioski chociaż odznaczały się jednostronnością, ale prawie zawsze opierały się na zasadach pewnych. *Lyell* przyjąwszy za podstawę przyczyny sprowadzające dzisiejsze zjawiska geologiczne, wyłożył w nader piękny i jasny sposób ciągłe działania wulkanów, osadzanie się skał, powolne przemiany łądów i wyniesienia gór (2).

We Francyi szczególniej rozpowszechniał zasady neptuniczne *Wernera* jego uczeń *d'Aubuisson de Boisin* (3).

(1) Ueber den Gebirgsbau in der Alpen, Apenninen und Karpathen von R. I. *Murchison*, bearbeitet v. *Gustav Leonhard*. Stuttgart 1850, s. 103.

(2) *Principles of Geology* 1831—1832.

(3) *Traité de Géognosie* II t. 1819.

Poczynione wszakże badania w Owernii zmieniły i jego także przekonania co do pochodzenia bazaltów. Po nim był równie czynnym *Brochant de Villiers*, którego postrzeżenia w Alpach Sabaudzkich stały się bardzo użytecznymi dla nauki. *Cuvier* i *Aleks. Brongniart* pierwsi wprowadzili do nauki trzeciorzędowe formacje, zbadawszy osady okolic Paryża (1). Dalej *Beudant*, *C. Prevost*, *d'Archiac*, *Boué*, *Royet*, należą również do pierwszorzędných geologów francuzkich. *Dafrenoy* i *Eligiusz de Beaumont*, położyli wielką zasługę przez zrobienie karty geognostycznój Francyi, dzieła, które wymagało trudzących podróży i bezustannych postrzeżeń. Ostatni wzbogacił jeszcze naukę, swoją teorią wyniesienia łądów, którą ogłosił w r. 1830. Teorią tę dalej rozwijał *F. de Boucheporn*.

Ze znakomitszych geologów w innych krajach zasługują na przytoczenie: w Szwajcaryi *Rennger*, *P. Merian*, *Thurmann*, *Gressly*: zbadali oni formacyą Jurasową; *Lardy* a szczególnie B. *Studer* i A. *Escher von der Linth* poznali Alpy, gdzie znaleźli bardzo wiele osadowych skał przeobrażonych w krystaliczne utwory.

We Włoszech *Sismonda i Pilla*; w Skandynawii głównie *Hisinger*, *Keilhau* i *Forchhammer*.

W Polsce badaniom geognostycznemu poświęcał się najprzód G. *Rzeczyński* (2), później M. *Guettard*, który w r. 1764 ogłosił po francuzku ogólny lecz dokładny opis powierzchni Polski i jej minerałów (3). Dalej *Carosi* urzędujący bardzo długo jako dyrektor górnictwa w Polsce, wydał w latach 1781—1784 dzieło w języku niemieckim, gdzie opisał geognostyczny charakter Małej Polski (4), a następnie *Huquet* w latach 1790—1796 podał opis północnych

(1) *Déscription géologique des environs de Paris*. 2 Ed. 1825.

(2) *Historia naturalis curiosa Poloniae, magniducatus Lithuaniae etc. Sandomieriae* 1721. 4.

Tegoz: *Actuarium hist. nat. regni Poloniae*. Gedani 1742. 4.

(3) *Mémoire sur la nature du terrain de Pologne et des minéraux, qu'il renferme*, zamieszczone w *l'histoire de l'Académie royale de sciences de Paris pour 1762*. Paris 1764. 4. str. 234.

(4) I. Ph. v. *Carosi* *Reisen durch verschiedene polnische Provinzen, mineralogischen und andern Inhalts*. Leipzig 1781—1784, 8, 2 Theile.

Karpat (1). Lecz badania geognostyczne Guettard'a, Carosi i Haquet'a, rozciągały się na małe tylko części kraju i były w takiej epoce wykonane, kiedy geognozya zostawała jeszcze w kolebce. *Stanisław Staszic* pierwszy się odważył z powyższych cząstkowych prac geognostycznych, dopełniając je postrzeżeniami we własnych podróżach zebranymi, wystawić całkowity geognostyczny obraz ziemi ojczyściej. Jakoż w roku 1815 ogłosił on drukiem „O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski.“

Geognozya wszakże dążąc szybko do postępu, zaczęła także inną przybierać postać, a tém samém i dzieło Staszica wkrótce przestało już odpowiadać nowym wymaganiom i stanowisku téj umiejętności.

Jerzy Bogumił Pusch przybywszy w r. 1816 do Polski na prof. Szkoły Górniczej w Kielcach, rozpoczął na nowo rozpoznawać kraj nasz pod względem geognostycznym, odbywając w tym celu przez lat 10 rozliczne podróże. Pusch opierając się na postrzeżeniach własnych i swego przyjaciela Karola Lillienbach'a nad Karpatami wschodnimi, napisał w języku niemieckim: *Krótki Rys Geognostyczny Polski i Karpat Północnych etc.*, którego rękopism spolszczył b. professor Uniwersytetu Warszawskiego A. M. Kitajewski i ogłosił drukiem w Warszawie 1830 r. To samo dzieło tylko po niemiecku i w daleko obszerniejszym od poprzedniego zakresie wydaném zostało później (1833 — 1836) w Stutgardzie (2) i jest jedyném które obejmuje ustrój geognostyczny całej Polski, a chociaż lat 30 upłynęło od jego wydania, nie przestało ono i dzisiaj być podstawą do dalszych tego rodzaju poszukiwań kraju naszego.

Po badaniach Staszica i Puscha, *Ludwik Zeiszner* śledząc rozmaite okolice kraju położył prawdziwą dla nauki zasługę. Z pomiędzy licznych jego geognostycznych rozpraw, wymienimy tylko ważniejsze. W r. 1841 *Zeiszner*

(1) Haquets neueste physikalisch-politische Reisen in den Jahren 1788 bis 1795 durch die Dacischen und Sarmatischen oder nördlichen Karpathen. Nürnberg 1790 bis 1796, 8, 4 Theile.

(2) Geognostische Beschreibung von Polen sowie der übrigen Nordkarpathen-Länder von Georg Gottlieb Pusch. Stuttgart i Tübingen. Część I. 1833. Część II z atlasem geognostycznym. 1836.

ogłosił rozprawę „O formacji Jura nad brzegami Wisły (1)“ w rok później, o geologicznej budowie Tatrów i wzniesień od nich równoległych (Warszawa 1842); w r. 1848 „O formacji Jura w Ciechocinku (2);“ w r. 1849 podał „Opis geologiczny wapienia wezyneowego pod Inwałdem i Rocznami (3)“ a w r. 1862 O miocenicznym gipsach i marglach w południowo-zachodnich stronach Królestwa Polskiego (Warszawa).

Lecz na szybki wzrost i postęp geologii, oprócz badań i postrzeżeń geognostycznych, wpływały jeszcze i badania paleontologiczne. Paleontologia, której ważność wykazywał już *Smith*, wzrastała coraz więcej w znaczenie, stawszy się dzisiaj bardzo ważną pomocniczą nauką dla geologii. Najprzód zostały poznane mięczaki kotliny paryżkiej przez *Lamarck'a*, który porównując je z gatunkami żyjącymi, takowe poznaczał i w odpowiedni ułożył system, nie zwracając wszakże uwagi na miejsca w jakich się znajdują. To zostało dopiero wykazaniem dokładniej przez *Alexandra Brongniart'a*.

Kiedy z coraz większą gorliwością zaczęto zbierać ze wszystkich geologicznych osadów skamieniałości i je opisywać, wtedy wkrótce nagromadziła się znaczna ich ilość. Zwierzęta bezkręgowo poznawano podług formacji w jakich się znajdowały, a nadto dawano jeszcze opisy ich pojedynczych klas. Do opisów podług formacji należą dzieła: *DeFrance'a* i *Deshayes'a*, o skamieniałościach kotliny paryżkiej; *Brocchi*, *Bronna*, i *Philippi*; o skamieniałościach formacji podapenińskiej; *Reuss'a*, o skamieniałościach kredy w Czechach; *Römera*, o skamieniałościach kredy i Jury północnych Niemiec; *Koninck'a*, o skamieniałościach formacji węglowej i t. d. Skamieniałości formacji paleozoicznych zostały z wielką starannością opracowane przez *Hisinger'a*, *Murchison'a*, *Verneil'a* i *Kayserlinga*.

Niemniej licznie wychodzić także zaczęły opisy oddzielnych klas zwierząt bezkręgowych, jak *Ehrenberg'a*,

(1) Rocznik wydziału lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. T. IV. 1841, str. 1—36.

(2) Biblioteka Warszawska. T. 32 z r. 1848 str. 425—432.

(3) Rocznik Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem Jagiellońskim złączonego. T. 4. 1849, str. 238—273.

o wymoczkach; *Milne Edwards'a* o polipach, *Burmeister'a* o trylobitach; *Bucha* o amonitach i ramienionogich mięczakach etc. Następnie powstawały opisy, które obejmowały całe zwrze zwierząt bezkręgowych, jak dzieła *Sowerby*, *Goldfussa*, *Quenstedt'a* etc. Zwierzęta kopalne kręgowie, pierwszy zbadał *Cuvier*, który do oznaczenia ich naukowego przychodził przez porównywanie skamieniałości ze żyjącymi gatunkami. Pracę *Cuvier'a* rozwijali dalej *Goldfuss*, *Bronn*, *Kaup*, *H. v. Meyer*, *Blainville*; *Owen*, etc. *Agassiz* przysłużył się znakomitým dziełem o rybach kopalnych. Rośliny kopalne stały się również przedmiotem ścisłych badań. *Schlotheim'a* a głównie *Sternberg'a* uważać należy za pierwszych, którzy się poświęcili badaniu flory świata pierwotnego. W ich ślady wstąpili później *Lindley* i *Hutton* w Anglii, *Ad. Brongniart* we Francyi, *Göppert* i *Unger* w Niemczech. Nakoniec „*Lethaea geognostica*” wydana przez *Bronn'a* objęła całą paleontologię; szacowne to dzieło bardzo wiele przyczyniło się do rozpowszechnienia nauki.

Flora i fauna polska była także z równą ścisłością badaną przez krajowców i cudzoziemców. Pracom *Andrzejowskiego* i *Zborzezewskiego*, a następnie *Dubois de Montpéreau*, *Eichwald* i *Pusch'a* winniśmy poznanie skamieniałości Podola i Wołynia; *Alth*, *Kner* i *Reuss* opisali skamieniałości osadów kredowych i trzeciorzędowych w Galicyi. *Pusch* zostanie źródłem dla królestwa Polskiego.

Ludwik Zeiszner wykrył bardzo wiele skamieniałości z okolic Krakowa, Bieskidów i Tatrów (1).

(1) *Andrzejowski*: Notice sur quelques coquilles fossiles de Volhynie et Podolie, w dzienniku: Bulletin de la société des naturalistes de Moscou. T. II, 1830, str. 90. T. IV, str. 437.

Dubois de Montpéreau: Conhilogie fossile et aperçu géognostique des formations du plateau Volhynie-Podolien. VIII. Planches et une carte. Berlin 1831.

Eichwald: Naturhistorische Skizze von Lithauen, Wolhynien und Podolien in geognostisch-mineralogischer, botanischer und zoologischer Hinsicht. Wilna 1830.

Eichwald: De pecorum et pachydermorum reliquis fossilibus in Lithuania, Volhynia et Podolia repertis commentatis. Acced. Tab. XIV. Rozprawa zamieszczona w „Nova acta physico-medica Academiae cesareae Leopoldino-Carolinae naturae curiosorum. Tab. XVII, II. Vratislaviae 1835.

W krótkim tym zarysie historycznym geologii pominieliśmy bardzo wiele szczegółów ukazując tylko główniejsze jej postępy. Z przytoczonych jednak przykładów widzieć się już daje, jak nauka nasza coraz więcej zchodziła z błędnej drogi apriorystycznych sądów i wniosków, a wstępowała na grunt pewny wielostronnych badań i postrzeżeń geognostycznych. Po zawziętej walce wulkanistów z neptunistami, geologia olbrzymim zaczyna postępować krokiem, przybywa coraz więcej badaczy, którzy ją pracami swemi wzbogacają bezustannie. Postępy jakie czynią inne nauki przyrodzone, a szczególnie chemia i fizyka, wpływają równie na jej szybki rozwój. Badania chemiczne skał wybuchowych *Bunsen'a* (1), prace *Bischoff'a* (2) a w ostatnich latach (1858—1867) badania mikroskopowe *Sorby* (3), *Zirkla* (4) i *Laspayres'a* (5) wyjaśniają nam bardzo ważną kwestyą pierwotnego pochodzenia i ustroju skał geognostycznych.

Pusch: Ueber ein fossiles Hirsch Geweih aus der Gruppe der Edelhirsche (*Cervus Bresciensis*) aus Lithauen. T. II. fig. 12. Jahrb. f. Mineralogie, Geogn., Geol., und Petref. 1842, 46.

Alth: Geognostisch-paleontologische Beiträge der nächsten Umgebung von Lemberg, w *Heidingera Naturwiss. Abh.* III, 1852.

Kner: Versteinerungen des Kreidemergel von Lemberg und seiner Umgebung, w *Heidingera Naturwissenschaftliche Abhandlungen*. III. 1850. 1—42.

Kner: Neue Beiträge zur Kenntniss der Kreideversteinerungen von Ost-Galizien w *Denkschriften der Kaiserlichen Akademie der Wissenschaften. Mathematisch-naturhistorische Klasse*. T. III, 1853, 293—334.

Reuss: Die Foraminiferen und Entomostraceen des Kreidemergel von Lemberg, str. 17—52. T. 2—6 w *Heidingera: Naturwiss. Abh.* T. IV, 1851.

Pusch: *Polens Paleontologie etc.* mit 16 Tafeln. Stuttgart 1837.

Zeiszner: Nowe lub niedokładnie dotąd opisane gatunki skamieniałości tatrowych. Warszawa 1846.

Zeiszner: Spis systematyczny skamieniałości zwierzęcych i roślinnych, odkrytych w krajach dawniej Polski, według formacyj ułożony, jest zamieszczony w jego dziele: „Geologia do łatwego pojęcia zastosowana.” Kraków 1856.

(1) Ueber die Prozesse der vulkanischen Gesteinsbildungen Island. *Pog. Ann.* t. III, str. 1.

(2) Lehrbuch der chemischen und physikalischen Geologie.

(3) Quarterly Journal of the Geological Society. 1858 Listopad.

(4) Sitzungsberichten der Wiener Akademie 1863, Marzec.

(5) Zeitschrift der Deutschen Geol. Gesellschaft 1864.

Po tém cośmy dotychczas powiedzieli, nasuwa się teraz pytanie: jaki jest ostateczny rezultat wszystkich postrzeżeń geognostycznych, czyli jak objaśnia dzisiejsza geologia tworzenie się ziemi i rozwój na niej organicznego życia.

Znakomity geolog angielski Lyell podał teorią tworzenia się ziemi opartą na zasadzie, że takie same przyczyny i siły, jakie dzisiaj wpływają na przeistaczanie się ziemi, działały także i tylko w tym samym stopniu jak teraz we wszystkich okresach geologicznych. Pierwotny stan naszej ziemi uważa Lyell za niezbadany akt stworzenia. Przyjmuje dalej, że potrzeba było niezmiernie długiego czasu, zanim zdołały obecnie działające siły, przemienić stan pierwotny ziemi na terażniejszy. Wynecienia lub opuszczenia się łądów, jakie sprowadzają po dziś dzień wulkaniczne działania, potrzebowały się po tysiąckroć powtarzać, zanim się stopniowo potworzyły wysokie łańcuchy gór, lub obniżyły znaczne przestrzenie łądów.

Skąły dzieli Lyell na neptuniczne, wulkaniczne, plutoniczne i metamorficzne, i uważa że wszystkie powstają jeszcze teraz; lecz neptuniczne i wulkaniczne w naszych oczach, plutoniczne zaś i metamorficzne w znacznych głębokościach ziemi i przy wysokim ciśnieniu. Lyell nie przyjmując podczas rozwoju naszej ziemi żadnych wielkich geologicznych katastrof, jest także zdania, że i życie organiczne było już w samym początku doskonałe, a tylko od terażniejszego zbaczało. Lyell wystąpił też przeciwko teorii *Lamarck'a*, postępowego rozwoju życia organicznego. Zasady Lyella wywołały przeciwko sobie wiele słusznych zarzutów. Jeżeli teoria tworzenia się ziemi podług Lyell'a, może się tylko na niej samój ograniczać i opierać na dostrzeżonych rzeczywistych faktach, a do czego tylko powierzchnia ziemi jest nam dostępną, to i wtedy natrafiamy na zjawiska, które także przyjąć musimy jako rezultat wszystkich przekształceń, jakich ziemia doznała w dawniejszych epokach. Prawda, że dokładne badanie terażniejszości może nam wiele ułatwić wyjaśnianie owego rezultatu, ale nie powinniśmy także i o tém zapominać, że tylko z działań sądzić możemy o przyczynach. Jeżeli więc chcemy poznać przyczyny, które sprowadziły różne przeistoczenia naszej ziemi, to powinniśmy

działania tych przyczyn śledzić we wszystkich okresach, ale nie uważać czasu teraźniejszego za skalę i wzór dla całej przeszłości. Obecne działania mogą nas tylko pouczać, o ile w przeszłości działające przyczyny były podobne do teraźniejszych lub przeciwnie. Działania właśnie obecne pokazały nam, że przyczyny działające w dawniejszych czasach, występowały silniej jak teraz, a badania i postrzeżenia paleontologiczne przekonały, że organizmy na ziemi rozwijały się stopniowo. Obecnie, jak wiadomo, Lyell przyjął całkowicie teorię Darwin'a o powstawaniu gatunków (1).

Teorya tworzenia się ziemi, której zasady znaczna większość dzisiejszych geologów uznaje, nie nosi żadnego imienia i nazwy, gdyż powstała ona ze zbiorowej pracy różnych uczonych, jest tylko ostatecznym rezultatem wszystkich znanych postrzeżeń geognostycznych.

Następujące fakta, jak stopniowe powiększanie się temperatury pod powierzchnią ziemi, wytryskające z jej łona gorące źródła, wybuchy ognisto-płynnych law czynnych wulkanów, pozwalają nam wnosić, że pod twardą skorupą ziemi, pozostała jej masa znajduje się w stanie płynnym. Inne znowu fakta jak teraźniejszy kształt ziemi, który mógł tylko powstać przez obracanie się z odpowiednią prędkością płynnej kuli około swej osi, jak krystaliczny ustrój pewnej części skał i podobieństwo ich do law, prowadzą nas do wniosku, że był czas, kiedy cała masa ziemi znajdowała się w stanie płynnym. Niektórzy geolodzy posuwają się jeszcze dalej ze swemi wnioskami przyjmując teorię *Laplace'a* o powstaniu ziemi, która utrzymuje że ziemia tworzyła gazową kulę i dopiero przez powolne zgęszczenie przeszła w stan ognisto-płynny; lecz teorya która wypływa z samych postrzeżeń geognostycznych, uważa początek ziemi tylko w jej ognisto-płynnym stanie. Opierając się na tej podstawie, skreśla ona następujący obraz rozwoju ziemi.

Ognisto-płynna ziemia obracając się bezustannie przybierała kształt spłaszczonej przy biegunach kuli, części jej ciekłe układały się stosownie do swego ciężaru; woda i niektóre z ciał obecnie stałych unosiły się nad ową kulą w po-

(1) Philosophie der Geologie etc. von Dr. H. Vogelsang. Bonn 1867. str. 106.

staci pary i tworzyły jęj atmosferę. Następnie ziemia przez ciągłą utratę swego ciepłika stawała się coraz zimniejszą, na powierzchni zatęm jęj płynnej masy powstawać zaczęła *twarda skorupa*: było to pierwsze tworzenie się skał. Lecz pierwotna skorupa ziemi, musiała być od ciągłego ruchu znajdującęj się pod nią ognisto-płynnej masy, wielokrotnie popeknaną i połamaną, posiadała różnego rodzaju wielkości otwory i szczeliny. Przez otwory te i szczeliny zawarte w łonie ziemi płynne masy wydobywając się na zewnątrz, zastygały na jęj powierzchni. Były to pierwsze *skaly wybuchowe*, których tworzenie się w różnych miejscach i czasie trwało ciągle aż do teraz.

Drugie stadyum ostygania ziemi odznacza się powstaniem na jęj powierzchni wody, która pod ciśnieniem gęstszej atmosfery jak dzisiejsza, tworzyła się przy stosunkowo wyższej temperaturze aniżeli obecny jęj punkt wrzenia. Wówczas wystąpiła po raz pierwszy geologiczna działalność wód sprowadzająca różne roztwory, mechaniczne pokruszenia skał, różne na rozmaitych miejscach osady. Nowy ten geologiczny silnik peryodycznie zmieniając swe miejsca przez wyniesienia oraz zapadania lądów, działał także bezustannie aż do obecnych czasów; jego głównym utworem stały się najrozmaitszego rodzaju i wieku *skaly osadowe*.

Trzecie stadyum ostygania odznacza się rozwojem życia organicznego na ziemi. Ze skamieniałości roślinnych i zwierzęcych zawartych w pokładach osadowych, pokazuje się cały szereg organizmów: poczynając od niższych w osadach najstarszych, do coraz wyższych form w osadach nowszych, gdzie widzimy coraz większą rozmaitość w ukształceniu i organizacyi.

Czwarte stadyum ostygania zdaje się wtedy przypadać, kiedy się zaczęły stopniowo tworzyć na ziemi pasy klimatyczne i pojawiać się na jęj powierzchni lody.

We wszystkich powyższych okresach, geologiczne działania stosować się musiały do istniejących okoliczności, które zmieniały się ciągle a mianowicie:

1. Przez ogólne zmniejszenie się temperatury.
2. Przez rozrzedzenie się atmosfery, która tlen, wodór, węgiel, chlor i t. d., oddawała wodzie i stwardniałęj skorupie ziemskiej.

3. Przez powstawanie coraz nowszych geologicznych utworów i ogólnych przemian, które konieczne znowu sprowadzić musiały coraz większą różnorodność w budowie i ukształtowaniu ziemi.

Lecz zmieniające się okoliczności wpływały zarazem i na ciągłe zmienianie się organicznych form.

Niewątpliwym jest faktem, że organiczne życie zawsze było i jest zależnym od nieorganicznego świata, do którego się stosuje i ściśle z nim łączy. Gdy zatem organiczne życie pojawiło się po raz pierwszy na ziemi, było ono w formach najprostszych i dopiero od tych do coraz doskonalszych postępując, wydało nakoniec tę całą różnorodność organizmów, jakie obecnie znamy. Jeżeli przyjmiemy zasady sławnej teorii Darwina, o powstawaniu gatunków, to rozwój życia organicznego na ziemi, wyrażał się nie tylko przez powiększanie się liczby różnych form, czyli powstawanie nowych gatunków, ale także i przez powstawanie coraz wyższych organizmów.

Każda w jakimkolwiek organizmie spowodowana zmiana, wywoływała w nim później inne.

Wszystkie przekształcenia organizmów osiągały pewnych stadij, odpowiadających najlepiej warunkom w jakich się znajdowały; indywidua takie w ciągu wielu pokoleń i bardzo długiego okresu, pozostawały bez żadnej zmiany. Te właśnie rozmaite, lecz stałe formy, wydały gatunki, które się odróżniały między sobą dziedzicznymi przymiotami, wprawdzie utrzymującami się nie wiecznie, ale jednak przez bardzo długi okres; formy zaś przejściowe stosunkowo prędko znikają z widowni świata. Według tego organiczne gatunki wyrażały tylko odpowiednie do zewnętrznych okoliczności stadya rozwoju. Stosowność ich organizacyi, mogła być zarówno celem, jak i koniecznym ich bytu warunkiem; według Darwina jestto ostatnie. Wszystkie gatunki, które powstawały z jednego, zbliżały się do siebie większym podobieństwem, jak te, które się z przekształcenia dwóch gatunków rozwinęły.

Lecz tak jedno jako i drugie zwracają nas do jednego, im wszystkim wspólnego początku, do pierwszej organicznej komórki, z której się potworzyły wszystkie oddzielne formy w niezmiernym zakresie czasu. Cały zatem ów zadziwia-

jący układ życia organicznego i jego stopniowanie, co obecnie wyrażamy przez państwa, klasy, rządy, rodzaje, gatunki i odmiany, wynikły z ciągłego przekształcania się form. Taki nam rozwój życia organicznego podaje teoria Darwina.

Żadna teoria nie może lepiej harmonizować z faktami geologicznymi jak Darwina, jej też zasady znajdują potwierdzenie w geologii: zobaczymy to bliżej.

Szczałki organiczne, czyli skamieniałości, jakie znajdujemy w osadowych warstwach, są rozmaite w niejednakowego wieku osadach, nie zupełnie zaś jednakowe w pokładach jednoczesnych. Fakt ostatni dozwala nam wnosić, że flora i fauna były już we wszystkich peryodach geologicznych na rozmaitych miejscach ziemi nieco od siebie różne, naturalnie początkowo w mniejszym, później zaś w większym stopniu. Ta ciągła we wszystkich periodach zmienność form, ściśle się też łączy z nauką Darwina, który nie przyjmuje konieczności, ażeby każdy gatunek miał być jestestwem oddzielnie stwarzanem.

Porównywając znowu ze sobą wszystkie z niejednoczesnych osadów pochodzące skamieniałości, widzimy dwa szeregi rozwoju: jeden przedstawia organizacje postępujące od coraz niższych do wyższych; drugi obejmuje formy, które z samego początku od terażniejszych bardzo zbaczą, lecz później są one coraz więcej do nich zbliżonemi. Naturalnie, że tutaj różnorodność form zwiększała się ciągle; to wszystko również zgadza się z teorią Darwina.

Prawda, że według dotychczasowych postrzeżeń, postępujący ów rozwój życia od coraz niższych do wyższych organizmów, od wodorosli do dębu, od zwierzokrzewów do zwierząt ssących i człowieka, nie jest zupełnie doskonały, jednostajny i nieprzerwany, ale w głównych swych zarysach jest on prawdziwy. Obok wyższych organizmów, istniały ciągle niższe lub się rozwijały nowym sposobem.

Kopalne szczątki człowieka poznane dopiero do pliocenicznego okresu. Kości zwierząt ssących znajdują się bardzo często w osadach trzeciorzędowych, niżej zaś tych osadów występują one coraz rzadziej, a najstarsze ich ślady i to bardzo niskiej organizacyi, widzimy w okresie triasowym. Płazy pojedynczo znajdują się aż do osadów Dewońskich

włącznie. Ryby pojawiają się w spodnich sylurycznych osadach, lecz dotąd nie znaleziono ich jeszcze w najstarszych warstwach osadowych formacji; w Kambryjskich bowiem osadach znajdowano w ogóle niewyraźne skamieniałości a między nimi żadnej ze zwierząt kręgowych. Stały ten a wiekowi osadów odpowiadający ubytek wyższych organizmów, co się także odnosi i do państwa roślinnego, niepodobna uważać za przypadkowy. Byłoby rzeczywiście dziwnym, gdybyśmy chcieli utrzymywać, że skoro osady starsze mieszczą w sobie wielkie bogactwo skamieniałych szczątków niższej organizacyi, to przypadkowym jest tylko zdarzeniem, że w nich dotąd nie znaleziono szczątków wyższej organizacyi. Albo gdybyśmy znowu sądzili, że nie ma także żadnego powodu, dla któregoby szczątki wyższej organizacyi nie mogły się równie dobrze przechowywać w osadach starszych jak i w młodszych, kiedy te ostatnie wcale się nie odznaczają od pierwszych, ogólnie większym bogactwem skamieniałości. Lecz przypuszczenia te upadają, gdy wnioski więcej z faktów wypływać będą, czyli jak przyjmiemy, że w peryodach najstarszych, których poznaliśmy osady, istniały tylko zwierzęta bezkręgowce, i w nich dopiero zwolna pojawiać się zaczynały ryby, płazy i ssące zwierzęta. Wreszcie powyższy wniosek postępowego rozwoju, obok wielu innych faktów stwierdza jeszcze i ten, że prawie ze wszystkich klas królestwa zwierząt i roślin, formy stosunkowo niższe, występują geologicznie najprzód, wyżej zaś organizowane pojawiają się dopiero później. Szczególnie stwierdzonem to zostało co do ryb, głowonożnych mięczaków i owadów. Wprawdzie niekiedy pokazują się pojedyncze przykłady cofania się organizacyi, lecz i ten wypadek w zupełnej pozostaje zgodzie z teorią Darwina, która przyjmuje, że tylko dla ogółu organizmów, postęp do coraz wyższego i doskonalszego, jest koniecznym ich istnienia następstwem.

Przy geologicznem rozpatrywaniu teoryi Darwina, mimowolnie przychodzi na myśl pytanie: czy podobne przekształcenia i rozwój, jakie miały miejsce w państwie jestestw organizowanych, nie zachodzą i w państwie mineralnem? czy teorya ta z pewnemi modyfikacyami nie daje się także zastosować do minerałów i skał?

Minerały, jak wiadomo nie rozmnażają się podobnie organizmom z zarodków i nasion, ale powstają wszędzie

z pierwiastków, których do swego składu potrzebują i gdziekolwiek się do tego znajdują odpowiednie warunki. Wszelki zatem rozwój oparty na rozmnażaniu się, zupełnie jest minerałom nie właściwy. Lecz wiadomo, że różnaitość okoliczności i działań podczas całego rozwoju ziemi, bezustannie się zwiększała, a przez to niewątpliwie wzrastała także i liczba gatunków mineralnych. I tak, były pewne minerały i skały, których tworzenie się było w zawieszeniu przez cały czas, dopóki temperatura ziemi przechodziła pewien stopień ciepła; były równie i takie, które się tworzyć wcześniej nie mogły, zanim nie powstała woda na ziemi; nakoniec tworzenie się innych wymagało istnienia roślin i zwierząt. Powstawanie znowu niektórych skał, wymagało również odpowiednich warunków a mianowicie: plutoniczne skały nie mogły wcześniej powstawać, zanim skorupa ziemska nie posiadała należytej grubości; skały zaś najstarsze wulkaniczne prawdopodobnie przy innych się warunkach tworzyły, i pod ciśnieniem gęstszej zastęgały atmosfery, jak dzisiejsza. Widzimy zatem, że z upływem czasu wzrastała liczba gatunków minerałów oraz skał, i nie było jeszcze wypadku, ażeby raz powstały sposób tworzenia się minerałów później zaginał; nie znamy ani jednego takiego minerału lub skały, o których moglibyśmy powiedzieć, że one powstały tylko w jednym wyłącznie geologicznym peryodzie.

Nakoniec porównyując minerały z organizmami wykazuje się, że w pierwszych, różnice kształtów pozostają w najściślejszym związku z istotą ich pierwiastków, czego w organizmach nie ma wcale, i że osobniki mineralne nie umierają jak zwierzęta lub rośliny, lecz od zewnętrznych wpływów ulegają rozkładowi lub przeobrażeniom.

Teorya przeto Darwina wyłącznie odnosić się może do organizmów, bez żadnego jej do tworów mineralnych zastosowania. Lecz teorya ta ściśle biorąc, jest tylko zastosowaniem do życia organicznego powszechnego prawa, że *rozmaitość powiększa się ze wzrostem wpływów*, prawa, które się już zarówno odnieść daje do wszechświata, do tworzenia się nieorganicznej ziemi jak i do rozwoju organicznego, a nawet i duchowego życia.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Stan sił materialnych i sił moralnych Francji.—Kurs ekonomii politycznej Michala Chevalier.—„Sceptvey” dramat p. Mallefille.—„Madame Desroches” komedya p. Laya — „Didier” dramat p. Berton — „Fanchonette” opera Clapissona. „Petrarka” studyum profesora Mezières, wedle nowych dokumentów.—„Pawel Forestier” cztero aktowa komedya wierszem, Ewila Angier. — Wiadomości literackie.

Professorowie, ludzie poświęcający całe swoje istnienie dla dobra bliźnich, lekceważeni, musieli téj srogiéj zimy zebrać pomocy ministra, bo inaczej byłiby pomarli z zimna i głodu. Smutna ich dola w téj przepysznój stolicy! Professor młody i silny, pracuje bez wytchnienia: daje lekcyje w dzień i wieczór, wykłada prócz obowiązkowych, kursa bezpłatne dla wyrobników; daje całą moc swoją i zdrowie, a w zamian niema tyle, żeby mógł utrzymać rodzinę. Żyje ona w niedostatku i prywacyach wszelkiego rodzaju. Inny, zużyty pracą, niema zwykle innéj nagrody prócz przedwczesnéj starości i pozbawienia wszelkiéj uznośniąjącej ją osłody. Ten, stracił wzrok ucząc czytać i pisać trzy pokolenia; ów, zniedołężniał na professorskiém krześle... Nic to nie znaczy! Stary czy młody professor, widzi się zmuszony do poniżającego żądania wsparcia od swoich przełożonych.

Cóż z takich faktów wnosić? Oto, że bogata Francya jest niewdzięczną córą nie umiejącą cenić ani wartości nauczania, ani wartości obywateli poświęcających się temu niewdzięcznemu zawodowi. Dwie podwaliny siły kraju, kornienie i soki drzewa narodu: rolnictwo i nauczanie publiczne,

są zaniedbane, opuszczone, dla liści i kwiatów, jakby one trwać długo mogły bez korzeni i bez soków.

Minister oświecenia nie wiele może pomódz zebrzącym professorom; boleje, uznaje słusność żądań, ale kassa jego zawsze próżna, nie dozwala mu być sprawiedliwym. Dla spokoju, dla uciszenia krzyków, daje sto, czasem pięćdziesiąt franków... i jeszcze za szczęśliwego się uważa, kto takie wsparcie otrzyma.

Taka nędza obok takiego bogactwa i rozrzutności! Nie jestże to stan smutny? Rzekłbyś, że Francya zapomniała, iż wielkość człowieka stanowi jego umysłowa i moralna wartość; że odwraca oczy od potęgi naszego wieku, potęgi stworzonej przez naukę, jój zastosowania, a mianowicie przez jego ducha. Rzekłbyś, że postęp znudzony szybszym tu niż gdzieindziej pochodem, zatrzymał się we Francyi. Depczą teraz Francuzi potęgę umysłową, nie chcą myśleć, powracają do wieków średnich: prawa mocniejszego i popierania roszczeń teokracji...

A jednak, tak jest. Niema pieniędzy na utrzymanie siły umysłowej Francyi; niema pieniędzy na wyżywienie ludzi myślących, niema chleba dla przybranych synów Francyi Arabów, których ostatniego półrocza *sto tysięcy* z głodu wymarło.

Jeżeli rozkład budżetu jest miarą inteligencji kraju, to o Francyi można z niego powziąć smutne wyobrażenie. Na 1,524,000,000 dochodu rocznego (budżet zwykły przyznany) *połowa* jest pochłonięta przez procenta od długów, pożyczek i dotacyi, przez spłaty i restytucye. Z tego co zostaje do rozporządzenia, *połowa* (361,325,000 franków, blisko milion dziennie) przysądzona wojsku jako *budżet zwykły*.

Administracya któraby powinna być najlepiej żywiona, ponieważ ona stanowi prawdziwą wartość kraju; ta która obejmuje nauki i piśmiennictwo, wydziały, akademie, szkoły wszelkie; ta która powinna dawać miarę strony intelektualnej Francyi, zaledwie ma sobie przyznane *dziewiętnaście* milionów!

Francuzi poświęcają *sztuce zniszczenia* nie cztery razy, nie dziesięć razy więcej niż *oświacie ludu*—ale *dziewiętnaście* razy więcej! A wedle nowego prawa wojskowego, stosunek będzie jeszcze daleko więcej rażący.

Oto jak teraz postęp rozumieją we Francji. Nauczyciel publiczny ma w porównaniu płacę mularskiego czeladnika. Minister oświecenia otrzymuje 19 milionów na wszelkie potrzeby, miasto Paryż ma 245 milionów na drobne uciechy.

Pan Michał Chevalier rozpoczął swój wykład Ekonomii Politycznej we francuzkiem collegium. Jestto lekcya profesorska gromadząca obecnie najwięcej słuchaczy. Duch tego kursu swobodny i całkiem pokojowy. Professor Ekonomii Politycznej musi z urzędu chwalić korzyści pokoju, musi go pragnąć, polecać, bo pokój jest koniecznie potrzebny rozwojowi pomyślności społecznej i postępowi przemysłu. Pozostaje na polu swojej nauki, kiedy uważa wojnę jako najopłakanszą dolę społeczeństwa. Wielkie już czyni ustępstwo, jeżeli przyzna, że czasami wojna bywa fatalną koniecznością, do której ludy cywilizowane mogą być zmuszone.

Pan Chevalier mówi w tym sensie. Wykładał najpierw korzyści bogactwa, mówił o obowiązku jaki mają ludy nabywania takowego pod karą spadania z drabiny narodów, pod karą bezwładności, pod karą śmierci... Bogactwo, owoc wolnej pracy ludności; następstwo oszczędności, która każe się domyślać życia dobrze rozporządzonego; bogactwo, potężna dźwignia którą człowiek wedle swojej woli, będącej właściwością jego natury, może czynić źle lub dobrze; zgubne skutki niemoralnego użycia bogactw; przypomnienie sposobów przez jakie złe skłonności mogą być powstrzymane—wszystko to wchodzi w ramy wykładu pana Chevalier. Nie są to zapewne przedmioty nowe, ale je professor odmłodnił jasnością formuł swoich i trafnością porównań.

„Moralna higiena społeczności, jeżeli stoi na dobrzej stopie, bardzo skutecznie działa na powstrzymanie nadużyć bogactwa i jego gorszących uzurpacyi. Z tego punktu widzenia, religia i filozofia, te dwie kierownice dusz, mogą wyrzucić wpływ nieprzeparty. Inna prezerwatywa zostająca w ścisłym związku z powyższemi dwiema siłami społecznymi, zasadza się na czynności opinii publicznej. Jestto rodzaj trybunału, który u narodów energicznych a zdrowych, wydaje w razie potrzeby wyroki zbawienne, przed którymi każdy się skłoni, bo niema gdzie appellować. Jest to prawo-

dawca zastępujący korzystnie władze ukonstytuowane państwa. Opinia publiczna powinna opierać się na moralności publicznej i być jej rękojmnią.

„Dlatego to, skoro rozumujemy o naukach społecznych, ustawicznie musimy powracać do tego aksjomatu podstawowego, iż ażeby naród kwitnął, żeby w nim co dobre się nie popsuło, a co najlepsze nie stało się plagą; żeby społeczność nie znała omdlenia z którego czasami dotrzeźwić jej się nie można: trzeba opinii publicznej, silnej, zdrowej, oświeconej, zawsze walecznej, czasami bardzo surowej.

W teatrze Cluny przedstawiają dramat cztero-aktowy pana Mallefille, który, jakkolwiek daleki od doskonałości, dotąd stoi w rzędzie najznakomitszych utworów scenicznych tego roku. Tytuł sztuki: „*Les Sceptiques*.” Pierwszą wadą tego dramatu jest właśnie ten nagłówek źle rzecz określający; ruchomy jak chorągiewka na dachu.

Sceptycyzm nie zawsze jest przywarą umysłu lub serca, jak tego autor chce dowieść. Powątpiewanie można łatwo zrehabilitować i rozgrzeszyć: nie jest-że ono fermentem i ostrogą człowieka? Bez niej ludzie jeszczeby czcili węże i bałwany. Sceptycyzm demaskuje kłamstwa, wykazuje niedorzeczności, wypędza szczury z pustej głowy bożyszcza. „Que sais-je?” „Peut-être!” to słowa czarodziejskie, które z poszukiwania w odkrycie, z pytania w odpowiedź pędząc człowieka, odnowiły postać ziemi. Sceptycyzm jest kamieniem probierczym prawdy, i ona jedna go się nie boi. Coby się stało z filozofią, gdzieby stała nauka bez tego olbrzymiego znaku zapytania, który je wciąż naprzód posuwa, ustawicznie przed niemi się cofając?

Niestuszną rzeczą stosować do negacyi miłości, do pogardy obowiązku i rodziny tę nazwę, wsławioną przez tylu wielkich ludzi.

Ale sceptycyzm wzięty nawet w jego złém znaczeniu, jeszcze niedokładnie charakteryzuje osoby dramatu pana Mallefille, które, jak obaczycie, udają tylko że wątpią i z nieposiadanych przywar się chełpią.

Zbyt to wiele zaszczytu dla bankiera Landuret, nazywając go sceptykiem. Próżny ten dorobkowiec, jest przeciwnie

wszeczhronnie omamiony: wierzy w żonę która go oszukuje; w jęj kochanków, których ma za swoich najlepszych przyjaćiół, i w jasnowidzące, których się o kurs renty radzi.

Nie jest także sceptykiem pan Lionel, były wielbiciel bankierowej. Jezeli już jęj nie kocha, to dowod, że wytrzeźwiał z nizkiego upojenia. Zresztą zakochał się natychmiast w pannie Biance, dziewczynie godnej miłości. Prawda że Lionel wąpi chwilę o jęj przymiotach, ale brak zaufania nie znaczy zwątpienia położonego za zasadę.

Na pierwszy rzut oka, stary hrabia Apremont lepiej usprawiedliwia przylepioną na sobie przez autora nazwę. Jestto dyplomata starej szkoły, wyszły z kancelaryi Metternicha, która była rzeczywiście straszliwą szkołą sceptycyzmu czynnego. Pan hrabia grywał w gry hazardowne z ludźmi i z wypadkami... Czy podobna uwierzyć w zasady owęj gry, kiedy się widziało spód owych kart? Pan hrabia miał wolne wejście za kulisy wielkiej komedyi ludzkiej, jakże zachować złudzenie widoku, skoro go się widziało z tego stanowiska? Czasami można jeszcze spotkać kćórego z takich patryarchów doświadczenie ich streszcza się w szyderyczym uśmiechu; nie ich nie wzrusza, nie nie dziwi: wzgardę zużyli w ciągłym użyciu. Pobłażanie ich nie moralne, wszystko tłumaczy, bo wszystko pojmuje. Mają oni wdzięk politurowanego samolubstwa, uprzejmość obojętności, zepsucie ich nawet wytworzone, jak rozłożone pachnidło.

Hrabia Apremont wydaje się portretem takich Mefistofelesów. W sześćdziesięciu leciach wszedł w powtórne śluby z panną Pauliną dziewiętnastoletnią guwernantką. Zabrawszy ją na prowincyą, starzeje spokojuie w rodzinnym pałacu, przeżuwając wspomnienia, tłumacząc Horacyusza, patrząc zdaleka na nową społeczność i szydząc z nięj, z uśmiechem czarta, który na starość został pustelnikiem.

Na nieszczęście, pewnego pięknego poranku hrabia dowiaduje się, że jego młoda żona miała kochanka, a prawdopodobnie ma go dotychczas... Smutne odkrycie niweczy bożostan hrabiego. Stary grzesznik przemienia się nagle w oburzonego moralistę: deklamuje przeciwko przeniewierstwu, powołuje się na wiarę małżeńską, wymaga poszanowania starości, przywołuje na pomoc obowiązki, powinność,

świętość, wszystkie penaty i wszystkie bogi domowego ogniska.

Rzeczy takie dziwnie się wydają w ustach tego dyplomaty wychowanego wedle *najlepszych* tradycji. Nigdyby sceptyk osiemnasto-wieczny nie zrobił podobnego skandalu. W świecie, z którym Apremont związany, miano za zasadę *nie mieć żadnej*. Nikt tam tragicznie nie brał tego rodzaju nieszczęścia, zazdrość głośna była śmieszną. Za bardzo rozumnego i wzorowego uchodził ów wielki pan dobrze nam z dziejów znany, który raz zszedłszy żonę na występnej rozmowie, powiedział jęj tylko: „Grondez vos gens qui ne m'ont pas annoncé, madame; ce pouvait être un autre que moi.”

Pozostaje naczelny sceptyk *Sceptyków*, książę Ryszard de Villeteuse. Ten też zdaje się z pozoru ostro kuty na lodzie zupełnej niewiary. Policzkuje uczucie, szydzi z miłości, bezwstydną ręką rozbiera złudzenia. Którędy przejdzie ten burzyciel sumienia, niebieskie kwiatki ideału nie porosną, kamienieją serca, łyzy wysychają. Tak słuchacz z mowy księcia wnosi. Ale uczynki fałsz zadają słowom. Obaczmy działania tego sceptyka. Onto uwiódł guwernantkę Paulinę, a potem porzucił. Postępek ten, któryby rzeczywistego sceptyka snu nie pozbawił, jego nabawia strasznych wyrzutów sumienia. Spotkawszy swoją ofiarę hrabiną Apremont, na nowo się w nią zakochał. Ze spuszczoną głową słucha wyrzutów Pauliny, a skoro ją drugi raz skompromitował schadzka, która miała być ostatniem pożegnaniem, zabija się u nóg obrażonej pary małżonków.

Jakże postąpi *Wiara*, jeżeli to jest czyn *Zwątpienia*? Jakże wierzyć w sceptycyzm człowieka, który dla odpokutowania błędu młodości w łeb sobie pali?

Jak widzicie, sceptycy w sztuce p. Mallefille są tylko na afiszu. Ale gorące technienie które w tym dramacie wieje, jak suche liście porywa krytyczne zarzuty. Autor jest pełen młodzieńczego ognia, słowa jego znaczące, a myśl niejedna wzniosła. Gorycz jego zdrowa. Piotr Froment, moralista sztuki, podnieca zapał ku dobremu i miłość obowiązku. Scen ślicznych jest parę, między innymi ta, w której Paulina zostawszy sam na sam z uwodzicielem, pogardą swoją go piorunuje.

Sceptycy zyskali niepospolite i zasłużone powodzenie. Sztuka warta francuzkiego teatru do którego przyjętą nie została. Dano pierwszeństwo nędznej komedyjce pan Laya, pod tytułem *Madame Desroches*. Pani Desroches w teatrze Moliëra, a *Sceptycy* w małym teatrzyku Cluny... to świat dramatyczny przewrócony do góry nogami!

Nie oczekiwano od pana Laya arcydzieła: wiadomo co dają światu góry w połogu. Ale zawód pokazał się większy niż przewidzenia: sztuka którą po półrocznym przygotowaniu urodziła pierwsza scena paryzka, nie żyłaby tygodnia w *rozmaitościach*.

Pierwszy akt wygląda jak mylny adres dany publiczności. Komedia ma się odgrywać w domu Desrochów, a słuchacze przez godzinę mniemają, że salon hrabiny Villers jest jój dramatycznym zamieszkaniem.

Ta hrabina Villers, która od drugiego aktu staje się podrzędną figurą, w pierwszym występuje niby rodzaj pani Aubray, zajęta wystawą pojęć swoich o wychowaniu panien. Córkę swoją Biankę wychowała, jak mówi „w kulcie uczucia” i postanawia zostawić ją panią własnego serca i ręki. Bianka odmyka na pół serduszko i pokazuje się, że całe zajęte. Dziewczę zauważało jakiegoś malarza, pełnego cnót wszelakich i ułożyło sobie, że będzie żoną pana Enault. Publiczność rada téż była poznać tego doskonałego młodzieńca o którym tyle dobrego słyszy, ale przez skromność czy obawę niedorównania swéj sławie, pan Enault na scenie wcale się nie pokazuje. Owo arcydzieło szkoły francuzkiéj, otrzymuje wszystkie medale nie będąc na Wystawie. Nawet kiedy w końcu sztuki żeni się z Bianką, skromnie za drzwiami pozostaje.

Cóżkolwiekbydz, hrabina Villers wierna swoim zasadom, przyjmuje narzeczonego którego sobie Bianka wybrała. Bogaty Anglik dostał odkosza. Ale Bianka ma przyjaciółkę, której mąż taki mógłby przypaść do smaku. Posyłają więc swatów do pani Desroches z prośbą o rękę córki dla tego biednego milionera, którego ożenić tak trudno.

Pani Desroches jest żywą antytezą hrabiny Villers— jednak, dla wykazania téj sprzeczności, jeden akt cały wydaje nam się zbyt dużo. Nieznośną jest ta jejmość sucha, kwaśna, kłótniwa i chciwa. Rządzi w domu samowładnie; za-

matowała męża; ciemieży nielitościwie swoją córkę Ludwikę, ładne dziewczątko, które przy takiej matce wegetuje blade, jak fiołek pod liściem potężnego łopianu. Jest to portret z natury malowany, ale jakże odrażający. Brak serca i delikatności spycha ją z dostojeństwa matki, nadanego przez komedię. Lordowski zamiar spokrewnienia się z takim domem, tém więcej razi. Sądzicie może, że pani Desroches olśnioną się czuje świetnością zięcia? Przeciwnie: szykanuje go, każe sobie pokazywać stan majątku, zanim dobiją targu.

Skończywszy interes, matka uwiadamia o tém córkę. Ludwika oburza się skrycie przeciw nieznanemu mężowi, ale tak przywykła słuchać matki, że głośno nie śmie protestować.

Na szczęście ojciec chrzestny Ludwiki, admirał Rozay, znajduje się przypadkiem w domu i otrzymuje zwierzenie dziewczęcia. Stary marynarz kocha ją jak córkę, ona żywiej go miłuje; wyznanie téj miłości w jej spowiedzi przebiła; admirał udaje że nie rozumie: ma lat pięćdziesiąt, a Ludwika dwadzieścia, ale skoro matka odpycha brutalnie uwagi o niestosowności małżeństwa z nieznanym lordem; skoro obwinia Ludwikę o jakąś skrytą intrygę; skoro chce gwałtem otworzyć tekę w której dziewczę pamiętnik swój pisze: admirał chroniąc ją od gwałtu, woła: „Ludwiko! czy chcesz iść za mnie?”

Piękny ten i niespodziany wykrzyknik, na chwilę ożywia sztukę, ale to tylko chwila. Komedia wnet zapada w nicość i niepodobieństwo. Cóż znaczy oburzenie matki w tym razie? Jakże, jeżeli cała życiem praktyczną zajęta, nie widzi, że admirał wielki zaszczyt jej czyni, żeniąc się z jej córką? Czegóż żąda? dopiero targowała się o para Anglii, teraz nie chce francuzkiego admirała.

Czwarty akt całkiem niepotrzebny. Po czteromiesięcznej nieobecności, Ludwika wraca z Wenecyi, gdzie jeździła z panią Villers. Admirał wraca z wyprawy z urojeniem, że Ludwika już go nie kocha. Jęj znowu się zdaje, że ją admirał przestał kochać. Nieporozumienie sentymentalne okropnie zimne. Nareszcie się godzą. Chodzi już tylko o zezwolenie nieubłaganiej matki. Ani prośby, ani rozumowania nic nie pomagają; aż Ludwika wydobywa z podróznego worka bransoletkę koralową, kładzie ją matce na

rękę, a ten podarek działa na nią jak talizman: macocha topnieje w miłości macierzyńskiej. Nigdy żaden święty różaniec podobnego cudu nie dokazał.

Tak na sentymentalnej fraszce kończy się ta napszysza komedia, podobna do kazania lub adwokackiej obrony. Akcją zastąpiono rozumowaniem; wszystko tu blade, miękkie i słabe: osoby, położenia i dialogi. Admirał tylko po słodkiej wodzie żegluje; Ludwika ze swoją albumową począł wchodzić w poczet niepojętych pensyonarek. Jedyne charakter, pani Desroches, nagle się zmienia: była to tylko pozorna skała, z nowo wynalezioną masą, *en similibronze*. Żebyż przynajmniej p. Laya mówił stylem potocznym swojego mistrza Scribego, ale nie! banalność w czuby stroi... wielkimi słowy opiewa małe rzeczy. Rzecz nudna od deski do deski, a nie chce zejść z afisza francuzkiego teatru, pomimo nową sztuki p. Augier. Arcydzieła nie tak mocno dziś trzymają się sceny: *Hernaniego* usunięto cichaczem z pełni powodzenia, *Ruy Blas* w Odeonie zakazany.

— Przedstawiają teraz w tym drugim teatrze francuzkim, trzech-aktowy dramat p. Berton, pod tytułem *Didier*.

„Miałem lat pięćdziesiąt, kiedy mi się to przytrafiło!” woła bohater komedii Piron'a. Didier ma lat czterdzieści ośm, kiedy spostrzeża, że jest szalenie zakochany w Lucy nie, córce swojego przyjaciela doktora. Jest to zapewne nie-stosowność, ale powiększona zgrzybiałością, którą autor przypisuje temu wiekowi: otaczający uważają Didiera za patryarchę... on sam ciągle o zmarszczkach swoich mówi. Starożytność lat pięćdziesięciu wydaje nam się nieco przesadzona. Nie jedną z tak dojrzałych namiętności odplacono wzajemnością. Prawda, że Didier jest uczonym, a naukę trudno z miłością pogodzić. „Uczony zakochany jest dla mnie problematem” powiada Hugo w ślicznej swą książce *Le Rhin*. W istocie, jak sobie radzi namiętność z podrywami, gniewami, zazdrością i próżniactwem, wśród tego spokojnego przykucia do nauk ścisłych, zimnych doświadczeń i obserwacji dokładnych, z których życie uczonego złożone. Można sobie wystawić, na przykład zakochanego Hugham'a, który w rozprawie *De Aere et morbis epidemicis*, wskazał miesiąc po miesiącu od 1724 do 1746, ilość deszczu upadłego w Plymouth w ciągu szeregu lat dwudziestu dwóch!

Możnaż wyobrazić sobie Rómea z mikroskopem rachującego siedmnaście tysięcy kancików muszowego oka; Don Juana w płóciennym fartuchu rozbierającego ciała niestałe, Otella analizującego kopalną mąkę Chińczyków.

Na domiar nieszczęścia, ta ostatnia namiętność Didier'a, jest zarazem jego pierwszą miłością. Owóż trzecia młodość, choroba zawsze ważna, staje się straszną, jeżeli napada ludzi którzy nie żyli, a to się często zdarza mianowicie na Zachodzie. W dwudziestym roku życia, konskrypcya pracy porywa tu zwykle człowieka; piękne jego lata smutnie się zużywają przy biurku albo za kontuarem. Żadnych wypadków, żadnej przygody w ciasnym kółku jego życia. Nauka czy handel, urobiły go wedle swego zimnego przepisu. *Nie miał czasu kochać.* W krajach gdzie jeszcze życie lekciej przychodzi, to zdaje się przesadą śmieszna; tu, niestety jest najwierniejszą prawdą. Nigdy błyskawica kaprysu, błędny ogień szaleństwa nie mignął na szarem, nizkiem i chłodnym niebie, które ciężało nad istnieniem szeregowca pracy. Żył liczbami, papierem, rachunkami, kurzawą, wszystkim co najsuchsze i najwięcej gorzkie w życiu.

Jeżeli namiętność porwie takiego człowieka na schyłku życia jak na zakręcie łaśu, padnie jój ofiarą. Młodość tak długo tłumiona, wybuchnie wtedy nagle podobna do kwiatu Agawy, który pączek rozrywa z hukiem pistoletowego strzału... porzuci wszystko i będzie dnia używać, używać póki jeszcze czas. W miłość spóźnioną włoży wszystkie złudzenia młodości. Chcąc być koniecznie młodym, wpadnie w dzieciństwo. Ponieważ nie ma ani wężu, ani smaku, ani poczucia świata, w który wchodzi, wnet stanie się jego igraszką: sługą pierwszej lepszej kokietki.

Czasami bywa, że temu maruderowi życia, miłość objawi się w kształcie czystej i głębokiej namiętności. Wtedy, biada mu jeżeli odepchnięty, wyczyta jasno niepodobieństwo szczęścia w chłodnym wejrzeniu ukochanej kobiety... jeżeli gwałtownym wysiłkiem nie wyrwie się temu okrutnemu złudzeniu, które wabi go na to jedynie, żeby serce mu gryźć, a pić łzy jego.

Cyceron pisze, że Sokrates pytał starego Sofoklesa, czy jeszcze o miłości marzy? „Bogowie od tego mnie strzegą!

odpowiedział — wyrwałem się wściekłemu a dzikiemu panu.” (a domino agresti ac furioso profugi).

Podobnie czyni Didier, bohater sztuki przedstawionej w Odeonie, i byłby daleko więcej zajmujący, gdyby aktor i autor nie osmałił go do szaleństwa skwarem lata świętego Marcina. Uczony Didier kocha jak furyat córkę doktora; Lucyna tymczasem kocha młodzieńca bez majątku i nazwiska, kocha Henryka. Ojciec nie chce takiego zięcia, i obiecuje staremu przyjacielowi oddać rękę córki, jeżeli jej względy pozyska. Panna przyuczona uważać Didier'a za drugiego ojca, nie rozumie uczuć jego płomiennych... prosi, żeby przed ojcem sprawę Henryka popierał.

Didier zdobywa się na bohaterskie poświęcenie: postanawia adoptować Henryka, dać mu swoje nazwisko i majątek; słowem, postanawia uczynić syna z rywala, który serce jego rozdziera. Ale w chwili podpisania kontraktu, dostaje zawrotu głowy... stłumiona namiętność wybucha w obłąkaniu; przybrany ojciec zrywa maskę i pokazuje zdumionej dziewczynie zakłócone oblicze zazdrosnego kochanka.

Położenie zupełnie takie same przedstawił p. Vacquerie w dramacie *Jan Baudry*, z któregośmy zdawali sprawę zeszłej zimy. Baudry i Didier w jednym są wieku, obaj nie kochali do tej pory; obaj składają ofiarę ustępując miejsca młodemu. Ale powód poważny, który natchnął do poświęcenia Jana Baudry, nie istnieje w przymusowym poświęceniu Didier'a. Pierwszy wziął swojego przybranego syna z błota, postanowił go uszlachetnić; wziął odpowiedzialność za jego duszę; wysiłek swój dopełnia jako obowiązek moralnego ojcostwa. Didier przybierając, wyposażając i żeniąc rywala, którego zaledwie zna, spełnia więcej dziwaczny niż bohaterski czyn: jest w jego zaparciu siebie obłąkanie, podobnie jak w jego miłości.

Rozwiązanie nie mniej osobliwsze. Między aktami Didier ochłódł, oprzytomniał. Namiętność jego przeszła jak zapalenie mózgu. Po ojcowsku łączy parę kochanków i żeni bez najmniejszego żalu.

Nie jestże to przypadek więcej medyczna niż moralna? Jakże się zainteresować miłością, która przechodzi jak choroba i zdaje się pochodzi z uszkodzenia mózgu? Prawdziwa namiętność trwa dłużej niż wypadki fizyczne, które może za sobą pociągnąć. Nie da się wyleczyć jak nerwowa gorączka.

czka, puszczeniem krwi i quinią. Kilka gorących scen sprowadziło huczne oklaski téj nielogicznój sztuce, ale zapewne nie długo na afiszu pozostanie.

— W teatrze lirycznym wznowiono z wielkiém powodzeniem ładniuchną operetkę p. Clapisson: *La Fanchonette*. Chociaż przed dziesięciu laty podaliśmy na tém miejscu treść téj opery, nie zawadzi przypomnieć, bo śliczna bajeczka, i budująca.

Jest to historia ulicznój śpiewaczki z czasów Regencyi, imieniem Fanchonette, która podobnie jak Esmeralda, zdaje się być córką ptasią, taka miluchna, zwinna i dziwna; ma głos zięby, a piórka kolibra. W balowym stroju, ze złotostej karocy wysiada i śpiewa na miejskim placu. Mały negr dla niéj zbiera od słuchaczy grosze. Zkąd przybywa? dokąd dąży? co znaczy ten książęcy przepych żebraczki? Oto jak go legenda tłumaczy.

Fanchonetka była ubogą sierotą i żebrała co wieczór na ulicy. Pewnego razu przejeżdżał stary książę i zabrał sobie cyganek, jak się bierze kwiatek z pola. Wziął, przybrał za córkę Fanchonetkę; a wnet potém umarł, zostawiając jéj miliony. Książę miał młodego siostrzeńca Gastona, wielkie ladaco, którego jednak skrycie pokochała Fanchonetka, i na to tylko przyjęła spadek, żeby mu go oddać. Jako anioł stróż Gastona, czuwała nad nim, chowając swoje skrzydła.

Co miesiąc przynoszą Gastonowi dwieście pistolów od staréj ciotki mieszkającój gdzieś na wyspie Kubie. Posłaniec Fanchonetki zowie się Bonheur, prawdziwa figura z bajki! Rzekłbyś posłaniec Opatrzności, o którym dzieci marzą w wigilią Bożego Narodzenia: taki miły, że zdaje się przybywać z owego dziecinnego raj, gdzie strumyki śmietankowe płyną pomiędzy skałami z owsianego cukru.

Gaston chce poślubić pannę Helenę, córkę bankiera; ale ojciec już jéj rękę obiecał bogatszemu. Gaston nie wie jak głęboko rani Fanchonetkę, opowiadając jéj swoje miłosne utrapienia... ani się domyśla, że ta, którój nic nigdy nie dał, ani nawet dobrego słowa, kocha go i poświęca się dla niego. Poświęcenie takiego serca nie zna granic. Fanchonetka przyrzeka Gastonowi, że będzie mężem Heleny jeszcze tego wieczora, na balu u jéj ojca.

Ten pierwszy akt jest bardzo ładny; ramami jego, bulwar du Temple, taki jaki był w XVIII wieku: nieustającym jarmarkiem, wieczną komedią pod gołym niebem. Szarlatani prawią, skaczą linołazy i marionetki. Tło ludowe podnosi wykwintne sceny odgrywane się na pierwszym planie; rzekłbyś figury Lancret'a przechadzające się po jarmarku Teniersa.

W drugim akcie, na balu Fanchonetka grozi bankierowi odkryciem jakiejś jego brzydkiej sprawy, jeżeli córki nie da Gastonowi. Tak zażyty z mańki finansista musi przystać na żądanie wszystkowiedzącej cyganki. Jednocześnie przybywa posłaniec Bonheur i oświadcza Gastonowi, że jego ciotka dobrodziejka przybyła do Paryża i że nań czeka w swoim domu. Gaston bieży... Otwierają się drzwi, wychodzi starowinka zgięta we dwoje i starannie zasłonięta kapturem. Fanchonetka, stanąwszy u mety poświęcenia, zapragnęła pierwszy i ostatni raz pocałować Gastona. Przebrana za ciotunię, mówi udanym głosem, że zanim dożyje setki chciała zobaczyć i pobłogosławić siostrzeńca; chciała zostawić mu miliony i odjechać natychmiast, bo jęj pilno. Pilno w istocie, bo dłużej nie mogłaby ukryć łez, co płyną po złożeniu w skrytości serca wielkiej a nieznannej ofiary.

Głęboka myślą, a leciuchną kształtem, ta opera pełna miary i harmonii, liczy się do najlepszych utworów francuzkich muzyków. Nie trudna, nie skomplikowana, mogłaby być odegrana z pomocą domowej kapeli w jakim wiejskim pałacu. Muzyka nie wrzaskliwa i nie powszednia: przez wszystkie trzy akty przechodzi prąd melodyi. Duet Gastona z udaną ciotką, śliczny! Ze sprzeczności młodego głosu z drżącym, muzyk wyciągnął wokalną grupę nader melodyjną: ciotka i siostrzeniec zdają się rozmawiać z sobą z dwóch przeciwnych krańców życia. *Młodość* pyta tonem rozgłosnym — *Starość* odpowiada ostatniem tchnieniem.

Professor literatury cudzoziemskiej na Wydziale Paryżkim, pan Mezières, wydał w jednym tomie swoje *Studyum Petrarki*, które stanowiło jego kurs zeszłoroczny. Wyczerpnięty z rękopismów rzadkich, znajdujących się w księgo-

zbiorach paryzkich, florenckich i rzymskich, pogląd francuzkiego profesora może ustali sąd o Petrarce, dotąd rozmaity.

„Tak nienawidzę Petrarki, woła Bayron, żebym nim nie chciał być, gdyby mi nawet dano jego Laureę, do której ten gruchający gaduła nigdy dojść nie mógł.”

Goethe nie mniej szydyczy jest, kiedy zowie upartą i może zbyt płacziwą miłość Petrarki „wieczystym Wielkim Piątkiem” (Ein ewiger Charfreitag).

Lamartine zawyrokował wprost przeciwnie. Upatrzywszy pomiędzy sobą a Petrarką pewne podobieństwo, postawił go wyżej niż Danta, niż Milтона.

Prawda, jak zawsze, stoi pomiędzy dwiema ostatecznościami. Petrarka jest niewątpliwie daleko niższy od Danta, ale istnieje pomiędzy nimi pokrewieństwo, którego dowieść nie trudno. Obaj Toskany i łacinnicy zagorzali, obaj byli męczeni tajemną troską o przeznaczeniu ludzkości, troską która nie wszystkich wielkich ludzi turbuje. Prócz tego, mają wspólne pragnienie wiedzy i wylewania się na zewnątrz—czują potrzebę pełnego i wspaniałego istnienia ojczyzny.

Italia więcej niż każdy inny kraj, w swoich synach wykarmiła wysokie ambicje, które nikłe zjawisko indywidualnego życia wiążą z ogólnym życiem szczepu. Poetom swoim natchnęła Italia ową dumę starożytną, która nie odłączając sztuki od życia, mieszała ich do wzruszeń miasta, do rady rzeczypospolitój i łączyła ściśle z przeznaczeniami narodu.

Przejmująca lubość nieboskłonów ustrojona splendorem cudownej sztuki, uczyniła Italią najpiękniejszym krajem. Kochać ją można szalenie, jak kobietę. Na jej łonie chwala wydaje się słodsza niż gdzie indziej; na jej czarownym licu igra upajający uśmiech miłości który się w geniuszu jej synów przegląda... Najczystsze zwierciadłem tej namiętniej miłości kraju są dzieła Danta i Petrarki.

Wielkim być, ażeby lepiej na miłość zasłużyć—więcej kochać, żeby się stać większym, oto podwójna aspiracja która ożywia ich obu. Obydwom w najpierwszej młodości jawi się ideał w postaci kobiety. Marzeniem ich, pragnieniem, nadzieją, nagrodą, w tym i przyszłym świecie, jest

uśmiech Laury albo Beatryczy. Jednaką uprawa umysłu rozwiła w obu te wrodzone instynkta. Petrarka i Dante pobierając w uniwersytetach włoskich i francuzkich naukę klassyczną wedle Arystotelesa, słuchali miłszych wykładów miłości z katedry sycylijskiej i prowansalskiej galanteryi. Tam pili z żywych źródeł uczucia i nowoczesnej poezyi.

Szczęśliwie ograniczone *dany* ich serca, nie umiejące po łacinie, nie mogły znieść, żeby im o miłości prawiono językiem umarłym... Więc nakazały dwom poetom, żeby „nowo i pięknie” gadali rodzącą się włoską mową. Poetyczna wyobraźnia zapłonęła w rozmowie z władczyniami ryccerskiego życia. Obaj nauczyli się sztuki rymotwórczêj od wielkiego mistrza miłości „que plor et va chantan” (Arnould Daniel). Zostawszy mistrzami z kolei na nowêj lirze „mową powszednią” którêj zasady ustalili, opiewają wdzięki i tryumfy ukochanej kobiety.

Ten tryumf Beatryczy i Laury, to także tryumf języka, poezyi, religii, tryumf Italii. W długim welonie uwieńczone drogim Minerwie liściem oliwy, albo starożytną fiołką — po królewsku ubrane w tunikę płomiennego koloru i płaszcz szmaragdowy dziewice-tryumfatorki, złoto-włose, jasno-okie, uśmiechają się do deszczu kwiecia, padającego na nie z nieba albo z drzew wiosennych, korne i pełne chwały, niby w Chrystusowém niebie miłość Platona... Wprowadzają one w chrześcijańską poezją panowanie owêj piękności najwyższej, która jest zarazem rozumem, świętością i zachwytem; są rewelatorkami ideału niewieściego, doskonałego w dwoistêj swêj naturze: boskiej i ludzkiej, którêj rysy Grecya starożytna rozproszyła, którą wschód biblijny i barbarzyńska północ zaledwie dostrzegły, a którą dano było odradzającej się Italii rozwinąć całkowicie w niezrównanej sztuce:

„Cosi dentro una nuvola di fiori
Che delle mani Angeliche seliva
E ricadeva giù dentro e di fuori,
Govra candido vel, cinta d'oliva
Donna m'apparve, sotto verde manto,
Vestita di color di flamma viva.”

(Czytanie, pieśń XXX).

Życie Petrarki zbyt znane, żeby je opowiadać; pan Mezières nakreślił tylko, że tak powiem, linią wspaniałą

jego postaci. Z pomocą łacińskich publikacji p. Fracasetti i krytyki niemieckiej, krytyk francuzki wniknął głębiej niż jego ziomkowie w tajniki poetycznej natury, dotknął sprężyn wewnętrznych talentu, którego wpływ zewnętrzny był znaczny.

Pan Mezières widzi w Petrarce cztery namiętności, które myśl i istnienie jego poruszają, ciągną do uciech światowych, do rozmów z papieżami i cesarzami, do kapitolinńskiego tryumfu... to znowu wiodą w ciszę *Zamkniętej doliny*, do pustelniczego domu w górach, do pogardy świata, która kornemu natchnęła spowiedź u stóp św. Augustyna. (*De contemptu mundi sive Secretum*—dyałog Petrarki).

W tych czterech namiętnościach, my widzimy tylko jedną, obejmującą wszystkie: miłość. Miłość duchowa i zmysłowa dla piękności niewieścięj; płomienne czucie w obowiązkach męzkich serca i duszy; gorąca pożądlivość pięknej starożytności; namiętne przywiązanie do Italii, do Rzeczypospolitej, do wiecznego miasta; trwałe ukochanie tej Pani, która w jego oczach najpiękniejsza; tej Romy co płacze lub się uśmiecha, co rozpacza lub się pociesza, jak kobieta w objęciu wiernego kochanka...

Cała dusza Petrarki, jak dusza Danta, należy do „najmocniejszego Boga.” Petrarka przedewszystkiem jest kochankiem. To jego fizyonomia, cecha, wielkość.

Pierwsza jego miłość dla szlachetnej starożytności, którą ukochał w Wirgiliuszu. Namiętność dorastającego Petrarki dla Wirgilego, prześladowana, dochodzi do gwałtownych uniesień: skoro mu ojciec ubóstwione książki łacińskie w ogień rzucił, wpadł w rozpacz tak przerażającą, że je rodzic wydobył z płomieni i zwrócił synowi. Po śmierci ojca mógł się oddać spokojnie popędowi swojego ducha. Na wagę złota skupując rzadkie rękopisy, złożył z nich bibliotekę. Obawiając się żeby go przypadek nie pozbawił drogiego skarbu, nauczył się napamięć swych ulubionych autorów: Horacego, Terencyusza i Seneki. Pisywał do nich, domagając się *grzecznej odpowiedzi*.

Na starość Petrarka odkrył piękności helleńskie i dla nich nowym ogniem zapłonął. W dwadzieścia lat po tryumfie na Kapitolu, zakochał się w Homerze, tak jak w Wirgiliuszu za młodu. Uważny, ciekawy, wszedł do szkoły Kala-

bryczyka. Z ust tego erudyty, którego Boccaccio zwie „cho-dzącém archiwum historii i bajek greckich” otrzymał pierwsze wyłożenie Homera, jakie słyszała nowoczesna Italia. Potém, otrzymał dla Florencyi pierwszą grecką katedrę na Zachodzie; polecił Leonowi Pilato zrobić pierwszy łaciński przekład *Iliady*; słowem, tak rozpowszechnił greckie rękopisy, że w następnym wieku uczeni, przybyli z Byzancjum, znaleźli w Italii przedświt, który poprzedził i przygotował ocy ludzkości do słonecznego blasku greckiego odrodzenia.

Tę miłość starożytności którą czuł od kolebki, Petrarcka unióś z sobą do grobu. Starożytni których tak kochał, którzy go nauczyli żyć dobrze, nauczyli go także pięknie umierać. W lipcowym poranku, siedząc przy pulpicie, zmęczony starzec oparł głowę na otwartej księdze tego, którego Allighieri zwał *dolce Padre caro* — oparł głowę i zasnął spokojnie snem wiecznym na łonie Wirgiliusza. ..

Druga namiętność Petrarki, poetyczna jego miłość dla Laury, była, jak miłość Danta dla Beatryczy, przedmiotem sprzeczek; dotąd one trwają: zaprzeczono rzeczywistości uczucia, zaprzeczono nawet istnienia Laury Noves. Pan Mezières powiada, iż w braku pewności, należy tu poprzestać na prawdopodobieństwie. Ludzi wyższych mniej obchodzi dokładność faktu, niż cecha idealna téj miłości dla rzeczywistej czy urojonej kochanki, której zawdzięczamy najpiękniejsze dzieło liryczne Italii, jój narodowe epos, wyśpiewane w najmelodyjniejszym języku świata tego.

Natura namiętności Petrarki i Danta, jednaka: miłość u nich płynie z jednakiego źródła, przechodzi też same fazy i dochodzi do tych samych skutków. Błyskawica miłości uderza naraz ich oczy i najtajniejsze ognisko duszy. Obaj mają wizyą kobiety, która idzie przed nimi i ciągnie za sobą siłą nieprzepartą. Laura i Beatricze zawsze pożądane, nigdy nie posiadane, rychło przez śmierć porwane, są dla dwóch poetów od początku do końca, na wzburzonym morzu życia, nadzieją i obietnicą, boskim niepokojem, który im już nie dozwala znaleźć zadowolenia w losie wspólnym ludzkości. Obaj chwytni nieraz na jedwabne paski przelotnych miłostek, czuli się występni przy swoich *Damach pocieszycielkach*, które nawet po śmierci nie znosiły podziału. Zdjęci zimnym dreszczem wyrzutu, obaj słuchają w głębi sumienia

wołającego głosu kochanek... spuszczaają głowę, poddają się pokucie... i znowu odnajdują prostą drogę wiodącą do tych błogosławionych, które się nie pozwalają kochać *napróżno*.

Przez cały czas pobytu na ziemskim wygnaniu, Dant i Petrarka opiewają czas, który był „podniętą ich geniuszu” który ich ze społeczności powszedniej wyłączył. Jeżeli ta miłość nie zajmowała ich wyłącznie, to ich dzieło jest jej dziełem, i pozostanie napiętnowane boską pieczęcią nieśmiertelnej miłości, która jest jedyną wielkich rzeczy budownicią.

Nie możemy odkładać na później „*Pawła Forestier*“ sztuki Emila Augier, przedstawionej w Théâtre Français. Więc chociaż już mało miejsca, spróbujemy przedstawić tę komedię, powitaną rozgłośniami oklaski.

Autor „*Zarzy*“ zamknął się tę razą wyłącznie w obrębie namiętności miłosnej, nagromadziwszy sobie na tém palącym polu trudności rozmaitych, jak położenia gorszące i zdarzenia skandaliczne, na które są zarzuty gotowe. Z tego wszystkiego wyszedł zwycięzko, jak śmiały jeździec z gonitwy z przeszkodami.

Scena pierwsza w pracowni Pawła Forestier. Jest to młody malarz, syn starego rzeźbiarza. Ojciec ma pana: kunszt swój; Syn ma panią: Leę Cleret, różwódkę, za którą szaleje. Młodzieniec miotany burzą namiętności oczekuje kochanki; nastawia ucha, czy nie usłyszy szelestu jedwabnej sukni, która na schodach młodzieży miliej szumi niż skrzydła anioła na drabinie snów Jakóba. Słysząc kroki... otwierają się drzwi, ale zamiast Lei wchodzi ojciec, Michał Forestier. Poważna i piękna postać tego starego rzeźbiarza, surowego, a zarazem pełnego rzewnej dobroci. Serce swoje dzieli on pomiędzy syna i Kamilę, młodą wychowankę, którą z nim w myśli zaręczył.

Dostrzegłszy zaniedbanie w pracy a burzę w sercu syna, ojciec mu czyni wyrzuty: osnową jego kazania, zazdrość sztuki która pozwala na spokojną miłość małżeńską, a odpycha miłość namiętną jako poniżającą rywalkę. Czyste natchnienie ucieka z pracowni, w której panuje kurtyzanka. Słowem stary rzeźbiarz mówi, jakby mówił Buonarrotti, zanim pokochał Colonnę.

Rozmowę przerywa przybycie pana Beaubourg, figury nieznaczącej, ale na którą zważać trzeba, bo ma odegrać ważną rolę. Młodzieniec ten, ani ładny ani brzydki, ani mądry ani głupi, oznajmia Pawłowi że jedzie w dalekie kraje szukać awantur miłosnych, których w Paryżu znaleźć nie może. Panna Kamilla ukazuje się także w porankowym blasku. Młodzież wnet się rozchodzi, a ojciec pozostaje w pracowni, i niespodzianie znajduje się sam na sam z kochanką swojego syna.

Lea jest ciotką Kamilli; stary rzeźbiarz nią się opiekował podczas rozwodowego procesu, oddał jej wiele przysług, teraz więc śmiało żąda od niej ofiary: zwrotu syna. Mówi tak dobrze, iż przekonywa Leę. Przrzeka mu, że odjedzie bez pożegnania z Pawłem; ale pod warunkiem, że jeżeli jej Paweł wiernym pozostanie, ojciec ją napowrót zawezwie.

Uгода stanęła. Lea zbyt łatwo poddaje się żądaniu ojca: kobieta która tak kocha jak ona, nie odjechałaby bez porozumienia, ostrzegłaby kochanka o zastawionych nań siłkach. Wielkie namiętności nie słuchają jak małe dziewczątka woli rodzicielskiej.

Od pierwszego do drugiego aktu upływa półroku. Widzimy Pawła już ożenionego z Kamillą. Wydaje się szczęśliwy: Kamilla promienieje... miodowy miesiąc oświeca spokojnym blaskiem wnętrze rodzinne. Jednak skoro ojciec umosi się nad szczęściem Pawła, ten tak to jakoś przyjmuje, że szczęście nie wydaje się stałym: błękit nieco mdły, każe przeczuwać burzę.

Niespodziewanie przybywa Lea, już owdowiała, śliczna w żalobnej sukni. Spokojnie winszuje Kamilli zamęścia, z Pawłem zimno rozmawia, tylko pomiędzy nimi ironia brzęczy, jak niewidzialna osa...

Pierwsze spotkanie byłoby jednak przeszło bez następstw. Na nieszczęście zjawia się pan Beaubourg z prośbą do Pawła, która nań pada jak piorun. Podróżny opowiada mu, że spotkał na wiedeńskim Praterze pewną damę, której się zalecał w Paryżu. Tu sroga, tam dała się ubłagać. Pewnego burzliwego wieczora, pani uczuła w żyłach dreszcze... śmiała się, to płakała naprzemian... Nareszcie, kiedy północ wybiła, padła w jego objęcia. Potem, rozgniewana, wypchnęła zwycięzcę za drzwi; nazajutrz już go nie przyjęła, a ua

trzeci dzień znikła. Odnalazł ją w Paryżu, a dowiedziawszy się że owdowiała, prosi Pawła, który ją zna, żeby jej ofiarował jego nazwisko i rękę.

Opowiadanie było trudne. Jedno słowo za wiele, byłoby spowodowało upadek bohaterki i autora. Na szczęście, niewinność opowiadającego zbawia tę alkowową scenę.

Paweł poznawszy Leę w improwizowanej kochance Beaubourga, wpada w gniew i odmawia mu pośrednictwa. Niby z niej sztydzi przed ojcem... Ale już zły na żonę, wije się i miota: namiętność w sercu ożyła.

W trzecim akcie dramat wchodzi w strefy nawałnicy. Namiętność grzmi i szaleje... pada deszcz łez, pruty błyskawicami...

Najpierw scena w której Lea bada Kamillę patrząc jej oko w oko. Chce wiedzieć czy ją mąż kocha? szpera więc w jej sercu w nadziei, że tam namaca tajemniczą ranę i znajdzie słodką zemstę... Ale skoro Kamilla odpowiada że ją Paweł uwielbia, zrywa się gniewna. Ponieważ Kamilli ogień nie zajął z tej strony, odwraca ją nareszcie: pyta, czy sądzi że jej mąż nikogo prócz niej nie kochał? Kamilla odpowiada, że mężczyźni miewają kaprysy zanim spoczną w miłości małżeńskiej—ale cóż to małżonkę obchodzi?

L'auberge porte-t-elle ombrage à la maison?"

Ugodziła w serce rywalkę. Lea rzuca się jak wyszydzone bohaterka na dziewczę. Potrząsa chorągwią występnej miłości, swoje ogniste rozkosze przeciwstawia jednostajnemu szczęściu domowego ogniska. Kamilla słucha przestraszona... Anioł rejteruje przed zachwyta mi czarta.

Po odejściu Kamilli, Beaubourg przychodzi do Lei, która go z pogardą od siebie odpycha. Ale kiedy on jej o rękę prosi, przychodzi jej na myśl, że to małżeństwo może podrażni niewiernego kochanka. Więc odpowiedź na jutro odkłada.

Paweł przybywa z kolei, pod pozorem spełnienia polecenia Beaubourga. Ale pozór wnet znika. Zdaje ci się, że widzisz dwóch wrogów zrzucających maski i wpadających na siebie ze sztyletami. Paweł wyrzuca Lei jej ucieczkę niemą. Ona usprawiedliwia się przyrzeczeniem danym ojcu. Wtedy on przystępuje do nocy w której się pierwszemu lepszemu oddała... Obarcza pogardą kobietę szlochającą u nóg

swoich: „A genoux courtisane!” woła. Ona klęka i odpowiada na słowa datą: „trzeci wrzesnia.“ To był dzień ślubu Pawła. Szalona bolem, chciała zasłużyć na zdradę kochanka, chciała sprofanować jego szczęście...

Zwierzenie fatalne, gorszące... ale jest coś głęboko niewieściego w tej prostytutcy mszczącej.

Psuje ten akt brutalna żądza, która napada Pawła po tej spowiedzi. Ściga kochankę, ona ucieka, dzwoni — „odprowadź pana“ mówi służącemu. Położenie straszliwe kończy błahostka, dzwonek, który zwykł od wieków kończyć w komedjach natarczywe zalecanki. Cóż znaczy odgłos salonowego dzwonka w śród pożaru?

Gorączka nie opuszcza autora aż do końca. W ostatnim akcie Paweł pokazuje tłumoczek: ma jechać do Wene-cyi gdzie jedzie Lea. Ojciec zachodzi mu drogę, błaga, prosi; ale waryat nie słucha: wyrzuty sumienia, poczucie obowiązku, wszystko to stopniało w ogniu który go pali. Wyrzuca ojcu że go oszukał, gada rzeczy, zasługujące na rodzicielskie przekleństwo... Wbiega żona, do nóg pada... ale jęk gołębicy nie rozczula zwęglonego serca. Aż Lea zasmuciona złem które uczyniła, przychodzi w pomoc rodzinie i przyrzeka Kamilli wieczne rozłączenie. Ostatecznie reflektuje Pawła list żony, w którym ofiaruje mu swoje życie, jeżeli śmierć jej może go uszczęśliwić.

Wymysł niedobry. Jest coś rażącego, nieprawdopodobnego w zamiarze samobójstwa powziętym przez tak spokojną osobę. Ale w stopniu do którego autor posunął zapamiętanie Pawła, trzeba było pokazać w perspektywie trupa, żeby męża do zmysłów przywrócić. Jednak to zbyt wiele miara przebrana. Namiętność jest wprawdzie straszną czarownicą... ma zachwyty, ma szaty poniżające, ale oczarowanie Pawła zdaje się przechodzić jej władzę. Z dnia na dzień nie można się zmienić tak zupełnie, bez zachowania śladu pierwotnego charakteru.

Nadużycie słów takie, że zgoda finalna wydaje się nie-możliwą. Ojciec i Kamilla przebaczą, ale dawne uczucie nie może wrócić. Są obelgi nie do przebaczenia, są słowa tak doniosłe jak czyny dokonane. Nie ma dla nich zapomnienia ani w pamięci tego co je wyrzekł, ani tego co je

usłyszał... Można je cofnąć, ale strzała była zatruta: jad w krwi zostaje.

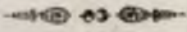
To powiedziawszy, trzeba uwielbiać talent, gorąco uczuć analizę namiętności, posuniętą aż do szkarady, sztukę stąpania po zepsuciu bez zapadnięcia w to błoto... trzeba podziwiać tragiczne wybuchy tłumionych uczuć, a mianowicie akt trzeci, który jest cały jednym wulkanicznym wybuchem. Co do stylu, nigdy pan Augier nie mówił piękniejszym, silniejszym językiem. Wyborna gra aktorów, podnosi tę sztukę do takiej potęgi, że bez obawy nastąpić może po „*Hernanim*.”

Królowa angielska wydała nowe dzieło pod tytułem: „*Kartki wyjęte z dziennika naszej podróży po Szkocji*.” Francuzki przekład tej książki wyszedł w Paryżu.

— Pan Littre wydał nowy tom *Słownika języka francuzkiego*. Dochodzi do litery *N*.

— Pan Karol Blanc wydał *Grammatykę rysunku*.

— Romanse francuzkie ogłoszone w ciągu ubiegłego miesiąca nie warte wzmianki. Zapowiadają na marzec nową powieść Wiktora Hugo.



RODZINA ALVAREDA.

Nowella hiszpańska p. Fernana Caballero.

PRZEŁOŻYŁ

Władysław Mitkowski.

(Ciąg dalszy).

II.

Z jesienią nastaly dni krótsze, a zima do drzwi kołatała skostniałemi rękoma. Właśnie robotnicy powracali z pola do mieszkań, słońce ostatki bladych promieni rzucało na ziemię.

Peryko szedł powoli za oślicą; wyprzedzał go Melampo, starający się z większą jeszcze od swęj towarzyszki i przyjaciółki wystąpić powagą. Biędne zwierzę z przestraczem przypominało sobie napad Francuzów, chociaż od owęj chwili sześć już lat minęło. Wtedyto bowiem chcąc swe panie ocalić, nasza oślica biegła z całych sił, pierwszy raz w życiu. Gdyby znała choć potrosze obcą literaturę, z czego dziś wielu szuka chluby, co słyszą że dzwonią, ale nie wiedzą w którym kościele, rzekłaby niezawodnie do Melampa na swą obronę, że dziki rumak, do którego przywiązano Mazepę był zółwiem zaledwie w porównaniu do nięj w pamiętnym owym wypadku. Dotychczas jeszcze nie zdołała sobie wynagrodzić tego trudu.

Nasza trójka zbliżała się już do domu. Wtém dwoje zachwycających dzieciaków zabiegło drogę Perykowi. Nagle, dźwięczny, uroczysty głos dzwonka zwiastował modlitwę. Peryko zatrzymał się i zdjął kapelusz. Oślica i pies, przy-

wykli oddawna do tego dźwięku i znający go dobrze zatrzymali się również; dwa aniołki także stanęły nieporuszone.

Odmówiono „Anioł Pański:“ dzieci przybiegły do ojca i zawołały:

— Tato, daj rękę.

— Oby Bóg Wszechmocny złał na was swą łaskę — rzekł, błogosławiąc je, Peryko.

Melampo, który już sobie usiadł, przypatrywał się tej scenie widocznie z wielkiem zajęciem.

Chłopczyna który koniecznie się napierał, żeby go ojciec wsadził na oślicę, zapytał dlaczego trzeba się zatrzymać, kiedy dzwonią na paciérz?

— Alboż nie pamiętasz — odrzekła mu siostrzyczka Angelita — o tém, co mówiła ciocia Elwira: że jak tylko nadejdzie godzina poświęcona czci Najświętszej Panny, nasi aniołowie stróże zatrzymują się na znak uszanowania, zatém, gdybyśmy szli dalej, zostalibyśmy sami i bez nich?

— Ach prawda! siostrzyczko — odrzekł Angel — uderzając z całych sił oślicę różgą; na szczęście cierpliwe zwierzę nie obraziło się tém bynajmniej.

Sześć lat minęło z okładem od wypadków w pierwszej części opisanych. Rzeczy pogorszyły się podwójnie, raz, przez pamięć nieszczęsnej Marcelli, która straciła zmysły gdy spostrzegła ze swój kryjówki obelgę, wyrządzoną ojcu przez grenadyera francuzkiego, i zemstę jaką na nim wywarł Ventura, powtóre, z powodu nagłej ucieczki tegoż przez pola, i odtąd nie wiadano, co się z nim dzieje.

Wszyscy go jak umarłego opłakiwali, chociaż powodowani przyjaźnią dla Pedra i miłością dla Elwiry, kładli im w uszy słowa nadziei, której już nie żywili we własném sercu. Czas wszelako ukoił ból ich nieco. Z ust Pedra odtąd jednakowoż, zamiast wesołych, ciągle powtarzanych piosneczek i zwykłych pustot, często słyszałeś wykrzykniki: mój biędny syn! moja biędna córka!

Elwira gasła w milczeniu, jak lekkie chmury, co zamiast opadać na ziemię w postaci deszczowych potoków, wznoszą się coraz wyżej i wyżej, aż nareszcie powoli niktą z przed wzroku w niebios przestworze. Nie skarżyła się nigdy, a imię Ventury, Ventury którego uważała za towa-

rzysza dozgonnego i danego przez kościół, z ust jój nie wyszło więcej.

— Robak zatruwa jój życie — mówiła Anna do swego syna Peryka — wszyscy wy tego nie spostrzegacie, ale ja się nie mylę.

— Ależ matko — odpowiedział Peryko — zkądże to wnośisz? wszakżeż nie skarżyła się nigdy.

— Nie, mój synu, nie; lecz matka słyszy córkę, nawet gdy ta milczy.

Ryta i Peryko byli szczęśliwi, bo Peryko miał serce dobre, łagodny i zgodny charakter. W rok po ich małżeństwie, urodziło się Rycie dwoje bliźniąt. Przy ich powiciu byłaby umarła, gdyby nie czułe a troskliwe starania męża i wszystkich domowników. Długo jeszcze potem była słabą ale w czasie, w którym naszą opowieść rozpoczynamy, zupełnie już była wyzdrowiała, a na jój twarzy rumieńce zdrowia i młodości żywiej i świetniej jeszcze błyszcząły. Wieczorem tegoż dnia, wszyscy się zgromadzili.

— Najświętsza Panno! — rzekła Marya jakążto okropną burzę mieliśmy wczoraj w nocy; takem się przelęknęła, że się trzęsła z całym łóżkiem. Przywiodłam sobie na pamięć wszystkie grzechy i pokornie wyspowiadałam się z nich Stwórcy. Tak Go błagałam, że zdawało mi się jakoby się pobudzili wszyscy święci; modliłam się głośno, gdyż słyszałam że w okolicach do których dolecieć może głos paciérza, piorun całą swą moc utracą. Dopiero za nastaniem jutrzeńki, kiedym tęczę zobaczyła, upewniłam się, że to było świadectwo, jakie Bóg dał ludziom, że nie będzie ich już więcej karał potopem. Panie Jezu! dlaczegoż więc nieszczęśliwi śmiertelnicy nie drżą przed tém upomnieniem Najwyższego?

— Nacóżby mieli, matko, drżać przed rzeczą tak naturalną? — przemówiła Ryta.

— Naturalną! — odparła Marya — może powiesz że zaraza i wojna są też rzeczą naturalną? Wiész-że ty co piorun? Słyszałam z ust człowieka uczonego, że to jest podmuch wiatru podnieconego gniewem bożym. A grzmot? Grzmot, mówił, jest głosem gniewu boskiego, i powinniśmy się bać Wszechmocnego, nadewszystko wtedy, gdy grzmoty zsyła. Tak więc dzieci moje, nie zapominajcie nigdy, że burza jest przestrożą Stwórcy, przypominającą nam, że On pobłaza

cierpliwie ułomnościom swych stworzeń, ale jest także gotów je ukarać.

— Deszcz przyszedł w samą porę, matko Maryo—rzekł Peryko—ziemia tak bardzo była spragnioną!

— Ziemia ma zawsze pragnienie—mruzczała Ryta—ale jak widać, nigdy się nie zasyci.

— Ojcie—powiedziała Angela—czy wiesz com śpiewała dzisiaj, widząc krople deszczu spadające na sadzawkę? I śliczna dziecina zaczęła śpiewać:

O wodo boska! zdroju chrześcijański!
Jakże odżywasz kwitnący siew Pański!

— Dostyc, dostyc—przerwała Ryta—kraczesz za dwie sroki, a nudzisz jak lukrecya.

— Mamo, czy możemy się w co bawić?—zapytał chłopczyk.

— Baw się z kocim ogonem—odparła Ryta, zaledwie powstrzymując swoją niecierpliwość.

— Babciu—rzekła wnuczka—powiedz mi przypowiastkę a ja ci za to wydam katechizm, czy dobrze? Posłuchaj: trzech jest nieprzyjaciół duszy: czart, świat i ciało.

— To ostatnie bardzo mi się podoba!—zawołał Angel.

— Cicho bądź, malcze—odparła dobra Marya; nie idzie tu o mięso do gotowania.

— A o cóż więc babciu?—spytało dziecię.

— Idź zaraz uczyć się abecadła, a jak podrośniesz, odniesiesz korzyść z tego coś się nauczył. Zresztą czy wiesz o tém że twe ciało, to znany twój szkaradny apetyt właśnie robi cię takim żarłokiem, a że obżarstwo jest grzechem głównym?

— Jest ich siedem—rzekła skacząc wnuczka, i wyliczyła je bez odpoczynku.

— Ja, babciu—odparł Angel—wiem że są trzy osoby boskie, a jeden Pan Bóg: Bóg Ojciec, Bóg Syn i Duch Święty, który jest gołębiem.

— Jakiś ty głupi!—zawołała nań matka.

— Moja córko—odparła Marya—nikt się nie rodzi mądrym. Dziecko moje, gołąb jest tylko symbolem, Duch Święty jest Bogiem jak Ojciec i Syn.

A każde dziecko chcąc pokazać co wie, ciągnęło do siebie biędną babkę.

— Ja umiem przykazania boskie—rzekło jedno!

— A ja, przykazania kościelne—rzekło drugie.

— Ja umiem Siedem Sakramentów.

— A ja dary Ducha Świętego.

— Ja umiem....

— Ach! prędkoż to skończycie?—zawołała Ryta wgniewie—czyż chcecie nam powtarzać cały katechizm? Alboż to jesteśmy w jakiej izbie szkolnej? zaprawdę byłoby to piękną rozrywką!

— Czyż to być może?—przerwała z boleścią Marya, zachwycona wnuczkami, popisującemi się ze swą maluczką wiedzą—czyż to być może, Ryto, aby ci nie miło było słuchać słów boskich i to jeszcze z ust własnych dzieci? Pomnę, gdyś pierwszy raz, wydała mi bez zmyłki „*Ojcze nasz*,” łzami się zalałam.

— Najniezawodniej—odpowiedziała Ryta;—matka możesz płakać nawet w tańcu.

Dobra staruszka zamilkła, a zwracając się do dzieci, rzekła:

— Tak jestem z was zadowolona i z tego, że tak dobrze umiędzie katechizm, iż postanowiłam opowiedzieć wam najpiękniejszą, według mnie, historyjkę.

Dzieci usiadły na prostym stołku, naprzeciw babki, a ta zaczęła w te słowa:

„Kiedy anioł oznajmił patryarsze Józefowi, aby uciekał do Egiptu, nasz święty wsadził na osła Dzieciątko i Matkę i wszyscy udali się w drogę przez nieuprawne pola i lasy.

Kiedy zabrnęli w największy gąszcz leśny, Najświętsza Panna lękała się, droga bowiem ciemna była i samotna. Jak raz téż wyszli z grotty zbójcy i rzucili się na świętą rodzinę. Zsiadali właśnie gdy przybliżył się do nich herszt zbójców, imieniem Dimas, spojrzął na dziecko i uczuł jakby cios w serce wymierzony. „Ktokolwiekby ośmielił się dotknąć sukni téj Senory lub dziecka tego, ze mną będzie musiał się rozprawiać!” A obracając się do świętych małżonków: „Oto noc zapada, rzekł, a i na burzę się zanosi. Chodźcie za mną, a ja was ugosczę. *Bandolero* (1) przygotował im

(1) Rozbójnik, łotr.

jeść i pić, a święta rodzina przyjęła to, gdyż Bóg nie odrzuca ofiary złych nawet ludzi. Dlatego też nieustannie Go błagajcie, nawet gdybyście byli w grzechu śmiertelnym. Nie zapominajcie że *bandolero* na śmierć skazany znalazł miłosierdzie u Boga, gdyż żałował w chwili śmierci na krzyżu, a żalność ta była jego pokutą, jak ofiara Chrystusowa. Został chrześcianinem i wszedł pierwszy do królestwa Niebieskiego wedle obietnicy Zbawcy, co krew swą przelał za niego."

Wiatr tymczasem dął przeraźliwie; drzwi skrzypiały jakby niewidzialną siłą poruszane, a stare drzewo pomarańczowe ugięło się z szumem.

— Jeżeli to dłużej potrwa—rzekł Peryko—nie zostanie nic na ziemi.

— Co za dęszcz!—dodał Pedro—leje jak z cebra. Całe pole zalane wodą jakby strumieniem.

— Czy widziałeś—rzekła Angela do brata—jak chmury przesuwają się dziś wieczór, jakby charty?

— Tak, ale dokądże to one dążyły?

— Do morza, po wodę.

— To w morzu tak wiele jest wody?

— O! więcej niż w sadzawce wuja Pedra.

— Szum wiatru, wydaje mi się—rzekła Marya—głosem złego ducha; straszny okropnie.

— Wszystkiego się boisz matko—pomruknęła Ryta—i nie wiem kiedy się uspokoisz. — No! udusisz mię, dodała odpychając swego synka, który się oparł na nią; idź spać, bo cię zjem.

Dziecina napoły śpiąca, straciła równowagę. Elwira wydaje krzyk; Peryko rzuca się ku niemu i zatrzymuje go w swych objęciach; wrzeczono wymyka się z rąk Anny, która go podjęła nie rzekłszy ani słowa.

— Kiedy je stracisz—rzekł Pedro z oburzeniem—nie będziesz tak opłakiwać jak ja swoich: jestto, bezwątpienia przewaga, którą masz nademną.

— Jeito żywość trzyma mię zawsze jak na rozżarzonych węglach, tak, jęj żywość—przerwała Marya.

— Tak więc, matko Maryo—dodał prędko Peryko, chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot—lękasz się wszystkiego. Czy także obawiasz się czarnoksiężników?

— Nie, tego to nie, mój synu; religia chrześcijańska zabrania nam wierzyć w czarodziejów i czary: ale lękam się wszystkiego, co Bóg dopuszcza na ludzi, zwłaszcza rzeczy nadprzyrodzonych.

— Alboż to mogą być jakie cuda? Czyś kiedy co nadprzyrodzonego widziała?—zapytała Ryta.

— Czy są! i ty o tém śmiałaśbyś wątpić?

— Dlaczegożby nie?

— Jakto! przecyzysz, że dzieją się rzeczy nadzwyczajne?

— Tego zaprzeczać nie myślę i do nich zaliczyłabym chętnie, np. (gdyby się znalazł jeden choćby) każdy dzień, w którymbyś mi nie kładła w uszy perory jakiej; ałe, żeby rzeczy nadprzyrodzone istniały, nie wierzę: podobną jestem do świętego Tomasza.

— Możesz się z tém pochwalić! Szkoda, że jeszcze nie mówisz, żeś podobna do św. Piotra zdradzającego swego boskiego mistrza.

— Ale nie o to tu idzie, Senora; powiedz czyś aby świadkiem była jakiego cudu? bo wszystko przyjmujesz jeno na wiarę, a okręt gotowaś wziąć za rekina.

— W istocie, jakbym widziała na własne oczy.

— Opowiedz nam to, ciotko—prosiła Elwira.

— Córko moja—ciągnęła Marya zwracając się ku synowicy—zaraz ci powiem, co się przytrafiło hrabinie Villaran, która mi sama to opowiadała, gdyśmy byli dzierżawcami w jój *haciendas* (1) Quintos.

Pobożna ta pani zwykła była zawsze zamawiać mszę za skazanych na śmierć w chwili gdy ich tracono; ale kiedy słynny Vellico przebiegał wzdłuż i wszérz okolice i mnóstwo popełniał gwałtów, oburzona hrabina poprzysięgła, że jeśli będzie uwięziony, nie zrobi dlań tego, co dla innych zbrodniarzów robiła. Tak się téż stało: Vellico wstąpił na szafot, ale mszy nie odprawiono.

W jakiś czas potém, kiedy hrabina spała spokojnie, przebudził ją nagle smętny głos jakiś wołający na nią po imieniu.

Przestraszona wybiegła z łóżka, lecz mimo światła lampy, niczego dojrzyć nie była w stanie. Po kilku chwilach trwogi usłyszała ten sam głos wymawiający jój imię; a nim

(1) Posiadłości, włości.

biędna pani zdołała wyjść z osłupienia, głos dał się słyszeć po raz trzeci, na podobieństwo tłumionego westchnienia, co wybucha i niknie w dali, nawołuje i przypomina się bezustannie.

Hrabina zadzwoniła: wszystka służba przybiegła i zastała ją niespokojną i przestraszoną; ale głosu nikt już nie usłyszał.

Dnia następnego, w kościele, w czasie mszy za duszę straconego zbrodniarza świece gorzały na wszystkich ołtarzach; a hrabina klęcząc w świątyni, modliła się gorąco. Bo łaska boska, nie to co ludzka, nie wyłącza nikogo. A teraz, co myślisz, Ryto?

Wszystkich do głębi wzruszyło opowiadanie Maryi, gdy nagle jak mróz na kwiaty, spadła na nich odpowiedź młodej kobiety, która ziewając, wyrzekła:

— Myślę, że hrabina marzyła.

— Tam do kata! jakaż niewierna!—zawołał wuj Pedro. Ta Ryta skończy jak ów *Lucero*, który, jak mówią kaznodzieje, odłączył się od kościoła.

— Ave Maria! Pedro, nie mów tego,—krzyknęła czuła matka—powiedz raczej: jaki upór! gdyż ona jeno tak mówi by mię przestraszyć.

Hałas jaki się dał słyszeć przy wrotach, zamknął usta Maryi.

— Chryste Jezu! co to?—zawołała nakoniec.

— O! nie, matko Maryo—odpowiedział śmiejąc się Peryko. Cóż chcesz, żeby było, ot wiatr, i basta.

— Mamo—szepnęła Angelita—dźwięcznym głosem—otul mnie suknią, jak tata Angela—boję się!

— Wybornaś! jeszczeby tego brakowało—odpowiedziała Ryta, wpadając w zły humor. Wynoś się senorita, i pamiętaj, żebyś mi się na oczy nie pokazała przez cały wieczór.

— Chciałbym wiedzieć—odparł Peryko po chwili milczenia—czy ci, co tak się śmieją z cudzej bojaźni, nie zaznali nigdy co to przestрах.

— Peryko, Peryko,—wołała zaniepokojona Marya—coś hałasuje na dworze.

— Ależ, matko Maryo—odpowiedział tenże,—strasznieś bojaźliwa! byle co cię zatrważa. Alboż nie widzisz, że to okap na dachu szeleści.

— Co? strach?—ciągnął Pedro półgłosem i jakby mówił do siebie—odkąd ten ślad krwi w mym domu...

— Pedro, Pedro, czyż wiecznie będziesz do tego powracał? Chcesz-że odnawiać naszą boleść? Na cóż się przyda powracać do przeszłości, minęła bezpowrotnie i na nią nie masz już lekarstwa!—rzekła Anna.

— Widzisz, Anno, cięży mi moje cierpienie, i potrzebuję zrzucić ten ciężar z serca. To, że jestem samotny, sam bez żywej duszy we własnym domu, to mię do rozpaczki doprowadza! Posłuchajcie: często bardzo w nocy, kiedy dokoła najzupełniejsze panowało milczenie a sen uciekał z mych powiek, widziałem go, widziałem tego grenadyera, którego mój syn zabił; widziałem takim, jakim go znałem za życia, w szarym płaszczu, w futrzanej czapce, jak wychodził ze studni, do której go wrzucono, wchodził do pokoju, gdzie go zabito i szukał śladów swej krwi. Widzę go przed oczyma: wysoki, nieruchomy, straszny...

W téjże chwili drzwi otwierają się na ścieżaj, a na progu zjawia się osoba wysoka, nieruchoma, straszna, w szarym płaszczu i w czapce grenadyera.

Wszyscy przerażeni, bez ruchu, a głos zamarł w piersi.

— Pod Twoją obronę!—zawołała Marya.

Angel schronił się na kolana ojca, a Angelita za babcię.

— Ventura!—szepnęła Elwira, a oczy jej się zamknęły i upadła w objęcia matki.

Melampo, wesół, jak tylko mógł podskakiwał i obsypywał swego pana pieściami.

W jednéj chwili poznała Venturę żona, która nigdy o nim nie zapomniała i pies, który nie zna, co to niewierność.

Z szybkością błyskawicy podniósł się Pedro; lecz starzec zachwiał się i byłby upadł, gdyby Ventura, rzuciwszy płaszcz i czapkę, nie pochwycił go w swe objęcia. Łatwiej jest bezwątpienia zrozumieć i odczuć, niż wyrazić i odmalować następującą scenę niewypowiedzianego nieładu, w której mieszały się z sobą przyspieszane słowa, wykrzykniki z niespodzianki, podziękki Bogu i łzy radości.

Kiedy Ventura nakoniec uwolnił się z objęć ojca, który zaledwo wierzył swym oczom, że własnego syna przyciska do serca, zwrócił wzrok swój na Elwirę, którą podtrzy-

mywała matka, dając jój do wążania chustkę, umaczaną w occie. Rozczulił się młody żołnierz, a błyszczące jego oczy posmutniały nagle i z otwartą szczerością człowieka, co był w obozie, rzekł do niój:

— Czyś słaba, Elwiro?—zmieniłaś się bardzo.

— Teraz ozdrowieje—zawołał Pedro, któremu dawny wesoły humor powrócił. Twoja nieobecność, Venturo, i niepewność gdzie się obracasz, były tego przyczyną; czyż potrzeba było więszdej? I daczegożeś to, boskie stworzenie, nie dał żadnej, choćby najmniejszej wiadomości o sobie?

— Ależ, przecie mój sierżant—odrzekł Ventura—pisał do was najmniej ze sześć razy. A potém, popędzili mnie do Francyi, byłem jeńcem... lecz długoby o tém gadać... Jak doskonale wyglądasz Ryto—dodał, zwracając się ku niój.

Jak tylko Ventura wszedł, Ryta nie spuszczała zeń oka: jego wąsy, mundur i wojskowa postawa cudowne jój się wydawały.

— Ho! jaka się to z ciebie zrobiła piękna i wielka dama; dobrze cię widać żywi Peryko? A ty, Peryko, zawsze uprawiasz ziemię! To wasze dzieci! o! jakże śliczne! niech ich Bóg zdrowiem i błogosławieństwem darzy! Przybliźcie się do mnie, moje klejnoty, ja nie jestem ani Francuzem, ani Gargantua (1).

I usiadł, chcąc się z dziećmi popieścić.

Tymczasem dobra Marya, zbliżywszy się doń z tyłu, położyła mu na głowie obie ręce i długo okrywała pocałunkami i łzami.

— Ciotko Maryo—mówił przerwami Ventura—niezawodnie modliłaś się za mnie. Założyłbym się, żeś odmówiła więcej jak sto nowenn i żeś uczyniła z jakie tysiąc ślubów najmniej.

— Tak, mój synu, tak, i zaraz jutro sprzedam najpiękniejszą kurę, i dam na mszę do św. Anny.

— Ciotko Anno, co tak upornie milczysz, czyliż nie cieszysz się widząc mnie wracającego?

(1) Gargantua jest sławnym bohaterem znakomitej satyry napisanej à la *Don Quichot* przez Fr. Rabelais'go p. t.: *Vie, faits et dits héroïques de Gargantua et de son fils Pantagruel*. (Przyp. tłum.).

— O i jak jeszcze!—odpowiedziała wdowa—lecz całą uwagę zwróciłam na Elwirę. Bóg mi świadkiem, jakem rada z twego powrotu, dodała patrząc na bladą twarz córki: gotowam na wszelkie ofiary dla przyjemności mojego dziecka.

— O zapewne—zawołał Pedro—ta ofiara będzie nam wszystkim przyjemną, wyjąwszy moich koziołków i twych kur, które padną ofiarą kiedy naspraszamy przyjaciół.

— Nie śpiesz się tak—odrzekła Anna śmiejąc się — wesele kumie przygotować, to nie pieczeń upiec.

— No, każdy owoc do swego drzewa, każdy ptak do swego gniazda—rzekł Pedro wstając. Mości panowie, jest na ulicy okno zakratowane, któremu przykrzy się samotność.

— Tęj nocy, wuju Pedro—dodała Ryta z przeciągłym uśmiechem—smutki przepadną razem z Francuzami, i już, ani jedno, ani drudzy nie powrócą.

— Amen, amen, taką mam nadzieję!—odpowiedział wesoły i uradowany starzec.

* * *

Na zebraniu dnia następnego Ventura przyprowadził z sobą pieska, czarnej połyskliwej sierci, zwanego *Bębmem*. Zaledwie się pokazał, umyty, uczesany jak najwytworniej, aliści Melampo przyjął go groźnie i jednem uderzeniem łapy przewrócił na ziemię.

Napróżno Peryko go bił, a Ventura kopał nogami, napróżno Pedro rzucał mu kapelusz, a kobiety krzyczały na niego, Melampo stał groźnie i warczał; lecz gdy Angel przybiegł doń, pieszczotliwie objął go rączkami i krzyknął mu w ucho: „Paskudny! a do budy!” Melampo porzucił niespodziewaną zdobycz i cofnął się ze łbem zwieszonym, jakby zawstydzony zwycięstwem słabszego. Położył się w kącie i odwrócił mordę do muru, nie chcąc być świadkiem pieszczot, jakimi obsypywano psa o trefionęj i wygolonęj na grzbiecie sierci, z grzywą, której długie kudły były zawinięte i ogonem kiściastym: wszystko to wielce obrażało naszego Melampa.

— A najprzód—zaczął Peryko—powiedz mi z łaski swój, Venturo, jakim sposobem wczoraj się zjawiłeś, jakbyś spadł z nieba, kiedy ci nikt wrót nie otworzył.

— Nic łatwiejszego — odrzekł Ventura. Skorom tylko przybył, pobiegłem do domu; ciotka Curra, której ojciec mój daje mieszkanie, aby o nim miała staranie, otworzyła mi; a chcąc koniecznie przybyć do was z nienacka, przeskoczyłem przez mur na podwórze, jak za dni dziecięcych.

— Miałam słuszność — mówiła Marya — mówiąc że ktoś stuka i chodzi po podwórzu.

— Teraz — rzekł Peryko — rozpowiedz nam swoje przygody; czy byłeś raniony?

— Czy był raniony! — zawołał wuj Pedro — odkryjcie mu pierś, a zobaczycie głęboki znak kuli, która tą razą nie tknęła go wcale, dzięki guzikowi; ot patrz jak go kula spłaszczyła. Spojrz mu na ramię, na tę bliznę...

— Ale, co to o tém gadać, biedny ojczy — odparł Ventura — kiedy się wszystko wyléczyło? Ocalony — ciągnął dalej — szedłem w stronę rzeki i przybyłem do San-Lucar, gdzie wsiadłem na okręt płynący do Kadyksu. Tu wstąpiłem do pułku gwardyi, zostającego pod dowództwem księcia del Infantado; zaprzyjaźniłem się ze znakomitym i starożytnego rodu żołnierzem i pokochaliśmy się jak bracia. Niedługo potem wysłano nas morzem do Taryfy, mieliśmy bowiem zając tył Francuzom, kiedy Anglicy napadali na nich z przodu. Potrójne to usiłowanie sprowadziło bitwę pod Barrosą, w której nieprzyjaciele pierzchnęli ku Herez, a my zostaliśmy panami ich stanowiska.

— Daléjże! wykrzyknąłem do mego przyjaciela, rzućmy się w sam środek boju, trzeba wyrwać tego pysznego orła, co go ten Francuz tak dumnie w górę podnosi, że mi aż wzrok razi. — Daléjże! odrzekł, i nie polecivszy się ani Bogu ani djabłu, poskoczyliśmy do chorążego; towarzysz mój zabił go i wyrwał mu obrzydłego ptaka: lecz w mgnieniu oka otoczyli nas Francuzi, chcący swój sztandar odebrać. — Oho, nie dostaniecie go: złapany ptak z klatki nie uciecze; *Pepe Botllas* (1) i *Napoladro* powinnyby osobiście go poszukać. Złożyliśmy go pod drzewem i powiedzieliśmy im: „Teraz! odebrać spróbujcie.“ Przyszli, (bo te djabły są to zuchwałe sztuki: choćby walezyli w złej sprawie, nic im to nie szkodzi),

(1) Lud mawiał że Józef Bonaparte podpijał sobie, i z tego powodu nazwano go *Pepe Botellas* (Józef-butelka).

zabili mego biednego przyjaciela, a pewnieby i mnie nie darowali, lecz zmuszony byłem ustąpić tak przemagającą liczbę. Ptak ten mocno mię jednak obchodził. Lecz dzięki Bogu, nie mógł już więcej śpiewać po francuzku Mambu. Nasi przybyli i nieprzyjaciół pokonano. Ale ja leżałem ranny. Nigdy nie sądził, że mam tyle krwi w żyłach! Zniesiono mnie z orłem przed pułkownika. Ten powinszował mi i obiecał krzyż św. Ferdynanda za złapanie ptaka. „Nie ja pułkowniku— odrzekłem— lecz mój przyjaciel który umarł...” wtém straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do siebie, byłem w szpitalu. O krzyżu zaś nie było już nigdy mowy.

— Sameś sobie winien— rzekła Ryta;—dlaczegoś się tak odzywał do pułkownika?

Ventura spojrział na Rytę z zadziwieniem, jakby nie pojmował, co chciała powiedzieć.

— Zrobiłeś co ci powinność nakazywała,—zawyrokował Pedro;—kończ.

Kza zaświeciła na licach Elwiry.

— Jeszczem zupełnie był nie wyzdrowiał, kiedy nas zawieziono do Huelva i wziąłem udział w bitwie pod Albuera z dywizją marszałka Soult. Nieco później francuzi wzięli mnie do niewoli, lecz wymknąłem się im i zaciągnąłem się do wojska w Grenadzie, którém dowodził książę del Parque i ztamtąd ścigałem nieprzyjaciół aż do Pirenejów. Powróciłem następnie do Madrytu, gdzie otrzymałem uwolnienie od służby.

— Prawda, Venturo-- rzekła Marya— żeś więcej świata przebiegł, niż bociany.

— Nie zupełnie—odpowiedział Ventura—lecz go dobrze zwiedziłem. Byłem bardzo daleko z generałem la Romana, w kraju gdzie ziemia niby płaszczem pokrywa się śniegiem tak gęstym, że niekiedy giną wśród niego ludzie.

— Maria Santissima! — mówiła drząc poczciwa kościelna.

— Ale za to dobrzy ludzie tam mieszkają!

— O! kiedy tak, niech ich Bóg błogosławi!

— W tym kraju nie masz wcale oliwy, i nie jedzą czarnego chleba.

— Byłoby to dla mnie niekoniecznie wygodnie: mogę się obejść bez wielu rzeczy, lecz potrzebuję zawsze najlepszego chleba.

— A jakąż zupę można zrobić z czarnego chleba bez oliwy?— rzekła Marya.

— Oni nie jedzą zupy— odpowiedział Ventura.

— A cóż jedzą?

— Jedzą kartofle i mleko.

— Niechaj im to będzie z wielką korzyścią dla żołądka!

— Co gorsza, ciotko Maryo, w tym kraju nie ma ani mnichów, ani zakonnic.

— Co mówisz, mój synu?

— To, że jest tam mało kościołów, a wszystkie są podobne do wielkich domów próżnych, bez sprzętów, bez kaplic, bez ołtarzów, bez obrazów i bez Najświętszego Sakramentu.

— Jezu Chryste!— krzyknęli wszyscy razem prócz Maryi, osłupiałej i nieruchomej jak posąg; lecz po chwili, i ona składając ręce jak do modlitwy krzyknęła:

— Do mnie, moje słońce! i chlebie mój biały! i mój kościele! i moja Przenajświętsza Matko! i kraju mój, wiaro moja, i mój Boże wcielony! Jakżem szczęśliwa, żem się tu urodziła i że tu umrzeć mogę dzięki miłosierdziu boskiemu. O! jakież dzięki winnam Niebu, że tam światła nie ujrzałam mój synu, tam ziemia herezyi, jakże obrzydliwa!

— Alboż herezya udziela się jak robactwo?— zagadnęła Ryta śmiejąc się.

— Tego nie mówię, Boże uchwaj— odpowiedziała dobra Marya— ale...

— Wszystko się udziela— przerwał Pedro— z wyjątkiem tego, co dobre, a najlepiej zostać we własnym kraju. Dałbym za to głowę, że ci, co go opuszczają, niewiele na tém zyskują.

— Gdzieżto się nie włóczę ci biędni wojskowi?

— Dlatego właśnie zawsze ku nim miałam wielką skłonność— odrzekła Marya;— tak, dlatego, oraz, że bronią wiary Chrystusowej. Ztąd też, wiele doznałam opieki św. Ferdynanda, tego pobożnego i walecznego wojownika. Jego obraz starannie zachowuję w moim pokoju, a na około muru

powycinałam z papieru małych żołnierzków, sądząc, że hołd ten będzie miłym dla tego, który był niemi otoczony za życia. Raz, pomnę, kiedy Ryta liczyła zaledwie lat dwanaście, poszłam do Sewilli, a ona mi dała reala na kupno małego grzebyczka. Przechodziłam мимо sklepu antykwarjusza, i spostrzegłam w oknie u niego malowanych żołnierzków. Jakażby to była straż dla mego świętego!—pomyślałam sobie. Lecz wydałam już wszystkie pieniądze, i miałam tylko reala Ryty, a arkusz z żołnierzami kosztował jak raz reala.—No, tłumaczyłam sobie: lepiej, że będzie brakowało Rycie téj drobnostki, aniżeli straży memu świętemu i kupiłam go.

Powiedziałam Rycie, że mi zabrakło pieniędzy, i nie kłamałam; lecz nazajutrz, gdym zaczęła oklejać mur żołnierzami, Ryta weszła:—„Jako—krzyknęła—miałaś dosyć pieniędzy na kupno tych szkaradzieństw, a zbrakło ci ich na grzebień?”—To mówiąc, wyrwała mi z ręki moich żołnierzków, chcąc ich wyrzucić za okno. Dziecko—krzyknęłam, wyrzucając mych żołnierzków, wyrzucisz mi serce na ulicę!” Lecz widząc, że ona nic sobie z mych prośb nie robi, porwałam miotłę i zaczęłam ją okładać z całych sił. Zresztą, raz to pierwszy i ostatni ją biłam.

— Trzeba było częściej ją bić—wtrącił Pedro.

— Co za szczególny z ciebie człowiek, Pedro!—odrzekła Ryta. Matka moja bładziła nie karząc córki, a ją bładzę, nie pieszcząc swych dzieci. Lecz, kiedyś tak lubiła żołnierzków, matko, dlaczego dokładałaś tyle starań, ażeby uwolnić swego siostrzeńca Miguela?

— Lubię żołnierzków, już dlatego, że cierpią i muszą cierpieć nędzę i to jest powodem, dla którego chciałam uwolnić mego siostrzeńca—powiedziała Marya.

— Naśmiałażem się wówczas, naśmiałam!—ciągnęła Ryta, zwracając się ku Venturze. Matka, podczas ciągnięcia losów paliła świece do Wszystkich Świętych. Ale, że nie miała lichtarzy, powydrażała skorupy z muszli, ponapełniała je piaskiem, ponaléwała oliwy, powkładała knoty i chodząc od jednego do drugiego świętego usilnie ich błagała. W téjże chwili przybyła matka Miguela, z oznajmieniem, że jój syn wyciągnął los do wojska. Na tę nowinę, matka moja pogasiła wszystkie lampki, jakby chciała powiedzieć

do świętych: zostańcie teraz w ciemnościach, nie ma co z wami robić.

— Alboż to wolno tak się wyrażać, Ryto?—rzekła matka. Bóg nie sądzi serc w ten sposób. Poddałam się moja córko, poddałam, bo niebo ogłosiło swą wolę, a gdy Bóg nie chce, święci nie pomogą.

* * *

Jak żywą, tak krótką była radość Elwiry. Czyż nie nie może ująć wzroku tej, która kocha? Alboż to nie wiemy że są rzeczy równie zabójcze, jak wiatr Guadarrama. Ryta i Ventura nie zdawali jeszcze sobie sprawy z zachwyty i oczarowania wzajemnego, i nie domyślali się nawet, że Elwira już po raz drugi ofiarowała Bogu cierpienia zawiedzionej miłości, a tym razem bez żadnego promyka nadziei. Roztropna i spokojna przewidywała blizkie zerwanie, nieuniknione hasło jakiegóż katastrofy. Cierpiała jak męczenniczka w cichości a nigdy nie śmiała odepchnąć od siebie zimnych oświadczeń, uczucia bladego i wątego jak ona, uczucia, które zniknęło powoli przy świetnym płomieniu nowej miłości. Odwiedziny u kraty okna co wieczór stawały się krótsze i ozięblejsze. Jednakowoż nie nadarzyła się sposobność, w którejby giesta, spojrzenia, słówko spotkać się mogły przy zgodnym biciu serc dwojga kochanków. Na podobieństwo motylów, lubili przybliżać się do płomienia, dając się uwodzić tajemnemu pociągowi, z którego zdać sprawy sobie nie umieli i nie znajdowali żadnych przeszkód. Rzecz to bowiem prawie nieznaną po naszych siółach, żeby kobieta zamężna zapominała o swych obowiązkach i narzeczony nie pozostał wierny swym przyrzeczeniom; mianowicie zaś w rodzinie, której dzieje kreślimy, było to niepodobieństwem. Lecz Ryta nie znała hamulca, a wojaczka była dla Ventury oplakaną szkołą obyczajów.

Raz, zanim poszedł w pole, Peryko rzekł do Elwiry, którą spotkał siedzącą na dziedzińcu:

— Siostró, oto masz pieniądze; kup sobie za nie suknię kolorową, gdyż czarny ten ubiór, któryś postanowiła nosić aż do powrotu Ventury, już nie przypada; od tej chwili chcę żebyś równie twarzą, jak i ubraniem okazywała wesołość.

— Bracie, schowaj pieniądze—odrzekła Elwira, za ledwie mogąc się od łez powstrzymać. Codziennie czuje,

że się moje zdrowie pogorsza; lepiej będzie (co wkrótce pono nastąpi) połączyć się ze Stwórcą, aniżeli wdzięwać szatę weselną: na cóż zrzucać dziś suknię w której jutro może do grobu mię włożą?

— Nie mów tego sestro! — zawołał Peryko — mieczem boleści przesywasz mi serce. Już to taki masz teraz zwyczaj; ciągle ci się jakieś czarne myśli snują po głowie. Kiedy będziesz szczęśliwą z Venturą, jak ja z Rytą, i jak da ci Pan Bóg dwoje takich dzieciaczków jak nasze, które ci radość przyniosą, odpędzisz daleko od siebie wszystkie smutne myśli. — Malce, dodał biorąc je na ręce, dalejże, bawcie swą ciotkę.

Elwira pożegnała brata spojrzeniem, serce jój rozdzierała boleść tém srożej i głębiej, że ją tłumiła, uważając wszelką skargę jakaby mogła się z jój ust wydobyć za nieroztropny krzyk trwogi, nie mogący zakłąć złego, na które od téj chwili nie było już lékarstwa.

— Ciociu — rzekł Angel — nie ma sposobu zatrzymania Melampa w domu, jak tylko ojciec wyjdzie z domu.

— Czyni, co powinien, jest bowiem dobrym psem — odrzekła Elwira.

— A dlaczego nazywa się Melampo? — ciągnęło dziecko z tą nienasyconą ciekawością, jaka jest właściwą młodemu wiekowi.

— Dlatego — odrzekła dobra i słodka Elwira — że to jest nazwa jednego z tych psów, którzy towarzyszyli pasterzom śpieszącym do Betleem dla widzenia Nowo-Narodzonego. Było ich trzech: Melampo, Cubilon i Lobina; a psy noszące te nazwy nie wściekają się nigdy.

— Ciociu — zawołała Angelita kręcąc się za ptaszkiem — nie mogę złapać téj jaskółki.

— To nie jaskółka, dziecko moje. Jaskółki z wiosną dopiero się zjawiają; nie można nigdy ich łowić, ani im czynić co złego.

— Dlaczego, ciociu?

— Dlatego, że to są przyjaciółki człowieka; mają w nim zaufanie i budują swe gniazdko pod jego dachem; oneto również wyrwały ciernie z korony Zbawiciela, wiszącego na krzyżu.

W tój chwili Angel upadł i zaczął płakać. Ryta śpiesznie podbiegła a ściskając go:

— Coś sobie złego zrobił—rzekła doń—co ci jest, matczyzna pociecho? Potém obcierając mu fartuchem twarz, którą upadając powalał sobie:

— Co ci jest ciągnęła, mój aniołku, całyś pyłem okryty? Błogosławione niech będą te oczy, i ta buzia, i te śliczne rączki!

I tak litując się nad nim i okrywając pocałunkami, zaprowadziła go wraz z Angelitą do domu swój matki. Sama zaraz powróciła, wzięła swą bieliznę i poszła na podwórze, do pralni.

Podwórze to przytykało do domu wuja Pedro, od którego rozdzielał go tylko mur niski.

Ryta wedle krajowego zwyczaju, wkrótce śpiewać poczęła.

Pomiędzy ludem andaluzyjskim przechowało się mnóstwo piosnek, tak rozmaitych w pomyśle i formach, że łatwo znaleźć nie jedną do każdego przedmiotu myśli i uczucia odpowiednią.

Głos dzwięczny i sztucznie cieniowany, odpowiadał z sąsiedniego domostwa. Tak więc w ten sposób śpiewano rozmowę, którą głos mężki kończył tą wiele dającą do myślenia strofką:

Co chcę dokouam,
Wzłyczać nie trzeba;
Ani ślać z wiatrem
Skargi do nieba.

Podczas tego dyalogu, Elwira pracowała obok matki; oblicze jój czyste i pogodne nie wydawało męczarni serca. Anna wszelako spoglądała na nią z przenikliwością matki i mówiła sama do siebie: „Czy nadzieje, jakie zakładałam sobie na powrocie Ventury zawiodą? Czy go Bóg przeznaczył dla niej?”

Zadyszane dzieci wbiegły.

— Babciu, ciociu Elwiro, krzyczały, wuj Pedro powiedział, że dziś w nocy oślicy urodziło się oślątko, a myśmy go nie widziały: chodźmy go zobaczyć, chodźmy go zobaczyć!

I jedno ciągnąc babkę, drugie ciotkę, wszyscy wyszli na podwórze, gdzie była stajnia, i otworzyli wrota.

Jakaż boleść przeszła serce Anny, kobiety uczciwej, kochającej matki! Ventura był z Rytą.

Nagle jak błyskawica, Ventura wskoczył na koło od wozu i znikł za murem.

Ryta, rozszuszczona do najwyższego stopnia, jak gdyby nic się nie stało, wzięła się znów do prania, i z udaną spokojnością zaczęła sobie nucić:

- Kto mi da szczęście
Ewy, Adama,
Którzy nie znali
Co druga mama;
Będąc zrodzeni
W doli szczęśliwej,
Nigdy nie mieli
Świekry złośliwej.

Dzieci bieżyły nie zatrzymując się aż do stajni. Ale Anna natychmiast odprowadziła swą córkę napoły umarłą do domu i tu na łonie matki, dla której od tej chwili przyczyna jej boleści nie była tajną, Elwira wybuchła głośnym łkaniem.

— I ty o tém wiedziałaś! — rzekła do niej matka — milcząca męczenniczko roztropności! Płacz, tak, płacz teraz; łzy są jak krew, co wycieka jak z rany i ból łagodzi. Wiedziałam o tém dobrze co ona za jedna, i uprzedziłam o tém Peryka. Wiedziałam, że klątwa ciąży nad związkim krewniaków, i to mu przepowiadałam. Nie chciał mię słuchać. Byłoby lepiej żeby poszedł na wojnę!

Ryta jakby szyszając ze wszystkich, wciąż śpiewała:

Gdyby na woz bratowe
Oraz świekrę spakować!
Piekło takim ładunkiem
Mogłoby się radować!

* * *

Ryta szyła, gdy weszła jej świekra. Lekko zasunąwszy za sobą rygiel od drzwi, usiadła naprzeciw synowej.

— Wiesz już Ryto — rzekła do niej z boleścią a rzewnie, — że twoje małżeństwo nigdy nie było mi po myśli.

— I przyszłaś może żebym ci za nie złożyła dzięki?
— zuchwale odparła Ryta

Anna udała że na to nie zwraca uwagi i dodała:

— Co do mnie, rozumiałam cię bardzo dobrze.

— O! na to nie trzeba być sławnym wieszczkiem—zawołała Ryta—żyję cała otwartością; mówię co myślę i jak myślę.

— Nie w tém nieszczęście, że mówisz co myślisz, ale w tém, że myślisz, co mówisz.

— Widzę to, zapewne, że lepiej gdybym była *cichą wodą* jak inne, które wydają się płatkami śniegu a są przecie ziarnkami soli.

Byłto przytyk do Elwiry. Annę boleśnie to dotknęło, lecz nie przywiązując do tego wielkiej wagi dodała:

— Lecz omyliłam się; nie znałam cię wcale.

— Nigdy nawet przypuszczać nie mogłam—ciągnęła Anna—że rzeczy zajdą tak daleko...

— Strzeż się teraz! będzie łało jak z cebra—rzekła Ryta, robiąc nieprzyjemną minę, i z gorączkowym pośpiechem szyć zaczęła.

— Skoro wcale ci nie trudno oszukiwać mego syna....

— A! otóż jesteśmy w domu!—zawołała Ryta z zimnym bezwstydem.

— I zabijać mą biedną córkę!...

— Czy to już wszystko? przerwała Ryta. Że Ventura nie chce się żenić z widmem, które stoi nad grobem, to cóżem ja temu winna? że jest wesołego usposobienia i że pragnie bawić się ze mną, co również i mnie się podoba, i tę rozrywkę woli, niż pić z nią topolówkę (1), cóż mogę na to poradzić?

Anna pozwoliła Rycie skończyć, nie okazując na obliczu boleści duszy, tylko bladość śmiertelną.

— Ryto—rzekła do niej, gdy ta skończyła mówić—mężatka nie może się bezkarnie kompromitować.

— Co mówisz?—zawołała Ryta, podskoczyła na równe nogi i rzuciwszy w kąt płótno, twarz jéj oblała się szkarłatem, a oczy zapłonęły:

— Co wyrzekłaś senoro? Ja skompromitowana! I to za jedno i drugie spojrzenie, jak gdybym mogła schować oczy w kieszeń. Skompromitowana! zhańbiona! Tyś tego zawsze chciała, jako świekra, zła świekra; lecz nigdy

(1) Lekarstwo na piersi.

się nie spodziewała, żeby pobożne dusze mogły się kiedy dopuścić takiego kłamstwa.

— Nie mówię, że jesteś skompromitowaną — odparła Anna tym tonem poważnym i umiarkowanym, jaki potrafiła utrzymać od początku rozmowy — lecz że dążysz do tego, żebyś nią została i będziesz nią wkrótce, jeśli Bóg nie dopomóż, otwierając ci oczy.

— Zawsze wkółko jedno i to samo prorokujesz! Drużgi Jonasz! I dodała przez zęby: wieloryb mógł cię połknąć tak samo!

— Tak, Ryto, tak; przychodzę...

— Aby mi pogrozić — przerwała Ryta z postacią wyzywającą.

— Nie, Ryto, nie, moja córko! — odparła szlachetna niewiasta głosem wzruszonym i drżącym — przychodzę cię błagać w imię Boga, i na miłość dla mego syna, na szacunek dla twych krewnych i dla twego własnego szczęścia, abys się zastanowiła nad tém, co chcesz uczynić, ażebyś weszła sama w siebie: jeszcze masz czas.

— Czy Peryko dał ci zlecenie?

— Nie, syn mój duszy nie domyśla się niczego; a niech nas Bóg strzeże, żebyśmy mieli wywoływać wilka z lasu.

— Doniesionoby mu z pewnością — rzekła — że trzody rozgospodarowały się w jego zbożu...

Przy tych słowach, Ryta porwała się z gniewem i opuściła świekrę.

* * *

Nazajutrz, było Boże Narodzenie. Peryko wcześniej wyszedł i nie powrócił cały ranek.

Nadeszła godzina obiadowa, a Peryko jeszcze nie powracał.

W Boże Narodzenie, dziwném było to opóźnienie; ale że na wsi nie ma stałej pory do jadła, nie bardzo się o to kłopotano.

Wieczorem, Pedro i Marya przyszli o zwykłej godzinie; lecz sami.

— Czy Ventura dziś nie był? — zapytała Anna.

— Nie, — odrzekł Pedro — lecz tam świętuje, bo go pewno przyjaciele gdzie wciągnęli; tak zawsze lubił taniec, że gotów był nie jeść dla fandanga.

— A Ryta, ciotko—zapytała Elwira—nie była u ciebie?

— Owszem, moja córko, była; lecz poszła jak to przy święcie, z sąsiadką. Mówiłam jój, iż lepijby zrobiła, gdyby została; lecz że ona nigdy na to nie zważa...

— A miałaś słuszność, Maryo—przerwał Pedro—uczciwa niewiasta nie włóczy się, lecz domu pilnuje.

Byli smutni i milczący, gdy nagle wszedł Peryko.

Słabe światło lampy, przyćmione jeszcze umbrellką nie pozwalało dostrzedz wzburzenia, panującego w całej jego postaci. Ślady, zdradzające jak się zdaje, długie godziny cierpienia otaczały błyszczące jego oczy; suche i czerwone jak ogień wargi były widocznym znakiem gorączki go pożerającej.

Rzucił nagle spojrzenie dookoła siebie i zapytał porywczo:

— Gdzie Ryta?

Wszyscy zachowali milczenie, wreszcie Marya odrzekła nieśmiało:

— Mój synu, ona poszła tylko co na zabawę... chciała się trochę rozerwać... Zwyczajnie jak w Boże Narodzenie... lecz pewno niezadługo powróci.

Peryko wybiegł natychmiast, nie rzekłszy i słowa.

Matka jego podniosła się spiesznie i dążyła za nim; lecz nie mogła go dogonić.

— Mówiłem ci to, matko Maryo—rzekł Pedro—Peryko nie źleby zrobił, żeby jój dał małeńką burę, a jabym mu nie zato nie powiedział.

— Nie mów tego Pedro—odpowiedziała Marya—Peryko nie taki człowiek, żeby miał się targnąć na żonę. Ryta lubi się bawić. Cóżby tak złego było, żeby kilka chwil potańczyła? Starzy, Pedro, nie powinni zapominać że i oni niegdyś byli młodzi.

Anna powróciła wielce pomieszana.

— Pedro — rzekła — idź sam na zabawę.

— Ja! — odparł Pedro — dobraś sobie. Jużem wrócił oddawna.

— Pedro, idź na zabawę — powtórzyła Anna, lecz na teraz już z wyrazem takiego utrapienia, że Pedro zwrócił głowę ku niej i ciągle na nią patrzył.

Anna wzięła go pod rękę, podniosła i pociągnawszy z sobą na bok, przemówiła doń kilka słów gwałtownych pochichu.

Starzec wydał głuchy krzyk, skrzyżował ręce na czole, porwał za kapelusz i wybiegł prędko z izby.

* * *

Ventura i Ryta tańczyli na zabawie ożywieni tém wszystkiém, co zapala głowy młode i niedoświadczone, zaślepia rozum, każe milczeć roztropności i nie dba o szacunek ludzki: a taką zabawę podsyca wino, miłość zmysłowa, nieskromny taniec i upojenie się głupięmi oklaskami tłumu.

Na prawdę, pyszna to była para Ventura i Ryta. Świeża i promieniejąca, z głową przystrojoną kwiatami, Ryta się poruszała w tańcu a kibić jój bujała z tą nie do naśladowania właściwą Hiszpankom gracyą, która potrafi być wedle chęci, jużto skromną, już swawolną. Czarne jój oczy błyszczały jak brylanty, a w ręku kastaniety, niby rękawica rzucona napastnikom; Ventura był dla niej dobranym tancerzem, i współzawodniczył z nią pod względem wytworności w ruchach. Nigdy nie widziano tańczących fandanga z większym powabem i urokiem.

Zachwyceni widzowie, zaimprovizowali, jak zwyczaj mieć każe, kilka wierszy na cześć tak pięknej pary; śpiewali:

Tanczącej kwiaty
Dajcie z miłością,
Ma do nich prawo
Swoją pięknoscią.

Ventura i Ryta
Szczęśliwi, weseli,
W tej nocy godowej
Palmę zwycięstw wzięli.

Te ostatnie słowa przebijały powietrze, a uderzenia rąk i oklaski podwoiły się, skoro wszedł Peryko. Zatrzymał się na samym progu, lecz wszyscy zauważyli jego obecność. Sam Ventura wprowadzając Ryte szybkim krokiem do ubocznej komnaty dla ochłodzenia, przeszedł mimo niego, nie spostrzegłszy go nawet. Lecz Peryko za to dobrze zasłyszał słowa, jakie Ventura i Ryta zamieniali między sobą; słowa te potwierdzi-

ły całą przeczuwaną jego niedolę, całą podłość téj którą tak był ukochał, matki jego dzieci i całą zdradę przyjaciela, brata.

Cios był tak straszny, że nieszczęśliwy przez chwilę pozostał jakby ogłuszony; lecz odzyskawszy zaraz przytomność poszedł w ich ślady.

Ryta stanęła w zwierciadle, chcąc poprawić kwiaty, zdobiące jęj włosy.

— Tracisz czas!—rzekł do nięj Ventura—na co te róże? Alboż nie wiesz, że one więdną zawsze z zazdrości na głowie pięknej kobiety?

— Słuchaj Venturo—rzekł głos jakiś w gronie zebranych—widzę że owoc zakazany smakuje ci bardziej aniżeli swój.

— Mnie—odparł Ventura—dobry owoc smakuje zawsze, czy zabroniony, czy nie.

— To hańba!—zawołał jeden z przyjaciół Peryka.

— Milcz, nieszczęśliwy!—rzekł doń sąsiad, ciągnąc go za rękę. Nie widzisz-że, on pijany. A co ci się w to mieszać, jeżeli Peryko, którego to najwięcej obchodzi, zezwala na to?

— A któżto taki ośmiela się występować z twierdzeniem: że Peryko Alvareda zezwala na hańbę?—krzyknął mąż Ryty przeciskając się przez tłumy, błądząc, jak gdyby wyszedł z grobu.

Na głos swego męża, Ryta przecisnęła się jak wąż w pośród pijanych i znikła.

— Baczne daje oko na swą żonę—odezwało się ze śmiechem kilku młodych wartogłowów, stanowiących niby rodzaj orszaku dla nieustraszonego wojaka i zgrabnego tancerza.

— Mości panowie—rzekł Peryko, skrzyżowawszy ręce na piersi, jakby chciał powstrzymać swój gniew—czy moja postawa dostarcza wam przedmiotu do żarcików?

— To, lub co innego—odpowiedział Ventura.

I wszyscy parsknęli.

— Jesteś bardzo szczęśliwy—odparł Peryko głosem tłumionym od gniewu— że nie mam broni!

— Milcz!—krzyknął Ventura—*mitę niewiniątko* chciałoby zostać walecznym! Porzuć przechwałki, święty czło-

wieku, nie szukaj kłótni, lecz idź raczej doglądać swoich drogich dziątek!

Przy tych słowach, Peryko rzucił się na Venturę, który zachwiał się od tak strasznego napadu; lecz podnosząc się natychmiast pochwycił Peryka silnie i zwinnie, jak to było jego zwyczajem, i przewróciwszy go na ziemię, nastąpił mu kolanem na piersi, a następnie ścisnąwszy go za gardło obiema rękami, powtarzał jak wściekły:

— Ty! ty! ja cię mogę rozgnieść w palcach, a ty śmiałyś podnieść rękę na mnie! Ty! hultaju, zmokła kuro, wychowana pod spódnicą u matki, ty porywasz się na mnie?

Pedro wybladły, przybył w tój chwili.

Ventura, widząc ojca, puścił Peryka i skoczył na równe nogi.

— Tyś pijany!—rzekł Pedro, uniesiony oburzeniem i boleścią. Pijanyś i w dodatku złém winem.—Do domu!—dodał—popychając go za kark—do domu i ruszaj przedemną.

Ventura był posłusznym nie opierając się, gdyż słowa Pedra nie były jeno *głosem* ojca, brzmiącym mu w uszach, lecz jeszcze *głosem* rozsądku, sumienia i serca. Szlachetne jego popędy zbudziły się, wstydził się napaści, której był bohaterem, i głównego powodu, wiodącego do niej. Z pochyloną głową wyszedł za swym ojcem.

Podniesiony Peryko, potrosze przychodził do siebie z zawrotu głowy, jakiego dostał przez duszenie Ventury. Potarł ręką spocone czoło, rzucił na otaczających spojrzenie lwa zranionego i uwikłanego w sieci, i wyszedł, szczeptając głosem przytłumionym:

— Zgubił nas obydwóch!

Kiedy Venturę zabierał z sobą ojciec, młodzi ludzie, z jego przyjaciół nie śmieli się sprzeciwić.

— Ta sprawa tak nie zostanie—rzekł jeden potrząsając głową.

— To bardzo prawdopodobne—rzekł drugi—przecież on go tu nie na żarty pobił. Chybaby jaki święty a nie człowiek to znieść potrafił!

— Czy aby nieszczęśliwa nie zasłużyła na osadzenie u *Repentyanek* (*Siostr Żalujących*) (1) do końca życia?—dodał trzeci.

(1) Klasztor, w którym kobiety złego życia, a żalujące za grzechy, szukają schronienia.

Gdy się to dzieje, Peryko przybył do domu, powtarzając co chwila:

— Zmokła kura! tchórz!... i to on mi to powiedział, on! *Mile niewiniątko!* Czy mię kto kiedykolwiek w życiu tak poniżył, podeptał nogami; zbecześcił, jak on teraz? O! dam ja mu!

Wszedł do izby i wziął za strzelbę.

— Tato!— zawołała cienkim głósikiem Angela z sąsiedniej alkowy — tato! my jesteśmy same.

— Będzicie jeszcze bardziej same, kiedy się wszystko skończy,—szeptał Peryko nie odpowiadając swoim dzieciom.

Dziatki nie przestawały wołać:

— Tato! tato!

— Nie macie już tatki!—krzyknął Pedro i wyszedł na podwórko.

Oparł strzelbę o picń pomarańczowy, chcąc ją nabić, lecz broń wymknęła mu się z ręki, i upadła na ziemię.

Peryko chciał odejść, gdy wtém nagle stanęła przed nim matka. Czcigodna wdowa, której niespokojność spać nie dawała, słyszała jak jój syn wchodził.

— Gdzie idziesz, Peryko?—zapytała.

— W pole; mówiłem ci już, że kozy po kilkakroć pa-sły się w naszém zbożu.

— Czy byłeś na zabawie?

— Byłem.

— A Ryta?

— Jój tam nie było; matka Marya baje trzy po trzy.

Anna odetchnęła wolniej, jakkolwiek porywczosć tak mało właściwa jój synowi i ta cierpkosć odpowiedzi nadzwyczaj zadziwiły ją i zatrwożyły.

— Nie idź w pole o tój godzinie, mój synu,—rzekła doń tonem błagającym.

— Żebym nie szedł w pole, a to dlaczego?

— Alboż ja wiem? Dlatego, że serce mi mówi, żeś nie powinien wychodzić, a wiesz że serce moje nie zawodzi mię nigdy.

— Tak, *wiem o tём*—odparł Pedro z taką goryczą, że matka jego lękać się zaczęła, czy może nie zastawszy Ryty na zabawie, nie powziął jakich strasznych podejrzeń.

— Skoro tedy wiesz o tém, to nie wychodź—odparła.

— Senora—odrzekł Peryko—kobięty rozjątrząją niekiedy mężczyzn, kiedy chcą nimi rządzić; wychowano mię, mówią, *pod twą spódnicą*, i chcę popolować sobie samotnie.

I skierował się ku wrotom.

— Dobrzeżto mój synu?— szeptwała biedna matka;— Wielki Boże! co mu się stało!

Kiedy Peryko otwierał wrota, wierny jego towarzysz, Melampo, przybiegł do niego.

— Precz!— krzyknął nań Peryko, uderzywszy go nogą.

Biedne zwierzę, nieprzywykłe do złego obchodzenia się z nim pana, cofnęło się całkiem zdziwione; lecz z tym samym zupełnym brakiem urazy, który czyni z psa wzór wierności, rzucił się do wrót chcąc ścigać swego pana: zastał je już zamknięte. Zaczął tedy żałośnie wyć, co dowodzi jak prawdziwy jest instynkt tych zwierząt, kiedy swemi jękami zwiastują blizkie nieszczęście.

* * *

Sen uspokoił już w Venturze ostatnie ślady szału. Na drugi dzień wstał do głębi upokorzony, i szczerą skruczą przejęty za to co uczynił zeszłej nocy, wysłuchał z uszanowaniem sprawiedliwych i surowych wyrzutów, jakie mu czytał ojciec.

— Miałeś najzupełniejszą słusność ojcie, — rzekł; — i mogę ci tylko odpowiedzieć: nie wiedziałem co robiłem. Cięży mi to bardzo na sercu; wino, przeklęte wino! Dam zadosyćczynienie Perykowi w obec wszystkich; gdyż sądzę, że to mi równy zaszczyt przyniesie jak to, żem go tak znieważył.

— Dasz więc zadosyćczynienie Perykowi?

— O! jak najpewniiej.

— I żaślubisz Elwirę?

— Z największą ochotą.

— Czy ją uszczęśliwisz?

— Przysięgam na ten krzyż — rzekł Ventura, żegnając się ze skruczą.

— I pójdiesz do Alkali?

— Ojcie, wszędzie gdzie każesz, nawet na Gibraltar.

Pedro chwilkę popatrzył na swego syna, głęboko wzruszony, i rzekł doń:

— Kiedy tak, dziecię moje, to niechaj cię Bóg błogosławi!

Poszli zaraz do domu Anny; lecz z ust jęj dowiedzieli się, że Peryka nie było.

Ich odwiedziny, chęć zadosyćuczynienia i radość malująca się na twarzy Pedra, ukoili prózną lecz niepokojącą twogę Anny. Ale to najwięcej nadzieją napełniło jęj serce, skoro ujrzała, że Ventura zbliża się do Elwiry, mówi do nięj czule i z pełnym troskliwości niepokojem, podczas gdy Pedro przemawiał do nięj z miną tajemniczą i wskazując spojrzeniem na swego syna:

— Ten chłopiec ma ochotę jak najprędzj się ożenić; nie zbyt aby opóźniajcie przygotowania weselne: młodzieź nie tak jak my cierpliwa.

Wkrótce wyszli, Ventura poszedł na folwark, którego doglądał, a Pedro w pole, obaczyć zboże. Z początku tą samą szli drogą.

Zboże było piękne, tylko wiele w niem było zielska.

— Zielsko kwitnąc w najlepsze zaczyna, — rzekł Ventura.

— Z czasem — odpowiedział Pedro — zielsko przygłuszy zboże, gdyż jest ono prawowitym płodem ziemi, a zboże to jeno wychowankiem jęj powierzonym; lecz dzięki Bogu, nie zabraknie zboża na nasz dom — i dodał śmiejąc się — dla tych wszystkich, co mogą jeszcze do nas przybyć.

Pożegnali się, a Ventura zapuścił się w pole oliwne.

Pedro rzucił za nim tkliwe ojcowskie spojrzenie.

— Takiego syna — rzekł do siebie — o nie! nawet król nie ma. W Hiszpanii całej nie znajdzie mu równego. Postać piękna, ani słowa, ale dusza piękniejsza jeszcze.

Zaledwie Ventura postąpił kilka kroków w plantacyi, gdy nagle ujrzał wychodzącego z poza drzewa Peryka ze strzelbą.

— Dzięki ci! — krzyknął Peryko — mam jakieś powiedział coś w twarzy, co żart wzbudzić może; lecz mam takie coś w ręku co wstrzymuje od żarcików. Jestem niewieściuchem i hultajem; ale potrafię pomścić się za sromotę, jaką mi wyrządziłeś.

— Peryko, co chcesz uczynić? — zawołał Ventura, przybliżając się aby powstrzymać dłoń jego.

Ale strzał błysnął; Ventura upadł: był śmiertelnie ranionym.

Pedro usłyszał strzał i zadrżał.

— Co to jest? rzekł do siebie. Widocznie, dodał po pewnej rozwadze, Ventura strzelił do kuropatw. Lecz nie... Strzał padł bardzo blisko: choćmy zobaczyć.

I biegł pośpiesznie ku ścieżce, którą poszedł Ventura: ujrzał ciało leżące na ziemi. Zbliżył się... Boże wielki! człowiek rozciągnięty na ziemi raniony śmiertelnie, w krwi własnej brodzący, a tym człowiekiem syn jego.

Nieszczęsny starzec upadł obok Ventury.

— Ojczy— przemówił doń Ventura— opamiętaj, się pomóż mi powstać; jeszcze mam siły, dojdę do folwarku, a ty poproś księdza, gdyż chcę umrzeć po chrześcijańsku.

Bóg miłosierdzia dodał sił biednemu starcowi: podniósł syna, Ventura wsparty na ramienia ojcowskiem próbował iść, powstrzymując jęki, jakie mu boleść sprawiała.

Z folwarku usłyszano głos żałosny, wołający o pomoc: wszyscy pośpieszyli i ujrzeli idącego drogą nieszczęśliwego ojca, podtrzymującego umierającego syna.

— Księdza! księdza! szeptał głosem gasnącym Ventura.

Parobczak dosiadł oklep najszybszego bieguna i puścił się cwałem do miasteczka.

— Chirurga! chirurga!— krzyczał ojciec.

— I sprawiedliwości!— dodał dzierżawca folwarku.

Położono Venturę na materacu i starano się mu zatamować krew z rany płynącą.

Tak przeszła godzina, pełna boleści i przestachu.

Wtém dał się słyszeć przyśpieszony tentent koni. Słuchający powracał właśnie w towarzystwie kapłana; najpierwsza pomoc, jakiej żądano przybyła: była to pomoc religijna.

Kapłan wszedł niosąc na piersi świętą Eucharystyą.

Wszyscy obecni uklękli, a nieszczęsny Pedro znajdował niejaka pociechę że ma pomoc chrześcijańską.

Zostawiono księdza i rannego samych. Na całym folwarku panowało uroczyste milczenie, przerywane jedynie łkaniami Pedra..

Sługa boży wyszedł z pokoju. Słodki spokój rozlał się na obliczu umierającego.

Chirurg który był już przybył, wszedł następnie.

Opatrzywszy ranę, zwrócił się smutnie kiwając głową, do otaczających.

Pedro który z konwulsyjnie złożonemi nakrzyż rękoma, z goryczą wyczekiwał zdania lekarza, upadł jak długi na ziemię: przeniesiono go do przyległej izby.

Teraz przybyli alkade i pisarz sądowy; zbliżyli się do Ventury: oczy miał zamknięte, a bledość śmiertelna pokrywała jego lice.

— Senor alkade — rzekł chirurg — nie trzeba robić żadnego zeznania: on umiera.

Słowa te doszły do uszu Ventury.

Z właściwą sobie energią otworzył oczy i wymówił wyraźnie:

— Pytajcie: mogę jeszcze odpowiadać.

— Co była za przyczyna twój śmierci?

— Ja sam.

— Kto cię zabił?

— Ktoś, komu przebaczam.

— Przebaczasz więc swemu zabójcy?

— Tak, w obec Boga i w obec ludzi.

Te były ostatnie słowa Ventury.

* * *

Kobięty zebrały się u Anny. Żadna, wyjąwszy Ryty, nie wiedziała o wypadkach nocy poprzedniej; a jednak panowało pośród nich głucho milczenie. Naiwne nawet gaudulstwo Maryi jeszcze się nie objawiało.

— Nie wiem dlaczego — rzekła wreszcie — ale dziś czuję, że mało mi serce nie pęknie.

— Tego samego doświadczam — dodała, jakiś mi jakby ciężar leży na sercu; oddychać prawie nie mogę. Czy to skutkiem powietrza? może burza będzie, ciotko Maryo?

— Biedne dziecię! pomyślała Anna, lekarstwo przychodzi zbyt późno! ziemia dopomnina się o jej ciało, a niebo o duszę.

— Eh! co mi tam, ja jaka byłam taka i jestem — rzekła Ryta — ale co ja, to niespokojność prawdziwie pożera.

Angela czule kołysała swą lalkę, a głos jej jedynie przerywał milczenie, które po tych kilku słowach nastąpiło. Śpiewała tę słodką i jednostajną melodyą, *nana*, którą

niektóre matki umieją powtarzać z prostotą i zachwycającą słodyczą:

Objęcia moje wciąż ciebie strzegą,
Oczy me patrzą w ślad ci nieśmiele.
A gdy cię one w drodze odbiegą
Co pocznieś wtedy o mój aniele?
Lecz te małe aniołki z nieba...

.

Ten śpiew dziecięcy przerwał nagle poważny i silny głos dzwonu. Dźwięki jego znikły coraz to bardziej w powietrzu, jak gdyby uciekały w dal odległą.

— Niosą Przenajświętszy Sakrament dla umierającego—wyrzekły wszystkie kobiety podnosząc się.

Anna jeła się głośno modlić za tego, komu niosą święty wiatyk.

— Dla kogo?—rzekła Marya—nie znam nikogo niebezpiecznie chorego na wsi....

Ryta pobiegła do okna i spytała przechodzącą niewiastę, kto to chory?

— Nie wiem—odrzekła. Inna kobieta zbliżyła się mówiąc: „Jezu! a toć to morderstwo! Za proboszczem idą pośpiesznie alkade i chirurg.”

— Niech Bóg świeci nad jego duszą! zawołały wszystkie ze zgrozą i z tępym głębokim wzruszeniem, jaki sprawia ten wyraz: zabójstwo!

Głos dzwonka znów dał się słyszeć: dźwięk uroczysty, dźwięk ponury oznajmiał ludziom że jeden z braci kona w mękach i że wkrótce ma stanąć przed strasznym sądem.

Kobiety zachowywały głębokie milczenie, lecz wszystkie głęboko były wzruszone.

— Jakże mi czas długim się wydaje!—rzekła na koniec Marya—jakby słońce było przykute do nieba.

— Ten co nie wie—rzekła Elwira—podobien temu, co nie widzi: traci cierpliwość. Być może, że tego nieszczęśliwego jaki łotr zabił.

— A może przypadek—rzekła Marya.

— Babciu Anno—rzekła Angelita—kto zabił człowieka i dlaczego ludzie się zabijają?

— Któż może wiedzieć, dziecię moje, dłoń czyja poważyla się zastąpić ramię Boga, i zgasiła pochodnię, którą Bóg sam jeno może zapalić.

W téjże chwili mieszkańcy wioski, wiedzeni ciekawością zaczęli się zbierać na ulicy, wydawali okrzyki zgrozy i litości.

— Co to? — zapytała Ryta, zbliżając się do okna.

— Niosą tędy umarłego — odpowiedziano.

Elwira tajemną pociągnięta siłą, zbliżyła się do okna.

— Zostań Elwiro — rzekła do niej matka — wiész przecie, że widok umarłego zawsze ci przykre sprawia wrażenie.

Elwira nie usłuchała, gdyż już rozległ się gwar tłumu, który otoczył trupa i jego orszak.

Anna i Marya poszły téż na balkon. Zwłoki zmarłego położone na koniu płaszczem były owinięte.

Starzec postępował za nimi, podtrzymywany przez dwóch ludzi, a głowę zwiesił na piersi.

Niewiasty spojrzały.... Boże, wszak to Pedro!

Wydały krzyk jednoczesny.

Pedro to usłyszał, podniósł głowę i ujrzał Rytę... Rozpacz, gniew go opanowały. Gwałtownie wyrwał się tym, co go podtrzymywali, podbiegł do konia, i podnosząc płaszcz, odkrył skrwawione ciało Ventury, na piersi którego głęboka widna była rana:

— Patrz, nieszczęsna — zawołał na Rytę — twoje to dzieło! Peryko go zabił!

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN GUNDULICZ

I POEMAT JEGO „OSMAN” (*).

SKREŚLIŁ

Adam Rządźewski.

Tebi Višnji osobitu
Srieczu i razum sgar dopusti
Govor śladak, zlati usti,
Viekovitu czast na sviectu.

* * *

Tobie udzielił Bóg Najwyższy
Osobliwsze szczęście, rozum,
Mowę słodką, złote usta,
I wieczystą sławę w świecie.

Jan Palmoticz na cześć Gundulicza.

Na brzegu Adryatyku, na pomorzu Dalmackiem leży rozkoszne miasto Dubrownik (Raguza)—miasto, które w swém ukształtowaniu polityczném zachowało pierwiastki gminy słowiańskiej, a przez sąsiedni żywioł włoski wciągnięte do handlu, powiększając przezeń swoje dostatki, prowadziło życie spokojne, patryarchalne, tak odpowiednie charakterowi słowiańskiemu. Rząd czysto republikański spoczywał w ręku znaczniejszych i bogatszych familii: „banów i włastelinów,” obywatele nazywali się: „bracia, przyjaciołmi lub wiernymi (1).” Nie wdając się w wojny, podnosiło broń tylko

(1) W tym samym przedmiocie patrz rozprawkę: *Piotra Dubrowskiego* „O Janie Gunduliczu poecie Illirysko-Dubrownickim z XVII w. Biblioteka Warszawska r. 1841 T. IV str. 265 i *Alexandra Przedzieckiego* „Osmanida, poemat epiczny Jana Gundulicza, tłumaczony na język włoski przez M. Widowicza.” Tamże r. 1849 T. I str. 644.

w obronie własnej, lub w sprawie całego pomorza, i tak: w IX w. Dubrownik walczył przeciwko Saracenom, w X w. bronił swęj niepodległości od Wenecyi, morskich korsarzy, bułgarskiego cara Samuela i cesarza Ottona, w XI przez stosunki z Robertem Guiscard'em wciągnięty został w długą wojnę z cesarstwem greckim i Wenecyą, w XII wojował z banem Bośni i Stefanem Nemaniam, w XIII widzimy go w stosunku pewnej zależności od Wenecyi, w XIV rozszerza się nad nim wpływ węgierski; lecz gdy Węgom grozić zaczęła Turcyja, ei, spuściwszy z oka Dalmacyą, kuszenie się o nią pozostawiają znowu Wenecyi. Tak było ciągle aż do ostatnich czasów, kiedy Dubrownik wraz z całą Dalmacyą, przez traktat w Kampo-Formio oddany został Austrii, potem na czas jakiś się wyswobodził, ale wiedeńskim traktatem znowu téjże Austrii zwrócony, zostaje do dziś dnia pod panowaniem niemieckim.

Ów brak dążeń zaborezych, jaki się daje spostrzegać w historii Dubrownika, zastępował on handlem. Stosunki jego handlowe były bardzo obszerne, miał je bowiem nie tylko z całym półwyspem Trackim, ale z Italią, Sycylią, Hiszpanią, Grecyą, Alexandryą, Lewantem i t. d. Przy pochodzącym z tak obszernego handlu dobrobycie mieszkańców, pielęgnowało miasto oświatę i nauki, w czém przykład dawał mu, pod owe czasy wysoko stojący, sąsiedni półwysep Włoski. To téż usiłowania Dubrownika w tym względzie pomyślnym uwieńczyły się skutkiem, stał się on, jak słusznie powiedzieć można, Atenami południowej Słowiańszczyzny, wydał ludzi takich, jak *Jan Gundulicz*, który śmiało stanąć może obok Tassa, jak *Marko Marulicz*, którego Ariost nazywa *Toskim*, jak *Palmiticz*, który poematem swoim „*Chrystyjada*” wyprzedził na wiek prawie cały, teźże samej treści poemat europejskiej sławy Klopstoka.

Element romański, wyciśnięty w VII wieku przez słowiański przy najściu Słowian na półwysep Tracki, później wychodzi na wierzch, a opierając się na swęj przeszłości historycznej, na swęj literaturze, stara się je zdobywcom na-

(1) Patrz *Prawo Winodolskie* wydane w „Kolo” z r. 1843 i statut wyspy Krk (Velija) wyd. w dziele Jana Kukuljewicza Sakińskiego p. t. „Arkiv za povjestnicu jugoslovensku.”

rzucić. W Dubrowniku widzimy włoskie szkoły, w 1472 r. wychodzi rozkaz, aby testamenty nie inaczej, jak tylko w łacińsko-raguzańskim (1) języku były pisane; pomiędzy banami Dubrownika pojawiają się nazwiska, które świadczą o włoskiem tych familii pochodzeniu, jak: Lompridicz, Zuzzeri i t. p. Z drugiej strony duchowieństwo dalmackie, i przed, i po rozdzieleniu kościoła, zależne jest od Rzymu; Rzym tak tu, jak i we wszystkich krajach słowiańskich stara się usunąć liturgią słowiańską a wprowadzić łacińską. Papież Jan X, pisze do chorwatskiego kniazia Tomisława w 920 r. „*Quis etenim specialis filius Sanctae Romanae ecclesiae, sicut Vos estis, Slavonica seu barbara lingua Deo Sacrificium offerre delectatur?*” W 1248 jednak roku, papież Innocenty IV bullą swoją zatwierdza w Dalmacyi używanie liturgii słowiańskiej. Język narodowy bierze górę; ale bierze od Włochów i Rzymian ich zdobycze na polu umysłowém, ich formę klassyczną, w którą, jakby w gotowe ramki, wstawia pieśni, nucone w języku narodowym. Dla tychto przyczyn, w Dalmacyi naprózno byśmy szukali owych poetycznych wspomnień mytologii słowiańskiej, naprózno jakiegoś epos narodowego; nie masz tam ani Krółodworskiego rękopismu, ani cudnych Bojanowych pieni; ale literatura pojawia się w formie klassycznej, w formie pięknej, gdzie miłość kraju, narodowości i języka, ujęta jest w znane całemu cywilizowanemu światu prawa i zasady sztuki.

Koniec wieku XV, wiek XVI i XVII, czasy tak dla całej ludzkości szczęśliwe pod względem ruchu umysłowego i pierwszorzędných gieniuszów, są i dla literatury dalmackiej jej ogromnym rozkwitem i wiekiem złotym. W tych czasach spotykamy tam niezliczoną liczbę poetów, z których jedni piszą językiem łacińskim lub włoskim, drudzy tłumaczą arcydzieła mistrzów starożytnych i sobie współczesnych, inni wreszcie, a tych jest najwięcej w języku narodowym opiewają swój gród Dubrownik, i wszystkie rodzaje poezyi doprowadzają do wysokiego stopnia wykończenia (2).

(1) Osobne narzeczce języka włoskiego.

(2) Szczegóły o literaturze dalmackiej patrz w. Szafarzyku „*Geschichte der Süd-Slavischen Literatur.*” W „*Naucznym Słowniku*” Rieyera, w art. „*Ilhoslované*” wydanym oddzielnie w Pradze 1864 r. *Appendini*

Pomiędzy nimi jednak najwybitniej wyróżniającą się i najwięcej w górę strzelającą postacią jest Jan Gundulicz, autor *Osmana*. Jest to wieszcz, który, pomijając już braterskość serbskiego plemienia, jest o tyle jeszcze dla nas droższy, że wypadkiem, który mu natchnął myśl wspaniałego poematu „*Osman*,” jest wojna, która i na naszą narodową muzę nie została bez wpływu, opiewał ją bowiem Wacław Potocki, opiewał Ignacy Krasicki. Nieobojętnym więc zapewne dla czytelników polskich będzie poznać, co o niej napisał pobratymiec nasz Gundulicz, a który wyznać potrzeba, kto wie czy nie wspanialszy zostawił pomnik, niż nasi wspomnieni poeci.

Roztrząsając utwór Gundulicza nie od rzeczy zapewne będzie powiedzieć cokolwiek i o życiu jego twórcy.

Jan Franjin Gundulicz urodził się w Dubrowniku 1588 r. (Cztery lata pierwój umarł nasz Kochanowski). Ojciec jego Franciszek, od którego nasz Jan zwyczajem dalmackich Serbów nazwany został Franjin, należał do bogatjej familii piastującej przez czas bardzo długi najwyższe urzędy w republice. Sam Franciszek bawił jako poseł na dworze rzymskim, carogrodzkim i neapolitańskim. Naturalny jest bardzo wniosek, że młody Jan jako potomek tak znakomitej i bogatjej rodziny, jak najstarszemu odebrać musiał wychowanie. W młodzieńczym wieku spotykamy go uczęszczającego na tak nazwane „*Studia humaniora*,” gdzie przewodniczyli *Silvester Muzio* i *Rudolfo Ricasoni*, jezuita obadwaj bardzo słynni podówczas. Pierwszy szczegółowo obeznany z życiem starożytnego świata, drugi sławny professor filozofii. Później Gundulicz poświęcił się prawu i umiejętnościom politycznym, aby być godnym obywatelem kraju; tém bardziej, że jako potomek znakomitej rodziny, spodziewał się, że go naród lada chwila powoła do steru rządu. W trzydziestym roku życia ożenił się z Nikolettą Sorkoczewicz, córą także znakomitego i bogatego rodu.

Istniało wtedy w Dubrowniku kółko piewców, którzy, przejęci myślą kształcenia swego języka i muzy narodowej,

„*Notizie Storico critiche sulla antichita storia e letteratura dei Ragusei*”—1802 r. A. Mažuranić „*Illyrska Czitanka*” Wiedeń 1856. a nawet w wyżej przytoczonej rozprawce Dubrowskiego znajduje się wiele nazwisk bibliograficznym sposobem przytoczonych.

znosili się z sobą ustawicznie, udzielając nawzajem rezultatów swęj pracy, wspierając się i wyszukując w tłumie coraz nowe talenta. W tymto czasie Jan Gundulicz przetłumaczył z włoskiego: *Tassa „Gerusalemme liberata.”* *Ubalda Bonarelli „Filli in Sciro”* i *Jerolimo Preti „l’amante timido.”* Wspomniane grono poetów, widząc w nim wielki talent, wysoki polot ducha, a szczególnie mistrzowskie władanie językiem, przyjęło go z otwartemi ramiony do siebie, chcąc zdolności jego jeszcze bardziej pobudzić i skłonić, aby na samych tłumaczeniach nie poprzestawał. Literatura dalmacka uboga była w dramata, zwrócili na to uwagę Gundulicza współtowarzysze jego i w tęjże chwili z pod pióra mistrza posypały się utwory dramatyczne: *„Proserpina ugrabljena* (porwanie Prozerpiny), *Dubrawka, Galatea, Diana, Arnida, Posvetiliszte ljuveno,* (świątynia miłości), *Cerere, Kleopatra, Adon, Koralka* i wiele innych, z których połowa dzisiaj zaginęła. W roku 1620 ukazał się u Ginami w Wenecyi, przekład Gundulicza siedmiu psalmów pokutnych Dawida (*sedam pjesnih pokornih*) a w rok potem: *„Suze sina razmetnoga”* (Łzy syna marnotrawnego). Wiersz ten dzieli się na 3 części, czyli jak je autor nazywa *placze*, cały przepełniony szczytną, przejmującą boleścią. Dżordżycz, poeta illiryjski, wspominając o nim wyrzekł: *„nihil esse pictius.”* Były to czasy, w których wspaniałe utwory, pojawiające się w Dubrowniku, równego z autorami doznawały rozgłosu; mianowicie we Włoszech pojawiały się często przekłady lepszych dzieł z literatury dalmackiej a wielu Włochów usilnie oddawało się nauce języka serbskiego. Do takich należał głośny podówczas ze swęj nauki Ferdynand II, Wielki książę Toskanii. Ten z wielką usilnością, pod przewodnictwem Maryana Gundulicza jezuitę, krewnego naszego poety, nauce literatury i języka serbskiego się poświęcał. Jan Gundulicz, zawdzięczając szacunek, okazany przez monarchę, dla jego ojczystego języka, napisał na cześć jego wiersz pochwalny: *„U slavu Ferdinanda II velikog hercoga od Toskane”* drukowany 1621 r. w Rzymie. Napisał jeszcze: *„Pieśń na śmierć Maryi Kalendrycz”* (*U smđrt Marie Kalendrice*) i *„Hymn o wielkości Boga”* (*piesanca o velicanstvu Bożjem*), drukowany naprzód w Rzymie 1621 r. u Zanetti, a 1622 w Wenecyi u Marka Ginami.

Ale w tymże czasie wypadki zaszły w Polsce, rozruchy w Turcyi i śmierć Osmana, skierowały talent Gundulicza w inną stronę. One mu natchnęły myśl, aby wszystkie swe siły ześrodkował i utworzył epopeję narodową, któraby wślawiła gród jego ojczysty, jego język, a zarazem całe plemię bratnie, słowiańskie, skazane przez losy na ciągłą walkę z półksiężycem. Poeci dalmaccy, pod wpływem zachodniej kultury, zapomnieli o strasznój katastrofie na Kosowém polu, przez 200 lat nie zwrócili ucha na smutne, pełne żalu i poważnej boleści pieśni o carze Lazarze, o upadku swój ojczyzny, a które lud w sąsiedniej podległej Turkom Serbii nucił ustawicznie, z któremi ślepi, starcy gęślarze chodzili od chaty do chaty, dzieląc się z ludem wspomnieniami lepszych czasów. Pod Chocimiem najpotężniejszy z władców azyatyckich został pobity, w skutek czego radość niezmierna gruchnęła po zakątkach całej Słowiańszczyzny. Z chwil takich korzysta wieszcz, roszczący sobie prawo do nazwy narodowego piewcy, chwyta on za bardon i wysławia zwycięzców. W taki sposób powstał Osman, dla tych powodów twórca jego jest poetą prawdziwie narodowym. Wykonaniem téj myśli, tego pomnika dla literatury ojczystej zajmował się Gundulicz do końca swego życia; nie można nawet z pewnością powiedzieć, czy go wykończył, bo dotąd, pomimo najusilniejszych poszukiwań nie wynaleziono XIV i XV pieśni poematu. Appendini twierdzi, że pieśni te wraz z innemi nieznanemi utworami Gundulicza zaginęć musiały w straszném trzęsieniu ziemi, jakiemu podległ Dubrownik w 1667 r. Zdanie to jest bardzo prawdopodobném, bo natchnienie wezbrane w piersi wieszca, wylewało się nieprzerwanym strumieniem, dopóki nie złożyło olbrzymiej całości; przypuścić zaś nigdy nie można, aby jak to utrzymują inni, wykończane w jak najrozmaitszym porządku pieśni pojedyncze miały później dopiero złożyć doskonałą całość. W 1638 roku, wśród dźwięków swój liry, wśród jak najgorliwszych posług oddawanych krajowi, na stanowisku naczelnika rzeczypospolitej, zaskoczyła naszego wieszca śmierć przedwczesna i niespodziewana. Umarł, okrywszy żałobą całe swe rodzinne miasto. Zostawił Jan Gundulicz stroskaną wdowę, a pod jój opieką trzech synów, z których najstarszy Franciszek wstąpił do austryackiego woj-

ska i tam dosłużył się stopnia feldmarszałka, drugi Hieronim zginął w stopniu pułkownika przy oblężeniu Barcelony, najmłodszy zaś Zygmunt odziedziczył po ojcu najdroższą puściznę, bo talent poetyczny, którym ogrzany, pracował długo na niwie ojczystej literatury; z drugiej zaś strony wstępując w ślady swych przodków, służył rzeczypospolitej, na której stał czele. Zapewne to którego z tych trzech Gunduliczów, albo też synów ich uważa p. Dubrowski w wyżej przytoczonej rozprawie za przodków Jana Gundulicza kiedy mówi: „Czterech przodków Jana Gundulicza, piastowało wysoki urząd prefekta miasta Dubrownika. Dwóch odznaczyło się wojenną chwałą: z tych pierwszy dowódca znacznego oddziału wojska pod rozkazami króla Sobieskiego, sławą się okrył pod Wiedniem. Drugi w austriackim wojsku dosłużył się wysokiej rangi feldmarszałka i umarł w Wiedniu, gdzie dotąd dom, w którym mieszkał nosi nazwę Gundulhof” (1).

Jak na to i p. Dubrowski się zgadza, Jan Gundulicz urodził się 1588 r.; Sobieski, jak to każdemu wiadomo, Turków pod Wiedniem pobił 1683 r.: dziwna więc zaiste, jakim sposobem przodek Jana Gundulicza mógł służyć pod rozkazami króla Sobieskiego. W inném znowu miejscu (2) p. Dubrowski twierdzi stanowczo, że rodzina Gunduliczów w r. 1667, podczas trzęsienia ziemi zupełnie zaginęła, a tu znowu członek tej rodziny i to nawet przodek Jana Gundulicza, jest jednym z najgorliwszych obrońców Wiednia!

Poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance o życiu Jana Gundulicza, témbardziej że dotkliwy brak źródeł do takiej pracy w Warszawie nie pozwala nam bliższych wykazać szczegółów, a natomiast przejrzymy sam poemat „Osman.”

Cały poemat składa się z 20-tu pieśni. Rzecz cała odbywa się w przeciągu czterech miesięcy, od końca stycznia do 20 maja 1622 roku, to jest do śmierci Osmana. Osman po powrocie do Carogrodu, nie może zapomnieć kłęski, jakiej doznał od Polaków; zamiar srogięj zemsty dręczy go ustawicznie, uosobione siły piekielne poddmuchują te namiętności w sercu jego: żeby zaś w nowych planach

(1) Bibl. Warsz. r. 1841, m. listopad str. 270.

(2) Tamże str. 269.

jego nie mu nie przeszkadzało, stara się usunąć przyczyny złego. Całą winę przegranej pod Chocimiem, zwała na niesforność i niekarność janczarów, teraz więc w szeregach ich robi wielkie zmiany: dziesiątkuje pułki, ustanawia nowych dowódców i zamierza pociągnąć do Azji, aby tam odświeżyć zwiędnięte swe laury, podbić dzikie hordy, i z ich pomocą zalać świat cały (Pieśń I strof. 93). Zausznicy Osmana, dowiedziawszy się o zamiarach jego, radzą mu aby przed wyruszeniem na wyprawę starał się zabezpieczyć swe państwo, na czas nieobecności. Dilaver-basza, zturzony Chorwat radzi zabić przedewszystkiem stryja Mustafę wraz z jego matką i zięciem Daudem, aby ci w nieobecności sułtana nie podburzyli ludu i nie zagarnęli tronu; drugi powiernik Hodża utrzymuje, że najlepiej pojąć żonę z jakiego potężnego domu, a ojciec jęj osadzony w Carogrodzie, będzie z teściowską pieczołowitością pilnował porządku. Kizlar-aga znowu naciera koniecznie, aby jak najspieszniej zawrzeć pokój z Polakami. Osman powiada na to, że woli powstrzymać wyprawę na Wschód, jak nurzać ręce w krwi najbliższych mu w rodzie. Każe wyszukiwać w państwie swoim najpiękniejsze dziewice, któreby mógł pojąć za żony, wysłał posłów do Polski z prośbą o pokój i nakazuje powiększyć strażę więzienia, w którym zamknięty jest książę Korcecki, który w awanturniczéj wyprawie wraz z Wiśniowieckim, pomagając Mołdawianom w walce przeciw Porcie, pojmany i do Jedykuły (1) wtrącony został (Pieśń II, strof. 131). Ali-basza w towarzystwie hospodara mołdawskiego wysłany z prośbą o pokój. Wędrują oni przez sławiańskie kraje; poeta zna tu każdą miejscowość, to też szczegółowe wylizanie miast, gór, rzek i uroczyk, połączone z ogromną miłością dla zamieszkującego je plemienia, malownicza dokładność w ich opisaniu, stanowią wielką piękność téj pieśni. Wędrowcy dochodzą do rzeki Marycy (2), gdzie, jak twierdzi poeta, Orfeusz nucił swoje pieśni, przy dźwięku liry poruszającéj drzewa i kamienie, a po tym ojcu wszystkich pieśniarzy, jako droga puścizna dostała się Słowianom ich

(1) Więzienie w Konstantynopolu.

(2) *Maryca* (Meridsche) po włos. Marizza lub Ebro wypływa z gór Bałkańskich i przepłynąwszy pod Adrianopolem wpada do m. Egejskiego.

poetyczna natura, ich łatwość w składaniu pieśni, w ujmowaniu każdego wypadku w śpiewkę, która przy każdym zajęciu Słowianinowi towarzyszy. Wysławia poeta Bulgarów, dalej Serbów z ich bohaterami, wreszcie Polaków, co mu daje powód do długiej apostrofy na cześć Zygmunta III-go i królewicza Władysława. Wykazuje tu jak zna dokładnie nie tylko historią Polski, ale nawet familijne stosunki domu Wazów. Przychodzą wreszcie podróżni na pole zeszłorocznego boju. Tu gospodar wypytuje Ali-baszy o szczegóły bitwy (Pieśń III str. 89); Ali-basza wylicza wszystkie siły tureckie, opisuje każdego z dowódców i wskazuje miejsce gdzie stały ich szeregi. W liczbie tych szeregów znajduje się także słynna bohaterka turecka Sokolica z hucem amazonek. Ustęp długi poświęcony opisowi ich piękności i uamiętnej a ukrytej miłości Osmana i Sokolicy (Pieśń IV strof. 121). Ali-basza jedzie przez pobojowisko, brnie po niezliczonych stosach kości tureckich, co mu żal taki sprawia, że jak mówi poeta:

„Od boleści i żałości,
Zamknąć rzęśów płacz mu nie da”

Przybywszy do Dniestru odsyła gospodarą, a sam jedzie dalej. Skoro wjechał na ziemię podolską, spotyka uzbrojonego od stóp do głowy pięknego rycerza. Była to Krunosława narzeczona Koreckiego. Tu następuje cudny epizod, w którym poeta skreśla historią Krunosławy i Koreckiego. Krunosławę ojciec wychował nie tak, jak pospolicie chowane bywają dziewice, ale:

„Za kolebkę, tarcz jej daje,
Twardy pancerz za pieluchy,
Róg bojowy w miejsce pieśni,
Zawsze do snu ją kołysze;
A gdzie szumi wiatr północny,
Jęj na pokarm lwicę doi.

Gołą szablą za zabawę
Chytrze władać ją nauczy,
I małą jej głowinę
W przyłbicę twardą zakuje.

potem zaręcza ją Koreckiemu, najdzielniejszemu junakowi. W tymże czasie gospodar mołdawski, prześladowany przez

Turków, błaga pomocy w Polsce. Korecki jako prawy rycerz odmówić jój uciśnionemu nie może. Spieszy do Mołdawii, dokazuje tam cudów mężstwa, wreszcie zdradziecko schwytyany i wydany Turkom. Krunosława dowiedziawszy się o tém, wsiada na koń i śpieszy na pomoc miłemu. Spotyka wojska Władysława, ciągnące pod Chocim i łączy się z niemi. Szeregi obu wojsk zbliżają się do siebie, Krunosława wyzywa do boju samego Osmana, ale na to nie pozwala Sokolica i Osmana wyręcza. Zaczyna się pojedynek. Osman drży o los swój lubój, Władysław także pilném okiem śledzi każdy ruch Krunosławy. Pierwszy atak obie dziewice wytrzymują równie dzielnie, za drugim obydwom spadają przyłbice i ukazują się cudnej piękności zagrzone sławą wojenną lica wojownic—lica takie, że:

„Bez westchnienia kto w nie patrzy,
Ten nie rozgorzeje nigdy;
Ten stworzony chyba z lodu,
Lub też serca w sobie nie ma.

Oba wojska poznają teraz rycerzy i nie chcąc dopuścić ich śmierci, rzucają się z sobą do boju. Noc przerywa walkę, wracają, ale każde wiedzie na swém czele: „świetną gwiazdę bohaterkę.” Krunosława niezadowolona takim skutkiem bitwy, spieszy sama do Stambułu na pomoc Koreckiemu i właśnie w drodze spotyka się z jadącym Ali-baszą. Z daleka sądząc, że to Sokolica, wyzywa go do walki; lecz po wykryciu pomyłki rozpytuje się o los Koreckiego. Ten opowiada o więzieniu i mękach jego, a Krunosława, nie chcąc słuchać dłużej puszcza się w dalszą podróż (Pieśń V strof. 138). W granicach już państwa Tureckiego, w lesie Krunosława zsiada z konia i zaczyna opłakiwać los swój okrutny:

„Gdzieżeś? o dni moich słońce!
Gdzieżeś o kochanku miły?
O pragnienie me jedyne!
Czyś przy życiu ty przynajmniej?

O! tyś życie me jedyne,
Bez ciebie nie jestem żywa
I dziś w mrocznej twój ciemnicy
Dusza—serce me przeżywa.

Ach! cóż z tego, że klejnoty
 Liczyć mogą na gromady,
 Kiedy mój prawdziwy klejnot
 W cudzych rękach pozostaje...

Co mi znaczy moje złoto
 I bogactwa niezliczone,
 Kiedy złoto me prawdziwe,
 W głębi ziemi zagrzebane?

Lecz precz żale niewieście! Czyż tylko do jednych jęków zdolna jestem? Czyż podły Turczyn nie lęka się mego oręża? Czyż wsie i miasta wraże nie drżą na widok méj zbroi? O, chodź mój mieczu! ja tobą zetnę dumny kark Osmana, zburzę, spalę, zniszczę mury Stambułu i swego najdroższego, swego jedyne go z pod tych gruzów wydostanę. Lecz i jam śmiertelna, i mnie jatagan turecki osiągnąć może, nie żal mi życia dla siebie saméj, ależ to życie należy do niego; czyż serce jego nie pęknie, gdy wieść o méj śmierci dojdzie do murów jego więzienia? Dla uniknięcia tak smutnych skutków, zamierza użyć innych mniej niebezpiecznych środków: przebiera się za węgierskiego młodzieńca, chcącego wykupić Koreckiego z niewoli. Siada na koni i przybywa do Carogrodu. (Pieśń VI strof 99).

Kizlar-aga wysłany przez Osmana, aby mu wyszukał najpiękniejsze hurysy do haremu, objeżdża brzegi morza Egejskiego, a porywając wszędzie dziewice idzie dalej, przeprowadzany kłótniami i rozpaczą rodziców, którym wyrwał najdroższe dziatki. Następnie przechodzi całą Grecyą; poeta wylicza tu wszystkie opromienione wspomnieniami przeszłości miejscowości, mówi o dawnéj sławie Greków i poświęca im łzę współczucia. Owa Grecya niegdyś tak sławna, tak piękna, dziś jęczy pod straszném jarzmem Turka który do tego stopnia posuwa swą srogość, że matkom nawet ich córy porywa. Porzuciwszy wyżyny Olimpu i Pelionu przechodzi Kizlar-aga do Macedonii. Na błoniach Farsalskich dowiaduje się o Sunczanicy, dziewicy precudnéj krasy, znajdującéj się w Smederewie (1), rozpuściwszy więc resztę swojej sfory po Bośni i Hercegowinie, sam idzie do Smederewa (Pieśń VII strof 129).

(1) Smederewo czyli Semendria twierdza w Serbii nad Dunajem. Tu była stolica Jerzego Brankowicza.

W białych murach Smederewa mieszka starzec Ljubdrag. Ostatnia to gałązka tak sławnych niegdyś carów Serbii. Dziś cały majątek jego stanowi stado owiec, chatka i przesłiczna córka, pociecha i podpora jego starości, Sunczanica. Ljubdrag miał dwunastu synów, ale wszyscy polegli w ciągłych bojach z Turkami. Śmierć każdego starzec opłakiwał, aż wreszcie i łez mu zabrakło i oczy mu wypłynęły od płaczu i oślepl. Nadziei jednak zupełnie nie stracił, miał Sunczanicę, ją wydawszy za mąż spodziewał się doczekać wnuków, w których krew królewska odzyska swe prawa. Dzisiaj też w tym celu sprosił wszystkich pasterzy i wieśniaków z okolic Smederowa na zabawę do siebie, chcąc aby Sunczanica jednego z nich za małżonka sobie wybrała. Zaczęła się zabawa, tany, śpiewy o serbskich junakach, poległych w boju z Turkami; kiedy wtém nagle pojawia się czarna twarz Kizlar-agi. Pieśń się ucięła, tany ustały, milczenie zaległo całe grono, Kizlar-aga przez chwilę stał olśniony wdziękami Sunczaniczy, na nic nie zważając, ale spostrzegłszy wreszcie jak przybycie jego zasępiło całe towarzystwo, ze swobodnym uśmiechem, kryjąc swe zamiary, namawiać zaczął młodzież do zabawy, ta też ochocza, namawiać się długo nie dała, a Kizlar-aga usiadłszy obok Ljubdraga, zaczął się wypytywać o przeszłość jego. Po skończonej zabawie Kizlar-aga porywa uspioną Sunczanicę i ucieka ze Smederowa. Straszna rozpacz osieroconego starca, daremne jęki i wzywania uwożonej Sunczaniczy stanowią przesłiczny w tej pieśni ustęp. Kizlar-aga odbiera list od Osmana, w którym mu sułtan pisze o dręczącej go chęci jak najprędzszego udania się na Wschód; poleca zarazem, aby zebrane dziewice odesłane zostały do Stambułu, a on żeby się wyprawił szukać Sokolicy, bez niej bowiem Osman na Wschód nigdy się nie uda. (Pieśń VIII, strof. 194).

Tymczasem Władysław pogromca Turków, wraz z bratem Kazimierzem i Stefanem (?) spieszy w głąb kniei na rycerską zabawę, na łowy (1). Grono dziewic, płasając nad

(1) Ustęp ten w przekładzie Leona Potockiego jest przytoczony w wyżej wspomnianej rozprawie Dubrowskiego. Mylnie tylko podany jest numer pieśni, bo wyjątek ten znajduje się w pieśni IX, nie zaś jak podaje Dubrowski w XIej.

ukochaną swą Wisłą śpiewa pieśń na cześć Władysława, a w tej pieśni radzi mu, aby dłoń swą męzką podał godnej tego niewieście. Na tak bawiące się dziewoje wpada ze zbrojną czeredą Sokolica, chwyta tanecznice, skupione w gromadkę jak przestraszone owieczki, i bezbronne wiąże do koni; ze zdobyczą tą jednak nie ucieka, ale zachęcona pięknością miejsca namawia swe towarzyszki do odpoczynku i kąpieli w przejrzystej wodzie. Wtém z dąbrowy wypada ze swą drużyną Władysław, role się zmieniają: Sokolica ze swemi amazonkami zostaje niewolnicą. Władysław nie chce jednak korzystać ze swego zwycięstwa, ale zwyczajem rycerskim uwalnia swe branki, kładąc tylko warunek, aby Sokolica nie napadała jego granic. Zawstydzona turecka wojownica wraca do Carogrodu, i w drodze spotyka wysłańca od Osmana, który ma ją nakłonić do jak najprędzszego powrotu, wyprawa bowiem na Wschód gotowa i tego tylko brakuje, aby kita jej hełmu powiała po nad szeregami Turków (Pieśń IX, str. 178).

Pieśń X i XI zawierają opis dalszej podróży i poselstwa Osmana w celu zawarcia pokoju.

Na wiadomość, że został zawarty pokój, cała Turcyja okazuje najżywszą radość, radości tej nie podziela tylko jedna Krunosława, znajdująca się już w Carogrodzie. Ona także wyczekiwała tego przymierza, bo sądziła, że przy jego zawarciu i jej miły wyjdzie z głębi lochów! lecz niestety! o rycerzu, o jej kochanku zapomniano, wydobyć go jej własnym powierzono siłom. Dowiaduje się Krunosława, że straż nad Koreckim powierzona jest Ryzwan-paszy, w charakterze więc węgierskiego młodzieńca do niego się udaje. Ryzwan-pasza ma prawdziwe dwie perły Wschodu, dwie piękne dziewice: jedna, własna jego córka Ljubica, druga synowica Kalinka, za ich pomocą Krunosława stara się zjednać przystęp do Ryzwan-paszy. Przekupiwszy pilnującego eunucha widzi się najprzód z Kalinką i ostrożnie wybaduje ją o Koreckiego, niby o brata swego. Kalinka młoda, a więc i szczerza, wszystko pięknemu Węgrzynowi opowiada, a opowiada mu nawet i to, o czymby on zapewne i słyszeć nie chciał. Mówi mu o schwyтaniu Koreckiego, o jego straszném więzieniu, ale dodaje nadto, że w tém więzieniu ma on pocieszycielkę, która:

„Piękną gadką, słodką pieśnią
Ukradkiem go rozwesela.”

Tą pocieszycielką jest stryjeczna siostra Kalinki, Ljubica. Ljubica, widząc piękność Koreckiego, słysząc o bohaterskich jego czynach, nie mogła mu w nieszczęściu odmówić pociechy i współczucia, a z tego współczucia wyrodziła się miłość. Korecki na miłość Ljubicy odpowiada całą siłą wzajemności, czego dowodem jest to, że dla niej nawet wiary swych przodków odstąpić zamyśla. Taka wiadomość, to nad siły Krunosławy; jój boleść, żal i rozpacz nie mają granic. Czyż na to tyle odważnych czynów, tyle wysiłków bohaterkich, tyle wreszcie łez poświęciła, aby się przekonać, że jój miły, ukochany Korecki jest zdrajcą, że on dla jakiegś tam Turczynki nie tylko jój serca, ale nawet swój wiary wyrzec się myśli? Wnet jednak przychodzi rozważa: a może téż to fałsz, może to nieprawda? najpewniej niewinnie go oczerniono. Wtedy odzyskuje Krunosława swą siłę, wraca do dawniej szlachetności i powiedziawszy:

„Choćbyś ty był mi niewierny,
Ja chcę tobie wierną zostać.”

dalsze starania, ku uwolnieniu jego robi. Stawi się u Ryzwan-paszy i przyrzeka mu dać za więźnia okup, jakiego ten tylko zażąda. Ryzwan-pasza obiecuje jój wyjednać u sułtana wydanie jeńca, a tymczasem Krunosławie widzieć się z nim pozwala i wpuściwszy ją do więzienia, w niem ją razem z Koreckim zamyka. (Pieśń XII strof 146).

Pieśnią tą kończy się jakby pierwsza połowa poematu. Widzieliśmy, że wszystkie starania Osmana dążyły do tego, aby wyprawę na Wschód przygotować. Już zorganizowano janczarów, Kizlar-aga uzupełnił harem sułtański zebraniami po całym państwie dziewczycami, a co najważniejsza Ali-basza przyniósł pokój. Wszystko więc gotowe, należy tylko sam zamiar skutecznić. Cała potęga piekielna, ten ciągły i jedyny, według poety, sprzymierzeniec Turków zwraca teraz uwagę na niedawną klęskę Osmana, i ze swój strony stara się złe zrządzone wynagrodzić.

W pieśni XIIIej opowiada, jak wśród przepaści piekielnych, król strąconych z nieba duchów, dowiedziawszy

się o klęsce Turków, uwiadamia o tém całe piekło. Zamęt i twoga ztąd powstaje straszna, najobrzydliwsze, najstraszniejsze potwory biegają tam i owdzie, nie wiedząc co robić. Próbkę tego prawdziwie piekielnego gwaru może nam dać jedna strofka, złożona z samych onomatopoetycznych wyrazów, użytych na oznaczenie głosu rozmaitych potworów:

„Kraczą, rechezą, skrzypią, skrzeczą,
Gwizdzą, ryczą, kwiczą, beczą,
Rzą, szczekają, warczą, swiszczą,
Wyją, syczą, skomlą, piszczą.”

Zebranyam wszystkim djabelskim siłom, najstarszy szatan opowiada o rozbiciu Turków, przedstawia, że z pogębieniem państwa Mahometa, upadnie i ich potęga — bronić Porty, powiada on, to bronić samych siebie. Skutkiem téj narady jest wysłanie djabłów do Carogrodu, którzyby Turkom zasnąć nie dawali, dopóki chrystyanizm istnieje. Korecki ma być w więzieniu uduszony, a inni tymczasem wysłańcy Erebu mają w chrześcijańskich państwach niezgody rozsiewać. (Pieśń XIII strof 88).

Tu następuje przerwa w poemacie Gundulicza, brak XIV i XV pieśni. W pieśni XVI Osman oznajmia wyprawę na Wschód, nie podoba to się janczarom, którzy, połączwszy się ze Spahami podnoszą chorągiew buntu, a Ali-aga napróżno stara się bunt ten przytłumić. Do janczarów łączy się massa ludu niezadowolonego z rządów Osmana i buntownicy, zebrawszy się przed sofijskim meczetem, wysyłają do Osmana poselstwo, oświadczając, że powstali nie przeciw rządowi jego, lecz żądają tylko usunięcia fałszywych doradców: — jeśli spadną głowy trzech dworzan przybocznych, lud w pokoju się rozejdzie.

Osman zwołuje radę, a usiadłszy na tronie zapytuje co czynić z coraz szerzącym się buntem. Pierwszy Dilawer odzywa się: „Władco potężny! twoja prawica znana po wszystkich krańcach świata, sława twa nie ma granic; na skinienie twoje spadają monarchom z głów korony, i tyż miałbyś się bać garstki buntowników, tych kilku pułków spahów i janczarów? Piękny to zaiste przymiot w panującym, łaskawość dla winnych, ale dla buntowników nie masz żadnej

łaski, niech wszyscy zginą—wyświadczając im bowiem choćby najmniejsze ustępstwa, tém samém tron swój osłabiasz. Wręcz przeciwny temu jest drugi doradca Hussein. Ten twierdzi, że tak srogo z buntownikami postępować nie można i że nie trzeba ich znów tak bardzo lekceważyć, gdyż:

„Często bardzo iskra mała
W wielki pożar się rozżarza.”

Zdaniem jego lepiej zbuntowane wojsko wysłać na bóg z chrześcianami, gdzie jeśli wyginą, to nie potrzeba będzie wszczynać domowej wojny; jeśli zaś zwyciężą, to granice państwa się rozszerzą. Osman się waha, Dylawer ustępuje godności wielkiego wezyra Husseinowi, byle ten tylko lud uspokoił, sułtan jednak i na to się zgodzić nie chce. Matka tymczasem, zamkniętego oddawna w więzieniu Mustafy, widząc położenie państwa, wzywa z Rumelii zięcia swego Dauta i skłania go aby stanął na czele buntowników i z ich pomocą przywrócił na tron Mustafę. (Pieśń XVII strof 192).

Nazajutrz o świcie przychodzi do buntowników Daut z ulemami, ci tłumaczą narodowi, że sułtan, który potargał prawa, sułtanem już nie jest. Korzystając z tego Daut występuje z mową, wylicza wszystkie nieszczęścia jakim ulegli Turcy pod panowaniem jego, wspomina klęskę pod Chocieniem, jęk matek, które w ciągłych bojach potraciły najdzielniejszych synów, nędzę ludu, hańbę, w jakiej teraz chorągiew proroka, tak niegdyś dla wszystkich groźna, pozostaje; a wszystko to sprawił niegodziwy uzurpator Osman. „Tam! w głębi lochów jest sułtan prawy—on niech panuje—Osmanowi śmierć i hańba!”

Jak na silny wiatru powiew
Morze wznosi swe bałwany,
Tak odwaga wszystkich wzrasta
Na gwałtowne słowo owe.

Wzburzona słowami Dauta gromada napada naprzód na dom Dilavera, lecz znalazłszy tu mężny odpór, cofa się, aby całemi siłami natrzeć na pałac Osmana. (Pieśń XVIII strof 152). Bramy cesarskiego pałacu już wyłamane. Dilaver przebrany za derwisza wraz z kochanką swoją Begum, spie-

szy do Anatolii, chcąc ztamtąd przyprowadzić wiernych poddanych na obronę Osmanowi. Tu następuje piękny ustęp, opisujący w jaki sposób piękna Begum z kraju Persów, dostała się Dilaverowi. Powstańcy dowiadują się o ucieczce Dilavera, ścigają go, a dognawszy pomimo najwaleczniejszej obrony zabijają; Begum w największej rozpaczycy prosi o wydanie ciała, „chcąc je pochować, aby psy i kruki go nie rozszarpały;” lecz napróżno: srodzy zabójcy uczynić tego nie chcą. Tymczasem buntownicy wdzierają się do pałacu, zabijają Ali-agę i Husseina, a ciała ich wyrzuciwszy psom na pożarcie, głowy na kopianach zatykają. Mustafa przy wielkiej radości ludu wydobyty z więzienia, w gronie nowych baszów zasiada jako władca w meczecie. Osman schwytyany i przed niego stawiony. (Pieśń XIX strof 176).

Mustafa rozkazuje Osmana odartego z ozdób królewskich odwieść do Jedykuły i tam go osadzić. Jego, niegdyś sułtana, dzisiaj obnażonego i z gołą głową prowadzą strażę przez miasto, a na większe jeszcze urągowisko niosą przed nim na kopianach głowy Dilavera i Husseina. Osman wyrzeka na nieszczęsne losy, przysięga że ojciec Ahmet, jemu a nie bratu jego Mustafie tron zostawił, i tylko zbyt miłość braterska, bojaźń przelania krwi Mustafy, to go dzisiaj gubi... Wszystkie te jednak jeremiady pozostają bez skutku, Osman wtrącony zostaje do więzienia i tam później z rozkazu Dau-ta uduszony. (Pieśń XX str, 124).

Tak kończy się Osman. Przerwę, znajdującą się w poemacie starano się później wypełnić. Pokusili się o to: du-brownicki poeta Piotr Sorkoczewicz (ur. 1749, † 1828) i chorwatski Jan Mażuranicz. U Sorkoczewicza pieśń XIV i XV są takiej treści. Kizlar-aga przyprowadza Osmanowi zebrane po całym państwie dziewice, nad wszystkimi jednak, wdziękami góruje Sunczanica. Jój piękność wzbudza w Osmanie gwałtowną miłość, lecz gdy ta zaczęła opisywać rozpacz, w jaką po jój stracie musiał popaść jój ojciec, kiedy do łez gorących zaczęła łączyć najusilniejsze prośby, sułtan zmiękczony odsyła ją do Smederewa. W tymże samym czasie Krunosława w więzieniu zaczyna wybadywać Koreckiego o mniemaną jego niewierności, lecz o radości! pokazuje się, że to wszystko było zmyślenie, że tylko jój miłego oczer-

niono. Ali-basza przybywa i oznajmia, że pokój może być zawarty ale pod warunkiem aby Korecki natychmiast był powrócony. Ryzwan-basza na rozkaz Osmana wprowadza przed niego Koreckiego i Krunosławę. Sułtan w dziewicy poznaje owego dzielnego rycerza, który go pod Chocimiem wyzywał i staczał bój z Sokolicą, wychwala mężstwo i dzielność Krunosławy, a obdarzywszy oboje kochanków wspaniałymi dary, wypuszcza ich na wolność. Wraca potem Sokolica i oświadcza Osmanowi, że jest gotową do wyprawy na Wschód; Osman wydaje Dylawerowi rozkazy do przygotowania takowej.

Wiersz Sorkoczewicza wszędzie przepyszny, język piękny i jędrny odpowiada w zupełności językowi Gundulicza, ale charakter całego poematu w żaden sposób nie może się zgodzić z wypadkami opowiedzianymi w tych dwu pieśniach. Czyż ten Osman taki dziki, taki okrutny tyran, jakim chce go mieć Gundulicz, zdolny jest do takiej szlachetności, jakiej dowody daje w postąpieniu z Sunczanicą? Czyż ślepa zwierzęca namiętność, jaka się w nim na widok jej wdzięków zapala, zdolna ustąpić miejsca litości nad starym, tonącym we łzach ojcem? Z drugiej strony, już na sessyi piekielnej, jakeśmy to widzieli, uchwalono aby Korecki zginął w więzieniu. Wyroki piekielne nigdy nie są zmieniane w państwie Ottomańskim, bo piekło, według Gundulicza, to wyższa potęga, która kieruje wyznawcami księżyca, przeznaczonemi przez nią na zgniecenie władzy krzyża. Sułtan turecki, jak twierdzi poeta, to pełnomocnik Lucyfera na ziemi, i wszystkie polecenia jego gorliwie wypełniać musi. Taka myśl przebija się w całym poemacie Gundulicza i Gundulicz niezawodnie przeznaczył śmierć Koreckiemu w więzieniu, tém bardziej, że i historia nam to samo wskazuje, a Gundulicz z historią nigdzie się nie mija. To są główne wady Sorkoczewicza; lepiej zdaje się pojał myśl Gunduliczową Mażurancz. Podług niego:

Osman zapytuje astrologa swego Czelebija, co mówią znaki niebieskie o jego zamiarze wyruszenia na Wschod; ten radzi mu odstąpić od tego projektu, twierdząc że wszystkie przepowiednie są bardzo złowrogie. Osman się wahać zaczyna, lecz wysłaniec piekła, pod postacią doradcy, pomimo

złych prognostyków, w tym go zamiarze umacnia. Piekło bowiem od czasu klęski pod Chocimiem uważa Osmana jako narzędzie zupełnie niezdatne, i na miejsce jego dla popierania swoich planów na tronie tureckim, chce osadzić kogo innego. Tenże sam posłaniec piekła donosi Ljubicy, córce Ryzwan-baszy, że zamknięty w więzieniu z Koreckim szlachcic węgierski, nie jest wcale Węgrem, ale kochanką Koreckiego, która przybyła po to jedynie, aby go widzieć i uwolnić. Ljubica dręczona zazdrością rozkazuje Koreckiego i Krunosławę w więzieniu zamordować. (Pieśń XIV strof. 244). Ali-basza przybywa i objawia, że dopóty na pokój nie zyska zgody, dopóki nie będzie powrócony im będzie Korecki. Osman wzywa Ryzwan-baszę, aby tego powierzonego mu Koreckiego oddał; Ryzwan-basza odpowiada, że Korecki nie żyje, a zarazem przedstawia powody śmierci jego. A kiedy rada decyduje, czy wydać, czy nie wydać mordercę Koreckiego Ryzwan-baszę, ten tymczasem dręczony strachem, umiera. Kizlar-aga z pochwytanemi dziewczycami przybywa do Drienopolia (Adryanopola) i ztamtąd mu Sunczanica podstępny sposobem ucieka. Osmau stanowczo uchwała wyprawę na Wschód i każe się wojsku do niej gotować, (Pieśń XV, strof. 176).

Taki jest Osman. Przytoczyłem tu obszernie, może nawet nazbyt obszernie treść jego; wiem, że załączenie kilku piękniejszych wyjątków byłoby rzeczą daleko więcej pożądaną, i lepiej aniżeli jak najszczegółowsze streszczenie sam poemat malującą. Ale cóż—brak zupełny poetyckich zdolności nie dozwolił mi uczynić tego, dosłowne zaś wyjątki drobne jakich tu kilka przytoczyłem, dają tylko samą myśl oryginału, ale forma, cały układ dźwięcznych ośmiozłoskowych wierszy, zlewających się w cudną melodyą rymu, pozostaje dla czytelnika ukrytym.

Biorąc pod pilną uwagę ten utwór Gundulicza, nie sposób nie dojrzyć w Osmanie wielkiego podobieństwa do Jeruzolimy wyzwolonej Tassa. Krunosława i Sokolica Gundulicza, to Klorynda i Erminia Tassa; narada piekielna, znajdującą się w XIII pieśni Osmana, przypomina w zupełności IV pieśń Jeruzolimy wyzwolonej, a nawet liczba pieśni u Gundulicza jest takąż sama jak u Tassa. Podobieństwo

to jednak nie będzie tak bardzo dziwném, jeżeli rozpatrzemy czas, w którym żył nasz autor. Był to czas, kiedy Tasso wraz z Ariostem dla wszystkich poetów był wzorem, który naśladować należy, ale zrównać mu, a témbardziej przewyżzyć było wprost rzeczą niepodobną. Tasso zwłaszcza, po przebrzmieniu, nie mających sensu zarzutów i krytyk akademii *della crusca* stanął jak posąg olbrzymi, któremu wszyscy poczynający poeci czołem bić powinni. Kiedy wszystkie literatury ubiegały się o to, aby mieć przekłady Jeruzolimy wyzwolonej, kiedy i nasz Piotr Kochanowski zaczynając swój zawód poetyczny wziął się do tłumaczenia utworu Tassa, nie więc, mówię, dziwnego, że w takiem położeniu mógł, a nawet musiał przejąć się tym mistrzowskim wzorem. Podobieństwo to jednak tak na pozór uderzające, po bliższém rozpatrzeniu się w Osmanie, zdaje się leżeć więcej w formie, aniżeli treści. Główna myśl Tassa i Gundulicza bardzo się między sobą różni. Jak tu, tak tam jest wprawdzie główną osnową poematu walka chrześcian z wyznawcami półksiężycy, tylko że jedynym celem walki u Gundulicza nie jest sama strona religii, ale i obrona niezawisłości politycznej. Krzyżowcy podniesieni do ekstazy religią Chrystusa, nie rozumując jej, nie zgłębiając, ale przeczuwając jej wielkość, biegną w ślady męczenników, padających za swą wiarę po cyrkach rzymskich. W uniesieniu dla Chrystusa spieszą do Azji, aby wyrwać z rąk niewiernych miejsca uświęcone życiem i męką Jego. Czyż to nie hańba dla prawdziwych chrześcian, że grób Chrystusa, że Golgota, na której przelewała się krew Jego, dziś w ręku pogan, którzy do tego stopnia są nielitościwi, że pielgrzymowi mil tysiące przebywającemu, aby kornie uderzyć czołem w ziemię krwią Boga-Człowieka zbroczoną, nawet tej dusznej pociechy wzbraniają? Oto główna myśl, która naznaczone znamieniem krzyża massy pędzi w nieznanne kraje. Taka idea, to usposobienie ludzkości godne jest niezawodnie najwznioślejszej epopei. Inna jest myśl ciągnąca się przez cały poemat Gundulicza. Już przebrzmiał wiek niesłychanego uroku, jakim ludy proste w początkach napełniał chrześcianizm, przeszły już poetyczne czasy jego, nie znaleziono nigdzie w Chrystusowym zakonie polecenia, aby mieczem wytępieć swych braci, choćby nie-

chrześcian. Turcy zajęli stolicę wschodniego patryarchy, a świat chrześcijański nie im na to nie powiedział; zadrżały na widok wschodniej potęgi słowiańskie plemiona, ale Zachód rzucił im tylko: „brońcie się! my za wami, niby za murem chińskim pracować będziem na polu cywilizacyi.” Oto położenie, oto dziejowe stanowisko Słowian względem Turków. Bronili się oni téż dzielnie, ale na domiar nieszczęścia pieniędzy i ciągłe wdawanie się Turków wyrodziły niezgody—padła Bułgaria, padła na Kossowém polu bohater-ska Serbia, a straszny potwór, narzuciwszy islamizm jednym, wysawszy krew z serca drugim, posuwał coraz dalej chciwe swe szpony. To położenie widział dokładnie Gundulicz, poetyczna jego dusza odczuwała każdy raz zadany braciom Słowianom.

Oceniając z tego stanowiska Osmana, uważać go należy nie jako poemat dubrownicki, lub téż serbski, ale jako poemat wszesłowiański. Gundulicz téż kocha przywiązaniem prawdziwego syna ojczyzny swój gród Dubrownik, kiedy mówi:

„Dubrowniku! drogi grodzie,
Obyś zawsze tak jak dzisiaj
Żył spokojny i swobodny,
Świata sławny, wieku miły,

ale z jakąż miłością mówi także o wszystkich Serbach, a kiedy mu przyjdzie najmniejsza sposobność wspomnienia innych Słowian, jakże wysławia ich wodzów, ich królów, ich całą historią.

Krasicki w swojej „Wojnie Chocimskiej” przedstawia tego sułtana, jako młodzieńca burzliwych namiętności, młodzieńca kuszącego się o zdobycie świata całego, śmiałego, przedsiębiorczego i zdolnego wojownika. Z charakterem tym zgadza się i historia. Gundulicz przedstawił go nam inaczej: u niego Osman, to człowiek chwiejny, bojaźliwy, niezdecydowany, skłaniający ławo ucho na podszepty doradców; to znowu obawiający się, aby ci doradcy go nie zdradzili. Zmiana taka charakteru wykazuje właśnie całą ważność dla Osmana przegranej pod Chocimiem, i da się zupełnie usprawiedliwić ze stanowiska psychologicznego. Osman w swych snach młodzieńczych utworzył sobie obraz świata

połączonego pod chorągwią Mahometa, widział wszystkich monarchów gjaurskich, bijących czołem przed jego tronem, całą ludzkość wzywającą Allaha. I wydało to mu się rzeczą możliwą, posiadał ogromne bogactwa, niezliczone massy wojska, a nadto czuł w sobie odpowiednią energię do takiego czynu.

Należało się więc wziąć do rzeczy: należało najprzód zagarnąć północną Słowiańszczyznę, która jak nieprzebyta tama rozłożyła się u przedsiionka środkowej Europy, i o którą od tak dawna napróżno szczybiły się miecze prawych wyznawców islamu. Ale to nie była rzecz tak łatwa: znał to Osman z dziejowej przeszłości, dlatego też zebrał na nią ogromne siły, ogromne środki, chcąc za jednem dotknięciem zalać ją potopem swojej potęgi.

Wszystko przygotowano: ależ o dziwy, w jednej bitwie wszystko stracone: Turcy rozproszeni pierzchają w nieładzie i w niesforniej ucieczce porywają, nie mogącego przyjść do siebie ze zdziwienia Osmana. Taki cios, taki straszny zawód gotów najdzielniejszego złamać człowieka, gotów przyprowadzić do zwątpienia najwytrwalszy charakter, pracujący dla najszlachetniejszych celów, a cóż mówić o człowieku, który jako dziki zdobywca, chciał świat ugiąć do swoich kolan. Energia, wola, dzielność młodzieńcza zniknęły, pozostał tylko Osman taki, jakim go przedstawia Gundulicz. Osman wprowadzie u Gundulicza stara się zmyć hańbę i plany swe dawne przeprowadzić, naprzód Wschód zagarniając; ale jakżeż się bierze do tego? Zwraca pilnie uwagę na zdania swych zauszniaków, a człowiek ów, tak dawniej nie przebiegający w środkach, dziś dla spokoju w państwie, nie chce wymordować swych krewnych. Zaiste dziwnie wygląda w Osmanie ta jego moralność! Palony zwierzęcemi namiętnościami wysyła Kizlar-age, aby przeszedł całe państwo jego, a wybrawszy najpiękniejsze dziewoje, żeby je porwał z rąk matek i napełnił nimi gmachy serajów sułtańskich. Płacz, jęk i rozpacz matek, którym porwano jedyne dzieci, ów Ljubdrag, potomek carów serbskich, tracący jedyną latorośl swojego domu, stanowią obraz, przed którym zblednąć nawet musi rzeź niewiniątek Heroda. Osman pała miłością ku Sokolicy, ale czuje że to nie jest chuć zwierzęca, że to uczucie, które

w nim jeszcze nie zagościło nigdy; to też obawia się je wyjawiać, obawia się także i Sokolicę wraz z innymi brankami zasadzić do haremu, bo czuje, że nie byłby zdolny znieść jej szlchetnego wzroku, że musiałby się korzyć przed jej wspaniałą postacią. Szkoda nie powetowana, że z powodu braku pieśni XIV i XV jej nie możemy wiedzieć, jakby sobie Osman począł z Krunosławą, Koreckim i Sunczanicą; to tylko śmiało powiedzieć można, że nie wystąpiłby w tak szlchetnej roli, jak go wystawił Sorkoczewicz. W ostatnich wreszcie chwilach, kiedy bunt wybucha w Carogrodzie, Osman traci zupełnie głowę, a obsadzony w swym pałacu, zabrany i zawleczony przed nowego sułtana, z pokorną miną słucha jego wyroku, a nadomiar swego poniżenia, żebrze jeszcze łaski zbirów, prowadzących go do więzienia, wylicza im swe zaszczyty i godności, aby te postawione przy terażniejszym jego płaszczeniu się i podleniu, tém skorszą obudzić mogły litość. W taki sposób przedstawił Gundulicz Osmana i dopiął rzeczywiście swego celu; osobistość ta na każdym czytającym zrobić musi przykre wrażenie, pogardę i obrzydzenie dla potężnego sułtana wywołać. Piekło samo poznaje, że Osman to nie ten, któremu przed wojną Chocimską powierzyło swe wysokie cele; uważa go odtąd za niezdatne narzędzie i wywołuje w Konstantynopolu bunt który gubi Osmana.

Jeżeli przedstawienie szlchetnej, pięknej miłości, jaką maluje Tasso, zachwyca każdego czytelnika i wynagradza mu inne niedostatki epopei; jeżeli Erminia płacząca nad swymi nieszczęściami, porusza do łez serce każdego: to czyż podobnego wrażenia nie dozna każdy zapoznawszy się z Krunosławą Gundulicza? W rzeczy samej wszystko, co tu autor o Krunosławie napisał, wszystko co się odnosi do prześlicznej, wzniosłej jej miłości ku Koreckiemu, jest tak piękne, tak zachwycające, że mimowoli przychodzi nieraz zapytanie, czy słowiański piewca nie przewyższył czasem mistrza włoskiego. Ta miłość czysta, nieskalana, niebiańska pokazując się wszędzie, gdzie tylko poemat na suchsze wtacza się pole; ona jak kwiat precudnej woni nasycza zapachem, swoim bezbarwne często i nudzące cokolwiek opisy. A przytém ten kochałek Krunosławy, ten cel jej westchnień, to wcale nie

utwór fantazyi poety, to nie żaden wymarzony rycerz, ale rzeczywisty pogromca Turków, człowiek, którego, wyędnionego niewolą turecką sam Gundulicz z zachwytem oglądał, podczas długiego pobytu jego w Dubrowniku. To mąż, na cześć którego współcześni składali rymy (1). Rzeczywiście Samuel Korecki, to osobistość zasługująca na oddzielne studyum historyczne. Lecz któż jest ta Krunosława? Żoną Koreckiego była, jak wiadomo, Katarzyna córka Mohyły; była to kobieta zacna, bogobojna, wierząca w swego pana i męża, była nawet bardzo podobno piękna: ale zawsze to nie Krunosława: Krunosława, to utwór fantazyi poety. Owa dziewczyna, trawiąca swe życie na koniu i w zbroi; owa amazonka walcząca z Turkami, to postać, jaka w owych czasach prawie w każdym znajduje się poemacie. Ale fikcyjna ta osobistość jakże każdego z nas zachwyca, jak wypełnia i zaokrągla wszystkie szczyty i nierówności poematu. Wykazać całą piękność téj postaci niepodobna — na to koniecznie czytać trzeba Osmana, trzeba przynajmniej choć w dobrym przekładzie poznać te ustępy jego poematu. Żałuję mocno, że brak zupełny, jakem już wspomniał, zdolności poetyckich, uczynić mi tego nie pozwalają: obowiązek to ulubieńców muzy, którzy odwróciwszy choć na chwilę swe oblicze od Zachodu, niech je skierują ku zapomnianej Serbii, a tak łatwe dla Polaka wyuczenie się języka pobratymców, niezmiernemi bogactwami ich poezyi sownie wynagrodzi trud podjęty.

Inne osobistości, których dosyć jest jeszcze w Osmanie, są już blade narysowane i pokazują, że podrzędniemi pozostać winny. Ljubdrag ze swą Sunczanicą przedstawiają srogie szyderstwo losu i zbrodnią jakiej się ten nad nieszczęsną dopuścił Serbią.

Dylawer, Kizlar-aga, Ali-basza i inni są to służalcy, jakich pełno zawsze i wszędzie.

Osmanowi wziętemu jako całość, dosyć trudno naznaczyć miejsce w tym lub owym dziale poezyi. Treść sama i przedmiot przedstawia go jako epos, ustępy zaś o Władysławie, o Słowianach w ogóle, a Dubrowniku w szczególności, zajmujące połowę poematu, są najpiękniejszymi utworami liryzmu. Nie masz także osoby, około którejby cała

(1) Gorczyn Piotr. „Wdzięczne pieśńia Kamoen Sarmackich i t. d.

czynność się zesrodkowywała, ale rozdziela się ona między dwoma punktami: Osmanem i Władysławem; forma zresztą, wiersze ósmiozłogłowe, naprzemian się rymujące w cztero-wierszowej strofice nie przystoi epopei. Formy takiej używali wszyscy Dubrowniczcy poeci, składając tak nazwane: „*Ljuvene pjesme*” (pieśni miłosne), w owych czasach stanowiące niejako patent na poetę. Appendini utrzymuje, że Gundulicz dla tego użył takiej formy wiersza, ponieważ, znając dobrze swój język, znał także jego miękkość i pieśszczośliwość i wiedział, że dla tych powodów wiersz długi w nim dobrze wyglądać nie będzie. Zdanie to jednak upada, jeżeli weźmiemy pod uwagę którykolwiek z nowszych utworów poezji serbskiej, np. poemat Mażuranicza: *Czenjicz-Aga*, w niektórych miejscach pisany jest wierszem dziesięciozłogłowym, a jakże mimo to piękny. ^Ww wielu znowu miejscach posądzić można Gundulicza o naśladownictwo i brak oryginalności. Podobieństwo jego z Tassem, jakieśmy to widzieli, jest uderzające; nadto opis drogi Ali-baszy do Polski przypomina podobne ustępy w *Odyssei* i *Eneidzie*, a bój Krunosławy z Sokolicą jest podobny do pojedynku Brandamanta z Marfitem w *Orlandzie*. Podobieństwa te jednak nie niszczą oryginalności Gundulicza, wszystkie utwory wyższe muszą mieć pewne cechy wspólne, a Osmana śmiało zaliczyć można do utworów wyższych, i jeżeli *Arystotelesowskie* i *Horacyuszowskie* prawa nie pozwalają mu być epopeją, to będzie on zawsze jednym ze znakomitszych poematów nie tylko w literaturze serbskiej, ale i słowiańskiej.

Osman po śmierci autora, długo bardzo krążył w rękopiśmie i dziwna rzecz, że syn Jana, Zygmunt Gundulicz, także sławny poeta, nie kazał ojcowskiej pracy wydrukować, tylko ją przepisywać zaczął. Przy końcu dopiero wieku XVIII, Łukasz Volanticz zebrał mnóstwo rękopismów i aż do swjej śmierci przez całe lat 20 je porównywał. Lecz pomimo najusilniejszych starań nie wynaleziono pieśni XIV i XV, wszędzie na ich miejscu stał napis: „nie znaleziono po śmierci poety.” Ukończona już prawie praca Wolanticza nie doczekała się jednak druku, dopiero ziomek nasz Andrzej Kucharski w czasie pobytu swego w Serbii, dostawszy się do rękopismów pozostałych po Volanticzu ocenił

całą piękność Osmana i wpłynął na ogłoszenie go drukiem w Dubrowniku p. t. „Osman spiewagne vitescko” 1826 r. Jeden zaś ze starszych rękopismów Osmana przywiózł Kucharski z sobą do Warszawy. Rękopism ten miałem na pewien czas udzielony, a wreszcie został on wraz z całą biblioteką po ś. p. Kucharskim sprzedany uniwersytetowi odesskiemu. Później wyszedł Osman w zbiorowém wydaniu dzieł Gundulicza, uskutecznióm przez Mażuranicza w Zagrzebiu w 1844 r. Drugiego wydania samego Osmana, z życiorysem Gundulicza i wstępem krytycznym dokonał A. Tkalczewicz (Weber) w Zagrzebiu w 1854 r.; Appendini przełożył Osmana na język włoski a ksiądz Zamagna wydał kilka strof pieśni IV po łacinie.



PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE

Sprawozdania komisyyi fizyograficznej c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego, obejmujące pogląd na czynności dokonane po koniec r. 1866, oraz materiały do fizyografii Galicyi. Kraków 1867 r.

Grono uczonych mężów, stanowiących oddział nauk przyrodniczych i lekarskich c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego, podjęło już w 1861 roku myśl zawiązania komisyyi fizyograficznej, mającej na celu zbadanie wszystkich przyrodzonych własności ziemi galicyjskiej. Myśl ta wznowioną została w 1863 roku przez ś. p. Dra Fr. Herbicha, wielce zasłużonego badacza przyrodznawstwa Galicyi i Bukowiny; chodziło o zawiązanie w Galicyi stowarzyszenia nauk przyrodniczych (zwłaszcza geologii, botaniki i zoologii), któreby we właściwem czasopiśmie gromadziło i ogłaszało wiadomości odnoszące się do tych działów fizyografii krajowej; lecz niezależne od Towarzystwa wypadki stały na przeszkodzie temu przedsięwzięciu i dopiero z wiosną 1865 roku powstała nadzieja ziszczenia tak dawno żywionych zamiarów. Prezes Towarzystwa naukowego Dr. Majer wznowił projekt ś. p. Dra Herbicha, a Towarzystwo nauk jednomyślnie go przyjęło.

Tak zawiązała się w gronie oddziału nauk przyrodniczych i lekarskich c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego stała komisyya pod nazwiskiem komisyyi fizyograficznej, złożona przede wszystkim: z Herbicha, Altha, Czerwiakowskiego, Czyrniańskiego, Sawiczewskiego, Karlińskiego, Kuczyńskiego i Zebrańskiego, którzy to wkrótce przybrali do grona swego: Nowickiego, Stopczańskiego, A. Kremera, Janotę, Hałatkiewicza, Graliewskiego, Jabłońskiego i Rehmana, zapraszając jednocześnie prof. Dra Czerwiakowskiego do objęcia stałego przewodnictwa w zebraniu.

Pierwszém zadaniem komissyi było powziąć wiadomość o osobach zamieszkałych w obszarze całego kraju, a zajmujących się jakimkolwiek bądź przedmiotem fizyografii i zachęcić je do współudziału w pracach komissyi, bądź przez przysyłanie materiałów, bądź swych prac naukowych. Równocześnie komissya stawiała sobie za zadanie szerzyć w kraju zamiłowanie w przedmiotach nauk przyrodniczych. Wszelkie prace i wiadomości dotyczące się spraw komissyi miały być czytane na jej posiedzeniach, a w razie uznania ogłaszane drukiem, czy to w rocznikach Towarzystwa, czy też, gdyby się tego potrzeba okazała, w osobném czasopiśmie.

Kancellarya Towarzystwa naukowego miała ułatwiać czynności komissyi, a kassa jej opędać pierwsze niezbędne koszty; komissya jednak znalazła się niebawem w wielkiej trudności wynikającej z zupełnego braku funduszków, i postanowiła udać się z prośbą do rządu o udzielenie odpowiednich środków. Przedstawienie napisane przez prof. Czerwiakowskiego przedłożoném zostało przez Dra Majera, a dnia 28 marca 1866 r., uchwalono dla komissyi fizyograficznej, stałą aż do odwołania kwotę 1500 złr. rocznie, począwszy od 1 stycznia 1866 r.

Od tej chwili komissya rozwinąć mogła swoje czynności i podzieliła się na pięć sekcij:

1. Orograficzno-geologiczną złożoną z pp.: Dra Altha, Dra Janoty, Dra A. Kremera i Dra Żebrowskiego, pod kierownictwem Dra Altha.

2. Chemiczną, pod kierunkiem prof. Dra Czyrniańskiego, złożoną z PP.: Dra Stopczańskiego, Sawiczewskiego i prof. Hałatkiewicza.

3. Meteorologiczną, pod kierunkiem prof. Dra Kuczyńskiego składającą się z prof.: Karlńskiego i Gralewskiego.

4. Botaniczną, pod przewodnictwem prof. Dra Czerwiakowskiego, złożoną z pp.: Dra Rehmana i prof. Jabłońskiego.

5. Zoologiczną, reprezentowaną w komissyi przez prof. Dra Nowickiego i Dra Żebrowskiego.

Przyznaną jej kwotę komissya rozdzieliła między pojedyncze sekte, ze względu zaś na szczupłość funduszków, odstąpić musiała od pierwotnej myśli wydawania czasopisma poświęconego wyłącznie fizyografii krajowej. Za to uchwaliła wydawnictwo sprawozdań rocznych, któreby mieściły w sobie zarazem i prace komissyi, a tēm samém stanowiły zbiór materiałów do przyszłego opisu przyrody krajowej, zastępujący brakujące czasopismo. Tak powstał z czynności komissyi po koniec 1866 roku tom dosyć obszerny (liczący 120 i 274 stronomie), pod tytułem: „Sprawozdania komissyi fizyograficznej c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego, obejmujące pogląd na czynności dokonane po koniec roku 1866, oraz materiały do fizyografii Galicyi. Kraków 1867 r.” Z niego to czerpalimy powyższe szczegóły.

Pierwsza część tomu (str. 1—120) zawiera sprawozdania i instrukcyje; druga część tomu (str. 1—274) materyały do fizyografii krajowej.

Sprawozdania z dotychczasowych czynności sekcji bardzo są jeszcze szczupłe, niemniej nie jeden ważny już szczegół zawierają; pamiętać przytem należy, że komissya zaledwie czynności swoje rozpoczyna.

Do sekcji zoologicznej przyłączono sprawę ochrony zwierząt i znajdujemy od str. 31 do 47 pracę Dra Janoty, wyliczającą rzadkie i zaginięcia bliskie zwierzęta w obrębie Galicyi, i środki jakie przedsiębrać należy, by zapobiedz zupełnemu ich wytopieniu. Do takich rzadkich, zupełną zagubą zagrożonych zwierząt należą przedewszystkiem świstaki (*Arctomys marmota*) i kozice czyli dzikie kozy (*Antilope rupicapra*) w Tatrach. W ichto obronie Dr. Janota przedewszystkiem występuje, nie pomijając jednak i różnych gatunków ptaków, które wyginąć mogą, jeżeli prawo krajowe nie weźmie ich pod opiekę.

Plan prac i instrukcyi pojedynczych sekcji zawiera:

Plan prac meteorologicznych przez Dra Kuczyńskiego.

Instrukcyą dla sekcji orograficzno-geologicznej Dra Altha.

Dalej dla sekcji botanicznej Dra Czerwiakowskiego.

Dalej instrukcyą dla badaczyw pojawów w świecie roślinnym przełożoną z niemieckiego oryginału K. Fritscha, i zastosowaną do potrzeb krajowych przez prof. Jabłońskiego.

Zarys planu, i instrukcyje w przedmiocie zoologii krajowej Dra Nowickiego.

Instrukcyje te są dobrze napisane i niejednego zachęcić mogą do pożytecznej pracy; zrazu wydały nam się może zbyt elementarne, zważywszy jednak że komissya chciałaby oddziaływać w jak najszerszych zakresach, przystępność taka instrukcyi staje się prawie konieczną.

Drugą część książki rozpoczynają: Wypadki spostrzeżeń meteorologicznych dokonanych w Galicyi i na Bukowinie w roku meteorologicznym 1866, podane przez prof. Dra Karlińskiego, dyrektora c. k. obserwatoryum astronomicznego. Obserwacye robione były w Białej, Makowie, Krakowie, Podegrodzie, Rzeszowie, Przemyślu, Drohobyczu, Lwowie, Złoczowie, Brodach, Tarnopolu i Czerniowcu, i podają średni stan dzienny ciepłoty, barometru przy 0 T., prężności pary, wilgotności, kierunek wiatru i moc, zachmurzenia, zachowanie się ozonometru, ilość i rodzaj opadu, burze, wichry i t. p.

Po tem sprawozdaniu meteorologicznem następują kolejno obserwacye czynione nad fauną Galicyi, a raczej wyliczenia żyjących tam niżej i wyżej organizowanych zwierząt, począwszy od ssących aż do pajaków i owadów. Większe zajęcia budzą zapiski z wycieczki podolskiej A. Wierzejskiego, a dalej i zapiski z fauny tatrzańskiej Dra Nowickiego, nie ograniczające się już na prostych wyliczeniach.

Daléj prof. Jabłoński bardzo zrécznie zestawił roślinność okolic Lezejska, tak że praca jego niezaprzeczenie stanowié będzie požądany przyczynek do flory krajowej. Daléj następują znowu spisy jawno i skryto-płciowych roślin nadesłane komissy z różnych okolic kraju. Spostrzeżenia fenologiczne mozolnie zbierane w ogrodzie botanicznym krakowskim i lwowskim, wreszcie spis wzniesień w Tatrach i w przyległych dolinach dotąd pomierzonych przez Dra Janotę.

O wielkiéj części prac tych trudnoby dziś było jakikolwiek sąd wydać, są to wyliczania tylko, zbiory, i materyały o których wartości przyszłość rozstrzygać będzie, gdy przyjdzie je zebrać w jednę większą całość, krytycznie przejrzeć i uporządkować. Jakikolwiekby zresztą były usterki poczynającego dzieła, zawiera ono nie jeden bogaty już przyczynek do przyrodoznawstwa Galicyi. Komissya fizyograficzna naucza nas przytem, ileto przy dobrych chęciach, przy najszczuplejszych nawet zasobach wykonać się daje, i budzi nadzieję że z czynnościami téj komissy nowa dla nauk przyrodniczych w Galicyi rozpocznie się era.

E. Strasburger.

*Zakazane owoce. Powieść przez Jana Zacharyasiewicza.
Warszawa. 1868.*

W stolicy... jakiej? nie orzeka jasno p. Z., co bynajmniej, jak się zdaje, nie szkodzi powieści, gdyż rzecz jéj może się odbywać zarówno w Warszawie, w Paryżu jak i Wiedniu. Osnowa nie ma barwy miejscowej charakterystycznej, jestto raczej powieść czysto *psychologiczna*. Otóż w stolicy prawdopodobnie w Waszawie, p. *Agaton* którego nazwać musimy bohaterem powieści w braku innego, prowadzi romans ze swą ubogą kuzynką *Teodora*, którą matka *Agatona* wzięła na wychowanie i obiecała pomódz jéj do szczęścia. *Teodora* jestto kobiéta, może nie zbyt często spotykająca się dzisiaj, wierząca, z sercem pełném miłości, bez poczucia nawet zdrady, bez kokieteryi. P. *Agaton* jest człowiek światowy, może mający w głébi serca uczucie lepsze, ale powodzeniem i łatwemi zdobyczami zepsuty. Potrzebuje on zawsze do podtrzymywania gasnącej namiétności jakichś przeszkód, zawad, słowem lubi *zakazane owoce*. *Teodora* nie umiała kochać, jak się sam często wyrażał. Zfąd jego uczucie do niéj zaczęło słabnąć a naturalnym popędem zwracać się ku zakazanemu owocowi. Tym zakazanym owocem była żona jego przyjaciela p. *Justynowa* (*Leonia*), przybyła ze wsi wraz z mężem dla rozerwania się do stolicy. Rzecz naturalna chciała z tego w niej pobytu skorzystać. Mąż ją już trochę nudził. Nie wiemy, o ile

miała w tém racyi, bo autor postawił Justyna na stronie i tyle tylko o nim się dowiadujemy, że lubi mówić o świętości domowego ogniska i przytém umie doskonale... udawać. Leonia jednakże mając przy sobie drogą dziecinę i pomna zaprzysiężonej wiary, nie tak łatwo daje się porwać swemu uczuciu. I w Agatonie również nie zagasło jeszcze zupełnie dawne uczucie do Teodory, zwłaszcza że na ten stosunek źle patrzył ojciec i Teodora w ten sposób była rodzajem zakazanego owocu. Ale nagle ojciec p. Prot poznawszy takie usposobienie syna, zmienia taktykę i przy danej sposobności pozwala Agatonowi na ślub z Teodorą. Oczywiście synaczek rejteruje, zwłaszcza że go ciągnie a raczej ciągnie i odpycha Leonia. Cóż w tym przypadku robi jej mąż? Zdaje się że Justyn podzielał zdanie p. Prota, aby nie stawiać na drodze kochającym się swojego *veto* . Udaje, jak gdyby niczego się nie domyślał, z Agatonem zachowuje dawne przyjacielskie stosunki i tylko czasami w rozmowie kreśli jej obraz szczęścia w domowym zaciszu, swą miłość dla niej i przywiązanie do dziecka. Tak stały rzeczy aż do pełnej wypadków maskarady, będącej tu punktem kulminacyjnym powieści i grającej rolę katastrofy w tragediach. Na maskaradę poszedł p. *Justyn* po tajemniczej jakiegś naradzie, powiedziawszy żonie, że idzie na gawędkę do znajomego; na maskaradę poszła p. *Justynowa*, bo jej się zdawało, że mąż ją oszukuje; na maskaradę poszedł p. *Agaton*, bo się założył z kimś o 100 rubli na cel dobroczynny, że Justyn nie będzie na maskaradzie; na maskaradę poszła i *Teodora*, choć trudniej to jej przyszło niż stracić życie, poszła jednak, bo tego od niej żądał jako oznaki jej miłości p. Agaton. Na tej tedy maskaradzie widzi Leonia męża swego z jakąś maseczką pod rękę i zgorziona tém... oddaje się czulej rozmowie z Agatonem. Spostrzeża to Teodora, rzuca słowo wzgardy Agatonowi i Leonii i oddała się. Nazajutrz u swojej przyjaciółki widzi się Leonia traktowaną jak łatwą zdobycz, dowiaduje się, że mąż jej poszedł na maskaradę, aby zyskać sto rubli dla biednej rodziny; że się pojedynkował o jej honor, i że jest ranny, że Agaton bardzo lekko sobie ją ceni. Leonia nie była zepsuta, tylko trochę próżna i lekkomyślną; nie miała zresztą co robić. Dlatego widząc roztwierającą się pod nią przepaść, powraca na drogę obowiązku, wyjeżdża z mężem na wieś, gdzie żyją szczęśliwi choć z pewnym cieniem złowrogim, bo „dusza kobiety, mówi autor, ubrana jest w białą szatę, której niczem plamić bezkarnie nie wolno.”

Cóż robi Agaton? Prawdopodobnie byłby się pocieszył nowemi zdobyczami, gdyby pöderwana znacznie fortuna rodziców nie odpedziła przyjaciół i znajomych i gdyby nie zmiana w jego stosunku do Teodory, która widząc się zdradzoną, wsparta radą ks. Łukasza, wskazującego jej prace jako jedyne lekarstwo na jej nieszczęśliwą miłość, oddała się zawodowi nauczycielskiemu z wielkim zgorzieniem bogatych swych krewnych. W ten sposób stała się dla Agatona zakazanym owocem. P. Agaton czę-

sto chodził w stronę, gdzie było mieszkanie Teodory, co więcęć wdrapywał się na mur, choć brytan ostrzył na niego zęby, by tylko widzieć choćby twarz dawniej ulubionej; próbował pójść do niej z wizytą, ale otrzymał odmowną odpowiedź. Uparł się jednak p. Agaton (a na upór jak wiadomo nie ma lekarstwa) i... został mężem Teodory. Czy byli szczęśliwi, czy Agaton posiadłszy owoc zakazany nie sprzykrzył go sobie, czy Teodora znalazła uspokojenie i zadowolenie serca? Autor nie odpowiada stanowczo, ale obiecuje nam drugą powieść o dalszych latach Agatona i Teodory. Nie czekając na spełnienie obietnicy, rozbierzmy, co daje obecnie.

Trzęść tej powieści, jak widzieliśmy, jest uboga w wielkie motywa: ani tu wielkich, wzburzonych namiętności, ani płątaniny dziwnych wypadków, ani wzniosłych, cały świat obchodzących idei: to prosta historia kilku serc. W niej dwa szczególnie dramata z życia ludzkiego zasługują na uwagę: Leonia i dawna miłość do męża, Teodora i Agaton. Jeden z nich autor doprowadził do końca, drugię dał nam początek. Łącząc się one spólnemu stosunkami wchodzących tu osób i jedną zasadniczą myślą, że *to nam tylko smakuje, co jest wzbronionem*. Myśl to stara jak świat, powtórzona tysiąc razy przez poetów i niepoetów. Począwszy od historii Adama i Ewy w Raju aż do chwili obecnej możemy tego niezliczone znaleźć w życiu przykłady. Nie okrył tu więc p. Z. żadnej prawdy wyższej, żadnej myśli, któraby górowała nad powszedniością zwyczajnego życia. Taż sama powszedniość przebija się i w charakterach osób wyprowadzonych na scenę. Wszystkoto są ludzie, z którymi mówiliśmy wczoraj, z którymi widzieć się będziemy jutro, bez żadnej wybitnej cechy, bez wyróżniających się z ogółu charakterów. Nie zdoła więc powieść ta wzbudzić zapału, wznieść i poruszyć serca, zwłaszcza że jest napisana dosyć blade, bez ruchu, bez akcji. Osoby w niej tylko mówią, myślą i czują, ale czynnego działania, energii i sprężystości w przedsięwzięciu i przeprowadzeniu tu nie ma. Autor za to ze szczegółowością nieraz nużącą opisuje ich stan każdorazowy. Przysłuchuje się on każdemu uderzeniu serca, każdemu ruchowi uczucia i te ze skrupulatnością notuje. Spostrzeżenia te są bardzo trafne, dowodzące usilnej i częstej obserwacji autora, ale zbyt się powtarzają często, zbyt są jednakowe. A wada ta jest jedną z najważniejszych, bo sprzeciwia się przyrozonemu usposobieniu naszego umysłu, nie lubiącego zbyt długo nad jednym zastanawiać się przedmiotem, zwłaszcza w dziełach sztuki, których bez wątpienia najgłówniejszém zadaniem jest zaspokojenie różnostronnych wymagań naszego serca i estetyczne zadowolenie. Powieść ze swęj natury nie może mieć do cel główny robienia spostrzeżeń psychologicznych dla samych spostrzeżeń; w niej charaktery ujawniać się powinny w działaniu, w akcji. P. Z. użył mało tego środka a przeważnie dał miejsce opisom i rozmowom. W tych ostatnich nie można odmówić p.

Z. wielkiej naturalności i zręczności w przeprowadzeniu; one też głównie zdobią obecną powieść. W opisach za to mniej jest szczęśliwym z powodu wzmiakowanej już drobnostkowości i częstego powtarzania. Do najudatniejszych jeszcze możemy policzyć opis dzieciństwa i młodości Teodory, jej myśli i uczuć (str. 33—44). Najpowabniejszym w ogóle z charakterów jest właśnie ten charakter Teodory, tylko niestety niewykonywany i nieprzyrowadzony do należytej harmonii, jak sam autor wyznaje. Ani charakter Leonii ani Justyna, nie mogą wzbudzić sympatii czytelnika, bo są to istoty bierne, niczem nie przewyższające ludzi zwyczajnych ani potęgą myśli ani siłą uczucia.

W p. Agatonie widzimy pewną niekonsekwentność postępowania. Wystawił go naprzód p. Zach. (mianowicie w jego stosunku do Leonii) jako wytrawnego salonowca, który pierwsze próby miłości dawno już przeżył, z bajrońskim uśmiechem na ustach;—a przy końcu powieści tenże Agaton postępuje jak zakochany po raz pierwszy student. On, dawny lew salonowy, doświadczony i wypróbowany, łązi teraz po deszczu i słońcu, spina się na mury, by tylko ujrzeć sylwetkę Teodory, nie bacząc że powala modne ubranie; niczem więc nie jest zajęty jak tylko myślą widzenia i słyszenia tej którą dawniej traktował z góry. Zdaje nam się że to jest tylko zbytek troskliwości w przeprowadzeniu myśli o zakazanem jabłku. Jeżeli taki zwrot nie jest naszym błędem psychologicznym, to przynajmniej nie usprawiedliwił autor należycie motywami takiej zmiany w obyczajach salonowca.

Skreślenie innych postaci jak p. *Prota* wydającego baliki dla utrzymania honoru domu p. *Protowój*, dewotki na stare lata, która nie pojmuje, że upokorzenie jest także przykrością; p. *Klary*, wychowawcy pp. *Protostwa*, która dla odzieży i kawalka ohleba wyrzec się musiała szczęścia życia całego; *Anatola*, *Florka*, brukowych salonowców, żyjących z dnia na dzień, figur zresztą podrzędnych prawie nie na przebieg sprawy nie wpływających, a dodanych tylko dla pełności obrazu;—skreślenie tych, mówię, postaci przynosi zaszczyt obserwacyjnemu darowi autora.

Kilka więc scen, zręcznie przedstawionych, kilka trafnych spostrzeżeń, tu i owdzie rzuconych, kilka rysów do zuanych charakterów dodanych—oto prawie wszystko, co nam przynosi najnowsza powieść p. *Zacharyasiewicza*. Ale szczupłość kompozycyi, choć przy dowiecipnym pomysle, powszedniość charakterów, zbytne rozwlekanie krótkiej samej w sobie treści nie pozwala tego utworu uważać za jeden z lepszych w powieściopisarskim zawodzie.

Nowe powieści dla dojrzałszej młodzieży przez Sewerynę z Żochowskich Pruszkową. Warszawa. Nakładem G. Sennewalda. 1868. — Wspomnienia wygnanki przez Paulinę Kraków. Wyd. 3. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1868. — Emil Leclerq. Powieści prawdopodobne dla dzieci, spolszczone przez Jana Chęcińskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1868. — Wesole powiastki dla dzieci przez A. S. Oryginalnie po polsku napisane. Wyd. 3. Warszawa. Nakład G. Sennewalda. 1868.

Jeden cel, jedno zadanie łączy powyższe prace: w formie powieściowej przedstawić pewne prawdy moralne, od tych i od owych błędów odwieść młodzieuczne pokolenie. Rozumaitemi do tego celu zdążają one drogami; jedna wzruszającem a pełnym ciepła opowiadaniem, druga jasnym opisem pewnych zbroczeń i podaniem na nie lekarstwa: jedna potęgą uczucia, druga zartem i wystawieniem na śmieszność. Jedno i drugie działa na młody umysł dzieci nawet osobno; ale o wiele jest lepiej, gdy jedno z drugim umiejętnie jest połączone, Pisma bowiem, w których jeden tylko działa żywioł, jak z jednej strony mogą popaść w monotonność, niekiedy nawet w bezbarwność; tak z drugiej strony mogą uleść zarzutowi zimna i sadzenia się na dowcip. To i tamto nie wyszłoby bynajmniej ani na zalety książki ani na korzyść dzieci. Takie mniej więcej myśli przychodzą po przeczytaniu książek, stanowiących przedmiot obecnego rozbioru; o ile zaś one stosują się do pism pojedynczych, okaże się przy ich szczegółowym przeglądzie.

Oczywiście na początek nasuwa się nam nowe dziełko p. Seweryny z Żochowskich Pruszkowej p. n. *Nowe powieści dla dojrzałszej młodzieży*. Znajdujemy tu dwie powieści: *Wieczór Wielkanocny* i *Ognisko domowe*. Treścią ich są wypadki, które nieraz były już tłem rozmaitych powiastek i powieści; są one jednakże tego rodzaju, że choć często opowiadane i powtarzane, nie tracą swego znaczenia i dobrze jest kiedy się je przypomina. Ale żeby się nauka moralna, z takich opowiadań wyciągnięta, przyjęła i zawienni owoc wydała, nie dość jest dobrej do tego chęci ze strony autora; potrzeba ją w zajmujący i pociągający podać sposób. Nie dość jest wypowiedzieć i dowieść przykładami jakiejś prawdy moralnej, trzeba ją natchnąć w serce młodego czytelnika lub czytelniczki. Tego ognia, tego młodzieńczego zapału, któryby porywał i podnosił, w obu powieściach p. Pruszkowej nie znajdujemy. Głównie przyczynia się do tego forma, w którą przyobkleła swe pomysły. Włożenie opowiadania w usta osoby, główną w nim odgrywającą rolę, przez cały ciąg powieści wiele pomaga do rozwinięcia strony lirycznej i uczuciowej, ale z wielu innych

względów utrudnia wywiązanie się z niemałego zadania zniewolenia sobie czytającego. Czyni ono niemożliwą wszelką ruchliwszą żywszą akcję, gdyż nie pozwala pisarzowi przenosić czytelnika, gdzie pomysł jego wymaga, ale przykuwa do jednej osoby skrepowanej miejscem i czasem. Zakres samego opowiadania również się zmniejsza, bo daje nam poznać te tylko osoby, z którymi przebywał ciągle opowiadający; jeśli nie chce robić zbyt szerokich wycieczek, nie może nam powiedzieć co w tej a tej chwili myśleli, czuli i działali inni, którzy w jego nie byli obecności. Zmusza też podobna forma do wykroczeń przeciwko prawdopodobieństwu: jak np. w powieści *Wieczór wielkanocny* jej bohaterka (Joanna) opowiada dosłownie, jak się pokazuje, kilka dość długich listów, które odbierała kiedyś przed kilkunastu laty (str. 45, 57, 93). A co jest podobno najważniejszą rzeczą w tym razie, forma taka najbliżej prowadzi do monotonii; bo ciągle następstwo myśli w jednym i tym samym kierunku (zwłaszcza gdy te nie są zbyt wielkie i szczytne), mała liczba wydarzeń a wielka refleksyjność muszą koniecznie niepomyślnie działać na uwagę i fantazyę czytelnika. Jedną jeszcze musimy zrobić uwagę. Autorka w obu tych powieściach chciała, zdaje się, postawić obok teorii praktykę. Powieści owe, mające na celu: (*Wieczór wielkanocny*) nadanie obowiązkowemu zatrudnieniu powabu i zajęcia i zasłużenia w ten sposób na miłość i szacunek współbliznich a zatem na szczęście; druga zaś (*Ognisko domowe*) podniesienie z upadku prawdę i obowiązek i zachwalenie zarazem rodzinnego życia; powieści te wywierają już w samej książce p. Pruszkowej wpływ swój zbawienny. Pierwsza z nich opowiadana przez właścicielkę pensyi swoim wychowankom, jedną do poczucia swęj winy doprowadza, inną znów w przyszłym zawodzie nauczycielskim pociesza. Druga powieść przywodzi do upamiętania zrujnowaną rodzinę. Ale oddając, co się komu należy, przyznać musimy, że nowe te powieści p. Pruszkowej tchną zwykłym tej autorce uczuciem i czystą moralnością, dążeniem zacnem, wielu trafnymi uwagami i przestrojami. Jedną szczególniej zauważyliśmy, która jak wielu innym tak też mianowicie niektórym z młodziej generacyi, wieszczom naszym przydać się może, i dlatego tu ją zapisujemy: „Pycha to kładzie na głowę naszą ostrą koronę z ciernia. Lubimy się bawić w męczeństwo w mniemaniu, że świat powinien się ukorzyć przed blaskiem naszych palm i aureoli. Ależ to czcze złudzenie! świat obojętnie patrzy na męczenników własnej pychy i nie ma dla nich współczucia” (str. 69).

— *Wspomnienia wygnanki* przez Paulinę Kraków wychodzą już w 3ciem wydaniu, same więc mówią za sobą; bo też istotnie zewszecmiar na czytanie i upowszechnienie zasługują. Jestto jedna z niezbyt licznej ilości książek, które nawet dorośli już ludzie z przyjemnością drugi raz odczytują. Nauka połączona tu z interesem i zaciekawieniem tak ściśle jak się to może tylko Robinsonowi, jej poprzednikowi udało. Gorące uczucia i miłość lu-

dzi, opromieniają przyjemną atmosferą tę książkę, która miłe chociaż smutne pozostawia po sobie wrażenie. Treść tej książki komuż z czytających nie jest znajoma? Marya, córka nieszczęśliwego bo obłąkanego ojca i biednej matki, niewinnie obwiniona o kradzież, wysłaną zostaje na wygnanie do Australii. Miłością i poświęceniem pozyskuje sobie serca ludzi, a wypadkami zapędzona wraz z dwiema towarzyszkami na bezludne i dzikie wybrzeże, pracą i przemyślnością osładza sobie i drogim osobom pobyt na niem, buduje domek, przysposabia odzież i żywność, kształci młodzieuchną Emmę. To nam żywo przypomina Robinsona, mianowicie też w rozdziałach XVII i XVIII (*Puste wybrzeże i przemysł*). W tych częściach *Wspomnienia wygnanki* są żeńskim Robinsonem. Powraca wreszcie po długich trudach do ojczyzny, ale cierpienia moralne (rozłączenie z rodziną, boleść niewinnego obwinienia) złamały jej zdrowie i poprowadziły do grobu. Sympatyczne pióro autorki unie wzruszyć i zająć. Wszystko tu proste, jasne, trochę może zanadto melaucholiczną powleczone barwą; przynosi sercu zadowolenie, a głowie naukę.

— P. Jan Chęciński, który już nas kilku dla dzieci obdarzył pismami, *spolszczył* obecnie *Powieści prawdopodobne* Emila Leclercq. Wyznamy jednak że dziełko wybrał nieszczęśliwie. Zimno wieje z tych prawdopodobnych powieści. Przypadło to do smaku p. Chęcińskiemu chyba dla kontrastu z własnymi jego pracami, w których uczucie jest prawie zawsze żywiołem przeważnym. Powiastki te dowcipne są, niekiedy nauczające a niekiedy tylko zabawne (np. Skrzyńeczka), ale chłód z nich wieje ziębiący. Widocznie są one płodem myśli i fantazyi, ale uczucie nie ma tu wielkiego udziału. Bo nawet jedna z najpiękniejszych w tym zbioru, przedstawiająca smutny stan sieroty (*Sousia*), od tego zarzutu bynajmniej nie jest wolna. Autor opisuje jej nieszczęścia jak nieczuły kronikarz, nie poruszający struny sercowej, a ograniczający się tylko na przedstawieniu wypadków. Niektóre też z nich jak np. *strach* obrabiają bardzo pospolitą i na tysiącach wariacych opowiedziane temata. *Spolszczenie* też nie może zadowolnić. Pozmieniane imiona i nazwiska nie nadają tu barwy swojskości. Okolice to nie nasze i ludzie nie nasi. Ich sposób mówienia tak jest odrębny od naszego, tak francuzki, że dziwić się przychodzi, jak p. Chęcińskiemu nie wpadło to w oko i ucho. Prócz tego takie drobne i różne powiastki, jakkolwiek zkadną artystyczniej od wielu innych powiastek dla dzieci obrobione, nie mogą zająć uwagi chyba bardzo małych dzieci.

— *Wesołe powiastki dla dzieci* przez A. S. oryginalnie jak głosi napis opracowane, wychodzące w 3ciem wydaniu, usiłują wpłynąć na poprawę pewnych błędów dziecinnych przez wystawienie ich na śmieszność, a niekiedy działając na uczucie miłości ku ludziom w ogóle, dla rodziców zaś i krewnych w szczególności. Oba te sposoby są zarówno trafne, bo równie miłość własna jak i dru-

gich jest dzieciom właściwa. Zbiorek p. A. S. z 8 powiastek się składający jest dość względnej wartości. Nie ma w nim żadnego uporządkowania, żadnego stopniowania w następstwie po sobie powiastek, wszystko bez ładu i składu. Dowcip często prawdziwy, czasami podejrzany a niekiedy nawet dwuznaczny. W ogóle powierchliwość wielka i płytkość pomysłów jest tu cechą prawie panującą. Najlepsze z umieszczonych są: *Strachy w lamusie*, może najudatniejsza ze wszystkich w ogóle powiastek o strachach: *Okropny wypadek* i *Stary Marcin gubernierem*. Autorka jak widać nie troszczy się o zewnętrzną szatę swego pisemka, mówi tak swobodnie i tak nie zastanawiając się nad doborem wyrazów i wyrażen, jak to tylko w poufałej rozmowie trafiać się zdarza; nie zenuje się z czytelnikami. Bądź co bądź, przy staranniejszym nieco obrobieniu form tych powiastek i wyrzuceniu takich jak *Figle taty*, książeczka ta może być dość zajmującą i pod moralnym względem pożyteczną lekturą dla dzieci.

18 Stycznia 1868.

Chm.

La philosophie de Goethe p. E. Caro (1), Oeuvres scientifiques de Goethe, przez Ernesta Faivre profesora z Lyon. — Dwa te dzieła, dotyczące literackiego stanowiska Goethego, ukazały się współcześnie.

Są to prace szacowne, wyczerpujące przedmiot wszechstronnie. Ad. Franck, professor, członek Instytutu, autor między innymi znakomitego dzieła: „Reformatorem i publicyści europejscy z wieków średnich i odrodzenia,” zdał sprawę z tych dwóch publikacyj, które nam dadzą najlepszą miarę prawdziwej ich wartości.

Caro i Faivre są tego przekonania, że nie niema odosobnionego w umyśle podobnego hartu jaki posiadał Goethe; i że filozofia, poezya i nauka spotykając się u człowieka tego stopnia potęgi i oryginalności, wiążą się przez proste analogie i składają jedną myśl, tylko w różnych formach. To stanowisko pozwoliło p. Faivre po opisaniu odkryć i teoryj naukowych Goethego przejść za ich śladem do jego poematów i romansów. Tak np. w I części Fausta znajduje on pojęcia osobiste wielkiego poety niemieckiego o optyce; w II znowu części Faivre z równą zręcznością pokazuje nam system geologiczny Goethego i namiętność, z jaką zawsze bronił neptunistów przeciwko plutonistom, w *Wilhelmie Meister* pojęcia poety o mineralogii i t. d.

Najbardziej zaś uderzają w znakomitem dziele Faivre'a, spostrzeżenia, do jakich prowadził system Goethego co do natury w ogólności? Wiadomo, że szkice Goethego o przemianach roślin,

(1) Według tego dzieła ułożonóm jest studyum o Goethem w zeszytach za m. Luty r. b. Biblioteki Warszawskij.

poprzedziły na 6 lat *Pamiętniki* Geoffroy-Saint-Hilaire o anatomii porównawczej. Goethemu więc należy się pierwsza myśl o jedności substancji. Myśl tę zastosował później do królestwa zwierzęcego, następnie świat cały wydał mu się jako substancja nieujęta (*insaisissable substance*), która w całości wszech rzeczy, tak jak w każdym pojedynczym tworze przechodzi nieustannie z formy do formy, a rozum nie może dośledzić granicy tych przemian. Faivre przypuszczając w naturze jedność planu czyli układu, wywodzi, że jedność ta byłaby czymś wyrazem, gdyby nie uznać stałości gatunków (*fixité des espèces*), do której fakta same prowadzą. I rzeczywiście, gdzie znaleźć tę jedność, gdzie jej dowodzić, jeżeliby nigdzie ujęta być nie mogła, znikająca z przedmiotami, z którymi ją ująć pragniemy i bytowała tylko w zjawiskach zwierzęcych i przelotnych?

Oparłszy się na pojęciu stałości gatunków, które jest działaniem idei na fenomena, czyli myśli na zjawiska natury, p. Faivre wywodzi przeciwko Goethemu teorię *przyczyn ostatecznych* (*causes finales*).

Dwa te pojęcia, podług p. Faivre są dwiema nierozdzielniemi częściami jednej całości, i uznając lub odrzucając jedno, staje się w bezwarunkowej konieczności przyjąć lub odrzucić drugie.

Jeżeli gatunki żyjące są tworem jednej siły, która je utworzyła aby trwały, to jest widoczném, że otrzymały one organa potrzebne do ich zachowania, i instynkt, który je nauczył ich używania.

Jeżeli przeciwnie gatunki i rodzaje są tylko kształtami przechodniemi, i przelotnemi przemianami odbywającemi się ciągle i bez granic pod wpływem siły niewstrzymanej, podlegając prawom, których ona sama nie jest świadoma, byłoby niemożliwem szukać celu przyczyny układu stworzenia (*constitution de êtres*); trzeba by przyjąć, że oko nie jest dane na to aby widzieć, a ucho, aby słyszeć, lecz że się widzi i słyszy dlatego, iż się przypadkiem ma oczy i uszy.

Otóż to droga, na której rozbierając niektóre teorie Goethego o historii naturalnej, Faivre dochodzi do filozofii jego.

Przeciwnie w dziele E. Caro filozofia zajmuje pierwsze miejsce.

Przez niąto stara się on wytłumaczyć i wyświecić wszystko, co Goethe pisał i myślał, wszystkie jego dzieła wyobraźni, prace naukowe, a nawet rozmowy i korespondencye.

Ządło wypływa wyborna jedność kompozycyi i wielka różnaitość szczegółów. W tem piękném dziele powaga samego przedmiotu, nie zmniejsza ciągłego interesu. Wierny historyk faz, jakie przechodził ruchliwy geniusz niemieckiego poety, zachowując tożsamość swęj natury, p. Caro zmienia co chwila sceny, przedmioty, osoby nie spuszczać z oka nietylko filozofii, lecz i metafizyki, tęj części filozofii, najwznioślejszęj i najniebezpieczniejszęj. Jest ona tu (filozofia) jak nie bogatęj tkaniny, która

się rozwija pod naszymi oczami, przyjmując wszystkie ozdoby i naginając się do wszystkich kształtów.

Ale czyż jest filozofia Goethego? W tym względzie można bez obawy być więcej twierdzącym od p. Caro.

Mówi on tylko o „wrażeniach filozoficznych, o ideach ogólnych, o tendencjach ducha, co trudno jest sprowadzić do jednego systematu. To, co nam Caro obiecuje wyciągnąć z bogatego zbioru dzieł poety niemieckiego, nie jest doktryną, ale jak się w przedmowie wyraża: „naturą, jedną z najoryginalniejszych i najrzadszych.”

Franck jednak jest przekonania, że Goethe ma system kompletny i metodę jasno określoną w swoim sumieniu i pismach: *jest panteistą.*

W liście do Jacobiego pisał Goethe: „jako artysta i jako poeta, jestem politeistą; przeciwnie jako naturalista, jestem panteistą, a jednym i drugim niezawodnie.”

Czyż panteizm nie ma odrębnego charakteru, który go odróżnia od innej filozofii, i czyż go nie widzimy w pojęciach Goethego, w tém wszystkiem, w czem twórca *Fausta* mówi o człowieku, o naturze, poezyi i o nauce?

Prawda, że dla Goethego „każda filozofia jest tylko odmienną formą życia.” Ale jest to wyrażenie tylko ułamkowe głównej zasady panteistycznej, że byt, a więc życie i myśl mogą się objawiać tylko w formie udeterminowanej.

To nie dosyć, że Goethe jest panteistą ale jest nim w rodzaju Spinozy. W młodości jeszcze rzucił się on na pole dociekań filozoficznych i religijnych, na podstawie systematu *emanacyi*. Zasada ta w gruncie rzeczy jest spinozyzmem wschodnim; dlatego to autora *Etyki* oskarżano, że w tych źródłach czerpał pierwotną myśl swęj metafizyki. Nawet alchemia, w którą Goethe przez pewien czas wierzył, jest tylko odmiennym wyrazem, albo prostem zastosowaniem tego samego pojęcia. Jeżeli przypuszczamy, że natura mogłaby nas nauczyć tajemnicy przekształcania metalów jednych drugimi, a te wszystkie przerobić na jeden, to czynimy to jedynie z przekonania, że metale i ciała w ogólności są tylko formami przechodniemi, kształtami zmiennemi tegoż samego principium, które się da sprowadzić do substancyi uniwersalnej (powszechniej).

Przypomnieć tu wypada, że alchemia miała tę samą kolebkę i rozwinęła się w tych samych czasach, co szkoła alexandryjska, t. j. szkoła filozoficzna na systemacie *Emanacyi* fundowana.

Dwadzieścia lat mając Goethe spotkał się z urobionym już systematem Spinozy, i rzucił się nań, jakby dla niego przygotowany. Przywiązał się do niego z siłą, której lata spozyc nie zdołały, bo w nim znalazł i spokój duszy i zadowolenie umysłu. „Wiara moja w Spinozę—mówi on—opierała się na wrażeniu cizy, jakie we mnie sprawił. Spokój ten przelał się we mnie; czytając go, czułem jakby podmuch cizy.”

Cóż może być bardziej spinozystycznego nad to wyrażenie?

„Ta wielka istota, którą nazywamy bóstwem objawia się nie tylko w człowieku, objawia się nadto w bogatej i potężnej przyrodzie, i w niezmierzonych zjawiskach świata. Obraz jego, zbudowany tylko na podstawie przymiotów człowiekowi jedynie właściwych, nie byłby obrazem zupełnym.”

Pana Caro zadziwia ta stałość, miłość i cześć Goethego dla spinozyzmu. Zdaje mu się, że w Spinozie wszystko: duch, metoda i system powinno być antypatyczne geniuszowi Goethego. Nie widzi nic bardziej sobie nieprzyjaznego jak realizm Goethego z idealizmem Spinozy.

Franck przeciwnie, uważa, że nic bardziej nie nadawało się do poetycznych usposobień Goethego nad ten wolny i śmiały systemat autora etyki.

Jeżeliby się Goethe oświadczył za systematem metafizycznym, to niezawodnie wybrałby system Spinozy; i znowu gdyby Spinozie sądzono mieć swego poetę, jak Epikurowi, znalazłby go w Goethem. Ma się rozumieć, że język poety jest różnym od języka filozofa, i nie dziwnego, że nawet w prozie Goethego, w listach i rozmowach jego nie znajdzie się tych formuł oderwanych i tych wywodów geometrycznych, których się podoba używać Spinozie.

Zarzucano metafizyce tego ostatniego, że zniosła wszechświat, że zrobiła z natury prosty pomysł rozumu, a Boga uczyniła abstrakcją, że przeto zredukowała byt do myśli i idei, że podstawą jej stał się idealizm. Wiadomo także, o czem przekonany p. Caro, że Goethego nadewszystko uderza wielkość wszechświata, piękność i potęga natury. Mawiał on: „bądźcie przekonani, że rozum ludzki się rozwiewa, iub cofa, kiedy się przestaje zajmować światem zewnętrznym. Badajcie naturę; wszystko tam jest. Niegodny miana poety lub mędrca ten, kto analuje tylko uczucia i myśli osobiste. Ten tylko zasługuje na podobny tytuł, który umie sobie zaassymilować świat i odmalować go, jeśli jest poetą, lub opisać, jeśli jest uczonym.”

Realizm i idealizm są to wyrazy bez znaczenia dla panteizmu w ogólności, a spinozyzmu w szczególności, dla nauki, która w principium wyższem miesza ducha i materję, przestrzeń i myśl, sumienie człowieka i życie powszechne natury. Porównywając jedno z drugim w tych dwóch postaciach bytu, przyjdziemy do tego samego rezultatu; tylko, że jedno podoba się więcej poezji, a drugie metafizyce.

Jeżeli więc w realizmie i idealizmie spotyka się tylko dwa punkta względnie zapatrywania się, Spinoza bezwątpienia jest realistą, kiedy utrzymuje, że dusza jest tylko ideą ciała, i każdemu kształtowi myśli odpowiada koniecznie kształt przestrzeni, t. j. natury zewnętrznej. Któż znowu mógłby zaprzeczyć idealizmowi Goethemu, który go szuka i znajduje wszędzie, nie tylko w poezji i sztuce, ale w najniższych tworcach natury?

Ten pierwowzór, który zostaje niezmiennym w przemianach rośliny i przetwarzaniu się zwierzęcia, nie jest czem innym, jak ideą, uważaną pod pewnym względem za substancję istot, jak ich pierwiastek wieczny i niezmienny; tymczasem kiedy materya, przez którą się objawia naszym zmysłom, znika przed nami jak cień niedościęły.

Druga część *Fausta* między innymi dziwnymi uosobieniami, przedstawia nam jedno, które szczególnie godne jest uwagi.

„Są boginie które królują w samotności. Około nich niema miejsca, a mniej jeszcze czasu; strach cię przejmuje, gdy ci mówią o nich.

Do ich siedliska przedziera się tylko przez pustkę i samotność. Okrążone obrazami życia, nie zdolneby były dostrzedz tego, kto się do nich zbliża, bo one widzą tylko formy i typy stworzenia.”

Jakże p. Caro tłumaczy tę allegoryę? W znaczeniu najbardziej idealnym. Według zdania tego autora jest tu mowa o tych wiecznych i boskich typach, które przebywają w głębinach czyli źródłach bytu najbardziej niedostępnych, a które zachowując swą niepokalaną doskonałość, nie przestają jednak ciągle się przetwarzać w dziejach kolejnych natury i sztuki.

Franck podziela myśl p. Caro, przez którą tak tłumaczy to najciemniejsze miejsce, ciemnego poematu II Części *Fausta*. Ale wtedy filozofia Goethego, w niczem się nie odróżni od filozofii Spinozy.

Obaj oni są realistami i idealistami, jednej miary i kraju.

Zachodzi jednak (oprócz języka) ta między nimi różnica, że Spinoza jak wszyscy panteiści poprzedzający go, lub następujący po nim staje bezpośrednio na szczycie bytu czyli w łonie absolutu, z kąd zstępuje po stopniach aż do ostatniej granicy jego. Przeciwnie Goethe, utkwivszy wzrok w zachwycający obraz wszechświata, wznosi się od zjawisk przechodnich do pierwowzoru niezmiennego, od formy niższej do doskonalszej i dochodzi aż do treści identycznej i powszechnej tworów, które przenika swą obecnością.

Dla tego przyczyny Goethe, równie jak Spinoza widzi życie wszędzie: w materyi nieorganicznej pod nazwą atrakcyi, odpychania i t. p.; w materyi zaś organicznej pod postacią przemian, którym podlega roślina i zwierzę, lub pod postacią czułości (sensibilité) i pojętności.

Dusza dla niego, jest tylko cząstką tego życia powszechnego, i sądzi, że wszystko ma swoją duszę, od najdrobniejszego ciała aż do człowieka.

Goethe tak określa człowieka: „że jest to pierwsza rozmowa między Bogiem a naturą.” Saint-Martin nazywał człowieka: „bogiem *wymówionym* (parlé) i wyobrażał sobie go, jako lampę zawieszoną w pośrodku ciemnic wieczności.”

To także wyraźnie spinozizm. Pojęcie Goethego nie tylko w teorii natury i wszystkich istot, ale mianowicie w teorii o nieśmiertelności duszy jest zupełnie to samo, co i Spinozy.

Filozofowie około dwóch wieków po Malebranch'e'u, Hueecie i Fenelonie mieszały spinozizm z ateizmem. Był to błąd gruby. Spinoza wierzy w Boga, lubo Bóg jego nie jest Bogiem spirytualistów; posuwa nawet swe uczucie religijne do mistycyzmu. Wierzy w nieśmiertelność duszy, ale tak jak Mojmonides:

„Cząstką prawdziwie boską, która nigdy nie ginie w naszej istocie, jest rozum.

Czułość, imaginacja, wspomnienie osobiste, wszystkie te nasze zdolności niewolniczo są związane ze sprawami tego życia oraz jego formami przechodniemi, i są skazane na zniszczenie. Doskonałość rozumu leży w poznaniu Boga i warunków niezmiennych bytu. A zatem nieśmiertelność ma tylko filozof lub mędrzec, który całą swą miłość złożył w Bogu i wzniósł do niego wszystkie wysiłki swej myśli.

Duszę mędrca—mówi Spinoza—trudno jest zmieszać (troubler). Przez rodzaj konieczności wiecznej, posiadając świadomość samego siebie, Boga i stworzenia nigdy nie przestaje on istnieć i posiada na zawsze prawdziwy spokój duszy.”

Cytacye i wnioski, jakie nam przedstawia Caro, ten zdolny i świetny krytyk, przekonywają nas, że i pojęcia Goethego były takie same. Wierzył i on także, że dusza ze swęj treści nie ulega zniszczeniu, lecz pod warunkiem, aby miała w sobie siłę potrzebną do oparcia się wirowi natury zewnętrznej i wpływowi podrzędnym; pod warunkiem, aby umiała przez myśl i wolność zdobyć to sumienie, tę osobistość niespożytą, bez której nieśmiertelność podobną jest nicestwu. Goethe przyjmuje toż samo co Spinoza rozróżnienie pamięci czynów pojedynczych, które giną razem z ciałem, od owych rzeczy ogólnych, które pójdą za nami do uowego przeznaczenia. P. Caro nazywa to „nieśmiertelnością arystokratyczną.”

Goethe przy końcu życia swego przyznawał monadom ważną rolę w naturze. Lecz hipoteza ta pożyczona od Leibnitza nie zmieniła jego teorii o jedności substancyi, ani go nie rozłączyła z spinozizmem.

Monady Goethego są materją wszechświata, materją żyjącą (materiaux vivans), monady autora Theodycei są to istoty odrębne niezależne jedne od drugich, wyprowadzone z prawdziwej kreacyi; są to rzece można formy pierwotne całej organizacyi, całego życia, w których spowite jeszcze leżą zarodki przyszłych ich przemian. Obojętném więc jest dla Goethego nazwać je monadami albo ideałmi. Więc i idee, jeżeli je obdarzysz życiem i potęgą, stają się kształtami myśli nieskończonej, rozumu powszechnego.

Goethe przeto nie ma filozofii własnej. Filozofia jego jest filozofią Spinozy, zmodyfikowaną lekko w swoim wyrazie przez system Leibnitza.

Ale nie tam są złożone jego oryginalność, geniusz i osobistość olimpijska: znajdziesz je w jego poezyi i życiu.

Otóż jedną i drugie rozebrał, ocenił i wytłumaczył p. Caro z wielką przenikliwością umysłu, i rzadką delikatnością uczucia i wdziękiem stylu wyższym nad krytykę.

Opowiedział nam nadto z żywością i bogactwem uwag filozoficznych stosunki Goethego z najpierwszemi współczesnemi mu znakomitościami np. z Szyllerem, Lawatere, z Jacobim. Zdaje się, że opowiadający żył sam blisko z poetą niemieckim, słyszał jego majestatyczną i przenikającą-mowę pełną światła i ciemności, żywych wyskoków i nieodgadzionych zagadek. Rzekłbyś, że był na owych rozmowach Pampelforta, gdzie dwaj najserdeczniejsi przyjaciele Jacobi i Goethe, wyszli z jednego punktu o tych samych nadziejach, rozłączają się z sobą z rozdartem sercem; pierwszy usiłując wyjść z przyrody, aby się wznieść w krainy ideału i boskości, drugi, aby się w niej zagłębić, znosząc wszelki przedział między naturą a Bogiem.

Pan Caro z równem zajęciem maluje nam obraz Lawatera, tego twórcy *szkiców fizyognomicznych*, który przenosząc dogmat religijny Odkupienia w fizyologią, utrzymywał, że dobry chrześciani powinien się starać, aby w nim odżył nie tylko duch, ale i ciało oraz rysy oblicza Odkupiciela.

Połowę prawie dzieła p. Caro poświęca wytłumaczeniu filozoficznemu *Prometeusza* i obu *Faustów*.

Franck nie śmie zaręczyć, aby idee, jakie Caro widzi po za osobami i sytuacjami głównemi tych dramatów poetycznych, były rzeczywiście ideami Goethego. Nie śmie np. twierdzić, czy Prometeusz przedstawia *instynkt tajemny organizmu powszechnego, siłę plastyczną i twórczą wyrabiającą masę chaotyczną stworzenia*, albo, że Faust jest typem *ludzkości*, Helena *sztuki*, a Homunculus *nauki*, waha się też Franck w tym względzie między zdaniem p. Caro, a opinią Daniela Stern wypowiedzianą w pełnym szlachetności dyalogu o Dantem i Goethem. Nie podziela zdania, że Goethe w drugim Fauscie śpiewał hymn wiecznej miłości na cześć mądrości przedwiecznej, woli nawet zacytować słowa Goethego wyrzeczone do Eckermana: „Pytacie mię, jaką myśl chciałem wcielić w mojego Fausta? Jakbym ja to wiedział. To nie mój zwyczaj, wcielić się w abstrakcyę.”

Dzielo p. Caro w ogólności Franck wysoko ceni, znajdując w niem głębokie pomysły i ustępy prawdziwej wymowy, pomiędzy niemi np. ustęp *o miłości* i drugi *o związku poezyi z nauką*. Zapewnia, że znajdzie w nim czytelnik połączone z sobą dary wyobraźni i uczucia z powagą i wzniosłością myśli.

J. M.

A. F. Rio, *de l'art chrétien. Nouvelle édition 4 vol. 8vo Str. LXXXIV i 462, 554, 473 i 563. Paris 1861—1867. Hachette.* Z estetyków, zapatrujących się na utwory piękna okiem chrześcijańskim, jest p. Rio bez wątpienia pierwszy i nie ustępuje, co do wykwintnego gustu i uczucia piękna, żadnemu estetykowi szkoły przeciwnej. To też chrześcijańscy miłośnicy sztuk pięknych przyjęli z prawdziwym zapałem nowe znacznie pomnożone wydanie znakomitego dzieła, którego tom czwarty i ostatni ukazał się dopiero w roku przeszłym. Budzi on większe zajęcie od trzech poprzednich tomów, jako dla treści swojej jest on najważniejszy i najwięcej pociągający; obejmuje bowiem, prócz szkoły weneckiej, gruntowną i po mistrzowsku wykonaną charakterystykę dwóch największych przedstawicieli włoskiej sztuki, *Michała Anioła i Rafaela*, z którego śmiercią kończy się dzieło. Zaczyna się ono od słabych początków odradzającej się sztuki włoskiej w wieku XIII, której pierwsze nieśmiałe usiłowania złożone są w tak zwanej *szkole syeńskiej*. Strześciwszy jej dzieje przechodzi autor do *szkoły florenckiej*, poczem rozwodzi się obszernie nad odrodzeniem się nauk i nad udziałem wielkiej rodziny Medyceuszów w tym wspaniałym fakcie. Na tem kończy się tom Iszy, wstęp zaś jego poświęcony jest ogólnym uwagom estetycznym, oraz pogładowi na sztukę grecką i początki sztuki chrześcijańskiej. Drugi tom wykazuje, jakie zajęli papieża stanowisko w obec odrodzenia się nauk i jakie położyli zasługi około sztuk pięknych; poczem przechodzi autor *szkołę umbryjską* a kończy na charakterystyce Savanaroli i jego wieku. Większa część III tomu poświęcona *szkole lombardzkiej* i pamięci *Leonarda da Vinci*, na końcu spotkała *szkołę ferraryjską* krytyka ostra i zasłużona. O treści IV tomu wspomniałem już wyżej, oraz o tem że się kończy na Rafaelu. Z krótkiego wyliczenia treści przekonał się czytelnik o jej obfitości; jest ona zaprawdę tak wielką, że prawie zdaje się niepodobnym, aby jeden człowiek podolał jej zupełnie. Chociaż bowiem napisano dotąd już nie jedną całkowitą historią sztuk pięknych, mamy jednak mocne przekonanie, że prawdziwy znawca sztuk pięknych strawi duchowo tylko jedną szkołę lub kilka pokrewnych sobie szkół jednego narodu, inne szkoły będą mu naturalnie znane, ale więcej pośrednio, nie wniknie on zupełnie do ich duszy. To samo dzieje się w literaturze: krytyk estetyczny pokocha tylko jednego autora a co najwięcej jedną szkołę literacką i przejmie się nią do tego stopnia, że ona stanie się niejako jego drugim ja; wtedy też, ale tylko wtedy, zrozumie on ją prawdziwie i oceni należycie. P. Rio jest w tem szczęśliwym położeniu: długi pobyt we Włoszech i liczne wędrowki po sławnych europejskich muzeach usposobiły go do przejścia się swoim przedmiotem. Oprócz tego posiadał on wszystko, co jest potrzebnem dla krytyka i historyka, zna wszystko co pisano o sztuce włoskiej w dawnych i w naszych czasach, a wydobł wiele nowych świadectw, które drzemaly dotąd zapomniane

w archiwach bibliotecznych. Nie zaniechał więc niczego w sumiennem przygotowaniu się do pracy, a praca ta musiała się udać, gdyż znane były powszechnie znakomite zdolności autora, jego głębokie i delikatne uczucie piękna. Czytelnik przecież wyniesie więcej z dzieła p. Rio, niż samą korzyść estetyczną; dzieło daje daleko więcej, niż tytuł przyrzeka: poznać zeń można dokładnie cały stan społeczny Włoch aż do wieku Rafaela. Odsłania się tam wielobarwna różnaitość rzeczypospolitych, małych i wielkich; widzimy wszystkie po kolei, jak żyją i jak się rozwijają, jak każda z nich stawa się ogniskiem sztuk i oświaty. Genialni papieże i dumne feudalne pany, ciągną przed wrokiem naszym długim szeregami, a każdy z nich małym słońcem, w którego promieniach grzeją się artyści i poeci. Nareszcie każdy z wielkich mistrzów włoskiej sztuki stawa przed nami takim, jakim był niegdys w przeszłości, poznajemy nietylko zewnętrzne przypadki życia jego, lecz całą niezgłębioną ich dusza rozkwiera się przed nami i możemy dostrzedz najmniejsze drzenie jego geniuszu, jak się wyrwa na zewnątrz, aby przelać się na płótno lub zeszywnieć w marmurze. Poprzestajemy na tych kilku uwagach, bo chociażbyśmy rozpisali się jeszcze przez stronic kilka, nie zdolalibyśmy streścić czterech grubych tomów, których jędrną i ognistą dykcją słusznie podziwiają wszyscy. Prosimy też czytelnika, aby nie uważał tych kilku słów naszych za krytyczny rozbiór, o który pokusić się nie mieliśmy najmniejszej pretensyi, lecz raczej za doniesienie o ukazaniu się wielkiego dzieła.

Philosophie de l'art en Italie, par H. Taine. Paris 1867. Germer Bailliére. 12o. Str. 184. Autor zapatruje się na świat zupełnie przeciwnie, niż wymieniony poprzednio. P. Rio jest idealistą i chrześcianinem, p. Taine materyalistą i ateuszem. Mimo to należy on do małej liczby pisarzy, których trzeba czytać koniecznie, jeżeli czytelnik nie chce zostawić próżni w swoim estetycznym wykształceniu. Ograniczymy się tutaj na krótkim, bezstronnem doniesieniu, ponieważ mamy zamiar ogłosić wkrótce obszerny rozbiór i krytykę prac p. Taine. Wiadomo, że terażniejszy professor w paryżkiej szkole sztuk pięknych, jest nie tylko znawcą posągów i obrazów, lecz także bardzo uczonym człowiekiem. W młodości dał się poznać z gruntownych studyów nad *Tytusem Liviuszem*, uwieńczonych przez Akademię francuzką, później zdobył sobie szeroką sławę przez swoją „*historię angielskiej literatury*,” będącą nie tylko najlepszą tego rodzaju książką w języku francuzkim, lecz zasługującą na baczność uwagę nawet samych Anglików. Otóż mąż ten uczony, znający dokładnie i klasyczną starożytność i pierwszorzędne nowożytne literatury, przystąpił do krytyki areydziel sztuki z ogromnym zapasem historycznych wiadomości. Dzięki temu, widzi on dzieła sztuki w innym zupełnie świetle, niż wielu, niemieckich mianowicie estetyków:

utwór pędzla nie jest dla niego odosobnionem zjawiskiem, lecz wierszem odbiciem społeczeństwa, wśród którego powstał. Za pomocą starych kronik i napół zapomnianych legend, wywołuje autor ludzi owego czasu, a przeniósłszy tym sposobem obraz lub posąg z muzeum do dawno minionego wieku, sądzi autor o obrazie podług społeczeństwa. a o społeczeństwie podług jego utworów piękna. Taka to główna cecha krytyki p. Taine i trudno zaprzeczyć, żeby nie miała doprowadzić do świetnych rezultatów, byleby ujęto ją w pewne zasady i byleby traktowaną była umiarkowanie i oględnie. Jednakże najlepsza nawet metoda wyda zgubne owoce, gdy ją posuniemy do ostateczności. Ale nie krytykujemy tutaj metody *Tainowskiej*, donosimy tylko o najnowszej pracy autora. Metodę swoją zastosował on w wielkich rozmiarach do sztuki włoskiej, ogłaszając sławne o niej listy w *Revue des deux mondes*, które wyszły potem osobno w dwóch tomach pod tytułem: *Voyage en Italie*. Główne zaś zasady tej metody swojej wyłożył autor w dziełku: *Philosophie de l'art. Paris 1865.*, małem co do objętości, ale znakomitę co do formy i wykończenia. Dalszym jego ciągiem jest praca, której tytuł położyliśmy na czele tej wzmianki. albowiem „filozofia sztuki” wyklada teorią, a „filozofia sztuki włoskiej” zawiera jej zastosowanie i praktyczne uzasadnienie wszystkich hipotez. Rozpada się ta praca na 6 rozdziałów, z których każdy obfituje w trafne spostrzeżenia i liczne estetyczno-historyczne uwagi. Pierwszy rozdział wytyka granice chronologiczne, wśród których mieści się klasyczna sztuka włoska, oraz w czem ona się różni od dawniejszych szkół malarskich i od następnych, np. od flamandzkiej i nowożytnych. Drugi rozdział wyjaśnia stosunki społeczne i polityczne, wśród których zakwitła sztuka włoska, a trzeci odpowiada na ciekawe pytanie, czemu wtedy właśnie powstała, a nie przedź lub później. Czwarty rozdział porównywa życie włoskie w XV stuleciu z naszym życiem i naszymi zwyczajami; piąty wykazuje: jak ówczesne stosunki wpływały na sposób myślenia artystów, na ich wyobrażenia i utwory. Szósty nareszcie otwiera przed nami pracownię owych artystów i zawiera dowody za hipotezą autora: że każdy artysta jest niewolnikiem swego otoczenia, a każdy utwór piękna wyrobem społecznych stosunków, wśród których powstał. Zaiste olbrzymie kwestye poruszone w małym dziełku; czy autor zdołał je rozwiązać, na to odpowiemy w osobnej rozprawie.

Le Progrès par le christianisme, conférences de Notre-Dame de Paris par le R. P. Félix, 8vo. Str. 348. Paris 1867. Adrien le Clerc. Otóż jeszcze jedna książka, zajmująca się pięknem i estetyką, a napisana znówu z innego punktu widzenia, niż dwie poprzednie. Albowiem jej autor jest owym sławnym O. Feliksem, z Towarzystwa Jezusowego, którego wymowne słowa ściągają od lat 17 wybór paryżkiego towarzystwa pod wspólnie sklepienia

katedry Notre-Dame. Co rok urządza gorliwy kapłanszereg konferencyi, poświęconych ciekawemu, ogół obchodzącemu przedmiotowi; konferencye te następnie ogłoszone drukiem, stanowią zbiór pod głównym tytułem „*Le Progrès par le christianisme.*” Treść jednak każdego tomu inna, obecny wyszedł w przeszłym roku i zawiera konferencyę, mianę tegóż roku o sztuce i o wpływie na nią chrześcijaństwa. Zaprawdę przedmiot na oko zbyt świecki, aby mógł być wygłaszanym z ambony, przecież O. Feliks dowiódł wymownie, że sztuki piękne tylko do połowy tkwią w doczesności a lepsza ich połowa, niejako najwyższe konary sięgają w niebo i w nieskończoność. Dlatego też cieszymy się, że kapłan zajął się tym przedmiotem. W naszych czasach, gdzie wszystko, nawet utwory piękna, kostnieją pod technieniem materyjalizmu, gdzie racjonalizm i widmo bezczelnej negacyi, zatruwające od kilku wieków spokój duchowy Europy, zapuszczają coraz głębiej jadowite swoje szpony. należy się cześć nie mała znakomitym francuzkim kapłanom, którzy stanęli w obronie nauk i postępu, naprzeciw apostołom kłamstwa i bezbożności. Kilku z nich walczy oddawna za filozofią, zagrożoną przez racjonalizm, teraz estetyka także uciekła pod ich skrzydła, a O. Feliks dowiódł, że nie nadaremnie zebrała pociechy u źródła prawdy. Poświęcił jej sześć wspaniałych kazań: w pierwszym oznacza istotę i przedmiot sztuk pięknych, w drugim mówi o ich celu i o powołaniu artysty; w trzecim wykazuje stosunek, w jakim zostaje człowiek do artysty, a w czwartym przyczyny duchowego upadku artystów. Piąte kazanie rozbiera wpływ realizmu a szóste wpływ chrześcijaństwa na sztuki piękne. Nie potrzeba dodawać, że sławny kaznodzieja wywiązał się świetnie z obranego zadania, i że czytelnik wyniesie z jego dzieła nowy, wyższy pogląd na cudną krainę piękna.

Tableau des progrès de la pensée humaine depuis Thales jusqu'à Hegel, par Nourrisson: 3me édition. 8vo. Str. VII i 604. Paris 1867. Didier. Dzieło p. Nourrisson'a cieszy się powszechną sympatyą publiczności, czego dowód najlepszy, iż okazała się potrzeba 3go wydania. Różni się ono tém głównie od dwóch dawniejszych, że podczas gdy tamte kończyły się na Leibnitz'u, trzecia edycya została doprowadzoną do Hegla. Tym sposobem mają czytelnicy obraz zupełny i treściwy, choć krótki, całej historii filozofii, w ramach biograficznych. Sama zaś książka zasługuje pod każdym względem na baczność uwagę, gdyż sąd autora zawsze bezstronny, styl jego lekki i jasny, wykład systemów wierny i wyczerpujący. Ma ona zaś niezaprzeczoną wyższość nad wielu niemieckimi historyjami filozofii. Te bowiem rozprawiają tyle o „wielkim” Heglu, o „niesmiertelnym” Fichteie o „byстрыm” Herbarcie, o „głębokim” Szleiermacherze i Bóg wie, o jakich jeszcze geniuszach, jacy widać rodzą się w Niemczech co rok tuzinami, podczas gdy inne narody zapewne upośledzone od Opa-

trżności, liczą tylko małą liczbę prawdziwych myślicieli na długi szereg wieków tak, że młody czytelnik odurzony pochwałami i kadzidłami, wznoszącemi się na cześć chmurnych mędrców, zmarnowawszy najlepsze lata swoje nad ich niesmacznemi dziełami, chyba w starości, gdy już umysł jego zeszywniał, dowie się, że był jakiś Bossuet, Fénelon, Pascal, jakiś Augustyn św. lub Tomasz z Akwinu; ale wtedy już za późno: umysł w młodości wykrzywiony nie zdola już gustować w wielkich, pogodnych myślach tych prawdziwie nieśmiertelnych geniuszów. P. Nourrisson zaradził temu złemu, poświęciwszy znakomitym *chrześcijańskim* myślicielom obszerne rozdziały. Może skłonią one nie jednego czytelnika do tego, że mimo przesądów, wpajanych w niego od młodości, zabierze się do przeczytania ich wiekopomnych utworów, a wtedy przekona się niewątpliwie, że nie to dobre, co chwalał zwyczajni skrybenci i sofisci o wysuszonych mózgach, że blade, z trudnością wylężone, zagmatwane pomysły gabinetowych uczonych, ślęczących nad książkami a kuszących się o odtworzenie dzieła Najwyższego w zaplesniałych umysłach swoich, niczem nie są w przyrównaniu do natchnionych, pogodnych a jasnych słów wielkich Ojców Kościoła i znakomych francuzkich kapłanów XVII wieku, których od kolebki już otaczał Odwieczny hojnie światłem w badaniu prawdy.

Les écoles épiscopales et monastiques de l'Occident depuis Charlemagne jusqu'à Philippe Auguste (768—1180), étude historique par Léon Maître. 8vo str. VIII i 313. Paris 1866. Dumoulin.— Nie mieliśmy dotąd żadnej monografii o szkolném wychowaniu francuzkiem od IX do XIII stulecia. Prawda, że źródła, mogące posłużyć do monografii takiej, znane były oddawna, gdyż mieszczą się w zbiorach historycznych *Mabillon'a*, w Benedyktynów historyi literackiej Francyi, i licznych jużto francuzkich jużto niemieckich historykach i kronikarzach. Ze wszystkich tych źródeł i wskazówek skorzystał autor, zestawivszy je z wielką przeczornością i wyprowadzivszy z nich wnioski ogledne i trafne; tym sposobem ułożył obraz zajmujący, całkowity i wykończony, biskupich i klasztornych szkół we Francyi od czasów przebudzenia się życia duchowego za Karola W. aż do panowania Filipa Augusta, kiedy powstają pierwsze prawdziwe uniwersytety. Poznajemy, wiek po wieku, wszystkie główne ogniska oświaty w pojedynczych diecezjach duchowych kraju, poznajemy stan nauczycieli i uczniów; dowiadujemy się, jakie w szkołach tych wykładano nauki, jakich używano w nich podręczników, uareszcie jaką była edukacya wielkich panów i kobiet. Na końcu dzieła umieścił autor ciekawe wyciągi z katalogów najslawniejszych bibliotek klasztornych.

Voltaire au College. Lettres et Documents inédits par Henri Bequeme. 8vo str. CLXXXVII i 143. Paris. 1867. Amyot. Książka ta pomnożyła nieprzeliczoną literaturę, tyczącą się Woltera. Pierwsza część jej oznaczona rzymskimi literami, rozpada się na 7 rozdziałów, których treść muięj więcj taka: urodzenie się poety, familia jego, młodość, pobyt u jezuitów w kolegium Louis le Grand, jego pierwsi przyjaciele, pierwsze wier-
 sze i pierwsze wystąpienie w salonach. Część ta napisana blade i miernie, choć zawiera różne ciekawe szczegóły i rozwiązania nie jednej zawikości; druga część zawiera 78 listów „nie wydanych,” a niektóre z nich rzucają nowe światło na młodość poety. Większa jednak ich część była już znaną poprzednio, tylko pod fałszywemi jużto adresami, jużto datami.

Vies des savants illustres de la Renaissance par Louis Figuier. 8vo str IV i 472. Paris. 1868. Hachette. — Niezmordowany i z wielką łatwością piszący, autor licznych dzieł popularnych i wydawca rocznych sprawozdań z postępu nauk przyrodniczych pod tytułem: *L'année scientifique*, p. Figuier uprawia od niejakiego czasu z widocznem upodobaniem historią nauk, ażeby dawne ich zdobycze uczynić również przystępnemi dla większego ogólu jak terazniejsze. Z zadania swego wywiązał się bardzo szczęśliwie, dzięki popularnej formie i metodzie. Napisać bowiem oderwaną historią matematyki, astronomii, chemii, będzie zadaniem trudnem i nużącym; ale gdy zamiast historii tych nauk opowiemy żywoty wielkich matematyków, astronomów, chemików i t. d. wtedy suche formułki i abstrakcyjne teorye staną się dotykaluemi, żywemi, uosobiwszy się w szeregu znakomitych ludzi, a historia człowieka będzie zawsze bardzo zajmującym przedmiotem. P. Figuier obrawszy sobie tę drogę, postępuje nią śmiało i szczęśliwie: obraz nauk w starożytności dał nam w dziele: *Vies des savants illustres de l'antiquité. Paris, 1866* a w następnym roku dołączył jako ciąg dalszy pogląd na stan nauk w średnich wiekach pod tytułem: *Vies des savants illustres du moyen âge. Paris. 1867.* Publiczność przyjęła dwie te publikacye nader zycyliwie i zapewne uczyni to samo z nową pracą, której tytuł podaliśmy powyżej, a która jest dalszym ciągiem dwóch dzieł wymienionych. Obejmuje ona czasy odrodzenia się nauk i daje nam żywoty mężów, co wstawili się za tych czasów i którym zawdzięczamy terazniejsze nasze olbrzymie postępy: mężów tych trzynastu, a niektórzy z nich znani w szerokich kołach, jak Vasco de Gama, Magellan, Ramus, Vesal, Tycho de Brahe i t. d. Każdej biografii towarzyszy portret mędrca, a wstęp ogólny poprzedzający 13 biografij daje nam dokładny, treściwy pogląd na stan oświaty w XVI stuleciu. Szczególniej przyje-
 mnie zajął nas autor poświęciwszy naszemu Kopernikowi *bardzo obszerny* rozdział, w którym i życie jego i zasługi około astrono-

mii opowiada dokładnie. Mówi o nim z widoczną sympatją i zawsze podług źródeł polskich, gdyż z wyjątkiem pracy sławnego *Gassendi'ego*, który w XVI wieku napisał pierwszą gruntowną *vitam Copernici*, opiera się autor głównie na rozprawie Jana Śniadeckiego: „*Discours sur Nicolas Copernic*” ogłoszonej po polsku i po francuzku w Warszawie w r. 1803 a po raz drugi w r. 1818. Biografią Kopernika przyozdobiono w trzy starannie wykonane ryciny: pierwsza pokazuje nam młodzieńca z fizyonomią prawdziwie słowiańską, otoczonego globusem i astronomicznymi narzędziami, a przed nim rozwarta nieśmiertelna księga *De revolutionibus orbium coelestium libri VI*. Na drugiej widzimy młodzieńca, w studenckim płaszczyku, jak w Rzymie wśród ruin przypatruje się z wyteżoną uwagą przez ustawiony teleskop zaćmieniu księżyca; przed nim stoi na wielkim głazie latarnia oświetlająca bladawo mapę rozłożoną i kilka astronomicznych przyborów. Nareszcie trzecia rycina wyobraża starca na śmiertelnem łożu, napół siedzącego: dokoła smutne twarze przyjaciół i uczniów, a brodaty jakiś uczonej w długiej sutannie podaje umierającemu mędrcewi pierwszy egzemplarz co dopiero wydanej książki. Starzec chciałby wychudłą ręką przewrócić okładkę, ale ręka słabiej, wzrok gaśnie, na wychudłych rysach jakieś bolesne zadowolenie, jakby chciał powiedzieć: jeszcze kilka minut a byłoby może za późno. W życiorysie umieścił p. Figuiier następującą anegdotkę, wyczytaną w dziełach sławnego astronoma Arago. Gdy w roku 1807 bawił Napoleon w Toruniu, odwiedził dom, w którym się urodził sławny nasz ziomek. Szczupłe mieszkanie składało się z dwóch pięterek, a choć tam mieszkał pracowity tkacz z liczną rodziną, pozostało wszystko po staremu. Nad łożkiem, którego czarne wełniane zasłony pamiętały Kopernika, wisiał portret astronoma; jego stół, biórko, kilka stołków i inne meble pozostały nietkniętymi. Cesarz chciał koniecznie nabyć portret, aby zawiesić go w Luwrze, jednakże rzemieślnik nie chciał go się pozbyć żadnym sposobem, twierdząc że on jest rodzajem talizmanu, przynoszącego szczęście jemu i rodzinie. Cesarz uszanował tę świętą, niewinną wiarę i z widocznym wzruszeniem pożegnał dom, w którym gościł niegdyś jeden z największych geniuszów.

Découverte de l'Albert N' Yanza, nouvelles explorations des sources du Nil par Sir Samuel White Baker, ouvrage traduit de l'anglais par Gustave Masson. 8vo Paris. 1868. Hachette. Wydanie to, ozdobione licznymi drzeworytami i 2 mappami, jest nadzwyczaj ozdobnym i starannym, jak wszystko co wychodzi nakładem p. Hachette a z pod prassy sławnego drukarza Lahure. Od wieków szukano źródeł Nilu, ale nadaremnie; już w starożytności kuszono się o rozwiązanie geograficznej zagadki, ale bezskutecznie. Cesarz Neron np. wysłał w tym celu osobną wy-

prawę, ale żelazna odwaga rzymskich centuryonów rozbiła się o niezwycone przeszkody dzikich krajów i dzikszych jeszcze mieszkańców. Odtąd mówiono: *caput Nili quaerere*, aby oznaczyć rzecz niepodobną do urzeczywistnienia. W nowszych czasach przecież podjęto problem na nowo, i Anglicy trzy razy do niego przystąpiwszy za każdym razem rzucili nań więcej światła. Wiadomo, że prawdziwy Nil powstaje przez połączenie się dwóch wielkich rzek pod miastem Chartum w Nubii: jedna płynie od wschodnio-południowej strony i zowie się *Nilem niebieskim* a druga, płynąca od zachodnio-południowej strony, nazywa się *Nilem białym*. W drugiej połowie przeszłego wieku dotarł Anglik Bruce do źródeł niebieskiego Nilu, a krótka relacya jego podróży nkażała się w r. 1773, później w tłumaczeniu francuzkiem w r. 1790. Ale biały Nil pozostał i nadal nieznanym. Dopiero w r. 1861 wysłał rząd angielski uczoną wyprawę, aby go wybać, pod dowództwem kapitanów Speke i Grant. Ci zamiast odbyć długą niewygodną, a właściwie niepotrzebną podróż przez Egipt i Nubię w górę rzeki, postąpili sobie wręcz przeciwnie. Wyładawszy na wschodniem wybrzeżu Afryki nad oceanem Indyjskim, przedarli się ztamtąd lądem w głąb nieznanego kontynentu, a odkrywszy tam olbrzymie jezioro, z którego wypływa potężna rzeka na północ, puścili się nią, i jużto wodą jużto lądem towarzysząc jej bezustannie, dopłynęli aż do Gondokoro, gdzie przekonali się, że odbyli podróż wzdłuż białego Nilu. Z Gondokoro udali się do Chartum, a ztamtąd do Egiptu, odbywając tym sposobem drogę zupełnie przeciwną, niż Bruce i inni podróżni; owoce zaś tej wyprawy były prawdziwie wielkie, albowiem przekonali się, że biały Nil wypływa z olbrzymiego jeziora. Można przeciw temu twierdzeniu nie jedno powiedzieć: może jezioro to, Wiktorya N'Yanza, jest dla Nilu tēm, czēm jezioro badeńskie dla Renu; rzeka może przez nie przepływa, ale nie bierze z niej początku swego. Ale mniejsza o to. W tym samym roku 1861, w którym kapitanowie Grant i Speke udali się w głąb Afryki, postanowił p. Baker własnym kosztem odbyć podobną wyprawę, ale przez Egipt w górę rzeki, aby spotkać się, jeżeli można, z kapitanami. W podróży towarzyszyła mu młodziutka żona, która mu wśród niebezpieczeństw była bodźcem, wśród cierpień i nieszczęść pociechą; to też w słusznem woła autor uniesieniu: „O kobieto, w chwilach szczęścia jesteś niepewną, kapryśną, wymagającą i zmienną, jak cień drżącego liścia, ale gdy na czole naszym zamieszka kłopot i cierpienie, wtedy zamieniasz się w anioła-pocieszyciela.” W lutym r. 1862 przyjechał Baker do Gondokoro, któreto miasto leży już na południe od Nubii, głęboko w kraju Murzynów; tam spotkał się z wyprawą ową wracającą od jeziora Wiktorya N'Yanza i uściskał przyjaciela swego Speke, którego nie widział był od lat 10-ciu. Pytanie, co miał począć dalej? Speke i Grant wracali do Europy, odkrywszy wypływ białego Nilu z jeziora, wycieczka więc Baker'a stała się właściwie zby-

teczną. Jednakże kapitanowie mieli różne skrupuły co do swego odkrycia. Od jeziora Wiktorya N'Yanza towarzyszyli bezustannie rzece, póki mogli, ale czasem trzeba było znacznie od niej się oddalać, dla dzikich brzegów; droga zaś wodą była również niemożliwą dla gęstych wodospadów. Ponieważ zaś rzeka w Gondokoro daleko większa niż przy wypływie z jeziora, przeto domyślali się, że musiała się na prawym brzegu gdzieś połączyć z znaczną inną rzeką, której jadąc po lewym brzegu, a często bardzo od niego oddaleni, nie spostrzegli. Prosili więc p. Baker'a aby zamiast jechać w ich ślady ku południowi, trzymał się więcej w podróży na Zachód, ażeby odkryć mniemany ów przepływ. P. Baker usłuchał ich rady i pożegnawszy ich wracających do Europy, odbył dalej swoją podróż, która uwieńczona została pomyślnym rezultatem, albowiem odkrył drugie, olbrzymie jezioro, które przezwał *Albert N'Yanza*. Jezioro to zasila silną rzeką biały Nil, wypływający z *Wiktorya N'Yanza*, tym sposobem wiemy że biały Nil powstaje przez odpływy dwóch potężnych jezior. Osiągnąwszy cel ten wrócił p. Baker tą samą drogą do Egiptu. Książka jego jest w części dziennikiem odbytej podróży i zawiera obfite nowe szczegóły o tamtejszych mieszkańcach, krajach, o ich faunie i florze; sposób zaś opowiadania tak żywy i pociągający, że czytelnik, odważywszy się na otworzenie grubego tomu, zapewne nie wypuści go z rąk prędzej, aż go nie dokończy zupełnie.

p.—



PRZEGLĄD TEATRALNY.

Miód kasztelański, komedia w 5-ciu aktach prozą przez J. I. Kraszewskiego. — *Guerin*, komedia w 5-ciu aktach Emila Augier tłumaczona z francuzkiego. — *Po maskaradzie*, krotchwila w 1-nym akcie przez Fryderyka hr. Skarbka. — *Raptus*, komedia w 1-m akcie przez Marc-Michel i Labiche, tłumaczona z francuzkiego. — *Drzemka pana Prospera*, komedia w 4-ch aktach a 5 odsłonach oryginalnie wierszem napisana przez Janu Alexandra hr. Fredre.

Między odnowionemi sztukami w „Rozmaitościach” zajmuje jedno z pierwszych miejsc „*Miód kasztelański*” p. Kraszewskiego. Chcieliśmy o tym utworze, który po blisko rocznej niebytności zjawił się znowu od dwóch miesięcy na scenie, dać już w przeszłym zeszycie Biblioteki sprawozdanie, ale dla braku miejsca musielibyśmy byli poprzestać zaledwie na bardzo krótkiej wzmiance; woleliśmy więc odłożyć uwagi nasze do następnego zeszytu, gdyż utwor zasługuje na dłuższe zastanowienie się. Treść jego mniej więcej taka:

Za czasów Augusta II wraca rotmistrz Kaniowa, wesoly konfederat, po kampanii, do siostry swojej, owdowiałej cześnikowej Sulimierskiej, na zimowe leże. Magnesem jego krewna cześnikowej, piękna łowczanka Marta, do której wdycha męzny żołnierz od lat kilku skrycie i na jawie. Ale dom tak się odmienił, że go rotmistrz nie poznaje. Wesola cześnikowa wdychająca za życiem, bo go nie zaznała za nieboszczyka męża swego, stała się zamysloną, poważną; wybiła sobie zupełnie małżeństwo z głowy, jakby to był grzech wielki, nie do przebaczenia. Łowczanka, niegdys wyrywająca się do świata, i nie gniewająca się na afekta rotmistrza, poszła za jej przykładem i postanowiła zostać starą panną, na większą chwałę niebios. Szczegółów tych nieprzyjemnych dowiaduje się rotmistrz na samym progu od Grzesia, poczciwego służącego, który tłumaczy mu także przyczynę tych dziwnych a nagłych przemian. Otóż ich przyczyna taka. Jacek Sołoducha, biędny szlachetka, którego przytulono w domu z litości jako pokornego rezydenta, okiełznał powoli wszystkich. Przekonał wymową swoją kobiety, że stan niezamężny doskonalszy i niebu przyjemniejszy od małżeństwa, a nareszcie dokazał tyle, że wielbiciel cześnikowej, dobroduszny i otwarty sąsiad Petryłło, przestał być u niej. Czemu zaś tak postępuje a nie inaczej, dowiadujemy się z własnych jego ust: Jacek chciałby się gdzieś przytulić na

dobrze, a ponieważ brzydki, podstarzały i pozbawiony wszelkich przymiotów, potrzebnych do podbicia serca niewieściego, pragnie cześnikową odgrodzić od konkurentów, odosobnić od reszty świata, posadzić jakby na krześle elektryczném—a później za lat kilka, gdy się sama podstarzeje troszkę, gdy przywyknie zupełnie do pobożnych rozmów i pokornych rysów uniżonego pana Jacka, to kto wie—może zechce go wynagrodzić ręką swoją za długie, wierne usługi, a wtedy będzie Jacek jak u Pana Boga za piecem. Tak różowa przyszłość uśmiecha się jemu w niepewnej dali, gdy nieublagany rotmistrz domyślając się tych zamiarów, postanawia je obrócić w niwecz. Posyła natychmiast po Petryłkę, gorącego jeszcze wielbiciela cześnikowej mimo odebranego kosza, i razem z nim obmyśla plan domowej kampanii, której celem ma być zamatowanie niebezpiecznego Jacka. Plan to taki. W drodze do siostry poznał się rotmistrz z panią Hurską, piękną, wesołą kobietą, lubiącą kokietować dla rozrywki. Otóż ta przyjemna żywa kokietka stała się brzytwą, za którą chwytają tonący w nadziejach swoich rotmistrz i Petryłko. Jedzie w trop za nią, dopędza szczęśliwie jej karetę i sprowadza do domu siostry, jako księżnę Bamberlink, wracającą niby do ogromnych dóbr swoich w Saxonii. Udana księżna wtajemniczona w cały plan kampanii, obiera od razu skromnego, wiecznie zgarbionego Jacka, tarczą swoich pocisków. Piękne jej oczy zamieniają się w płonące pochodnie, a któryż puklerz zdoła zasłonić serce mężkie od takich podpalaczy. To też wnet pożar miłosny ogarnia całe Jackowe jestestwo; zrazu zdaje mu się, że śni, że to niepodobna, aby milionowa młoda pani zakochała się w starym niezdarze, ale potem sen zamienia się w rzeczywistość. Gdy księżna kończy z nim małe tête-à-tête owem magiczném wyrzeczeniem: gdybyś się waćpan nawet w księżnie Bamberlink zakochał, powiedziałabym... zobaczymy” wtedy biédak już jest blizkim szaleństwa. Widzi przed sobą świat zupełnie inny, niesłychanie szerszy, niż ten, o którym marzył dotąd. Przez długie lata stał u końca jego marzeń dworek szlachecki ze skromnym ogródkiem, a teraz miejsce w jego marzeniach zajął wspinały pałac i park nieprzejrzany: nie dziw więc, że tak gwałtowne rozszerzenie perspektywy obałamuciło wzrok, przywykły od dzieciństwa do ciasnych rozmiarów. Odtąd Jacek zgubiony, rozsądek jego przycichł zupełnie, a wszystkie namiętności, które drzemały w nim spokojnie od dzieciństwa, zrywają się na raz, jak stado żórawi, unosząc go z sobą, jak dzikie gęsi przywiązane do nich Prawdzickiego. Postanawia zdobyć serce księżnej i otrzymać jej rękę. Ale lęka się rotmistrza i Petryłki, którzy także gorliwie nadskakują księżnie, postanawia więc odwrócić ich od przedmiotu swoich afektów. Mówią że gdy człowiek rozum straci, fatalność jakaś nakłada nań swoje pięta: ta fatalność zmusza Jacka do zniweczenia tego, nad czem pracował usilnie i wytrwale. Namawia cześnikową, aby była mniej srogą dla Petryłki, a łowczankę, żeby nie odpychała rotmistrza; kobiety słuchają zrazu z wiel-

kiem zadziwieniem odmienionego z gruntu moralistę, ale przyjmują rady jego z nieklamana radością, gdyż w głębi ducha nie czują najniższego powołania do życia ascetycznego. Tak podarł Jacek sam mozolnie usnutą tkankę, aby dopiąć swego celu, a cel ten wydaje się już łatwym dla niego. Stanowcza chwila się zbliża, i obie strony wyglądają jej z równą niecierpliwością: Jacek aby usłyszeć z ust księżny ostateczne słowo, które ma stanowić o jego przyszłości, a Rotmistrz, żeby demaskować świętoszka. Ale Jacek jakoś wzdryga się przed tą chwilą stanowczą, brak mu odwagi, nadzieja i strach wydzierają go sobie bezustannie. Żeby mu dopomódz, posyła liłościwy rotmistrz po butelkę miodu kasztelańskiego, jedyne w swoim rodzaju. Ale tymczasem zjawia się szkopuł, grożący zupełnym rozbiciem nawy, kierowanej tak po mistrzowsku ręką rotmistrza: szkopułem tym niespodziewanym jest pan Petryłu. On wprawiony w zły humor przez wymówki cześnikowej za zbyt grzeczne nadszkakiwanie księżnie, sprzyrzył sobie odegraną dotąd komedią i nie mogąc nigdy języka trzymać za zębami, wygadał się w gniewnym uniesieniu przed Jackiem ze wszystkiem. Jacek jak podróżny wśród ciemnej nocy, rozjaśnionej nagle potężną błyskawicą, widzi przed sobą okropną przepaść i cofa się z przerażeniem. Wszystko więc zdaje się straconem; okręt tonie tuż przed portem. Na szczęście wraca poczciwy Grzesz ze sklepu z butelką miodu i domyślając się po twarzach Jacka i Petryły wszystkiego, biegnie czem prędzej po rotmistrza. Ten przybywa, wypycha Petryłę za drzwi i upaja szczęśliwie Jacka po długich ceregelach. Odtąd Jacek widzi znowu wszystko w różowych kolorach, pijany miodem i nadzieją pada do nóg księżnie i prosi ją o afekt i rękę. Wtedy towarzystwo które się zebrało w głębi sali, parska głośnym śmiechem, księżna daje nieszczęśliwemu wielbicielowi do zrozumienia, że farsa została odegraną do końca i biedny Jacek ucieka skonfundowany.

Taka treść tego, cośmy widzieli na scenie, a wspomnieliśmy już, że tekst ogłoszony drukiem, został znacznie odmienionym. Albowiem co autor rozciągnął w 5 aktów, ścisnął p. Królikowski w 3, i autor powinien być wdzięcznym p. Królikowskiemu, gdyż utwor zyskał na tém skróceniu. Jakoż w tekście powtarzają się rozmaite sytuacje, nie posuwając akcji w niczem naprzód, a przez to nużą czytelnika okropnie. Jest tam np. Rózia, służąca cześnikowej i kochanka Grzesia, która zniknęła zupełnie pod nożycami umiejętnego reżyssera. I stało się bardzo dobrze. Albowiem Rózia zjawiając się dopiero w drugim akcie, opowiada rotmistrzowi to samo, co już usłyszał od Grzesia na samym wstępie aktu pierwszego. Nie zadowolniona z deklamacji anti-mażeńskich Jacka, stawia naturalnie po stronie rotmistrza, razem z Grzesiem. Bezwątpienia, że lepiej w życiu mieć dwóch sprzymierzeńców niż jednego, mianowicie gdy jeden z nich jest kobietą; ale sztuka jest daleko oszczędniejszą od rzeczywistości: wszystko, co się w niej powtarza, wszystko, co nie jest koniecznie potrzebnem, staje się

tém samém zbyteczném i nadwergęza ekonomią sztuki. Takim ciężarem niepotrzebnym w budżecie komedyi p. Kraszewskiego jest Różia, będąc niejako powtórnią edycją Grzesia w czepku. Do tej bladej kopii przymięszał jeszcze autor potężną ilość nieprawdopodobieństwa: gdyż ona to szepcze rotmistrzowi do ucha cały plan kampanii; zobaczymy później, dlaczego to jest nieprawdopodobném. Razem z Rózią odpadły inne podrzędne figury: Wojtek i Hajduk. Wojtek namówiony przez Jacka przybywa do rotmistrza, niby od wojewody, z rozkazem odjazdu. Tym sposobem chce się Jacek pozbyć konfederata, aby mu nie przeszkadzał w koperczakach do księżny. Ale poprzednio już nakłonił łowczankę, aby odwiodła rotmistrza od stóp księżny do swoich własnych. Na cóż więc używać dwóch magnesów, gdzie wystarcza jeden zupełnie, zwłaszcza że oczy pięknej kobiety więcej potrafią niż rozkazy tysiąca wojewodów. Podobnych scen niepotrzebnych wiele w sztuce, nie wliczam ich z osobna, dość wspomnieć, że wycięto wszystkie, a przez to bardzo ożywiono sztukę. Krytyka więc nasza nie odnosi się do tekstu, lecz do układu scenicznego. Otóż na scenie zrobił „*Miód kasztelański*” na nas bardzo dziwne wrażenie. Wydało nam się, że widzimy piękną płaskorzeźbę, z której różne figury wyglądają do połowy; komedia jednak postępuje sobie inaczej, zupełnie jak wielkie muzea ze sławnemi posągami: te stawiają posągi tak, że bez trudności można je obchodzić i oglądać ze wszystkich stron, a gdy miejscowość na to nie zezwala, dają im czasem ruchome podnoże, aby się obracały z łatwością, jak gipsowe odlewy w pracowniach artystów. Tego nie ma w utworze p. Kraszewskiego. Widzieliśmy szereg pięknych kształtów, wychylających się do połowy z tła marmurowego, ale nie wiemy, czy który z nich wykonczony zupełnie, bo przez cały wieczór ukazywał nam każdą jedną i tę samą stronę. Ztąd mimo szybkości akcji wygląda marmurowa sztywność osób działających; akcja się rozwija, posuwa bezustannie pojedyncze osoby, ale te, nie dotknięte akcją, zostają do końca w tej samej pozycji, w jakiej ujrzelśmy je za pierwszym odchyleniem zastony. Coś podobnego dzieje się w teatrze maryonetek, gdzie ruchu wiele a figurki sztywne. Dowiodę tego na głównej osobie, na Jacku, a czytelnik wzięwszy do rąk tekst komedyi, sprawdzi dowodzenie moje na innych osobach. Jacek Sołoduha jest główną z osób działających, powinna więc akcja od niego wychodzić i do niego wracać bezustannie, a jeżeli da się porwać obcej akcji, powinno to wynikać z istoty jego ducha. Słowem, komedia powinna nam pokazać Jacka ze wszystkich stron, abyśmy go dobrze poznali, powinna otworzyć przed nami wszystkie tajniki jego myśli, wykazać, jak z nich akcja główna bierze swój początek, jak wyrasta, jak ołbrzymieje potem i nareszcie ciężarem go swoim przygniata. Upadek pod własną akcją będzie jego karą. Jeżeli zaś padnie pod akcją obcych, pod zamachami nieprzyjaciół, wtedy i ci powinni zahaczyć koniecznie działanie swoje o jego jestestwo, powinni mieć prawo prześladowania go, inaczej będzie

on niewinną ofiarą i nie wzbudzi uśmiechu, tylko litość; nie wzbudzi pogardy, tylko współczucie.

Otóż na wstępie sztuki pokazuje nam się Jacek cichym, pokornym, myślącym człowiekiem: że nie lubi hałaśliwego rotmistrza i światowego Petryły, nie wielką to wada; że zagiął parol na serduszko cześnikowej, nic w tym złego; że pobożnością i pokorą stara się o jej względy, żadna to zbrodnia, gdyż w ciągu całej sztuki nie mamy żadnego dowodu, aby Jacek udawał tylko pobożność. Za to ma być ukaranym; jeżeli zaś kara wcale niezasłużona, to rodzaj kary wcale nie zastosowany do istoty człowieka. Gubi go kokietka: ale zkąd rotmistrz zna słabość Jacka do kobiet? Na scenie jest to hipoteza, rzucona bez dowodów, jest to próba, która może się udać, może nie udać. W tekście szepcze Rózia do ucha rotmistrzowi ten rodzaj kary; musiała więc znać słabości Jackowe. Ale ona ich nie zna; do niej nigdy się nie zalecał, przynajmniej nic o tym nie wspomnina, gdyby zaś tak było, to Rózia wystarczała do skompromitowania świętoszka, nie potrzeba na to sprowadzać kokietki. Gdy zaś skromność Jacka topnieje pod jej magicznym wzrokiem, żadna w tym jego wina: któryżby człowiek, najświętszy nawet, byleby niedoświadczony jak Jacek, nie upadł jak on do nóg pięknej kobiety, gdy ta mu odstania cudowne nadzieje. To też nie gniewają się widzowie, że Jacek się oświadcza księżnie, przeciwnie, gdyby tego nie uczynił, byłby albo głupim albo gburem. Pogarda widzów nie spada na jego głowę, lecz na kokietkę: on jest niewinną ofiarą.

Ale księżna ma sprzymierzeńca: butelkę miodu. Butelka może być karą pijaka, ale nie człowieka wstrzemięźliwego. Przez całą zaś sztukę nie objawia nigdzie Jacek chętki do miodu. Nawet Grześ jej w nim nie dostrzegł, choć go szpieguje na każdym kroku; że zaś daje się namówić przez rotmistrza do wypicia z nim kilka kieliszków, pytam się, cóż w tym złego i jaka to kara? Któżby odrzucił podobną propozycję? I tak pada Jacek mimowiednie ofiarą butelki, jak poprzednio legł już ofiarą kokietki; dwa razy więc jest on niewinną ofiarą, za każdym razem wzbrania się, jak może; nie gubi się przez wrodzone jakieś nałogi, lecz ginie przez coś, co jego istocie jest zupełnie obcym i wstrętnym. Ale skoro tak, skoro nie namiętności duszy, lecz zewnętrzne, przypadkowe pokusy wprowadzają Jacka w obłąd, w niczem nie zmieniając, nie dosięgając nawet jego wewnętrznej istoty: oczywiście będzie on na końcu sztuki takim, jakim był na początku, cichym, spokojnym, pragnącym się gdzieś ożenić, aby mieć przytułek na starość: karany zaś był za to, co nie jest zbrodnią, a zgubionym przez pokusy, którym nie tworują żadne w nim samym gorszące namiętności: ginie przez butelkę, choć nie pije, ginie przez oczy pięknej księżny, choć całe życie uciekał od kobiet. Otóż co nazwalismy *nieruchomością* osób wśród szybkiego biegu akcyi: wszystkie działają, ale nie wiedzą, czemu tak, nie inaczej; wszystkie mają udział w akcyi, ale akcyja nie wypływa z głębi ich duszy. Na scenie zaś uderza nieruchomość,

taka więcej niż w tekście: artyści grają sztukę znakomicie, ale każdy z nich pokazuje nam przez cały wieczór tę samą minę, ten sam chód, to same poruszenie, twarze ich zeszytniały zaraz w pierwszym akcie nakształt masek, i pozostały takimi do końca, ztąd jednostajność i znużenie. Ale to nie wina aktorów, oni czynili wszystko, aby podnieść sztukę, mianowicie Królikowski jest w tej roli Jacka niezrównanym. Genialny artysta posiada dziwną tajemnicę przedzierzgnięcia się od razu w rolę swoją, podczas gdy wielu znakomitych zagranicznych aktorów dopiero w dalszych aktach dochodzi szczytu tożsamości z przedstawioną rolą. Królikowski, jest od razu Jackiem i takim już pozostaje przez cały wieczór, że zaś ciągle pokazuje tę samą minę, ten sam chód ostrożny, tę samą postać zgarbioną, to wina autora, który uniemożliwił rozwój psychologiczny w charakterach sztuki.

Mimo jednak licznych stron ujemnych, cieszymy się, że odnowiono sztukę i Dyrekcyja zasłużyła na prawdziwą wdzięczność publiczności, że daje od czasu do czasu takie utwory treściwe o rumianych twarzach, i głośnych serdecznych śmiechach.

Guerin, komedya w 5 aktach *Emila Augier'a*, tłumaczona z francuzkiego. Dnia 31 stycznia donosił nam czerwony afisz o wielkiej nowości, o pierwszym przedstawieniu słynnej komedyi p. *Augier'a* pod tytułem: „*Maitre Guérin*,” Wiadomo czytelnikom „*Biblioteki*” że komedya ta ukazała się po raz pierwszy na paryzkiej scenie w grudniu r. 1864. Wzbudziwszy przez kilka tygodni ogólne zajęcie, doczekawszy się licznych pochwał i licznych nagan, poszła już dawno w zapomnienie, jak tyle innych artystycznych i literackich zjawisk na horyzoncie nadsekwańskiej stolicy. Mieszkaniec wielkich miast żyje tak szybko, ogląda codzien tyle nowych przedmiotów, przebywa codzien tyle nowych wzruszeń, że nawet najważniejszym z nich nie może poświęcić więcej jak kilka tygodni uwagi, inaczej nie złążyłby na czas, musiałyby się zatrzymać a jakże zatrzymać się, kiedy stołeczne życie unosi gwałtownym prądem nawet najsilniejszych pływaczy. Tak i „*Maitre Guérin*” p. *Augier'a* cieszył się przez czas jakiś powszechną uwagą, co dowodzi, jeżeli nie znakomitości całej sztuki, to przynajmniej różnych w niej przymiotów, zasługujących na baczne uwzględnienie; przymiotów takich rzeczywiście nie brak w wspomnianej komedyi, a ponieważ obecnie została nam przyswojoną i zapomniana już w Paryżu, u nas odżyła niejako na nowo, przeto warto poświęcić jej choć kilka uwag pobieżnych.

W miasteczku prowincjonalnym mieszka sobie *Guerin* notariusz, który gorliwie pracuje nad powiększeniem swojej fortuny. Jest to śmiały rybak, którego sieć tak zgrabnie urządzona, że paragrafy kodeksu karnego przepływają przez nią swobodnie, a dobrodusze istoty zahaczają się w niej regularnie. Zaraz na wstępie sztuki rybak sieć zarzuca, a połów będzie bogaty, bo wielka ryba pędzi do sieci. Niedaleko bowiem od miasta, w którym rezyduje *Guerin*, mieszka w zanku *Valtaneuse* stary dziwak *Desronce-*

rets, rujnujący się na wynalazki i pomysły, aby uszczęśliwić ludzkość. Stracił już cały obszerny majątek, z wyjątkiem zamku. Byłby już dawno umarł z głodu, gdyby nie córka Franciszka, która przezorną oszczędnością naprawia bezustanne wyłomy w domowym budżecie. Ale cóż pomogą jej zabiegi, kiedy nieuleczoną manią opętany dziwak zaciąga bez jej wiedzy coraz nowe długi. Właśnie nosi się z nowym wynalazkiem który ma odmienić z gruntu społeczne stosunki: wynalazkiem tym nowa metoda czytania, która w kilka tygodni nauczy dzieci bez trudu tego, czego uczyli się dotąd w ciągu lat kilku pod przestraczem różgi. Ale trudno o urzeczywistnienie pomysłu bez pieniędzy, a pan Desroncerets nie ma ani szeląga. Zaciąga więc u Guerin'a stutysięczną pożyczkę i oddaje mu w zastaw swój zamek; jeżeli za rok nie wróci pożyczonej summy, wtedy zamek przejdzie w ręce Guerin'a; nie zły to interes, bo posiadłość warta drugie tyle. Ugoda ta, zawarta za oczami Franciszki, pozostaje naturalnie tajemną, i nikt jej się nie domyśla.

Czytelnik zapewne ciekawy, jak się zakończy sprawa, bo czuje już instynktowo, że ona osiłą całej sztuki, na około której obraca się i niesomnienny notaryusz i nieszczęśliwa ofiara. Ale cierpliwości! Desroncerets zabrawszy pieniądze i córkę, jedzie do Paryża, aby praktycznie dowieść prawdziwości swojej metody; nie zobaczymy go, aż za rok, przy terminie wypłaty. Ale trudno, żeby scena pozostała pustą aż do jego powrotu, inne więc osoby zajmują jego miejsce i to do tego stopnia, że zapominamy o nim zupełnie. W sąsiedztwie bowiem zamku Valtaneuse, a więc pod okiem łowiącego złote rybki notaryusza, mieszka na wsi pani Lecoutellier, żona majątnego dorobkowicza. Ona zrazu o tyle tylko związana jest ze sztuką, że pochodzi z arystokratycznego rodu Valtaneuse i pragnie gorąco powrócić do zanku swoich przodków. Wyjaśnia to spekulacją Guerin'a, gdyż on wiedząc o słabości próżnej i dumnej kobiety, sprzedaje jej to za drogie pieniądze, co sam kupił za tanie od starego maniaka. Mąż pani Lecoutellier, stary dorobkowicz, bawi się w Paryżu w deputowanego, a ona na wsi igra w miłosną sielankę z synem Guerin'a, pułkownikiem Ludwikiem. O ile ojciec brudny, podstępny, prozaiczny, o tyle syn jest szlachetnym, otwartym, romantycznym. Powiedziałem, że pani Lecoutellier igra w sielankę, albowiem zimna to kokietka posiadająca wszystkie przymioty, oprócz serca. To też boleśnie patrzyć na nią, jak swawoli z honorem i uczuciami żołnierza, aby je potem rzucić o ziemię, jak dziecinną lalkę. Pułkownik przychodzi ją żegnać, bo pułk jego odebrał rozkaz udania się do Meksyku; ona uśmiechem i łzami dowodzi, że w chwili, gdy wszyscy koledzy jego spieszą na pole walki, on postanawia wziąć dymisję, aby pozostać przy niej. Wśród tej sielanki, której brak jednej tylko rzeczy, naiwności, spada piorun z jasnego nieba: piorunem tym śmierć starego Lecoutellier, który skończył nagle w Paryżu na apopleksję. Wiadomość o tym przynosi siostrzeniec jego, Artur, godny przyjaciel „stryjenki;” powierzchowność jego wszystkiem, treść niczem; jeżeli

w nim bije jakie serce, to tak wolno, jak w płazach, zład cały zimny jak żaba. Przehulał swój majątek i kilka spadków, a ostatni zawiódł go. bo stary stryj ożeniwszy się niespodzianie, zapisał cały majątek młodej żonie.

Nagła śmierć stryja zmienia cały stan rzeczy: Artur widzi przed sobą możliwość unieważnienia testamentu; młoda wdowa przeczuwa jego zamiary i układa natychmiast plan zaczepno-odporny: woli Artura mieć mężem, niż przeciwnikiem w trybunale. Ale plan jej mąci niewczesne poświęcenie pułkownika, jeżeli zostanie, rościć sobie będzie prawo do niezmiernej wdzięczności; żeby więc go się pozbyć, posyła mu ona bilecik, aby jechał spokojnie do Meksyku i nie przeszkadzał jej w świętym obowiązku opłakiwania męża. Pułkownik, posłuszny jej woli, jedzie; nie wróci jak za rok, trzeba więc już spuścić zasłonę.

Następne cztery akta odbywają się w rok później; możemy je streścić daleko krócej, poznawszy dostatecznie wszystkie główne osoby; brak nam tylko jednej jeszcze: żony notaryusza. Jest to anioł dobroci, obdarzony może niegdyś licznymi przymiotami, ale mąż zrobił z niej niewolnicę, zupełnie bierną, nie mającą innej woli prócz mężowskiej. Jedna tylko pozostała strona dodatnia w tej bierniej poniewieraniej istocie: miłość syna posunięta do apoteozy. Pułkownik jest dla niej prawie Bogiem, ona z niecierpliwością wygląda jego powrotu. Tymczasem wykłada jej mąż wielkie plany: ona je podziwia, choć ich nie bardzo rozumie.

Powiedzieliśmy, że śmierć starego Lecoutellier zmieniła całą sytuacją, ona wpłynęła także na nowe plany notaryusza. Wiedząc bowiem o miłości syna dla młodej wdowy, postanawia skojarzyć nowe to małżeństwo a dźwignią do tego ma być zamek Valtaneuse, albowiem przezeń stanie się pułkownik bardzo pożądanym dla wdowy, pragnącej posiadać zamek przodków swoich. Stary zaś Guerin także nie źle wychodzi na tém małżeństwie, bo pani Lecoutellier ma w stolicy liczne stosunki i wpływy; notaryusz pod cieniem jej skrzydeł zostanie z łaskawością deputowanym, potem radcą departamentu, potem... Bóg wie czém jeszcze, dość że karyera polityczna uśmiecha się do niego wdzięcznie; stary łapigrosz uczuł w sobie ambicję i pragnie zostać mężem stanu. Tak więc upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu: dla siebie wpływ i znaczenie, dla syna przyjemne małżeńskie pożycie.

Ale misternie wysnute nici rozrywa na nieszczęście pułkownik, wracający z Meksyku, gdzie dokazał cudów męstwa. Pani Lecoutellier przyjmuje go lodowato, bo właśnie pragnie zakończyć gorszący proces z Arturem o ważność testamentu, małżeństwem i zgodą. Notaryusz znowu wykłada jej wszystkie korzyści jakie wynikną dla niej z zaślubienia pułkownika; ona sama nie wie, co zrobić, przelatuje jak piłka między pułkownikiem i Arturem, bieg akcji gmatwa się coraz więcej, a widzowie nie wiedzą, kto kogo zaślubi, zwłaszcza że w czwartym akcie zjawia się znowu zapomniany już Desroncerets, w którego córce kochał się niegdyś na-

miętnie pułkownik. Jednakże ostygł dla niej zupełnie, bo widząc że Franciszka bierze bezustannie ojca maniaka w kuratelę, i gorliwie zajmuje się gospodarstwem, posadzał ją o zbyt wielki realizm. Nie długo przecież odkrywa mu się przyczyna takiego postępowania. Franciszka zamieniła posag swój w rentę dożywotnią na rzecz ojca, zapewniła jemu wygodne życie aż do śmierci, ale zniweczyła swoją własną przyszłość. Ojciec nie wiedząc o tém, żąda od niej pieniędzy na dalsze próby, a gdy ona mu odmawia, bo ich nie ma, przeklina ją: za to pułkownik poznawszy ze zdumieniem jej szlachetne poświęcenie uwielbia ją więcej niż kiedykolwiek. Spostrzegam tu, że opowiadanie moje zmieniło się w rodzaj labiryntu, z którego na żaden sposób nie mogę się wydostać; ale to nie moja wina, ja naśladuję tylko wiernie zawitość scen przedstawionej sztuki. Powiedzmy przecież jak się gmatwanina zakończyła: Pan Desroncerets nie ma pieniędzy, bo metoda jego nie udała się w Paryżu, notaryusz więc chce mu odebrać zamek Valtaneuse; pułkownik przecież, dowiedziawszy się o wszystkim, wyrzuca ojcu nierzetelność kupna, a gdy ten coraz więcej się zaciętrzewia, syn zaciąga dług i płaci wekslem cenę kupna. Notaryusz się oburza, głównie zaś na małżeństwo pułkownika z panną Desroncerets, ale oburzenie jego wywołuje ogólną opozycją, wszyscy wynoszą się z jego domu, nawet żona która idzie za synem ukochanym. Tak zostaje Guerin sam na rozwaliskach swoich pięknych planów, a nie wiedząc co począć, zabiera się do obiadu razem z jakimś „Ojcem Brenu” upośledzonym od natury człowiekiem, który sumienie dawno utopił w kieliszku a teraz jest usłużnym totumfackim Guerin'a.

Po krótkiej opowieści przekonali się czytelnicy, że brak zupełnie jedności w komedyi p. Augier'a: między pojedynczemi osobami i działaniem ich tak mało istnieje wspólności, jak między różnemi sprawami, wchodzącemi do bióra notaryusza, chyba że kto zechce jedność w tém upatrywać, że jedna i ta sama osoba załatwia wszystkie. Pani Lecoutellier i jej siostrzeniec Artur nie mają żadnych stosunków ze starym Desroncerets i córką jego Franciszką; jeżeli spotykają się czasem i rozmawiają ze sobą, to tak przypadkowo, tak konwencyjonalnie, że każde spotkanie takie, nie słychanie naciągane, obraża pierwsze zasady poetycznej architektouiki, gdzie wszystko powinno być koniecznym, niezbędnym, a nie przypadkowym, zbytęcznym. Dwie zaś wymienione pary osób robią zupełnie wrażenie dwóch cugów odmiennęj maści, które autor zaprzęga po kolei, w życiu powszedniem rzecz to wygodna i praktyczna, ale w poezyi zbytęczna.

Przecież dzisiaj już odwykliśmy szukać jedności w sztukach francuzkich; pierwsze miejsce zajęto teraz studyum charakterów. Najnowszym francuzkim komedyo-pisarzom mniej chodzi o powiązanie osób i akcyi w harmonijną całość, a więcej o pokazanie pewnego charakteru. Tym sposobem zamieniła się komedya w jakąś psychologiczną fotografią, która nam coraz inne pokazuje fizyognomie, zdjęte z rzeczywistości, a których tło i otoczenie

są czémś podrzędném, dowolném. Zatem idzie, że ile razy taki charakter odfotografowany, źle będzie odegranym, sztuka nie zrobi najmniejszego wrażenia, bo reszta aktorów nie posiada żadnych środków, aby zatrzyć ułomną grę głównego. Taki los smutny spotkał Guerin'a. Z wyjątkiem kilku scen, gdzie p. Rychter w roli starego Desroncerets zachwyił widzów, mianowicie w 4 akcie, publiczność pozostała zimną i objętą, objawiając to usposobienie swoje niedwuznaczném ziewaniem. Słowem, przyjęto sztukę jak najgorzej. Przyczyna temu bardzo prosta, gdyż rola notaryusza, dla którego autor napisał całą sztukę, jako dla wyniku ciekawych studyów psychologicznych, została odegraną niżej wszelkiej krytyki, dostawszy się w ręce niewłaściwe. Guerin (p. Ostrowski) przybrał minę tak dobronudszą a przytem tak płaską, że widzowie zachodzili w głowę, jak podobna istota może tyranizować żonę, imponować dorosłemu synowi, gotować umiejętnie ruinę swoim sąsiadom. Czasem znowu były tam ruchy, przypominające, naturalnie bardzo zdaleka, szczerego, ludzkiego adwokata z Heleny de la Seiglière, choć między dwiema rolami nie istnieje najmniejsze podobieństwo. Główną zaś winą p. Ostrowskiego było, że uważał mimikę w roli swojej za zupełnie zbyteczną. Powiedzieliśmy, że z charakterów sztuki został Guerin najgłębiej pojętym; jakie więc pole dla dobrego mimika! Na scenie jednak odbyło się wszystko przeciwnie. Roli najwydatniejszej pod względem psychologicznym poświęcono mniej mimiki, niż wszystkim innym razem. Guerin włożywszy na się maskę, w niczém nie podobną do jego charakteru, zachował ją niezmienną przez cały wieczór; żadna myśl nie zadrgała na niej, żadne uczucie, złe czy dobre, nie opromieniło ję... widzieliśmy martwą maskę, a słowa z ję ust wychodzące były w rażącej sprzeczności z ję sztynną powierzchownością. Uderzyło to do tego stopnia, że z razu nikt nie chciał wierzyć, aby Guerin miał być głównym bohaterem sztuki, osądzicie sami smutne zdziwienie, gdy nikt inny nie zajął jego miejsca. Mniemam więc, że gdyby rolę tę powierzono komu innemu, sztuka zrobiłaby bezwątpienia zupełnie inne wrażenie.

— Podczas karnawału grano dosyć często jedno-aktową krotokhwilę Fryderyka hr. Skarbka „*Po maskaradzie*” zapewne dlatego, że treść sztuki przypadła do czasu. Prawdę mówiąc, lepsza ona od wielu tłumaczonych wodewilów, uderza zaś przyjemnie prostotą układu i naturalnością sytuacji. Wchodzą do niej: młody aplikant i młoda modniarka; za nimi w głębi ukazuje się pijany stróż domu. Oboje byli na maskaradzie i mieszkają w tej samej kamienicy. Aplikanta wracającego najprzód, wprowadza pijany stróż przez omyłkę do pokoju modniarki, a ledwo zdołał siany w niem jakoś zorientować bez świecy, wraca modniarka: następuje zdziwienie, potem poznanie, śpiewy, tańce i nakoniec zaręczyny. Panna Urbanowicz oddaje rolę swoją z niewymuszoną wdzięcznością; p. Damsegra młodego aplikanta zbyt filuternie, wolelibyśmy na twarzy jego ujrzyć więcęj naiwnęj szczeroci.

— Dnia 13 b. m. odbyła się w Wielkim Teatrze prawdziwa uroczystość: publiczność pragnąc uczcić i wynagrodzić zarazem grę niezrównaną p. *Zółkowskiego*, zebrała się tłumnie na jego benefis, a gdy się nasz półbożek komiczny ukazał na scenie, witały go tysiące przeciągłych oklasków. Program wieczoru składał się z dwóch części: z farsy, tłumaczonej z francuzkiego i znaniej u nas już dość dawno, i z utworu oryginalnego większych rozmiarów, danego po raz pierwszy. O pierwszej sztuce „*Raptus*” pp. Marc-Michel i Labiche, nie wspomnielibyśmy wcale, gdyby nie występował w niej *Zółkowski*. Przy tej sposobności pozwolimy sobie małą uwagę. Sztuczka sama jest bez treści i bez akcji; główna więc w niej rola nie może być ani bardzo wspaniałą ani bardzo trudną, gdyż cała prawie jej czynność zasadza się na ściganiu służącego i trzepaniu go szpicrutą. Otóż zdaje nam się, że p. *Zółkowski* poniża swój talent olbrzymi, występując w rolach, które można śmiało powierzyć daleko niższym artystom, a które podniesione przez niego uwydatniają tylko nicość sztuki.

Oryginalnym utworem, danym tegoż wieczóra, była „*Drzemka Pana Prospera*” komedia cztero-aktowa, rozpadająca się na 5 samodzielnych odstępów, młodszego *Fredry*.

Pan Prosper, poczciwy hreczkosiej, aby dogodzić żonie, przენosi się na zimę do stolicy; stanąwszy w hotelu oddaje się przyjemnemu obowiązкови oglądania mieszkań. Tymczasem młody p. Alfred, przyjaciel czy znajomy, zaleca się do jego żony. W stolicy mieszka już baron-dyplomata, którego żona zaznajomiwszy się z Prosperową, wciąga ją w szereg zabaw, wśród których Alfred, kochanek baronowej, staje się coraz niebezpieczniejszym dla żony Prospera: błaga on ją o miłość siostry, o prawdziwą przyjaźń, a ta nie widząc w tém nic złego, ofiaruje uczucie przyjaźni „strapionemu” młodzieńcowi, nie wiedząc, że taka udana przyjaźń jest tylko sidłem do czasu utajonej miłości.

Pan Prosper znużony temi zabawami nie przestaje oglądać mieszkań, a po smacznym obiedzie u baronostwa, wyszedłszy w tym celu, zabłąkał się do salonu primadonny, której apartamenta właśnie są do wynajęcia. Ponieważ pani domu nie zaraz się ukazuje, siada Prosper w olbrzymim fotelu i po krótkim czasie zasypia w najlepsze, czemu się dziwić nie można, gdyż zawsze zwykł po obiedzie odbywać małą drzemkę. Gdy primadonna wychodzi do czekającego gościa, nie widzi go od razu, myśli więc, że już odszedł, nie ma zresztą czasu długo o nim pomyśleć, gdyż wchodzi Alfred, cieszący się oddawna jej względami. Następuje na kanapie poufale tête-à-tête które na szczęście nie trwa dosyć długo, aby obudzić w widzach niemoralne uczucia. Po Alfredzie zjawia się dyplomata, wdychający od dawna nadaremnie do pięknych oczu primadonny: ta odrzuca wszystkie jego kosztowne oferty i stawia mu zupełnie inny, niespodziany warunek pozyskania jej względów: żąda od niego aby ją wprowadził do wielkiego świata. Gdy się dyplomata na to zgodzić nie chce, odchodzi primadonna z głośnym

płaczem do swego buduaru. Pan Prosper śpi ciągle, chociaż wizyty nie ustają. Wchodzi młody wiercipięta, głupi i brzydki, Florestan Bławatkiewicz, popisujący się nieustannemi zdobyczami nad pięcią słabą, zazdrosny i nieszczęśliwy rywal Alfreda na salonach stolicy. Zastawszy w salonie pannę służącą, chce ją pocałować odrazu; ta wzbrania się, a gdy natrętniś nastaje, wymierza mu potężny policzek. Taką była nowa zdobycz p. Florestana Bławatkiewicza. Policzek musiał być okropny, bo aż twardo śpiący pan Prosper przebudził się ze snu. W tej chwili wraca do salonu primadonna i dziwi się nieznanemu Prosperowi, przeraża się nie mało dowiedziawszy się, że assystował w fotelu wszystkim jej wizytom. Na nieszczęście wraca także dyplomata, aby zaprosić primadonnę ua wielki wieczór i z przerażeniem dowiaduje się o niedyskretnej obecności pana Prospera.

Trzeci akt odbywa się znowu w hotelu u Prospera. Wielbiciele primadonny, Alfred, Baron i p. Bławatkiewicz, myśląc że Prosper posiada ich tajemnicę, przybywają kolejno do niego, aby go nakłonić do milczenia. Jest to jedyny akt, zawierający istnie komiczne motywa, ale autor nie umiał ich zużytkować, choć przyznaje, że samo nakreślenie tej sytuacji świadczy o niemałym talencie. Otóż wszyscy ci panowie zaczynają mówić o swojej awanturze, ale objeżdżając ją z daleka, w słowach zagadkowych. Prosper nic zgola, naturalnie, nie rozumie; a gdy go zaklinają na przyjaźń, aby nie zdradzał tajemnicy, której nawet się nie domyśla, wtedy zdaje się jemu, że albo im albo jemu brakuje piątój klepki.

Czwartą odsłona pokazuje nam salon baronostwa: goście się schodzą, primadonna zaczyna śpiewać. Wtedy p. Bławatkiewicz szepcze baronowej; zakochanej (jak już wspomniano) w Alfredzie, że śpiewaczka wybrała umyślnie ulubioną piosnkę Alfreda; baronowa rzuca się do śpiewaczki jak tygryca, wydiera jej nuty i dokonawszy wielkiego czynu omdlewa w objęciach Prospera. Primadonna odchodzi oburzona a p. Alfred powiada p. Bławatkiewiczowi nieprzyjemną grzeczność, za co ten go wyzywa na pojedynek.

Na początku piątój odsłony widzimy zamyślonego Prospera chodzącego po pokoju; ma o czém myśleć, bo go Alfred zaprosił na sekundanta. Sekundant zaś przeciwnój strony jest rotmistrzem wojsk austryackich i mimo dobrej tuszy udaje wielkiego zucha, gada ciągle o śmiertelnych ciosach i niechybnych kulach, czém doprowadza do rozpaczki poczciwego hreczkosieja. Tymczasem baronowa dowiedziawszy się o wszystkim, przybywa do Prosperowej i wyznaje jej swoją miłość do Alfreda. Ta ujrawszy się sama nad przepaścią, gorąco dziękuje Bogu, że ją wczas jeszcze wstrzymał. Powoli zjawiają się wszystkie osoby: rozgniewana na baronowe primadonna chce rozgłosić wszystko, ale Prosperowa łagodzi ją oświadczając bez ogródki, że i ona kocha Alfreda; przed tą niespodzianą rywalką schyla śpiewaczka piękne czoło i opuszcza nie tylko salon, lecz nawet stolicę. Piękny argument, ale zdaje mi się,

że w rzeczywistości nie częstoby skutkował. Nareszcie panie przebaczą Alfredowi, ten podaje rękę p. Bławatkiewiczowi a pan Prosper wraca uradowany na wieś.

Pierwszym niezbędnym warunkiem dla utworu piękna jest *jedność*, w komedii naturalnie *jedność akcji*; może się ona wprawdzie rozpryskać nieraz na liczne drobne koła i kółeczka, ale wtedy potrzeba osi głównej, na około której owe kołka wirują. Tą osią, niejako Atlasem, dźwigającym na barkach swoich sklepienie scenicznego nieba, jest główny charakter: bez niego nie może być jedności w akcji, bo od kogo weźmie ona początek? do kogo wróci ona? na około kogo rozpostrze się w coraz dalszych kręgach. W której chwili główna osoba ukaże się na scenie, rzecz to obojętna: czasem na początku, czasem dopiero w dalszym przebiegu akcji. W sztuce, o której mowa, zaznajamia nas autor zaraz na wstępie z wszystkimi ważniejszymi charakterami, ale przegląd ten odbywa się tak spokojnie i obiektywnie, że zrazu nie wiedzic która z tych osób zajmie miejsce pierwsze. Pan Prosper nie ma do tego najmniejszej pretensyi, gdyż ciągle pozostaje biernym, on niknie zupełnie w obec świetnego, wielkomięjskiego towarzystwa; każdy co go zoczył, przysięże od razu, że to nie człowiek, który potrafi ovladnąć sytuacją. W drugim akcie jest on nie tylko duchowo biernym, jak w pierwszym, lecz i fizycznie, gdyż prawie ciągle śpi; w trzecim stał się na chwilę panem sytuacji, posiadłszy niespodzianie tajemnicę wszystkich; widzowie więc słusznie się spodziewają że on rozwiąże zawikłany węzeł sztuki. Przecież wszystko stało się bez jego wiedzy, on nie domyśla się, że posiada czyjąś tajemnicę i zostaje nadal tak krótkowidzącym, jakim był poprzednio. Nawet podczas wieczoru kończącego się skandalicznie, nie wie, że baron kocha primadonnę, baronowa Alfreda, a Alfred prócz śpiewaczki i baronowej, jeszcze własną jego żonę. To też odbywa się katastrofa bez jego przyczynienia się i bez jego współdziałania, chyba że ktoś zechce nazwać współdziałaniem dźwiganie omdlałej baronowej. Skutki straszne katastrofy załatwiają się znowu bez niego: kobiety przebaczą Alfredowi bez niego; przeciwnicy mający się pojedynkować, godzą się bez niego; on sam wyjeżdża w niczym się nie przyczyniwszy do tego, gdyż to propozycja żony.

Ale może to charakter, wprawdzie nie główny, jednak przydatny na scenie do uwydatnienia ułomności w innych charakterach? Odpowiadamy na to z góry, że poczciwy hreczkosiej Prosper nie jest żadną oryginalną koncepcją twórczej intuicji, lecz zwyczajną, choć bardzo wierną kopią wiejskiego obywatela. Znamy kilku, którzy jak dwie kr o ple wody do niego podobni. Człowiek poczciwy, którego choć przyłóż do rany, wesoły i serdeczny, ale mogący tylko żyć na roli, w swojej atmosferze, jak ryba w wodzie; gdy go wyrwiesz ztamtąd i przeniesiesz w świat inny, wtedy straci humor, zwiędnie, stanie się bardzo nudnym i okropnie poziewającym. Takich typów nie można wprowadzać ani do salonu ani do ko-

medyi: w salonie nie są dosyć dowcipni, aby innych bawić, ani dosyć śmieszni, aby się bawiono ich kosztem; słowem, są mierni, zatem nudni. W prawdziwej komedyi także dla nich miejsca niema, bo tam trzeba albo bardzo chwalić albo bardzo ganić, a typ ten nie zasługuje ani na jedno ani na drugie. Bo za cóż będziesz go chwalił? dla kogo będzie on przykładem? czy dla dyplomaty? Całym grzechem dyplomaty jest, że mając już żonę, nota bene zajętą kimś drugim, zaleca się do primadonny. Zdaje mi się, że to w dyplomacie grzech nie tak wielki, zwłaszcza że należy poniekąd do jego rzemiosła, znać się dobrze na miłości. Ale przypuściwszy, że surowy moralista nie przebaczy mu tego grzechu, czyż mu wtedy postawi za wzór żonatego agronoma? Od niego skorzysta dyplomata tak mało, jak ptak od ryby, bo żyją każdy w innym żywiole.

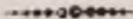
Ale może Alfred jest odwrotną stroną medalu, którego popiersiem jest pan Prosper; może on będzie uosobieniem zepsucia moralnego, jak Prosper uosobieniem doskonałości. Widzieliśmy, że Prosper nie jest uosobieniem żadnej wyższej doskonałości, że zatem wcale się nie zda na popiersie medalu. Ale p. Alfred tak samo nie jest uwydatnieniem żadnego złego. Jest to młody człowiek, cieszący się powodzeniem w salonach, kochający się naraz w kilku paniach a nie gardzący i panną służącą, gdy się nadarzy sposobność. Zakrawa więc nieco na Don Juana, a tём samém kwalifikuje się na pierwszy rzut oka na głównego bohatera. Ale Don Juan musi mieć zupełnie inne grzechy na sumieniu, jak parę kochanek, jeżeli ma zająć publiczność na scenie; Alfred zaś ich nie ma, nie jest ani złym, ani egoistą, ani rozrzutnym; jest to przyzwyczajony młody człowiek, który przepędziwszy młodość cokolwiek lekomyślnie, gdy osiadzie na wsi i ożeni się, stanie się bez wątpienia zacnym Prosperem. Zresztą gdyby był nawet więcej wyłobionym, pozostanie mimo to na drugim rzędzie, gdyż nie wpływa prawie wcale na rozwój akcji.

Gdy czytelnicy, którzy nie widzieli sztuki na scenie, uprzytomnią sobie z treści przez nas podanej resztę osób i na wzór naszych wskazówek zechcą oznaczyć udział ich w ogólnej akcji, wtedy dojdą niechybnie do wniosku, że sztuka przedstawia dziwne zjawisko akcji bez osób działających; główna akcja rozwija się, porywa kilka jednostek, tłucze je o siebie, a potem je znowu rozrzuca; możnaby to nazwać fatalnością, która przymusza jednostki na czas jakiś do przyjęcia udziału w działaniu, które bez nich zaczęte, bez nich rozwija się dalej i bez nich się kończy; robią zupełnie wrażenie ludzi, dźwigających węża od sikawki, trzymają go wprawdzie, ale bystry strumień wody nie zależy w niczém od nich. Oczywiście, że sztuka o takich charakterach nie zostawia artystom wielkiego pola popisu. O rolach kobiecych przemilczymy zupełnie, te bowiem zostały przez autora tak konwencyjonalnie pojęte i tak pobjeżnie nakreślone, że nawet pierwszorzędne gwiazdy naszej sceny, panie: *Rukiewiczowa* (w roli Prosperowej), i *Niewiarowska* (ja-

ko baronowa) nie zdołały nas zająć głębiej mimo wszelkich swoich usiłowań. Role męskie są wszystkie drugorzędne, bo jak wykażalem, nie masz w sztuce głównego charakteru, ale mimo to, można było z nich więcej uczynić, niż widzieliśmy na scenie. Czytelnicy uwierzą naturalnie już naprzód, że p. Żółkowski podniósł sztukę nadzwyczajnie, czém dał dowód, że i z miernej roli można stworzyć coś wielkiego. Ale koledzy jego nie poszli za jego przykładem i zdobyli się tylko na nic nieznaczące sylwety lub nawet karykatury. Błądą taką figurą był Alfred, odegrany przez p. Swieszewskiego, którego głos nie odpowiadał rozległości teatru a ztąd nie tylko intonacja cała, lecz nawet wiele wierszy i słów znikło przed publicznością. P. Szymanowski zrobił z Bławatkiewicza wstrętą karykaturę, która zdolna jest na chwilę rozweselić tłum, ale która się zupełnie mija z prawdą. Nie cierpiano by jój w żadnym salonie. P. Grzywiński zdaje się nigdy nie widział prawdziwego dyplomaty; o tym zaś którym nas obdarzył w swojej osobie, mogę go upewnić, że nie użyłoby go nigdzie, nawet do najmniejszej misyi dyplomatycznej.

Dnia 20 lutego.

Stefan Pawlicki.



O AEROLITACH,

z powodu bolidu spadłego w Sielcu dnia 30 stycznia 1868 r.

Deszcz kamienny, jaki spadł w kraju naszym dnia 30 stycznia r. b. jest niewątpliwie wielkim wypadkiem meteorologicznym. Niewiele moglibyśmy dodać do tego, co już powiedziały pisma codzienne o okolicznościach wypadkowi temu towarzyszących. Zjawisko w łunie ognia ukazało się wieczorem o godzinie $6\frac{3}{4}$, idąc od południo-zachodu na północo-wschód: po niem w chwilę huk podobny do armatniego a zaraz potem kanonada kamieni, która głównie uderzyła na pola wsi Sielec w powiecie pułtuskim. Znaczną ilość odłamów przywiózł do Warszawy wydelegowany przez Szkołę Główną professor Babezyński; chemicy Szkoły wzięli się do rozbioru bolidu: poczekamy na rezultaty, aby się dowiedzieć, tak o jego składzie jako i o przebiegu samego meteoru: przebieg bowiem jest przedewszystkiem głównym i najważniejszym w innych krajach celem obserwacyi i badań, jako największe mogących oddać w tej mierze przysługi nauce fizyki i astronomii.

Szybkość biegu aerolitu jest nadzwyczajna. Z wyżyn planetarnych pędzi on ku nam ubiegając 20,000 metrów na sekundę, tak przynajmniej obliczył pan Laussedat, professor szkoły politechnicznej w Paryżu, przebieg jednego z meteorytów spadłego we Francyi, w Orgueil, roku 1864. Prędkość przebiegu zależy i od wielkości masy spadającej; to też niewiedząc ile upłynęło czasu od pojawienia się naszego obecnego meteorytu w przestrzeniach znanych, w atmosferze ziemskiej, aż do spotkania się z jej powierzchnią, nie możemy ani sami wyrokować o prędkości biegu, ani biegu tego porównać do innych naukowo zdeterminowanych. To pewna, że rozbity aerolit we Francyi, o którym wspomnieliśmy, przedstawił się w pięćdziesięciu mniej więcej kawałkach, ważących razem nie więcej jak 20 funtów francuzkich, a jednak mieszkańcom jądro jego przedstawiło się wielkości zaledwie tarczy księżycowej. Sielecki aerolit rozpadł się na kilkaset cząstek, a jedna, i ta zapewne największa, waży $9\frac{1}{2}$ funtów krajowych. Inne jakie przywiózł z sobą professor Babezyński, nie przechodzą pojedynczo wagi od 1—2 funtów i wszystkie są mniej więcej takiej wielkości jak ten

który nam przedstawił Tygodnik *Illustrowany*. Jakaż to musiała być ogromna masa nim się rozbiła na cząstki, które rozprysły się po różnych punktach ziemi, i jak wspaniale wyglądać musiała całość biegnąca ku ziemi w jaskrawej łunie pożaru.

Nie przesadzamy tego co wykryje Szkoła Główna, ale skład aerolitów takich, według rozbiorów dotychczasowych, jest powszechnie znanym i prawie jednostajnym: jest to zwykłe masa czarna, miękka, krusząca się prawie (tak jak i ten który mamy przed sobą); zawiera żelazo magnetyczne w małych kryształach błyszczących pośrodku, czasami pokazuje się i węgiel w bardzo małej ilości; wreszcie nikel, magnezya, fosfor, ale najczęściej główną podstawę stanowi żelazo.

Zważywszy ten skład, nie będzie bez interesu wiedzieć i to, że w wielu miejscach napotykać się massy całkiem prawie złożone z żelaza a bardzo różne od natury skał sąsiednich i jednakowe między sobą. Wszędzie tam gdzie się one znajdują, podanie miejscowe niesie, że spadły z nieba. Jedną z nich bardzo głośną, której odłam posiada muzeum paryżkie, znalazł Pallas w Syberyi. Największą pomiędzy niemi zdaje się być ta, która leży u źródeł rzeki Żółtej. Trzyma ona 15 m. wysokości, a Mongołowie którzy ją zwą *Skałą północną* twierdzą, iż spadła skutkiem ognistego meteoru. Największa ich liczba odkrytą została w Chili, w pustyni Atacama. Oprócz żelaza, massy te zawierają nikel, ciągłość ich czyni je łatwo podatnemi do kucia, i nie ulega wątpliwości, iż mieszkańcy starej Europy używać ich musieli na potrzeby z równą łatwością jak złoto; to też tłumaczy nam rzadkość ich na naszej półkuli, a przeciwnie obfitość wielką w Ameryce. Doktor Wollaston stwierdził niedawno przypuszczenie to, rozbijając noże używane przez Eskimosów w zatoce Baffińskiej; a ponieważ one zawierały nikel, wniósł przeto bardzo zasadniczo, iż noże te pochodzą z żelaza upadłego z nieba. W samej rzeczy, bardzo prawdopodobnem zdaje się, że massy te nie zkażdą pochodzą; z tem wszystkiem autentyczny ich spadek znany tylko jeden, ten mianowicie, który miał miejsce w Hradczynie pod Zagrzebiem. Ale odsuwając te niepewne podania, znajdujemy w dziejach mnóstwo opowieści o wydarzeniach podobnych temu jakie przed miesiącem zaszło w Sielcu. Najdawniejszy z aerolitów spadł na wyspie Krecio r. 1478 przed Chrystusem. Kapłani Cybeli przechowywali go w świątyni, niby jakies uosobienie tej bogini, a w starożytności każdy uowy podobny spadek był, naturalnie, przypisywany bogom. Roczniki chińskie, doskonale materyi tej świadome, obfitują w opisy bolidów, a opisy te, prawie bez zmiany wyrazu, dałyby się zastosować i do bolidu Sieleckiego. Jeden z ich uczonych, Ma-tuan-li, wydał ich katalog wyrozumowany, z czego pokazuje się, że Chińczycy tą kwestyą zajmowali się dobrze jeszcze przed naszą erą. Chladny próbował tegoż samego względem Europy i wykazał miejscowości oraz daty przeszło dwustu

autentycznych spadków. W każdym czasie, w każdym kraju, zdarzały się te wypadki zawsze z ciekawością obserwowane, opowiadane pilnie i łatwowiernie wyzyskiwane.

Ciała naukowe nie z wielką skwapliwością dawały im ucho, nawet akademia francuzka. We Francyi opór opinii publicznej w tej mierze trwał aż do roku 1802. W tymto dopiero czasie, gdy zdarzył się wypadek aerolitu, delegowany, młody podówczas Biot, przyniósł niezbite dowody autentyczności faktu, i odtąd aerolit zyskał prawo obywatelstwa w świecie naukowym. Zaczęto też zaraz tworzyć systemata. Jedni utrzymywali, że aerolity pochodzą z wygasłych wulkanów księżycowych; drudzy wezwali pośrednictwa elektryczności, która jest ucieczką wszystkich kwestyi nierozwiązalnych; niektórzy utrzymywali, że to są cząstki planet i komet rozbitych przy uderzeniu zobopolném. Skończono wreszcie na tém, od czego należało zacząć: wzięto się do obserwacyi i liczba uczonych którzy dziś poświęcają się tej mozolnej kwestyi, jest dosyć znaczną po rozmaitych ogniskach naukowych, mianowicie w Niemczech.

Od czasu jak uczeni wzięli w ręce tę kwestyę, rzecz zaczęła się wyjaśniać, i oto do jakich rezultatów doprowadziło badanie. Przy wielkich rozmiarach bolidy posiadają wszystkie cechy towarzyszące zjawisku z 30 stycznia: takiż sam blask, także wstęga iskier otoczona tumanem nieustającym, często wybuch i nareszcie, ale już rzadziej, spadek aerolitów. Są tedy one wielkości rozmaitej: im mniejsze, tém mniejszą jest linia przebiegu, wybuch rzadszy i iskrzenie słabsze; aż nareszcie bez jakiegos szczególnego odgraniczenia i nieznanemi stopniami, od bolidów przechodzimy do prostych gwiazd spadających, cicho, bez wybuchu i kamiami. Ich więc naturę, pochodzenie i prawa pilnie badać należy, a wnioski jakie ztąd wyprowadzimy dadzą się zastosować i do tych ciał, które wyjątkowo przez swą wielkość stanowią masę bolidów.

Dziwném się to może komu wyda, że te gwiazdy spadające, tak na pierwszy rzut oka desperacko swawolne, ulegają jednak w całości fenomenowi prawom peryodyczności doskonale uzasadnionym. Odkryto prawo to, obserwując niebo w ciągu wielu nocy bez przerwy i biorąc w końcu roku średnią liczbę gwiazd, które spadły przez każdą godzinę kolejno od wieczora do rana: i to jest właśnie co się nazywa *liczbą godzinną*. Odejmując pewne noce wyjątkowe, o których zaraz mówić będziemy, spostrzegamy, że liczba ta wzrasta stopniowo od godziny 6ej wieczór do 3ej rano, zmniejsza się następnie do białego dnia i prawdopodobnie w dzień, aż do wieczora następnego. Jakoż pomiędzy godziną 6 a 7 widzimy gwiazd 6, pomiędzy 12 a 1 gwiazd 10, pomiędzy 2 i 3 gwiazd 17; gdy znowu pomiędzy 6 a 7 zrana spadek redukuje się do 13.

Przy tych obserwacjach dostrzeżono również, że wszystkie noce nie są jednakowe między sobą, lecz że noce 10, 11 i 12 sierpnia tak są bogate w gwiazdy spadające, że ich naliczono aż do 110 w ciągu godziny. Obfitość ta w tej epoce sprawdzaną była od początku dzisiejszego wieku przez wielką liczbę badaczy, a co dziwniejsza, są ślady, iż istniała już w starożytności. Dowód tego znaleziono we wspomnianych rocznikach chińskich rozpoznanych przez Biota

Widząc ten nadmiar przypadający regularnie w tych samych epokach, z konieczności przypuścić musimy, że ziemia, biegnąc w przestrzeni, w pewnych tychże samych punktach swej drogi napotyka gromady drobnych ciał rozsypanych w przestrzeni planetarnej. Pod tym względem utworzono dowcipną i wcale ponętą hipotezę. Zrobiono przypuszczenie, że te asteroidy rozrzucone są na powierzchni wielkiego koła, którego środkiem jest słońce, i wzdłuż którego koła one idą jedno za drugim, a każde z nich pojedynczo, niby mała planeta wykonywa regularny obrót około słońca. Pośród tej gromady przeciska się ziemia około 10 sierpnia i wtedy to spostrzegamy w naszej atmosferze obiegające te wszystkie drobne ciała, którym droga wypada w sąsiedztwie naszym. Okoliczność źle dotąd określona, ale powszechnie przez obserwatorów przyjęta podwyższa jeszcze stopień tej hipotezy: zauważano, że około 10 sierpnia największa ilość gwiazd spadających zdaje się wychodzić z jednego punktu na niebie. Nie zgadzają się jeszcze co do rzeczywistego położenia tego punktu, który jedni stanowią w Cefeji, drudzy w Kassiopei lub w Baranie; ale gdziekolwiekby on się znajdował, dość że ten wspólny szlak, którym idą gwiazdy spadające pod 10 sierpnia, byłby drogą jaką przebiegają drobne ciała w tym kole, które je zamyka podczas obrotu około słońca. Nie chcielibyśmy tu opowiadać romansu, a nie możemy jednak pominąć milczeniem rezultatów, jakie przed kilką laty ogłosił profesor Twinning, za które mu odpowiedzialność pozostawiamy. Według niego, koło tych drobnych ciałek ma średnicę prawie równą okręgowi ziemi, względem której nachylenie jego równa się 96 stopniom: wysokość jego wynosi od 2 do 5 milionów *lieues*, i zawiera 300,000 miliardów drobnych ciał, które obrotu swego około słońca dokonywają w 281 dni. Przypuszczając, że każde z nich ma 1 metr promienia, i że zbierzemy je wszystkie razem by utworzyć jedną kulę, stanowiłaby ona zaledwie $\frac{1}{10}$ objętości ziemi. Nie sądzimy, powtarzam, abyśmy dziś już mogli stawiać tak stanowcze cyfry; ale to pewna, że przy dzisiejszym stanie tej kwestyi dosyć jest nieustawać w obserwacji dla ustanowienia teorii, w której rzeczywistość zastąpi imaginację.

Aby dojść do tego, potrzeba przedewszystkiem obrachować *linie przebiegowe* meteorów spadających. Pod względem bolidów praca ta rozpoczęła się oddawna, i wielka byłaby szkoda, gdyby u nas nie zastosowano obserwacji w obec trąźniejszego a tak wa-

znego wypadku. Ponieważ bolidy przebiegają drogę długą i widziane są przez bardzo wiele osób, przeto można zawsze zebrać dosyć autentycznych szczegółów o ich pojawianiu się dla obrachowania warunków ich biegu. Taki niespracowany badacz jak p. Petit dyrektor obserwatorium w Tuluzie, od dawna dowiódł, że te kule ogniste opisują hyperbole, rodzaj linii idących w nieskończoność. Bolid, który spadł w r. 1863 na morzu Północnem, obserwowany w kilku miejscowościach w Anglii i Belgii, obrachowywanym był przez p. Heis; i ten miał także przebiegową hyperboliczną: wysokość jego początkowa i końcowa, wynosiły 174 i 23 kilom. a prędkość 63. Alex. Herszel także złożył Towarzystwu Królewskiemu listę jedenastu bolidów, których linie były określone. Ostatecznie zrobiono we Francyi toż samo i co do bolidu spadłego w Orgueil—p. Laussedant wywiązał się chwalebnie. Ciekawi jesteśmy, jakie też nasze Obserwatorium okaże rezultaty co do przebiegu bolidu w Sieleu, bo od tego rozpoczyna się badanie i ono największym jest dla nauki przybytkiem: pragnęlibyśmy jak najprędzej dowiedzieć się ze źródła. Dotąd, ze wszystkich wypadków należycie zbadanych otrzymaliśmy pewność, że zjawiska te powstają z prawdziwych asteroidów, które wypadają z niebieskich sfer, przebijają się do atmosfery, gdzie opisując hyperbole, pędzą szybkością równającą się szybkości samych planet.

Proste gwiazdy spadające przedstawiały pod tym względem daleko więcej trudności, ale nowe narzędzie przyszło w pomoc astronomom: narzędziem tym jest telegraf elektryczny. P. Heis pierwszy go użył pomiędzy Munster i Herbersthal w r. 1851. Dwaj obserwatorowie, umieszczeni w dwóch tych stacyach, badali jednocześnie tę samą część nieba; za ukazaniem się gwiazdy spadającej, dawali sobie znać telegrafem, i jeżeli oba widzieli tę samą gwiazdę, to znaki trafiały. Wtedy determinowali oni starannie drogę, którą ona zdawała się przebywać pośród konstellacyi, i to było dostatecznym do obrachowania, po fackie, linii przebiegowej. Niezależnie od niemieckiego astronoma, znakomity astronom rzymski, ojciec Secchi, użył później tegoż samego sposobu, który zdawał mu się nowym, pomiędzy Rzymem a Civita-vecchia. Grono znakomitych osób towarzyszyło tym doświadczeniom, które jak za pierwszym razem, tak i teraz, powtórnie udowodniły, że gwiazdy spadające, prócz rozmiaru, są to prawdziwe bolidy rzucone w przestrzeń z szybkością kilku kilom. na sekundę i zapalające się w atmosferze.

Musieliśmy wejść w te szczegóły przed wytłumaczeniem, dlaczego te ciała kosmiczne rozgrzewają się wraz aż do stopienia się i rozpryskania. Teorya, którą wyłożyć mamy, jest dziełem postępowej pracy, w jakiej różni uczeni przyjmowali udział, począwszy od Johna Herszla w r. 1848, aż do Reinholdsza Reichenbacha, który w r. 1863 pod ścisły rachunek poddał zasady przyjęte przez swych poprzedników. Prace te pozwalają nam teoretycznie

określić historią kul spadających: zobaczymy jak dalece ona się zgadza z faktami obserwowanemi.

Jak tylko bolid, pędząc z właściwą sobie ogromną szybkością, zetknie się z atmosferą, napotyka on nasamprzód opór, bieg jego zwalniający: opór znaczny z powodu szybkości pędu. Opór ten da się obliczyć, i według Reichenbacha, mógłby on po 10 sekundach obezwładnić zupełnie pęd kuli wyrzuconej z szybkością 100 kilom. na sekundę. Przypuśćmy, że z tej przyczyny bolid utraci ze swęj szybkości tylko jedną setną, wyrodzi on tęp samym pewną ilość ciepła dającą się ściśle obliczyć, i która posłuży do rozgrzania albo jego samego, albo też powietrza które go otacza. Otóż uczy nas Reichenbach, że ta ilość ciepła zdolną jest podnieść temperaturę o 75,000 stopni, jeżeli nie rozprasza się przez promieniowanie, a przeciwnie tylko o 5,000 stopni, jeżeli przypuścimy, że ona uchołdzi zaraz po powstaniu. Ogrzanie więc rzeczywiste ma miejsce pomiędzy 75 a 5 tysiącami stopni, tęp samym znacznie przewyższa wszystko to, eokolwiek sztucznie mogliibyśmy wywołać. W tych warunkach bolid topnieje, a powierzchnia jego pokrywa się tą szklistą powłoką charakteryzującą spadłe kamienie. Nietylko on topnieje, ale już w 5,000 stopni żelazo i węgiel płoną, rzucając na wszystkie strony światłe iskry, i wszystkie substancje znane zamieniają się w jasne pary. Meteoryt zatem wydaje się płomiennym i ciągnie za sobą smugę ognia nakształt racy fajerwerkowej. Smuga ta zgasnie w końcu, ale materyc które jej dały początek, pozostaną czas jakiś zawieszona w powietrzu i sprawią w niēm tuman.

Jeżeli kamień jest małych rozmiarów, to zazwyczaj spali się ze szczeniem. Widzimy nieraz gwiazdę, która spada, przechodzi w tuman i koniec: jeżeli jest większa, trwa dłużej i przestronniejszym jest jej bieg, który trzeba śledzić. Spędza ona przed sobą warstwy powietrza napotykanę, które ściiskają się, rozgrzewają i jaśnieją. Z przeciwnego powodu, z tyłu robi się próżnia, gdzie dawne powietrze wpada okalając powierzchnię, i meteoryt otacza się atmosferą gazu i pary zapalonej. Nad tą okolicznością warto się zastanowić, bo ona wiele objaśnić nas może. Jakoż, to co nas raptownie olśniewa, nie jest ciałem stałym, to atmosfera zapalona; owato przybiera tak ogromne rozmiary, a jądro, przed okiem naszym ukryte, jest nieporównanie mniejszēm. Atmosfera ta jest pozornie eżemś przerazającym, ale rozprasza się ona zaraz w miarę zmniejszania się szybkości. Dlategoż historia żadnych dotąd katastrof nie zaznaczyła, dlatego odłamy są prawie zawsze małe, dlatego nareszcie pozory straszne sprowadzają się do bardzo małych rzeczywistości. O bolidzie słusznie powiedzić można: *Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus.*

W chwili gdy bolid uciska powietrze, ono opiera się i przez reakcję uciska jego stronę przednią. Jeżeli chcemy mieć przybliżone obliczenie tej siły, uważajmy co się dzieje podczas ураганów. Te kiedy przychołdzą do najstraszliwszej napiętości, na-

bierają szybkości 40 metrów na sekundę, i na każdą przeciwnie-
głą sobie stopę kwadratową wywierają parcie 38 funtów. Par-
cie to byłoby takim samem, gdybyśmy przez prostą zmianę
wzajemnych warunków, rzucili z taką samą prędkością meteoryt
o stopie kwadratowej w powietrze nieruchome; ale jeżeli temu
materiałowi zamiast 40 każą biedz 40,000 metrów, parcie wzra-
sta w okropnym stosunku. Reichenbach twierdzi, że ono docho-
dzi do 700 atmosfer na wysokości 18 kilom. nad powierzchnią
ziemi. Żelazo tylko wytrzymać może taki nacisk bez rozprosze-
nia. W takichto warunkach znajdować się musiał i Sielecki me-
teoryt, uległ pewnie podobnemu parciu, to też rozprysł się na
kawalki, jak kamień silnie uderzony o mur,—i dziś po szczątkach
jego szczątkach ani domyślałbyś się ognia i gromu, jakie upad-
kowi jego towarzyszyły. Jakkolwiek szczupłe te szczątki, dają
nam one różne i ważne wskazówki. Spadłe z nieba, przynoszą
nam one materję obiegającą między gwiazdami i prawdopodobnie
wchodzącą w ich skład; uczą nas one, że świat materialny
nawet w najodleglejszych ustroniach swych, zbudowanym jest
z materiałów takutenkich jak te, które znajdujemy na ziemi.
Bardzo, i bardzo sprawiedliwie podziwiano metodę Kirchhofa,
którą on bada słońce; dzięki jej przekonywamy się, że w mete-
orytach znajdują się też same kruszce co i w słońcu, a nadto zna-
chodzi się w nich węgiel, chlor, ammoniak, które przy badaniu
słońca uchodzą zwierciadłowemu rozbirowi.

Gdyby przez zbieg okoliczności, nieszczęściem, bardzo mało
prawdopodobny, jeden z takich kamieni mógł upaść do nóg fizy-
ka przygotowanego w całym ryusztunku na jego spotkanie, od-
kryłby mu on inną jeszcze tajemnicę. Wiemy, że temperatura
obniza się w miarę odległości od powierzchni ziemi i że w gór-
nych strefach musi być bardzo niska; ale tego wcale nie wiemy
do jakiego obniza się stopnia termometrycznego. Aerolity mo-
głyby nas o tem uwiadomić. Są pomiędzy niemi prawie całkiem
złożone z żelaza: te są dobrimi przewodnikami ciepła, a ogromne
ogrzanie, powodujące stopienie się powierzchni, tak łatwo dostaje
się do wnętrza, że one przychodzą na ziemię jako kule rozczer-
wienione; z tych nie wnieść nie można. Inaczej rzecz się ma z ae-
rolitami ziemistemi, które z wolna przeprowadzają ciepło wskroś
massy. Zewnętrzna tylko ich powierzchnia rozgrzewa się pod-
czas krótkiego ich przebiegu przez atmosferę, a zimno które one
zachowują we wnętrzu, powraca z wolna po upadku na powierz-
chnię. Uważano nawet, że kamienie spadłe niedawno w Pendza-
bie (Indye) mroziły ręce osób chcących je podnosić. Owóz tę-
to temperaturę środkową wielkich mass meteorycznych należało-
by zmierzyć, bo jest to temperatura przestrzeni planetarnych,
w których one odbywały podróż, nim przyszły spocząć na ziemię.
Kto będzie tyle szczęśliwym, że zdoła zrobić to odkrycie, ten
przyniesie astronomii jeden z najbardziej upragnionych rezul-
tatów.

Wyłożyliśmy tu krótko same tylko wypadki prac długich, nie wdając się w wywody motywujące, które są przedmiotem dzieła. Pisaliśmy to dla publiki, nie dla uczonych, którym to wszystko jest znane; niechże nam więc wolno jeszcze będzie wytknąć kilkoma słowy fantazye, które publika proteguje, a które uczeni karcą. Przypisywano gwiazdom spadającym zaszozyt wywoływania zmian pogody, a przynajmniej następczania wskazówek do przewidywania tychże zmian; do nich udano się w ostatniej instancyi, po daremnem zaklinaniu wszystkich ciał niebieskich: planet, księżyca i komet. Akademia nauk w Paryżu odpowiedziała, że wpływ ten nie jest udowodniony—odpowiedź grzeczna, jak na akademię.—Z drugiej strony, astronomowie wytrawni i uznani jak Heis i Secchi, którym nikt nie śmie odmówić kompetencyi, utrzymują, że podobnym wskazówkom, przypisywanym meteorytom, nauka stanowczo zaprzecza. Niechże więc publika strzeże się tych przepowiedni nieuzasadnionych w każdym razie, choćby wypadek przypadkowo stwierdził podobne umiemanie; a co się tyczy ostatniego meteorytu, jakim i nas obdarzyło niebo, nie przestaniemy nalegać, aby ciała naukowe do których to należy, dały nam przedewszystkiem linię jego przebiegu, a następnie rozbiór jego materyi.

dnia 18 lutego 1868 r.

K.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Luty 1868 r.—Rektor Szkoły Głównej, w pismach czasowych podał następane ogłoszenie, które żywo tak rolnictwo krajowe jak i przemysł obchodzi:

„Od czasu otwarcia Szkoły Głównej, zdarzało się niejednokrotnie, że pewne zakłady lub osoby prywatne, pragnąc powziąć dokładną wiadomość o chemicznym składzie rud, wody, wyrobów przemysłu i t. p., używały różnych pośrednictw, w celu, aby przedmioty te poddawane były pod rozbiór w pracowni chemicznej Szkoły Głównej, jako w zakładzie zaopatrzonym w odpowiednie pomoce, i przedstawiającym rękojmię dokładnego wykonania rozbiorów. Zarząd Szkoły Głównej przeto, idąc w pomoc zakładom, rolnikom i przemysłowcom krajowym potrzebującym rozwiązania wątpliwości, mogących wcześniej uchronić od strat materyalnych i jednocześnie zamierzając ułatwić studentom możność obeznawania się z różnemi chemicznemi sposobami traktowania pytań, ścisły związek z interesami gospodarzemi mających, upoważnił pracownię chemiczną Szkoły Głównej, do wykonywania wszelkich rozbiorów chemicznych, czyto pokładów ziemnych, czy produktów rolnych, lub przemysłowych. Potrzebujący więc mieć dokonaną analizę chemiczną, mogą się wprost udawać do dziekana wydziału matematyczno-fizycznego Szkoły Głównej, od którego powezną wiadomość o wysokości zwrotu kosztów zużytych odczynników i innych nieodzownych przy podobnej pracy wydatków.”

— Z drukarni K. Kowalewskiego wyszedł z pod prassy: „Wykaz Szkoły Głównej warszawskiej. Zimowe półrocze roku naukowego 186⁷/₈.” Jest to VIII wykaz ogłoszony od czasu istnienia tej instytucji. Na czele mieści się rozprawa Dra Felixa Nawrockiego adjunkta Szkoły Głównej: „*Sądowo-lekarskie badanie płam od krwi pochodzących.*” Z programmatu tego podamy więcej nas zajmujące szczegóły. *Ciało nauuczające* Szkoły Głównej składało się w tém półroczu ogółem z 75 osób, we wszystkich czterech wydziałach: prawa i administracyi, lekarskiego, filologiczno-historycznego i matematyczno-fizycznego; w téj liczbie mieści się profesorów: zwyczajnych 31, nadzwyczajnych 14, adjunktów 12, lektorów 6, docentów 8, tymczasowych 4.

W letniém półroczu r. n. 186⁶/₇ było wpisanych *studentów* na czterech wydziałach ogółem 1095; z tych na wydziale prawa i administracyi 496, lekarskim 216, filologiczno-historycznym 84, matematyczno-fizycznym 299.

Z początkiem r. n. 1867 $\frac{7}{8}$ zgłosiło się do egzaminu wstępnego 266 chcących wstąpić do Szkoły Głównej. Z liczby tej 183 zdało egzamen pomyślnie; 76 uchylono z powodu niedostatecznego usposobienia szczególnie w ruskim języku; 6 niedokończyło egzaminu z powodu choroby.

Ogólna liczba zgłaszających się jest mniejszą od zwykłej, bo nie obejmuje młodzieży kończących swe nauki w gimnazyach ruskich i mieszanych, a którzy z polecenia wyższej władzy od egzaminu wstępnego, przed wejściem do Szkoły Głównej, uwolnieni zostali.

Podniesiono opłatę wpisową dla studentów nowo-wstępujących na rok 1867 $\frac{7}{8}$ do rubli srebrem pięćdziesiąt rocznie. Studenci dawniej zapisani, opłatę taką wnosić mają według poprzedniej stopy, to jest po rsr. 20 rocznie.

Wydział prawny wyznaczył na temat konkursowy, kwestyą z prawa karnego: „O zabójstwie.” Termin ostateczny do złożenia rozprawy na dzień 19 (31) marca 1868 r. Najlepsza rozprawa będzie wynagrodzoną złotym medalem. Ubiegający się powinni: „przedstawić pogląd teoretyczny na różne rodzaje pozbawienia życia, z oznaczeniem dla każdego stopnia odpowiedzialności kary;—rozebrać dogmatycznie i krytycznie artykuły od 921 do 923 kodeksu kar głównych i poprawczych;—wyłożyć teoretycznie i krytycznie zasady ustanawiania istoty czynu w różnych rodzajach pozbawienia życia.”

Wydział lekarski wyznaczył złoty medal za rozprawę na temat następujący: „Oznaczenie ilości żółci przez organizm zwierzęcy w ciągu doby wydzielonej i rozstrzygnięcie experimentalne pytania: czy żółć wessaną zostaje napowrót do krwi, czy też z gnojem odchodzi.” Termin ostateczny do złożenia konkursowej rozprawy jak wyżej.

Wydział filologiczno-historyczny, takż medal wyznaczył za rozprawę na temat: „O metodzie badań psychologicznych” z zastrzeżeniem, iż ponieważ: „w nowszych czasach zarzucano filozofii w ogólności, a psychologii w szczególności, brak naukowej ścisłości, z przyczyny nieoznaczonej i nieustalonej metody w badaniach filozoficznych i psychologicznych; rozprawa przeto powinna rozebrać krytycznie główne metody badań psychologicznych, mianowicie najnowszą, polegającą na wewnętrznej psychologicznej obserwacji.” Termin do złożenia rozpraw w tym przedmiocie oznaczony na dzień 3 (15) kwietnia 1868 r.

Wydział matematyczno-fizyczny wyznaczył także medal złoty za rozprawę na temat następuny: „Podać przegląd różnych pojęć o naturze białka, i oznaczyć jego równoważnik.” Termin ostateczny do złożenia dnia 3 (15) kwietnia 1868 r.

Z ustępu: „prace naukowe profesorów Szkoły Głównej” widzimy, że rozprawami swymi nie tylko zasilają wszystkie niemal pisma peryodyczne poważniejszej treści, ale w oddzielnie wydanych dziełach i broszurach, pokazują działalność swoją. Z tych wymie-

nimy tylko prace obszerniejszych rozmiarów: Z wydziału prawa i administracji: Chwaliboga Hipolita: „Jurisprudencya IX Departamentu Rządzącego Senatu 1865 r.” (Rocznik sądowy 1867 r.), Dydyńskiego Teodora: „Instytucye Gaja” Zeszyt II. Miklaszewskiego Walentego: „O stanowisku prezydującego w sądzie przysięgłych.” (Warszawa 1867 r.). Okólskiego Antoniego: „O znaczeniu miast i instytucji miejskich.” „O sporach administracyjnych.” Z wydziału lekarskiego: Dr. Brodowski Władysław rozpoczął druk: „*Anatomii Patologicznej.*” Dr. Girsztowt Polikarp: oprócz mnóstwa pomniejszych prac, drukuje dzieło p. n. *Chirurgia teoretyczna.* Dr. Hirsfeld Ludwik wydał ośm zeszytów ostatnich Tomu I *Anatomii Opisowej.* Dr. Narkiewicz-Jodko: rozpoczął druk „*Oftalmologii.*” Dr. Płaskowski rozpoczął druk także: „*Psychiatrii.*” Wymienione tu prace wydziału Lekarskiego obejmuje *Biblioteka Umiejętności Lekarskich* wychodząca przy Gazecie Lekarskiej. Z wydziału Filologiczno-historycznego: Dr. Lewestam Henryk wydał: „*Historyi Literatury powszechnej T. IV i ostatni.*” (Warszawa 1867). „*O poezyi dramatycznej*” trzy prelekcye publiczne 1867 Warszawa. „*Literatura polska w XIX wieku.*” (2 zeszyty: Warszawa 1867 r.). Dr. Mieczyski Antoni: *Przyczynki do mytologii porównawczej:* (Biblioteka Warszawska 1867 r.). Dr. Pawlicki Stefan: „*Abelard i Heloiza.*” „*Wiktor Cousin*” umieszczone w Bibliotece Warszawskiej 1867 r. a pierwsza wydana w oddzielnej odbite. Tyszyński Alexander: „*Wincenty Kadłubek*” (Biblioteka Warsz. 1867). Dr. Węclewski Zygmunt ogłosił drukiem: „*Historyą literatury greckiej*” 1867 Warszawa. Z wydziału matematyczno-fizycznego Dr. Strasburger: „*O bezpośredniem powstawaniu istot*” (generatio spontanea). „*O istocie i zadaniu nauk przyrodzonych.*” (Biblioteka Warszawska 1867 r.). Sekretarz zarządzający kancelaryą Szkoły Głównej, Kazimierz Kaszewski, ogłosił drukiem wiele rozpraw krytycznych i naukowych tak w naszym piśmie jak w Tygodniku Ilustrowanym i *Bluszczu:* z tych wymienimy ważniejsze i szerszych rozmiarów: „*Podania o Prometeuszu z rozbiorem tragedyi Eschyleasa: „Prometeusz.”* „*Ustęp z dziejów filozofii scholastycznej*” umieszczone w Bibliotece Warszawskiej: oddzielnie wydał komedye p. n. „*On będzie moim*” przedstawioną już w Warszawie na Teatrze Rozmaitości.

— Znanym jest mistrzowski przekład *Odyssei* Homera przez Lucyana Siemińskiego. Tłumaczenie to posuwa dalej. Przy ogłoszeniu pieśni VI i VII *Odyssei*, na czele podał *Słowo przedwstępne*, z którego podamy ustęp dotyczący się jego przekładu.

„Romantyzm, który w pierwszych chwilach zbudzenia się, położył był ambargo na starożytny klasycyzm, uszanował grecką epos; czuł w niej prawdę wziętą z pierwszej ręki, czuł wyraz duszy ludu, i dlatego uchylił czoło. Przeszedłszy później w stadium narodowości w poezyi, zdawało nam się regułą ograniczać się na sobie. Wyłączność ta, jak wszelka inna, nie miała dość szerokiej podstawy. Poezya swojska, pomimo rysów i fizjonomii plemiennej,

zawsze do poezji świata należy, ten sam jój stosunek co narodu do ludzkości. Zrobienie więc tych arcytworów przystępnymi dla kształcącego się ogółu, mniemam być zadaniem odpowiedniemi dążnościami kultury umysłowej. W każdym wieku uznawano tego potrzebę. Uznawał ją Kochanowski, Dmochowski, Przybylski, Staszyc, Słowacki, Bronikowski i wszyscy, co się brali do przekładu Iliady lub Odyssei. Czy tłumaczenia te oddawały wiernie pierwowzór? czy sposób oddania miał homeryczne zacięcie, a oraz ciepło życia? Odpowiedź ambarasująca dla piszącego, co należy także do téj kategorii tłumaczy. To jednak pewna, że sama erudycja nie wystarcza. Wreszcie i z najrozleglejszą erudycją, niełatwo dzisiejszemu człowiekowi przebić się przez mgłę dwudziestu kilku wieków, wżyć się w tę starożytną cywilizację, rozwijającą się na pograniczu czasów heroiczych i barbarzyńskich, między Europą i Azją, u źródła polyteizmu i u kolebki helleńskiego świata. Tylko duch poezji zaklęty w tych epeach homerycznych, może być pośrednikiem między starożytnością a dzisiejszością; idzie o to żeby zdjąć zeń zaklęcie, żeby nam się udzielił i tchnął ciepło w te obrazy i wyrazy, podobne do tych pałaców i świątyń nad brzegami nilowej pustyni, które tak zawiązały się z pokładami ziemi, że wyglądają raczej na geologiczną formację niż na dzieło rąk ludzkich.

„Brak poetycznej intuicji bywa przyczyną ułomności tłumaczeń, nawet wtedy, gdy każdy rys, każdy odcień oryginału wiernie jest zachowany: nawet wtedy, gdy tłumacz robi heroiczne wysilenie na pochwycenie tych poważnych i jędrnych dźwięków i téj prostoty płynnej a uroczystej homerycznego rytmu. Najściślejsza wierność może się stać grubą niewiernością. Przekalkować oryginał do okna, nie jedno jest, co z uczuciem i przejęciem się zrobić jego kopię. Teorii tłumaczeń, tyle niemal jest co tłumaczy. Która najlepsza? Zapewne ta co najbliżej sięga pierwowzoru, a każe o nim zapominać. J. Jakób Rousseau genialny nieraz w pomysłach literackich i artystycznych, tak mówi o swojej teorii tłumaczenia:

„Nie sadziłem się na dosłowne oddanie frazesów Tacyty, tylko szło mi o jego styl; nie przedrzeźniałem też słów jego powiedzianych po łacinie, tylko tak rzecz oddawałem, jakby był Tacyt pisał po francuzku.” Odysseę oddać po polsku, w tym tonie do jakiego nasze ucho przywykło, to było mojem życzeniem i usilnością.”

— Z Wystawy Powszechnej w Paryżu powróciły trzy większe obrazy naszych artystów: Przysięga Jadwigi J. Simlera, Opłakane Apostolstwo W. Gersona i Wydobywanie zwłok Wandy z Wisły, które obecnie znajdują się na naszej Wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych.

— W katedrze gnieźnieńskiej, gdzie znajduje się grób świętego Wojciecha, na pomniku płaskorzeźby przedstawione jest całe życie tego apostoła. W ich liczbie mieści się także arcydzieło Michała Anioła: „Spowiedź.” W roku 1837 zabytek ten zdjęto z grobowca, z powodu obawy o jego całość i złożono w Izbie wieżowej. Tera-

źniejszy arcybiskup ks. Ledóchowski, wydobył go z pyłu i w dawném miejscu umieścić polecił, po odnowieniu go poprzedniem przez Noacka berlińskiego złotnika.

— Druk Encyklopedyi Powszechnej postępuje bez przerwy: ostatniego tomu 28, już odbito 50 arkuszy, pozostaje przeto już mała część do ukończenia tego ogromnego dzieła.

— Sędziwy poeta Bohdan Zaleski wydał nowy utwór p. n. „Wieszcze oratoryum” w którym widzimy tę siłę młodości, tę świeżość myśli i obrazów, które nam przypominają tak żywo młodsze utwory autora *Rusalek*.

— Zmarła śp. Rozalia z książąt Lubomirskich hr. Rzewuska zapisała swe pamiętniki baronowi Karolowi Ransonner wice-prezesowi Najwyższej Izby Obrachunkowej cesarstwa Austriackiego, który przyjął na siebie obowiązek wydania tak zajmującego dzieła, w niedługim przeciągu czasu. O tych pamiętnikach już pisaliśmy w Bibliotece Warszawskiej w r. 1866. Znając wysoką wartość pomienionych pamiętników, pragnąc należy ażeby p. Ransonner spełnił swe przyrzeczenie, i zobowiązanie dla zmarłej autorki.

— P. Leon Kunicki, który zapoznał nas z okollicami Nad-Bożnemi, kreśląc w udatnych obrazkach tak ziemię jak i ludzi tej miejscowości, przygotowuje do druku dzieło obszerniejszych rozmiarów, poświęcone opisowi ludu tamecznego, jego zwyczajów, pieśni, obrzędów i t. p.; praca ta z bogaci nowym przyczynkiem etnografią krajową.

— Ambroży Grabowski znany archeolog, należy z żyjących do najstarszych wiekiem literatów naszych. Jako księgarz i pisarz już przeszedł półwieczny jubileusz; na pamiątkę takowego przeto zakład pp. Brandla i Spółki wykonał wielką fotografią, na której popiersie tego nestora otoczone jest zabytkami archeologicznymi i stosownym nadpisem. Dalej idą wizerunki 75 osób z grona mającego związek z książkami i nauką, a mianowicie pisarzy, księgarzy i drukarzy: Grabowski bowiem rozpoczynał swój zawód jako księgarz w Krakowie. Całość tworzy piękną pamiątkę artystyczną, która już doreczona została szanownemu blisko dziewięćdziesiąt lat liczącemu starcowi.

— W Opolu na Szlązku, wyszła rozprawa p. n. „Czy święty Wojciech był w Opolu podczas podróży swj. apostołskiej między pruskich pogan?” Autorem rozprawy jest nauczyciel miejscowego gimnazjum.

— Towarzystwo Sztuk pięknych we Lwowie, uorganizowane na podstawie nowo zatwierdzonych statutów. Prezesem wybrano pośła Leszka hr. Borkowskiego, vice prezesem adwokata Rajskiego a dyrektorami pp. Starkla, Widmana, Maszkowskiego i Franciszka Tepe. W témże mieście *wystawa geologiczna*, o której jużesmy donieśli, urządzoną już została w sali Zakładu imienia Ossolińskich staraniem p. Emanuela Sygiewicza. Wszystkie okazy pochodzą wyłącznie z Galicyi. Próby wystawione jakkolwiek drobne, dają wyobrażenie o ogromnych bogactwach geologicznych tego kraju,

dotychczas mało znanego pod tym względem. Samych soli jest czterdzieści kilka gatunków, kilka gatunków bursztynu z pod Lwowa, z których jeden z muszkami wewnątrz dobrze zachowanymi: są tu i zajmujące okazy wykopalisk przedpotopowych, skamieniałości, cały ząb mamuta, około 7 stóp długi, cała głowa jelenia przedpotopowego z olbrzymiemi rogami i w. i.

— W Rzeszowie (w Galicyi) nakładem Jana A. Pelara wyszła Stanisława Kowalskiego książka p. n. *Sto pociech, bajki i powiastki dla dzieci wierszem i prozą: z 6ciu rycinami*.

— W Krakowie księgarz J. M. Himmelblaim drukuje *Słownik łacińsko-polski* profesora Szkoły Głównej Zygmunta Węclewskiego w drugim znacznie powiększonym wydaniu.

— Dr. J. Lustig wydał: „*Geschichte der Stadt Myslowitz*. Dzieje tego miasta rozpoczyna od r. 1105, gdy było wsią przynależną do Benedyktynów tynieckich. Monografie rodzin opracowane są starannie i na archiwalnych źródłach oparte. Wiele jest tu załączonych dokumentów po polsku.

— Jużesiny wspomnieli o wydawnictwie Dr. Hermana Lucks, wychodzącem u księgarza Edwarda Trewendt w Wrocławiu, pod opieką tamecznego towarzystwa starożytności. Dzieło to p. n. Obrazy książąt Piastów szlązkich, wieków średnich od r. 1201 do 1595, zawierać będzie 37 litografii, po części kolorowanych, które przerysowane zostały z autentycznych pomników z krótkim objaśnieniem. Dwa pierwsze zeszyty już wyszły i przedstawiają Henryka II i świętą Jadwigę księżniczkę szląską.

— Wydział archeologiczny Towarzystwa naukowego krakowskiego, gorliwie postępuje w rozwoju prac rozpoczętych. Dnia 14 lutego professor Suchecki odczytał część swój rozprawy, której treścią jest: „Ocenienie lingwistyczne dwóch zabytków stariej polszczyzny, które Alexander Przeddziecki złożył towarzystwu w odpisie, ze zbiorów Dra Wojciecha Kętrzyńskiego z Prus Zachodnich.

— Professor Uniwersytetu Jagiellońskiego Antoni Walewski, znany już z poprzednich prac historycznych ogłoszonych w języku niemieckim, wydał jeszcze w r. 1866 dzieło po polsku, obejmujące pogląd na czasy Jana Kazimierza. Autor miał pod ręką źródła, jakich nikt z naszych historyków nie miał, bo czerpał z tajnego archiwum wiedeńskiego, i użył ich sumiennie.

— W Bibliotece Jagiellońskiej odnaleziono rękopism historii Herburtu pierwszej redakcyi, z którego druk dokonany został w roku 1571.

— Ukończono szereg odlewów gipsowych głów z figur małych Wita Stwosza z ołtarza u Panny Maryi dokonanych w liczbie dziewiętnastu.

— Wyszło album Żółkiewskie, czyli miasta Żółkwi w Galicyi, obejmujące dawne pomniki, znajdujące się w tym grodzie.

— Powzięto myśl skreślenia monografii klasztoru Franciszkańskiego w Krakowie, w którym był grób Bolesława Wstydliwego, i świeżo odkryto pod powłoką wapna szereg portretów biskupów

krakowskich na krążgankach tego klasztoru. Odkrycie to zrobili pp. Popiel i Alexander Przeddziecki idąc za wskazówką starożytnego rękopismu Franciszkańskiego.

— Zapowiedzianego dzieła Alexandra Przeddzieckiego p. n. „Jagiellonki polskie w XVI wieku” wyszedł w Krakowie tom pierwszy, z portretami fotograficznymi, zdjętymi z oryginalnych zabytków. X

— Znakomita biblioteka br. Józefa Szembeka w Porębie spłonęła w tym miesiącu w całości. Zagięto w niej wiele szacownych pomników literatury naszej, które z takim trudem, skrzętnością i znanstwem zbierał przez lat kilkadziesiąt ś. p. Józef Muczkowski. Ocalał tylko jój katalog, własnoręcznie spisany przez zmarłego badacza, niebędący w czasie pożaru w pomienionej bibliotece. Jest on wymownym świadectwem, jakie skarby literackie w niej spłonęły. 23

— We Lwowie wydanem zostało dzieło p. n. *Nauka stenografii* przez Felicjana J. Jackowskiego. Wykład jasny i przystępny, ułatwić może w krótkim czasie tę naukę pożyteczną.

— Uczony prawnik, znany z wielu prac na właściwem sobie polu August Heylman, z rękopismów pośmiertnych Jana Wincentego Bandtkiego, wydał własnym nakładem: „Rozprawy o prawie i sądownictwie karzącem i o urzędach w dawniej Polsce.”

— Paweł Rhode księgarz Lipski, w *Bibliotece domowej*, którą zaczął wydawać, ogłosił znaną u nas powieść Karoliny Wojnarowskiej *Pierścionki Babuni*, z dołączeniem pozostałych pism tejże autorki. 19

— W témże mieście, Brokhaus przedrukował J. Słowackiego romans poetyczny *Żmija*, którą w roku 1833 *Gazeta Warszawska* w całości ogłosiła.

(Z listu ze Lwowa). Dnia 4 lutego r. b. był pierwszy wieczór muzykalny, galicyjskiego towarzystwa muzycznego w sali ratuszowej, przy licznem zebraniu publiczności, którą zwiabił bogaty program a w tym i deklamacya ustępu z poematu J. Słowackiego: Poeta i natchnienie: utwory Beethowena, Haydena i Szopena, oraz dwa kwartetu wokalne kompozycyi p. Mikuli. Księżna M. C. uczennica Chopina, obdarzona znakomitym talentem wykonała trio *Es dur* z elegancją, lubo niezupełnem pojęciem wielkiego kompozytora. Publiczność oceniając usiłowania dostojnej artystki, szczeremi oklaskami je wynagrodziła, równie jak odegrane *Nocturno (G mol)* i *Mazurek* Chopina. Śpiew solo wykonała p. Lederer: publiczność porwana słodyczą melodii i dzielnością wykonania, grzmiem oklasków, zażądała powtórzenia pieśni. Kwartet smyczkowy (Serenada Haydena), wielce się podobał, a wybornie deklamujący p. Romanowicz pojęciem treści poezyi wielkiego wieszczka i głosem, stanął na równi swego zadania. Powodzenie tego wieczoru zawdzięczamy prezesowi Towarzystwa, tak jego gorliwym staraniom jak uprzejmości w przyjęciu zebranych gości. Tegoż dnia w teatrze dano komedyą „*On będzie moim*” K. Kaszewskiego;

Odegrano ją wyśmienicie: rolę *Ireny* przedstawiała p. Popielówna, *Mąckiego* p. Linkowski, *Juliana* p. Wilkoszewski. Panna Popielówna była w tej roli nieporównaną: naiwność jej połączona z gracyą i szczyptą niezrównanej sobie zalotności oczarowała publikę. Zdolna ta artystka w rolach odpowiednich talentowi swemu ma wielką przyszłość przed sobą. P. Linkowski był jak zawsze naturalnym, oryginalnym, komicznym, i jak zawsze, nie wyuczył się dokładnie roli, co mu jednak nie przeszkodziło znakomicie oddać scenę kłótni z Julianem, wzbudzającą niepohamowaną weselość. Teatr był natłoczony, a publiczność z zadowoleniem przyjęła ten utwór dramatyczny.

— Śpiewak ludowy Teofil Lenartowicz, poświęcając godziny wolniejsze od zajęć literackich, jako lekki wypoczynek a zarazem zasitek dla ducha, rysunkom i rzeźbie, po trzech latach pracy znakomity w tym kierunku postęp uczynił. Oglądaliśmy nadesłane z Florencyi piękne fotografie, zdjęte z płaskorzeźb przez Lenartowicza wymodelowanych. Przedmioty głównie treści religijnej; kompozycje wykonane z talentem i smakiem, jakby wytrawnego już w swęj sztuce artysty. Życzyłoby należało, ażeby te niezbrane prace twórcy: „*Błogosławionéj i Zachwyconéj*” nasza publiczność ujrzała na wystawie *Zachęty sztuk pięknych*.

† Dnia 31 stycznia r. b. umarł w Paryżu, utalentowany malarz Tadeusz Górecki, a mąż najstarszej córki Adama Mickiewicza, Maryi. Dnia 2 lutego zwłoki pochowano na cmentarzu w Montmorency, obok grobu ojca jego, poety Antoniego Góreckiego. Zmarły pozostawia wdowę z trojgiem małoletnich sierot.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.
Styczeń, 1868.

Styczeń, 1868.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich
długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25''

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		754.51	754.87	754.83	756.57	755.195	-17°8	-15°8	-17°4	-21°4	-18°1
2	Równ.	757.42	758.21	758.65	759.58	758.465	18.5	17.3	15.8	15.1	16.5
3	☾	759.94	759.68	759.19	758.79	759.400	12.7	9.4	6.3	5.6	8.5
4		757.85	757.51	756.93	755.51	756.700	5.5	4.8	3.6	2.9	4.2
5		756.60	756.44	756.66	757.02	756.430	0.2	+ 0.3	0.6	1.9	0.6
6		757.15	757.70	757.64	757.33	757.455	4.5	- 5.5	6.9	7.1	6.6
7		756.17	756.07	754.87	754.72	755.458	7.8	7.6	7.1	7.2	7.4
8		754.50	755.25	755.11	756.43	755.323	5.7	4.8	4.0	5.7	5.0
9		757.37	758.84	758.91	759.91	758.758	7.0	6.1	5.4	5.6	6.0
10	Perig. ☺	759.50	759.97	758.93	759.29	759.423	6.4	6.3	7.0	8.4	7.0
11		758.14	758.49	757.95	757.36	757.985	8.3	8.3	8.4	8.5	8.5
12		756.92	757.10	755.75	755.10	756.218	8.2	8.1	9.3	9.1	8.6
13		752.78	752.83	750.69	749.85	751.563	12.1	10.7	5.7	4.8	8.3
14		750.55	752.48	753.74	754.26	752.758	1.6	1.7	1.9	2.2	1.8
15	Równ.	752.48	751.26	747.71	748.18	749.908	5.7	2.2	+ 1.3	+ 1.3	1.3
16	☾	750.91	752.68	754.26	755.76	753.403	+ 1.3	+ 2.0	1.5	1.4	+ 1.5
17		754.84	753.53	749.18	748.58	751.533	1.4	1.8	2.8	3.6	2.4
18		743.79	742.34	743.39	743.04	743.140	3.3	5.9	5.0	2.7	4.2
19		735.46	732.17	730.47	730.82	732.230	2.4	3.3	6.3	2.1	3.5
20		729.11	728.38	727.49	728.54	728.380	2.4	3.4	3.2	2.2	2.8
21		731.08	735.39	736.30	738.80	735.393	- 0.6	0.6	0.2	0.2	0.1
22		739.64	740.82	740.96	739.38	740.200	0.4	- 0.8	- 0.2	- 3.6	- 1.2
23	Apog. ☼	735.66	735.37	735.91	738.01	736.238	1.7	0.6	+ 0.8	+ 0.6	0.2
24		742.96	746.30	751.79	756.08	749.283	5.2	7.6	- 11.2	- 13.2	9.3
25		757.45	758.23	756.68	755.64	757.000	17.0	15.8	12.9	15.3	15.2
26		753.39	753.19	752.57	753.79	753.235	13.4	9.5	7.3	8.3	9.6
27		754.87	755.75	755.09	755.00	755.178	11.9	10.7	8.8	8.2	9.9
28		754.45	754.77	753.66	751.14	753.505	5.5	2.3	1.3	0.8	2.4
29		742.77	740.39	740.24	743.25	741.663	1.6	1.1	+ 0.1	4.6	1.8
30	Równ.	742.32	744.90	751.76	754.03	748.253	1.1	0.9	- 1.9	8.0	2.9
31		748.97	748.01	747.06	746.72	747.690	0.2	+ 0.6	+ 1.0	+ 1.7	+ 0.7
Śr.		751.889	752.223	752.044	752.535	752.173	-5°48	-4°52	-3°90	-4°89	- 4.70

w Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem.

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5'',
na wschód względem południka paryzkiego.

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim. długość śniegu	Wysok. wody na Widło	
	6	10	4	10	6	10	4	10		długość	procent
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.		cau	gu
—	pochm.	poch. śnieg	pochm.	pogodny	Pn1.	Pn1.	Pn1.	PnW1.		3.2	7 1
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.		0.6	7 3
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	W1.	W2.	W3.		1.1	7 4
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	W2.	PnW1.	PnW1.		0.6	7 3
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	W1.	PnW1.	W1.	2.7		7 4
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	W1.	PdW2.	PdW2.	0.3		7 6
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	PdW1.	PdW1.	PnW1.			7 0
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.			7 0
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	PnW1.	PnW1.	Pn1.			7 0
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn1.	PnZ1.	PnZ1.			6 10
—	pochm.	pochm.	pochm.	poc. mgła	Z1.	PnZ1.	Z1.	Z1.			6 9
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	Pd1.	Pd1.			6 9
—	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd2.	Pd1.	Pd2.			6 9
—	pochm.	poc. śnieg	pochm.	pochm.	Z1.	PdZ1.	Pd1.	Pd1.	0.7		6 10
—	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	PdZ1.	Pd1.	Pd2.	Z2.	3.4		6 11
95.9	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z2.	Z2.	Z2.	Z2.	2.0		6 10
96.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	PdZ2.	Z2.	Z2.	0.6		7 1
93.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	Z2.	Z3.	PdZ2.			7 1
91.5	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	2.1		7 7
93.9	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.	PdZ1.			7 9
93.6	pogodny	pochm.	poc. śnieg	pochm.	PdZ1.	Z1.	Z2.	Z2.	1.4		8 7
95.3	pochm.	poc. śnieg	pochm.	pogodny	Z1.	Z1.	Z1.	Pd1.	1.5		9 1
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	Z1.	1.1		8 7
—	pochm.	pochm.	poc. śnieg	napół pog.	Pn2.	Pn1.	PnZ1.	Pn1.	2.7		8 10
—	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Pn1.	Pn1.	W1.	W1.			9 7
—	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	PdW1.	PdW2.	PdW2.	PdW2.			10 1
—	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	0.3		10 4
—	pochm.	poc. mgła	pochm.	pochm.	Pd1.	Z1.	PnZ1.	Z1.	1.1		10 1
—	pochm.	poc. śnieg	pochm.	pogodny	Pd2.	PdZ1.	Z1.	Z1.	6.4		9 10
—	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	Z1.	Z1.	Z2.	Z1.	7.8		9 4
96.2	poc. śnieg	poc. śnieg	pochm.	pochm.	Z1.	PdZ2.	Z2.	PdZ3.	2.6	5.8	8 7
94.5									14.5	34.9	7 10.8

	m.	o.	l
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.173	27	9.435
Najwyżej barometr dochodził d. 10 o g. 10 rano	759.97	28	0.892
Najniżej — — d. 20 o g. 4 po poł.	727.49	26	10.493
Średnia dzienna zmiana barometru	4.364		1.935
Największa dzienna zmiana barometru d. 23—24 o godz. 10 w.	18.07		8.010
Średnia wysokość barometru jest większa o	1.011		0.448
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	751.162	27	8.987
Średnia temperatura stycznia wynosi	— 49.70 C.	—	3.76 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.20	"	3.95 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 23—24 o godz. 10 w.	13.8	"	11.0 "
Średnia temperatura stycznia jest wyższa o	0.10	"	0.08 "
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	— 4.80	—	3.84 "
Termometrograf wskazał: Maximum: + 7 ^o .6 C. = + 6 ^o .1 R. d. 19 po poł.			
Minimum: — 22 0 " = — 17.6 " d. 1 wiecz.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 94.5 biorąc 100 za zupełnie nasycone atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 6.6 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 0.2 setnych od normalnej (94.7).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 14.5 mil. czyli 6.43 lin. par.: ze śniegu 34.9 mil. czyli 15.47 lin. par., razem wody z deszczu i śniegu 49.4 mil. czyli 21.90 lin. par. więcej o 16.4 mil. czyli 7.27 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w styczniu spada (33.0 mil. czyli 14.63 lin. par.).

Dni napółpogodnych było 1, pochmurnych 30.

— deszczu 7: (d. 5, 15, 16, 17, 19, 22 i 31).

— śniegu 15: (d. od 1 do 4, 6, 14, 21, 22, 23, 24, od 27 do 31).

— mgły 4: (d. 9, 11, 23 i 28).

Wiatr panujący zachodni.

Styczeń b. r. był zupełnie niepogodny, nie zbyt wilgotny, śnieżny i dość chłodny. Średnia jego temperatura — 3,8 stop. R. jest taka sama jak w stanie normalnym (— 3,8 stop. R.), a o 1,5 stop. R. niższa jak w r. z. W ogóle temperatura w ciągu tego miesiąca bardzo była zmienną; były dnie niezwykle chłodne jak 1. 2 i 25 jako też znacznie cieplejsze jak normalnie, mianowicie od 13 do 13 włącznie. Największa zmiana dzienna temperatury — 11,0 stop. R. przypadała z d. 23 na 24 podczas nowiu gdy księżyc znajdował się najdalej od ziemi. Stan barometru, podobnie jak wiatru i temperatury bardzo był zmienny, w ogóle jednak wyższy jak zwykle; średnia wysokość jego wynosi 27 cali 9,44 lin. par. o 0,45 lin. par. większa od normalnej (27 cali 8,99 lin. par.). Największa zmiana dzienna barometru 8.01 lin. par. przypadała w tymże samym czasie co i największa zmiana temperatury. Deszcze a szczególnie śniegi padały często i obficie. Dni deszczu było 7 a śniegu 15 czyli pierwszych o 2, a drugich o 5 więcej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był całkiem niepogodny, stosunek bowiem dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 3,8 : 6,8 : 20,4 gdy tymczasem w b. m. stosunek ten jest jak: 0 : 1 : 50. Wiatr panujący bardzo był zmienny, najczęściej wiał zachodni.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle, stóp 7 cali 10,8 n. m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 27. stóp 10 " 4 " "

" " najmniejsza " d. 11 i 12 i 13. stóp 6 " 4 " "

Z wielu miast Europy jak z Paryża, Berlina, Szlązka austriackiego, ze zachodniej Rosyi i z Włoch donoszą że w ciągu tego miesiąca nie zwykle panowały mrozy. a znaczne zasypy śniegowe tamowały komunikarye.

W d. 11 o godz. 9¹/₂ rano, w Wyższej Austrii w wioskach Rohricht, Kirchschlag, Glasau i Oberkirchen miało miejsce trzęsienie ziemi, przyczem rozległ się huk podobny do grzmotu.

W d. 30 o godz. 7 wieczór świetna kula ognista (aerolit) przebiegła po nad poziomem warszawskim w kierunku od południowo-zachodniej ku północno-wschodniej stronie nieba i pękła w okolicach Pultuska nad Narwią blisko wsi Sielc, rozsypawszy kamienie na znacznej przestrzeni, t. j. do 6 wiorst długości, a do 2 wiorst szerokości mającej.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1868.

Filozofia.

Stron.

- Parmenides filozof z Elei, jego nauka i jej znaczenie z poglądem na rozwój filozofii i prawdziwe znaczenie tej nauki, napisał *Lud. Szczerbowski-Wieczor*..... 1, 213

Geografia i podróże.

- Współczesna Abisynia i cesarz Teodor II, przez *Stefana Pawlickiego*.... 313

Nauki przyrodnicze.

- O geologii i jej postępach przez *Jana Trejdosiewicza*, Doktora filozofii, profesora Instytutu Politechnicznego i Rolniczo-leśnego w Nowej Alexandryi..... 338

Astronomia.

- O meteoritach, z powodu bolidu spadłego w Sielcu dnia 30 stycznia 1868 r. Przez *K.*..... 489

Literatura.

- Apologia Sokratesa przez Xenofonta, przełożył z greckiego z dodaniem krótkiego wstępu *L. S. Wieczor* kand. filoz..... 93
- Najdawniejszy zabytek prozy oryginalnej polskiej w Liber Beneficiorum Długosza. Przez *A. T.*..... 147
- Fausta część druga. Studium krytyczne według dzieła E. Caro (La philosophie de Goethe), przez *F. Faleńskiego*..... 161
- Jan Gundulicz i poemat jego „Osman”, skreślił *Adam Rząbcwski*..... 414

Poezya.

	Stron.
Pieśni Ossyana, przekład <i>Maryi Ilnickiej</i>	79
Z poematu Moor'a pod tytułem: Miłość aniołów. przez <i>A. Pługa</i>	104

Biografia.

Roman Zmorski. Kilka słów, poświęconych pamięci zmarłego w d. 18 lutego 1867 r., poety, przez <i>Adama Rzęźewskiego</i>	29
Franciszek Boppa († 23 października 1867 r.). Przez <i>Wł. Miłkowskiego</i> ...	278

Powieść.

Wycieczka do Bretanii, przez <i>P. F.</i>	105
Rodzina Alvareda. Nowella hiszpańska p. Fernana Caballero, przełożył <i>Władysław Miłkowski</i>	232, 382

Starożytności.

Najdawniejsza taryfa domów miasta Krakowa. Przez <i>Alexandra Wejnarta</i> .	289
--	-----

Etnografia.

Zwyczaje ludu z okolic Tykocina i Bielska zebrał i opisał <i>Zygmunt Gloger</i> .	141
---	-----

Przegląd teatralny.

Złoty młodzieniec komedia w 5-ciu aktach St. Bogusławskiego. — Przed inniadaniem: krotoczwila Fredry (syna). — Sztuka i handel: komedia Kazimierza Kaszewskiego. Przez <i>Stefana Pawlickiego</i>	281
Miód kasztelański, komedia w 5-ciu aktach prozą przez J. I. Kraszewskiego. — Guerin, komedia w 5-ciu aktach Emila Augier tłumaczona z francuzkiego. — Po maskaradzie, krotoczwila w I-nym akcie przez Fryderyka hr. Skarbka. — Raptus, komedia w I-nym akcie przez Marc-Michel i Labiche, tłumaczona z francuzkiego. — Drzemka pana Prospera, komedia w 4-ch aktach a 5 odsłonach oryginalnie wierszem napisana przez Jana Alexandra hr. Fredrę. Przez <i>Stefana Pawlickiego</i>	466

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Studia z dziejów wieku XVI, napisał Xawery Liske, doktor filozofii. Poznań. 1867. Przez <i>Jul. Bartoszewicza</i>	124
---	-----

„Panie kochanku.” Anegdota dramatyczna we trzech aktach, przez J. I. Kraszewskiego. Póznaii. Przez <i>K. Wl. W.</i>	128
Opisy i przygody z podróży po różnych częściach świata, Zebrał i ułożył Wład. L. Anczyc.— Przypadki Robinsona Kruzoe podług najlepszych źródeł dla dzieci polskich, opracował Wl. L. Anczyc.— Mali ludzie i ich świat, przez Teofila Nowosielskiego.— Wieczory domowe. Zbiór zabawek, opisów i powiastek dla nauki i rozrywki dobrych dzieci zebrała Paulina Kraków. Wydanie drugie.— Powieści żółte. (Les contes jaunes). Warszawa. 1868. Przez <i>Chm.</i>	133
Stanowisko pracy w rozwoju społecznym, przez Jana Hempla. Warszawa. 1868. Przez <i>Wl. Miłkowskiego.</i>	137
Scriptores Rerum Prusicarum. Przez <i>Wl. Mił.</i>	139
Natan poemat dramatyczny Lessinga. Przekład Rozalii z Feliksów Saulsonowej. Lipsk. 1867. Przez <i>P. Chmielowskiego.</i>	268
Wilhelm Machaut truver francuzki. Przez <i>Alexandra Przedzieckiego.</i> ...	273
Geschichte der Polnischen Literatur übersichtlich dargestellt von E. P. Breslau. 1868. Przez <i>K. E.</i>	276
Sprawozdania komissji fizyograficznej c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego, obejmujące pogląd na czynności dokonane po koniec r. 1868, oraz materyaly do fizyografii Galicyi. Kraków. 1867. Przez <i>E. Strusburgera.</i>	440
Zakazane owoce. Powieść przez Jana Zacharyasiewicza. Warszawa. 1868. Przez <i>Chm.</i>	443
Nowe powieści dla dojrzałszej młodzieży przez Sawerynę z Żochowskich Prusakową. Warszawa. 1868.— Wspomnienia wygnanki przez Paulinę Kraków. 1868.— Emil Leclercq. Powieści prawdopodobne dla dzieci, spolszczone przez Jana Chęcińskiego, Warszawa. 1868.— Wesołe powiastki dla dzieci przez A. S. Warszawa. 1868. Przez <i>Chm.</i>	447
La philosophie de Goethe p. E. Caro, Oeuvres scientifiques de Goethe, przez Ernesta Favre profesora z Lyon. Przez <i>J. M.</i>	456
A. F. Rio, de l'art chrétien. Paris 1861—1867.....	450
Philosophie de l'art en Italie, par H. Taine. Paris. 1867.....	458
Le Progrès par le christianisme de Notre-Dame de Paris par le R. P. Félix. Paris. 1867.....	459
Tableau des progrès de la pensée humaine depuis Thalès jusqu'à Hegel, par Nourrisson. Paris. 1867.....	460
Les écoles épiscopales et monastiques de l'Occident depuis Charlemagne jusqu'à Philippe Auguste (768—1180), étude historique par Léon. Maitre. Paris. 1866.....	461
Voltaire au Collège. Lettres et Documents inédits par Henri Beaume. Paris. 1867.....	462
Vies des savants illustres de la Renaissance par Louis Figuier. Paris. 1868.	462
Découverte de l'Albert N'Yanza, nouvelles explorations des sources du Nil par Sir Samuel White Baker, ouvrage traduit de l'anglais par Gustave Masson. Paris. 1868. Przez <i>p.</i>	463

Korrespondencya.

Stron.

Kronika paryska literacka, naukowa i artystyczna.

Wychowanie świeckie kobiet. — Stowarzyszenie niższego nauczania dziecięząt. — Kontrowers władzy świeckiej z duchowną. — „Ojcowie i dzieci” przez p. Legouvé. — „Kazania Bossueta. — Bossuet kaznodzieja” przez p. Gaudar. — „Mystycy hiszpańscy” przez p. Roussetot. — „Roman d'une honnête femme” komedia Barriera. — „Les Faux Bonshommes” tegoż. — „Historia literatury francuzkiej przed Karlomanem” przez Ampéra. — Wiadomości literackie.....	56
Raport złożony Izbowi przez prefekta Sekwany z dziesięcioletnich prac około przeobrażenia Paryża. — Hamlet w teatrze de la Galté, pani Judyt w roli królewiczki duńskiego. — „Miss Suzanne” komedia pana Legouvé. — „Podróże Guliwera” widowisko czarodziejskie w teatrze Châtelet. — Paryż dawny i terażniejszy: odcienia obyczajów. — Atleci w paryzkiej arenie. — Wiadomości literackie i artystyczne..	188
Stan sił materyalnych i sił moralnych Francyi, — Kurs ekonomii politycznej Michała Chevalier. — „Sceptycy” dramat p. Mallefille. — „Madame Desroches” komedia p. Laya. — „Didier” dramat p. Berton. — „Fanchonette” opera Clapissoua. „Petrarka” studjum profesora Mezières, wedle nowych dokumentów. — „Pawel Forestier” czteroaktowa komedia wierszem, Emila Augier. — Wiadomości literackie..	360
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Juliana Bartoszewicza</i>	298
Wiadomości bieżące i rozmaitości.....	150, 301, 489
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem :	
za miesiąc listopad r. z.....	157
— — grudzień r. z.....	309
— — styczeń r. b.....	497
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatoryum astronomiczném warszawskiem w roku 1867.	



36. - a